



Opowieści niesamowite

CZARNY PAJĄK

OPOWIEŚCI NIESAMOWITE

Z LITERATURY NIEMIECKOJĘZYCZNEJ

(Die schwarze Spinne:
die außergewöhnlichen Erzählungen aus
der deutschsprachigen Literatur)

*Wybrał, wstępem i notami o autorach opatrzył
Gerard Kozierek*



1988

Spis treści

1. Karta tytułowa
2. Wstęp
3. Johann Wolfgang Goethe HISTORIA NEAPOLITAŃSKIEJ ŚPIEWACZKI
4. Ludwig Tieck JASNOWŁOSY EKBERT
5. Heinrich von Kleist ŻEBRACZKA Z LOCARNO
6. Friedrich de la Motte Fouque MANDRAGORA
7. Ernst Theodor Amadeus Hoffmann PIASKUN Nataniel do Lotara
 1. Klara do Nataniela
 2. Nataniel do Lotara
8. Joseph von Eichendorff POSĄG Z MARMURU
9. Wilhelm Hauff OPOWIEŚĆ O STATKU UPIORÓW
10. Jeremias Gotthelf CZARNY PAJĄK
11. Ludwig Bechstein CHŁOPIEC NA WIDŁACH
12. Friedrich Gerstäcker GERMELSHAUSEN
13. Theodor Storm DOM BULEMANNA
14. Paul Heyse PIĘKNA ABIGAIL
15. Heinrich Mann PIES
16. Thomas Mann SZAFA
17. Oskar A. H. Schmitz KOCHANKA SZATANA
18. Georg von Schlieben SZAMBELAN
19. Paul Ernst MAJAK
20. Gustav Meyrink PREPARAT
21. Hanns Heinz Ewers PAJĄK
22. Karl Hans Strobl ROZPUSTNA MNISZKA
23. Max Dauthendey MROKI HIMALAJÓW
24. Paul Rohrer ŚWIERK DON LORENZA
25. Noty o autorach

Wstęp

W roku 1827 ukazał się felieton Wilhelma Hauffa pt. *Książki oraz świat czytelniczy (Die Bucher und die Lesewelt)*, w którym skrytykował on gusty czytelnicze swego czasu, przede wszystkim upodobanie do powieści grozy. Można by sądzić, że zamiłowanie do nich wywodziło się z romantyzmu. Założenie to jest jednak fałszywe, gdyż już na początku romantyzmu przekonał się Heinrich von Kleist w jednej z wüzburgskich bibliotek o tym, że nie było tam w ogóle literatury klasycznej, były natomiast „opowieści o rycerzach, li tylko opowieści o rycerzach; po prawej opowieści z duchami, po lewej zaś bez duchów, wedle upodobania” (list z dnia 14 września 1800 roku). Brzmi to wprawdzie nieprawdopodobnie, lecz właściwe zainteresowanie irracjonalizmem ma swój początek w czasach oświecenia, co oczywiście nie oznacza, że wiara w duchy i upiory nie istniała również w innych epokach.

Na intelektualnym zacofaniu szerokich mas żerowali awanturnicy różnego autoramentu. W połowie XVIII wieku Szwed Emanuel Swedenborg stał się sławny dzięki swemu rzekomemu jasnowidztwu, w latach siedemdziesiątych kapłan nadworny biskupa z Ratyzbony Johann Joseph Gassner szczerze wierzył w wypędzenie diabła, a w Lipsku właściciel kawiarni Schrepfer zajmował się wywoływaniem duchów zmarłych. Największym wzięciem cieszył się jednak Giuseppe Balsamo, który jako Aleksander hrabia Cagliostro uprawiał swój nieczny proceder na szlacheckich i książęcych dworach. Wielu zwolenników mieli również alchemiści i cudotwórcy, tacy jak hrabia Saint-Germain i Vincentius Magno-Kavallo, którego prawdziwego nazwiska nikt nie znał. Wszyscy ci hochsztaplerzy znaleźli w dekadencej atmosferze przedrewolucyjnej Europy podatny grunt dla swej szarlatanerii.

W Niemczech nie zabrakło prób wykrycia kłamliwych praktyk tych oszustów. Jedną z odpowiedzi na zainteresowanie duchami Swedenborga była rozprawa Immanuela Kanta *Sny wizjonera (Träume eines Geistersehers)*, w której wskazywał na to, że egzystencja niematerialnych istot nie może być ani dowiedziona, ani obalona. Ponadto potępił znane już wtedy opowieści o duchach. Zarazem jednak podkreślił psychologiczny aspekt wiary w duchy. Dla współczesnych pisarzy przyczynek ten był bez znaczenia. Przeobrażenie ducha występującego w wyobraźni ludu w realnej postaci w fenomen świadomości dokonało się dopiero pół wieku później, tzn. w romantyzmie.

Z wprowadzeniem duchów do literatury rozprawił się również Christoph Martin Wieland. Zajęcie zdecydowanego stanowiska na rzecz oświecenia było wtedy konieczne, zważywszy, że nawet taki racjonalista jak Friedrich Nicolai najpoważniej stwierdził, iż został nawiedzony przez duchy. Tę jego wypowiedź oraz groteskową terapię przez niego stosowaną — pijawki na tyłku — wykpił później Goethe w *Fauście*. Za przyczynek do dyskusji trwającej przez cały XVIII wiek należy uważać także i wywody Lessinga w jedenastej części *Dramaturgii hamburskiej (Hamburgische Dramaturgie)*. W przeciwieństwie do wywodów Kanta czy Wielanda nie należy ich jednak rozumieć jako ideowego rozprawiania się z przeciwnikami oświecenia, lecz jako wskazówki dotyczące znaczenia duchów dla scenicznych walorów sztuki teatralnej. Zadaniem poety powinno być wprowadzenie widza w świat iluzji oraz przekazanie mu świata fantastyki za pomocą techniki zwodzenia.

Podczas gdy Lessing wypowiedział się za przydatnością duchów w literaturze klasycznej,—autorzy popularnych podówczas powieści grozy wprowadzali je do akcji w sposób prostacki i naiwny przy każdej nadarzającej się okazji. Do najbardziej znanych przedstawicieli tego gatunku należy Christian Heinrich Spiess, który ze swą faustowską powieścią *Petermännchen* i głośnym podówczas *Starym Wszędzie i Nigdzie (Der alte Uberall und Nirgends)* rozpoczął zwycięski pochód przez literaturę

niemiecką. W tym samym czasie wybił się Karl Grosse swoją pierwszą powieścią grozy pt. *Geniusz (Der Genius)*, natomiast Friedrich Eberhard Rambach znalazł miejsce w historii literatury właściwie tylko dzięki temu, że Ludwig Tieck dopisał ostatni rozdział do jego powieści *Żelazna Maska (Die eiserne Maske)*. Wśród ponad stu autorów powieści grozy był również teść znanego austriackiego pisarza Ferdynanda Raimunda — Joseph Alois Gleich, który uprawiał ten gatunek jeszcze w połowie XIX wieku.

Obok opowiadań traktujących tylko o duchach rozwinęła się w Niemczech, w następstwie tzw. „powieści gotyckiej” pt. *Zamek w Otranto (The Castle of Otranto)* Horacego Walpole’a oraz dramatu *Götz z Berlichingen (Götz von Berlichingen)* Johanna Wolfganga Goethego, powieść rycerska. Wielką popularnością cieszyła się również powieść zbójcka i powieść o tajemnych stowarzyszeniach. O ile autorzy powieści zbójckich obrali sobie za wzór szlachetnego zbójcę Karola Moora ze *Zbójców (Die Rduber)* Fryderyka Schillera, o tyle autorzy powieści o tajemniczych stowarzyszeniach czerpali z kultowych obrzędów tajnych bractw, jak np. wolnomularzy, różokrzyżowców, iluminatów i innych związków zakonnych, od których oczekiwano przekształcenia życia poprzez nadprzyrodzone siły oraz tajne nauki. Mimo że owe powieści, należące do literatury trywialnej, różniły się od siebie zawartością ideową — jeżeli o takiej w ogóle mogła być mowa — miały one pewne cechy wspólne: pseudohistoryczny koloryt, fantastykę, zdarzenia nadprzyrodzone i niesamowite. Sceneria miała zawsze wywoływać atmosferę strachu. Znakomicie nadawały się do tego celu na wpół zniszczone zamki, stare ruiny, samotne klasztory, gotyckie pokoje, dzika okolica. Nie brakowało również stęchłych lochów, warownych prochowni, stromych krętych schodów, podziemnych korytarzy, tajemnych otworów ściennych oraz zapadni. Atmosferę grozy potęgowały jeszcze siły przyrody: burza oraz sztorm, a także przepowiednie, sny, groźne wieści oraz rekwizyty. Jeżeli doszły do tego jeszcze ślady krwi, trupy lub szkielety, wtedy spełnione zostały

całkowicie warunki wystąpienia duchów lub innych upiornych zjaw.

Nasylenie treści takich powieści i opowiadań nadzmysłowością nie stanowiło dla autorów większego problemu. Z reguły odbywało się to w dwojaki sposób: albo duch jest dobrym duchem opiekuńczym, który skłania swojego wychowanka do moralnego prowadzenia się, albo dopomaga mu w czynach występnych. Ze szczególnym upodobaniem przeplatają pisarze akcję z sentymentalnymi scenami miłosnymi. Siłacze walczą przeciwko łajdakom, morderstwa oraz nierząd nagromadzone są z wielkim upodobaniem — rzekomo w celu pouczenia czytelnika oraz wspierania moralności. Bez względu na zawilości akcji jej zakończenie jest zawsze zadowalające: bohater zostaje na czas wyratowany ze wszystkich opresji albo porwany w dosłownym tego słowa znaczeniu przez diabła. Upiorowi ukazującemu się zawsze w odpowiednim momencie ani pierwsze, ani drugie rozwiązanie nie sprawia żadnych trudności. Ułatwia mu bowiem zadanie wiele środków takich, jak napoje usypiające, czarodziejskie różdżki, pierścienie—niewidki oraz podobne atrybuty o nadprzyrodzonej mocy. Właśnie wówczas, gdy niezwykle, sensacyjne zdarzenie stanowi całą akcję, gdy dzięki działaniu nadprzyrodzonej siły dochodzi do cudownego rozwiązania konfliktu, a zwykłe wydarzenia tracą na znaczeniu, gdy autor stosuje znamienne chwytli narracyjne i akcesoria, mamy do czynienia z powieścią grozy. W przeciwieństwie do naiwnej tradycji ludowej jej spekulatywny charakter jest oczywisty.

Motywy wzbudzające zgrozę występują w sposób mniej lub bardziej skoncentrowany we wszystkich powieściach rycerskich i zbójceckich, w powieściach o tajemnych stowarzyszeniach oraz o duchach. Podczas gdy w pierwszych demony i upiory stanowią dodatkowy element, służący do ożywienia średniowiecznych zamków, samotnych kryjówek albo tajemniczych łóż, jak również wywołujący podniecenie lub wstrząs, w tych ostatnich spełniają zjawy określone zadanie. Z reguły wiążą one wątki fabuły oraz prezentują moralną wymowę danej historii. Działania owych duchów są

bardzo ludzkie, a wynikają często z ogólnych pojęć moralności. Są one związane z rzeczywistością i pozbawione wszelkiej metafizyczności. Realny zakres ich zadań stawia je na równi z innymi bohaterami powieściowymi, którzy się z nimi łączą lub zmuszeni są bronić się przed ich złośliwościami. Wielu autorów ogranicza się do wprowadzenia prawie empirycznie uchwytnych duchów, które potrafią przybrać różne postacie, przez co osoby z ich otoczenia ulegają dezorientacji. Trywialny sposób demonstracji elementu magicznego oraz wyraźna manipulacja okultystycznymi fenomenami są już same w sobie zaprzeczeniem wiary w duchy. Niektórzy autorzy czuli się ponadto zobowiązani do wyjaśnienia pewnych zjawisk, obawiając się zapewne, że ich duchy mogłyby być potraktowane poważnie. Tego rodzaju wiarę w duchy słusznie nazwano racjonalistycznym demonizmem.

Mimo iż powieści te są typowymi przykładami literatury trywialnej, nie wszystkie wypada ocenić negatywnie. Z estetycznego punktu widzenia należą z pewnością do najniższej rangą literatury końca XVIII wieku. Dzieliły one z pozostałymi wytworami literatury trywialnej płytką fabułę, często cikliwą akcję, powierzchowną problematykę, nieskomplikowane charaktery, schematyczne czarno-białe obrazy oraz słownictwo wchodzące w zakres języka potocznego. Jednakże często wyrażają w nich autorzy tęsknoty i pragnienia prostych ludzi, mianowicie ucieczkę od rzeczywistości w świat iluzji. Chociaż wydarzenia rozgrywały się przeważnie w historycznie odległych czasach, były one nierzadko świadectwami teraźniejszości. Wiele powieści zawiera wprawdzie aluzje do aktualnych wydarzeń, lecz bywa i tak, że określony typ bohatera reprezentuje poczucie sprawiedliwości zwykłego człowieka. Związek powieści z życiem charakteryzuje trafnie pewien znawca tej podówczas modnej literatury: „Ponieważ my, Niemcy, już od dawna robiliśmy rewolucję tylko w literaturze, przeto szczególnie powieści reprezentowały gniew szarego człowieka na dwory, radców książęcych i krwiopicców. Uciskani bowiem buntują się w duchu przeciwko przemocy możnych, żyją w pewnego rodzaju państwie idealnym, w którym ścina się

głowy rycerzom i rozbójnikom, detronizuje księżęta, wiesza ministrów, umieszcza ladacznice w więzieniach, robi z biednych bogaczy i oddaje ciemnym cześć [...], aby przywrócić uciskaną niewinność i sprawiedliwość oraz pokazać, że istnieje Bóg w niebie, który przy realizacji swoich wyższych celów wykorzystuje rzeczy pozornie złe [...]. Z powieści Cramera czerpał niejeden biedak więcej pocieszenia aniżeli ze swojego modlitewnika: Tu bowiem znalazł to, co czuł i myślał, czego jednak bał się dokonać. Ten gorzki, przygnębiający nastrój odzwierciedlają tyrady okresu «burzy i naporu [...]. Lecz to było wszystko, co uczyniono».

Również książki eksponujące metafizyczność tematu były odbiciem świata duchowego, który istniał niezależnie od oficjalnego racjonalistycznego kierunku. Autorzy i wydawcy dbali niewątpliwie o to, by już same tytuły miały atrakcyjne brzmienie; wzmacniali je jeszcze rycinami i przedmowami. Taki np. tytuł jak: *Śmiertelna koszula w tajemniczym grobowcu oraz krwawa zakonnica w miejscu straceń* miał niewątpliwie na celu rozbudzenie fantazji czytelnika. Nie należy bowiem zapominać o tym, że oświecenie nie miało takiego wpływu na masy, jaki się dzisiaj zwykle przypisuje ówczesnej filozofii oraz doktrynom kulturowym. Dowodem tego są liczne dokumenty świadczące o nieprzewycięzonych jeszcze przesądach. Oprócz tego zauważyć można, że w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych następuje odwrót od trzeźwego myślenia i zwrot ku myśleniu irracjonalnemu. Casus Cagliostro jest tylko jednym, chociaż bardzo dosadnym dowodem na to. Nierzadko zatem zaprzeczano osiągnięciom oświecenia. Niezależnie od tego, czy było to zacofanie, czy też żądza cudów — tak pierwsze, jak i drugie w jednakowy sposób sprzyjało autorom powieści o duchach i wyjaśnia także ich nagminne występowanie oraz wielką popularność.

Próba położenia kresu tym tendencjom w literaturze był fragment powieści Fryderyka Schillera pt. *Wizjoner (Der Geisterseher)*, który ukazywał się w odcinkach w latach 1787—1789 w czasopiśmie „Rheinische Thalia”. Zaraz na początku określa go autor jako „przyczynek do historii

oszustwa oraz błędzeń ludzkiego ducha”. Powieść o południowoniemieckim protestanckim księciu, który w Wenecji wpada w ręce szarlatanów, jest nacechowana kolorytem historycznokulturowym schyłku oświecenia, który dał impulsy do powstania literatury trywialnej tamtych lat. Przede wszystkim pierwsza część skupia w sobie dużo elementów wskazujących na rozgałęzioną sieć powiązań zakonu jezuitów, który był rozwiązany, oraz na działalność Cagliostro.

Schiller ukazuje również seans spirytystyczny, który odbywa się z przepychem i pompatycznym ceremoniałem. Magik jednakże zostaje oskarżony o oszustwo. Rewizja domu oraz przesłuchanie demaskują jego pseudookultystyczne umiejętności jako zwykłe triki i sztuczki kuglarskie. *Wizjoner* zatem nie jest bynajmniej powieścią o duchach, mimo że podobieństwo tkwi w technice tajemniczego zazębiania się ukrytych wątków. Również cechy zewnętrzne akcji, wprowadzicie trzymającej w napięciu, lecz poprowadzonej konwencjonalnie, nie wywołują u czytelnika tak mocnego dreszczu, jak w typowych powieściach grozy; tu panuje tylko nad całym wydarzeniem ponura powaga.

Wiadomo powszechnie, że wczesne pisma oświecenia skierowane przeciwko przesądom przyczyniały się niekiedy wręcz do ich rozprzestrzeniania. Dlatego sięgano do innej formy szerzenia myśli postępowej, mianowicie do opowiadań o duchach, w których rzekome zjawiska ze świata nadprzyrodzonego sprowadzano do wymiarów świata rzeczywistego. Tak np. ukazały się w roku 1793 w Wiedniu *Opowieści fantastyczne wraz z kluczem do ich wyjaśnienia (Wundergeschichten, sammt dem Schlüssel zu ihrer Erklrdung)* Kajetana Tschinka. Najbardziej znanym zbiorem, cieszącym się na przełomie XVIII i XIX wieku wielką popularnością, było trzypięciotomowe wydanie Samuela Krzysztofa Wagera pt. *Upiory. Krótkie opowiadania ze świata prawdy (Die Gespenster. Kurze Erzählungen aus dem Reiche der Wahrheit)*. Podtytuł jest symptomatyczny i objaśnia ogólną tendencję. Tak samo przejrzysta jest konstrukcja opowiadań.

W zależności od talentu autora, od umiejętności wywołania nastroju, udaje mu się wprowadzić w mniej lub bardziej wiarygodny sposób swoje zjawy i lepiej lub gorzej wytworzyć atmosferę grozy. Niezależnie od stopnia prawdopodobieństwa niesamowitych zjawisk następuje wcześniej czy później ich racjonalne wyjaśnienie. Podejrzane szmery powodowane są przez obluźowane skrzydła okienne, rytmicznie spadające krople deszczu lub przemykające myszy; pobrzękiwanie łańcuchami wywoływane jest przez zwierzęta domowe, żalosalne dźwięki zaś przez zardzewiały wiatrowskaz, mechanizm zegara, wiatr wyjący w kominach i rynnach deszczowych. Obok złudzeń akustycznych uczucie strachu powodują również elementy optyczne.

Niepokojąco wyolbrzymione kształty przybierają w bladym świetle księżycy wybrzuszone firanki oraz pojedyncze części ubioru lub też opary mgły, samotnie stojące znaki drogowe i nagle spłoszone zwierzęta. Niektóre opowiadania nie są pozbawione nawet pewnego rodzaju pikanterii: rzekomo nieprzystępną służącą właściciela zajazdu lub niewinną córkę pastora odwiedza o północy kochanek udający ducha. Tego rodzaju powszechnie zrozumiałe opowiadania przyczyniły się na ogół w większym stopniu do oświecenia ludu niż rozprawy naukowe, których odbiorcy stanowili wąski krąg i które zwykle były czytane przez tych, co tego rodzaju pouczeń wcale nie potrzebowali.

W celu umoralnienia i zabawienia prostego ludu zbierał również anegdoty i historyjki Johann Peter Hebel. Także opowiadania o duchach zawarte w *Szkatułce reńskiego przyjaciela domu* (*Schatzkästlein des rheinischen Hausfreundes*) są podporządkowane temu zamiarowi. Tak jak wszystkie inne odznaczają się one prostotą i ludowością. Brak w nich natomiasz natrętniej tendencyjności opowiadań Wagenerowskich. Trzeba jeszcze wspomnieć o staraniach szwabskiego pastora Friedricha Augusta Köhlera, który plony swojego zbieractwa zestawił w rękopiśmiennym zbiorze pt. *Opowiadania o duchach* (*Geistergeschichten*). Jednakże nie dla wszystkich znalazł racjonalne wyjaśnienie.

O ile zbiór Köhlera nie wykazuje jeszcze wpływów romantycznych, o tyle *Książka o upiorach (Gespensterbuch)* Johanna Augusta Apela i Friedricha Augusta Launa posiada już znamiona nowego prądu. Treść opowiadań stanowią wytwory wiary w cuda, ludowe podania o upiorach i czarach, jak również bajki o wieszczkach oraz legendy. Na pierwszym miejscu znajduje się podanie *Wolny strzelec (Der Freischiitz)*. *Książka o upiorach* Apela i Launa jest na przełomie stulecia obok zbioru Wagenera najbardziej wymownym przykładem niezwykle wielkiego zainteresowania szerokich mas tego rodzaju literaturą rozrywkową.

Nie można się zatem dziwić, że nawet Goethe próbował swych sił w tym gatunku. Elementy metafizyczne są stałą częścią składową jego twórczości, czego potwierdzeniem są przede wszystkim ballady oraz *Faust*. O ile te utwory opierają się głównie na ludowych wyobrażeniach oraz na przechowanych w tradycji motywach, o tyle dwa pierwsze opowiadania z *Rozmów niemieckich emigrantów (Ünterhaltungen deutscher Ausgewanderten, 1795)* mają inny charakter. Pierwsza historia opiewa piękną śpiewaczkę Antonelli, którą straszy jej zmarły kochanek za pomocą różnych szmerów. W swej nieczułości dziewczyna odmówiła mu spełnienia ostatniego życzenia — pojawienia się u jego łoża śmierci. Drugie opowiadanie o hałasach powodowanych przez pewnego ducha-pukałkę jest przyporządkowane pierwszemu, podobnie jak dwa z pozostałych czterech wzajemnie się uzupełniają. Goethe nie tylko włączył oba raczej banalne opowiadania do dzieła ważkiego pod względem historycznoliterackim, ale przenosi ponadto zawarte w nich idee do opowiadania ramowego. Ledwie opowiedziano je do końca, gdy niejako dla potwierdzenia tych „niesłychanych wydarzeń” pękł z wielkim hukiem blat biurka, mimo braku jakiegś zewnętrznej przyczyny. Aby jeszcze bardziej zwiększyć nieprawdopodobieństwo tego faktu, narrator oznajmia, że o tej samej godzinie spłonęło inne biurko, które było wykonane przez tego samego mistrza i z tego samego drzewa.

Mimo woli nasuwa się pytanie, co skłoniło Goethego do włączenia się do dyskusji o irracjonalizmie. Prawdą jest, iż był przeciwny wszelkiej wierze w upiory. Nie zmierzał też do wywoływania efektów przejmujących dreszczem, ponieważ jego suchy sposób relacjonowania uniemożliwiał całkowicie powstanie nastroju grozy. Narracja jest podporządkowana ogólnej tendencji, którą Goethe tutaj reprezentował, a mianowicie wykazaniu, że ingerencja świata nadnaturalistycznego w ludzką egzystencję jest zjawiskiem przyrodniczym.

Pewne zjawiska nie mieszczące się w granicach rozumu traktował Goethe zresztą zupełnie poważnie. Dowodzi tego m.in. wypowiedź w *Rozmowach*, która jest ściśle związana z dyskusją nad problematyką gatunku literackiego. Gdy towarzystwo zaczęło „wypowiadać swoje myśli oraz wątpliwości na temat tej historii, czy jest prawdziwa, czy też mogłaby być prawdziwa”, narrator utrzymywał, „że ona musi być prawdziwa, jeżeli ma być interesująca; gdyż jako wymyślona historia byłaby bez znaczenia”. Zatem autentyczność obu historii określona jest równocześnie specyfiką nowelistycznego tworzywa. Trzeba dodać, że Goethe opowiadał to wydarzenie w taki sposób, w jaki zostało mu ustnie przekazane. Odnosiło się ono do paryskiej aktorki Hippolyte Clairon.

Olbrzymie zainteresowanie irracjonalizmem miało — jak wykazano na wstępie — swój początek m.in. w działalności przebiegłych awanturników i cudotwórców. Jeżeli w drugiej połowie XVIII wieku mogli oni bezkarnie grasować w całej Europie, to był to tylko jeden z wielu przejawów coraz bardziej postępującego rozkładu ustroju państwowego. Polityczny bezwład, w którym pogrążył się oświecony absolutyzm, doprowadził do Rewolucji Francuskiej. Jej krwawe następstwa stanowiły atrakcyjne tworzywo dla autorów powieści trywialnych, których ilość gwałtownie wzrosła właśnie w latach dziewięćdziesiątych.

Kolejnym czynnikiem, ściśle związanym z poprzednim, była nieufność do powierzchownego optymizmu oświecenia. Oświecenie bowiem tak pod

względem politycznym, jak i socjalnym nie spełniło nadziei prostych ludzi. Wynikiem tego była ucieczka od racjonalizmu. Niezadowolenie z dominującego wówczas materializmu mechanistycznego, który zdegradował człowieka do nośnika ogólnie rozpoznawalnych determinantów, przyczyniło się w decydującym stopniu do owej zmiany. Dlatego też dokładne ujęcie rzeczywistości musiało ustąpić pseudonaukowej interpretacji zjawisk przyrody, co w dużym stopniu doprowadziło do regresji w sekularyzacji życia duchowego. Podkreślony przez Goethego czynnik psychologiczny miał również pewne znaczenie: „Do dobrego tonu i ogłady towarzyskiej należy wyśmiewanie się z historii o duchach oraz ich negowanie”, stwierdza Jung–Stilling w swojej *Teorii nauki o duchach (Theorie der Geisterkunde)*, „lecz dziwną rzeczą jest to, że słucha się ich chętnie”.

Logiczną konsekwencją takich dążeń jest zmienione stanowisko wobec problemu cudowności. W filozofii przyrody Schellinga indywidualność przybiera wymiary kosmiczne, co pociąga za sobą zmianę postawy wobec życia. Na tych samych przesłankach oparty jest rozwój romantycznych nauk przyrodniczych. W jednym ze swoich głównych dzieł, interpretowanym często zbyt jednostronnie, mianowicie w *Poglądach o ciemnej stronie nauk przyrodniczych (Ansichten von der Nachtseite der Naturwissenschaft)* Gotthilf Heinrich Schubert stawia w centrum swoich rozważań właśnie „żywą harmonię jednostki z całością”. Jego wywody o magnetyzmie, somnambulizmie oraz o jasnowidztwie miały podbudować tezę o jedności wszystkich zjawisk przyrodniczych. W przeciwieństwie do Jung–Stillinga nie zamierzał on udowodnić istnienia świata duchów, chociaż był bardzo bliski tej myśli. Schubert wykorzystał jedynie najnowsze osiągnięcia przyrodnicze, które wykraczały poza dotychczasową mechanikę klasyczną. Wielką ilość nowych osiągnięć w dziedzinie fizyki, chemii i biologii, jak również wzmożone zainteresowanie medycyny chorobami psychicznymi pobudziło fantazję badaczy do tego stopnia, że w swoim naukowym entuzjazmie próbowali obalić udowodnione fakty za pomocą spekulacyjnych tez. Wkrótce

uczyniono też ostatni krok w kierunku stworzenia fikcji literackiej.

Nauka o duchach Junga, *Ciemna strona* Schuberta, *Syderyzm* Rittera oraz pisma filozoficzne Baadera stały się programem dla romantyków. Najdłużej oddziaływała na ówczesną literaturę książka Schuberta. Także Heinrich von Kleist korzystał z niej, przede wszystkim przy pisaniu *Kasi z Heilbronn* (*Das Käthchen von Heilbronn*), w której, roi się od lunatyzmu, jasnowidztwa, ekstazy, przeczuć i sennych urojeń. Granicę fenomenów psychicznych, występujących także w noweli pt. *Święta Cecylia albo potęga muzyki* (*Die heilige Cäcilie oder die Gezualt der Musik*), przekracza Kleist w zakończeniu *Michała Kohlhaasa*.

Najbardziej nawarstwione są elementy ponadzmysłowe w *Żebracze z Locarno* (*Das Bettelweib von Locarno*, 1810). W całym niemieckim romantyzmie nie ma drugiej noweli, która w takim skrócie przedstawiałaby grozę świata duchów, jak właśnie to dzieło liczące zaledwie dwadzieścia zdań. Znany germanista szwajcarski Emil Staiger udowodnił w szczegółowej analizie stylistycznej, że „nadmiernie hipotaktyczna, bogato rozczłonowana proza”, gwałtowna zmiana czasu przy przejściu od opowiadania wprowadzającego do narracji o zjawiskach upiornych oraz — „zapierające dech tempo” następujących po sobie wydarzeń wywołują permanentne, wprost nie do zniesienia napięcie. W warstwie treściowej Kleist posłużył się tylko jednym chwytem artystycznym: dokładnym powtórzeniem wszelkich szmerów — szelestu, upadku, człapania, pojękiwania i wzdychania — wywołanych na początku opowiadania przez żebraczkę idącą przez pokój. Również wprowadzenie psa, na którego zmysł węchu oddziaływa — jak mówi Schubert — „element astralny”, powoduje odczucie obecności istoty transcendentnej.

Jest rzeczą znamioną, że Kleist — tak jak i Goethe — nie zwraca uwagi na nastrojowe zabarwienie wydarzenia. W przeciwieństwie jednak do błahych opowiadań grozy z *Rozmów* Kleist przedstawia w *Żebracze* siłę nieszczęścia niszczącą człowieka. Poeta podkreśla z niesłychaną

bezwzględnością i konsekwencją niemożność wyrwania się człowieka z niezrozumiałej dla niego egzystencji. Los markiza wydaje się dlatego tak tragiczny, że spowodowany został przez jedno jedyne przewinienie — przewinienie, którego niewielki ciężar gatunkowy nie pozostaje w żadnej proporcji do strasznej kary.

W odmienny sposób niż u Kleista przejawia się obecność sił nadprzyrodzonych u E. T. A. Hoffmanna. Żaden inny poeta niemieckiego romantyzmu nie wykorzystał w swoich dziełach w takim stopniu nastroju tajemniczości, grozy i świata duchów jak właśnie on. Jeśli jednak przypatrzeć się bliżej motywom przedstawionym przez niego, to trzeba stwierdzić, że określenie „Gespensier–Hoffmann” nie jest całkiem adekwatne. W swoich dziełach literackich zajmuje się nie tyle wiarą w istoty pozazmysłowe, co objawami chorej psychiki ludzkiej. Są one ukazane w najróżnorodniejszych wariantach, a ich zbrodnicze wynaturzenie wywołuje przerażenie i strach.

Problemem, który najbardziej fascynował zarówno autora, jak i jego epokę, była hipnoza i związany z nią przemożny wpływ jednego człowieka na drugiego. W swoich rozmowach bracia serafiońscy wciąż zwracają uwagę na tzw. zjawiska magnetyczne, które wielokrotnie są również tematami opowiadań Hoffmanna. Po raz pierwszy przedstawia je w „wydarzeniu rodzinnym” *Magnetyzer (Der Magnetiseur)*, ukazując nadużycie sił nadprzyrodzonych. Alban, któremu nie udaje się zdobyć miłości Marii, zabija ją za pomocą hipnozy. Okropność tego czynu została zwielokrotniona przez zawinioną przez niego śmierć jej narzeczonego, brata oraz ojca. Ten sam problem poruszył Hoffmann w opowiadaniu *Niesamowity gość (Der unheimliche Gasi)*. Także tutaj demoniczna osobowość próbuje z pomocą nadzwyczajnych sił zająć miejsce narzeczonego. W ostatnim momencie wrogie moce zwracają się przeciwko niej i ona sama staje się ich ofiarą.

Obydwa opowiadania mają podobną konstrukcję. Po zrelacjonowaniu jakiegoś strasznego wydarzenia wynikającego z wpływów magnetycznych

następuje akcja zasadnicza, w której właściwe wydarzenie jest jakby odbiciem poprzedniej relacji. Wstrząsające działanie tragicznego finału zwiększa się właśnie na skutek techniki podwojenia pewnych znamienych elementów. Tajemniczy nastrój osiąga autor dzięki demonicznej charakterystyce postaci głównej, która promieniuje na swoje otoczenie niesamowitym fluidem. Ponieważ jednak niektóre cechy tego typu ludzkiego powtarzają się także w innych nowelach, siła oddziaływania na czytelnika nieco słabnie. Szczególnie widoczne jest to w *Duchu elementarnym (Der Elementargeist)*, w którym postać irlandzkiego majora O'Malleya prawie nie różni się od postaci swojego poprzednika — duńskiego majora w *Magnetyzerze*. Mocniej podkreślony jest natomiast związek ze światem duchów, dzięki czemu zbyt silnie wyeksponowany motyw magnetyzmu miał otrzymać dodatkowe uzasadnienie. W efekcie jednak doszło do ześlizgnięcia się w strefę trywialności.

Także opowieść *Sanktus (Das Sanctus)*, która jest ilustracją poglądów G. H. Schuberta na związek magnetyczny, można zaliczyć do utworów z dziedziny hipnozy. Przy kształtowaniu fabuły mógł się Hoffmann oprzeć na relacji świadka seansów mesmerycznych na Węgrzech. Dowodem tego jest zbieżność sytuacji: śpiewaczka pod wpływem mimowolnej, lecz ważnej wypowiedzi traci głos i w ten sam cudowny sposób odzyskuje go znowu. Hoffmann rezygnuje z zajęcia stanowiska i wyjaśnia zjawisko jedynie jako chorobę psychiczną, do której leczenia konieczne jest oddziaływanie na psychikę.

Przypadek somnambulizmu przedstawiony jest w noweli pt. *Ślub (Das Gelübde)*. Bohaterce, znajdującej się w stanie przyćmionej świadomości wydaje się, że widzi przed sobą narzeczonego i oddaje się mu. Później okazuje się, że nie był to on, lecz jego kuzyn. Obydwoje ciężko odpokutują ten czyn. Motyw nieświadomej ciąży, wizyjne urojenie, tajemnicze elementy akcji, które dopiero na końcu się wyjaśniają — wszystko to przyczynia się do powstania ciężkiej, dławiącej atmosfery. Ani pierwsze, ani drugie

opowiadanie nie należy do dziedziny określonej jako „Gespensterromantik”; jeśli jednak nie można się pozbyć uczucia strachu, wynika to ze świadomości, że człowiek nie potrafi uchronić się od nie znanych mu sił. E. T. A. Hoffmann pokazał w *Diablich eliksirach (Die Elixiere des Teufels)*, do jak strasznych konsekwencji może prowadzić rozdźwięk między racjonalnym a irracjonalnym postępowaniem. Schizofrenia, rozdwojenie jaźni, rozdarcie i opętanie przez moce nadziemskie to tylko niektóre możliwości wyrażenia tego stanu.

W pracach o poetyckim pojmowaniu upiora i ducha stwierdzono, że w romantyzmie dokonała się tzw. „introwersja transcendencji”. Zjawiska nadprzyrodzone i niesamowite uświadomiono sobie nie jako realnie istniejącą rzeczywistość, lecz jako uczucie i wewnętrzne odczuwanie, tak że doszło do daleko idącej psychologizacji motywu, jakim jest upiór czy duch. W nowelistyce Hoffmanna wyrażają się te zjawiska i przeczucia przeważnie w postaci „ciemnej mocy, która w złowrogi sposób dąży do zniszczenia nas w naszej własnej jaźni”. Przykładem takiego ujęcia jest *Piaskun (Der Sandmann, 1817)*. Okrutna historia o krwawych oczach wyskakujących z głowy, potworne majaczenia senne i wspomnienia Nataniela o tajemniczym starcu, którego identyfikuje on z baśniowym piaskunem, są przyczyną późniejszej tragedii. Śmierć ojca, który podczas magicznych praktyk stracił życie w wyniku eksplozji, pogłębiła jego wstręt do znienawidzonego człowieka. Po latach wydaje się Natanielowi, że w sprzedawcy okularów i barometrów rozpoznał owego starca. Wrażenie, jakie wywierają na nim starzec i fabrykant automatów Spalanzani, doprowadza go do obłądu. Wy tłumaczenie takiego stanu psychicznego podaje autor w liście Klary do Nataniela: „Muszę wyznać otwarcie, że jest tego przekonania, iż wszystkie okropności, o których mówisz, odbywały się wewnątrz twego mózgu, rzeczywisty zaś świat zewnętrzny najmniejszego w tym nie brał udziału”. Należy nadmienić, że „słodka i wesoła Klara znalazła nareszcie ciche szczęście domowe, którego jej niespokojny duch Nataniela nigdy by dać nie

zdołał”.

W *Piaskunie* potrafił E. T. A. Hoffmann po mistrzowsku pokazać przemożny strach zagrożonego obłędem Nataniela, jego autosugestywne halucynacje, jego nagle wybuchające szaleństwo. Obok szczególnie starannej charakterystyki postaci posłużył się tutaj Hoffmann dodatkowym elementem, mianowicie automatami, zastosowanymi również w *Opowieściach nocnych* (*Nachtstucke*). Przyczyniają się one w decydującym stopniu do demonizacji życia codziennego; albowiem istota pozornie żywa, marionetka bez życia, wywołuje u normalnie odczuwającego człowieka uczucie trwogi.

W podobne cechy charakteru, co córkę Spalanzaniego Olimpię, wyposażył E. T. A. Hoffmann inną postać kobiecą — baronową z opowiadania *Wampiryzm* (*Vampirismus*). W rzeczywistości i ona okazuje się istotą z pogranicza dwu światów. Autor nie mówi o tym wyraźnie, lecz „twarz błada jak śmierć”, „nocne spacery [...] na cmentarz”, jak również wypowiedź jej córki Aurelii, że matkę „opanowały złe moce”, oraz myśli hrabiego o „diabelskiej matce” nie pozostawiają wątpliwości co do jej prawdziwego pochodzenia. Przypuszczenia potwierdzają się — również Aurelia jest wampirem.

Dzięki demonizującemu przedstawieniu pewnych symptomów chorobowych E. T. A. Hoffmann włączył ludzką psychikę w strefę fenomenów przejmujących dreszczem. Pomieszane z elementami mistycznymi i okultystycznymi, nie dają się one w większości przypadków wytłumaczyć w sposób racjonalny. Jakby na potwierdzenie swojej tezy o wpływie sił nadprzyrodzonych na życie ludzkie napisał Hoffmann *Historię o zjawie* (*Spukgeschichte*). Zdecydowanie odrzuca w niej twierdzenie, że pojawienie się zjawy „znajduje wytłumaczenie tylko w nadmiernie rozdrażnionej wyobraźni”. Przeciwnie: za pomocą latającego talerza pokazuje ad oculos „na wskroś wrogie działanie pewnego nieokreślonego fenomenu”, który doprowadził dziewczynę Adelgundę do obłędu.

Odpowiednikiem *Historii* jest *Ordynacja* (*Das Majorat*), w której zjawia

występuje jako fenomen psychologiczny i zarazem okultystyczny. Sprawcą jest ekonom Daniel, który strącił spadkobiercę—lunatyka ze zniszczonej wieży zamkowej. Odtąd ten jako duch błędził po zamku. Mord, fatalistyczna wina i posępny nastrój podkreślają ponurość wydarzeń.

Magiczna dwoistość świata przejawia się u E. T. A. Hoffmanna nie tylko jako duchowe kalectwo lub nadprzyrodzony fenomen. W przerażający sposób zbliża się ona do życia codziennego, jak np. w opowiadaniach *Wybór narzeczonej* (*Die Brautwahl*) lub *Odludny dom* (*Das ode Haus*). Występujące tam postacie odbiegają jednak swoją mieszczańską postawą wobec życia od uprzednio wymienionych grup. Dalsza różnica polega na tym, że telepatia, odbicia lustrzane, zaklęcia i czary nie wyrządzają człowiekowi krzywdy. Wręcz przeciwnie — fantastyczne wydarzenia służą do przywrócenia mu utraconej harmonii. Nie ma w tych opowiadaniach tragicznych konfliktów.

Sposoby wyrażania irracjonalizmu przez E. T. A. Hoffmanna są bardzo różnorodne; różne są też ich funkcje. Cudowność, rozumiana jako ingerencja sil magicznych w życie człowieka, okazuje się zazwyczaj zasadą wroga. Przyczyną tego jest rozdwojenie ludzkiego charakteru i jego wyobcowanie. Psychiczne odstępstwa od normy, jak i wynaturzenia otaczającej człowieka rzeczywistości stają się u Hoffmanna wielkościami ponadwymiarowymi; odzwierciedla się w nich jego niechęć do wielu symptomów życia społecznego własnej epoki.

Opowiadania fantastyczne E. T. A. Hoffmanna są przeważnie dostosowane do gustów ogółu publiczności. Wiele z nich jest napisanych poniżej jego możliwości twórczych. Ludwig Tieck dostrzegł w nich „wszystkie zniekształcone wytwory chorobliwej fantazji, jakie tylko można sobie wyobrazić”. Nie znaczy to, że Tieck deprecjonował tematykę fantastyczną. Również i on lubił niesamowitość i cudowność. Od początku występują one w jego dziełach, chociażby w tak posępnych utworach jak *Almansur* czy *Abdallah* albo w baśniach.

Przykładem pojmowania przez Tiecka zjawisk metafizycznych jest

nowela baśniowa *Jasnowłosy Eckbert* (*Der blonde Eckbert*, 1797). Niezwykłość wydarzeń styka się tutaj z realnością miejsca i czasu. Dzięki temu, że obydwie sfery integrują się w sposób prawie niedostrzegalny, powstaje ów niesamowicie ponury nastrój, którym przeniknięta jest i akcja, i psychika człowieka. Niepokój Berty, tajemnicza trwoga Eckberta na widok Hugona–Waltera, nagle występujący obłąd bohatera, wywołany straszliwym wyjawieniem tajemnicy przez staruszkę, — oto symptomy strachu, jaki nęka człowieka. Jak żadne inne dzieło *Eckbert* jest wyrazem wyobcowania człowieka z natury, wyobcowania, które zostało zdeterminowane warunkami historycznymi i społecznymi po Rewolucji Francuskiej. Dlatego nie potrzebował Tieck w swoich opowiadaniach fantomów strachu; tam gdzie one występują, są tylko symbolem depresji i przerażenia.

Zasadę łączenia niezwykłości i zwykłości stosował Tieck także w swoich nowelach powstałych w latach dwudziestych i trzydziestych XIX wieku. Należą one więc już do okresu postromantycznego; dlatego też różnica między nimi a opowiadaniem E. T. A. Hoffmanna jest tak znaczna. Temat z codziennego życia mieszczańskiego — ślub z rozsądku czy też z miłości — porusza Tieck w *Zaczarowanym zamku* (*Das Zauberschloss*). Zasygnalizowane w tytule miejsce jest tylko tłem akcji i staje się bodźcem do rozmów o duchach. Różne punkty widzenia, jak i zbieżność sytuacji między opowiadaniem ramowym i wewnętrznym stanowią najważniejsze elementy napięcia, które znajdują . rozwiązanie w ogólnym happy endzie. *Zaczarowany zamek* jest więc nie tyle przyczynkiem do literatury grozy, ile dyskusją o jej psychologicznym oddziaływaniu na różne typy ludzkie.

Nowelą dyskusyjną jest także utwór pt. *Żądni cudów* (*Die Wundersuchtigen*). Problem koncentruje się wokół pytania: „Co słusznie nazywamy cudownością?”. Pojęcie to jest bardzo szerokie. Obejmuje ono nie tylko praktyki okultystyczne, lecz także elementy mistyczno—religijne i problemy parapsychologii. Jasnowidztwo, hipnozę i somnambulizm uznał Tieck — chociaż tylko mimochodem — za rzeczywiście istniejące; tym

ostrzej zwalczał on rzekome wywoływanie duchów. Jest sprawą oczywistą, że Ludwig Tieck, którego rozwój zaczął się w oświeceniu a kończył w realizmie, był przeciwnikiem wszelkich przesądów. Równocześnie jednak wzbierał się przed wyłącznie racjonalistycznym ujmowaniem świata.

„Historią o upiorach” nazwał Tieck nowelę *Zamek Klausen (Die Klausenburg)*. Od *Zaczarowanego zamku* różni się ona tym, że opowiadanie wewnętrzne i ramowe przeplatają się wzajemnie. Ponieważ jej treścią jest pojawienie się duchów, uwiarygodnia je Tieck niejako za pomocą swoistej techniki opowiadania. *Expressis verbis* potwierdza to ponadto jeden z narratorów, baron von Blomberg. Tieck ostrzega jednak przed wyciąganiem uogólniających wniosków z indywidualnych doświadczeń.

E. T. A. Hoffmann i Ludwig Tieck są — jakkolwiek z różnych względów — najważniejszymi autorami opowiadań o upiorach w niemieckim romantyzmie. Także inni im współcześni pisarze zajmowali się historiami o duchach i różnego rodzaju dreszczowcami, lecz zjawiska irracjonalne nie występują u nich w tak skoncentrowanej formie, jak u wyżej wymienionych. Można je znaleźć zarówno u Achima von Arnima w *Izabelli z Egiptu (Isabella von Agypten)* i w *Ordynatach (Die Majoratsherren)*, jak i u Klemensa Brentano w *Opowieści o zacnym Kasperku i pięknej Anuli (Geschichte vom braven Kasperl und dem schonen Annerl)*. Demonizm zajmuje ważne miejsce w *Posągu z marmuru (Das Marmorbild, 1819)* Josepha von Eichendorffa. Człowiek jest wystawiony na próby, toczy walki z upiornymi fantomami, które chcą go pokonać; lecz poeta „potrafi poskromić i zakłąć dzikie duchy ziemi, które sięgają po nas z otchłani”.

Podobnie jak u Adelberta von Chamisso w *Przedziwnej historii Piotra Schlemihla (Peter Schlemihls wundersame Geschichte)* irracjonalność ma cechy baśniowości, tak *Mandragora (Das Galgenmdnlein, 1810)* Friedricha de la Motte Fouque jest zapożyczeniem z fantastyki ludowej. Niesamowitość paktu z diabłem, szczególnie ekspresywna dzięki dziwnej scenerii przy końcu noweli, jest złagodzona przez realne środowisko, w którym działa bohater.

Na pograniczu baśni i rzeczywistości znajduje się także *Opowieść o statku upiorów* (*Die Geschichte von dem Gespensterschiff*, 1826) Wilhelma Hauffa. Jest to również opowiadanie ramowe, dzięki czemu właściwe wydarzenie zostaje w końcu sprowadzone do sfery doznań realnych. Inny charakter ma niesamowitość w jego *Fantazjach w bremeńskiej piwnicy ratuszowej* (*Phantasien im Bremer Ratskeller*): o północy ozywają tam rzeźby dwunastu apostołów i wraz z innymi postaciami z minionych wieków otaczają samotnego pijanicę. Jednakże jego żartobliwe usposobienie, spotęgowane upojeniem winem, przewyższa przerażenie i tłumi groteskowość sytuacji.

Wilhelm Hauff, piszący między dwiema epokami, poskromił swoimi *Fantazjami* duchy romantyzmu. Na całkowite wygnanie ze świata literatury skazali je po krótkim okresie *biedermeieru* pisarze realizmu. Jest to zrozumiałe, ponieważ — jak twierdzi Fritz Martini w swoim dziele *Literatura niemiecka w okresie realizmu mieszczańskiego 1848–1898* (*Deutsche Literatur im bürgerlichen Realismus 1848–1898*) — „w tym czasie twórczość nie wykracza poza granice ustalone przez doświadczenie «naturalne» lub też takie, które jest ustawione w czasie i w miejscu, przez przyczynowość i duchowo—psychologiczne doświadczenie człowieka jako wyraz bytowania w ograniczoności tego świata doświadczeń pod względem tworzywa literackiego, tematyki i problematyki, jak również przy wypracowaniu formy — a więc w ukształtowanym przez nią fikcyjnym świecie poetyckim”. Rozwój nauk przyrodniczych wyparł spekulatywną metafizykę, a materialistyczne ujęcie świata przez Feuerbacha różniło się krańcowo od romantycznego idealizmu.

Jest więc całkowicie zrozumiałe, dlaczego tematy faworyzowane przez romantyków uległy zapomnieniu; jeżeli mimo to są podejmowane, dzieje się tak z zupełnie innych pobudek. Podobnie jak w oświeceniu próbuje się wyśmiewać wiarę w duchy i upiory jako wytwory ludzkiej wyobraźni. Przykładem takiego racjonalistycznego ujęcia jest dziesiąty rozdział *Epigramatu* (*Das Sinngedicht*) Gottfrieda Kellera. pt. *Wizjonerzy* (*Die*

Geisterseher). Są to dwaj przyjaciele rywalizujący o dziewczynę, „upiołem” zaś sama dziewczyna. Nieustraszonemu kawalerowi ofiarowuje ona swoją rękę. Historia ta ma uzasadnienie tylko jako część składowa opowiadania ramowego, albowiem płaska pochwała racjonalizmu niczym nie różni się od utworów masowo pisanych na przełomie stulecia.

Nie wszyscy pisarze realizmu zrezygnowali z tak ciekawej tematyki, jaką stanowiły wszelkiego rodzaju niesamowite wydarzenia. Jednym ze sposobów wprowadzania owych niesamowitości do literatury w okresie wiary w życie doczesne było przedstawienie ich z pozycji kronikarza. Poprzez suche, przeważnie pozbawione komentarza sprawozdanie o jakimś wydarzeniu sprzed dziesiątek, a nawet setek lat pisarz dystansował się od niego i występował jedynie jako pośrednik.

Na początku lat dwudziestych relacjonował już A. F. E. Langbein w taki właśnie sposób upiorną historię pt. *Dręczyciel z Kossenblatt* (*Der Plagegeist in Kossenblati*). Podobnie postępował turyński zbieracz baśni i legend Ludwig Bechstein w opowiadaniu *Chłopiec na widłach* (*Der kleine Gabelfahrer*, 1854).

Langbein i Bechstein opierali się na przekazach kronikarskich, Jeremias Gotthelf zaś posługiwał się w opowiadaniu pt. *Czarny pająk* (*Die schwarze Spinne*, 1842) motywem zaczerpniętym z legendy. Z wielkim artyzmem przedstawił w nim niszczącą siłę czarnej śmierci — dżumy. U Gotthelfa jest ona nie tylko klęską żywiołową; jest także siłą demoniczną, szerzącą spustoszenie w życiu człowieka i społeczeństwa. Jej diaboliczny charakter znajduje swoje ucieleśnienie w osobie „zielonego”, tzn. diabła. Zawierając z nim pakt, Krystyna staje się winna. Niesamowity czyn rodzi zło. Symbolizuje je niezliczona ilość czarnych pajęczków, które wypełzają z diabelskiego znamienia. Sama bohaterka przeistoczona w pająka niszczy wszystko, co znajduje się na jej drodze, aż wreszcie śmiała, zdolna do wszelkich ofiar matka łapie ją i zamyka w dziurze futryny. Widok „ponurej, czarnej belki przy oknie” skłania pewnego starego człowieka do opowiedzenia tej starej

legendy. Jej posępny demonizm kontrastuje z wesołą uroczystością chrztu dziecka, stanowiącą akcję ramową. Kontrast ten wywołany jest w głównej mierze zawartą w obu fabułach przeciwstawną symboliką: z jednej strony chrześcijański akt poświęcenia, z drugiej bezbożne przyrzeczenie ofiarowania diabłu nowo narodzonego dziecka. Zarówno jedno, jak i drugie wydarzenie uzyskuje dobitniejszą wymowę przez współdziałanie dobrych i złych sił przyrody. Na tym bynajmniej nie wyczerpuje się problematyka tego ciekawego opowiadania, wywołującego przerażenie apokaliptycznymi wizjami, którymi konserwatywny Gotthelf straszył swoich ziomków.

Nie jest przypadkiem, że również mistrzowska nowela Theodora Storma *Jeździec na siwym koniu* (*Der Schimmelreiter*) to nowela ramowa. Przez podwójną ramę w postaci przekazu ze starego czasopisma i opowiadania nauczyciela miejscowej szkoły autor jako realista dystansuje się wyraźnie wobec tego po części upiornego wydarzenia. Równocześnie przybliży czytelnikowi w sposób psychologiczny upiorność. Mimo realistycznej akcji niesamowitość przenika bardzo mocno w podświadomość. Zewnętrznym tego impulsem jest utożsamienie końskiego szkieletu na wyspie Jeverssand z siwką bohatera noweli Haukego Haiena. Przesady oraz gęste opary mgły znad morza odsuwają realność postaci tytułowej w tajemniczą dal. Z tej antynomii między jego egzystencją tak pełną czynów a nastrojem wywołanym przez pisarza wyrasta specyficzny irracjonalizm, który znajduje swój punkt kulminacyjny w chaosie opisanym w zakończeniu noweli. Niesamowitość jako integralna część składowa akcji pomogła w przygotowaniu katastrofy.

Wzajemnie na siebie zachodzące kontury realistycznej egzystencji i sfery magiczno–demonicznej można zauważyć w noweli pt. *W wiosce na wrzosowisku* (*Draussen im Heidedorf*). Margret Glansky ma w swojej uwodzicielskiej urodzie coś z wampira, co znajduje odpowiednik w legendzie o białej zmorze. Ślepa namiętność Hinricha na tle ponurego krajobrazu bagien, jego śmierć i późniejsze zniknięcie Margret przyczyniają się do

demonizacji jej osobowości. Jeśli porówna się tę nowelę z *Wampiryzmem* E. T. A. Hoffmanna, to u Storma daje się zauważyć daleko posuniętą sublimację motywu. Podczas gdy romantyk wykorzystał go tylko do wywołania efektów grozy, realista wydobyl z niego czynnik psychologiczny.

Godne uwagi jest również opowiadanie *Kronika z Grieshus* (*Zur Chronik von Grieshus*). Konstrukcja utworu jest podobna do *Jeździec na siwym koniu*: drukowany zapis i ustny przekaz stapiają się z sobą, tak że nie zawsze można ściśle oddzielić prawdę od ludowego podania. Z artystycznego punktu widzenia mniej znaczące są krótkie opowiadania grozy, które zebrano w cyklu pod tytułem *Przy kominku* (*Am Kamin*). Elementy irracjonalne zawierają także *Historie z beczki* (*Geschichten aus der Tonne*). O ile *Deszczowa Gertruda* (*Die Regentrude*) ma oprawę par excellence baśniową, o tyle rzeczywistość w *Zwierciadle Cypriana* (*Der Spiegel des Cyprianus*) rozgrywa się w wymiarze, którego nie można już uchwycić zmysłami. Efekty grozy charakteryzują także opowiadanie *Dom Bulemanna* (*Bulemanns Haus*, 1864), w którym realistyczna akcja i takież opis zaczynają ustępować elementom niesamowitym i niewiarygodnym.

Zaskakuje nieco fakt, że również w twórczości Paula Heysego znajdują się utwory z dreszczykiem. Opowiadanie ramowe *W godzinie duchów* (*In der Geisterstunde*) powstało jednak dopiero w roku 1892, a więc już pod wpływem nowych prądów. Składa się ono z czterech nowel, którymi o północy zabawia się pewne towarzystwo. Nowele te — jak zapewniają narratorzy — oparte są na ich własnych przeżyciach. Dzięki temu przeciwieństwo między autentycznością a fantazją pogłębia się jeszcze bardziej. Niezwykle szeroko rozbudowuje pisarz wydarzenia rzeczywiste, usiłując tym samym nadać cechy wiarygodności czynnikom pozazmysłowym. Wreszcie przy interpretacji jakiegoś faktu przytacza „za” i „przeciw”, nie zajmując jednak wyraźnego stanowiska. Wszystkie te momenty dopuszczają pewną dowolność w interpretacji wydarzeń w zależności od psychicznej predyspozycji czytelnika. Mimo że autor znajduje

upodobanie w tego rodzaju historiach, we fragmencie końcowym opowiadania ramowego nie może powstrzymać się od wyjaśnienia owych niewiarygodnych zjawisk jako mamideł.

Nadzwyczaj silne wrażenie wywołuje opowiadanie *Piękna Abigail* (*Die schöne Abigail*, 1892). Inaczej niż tu „wydarzyła się następna historia wyjątkowo nie w czasie obligatoryjnej niesamowitej godziny duchów, lecz w środku dnia”. Jej tytuł brzmi *Cud w południe* (*Mittagszauber*). W kwitnym, zalanym słońcem ogrodzie narrator miał osobliwe spotkanie z dawno już zmarłą Blandiną, która w tym właśnie ogrodzie rozstała się ze swoim narzeczoną. Podobny charakter mają dwa inne opowiadania ze zbioru: *Elżbietka* (*‘s Lisabethle*) i *Leśny śmiech* (*Das Waldlacheri*). Elementy upiorne zawiera również *Dom „Pod Niewiernym Tomaszem” albo Zemsta ducha* (*Das Haus „Zum ungläubigen Thomas” oder Des Spirits Rache*).

Theodor Storm i Paul Heyse byli realistami. Swoje niesamowite historie pisali jednak w okresie, gdy w przebrzmiałym już realizmie pojawiły się nowe tendencje. Były one rezultatem rewolucyjnych odkryć w dziedzinie nauk przyrodniczych, jak również przesunięcia logicznego obrazu świata Hegla i materialistycznej filozofii Feuerbacha w stronę irracjonalnej metafizyki Schopenhauera, którego pisma zdobyły rozgłos dopiero w ostatnich dziesięcioleciach XIX wieku. Duże znaczenie w związku z omawianą tu problematyką mają zwłaszcza jego *Próby jasnowidztwa i co się z tym wiąże* (*Versuch über Geistersehen und was damit zusammenhangt*).

W łonie naturalizmu zrodził się też protest przeciwko sensualnemu ujmowaniu rzeczy. Powieść Jorisa Karola Huysmansa *Na dnie* (*L'Ébas*) zawiera zarówno krytykę, jak i program. Marzenie, zgłębianie ludzkiej psychiki, mistyczna religijność w połączeniu z okultyzmem, alchemistyczne spekulacje, czarne msze i sadystyczny kult szatana prowadzą do naturalistycznego spirytualizmu lub — w zależności od punktu ciężkości — spirytualistycznego naturalizmu. Literackie prądy na przełomie XIX i XX wieku, zwłaszcza symbolizm i surrealizm, charakteryzuje więc odwrócenie

się od społecznie uwarunkowanej rzeczywistości. Literatura wychodzi poza przedmiotowość, realistyczny związek między indywidualnością a otoczeniem zanika, tradycyjny świat wyobrażeń ulega daleko idącej deformacji.

Klasycznym tego przykładem jest wczesna nowela Tomasza Manna pt. *Szafa* (*Der Kleiderschrank*, 1899). Jest to historia pełna zagadek, sam zaś bohater nie ma wycucia ani czasu, ani przestrzeni. Mimo to usiłuje T. Mann uprawdopodobnić wydarzenie, narzucając czytelnikowi sposób widzenia bohatera. Kobieta wynajmująca pokoje wydaje mu się „jak z mora, jak jakaś postać z opowieści Hoffmanna”, pokój oświetlony jest „niespokojnym blaskiem świecy”, wiersze rymowały się „w sposób tak nieporównanie uroczy i łatwy, jak zdarza się to tylko niekiedy w półśnie, w gorączce, nocą”. Obok tego istnieją realne przedmioty oraz rzeczywiste działanie. Oba te czynniki — elementy empirycznie stwierdzalne oraz halucynacja czy też wizja senna — powodują sugestywne przedstawienie rzeczy niewiarygodnych i prowadzą do ich akceptacji ze strony czytelnika.

Nadmierne wykorzystywanie motywów fantastycznych spotkało się oczywiście również z krytyką. Doskonałą parodią ulubionych wówczas seansów spirytystycznych jest m.in. opowiadanie Paula Ernsta pt. *Majak* (*Der Schemen*, 1903). Komizm polega tutaj na połączeniu okultyzmu i makabry z codziennością.

Mimo to irracjonalność zdobywa coraz więcej miejsca w literaturze. Interesował się nią przez pewien czas tak krytyczny obserwator rzeczywistości jak Henryk Mann. Jego opowiadanie pt. *Pies* (*Der Hund*, 1894) jest zarówno pełne grozy, jak i tajemniczości. Historie niesamowite rozpowszechniają się jeszcze bardziej przed pierwszą wojną światową. Wydaje się, jakby poeci i pisarze chcieli wyrażać demoniczny nastrój, który paraliżująco oddziaływał na umysły. Jest w owych historiach zawarta też groza tamtych czasów.

Zagadkowe rozdwojenie jaźni wykazują bohaterowie wczesnych

opowiadań Alfreda Döblina, zawartych w tomie *Zamordowanie kaczeńca* (*Die Ermordung einer Butterblume*). Wydarzenia rozgrywają się przeważnie najpierw na płaszczyźnie rzeczywistej, później nagle przechodzą w sferę nadprzyrodzoną, przy czym nie zmienia się tok narracji. Akcja pozbawiona komentarza pozwala na różnorodną interpretację. Jednym z opowiadań tego rodzaju jest *Pomocnica* (*Die Helferin*).

O ile u H. Manna i A. Döblina fantastyczność występuje tylko sporadycznie, o tyle u Gustava Meyrinka stanowi ona punkt ciężkości jego pisarstwa. Meyrink opisywał krwiożercze wampiry, zjawy, demoniczne sobowtóry, fakirów, okultystów, hipnotyzowanych i opętanych. Inspiracji szukał w kabale, w pismach różokrzyżowców i wolnomularzy oraz w prawdziwych i fałszywych naukach tajemnych. Przez dziesiątki lat powieści *Golem* (*Der Golem*) i *Zielona twarz* (*Das grüne Gesicht*) były uważane za istotę niesamowitości. To, co jego opowiadania czyniło ciekawymi dla współczesnych, wynikało z poważnego traktowania elementu mistyczno-okultystycznego, jak to widać m.in. w *Roślinach doktora Cinderelli* (*Die Pflanzen des Dr. Cinderella*) lub w *Grze świerszcza* (*Das Grillenspiet*). Jego bohaterowie odznaczają się magiczną siłą, dzięki której mogą zespolić przeszłość z teraźniejszością. Pełnymi garściami czerpie Meyrink z arsenału starych nauk okultystycznych i praktyk medycznych. Eksperymenty jeżące czytelnikowi włos na głowie są dokonywane przez nie znanych nikomu cudzoziemców, transfuzje i transplantacje służą zbrodniczym celom. Wytworami takich manipulacji są sztuczne twory, które — pozbawione wprawdzie samoistnego życia — zmuszone są do bytowania w określonych warunkach. Atmosferę tego rodzaju opowiadań trafnie oddaje *Preparat* (*Das Präparat*, 1909).

To, co u Meyrinka nosi jeszcze piętno osobistego przeświadczenia lub — jak w *Cudownym rogu niemieckiego mieszczucha* (*Des deutschen Spiessers Wunderhorn*) — jest wyrazem krytycznej świadomości, staje się produktem tuzinkowym u współczesnych mu pisarzy: Hannsa Heinza Ewersa, Karla

Hansa Strobla i Alexandra Moritza Freya. Za pomocą sensacyjnych, jaskrawych i okrutnych efektów pobudza zwłaszcza H. H. Ewers wyobraźnię najszerzych kręgów czytelniczych. Trywialnemu tematowi odpowiada schematyczne przedstawianie charakterów, takie, jakie znajdujemy w powieściach *Mandragora (Alraune)* lub *Wampir (Vampir)*. Tymi samymi środkami posługuje się autor w swoich opowiadaniach, zebranych w wielu tomach. Noszą one jednoznaczne tytuły, jak *Trwoga (Das Grauen)*, *Opętani (Die Besessenen)*, *Nocna zmora (Nachtmahr)* i inne.

Fantastyczność przechodzi w upiorność u K. H. Strobla, który, podobnie jak Ewers, naśladuje E. A. Poe'go i E. T. A. Hoffmanna. Obrazy pokazywane przez niego nie są jednak tak jaskrawe, a nierzeczywiste wydarzenia uzasadnia w miarę możliwości psychologicznie. Przykładem tego jest *Rozpustna mniszka (Die arge Nonn, 1913)*, opowiadanie, w którym halucynacje budowniczego mogą być umotywowane jego archeologicznymi odkryciami, zabójstwo żony zaś dowodem jego zaburzeń umysłowych.

Upiorność z grozą łączy A. M. Frey w tomie opowiadań *Ciemne przejścia (Dunkle Gänge)*. Tak jak w większości utworów tego typu, i tu możliwe są różne interpretacje. Bardziej przejrzyste, dzięki zawartej w nich satyrze społecznej i politycznej, są opowiadania ze zbioru pt. *Zmora codzienności (Spuk des Alltags)*.

Inny charakter mają nowele Maxa Dauthendeya. Powstały w wyniku jego kontaktów z krajami Azji — Indiami, Chinami i Japonią. Kryją w sobie tajemniczość dalekowschodnich krain, mądrość prastarej cywilizacji i egzotykę nieznannej kultury. Największy sukces zawdzięcza Dauthendey zbiorowi japońskich historii miłosnych pt. *Osiem twarzy nad jeziorem Biwa (Die acht Gesichter am Biwasee)*. O jego wielkim kunszcie pisarskim, polegającym na harmonijnym zintegrowaniu przeżyć i odczuć, świadczy m.in. opowiadanie *Mroki Himalajów (Himalajafinsternis, 1915)*. Dzięki zagadkowym okolicznościom realna dotąd akcja staje się coraz bardziej tajemnicza, by ustąpić w końcu marzeniom sennym. Takie przejście od

rzeczywistości do nieświadomości, czasowe przebywanie w półśnie, w którym zewnętrzne piękno miesza się w cudowny sposób z przeżyciami duchowymi, jest charakterystyczne dla sposobu narracji Dauthendeya.

Podobny charakter mają niektóre opowiadania Friedricha von Gagerna. Inny sposób bycia ludów tubylczych Ameryki, ich ścisły związek z przyrodą sprawiają, że autorowi, Europejczykowi, wiele spraw jest obcych. Przykładem może być wizyjne przeczucie Indianki, która przepowiedziała śmierć myśliwego w *Końcu życia trapera (Des Waldlaufers Ende)*. Tak jak u Dauthendeya, właściwą akcję wypierają czasami wizje senne.

Pod koniec lat dwudziestych zmniejsza się zainteresowanie niesamowitością w literaturze; nie zanika ono jednak całkowicie. Skrajne przypadki psychologiczne i przekazy z historycznie odległych czasów wykorzystuje Werner Bergengruen w swoich doskonałych pod względem formy nowelach (np. *Księga Rodenstein — Das Buch Rodenstein* czy *Śmierć w Rewalu — Der Tod von Reval*), Hans Friedrich Blunck natomiast nade wszystko przedkłada motywy, w których duchy przyrody i demoniczne postacie prowadzą własne życie (*Skok przez próg. Różne opowiadania o duchach — Sprung tiber die Schwelle. Allerlei Spukgeschichten*). Mitologiczna i historyczna tematyka zaczerpnięta z mrocznych dziejów krajów znad Morza Północnego zagęściła się w *Niesamowitych opowiadaniach z wybrzeża (Merkwurdige Kustengeschichten)* Martina Luserke w wydarzenia pełne napięcia. Tę samą dziedzinę reprezentują także stylizowane legendy Willa–Ericha Peuckerta.

Oprócz wyżej wymienionych autorów występuje w pierwszych trzydziestu latach XX wieku wielu naśladowców, piszących w celu zaspokojenia niewybrednych gustów publiczności. Wymienić należałoby tutaj F. Potocnika, P. Bussona, O. H. Schmitza, G. F. Pfeiffera, K. A. Hoffmanna–Dachau, G. von Schliebena, T. Schwabego i innych. Autorzy ci z góry rezygnowali z głębszej treści i artystycznego stylu, eksponowali natomiast elementy wywołujące grozę. Przychylny odbiór owej tematyki ze

strony czytelnika ułatwiał im zadanie. O niewielkim znaczeniu tej prozy użytkowej świadczy m.in. także jej krótki żywot. Twórczość „jednodniowych” pisarzy, wydawana m.in. w specjalnych almanachach, nie doczekała się przeważnie wznowień, a ich nazwiska trudno znaleźć w jakichkolwiek bibliografiach.

Po drugiej wojnie światowej — mniej więcej od początku lat siedemdziesiątych — daje się zauważyć ponowne zainteresowanie horrorem. Zjawy, uczniowie szatana, wilkołaki i wampiry, Drakula i ludzie—zwierzęta, białe damy i czarni mnisi zdobywają w literaturze coraz częściej prawo obywatelstwa. Jednak ze względu na brak dobrych utworów współczesnych wydawnictwa sięgają po opowiadania klasyczne reprezentujące ten gatunek prozatorski. Nowe utwory z tej dziedziny traktują zagadnienia w ujęciu psychologicznym. Tak jest np. u Marii Luise Kaschnitz w *Ptaku Rock (Vogel Rock)*. To jednakże, co Peter Handke zestawiał w tomie pt. *Zwykły strach (Der gewöhnliche Schrecken)* jako „historie grozy”, nie ma nic wspólnego z pierwotnym znaczeniem tego słowa. Ujmuje je jako „horror rzeczy banalnych, grozę egzystencji, przerażenie wobec przyzwyczajenia”. Często jednak brak w, nich nawet i tego.

Gerard Koziłek

Johann Wolfgang Goethe

HISTORIA NEAPOLITAŃSKIEJ ŚPIEWACZKI

Śpiewaczka imieniem Antonelli była za moich czasów ulubienicą neapolitańskiej publiczności. W kwiecie wieku, a także w rozkwicie kształtów i talentów nie brakowało jej niczego, czym kobieta podnieca i wabi tłumy, a zachwyca i uszczęśliwia małe grono przyjaciół. Pochwały i miłość nie były jej obojętne: jednak z natury powściągliwa i rozsądna, umiała korzystać z przyjemności, jakie płynęły z tych źródeł, nie tracąc jednak przy tym umiaru, niezbędnego w jej sytuacji. Wszyscy wytworni i zamożni młodzieńcy zabiegali o jej względy, lecz tylko nielicznym je okazywała; i jeśli przy wyborze swych kochanków kierowała się najczęściej oczyma i sercem, to jednak we wszystkich małych przygodach zdradzała silny i zdecydowany charakter, który zjednywał jej każdego wnikliwego obserwatora. Miałem sposobność widywać ją przez pewien czas, gdyż utrzymywałem zażyłe stosunki z jednym z jej faworytów.

Mijały lata, poznała wielu mężczyzn, a wśród nich sporo nicponiów, ludzi słabych i nieodpowiedzialnych. Doszła w końcu do przekonania, że kochanek, który w pewnym sensie jest dla kobiety wszystkim, właśnie wtedy, kiedy najbardziej potrzebowałaby jego pomocy, w chwilach niepowodzeń życiowych, kłopotów domowych i gdy zachodzi konieczność podejmowania szybkich decyzji — najczęściej okazuje się zerem, a nawet, myśląc wyłącznie o sobie, wręcz szkodzi ukochanej, gdyż powodując się egoizmem, doradza jej to, co najgorsze, i nakłania do podejmowania kroków najbardziej niebezpiecznych.

W dotychczasowych związkach jej dusza pozostawała najczęściej bierna,

ale i ona domagała się pożywki; śpiewaczka chciała mieć wreszcie przyjaciela i gdy tylko zrodziła się w niej ta potrzeba, znalazł się pośród wielbicieli usiłujących zbliżyć się do niej młody człowiek, którego zaczęła darzyć zaufaniem i który — jak się zdawało — zasługiwał na nie pod każdym względem.

Był to genueńczyk, przebywający chwilowo w Neapolu, gdzie zatrzymał się dla ważnych interesów swego przedsiębiorstwa. Młody człowiek odznaczał się nie tylko korzystną aparycją, lecz także nadzwyczaj starannym wychowaniem. Wiadomości miał wszechstronne, umysł i ciało w pełni rozwinięte, a sposób bycia mógł każdemu służyć za wzór; nigdy się nie zapominał, a w stosunkach z innymi zdawał się nie pamiętać o sobie. Kupiecka atmosfera rodzinnego miasta wycisnęła na nim swe piętno; orientował się doskonale, jak należy postępować. Jednakże sytuacja młodego człowieka nie była najlepsza, jego przedsiębiorstwo wdało się w bardzo niekorzystną spekulację i było wpłątane w niebezpieczne sprawy sądowe. Z czasem interesy pogmatwały się jeszcze bardziej, tak że od gnębiącej go troski posmutniał, z czym było mu bardzo do twarzy, a co młodej kobiecie dodawało odwagi do zabiegania o jego przyjaźń; zdawało się bowiem, że i on potrzebuje przyjaznej duszy.

Dotychczas widywał śpiewaczkę tylko w miejscach publicznych i przy sposobności; teraz jednak, gdy tylko zwrócił się do niej o pozwolenie na bywanie w jej domu, artystka nie tylko wyraziła zgodę, ale nawet usilnie nalegała, by ją odwiedził, czego nie omieszkał uczynić.

Nie tracąc czasu, wyznała mu swe zaufanie i zdradziła życzenie. Był zdumiony i zarazem ucieszony propozycją. Nalegała, by został jej przyjacielem, nie dopominając się o prawa kochanka. Zwierzyła mu się z kłopotów, w których się właśnie znajdowała i co do których młody człowiek, dysponujący rozległymi stosunkami, mógł udzielić jej dobrej rady i wdrożyć postępowanie mające na względzie jej korzyść. Z kolei on zwierzył się jej ze swego położenia, a ponieważ umiała go rozweselić i pocieszyć — bowiem w

jej obecności niejedno się wyjaśniało, na co on sam nie wpadłby tak prędko — zdawało się więc, że i ona staje się jego doradczynią; toteż wkrótce utrwaliła się między nimi wzajemna, oparta na najszlachetniejszym szacunku, na najpiękniejszej potrzebie przyjaźni.

Niestety jednak, godząc się na pewne warunki, nie zawsze zastanawiamy się nad tym, czy dotrzymanie ich będzie możliwe. Obiecał być tylko przyjacielem i nie rościć sobie praw do pozycji kochanka, a przecież nie mógł zaprzeczyć, że faworyzowani przez nią kochankowie, na których się wszędzie natykał, byli mu w najwyższym stopniu niemili, ba, nawet wręcz nie do zniesienia. Odczuwał szczególny ból, gdy przyjaciółka opowiadała z humorem o zaletach i wadach tego czy innego zalotnika, widać dokładnie obeznana z wszystkimi mankamentami faworyta, co jej wcale nie przeszkadzało, być może jeszcze tego samego wieczoru — jakby na urągawisko wielce szacownego przyjaciela — spoczywać w ramionach jednego z tych nicponi.

Na szczęście albo na nieszczęście przyjaciela serce ślicznotki stało się pewnego dnia wolne. Młodzieniec spostrzegł to z radością i starał się przekonać ją, że opróżnione miejsce należy się przede wszystkim jemu. Opornie i niechętnie wysłuchiwała jego prośb.

„Obawiam się”, powiedziała, „że z powodu ustępstw stracę to, co mam najcenniejszego na świecie — przyjaciela”.

Prawdziwie sobie to wywróżyła; niewiele bowiem minęło czasu od chwili, kiedy pozostawał przy niej w podwójnej roli, a już kaprysy jego stawały się coraz bardziej uciążliwe; jako przyjaciel domagał się wyłącznego szacunku, jako kochanek wyłącznej miłości, a jako inteligentny i pełen uroku mężczyzna ciągłych rozrywek. Nie odpowiadało to jednak pełnej temperamentu dziewczynie; nie mogła zmusić się do żadnej ofiary i nie miała ochoty komukolwiek przyznawać wyłącznych praw. Starła się więc w delikatny sposób ograniczać jego odwiedziny, rzadziej go widywać i dać mu do zrozumienia, że swej wolności nie odda nikomu, i to za żadne skarby

świata.

Skoro tylko to zauważył, poczuł się jakby dotknięty wielkim nieszczęściem; niestety nie był to jedyny kłopot: sprawy jego przedsiębiorstwa zaczęły przybierać jak najgorszy obrót. Musiał sobie przy tym wyrzucać, że od wczesnej młodości uważał swój majątek za niewyczerpany, że zaniedbywał interesy handlowe, by na wozach i w wielkim świecie odgrywać rolę znaczniejszą i wytworniejszą, niż pozwalały mu na to urodzenie i dochody. Procesy sądowe, na które liczył, posuwały się naprzód powoli i były kosztowne. Z tego powodu musiał parokrotnie wyjeżdżać do Palermo, a podczas ostatniej jego podróży mądra dziewczyna poczyniła szereg zmian, by domowemu trybowi życia nadać inny charakter, a kochanka powoli oddalić od siebie. Kiedy wrócił, znalazł ją w innym, znacznie oddalonym od jego, mieszkanku i zauważył, że markiz S., wówczas bardzo wpływowy, gdy chodziło o publiczne zabawy i widowiska, jest u niej zadowolonym gościem. To go zdruzgotało; popadł w ciężką chorobę. Na wieść o tym przyjaciółka pospieszyła do niego, zatroszczyła się o chorego, wystarała się o posługę, a kiedy przekonała się, że jego kasa świeci pustkami, zostawiła pokaźną sumę, która na jakiś czas powinna była wystarczyć na zaspokajanie jego potrzeb.

Wskutek prób ograniczenia jej wolności przyjaciel wiele już stracił w jej oczach; uczucie dla niego malało, natomiast wzmagą się troskliwość względem chorego; wreszcie odkrycie, że w swoich własnych interesach postępował niemądrze, nie dawało jej najlepszego wyobrażenia o jego rozumie i charakterze. On jednak nie zauważył wielkiej zmiany, jaka się w niej dokonała; troska o jego wyzdrowienie, wierność, z jaką połowę dnia spędzała u jego łoża, ‘wydawała mu się raczej przejawem miłości i przyjaźni niż współczucia; miał więc nadzieję, że po powrocie do zdrowia odzyska znowu wszystkie swoje dawne prawa.

Jakże bardzo się mylił! W miarę powrotu do zdrowia i sił słabła jej skłonność ku niemu i życzliwość, ba, wydawał się jej tak przykry, jak

niegdyś był jej miły. Również i jego usposobienie — choć tego nie dostrzegął — stało się w tym czasie przykre i zgorzkniałe; całą winę za los, jaki mu przypadł w udziale, zrzucał na innych i umiał się ze wszystkiego całkowicie rozgrzeszać. Widział w sobie jedynie człowieka niewinnego i prześladowanego, obrażanego i gnębionego i spodziewał się znaleźć pełne zadośćuczynienie za wszelkie zło i wszystkie cierpienia w całkowitej uległości swej kochanki.

Z takim życzeniem wystąpił od razu w pierwszych dniach, gdy znowu mógł wychodzić i odwiedzać ją. Domagał się ni mniej, ni więcej, tylko żeby mu się całkowicie podporządkowała, by odprawiła pozostałych przyjaciół i znajomych, rzuciła teatr i żyła w całkowitym odosobnieniu wyłącznie z nim i dla niego. Przekonywała go, że zaspokojenie jego żądań jest niemożliwe; czyniła to najpierw w sposób żartobliwy, potem poważny, ale w końcu była zmuszona wyznać mu smutną prawdę, że między nimi wszystko się skończyło.

Opuścił ją i już nigdy jej nie odwiedził.

Żył jeszcze parę lat w bardzo wąskim kręgu ludzi, a raczej wyłącznie w towarzystwie starszej, pobożnej damy, która mieszkała z nim w jednym domu i utrzymywała się ze skromnej renty. W tym czasie wygrał jedną sprawę sądową, a wkrótce potem drugą; jednak zdrowie jego było podkopane, a szczęście stracone. Z błahej przyczyny popadł znów w ciężką chorobę, lekarz oświadczył, że zbliża się śmierć. Wyrok przyjął spokojnie i życzył sobie tylko raz jeszcze zobaczyć swoją piękną przyjaciółkę. Posłał do niej służącego, który w szczęśliwszych czasach przynosił mu nieraz pomyślną odpowiedź. Prosił, by do niego przyszła, ale odmówiła. Posłał służącego po raz drugi i zaklinał ją; upierała się jednak przy swoim, wreszcie już późną nocą posłał go po raz trzeci; wzruszona, zwierzyła mi się ze swego zakłopotania, byłem bowiem z markizem i paru innymi przyjaciółmi u niej na kolacji. Radziłem jej i prosiłem ją, aby przyjacielowi wyświadczyła tę ostatnią przysługę; zdawało się, że jest niezdecydowana, ale po chwili

zastanowienia opanowała się. Odesłała służącego z odmowną odpowiedzią, i ten nie pokazał się już więcej.

Po kolacji prowadziliśmy swobodną pogawędkę, wszyscy byliśmy wesołym i dobrym nastroju. Zbliżała się północ, gdy nagle rozległ się żałosny, przenikliwy, załęczniony i długo pobrzmiwający głos. Zdrętwieliśmy, spojrzeliśmy po sobie i rozglądaliśmy się wkoło zastanawiając się, co z tej przygody wyniknie. Głos, dochodzący ze środka pokoju, zdawał się cichnąć przy ścianach. Markiz wstał i podbiegł do okna, reszta gości zajęła się tymczasem piękną śpiewaczką, która leżała zemdlona. Powoli odzyskiwała przytomność. Gdy tylko zazdrosny i porywczy Włoch zobaczył, że znów otwiera oczy, zaczął jej robić gwałtowne wymówki. „Jeśli już madame ustala ze swoimi przyjaciółmi znaki”, powiedział, „to niechże one będą mniej ostentacyjne i mniej energiczne”. Odpowiedziała mu ze zwykłą u niej przytomnością umysłu, że — skoro ma prawo przyjmować u siebie każdego i o każdej porze — zapewne nie wybrałaby tak smutnych i przerażających dźwięków, aby swoim gościom umilić czas.

I rzeczywiście, w tym tonie było coś nieprawdopodobnie przerażającego. Jego długo rozbrzmiewające echa wibrowały nam wszystkim w uszach, a nawet w kończynach. Śpiewaczka była blada, zmieniona i ciągle bliska omdlenia; musieliśmy pół nocy czuwać przy niej. Ale nic już nie było słychać. Następnej nocy zebrało się to samo towarzystwo, nie tak wesołe jak poprzednio, lecz dostatecznie opanowane — i znów o tej samej porze rozległ się ten sam gwałtowny, straszliwy dźwięk.

Snuliśmy nieskończoną ilość domysłów na temat rodzaju tego krzyku i miejsca, skąd mógł pochodzić, i wyczerpaliśmy wszystkie przypuszczenia. Ale po cóż się nad tym jeszcze głowić? Ilekroć jadała w domu, dawał się słyszeć o tej samej porze ów krzyk i to — jak twierdzono — czasem głośniejszy, czasem słabszy. Cały Neapol mówił o tych zdarzeniach.

Wszyscy mieszkańcy domu, wszyscy przyjaciele i znajomi brali w tym jak najżywszy udział, ba, powiadomiono nawet policję. Rozstawiono szpiegów i

obserwatorów. Tym, którzy stali na ulicy, zdawało się, że dźwięk wyływał wprost z powietrza, w pokoju słysząc go było również z bezpośredniej bliskości. Ile razy jadała poza domem, nie słyszano niczego; jeśli jednak pozostawała w domu, ów dźwięk rozlegał się zawsze.

Ale i poza domem niepożądany towarzysz zwykle jej nie oszczędzał. Wdzięk śpiewaczki otworzył jej drzwi do najlepszych domów. Jako osoba dowcipna była wszędzie mile widziana, a chcąc ustrzec się od niesamowitego gościa, przyzwyczaiła się spędzać wieczory poza domem.

Pewnego wieczoru jeden ze znajomych, który dzięki wiekowi i pozycji cieszył się ogólnym szacunkiem, odwoził ją swoim powozem do domu. Gdy żegnała się z nim przed bramą, dobył się ów przerażający dźwięk, jakby z przestrzeni między nimi; towarzysza śpiewaczki, znającego — jak tysiące innych — historię zjawiska, wniesiono do powozu bardziej martwego niż żywego.

Kiedy indziej młody tenor, którego darzyła dużą przychylnością, jechał z nią wieczorem przez miasto, by odwiedzić jej przyjaciółkę. Słyszał o osobliwych zjawiskach, ale jako wesoły chłopiec wątpił w takie dziwy. Rozmawiali o ostatnim zdarzeniu. „Chciałbym również usłyszeć”, powiedział, „głos niewidzialnego przyjaciela pani; niechże go pani przywoła, jesteśmy przecież we dwoje i nie będziemy się bali”. Lekkomysłność czy śmiałość, nie wiem, co nią powodowało, dość że wezwała ducha i w tejże chwili rozległ się w samym środku powozu ów przeraźliwy dźwięk, słyszano go trzy razy z rzędu — brzmiał szybko i donośnie, po czym zanikł z żalonym pogłosem. Przed domem przyjaciółki znaleziono oboje zemdlnych w powozie i tylko z trudem przyprowadzono ich do przytomności, po czym dowiedziano się, co im się przydarzyło.

Piękna pani potrzebowała czasu, by po tym przeżyciu wrócić do równowagi. Ciągłe powtarzający się strach podkopał jej zdrowie, a hałaśliwy upiór zdawał się użyczać jej pewnej zwłoki, ba, miała nawet nadzieję — jako że długo nie dawał o sobie znać — iż wreszcie całkowicie się od niego

uwolniła. Lecz była to nadzieja przedwczesna.

Po skończonym karnawale udała się w małą podróż, zabierając ze sobą jedną ze swych przyjaciółek i pokojówkę. Zamierzała czas jakiś pobycć na wsi; zanim jednak dojechały na miejsce, zapadła noc, a ponieważ na dobitek złamało się coś przy powozie, musiały przenocować w podrzędnej gospodzie i urządzić się tam możliwie jak najlepiej.

Przyjaciółka już się położyła, a pokojówka, zapaliwszy świecę, właśnie miała zamiar wejść do łóżka swej pani, gdy ta powiedziała żartem: „Jesteśmy tu na końcu świata, a pogoda jest ohydna, czyż mógłby nas tutaj znaleźć?” W tejże chwili rozległ się jego głos, mocniej i straszliwiej niż kiedykolwiek. Przyjaciółka miała wrażenie, że piekło rozpętało się w pokoju, wyskoczyła z łóżka i tak jak stała zbiegła na dół po schodach i zwołała cały dom. Nikt tej nocy nie zmrużył oka. Ale był to już ostatni raz, kiedy dał się słyszeć ów krzyk. Lecz niestety nieproszony gość znalazł wkrótce inny, bardziej dokuczliwy sposób zaznaczania swej obecności.

Przez jakiś czas zachowywał się spokojnie, aż oto nagle pewnego wieczoru, kiedy ze swoim towarzystwem siedziała przy stole, wpadł przez okno strzał jakby ze strzelby lub pistoletu. Wszyscy słyszeli trzask, wszyscy widzieli płomień, ale gdy dokładnie zbadano szybę, nie wykazała ona najmniejszego uszkodzenia. Niemniej zebrani potraktowali to zdarzenie poważnie i uznali, że ktoś dybie na życie ślicznotki. Natychmiast zawiadomiono policję, zbadano sąsiednie domy, a gdy nie znaleziono niczego podejrzanego, wystawiono nazajutrz w domu od góry do dołu warty. Dom, w którym mieszkała śpiewaczka, również został dokładnie przeszukany, na ulicy rozstawiono szpiegów.

Jednak cała ta przezorność była daremna. W ciągu kolejnych trzech miesięcy, w tej samej zawsze chwili, padał strzał przez tę samą szybę okienną, nie—uszkadzając szkła i — co było dziwne — zawsze dokładnie na godzinę przed północą, bo w Neapolu liczy się czas zazwyczaj według włoskiego zegara, według którego nie od północy zaczyna się doba.

Przyzwyczajono się w końcu do tego zjawiska jak do poprzedniego i nie poczytywano duchowi tego nieszkodliwego figla za zbyt wielką winę. Od czasu do czasu padał strzał, ale nie straszył nikogo ani też nie przerywał rozmów.

Pewnego wieczoru, po bardzo ciepłym dniu, piękna pani, niepomna wiadomej godziny, otworzyła oszklone drzwi i wyszła z markizem na balkon. Zaledwie postali tam chwilę, gdy podmuch strzału przebiegł między nimi i wcisnął ich siłą z powrotem do pokoju, gdzie bez przytomności osunęli się na podłogę. Kiedy ocknęli się z omdlenia, poczuli — on na lewym, ona na prawym licu — ból jakby po siarczystym policzku, a ponieważ nie było żadnych śladów zadraśnień, wydarzenie stało się okazją do żartobliwych uwag.

Od tej pory nie słyszano już trzasku w domu, sądziła, że wreszcie została całkowicie uwolniona od swego niewidzialnego prześladowcy, gdy na przejażdżce, którą odbywała wieczorem ze swą przyjaciółką, nieoczekiwana przygoda raz jeszcze wstrząsnęła nią gwałtownie. Droga prowadziła przez bulwar Chiaja, gdzie niegdyś mieszkał jej drogi, genueński przyjaciel. Księżyc świecił jasno. Dama siedząca obok niej zapytała: „Czy nie jest to dom, w którym niegdyś zmarł pan X?” „Jest to jeden z tych dwóch domów, o ile mi wiadomo”, rzekła piękna pani i w tejże chwili z jednego z owych budynków padł strzał i przeszył powóz. Furmanowi zdawało się, że go napadnięto, odjechał więc w popłochu. Gdy przybył na miejsce, wyniesiono obie panie z powozu jak martwe.

Ale wstrząs ten był już ostatnim. Niewidzialny towarzysz zmienił metodę i po kilku wieczorach rozległy się pod oknami głośne oklaski. Jako ulubiona śpiewaczka i aktorka była do tego dźwięku już bardziej przyzwyczajona. Nie miał on w sobie nic przerażającego i można go było przypisywać raczej któremuś z jej wielbicieli. Nie zwracała więc na ten dźwięk szczególnej uwagi; jej przyjaciele byli bardziej czujni i znów poustawiali warty. Słyszeli oklaski, ale tak jak przedtem, nie widzieli nikogo; większość jednak

spodziewała się bliskiego i ostatecznego końca tych zjawisk.

Po jakimś czasie zatracił się i ten dźwięk i przekształcił w przyjemniejsze tony. Właściwie nie były one melodyjne, ale bardzo przyjemne i miłe. Najskrupulatniejszym obserwatorom zdawało się, że dobywają się z rogu bocznej ulicy, że przepływają przez pustkę powietrzną aż pod okno i tam łagodnie milkną. Było tak, jak gdyby jakiś niebiański duch chciał pięknym preludium zapowiedzieć melodię, którą właśnie zamierzał wyśpiewać. Ale wreszcie i ten dźwięk zanikł i nie usłyszano go już więcej; tak skończyła się ta zadziwiająca historia, która trwała prawie półtora roku.

Przełożyła Gabriela Mycielska

Ludwig Tieck

JASNOWŁOSY EKBERT

W górach Harzu mieszkał pewien rycerz, zwany powszechnie nie inaczej jak jasnowiąsym Ekbertyem. Miał on lat mniej więcej czterdzieści, był wzrostu średniego, krótkie, gładkie jasnobłond włosy okalały jego bladą twarz o zapadniętych policzkach. Żył w spokoju i odosobnieniu, nigdy nie mieszając się w sąsiedzkie spory, z rzadka też widywano go poza warownymi murami niewielkiego zameczku. Żona rycerza równie jak on lubiła samotność i oboje zdawali się darzyć siebie wzajem najszczerzą miłością, skarżyli się tylko zazwyczaj, że niebo nie zechciało pobłogosławić ich związku potomstwem.

Goście odwiedzali Ekberta nader rzadko, a jeśli się to już kiedy zdarzyło, to nie wprowadzano z ich powodu żadnych prawie zmian w codziennym trybie życia, panował tam umiar, a wszystkim wyraźnie rządziła skrzętność. Ekberty był wówczas wesoły i tryskający humorem, dopiero gdy znalazł się sam, popadał, co łatwo dawało się zauważyć, w dziwną milkliwość i cichą, pełną Powściągliwości melancholię.

Nikt nie zaglądał na zamek równie często jak Filip Walter, człowiek, którego Ekberty bardzo polubił, odnajdywał bowiem u niego ten sam sposób patrzenia na rozmaite sprawy, który i jemu był najbliższy. Ów Filip Walter mieszkał właściwie we Frankonii, wszelako często przebywał po pół roku i więcej w okolicach zamku Ekbertya, zbierał tam zioła i kamienie, żeby je potem w odpowiednim porządku układać, a żył ze skromnego majątku i nie był od nikogo zależny. Ekberty towarzyszył mu często w samotnych wyprawach, i przyjaźń ich z każdym rokiem stawała się głębsza.

Bywają takie chwile, kiedy człowieka niepokój ogarnia, że ma przed

przyjacielem jakowąś tajemnicę, choć do tej pory strzegł jej z największą troskliwością, dusza bowiem czuje nieprzewartą potrzebę, by otworzyć się całkowicie przed bliskim człowiekiem, by wyjawić mu wszystko, co na samym dnie ukryte, i by stał się on jeszcze bardziej naszym przyjacielem. W takich chwilach jedna delikatna dusza daje się poznać drugiej, a czasem też może się zdarzyć, że jednego z przyjaciół poznanie drugiego przeraża.

Była już jesień, kiedy Ekbert wraz z przyjacielem i żoną Bertą siedzieli pewnego wieczoru przy ogniu palącym się na kominku. Płomień rzucał jasny blask na całą komnatę, tańcował po pułapie, czarna noc zaglądała przez szyby, a drzewa za oknami drżały z wilgoci i zimna. Walter skarżył się na daleką drogę, jaka go czekała, i wówczas Ekbert poradził mu, by został w zamku, że pół nocy może spędzić z nimi na serdecznych pogwarkach, zaś resztę przespać do rana w którejś z komnat. Walter przyjął zaproszenie, po czym podano wino i wieczerzę, dorzucano drewno na kominek, a rozmowa przyjaciół stała się żywsza i bardziej szczerą.

Kiedy sprzątnięto ze stołu i służba oddaliła się, Ekbert ujął dłoń Waltera i rzekł: — Przyjacielu, pozwól, by małżonka moja opowiedziała ci historię swej młodości, która zgoła jest nie do uwierzenia.

— Posłucham z ochotą — odparł Walter i wszyscy zasiedli znowu przed kominkiem.

Północ właśnie wybiła, księżyc coraz to wyzierał poprzez chyżo pomykające chmury. — Nie posądzajcie mnie, panie, o natarczywość — zaczęła Berta — małżonek mój powiada, że szlachetność wasza jest tak wielka, iż nie godzi się skrywać przed wami czegokolwiek. Nie bierzcie opowieści mojej za bajkę, choć może się ona wydawać trochę niezwykła.

Urodziłam się w pewnej wiosce, ojciec mój był pasterzem. W domu moich rodziców wielki panował niedostatek, często nawet sami nie wiedzieli, skąd wziąć na kawałek chleba. Co mi wszelako jeszcze bardziej doskwierało, to to, że ojciec i matka stale się przez tę biedę kłócili, czyniąc sobie nawzajem gorzkie wyrzuty. Ja zaś musiałam bez ustanku słuchać, jakie to ze

mnie dziecko głupie i do niczego, co nie potrafi spełnić najprostszej czynności, i w rzeczy samej byłam nad wyraz niezręczna i nieporadna, wszystko mi z rąk leciało, nie mogłam się nauczyć ani szyć, ani prząć, nie nadawałam się do pomocy w gospodarstwie i jedno tylko dobrze wiedziałam: że moi rodzice są bardzo biedni. Często siadałam sobie w kącie i roiłam o tym, jak bym im pomagała, gdybym nagle stała się bogatą, jak bym ich obsypywała srebrem i złotem, napawając się ich zdumieniem; kiedy indziej znowu zwidywały mi się ulotne duchy, które odkrywały przede mną podziemne skarby albo też obdarowywały mnie małymi kamyczkami, które zamieniały się w drogie kamienie, czyli krótko mówiąc: zaprętały mnie najdziwaczniejsze fantazje, i gdy w takiej chwili musiałam biec, by w czymś pomóc lub coś zanieść, popełniałam jeszcze gorsze niezręczności, bo w głowie mi się kręciło od wszystkich tych niezwykłych historii.

Mój ojciec złościł się zawsze o to, że jestem w domu tak bezużytecznym ciężarem, obchodził się też ze mną często dość srogo i nader rzadko słyszałam od niego jakieś życzliwe słowo. Kiedy miałam mniej więcej osiem lat, zaczęto poważnie mówić o tym, że powinnam się zabrać do jakiejś roboty albo do nauki. Ojciec sądził, że to przez upór i lenistwo pędzę moje dni w nieróbstwie, jął mi przeto straszliwie dokuczać rozmaitymi pogroźkami; widząc ich bezowocność, zaczął mnie okrutnie bić, zapowiadając, że karę tę będzie powtarzał co dzień za to, że takie ze mnie nicpotem.

Przeplakałam potem noc całą, czułam się taka okropnie opuszczona, ogarnęła mnie taka wielka litość nad sobą, że chciałam umrzeć. Bałam się świtu, nie wiedziałam, co począć, marzyłam o tym, aby nabrać we wszystkim zręczności, i nie mogłam zrozumieć, dlaczego jestem głupsza od innych znajomych dzieci. Byłam bliska zupełnej rozpacz.

O szarym brzasku wstałam i prawie nie wiedząc, co robię, otworzyłam drzwi naszej chatki. Znalazłam się w szczerym polu, a zaraz potem pośród lasu, do którego dzień zaczynał dopiero zaglądać. Biegłam wciąż przed siebie, nie oglądając się, nie czułam nawet zmęczenia ze strachu, że ojciec

mnie dogoni i rozgniewany moją ucieczką zacznie znęcać się nade mną jeszcze okrutniej.

Kiedy wyszłam z lasu, słońce stało już dość wysoko, a przed sobą zobaczyłam jakąś ciemną bryłę, ukrytą w gęstej mgle. Zaraz potem musiałam wspinać się na pagórki, to znów iść dróżką, która wiła się pomiędzy skałami, i wreszcie odgadłam, że zawędrowałam widać w pobliskie góry, co w mej samotności przejęło mnie srogim lękiem. Mieszkając na równinie, nigdy jeszcze gór nie widziałam, a kiedy wymawiano przy mnie samo słowo „góry”, brzmiało ono w moich dziecięcych uszach jakimś złowrogim tonem. Nie miałam odwagi zawrócić, strach gnał mnie naprzód; coraz to oglądałam się przerażona, kiedy wicher szumiał nade mną w koronach drzew albo dalekie uderzenie siekiery rozlegało się wśród cichego poranka. Napotkawszy wreszcie węglarzy i górników i usłyszawszy obcą mowę, z przestachu omal nie padłam zemdlona.

Szłam przez wiele wsi i zebrałam, zaczęłam bowiem odczuwać głód i pragnienie, a kiedy mnie o coś pytano, odpowiadałam nawet całkiem do rzeczy. Wędrowałam tak chyba ze cztery dni, aż trafiłam na wąską ścieżynkę, która oddalała mnie coraz bardziej od szerokiej drogi. Skały wokół mnie przybrały teraz inną, nader niezwykłą postać. Były to głazy spiętrzone jakby jeden na drugim, i wyglądały tak, że za lada powiewem wiatru się rozsypią. Nie wiedziałam, czy mam iść dalej. Nocowałam zazwyczaj w lesie, była to bowiem najpiękniejsza pora roku, albo w opuszczonych pasterskich szałasach. Tutaj wszelako nie spotykałam żadnych ludzkich siedzib, i w tym pustkowiu nie było na to nadziei; skały stawały się coraz groźniejsze, często musiałam iść nad samym brzegiem stromej grani, a na koniec ścieżka pod moimi stopami całkiem się urwała. Popadłam w rozpacz, jęłam płakać i krzyczeć, a głos mój rozlegał się po skalistych dolinach złowrogim echem. Nadeszła noc, wyszukałam sobie przeto porośnięte mchem legowisko, aby tam spocząć. Nie mogłam jednak usnąć żadną miarą; w ciemnościach słyszałam najdziwniejsze odgłosy, raz myślałam, że to dzikie zwierzęta, to

znów że wichry wyjący wśród skał lub nieznane jakoweś ptaki. Modliłam się i usnęłam dopiero nad samym ranem.

Zbudziłam się, kiedy dzień zaglądał mi już w oczy. Przedemną wznosiła się wysoka skala, na którą wdrapałam się w nadziei, że z góry dojrzę wreszcie wyjście z tej głuszy albo wypatrzę jaką ludzką siedzibę. Kiedy znalazłam się na szczycie, wszędzie jak okiem sięgnąć wyglądało tak, jak tuż koło mnie, wszystko spowijała jakby mglista zasłona, dzień był szary i ponury, i moje oko nie mogło się dopatrzeć ani drzewka, ani łąki, ani nawet kępki krzewów, jeśli nie liczyć pojedynczych krzaczków, tkwiących smutno i samotnie w skalnych szczelinach. Trudno opisać, jak wielkiej doznawałam tęsknoty za widokiem istoty ludzkiej, choćby miała ona nawet lęk we mnie budzić. Zarazem czułam doskwierający głód, usiadłam więc i postanowiłam umrzeć. Po niedługim czasie ochota do życia odniosła jednak zwycięstwo, zerwałam się z ziemi i przez cały dzień szłam przed siebie, wśród łez i głębokich westchnień; pod koniec nie wiedziałam już prawie, co się ze mną dzieje, tak byłam znużona i wyczerpana, nie chciało mi się już żyć, choć jednocześnie bałam się śmierci.

Pod wieczór okolica wydała mi się jakby bardziej przyjazna, moje myśli i pragnienia odezwały się na nowo, w żyłach zbudziła się znów chęć do życia. Sądząc, że z oddali słyszę turkot młyna, przyśpieszyłam kroku i jakże miło i lekko zrobiło mi się na sercu, kiedy wreszcie naprawdę dotarłam do granic skalistego pustkowia; ujrzałam przed sobą znowu lasy i łąki na tle dalekich, malowniczych gór. Zdawało mi się, że opuściwszy piekło, znalazłam się w raju, samotność i bezradność przestały mnie już przerażać.

Miast spodziewanego młyna napotkałam wodospad, którego widok w znacznej mierze osłabił moją radość; zaczerpnęłam w dłonie nieco wody z potoku, gdy nagle usłyszałam z niewielkiego oddalenia jakby ciche pokaszliwanie. Nigdy nie zaznałam równie przyjemnej niespodzianki, jak w owej chwili, podeszłam bliżej i na skraju lasu ujrzałam starą kobietę, która zdawała się wypoczywać. Ubrana była niemal całkiem na czarno, czarny

czepeczek osłaniał jej głowę i znaczną część twarzy, w dłoni trzymała laskę.

Zbliżyłam się do staruszki, prosząc o pomoc, kazała mi usiąść obok siebie, dała kawałek chleba i łyk wina. Podczas gdy ja posilałam się, ona ochryplym głosem śpiewała jakąś pieśń nabożną. Kiedy skończyłam, powiedziała, że mam iść za nią.

Polecenie to ucieszyło mnie bardzo, chociaż głos i zachowanie kobiety wydawały mi się nad wyraz dziwaczne. Mimo laski posuwała się dość zwinnie i co krok robiła takie miny, że z początku od tego widoku na śmiech mi się zbierało. Surowe skały zostawały coraz dalej za nami, szłyśmy najpierw przez uroczą łąkę, a potem dość długo przez las. Kiedy znalazłyśmy się na drugim jego krańcu, słońce właśnie zachodziło, i nigdy nie zapomnę tego widoku i wrażenia, jakie wieczór ów na mnie uczynił. Wszystko dokoła roztopione było w łagodnej czerwieni i złocie, drzewa aż po wierzchołki stały w blasku wieczornej zorzy, cudowna poświata leżała nad polami, lasy i liście drzew trwały w bezruchu, czyste niebo wyglądało jak bramy rajy, zaś szmer strumieni i od czasu do czasu poszept drzew brzmiały w tej pogodnej ciszy niby odgłosy melancholijnej radości. Moja młoda dusza doznała wtedy po raz pierwszy zadośćuczynienia od świata i jego wydarzeń. Zapomniałam o sobie i mojej przewodniczce, myślami i wzrokiem bujałam wśród złocistych obłoków.

Wspięłyśmy się na wzgórze porośnięte brzoškami, z góry widać było zieloną dolinę również w brzozowym lesie, a pośród drzew stała maleńka chatka. Dobiegło nas stamtąd wesołe szczekanie, i zaraz potem nieduży, zwinnie piesek jął obskakiwać staruszkę, machając ogonkiem, podbiegł też i do mnie, obwąchał mnie ze wszystkich stron, po czym wrócił do swej pani, żywiołowo objawiając jej swą przyjaźń.

Kiedy zstępowałyśmy ze wzgórze, usłyszałam prześliczny śpiew, jakby to był głos ptaka pochodzący z głębi chatki. Śpiew ten brzmiał:

*Ustronie leśne,
I jutro, i ninie*

*Cieszę się tobą
W cichej dolinie,
Ustronie leśne!*

Te nieliczne słowa powtarzały się bezustannie; gdybym pieśń tę miała opisać, to brzmiała ona niby dalekie granie rogu na przemian z szalającą.

Ciekawość moja była napięta do ostatecznych granic, nie czekając rozkazu staruszki, weszłam za nią do chaty. Zmierzch już zapadł, w izbie panował wielki porządek, na kredensie były poustawiane kubki, na stole przedziwne jakieś naczynia, zaś w błyszczącej klatce wiszącej w oknie siedział ptaszek i on to w istocie śpiewał ową piosenkę. Staruszka sapała i kaszłała, wyraźnie nie mogła jakoś przyjść do siebie, to głaskała pieska, to znów przemawiała do ptaszka, który odpowiadał jej stale tą samą śpiewką; i zgoła nie zwracała uwagi na moją obecność. Kiedy tak na nią patrzyłam, coraz to zdejmował mnie lek; jej twarz była bowiem w ciągłym ruchu, a na dodatek głowa jej się bez ustanku trzęsła, chyba ze starości, tak że na dobrą sprawę nie bardzo mogłam jej się przyjrzeć.

Kiedy trochę odpoczęła, zapaliła świeczkę, nakryła mały stolik i podała wieczerzę. Teraz wreszcie dojrzała i mnie, kazała mi przysunąć sobie jeden z plecionych trzciniowych fotelików. Siedziałam więc naprzeciwko niej, a między nami stała świeczka. Staruszka złożyła kościste dłonie i zaczęła się głośno modlić, strojąc przy tym wciąż te swoje okropne miny, tak że o mało znów nie wybuchnęłam śmiechem; panowałam jednak bardzo nad sobą, aby jej nie rozgniewać.

Po wieczerzy znów odmówiła modlitwę, po czym wskazała mi łóżko w niskiej i wąskiej komórce; sama sypiała w izbie. Niedługo trwało, a zasnąłam, byłam jakby na pół odurzona, w nocy jednak raz się zbudziłam, usłyszałam wtedy, jak staruszka kaszle i rozmawia z pieskiem, to znów z ptaszkiem, który jakby przez sen coraz to śpiewał pojedyncze słowa swojej piosenki. Wraz z szumem brzoź za oknem i dalekim śpiewem słowika stwarzało to nastrój tak cudowny, że czułam się nie jak na jawie, lecz jakbym popadła w

nowy, jeszcze bardziej niezwykły sen.

Nazajutrz staruszka zbudziła mnie i zaraz potem kazała mi wziąć się do pracy. Miałam prząść, co bardzo prędko pojęłam, prócz tego moim zadaniem było dbać o pieska i ptaszka. Szybko rozeznałam się w gospodarstwie, otaczające przedmioty stały mi się znajome; wkrótce nabrałam przekonania, że wszystko tam jest takie, jak powinno być, nie myślałam już o tym, że staruszka jest jakaś dziwaczna, że cały domek jest osobliwy i poło— żony na strasznym odludziu, że i w Ptaszku jest coś niezwykłego. Wprawdzie jego uroda wciąż zwracała moją uwagę, piórka lśniły mu bowiem wszystkimi barwami, gardziołko i brzuszek mieniły się najpiękniejszym błękitem i krwistą czerwienią, a śpiewając puszył się dumnie, tak że jego upierzenie stawało się jeszcze wspanialsze.

Staruszka często wychodziła i wracała dopiero wieczorem, wybiegałam jej wtedy z pieskiem na spotkanie, a ona nazywała mnie swoim dzieckiem i córeczką. Przyłgnęłam do niej całym sercem, bo tak to już bywa, że człowiek, zwłaszcza w dzieciństwie, potrafi przywyknąć do wszystkiego. Wieczorną porą staruszka uczyła mnie czytać, ja zaś z tą sztuką dawałam sobie radę, i z czasem stała się ona dla mnie w moim osamotnieniu źródłem nie kończącej się radości, w chatce znajdowało się bowiem sporo starych książek, a w nich spisane były rozmaite cudowne historie.

Wspomnienie ówczesnego życia do dzisiaj niezmiennie mnie zdumiewa: nie mając styczności z ludzkimi istotami, obracałam się jedynie w wąskim kręgu najbliższych, dla ptaszka i pieska miałam podobne uczucia jak dla znanych od dawna przyjaciół. Nigdy potem nie mogłam sobie przypomnieć dziwnego imienia tego psa, chociaż wtedy często go tym imieniem wołałam.

Cztery już lata spędziłam u staruszki, miałam więc około lat dwunastu, kiedy ona nabrała do mnie wreszcie większego zaufania i wyjawiała mi pewną tajemnicę. Otóż ptaszek znosił co dzień jedno jajko, w którym znajdowała się perła lub szlachetny kamień. Spostrzegłam już dawno, że staruszka grzebie

czasem w klatce po kryjomu, ale nigdy mnie to zbytnio nie obchodziło. Powierzyła mi teraz zadanie, bym pod jej nieobecność wybierała jajka i składała je w przedziwnych naczyniach. Pozostawiła mi zapas jedzenia, po czym przez czas dłuższy przebywała poza domem, tygodniami, a nawet miesiącami; mój kołowrotek furkotał, pies szczekał, cudowny ptaszek śpiewał, a w całej najbliższej okolicy panował taki spokój, że nie pamiętam, aby przez cały ten czas choć raz była burza czy gwałtowna wichura. Żadna żywa dusza nigdy w owe strony się nie zapędziła, dzikie zwierzęta nie zbliżały się do naszego obejścia, a ja byłam zadowolona i dzień po dniu upływał mi na zbożnej pracy. Człowiek byłby może naprawdę szczęśliwy, gdyby mógł pędzić tak beztroski żywot aż do końca.

Z tych nielicznych ksiązek, jakie czytałam, wysnuwałam najdziwniejsze historie o świecie i ludziach, a wszystkie wiązały się ze mną i moim otoczeniem: kiedy była mowa o osobach wesołych, nie potrafiłam ich sobie wyobrazić inaczej jak w postaci małego szpica, piękne damy wyglądały zawsze jak nasz ptak, a wszystkie stare kobiety jak moja dziwaczna staruszka. Czytałam też coś niecoś o miłości i moja fantazja tworzyła różne niezwykle opowieści o mnie samej. Wyobrażałam sobie rycerza najpiękniejszego na świecie i przydawałam mu wszystkich możliwych zalet, nie wiedząc właściwie, jak on naprawdę po tych moich zabiegach wygląda; w każdym razie szczerze litowałam się nad sobą, kiedy nie odwzajemniał mojej miłości; wymyślałam wówczas długie, wzruszające przemowy, często nawet wypowiadałam je na głos, aby go pozyskać. Uśmiechacie się! My wszyscy daleko już odeszliśmy od czasów młodości.

W owym okresie wolałam zostawać sama, wtedy bowiem bywałam w domu jedyną władczynią. Pies lubił mnie bardzo i robił wszystko, co chciałam, ptak odpowiadał na moje pytania swoją stałą piosenką, kołowrotek zawsze kręcił się rażno, tak że na dobrą sprawę nigdy nie pragnęłam żadnej zmiany. Kiedy staruszka wracała ze swych długich wędrówek, chwaliła mnie za moją sumienność, zapewniała, że w jej gospodarstwie, odkąd nastalam,

jest znacznie więcej ładu, cieszyła się, że rosę i zdrowo wyglądam, krótko mówiąc: odnosiła się do mnie jak do rodzonej córki.

„Zacne z ciebie dziecko”, powiedziała do mnie kiedyś swoim chrapliwym głosem, „jeśli dalej będziesz tak postępować, będzie ci się zawsze dobrze wiodło; i nie opłaca się zbaczać z właściwej drogi, bo kara zawsze cię dosięgnie, wcześniej czy później”. Nie słuchałam zbyt uważnie tego, co mówiła, byłam bowiem nader żywego usposobienia; jej słowa przypomniały mi się dopiero w nocy, ale żadną miarą nie mogłam pojąć, jakie właściwie było ich znaczenie. Jęłam rozważać dokładnie każde z nich, a że wiele nazytałam się o rozmaitych bogactwach, przyszło mi w końcu do głowy, iż perły i szlachetne kamienie mogą być bardzo cenne. Myśl ta nabierała coraz wyraźniej szych zarysów.

Ale co staruszka chciała powiedzieć mówiąc o właściwej drodze? Wciąż jeszcze nie mogłam zrozumieć znaczenia jej słów.

Miałam już czternaście lat, a całe nieszczęście człowieka polega na tym, że otrzymuje rozum tylko po to, aby utracić niewinność swej duszy. Otóż zrozumiałam wówczas nareszcie, że leży to całkowicie w mojej mocy, by pod nieobecność staruszki zabrać ptaka wraz z kosztownościami i ruszyć w świat, o którym tyle czytałam. Może też nadarzy mi się wtedy sposobność spotkania pięknego rycerza, który wciąż jeszcze zaprzętał moją wyobraźnię.

Zrazu myśl ta nie różniła się niczym od innych myśli, ale kiedy siedziałam przy kołowrotku, wracała wciąż wbrew mej woli, i tak się w niej zatapiałam, że widziałam już siebie obwieszoną wspaniałymi klejnotami w otoczeniu książąt i rycerzy. Po chwilach takiego zapamiętania popadałam w wielkie przygnębienie, bo gdy się ocknęłam, znajdowałam się w maleńkiej izdebce. Staruszka zaś nie troszczyła się o mnie, bylebym tylko wypełniała swe powinności.

Pewnego dnia moja gospodyni wyruszyła znów z domu, zapowiadając, że tym razem nieobecność jej potrwa dłużej niż zwykle, że więc winnam na wszystko mieć pilne baczenie i dbać o to, by czas mi się zbytnio nie dłużył.

Pożegnałam ją z dziwnym jakimś smutkiem, przeczuwałam bowiem, że nigdy jej już nie zobaczę. Długo patrzyłam jej śladem, sama nie wiedząc, jaka jest przyczyna mego niepokoju; wyglądało na to, że mój późniejszy zamiar był już blisko, tylko ja nie byłam tego jeszcze w pełni świadoma.

Nigdy przedtem nie troszczyłam się o psa i ptaka z tak wielką sumiennością, zajmowały one w moim sercu więcej miejsca niż zwykle. Minęło już parę dni od odejścia staruszki, gdy pewnego ranka zbudziłam się z mocnym postanowieniem, że wraz z ptakiem opuszczę chatkę i ruszę na poszukiwanie nieznanego świata. Smutno i nieswojo było mi na duszy, coraz to ogarniała mnie ochota do pozostania, ale sama myśl o tym budziła moją niechęć; toczyła się we mnie jakaś dziwna walka, jakby spór dwóch sił, wrogich sobie nawzajem. W jednej chwili cicha samotność wydawała mi się tak przyjemną i zaraz potem zachwyciło mnie wyobrażenie nowego świata z całą jego cudowną różnorodnością.

Wciąż nie wiedziałam, co mam ze sobą począć, pies obskakiwał mnie bezustannie, blask słońca lśnił wesoło na polach, brzozy— migotały zielonymi listkami; czułam się tak, jakbym miała coś bardzo pilnego do zrobienia, chwyciłam pieska, uwiązałam go w izbie, po czym wzięłam pod pachę klatkę z ptaszkiem. Pies wiercił się i skomlał, oburzony tym niezwykłym traktowaniem, patrzył na mnie błagalnym wzrokiem, ja jednak bałam się zabrać go ze sobą. Zabrałam jeszcze jedno naczynie wypełnione drogimi kamieniami, resztę zostawiłam.

Ptak w osobliwy sposób odwracał główkę, kiedy z klatką pod pachą przestępowałam próg chaty, pies rwał się, żeby pobiec za mną, musiał jednak pozostać.

Pragnąc ominąć drogę ku dzikim skałom, udałam się w przeciwnym kierunku. Pies nie przestawał szczekać i skomlać, co poruszało mnie do głębi, ptak parę razy próbował zaśpiewać, ale kołysanie klatki widać mu w tym przeszkadzało.

W miarę jak oddalałam się od chatki, słyszałam szczekanie coraz słabiej,

aż wreszcie całkiem ucichło. Rozplakałam się i omal nie zawróciłam, jednak żądza zobaczenia czegoś nowego pchała mnie naprzód.

Kiedy minęłam góry i rozliczne lasy, zapadł wieczór i musiałam zatrzymać się w jakiejś wiosce. Czułam się okropnie nieswojo wchodząc do szynku, wskazano mi tam izdebkę i łóżko i przespałam noc całkiem spokojnie, tyle że śniła mi się staruszka, która mi groziła.

Moja wędrówka przebiegała dość jednostajnie, ale im dłużej szłam, tym większy niepokój budziło we mnie wspomnienie o staruszce i małym piesku; myślałam o tym, że biedak zdechnie pewnie z głodu bez mej pomocy, zaś idąc przez las często się bałam, że za chwilę spotkam staruszkę. Wśród łąz i westchnień szłam dalej i dalej; ilekroć zatrzymywałam się, by odpocząć, i stawiałam klatkę na ziemi, ptaszek zaczynał śpiewać swoją cudowną piosenkę, ja zaś przypominałam sobie wtedy śliczną okolicę, którą opuściłam. Jakże łatwo człowiek zapomina, w owych chwilach bowiem wydawało mi się, że moja pierwsza wyprawa z lat dziecięcych nie była tak smutna, jak ta późniejsza; marzyłam o tym, by wrócić do ówczesnego mego położenia.

Sprzedawszy kilka szlachetnych kamieni, po wielu dniach wędrowania dotarłam do jakiejś wioski. Już u samego wejścia doznałam dziwnego uczucia, przestraszyłam się, nie wiedząc właściwie dlaczego; wkrótce jednak wszystko zrozumiałam, znalazłam się bowiem w wiosce, w której się urodziłam. Jakaż to była dla mnie niespodzianka! Łzy jęły mi spływać po policzkach, z radości i na skutek tysiąca osobliwych wspomnień. Wiele się tam zmieniło, pobudowano nowe domy, inne zaś, które wówczas dopiero wznoszono, popadły w ruinę, trafiłam też na pogorzelska; wszystko było jakby mniejsze i ciaśniejsze, niż się spodziewałam. Cieszyłam się niezmiernie, że po tylu latach zobaczę znowu moich rodziców; odnalazłam małą chatkę, znajomy próg, klamka u drzwi była ta sama co wtedy, zdawało mi się, że nie dalej jak wczoraj zamknęłam je za sobą; serce biło mi jak szalone, pchnęłam drzwi gwałtownie, ale w izbie zastałam całkiem obce

twarze, wpatrujące się we mnie. Zapytałam o pasterza Marcina, na co mi odpowiedziano, że on i jego żona zmarli przed trzema laty. Czym prędzej wybiegłam z izby i głośno płacząc opuściłam wioskę.

Tak pięknie sobie wyobrażałam, jak ich zadziwię moim bogactwem; zrządzeniem niezwykłego przypadku to, o czym w dzieciństwie zawsze tylko marzyłam, ziściło się, teraz zaś wszystko okazało się daremne, oni nie mogli się już cieszyć wraz ze mną, i moje najgorętsze nadzieje zostały na wieki stracone.

W pewnym uroczym miasteczku wynajęłam sobie mały domek z ogródkiem i przyjąłam służącą. Świat nie wydawał mi się wprawdzie tak wspaniały, jak przypuszczałam, ale zapominając coraz bardziej o staruszce i dawnym miejscu pobytu, żyłam sobie całkiem zadowolona.

Ptaszek dawno już przestał śpiewać; niemałe więc było moje przerażenie, kiedy pewnej nocy odezwał się znowu, ale słowami innej zupełnie piosenki. Oto jak ona brzmiała:

*Leśne ustronie,
W brzózek osłonie
Wciąż na mnie czekaj,
Gdyż tęsknię z daleka,
O, utracone
Leśne ustronie!*

Przez całą noc nie mogłam zasnąć, wszystko znów mi się przypomniało i wyraźniej niż kiedykolwiek czułam, że postępowanie moje nie było właściwe. Wstając z łóżka doznawałam wręcz przykrości na widok ptaszka. On zaś stale wpatrywał się we mnie i obecność jego napawała mnie lękiem. Nie przestawał przy tym śpiewać swej piosenki, a czynił to głośniejsz i bardziej dźwięcznie niż zazwyczaj. Im dłużej mu się przyglądałam, tym większy ogarniał mnie niepokój; otworzyłam wreszcie klatkę, wsunęłam rękę do środka, chwyciłam ptaszka i z całych sił ścisnęłam palcami jego gardziółko,

spojrzał na mnie błagalnie, ale kiedy go puściłam, już nie żył. Pogrzebałam go w ogródku.

Teraz z kolei opadł mnie lęk przed służącą; wspominając własne postęпки bałam się, że gotowa mnie ona kiedy ograbić, a może nawet i zamordować. Od dawna już znałam pewnego młodego rycerza, który ogromnie mi się podobał, oddałam mu więc swą rękę, i na tym, zacny panie, historia moja się kończy.

— Jaka szkoda, żeś jej wtedy nie widział! — wykrzyknął Ekbert z zapalem. — W całym blasku młodości i urody, ileż niewysłowionego Uroku nadało jej wzrastanie w odosobnieniu. Wydawała mi się istnym cudem i pokochałem ją nad wszelką miarę. Nie posiadałem żadnego majątku i jej miłości zawdzięczam obecny dostatek; zamieszkaliśmy tutaj i od tej pory ani przez chwilę nie żałowaliśmy naszego związku.

— Na tych pogwarkach — wtrąciła Berta — zasiedzieliśmy się głęboko w noc, czas już udać się na spoczynek.

Wstała, by przejść do swej sypialni. Walter, całując ją w rękę, życzył jej dobrej nocy, po czym rzekł: — Szlachetna pani, dzięki za wszystko, teraz mogę was sobie wyobrazić w towarzystwie niezwykłego ptaka, karmiącą małego Słomianka.

Walter udał się również na spoczynek, jedynie Ekbert chodził wciąż niespokojnie tam i sam po komnacie.

— Czyż człowiek nie jest głupcem? — przemówił wreszcie. — Najpierw sam nakłaniam żonę, by opowiedziała swoją historię, i zaraz potem żałuję okazanego przyjacielowi zaufania! Czy on go nie nadużyje? Czy nie rozgłosi tej historii! Czy nie ulegnie, bo taka już jest ludzka natura, grzesznej żądzы posiadania naszych szlachetnych kamieni, czy nie zacznie snuć w związku z tym jakichś planów, czy nie użyje podstępu?

Zastanowiło go, że Walter pożegnał się z nim nie tak serdecznie, jak by po tych poufnych zwierzeniach naturalną koleją rzeczy uczynić powinien. Kiedy dusza raz już nastroi się na ton podejrzliwości, będzie się w każdej

drobnościami dopatrywać potwierdzenia swych urojeń. Zaraz potem Ekbert jął sobie wyrzucać niegodny brak zaufania do zacnego przyjaciela, ale żadną miarą nie mógł odwrócić toku uporczywych myśli. Przez całą noc zmagał się z nimi i oka prawie nie zmrużył.

Berta poczuła się niezdrowa i nazajutrz nie zjawiała się na śniadaniu; Walter nie przejął się tym zbyt i pożegnał pana zamku dość obojętnie. Ekbert nie mógł zrozumieć jego zachowania; poszedł odwiedzić swą małżonkę, leżała w gorączce i oświadczyła, że to nocne opowiadanie musiało wywołać w niej tak silne napięcie.

Od tego wieczora Walter rzadko odwiedzał zamek przyjaciela, a jeśli już złożył mu wizytę, to zegnał się zaraz, wymieniwszy z gospodarzem parę nic nie znaczących słów. Ekbert czuł się tym stanem rzeczy udęczony do ostateczności; nie zdradzał się z tym wprawdzie ani przed Bertą, ani przed Walterem, ale jego wewnętrzny niepokój rzucał się każdemu w oczy.

Choroba Berty rozwijała się w sposób coraz bardziej zagadkowy; lekarz żywił poważne obawy, rumieniec znikł bowiem z jej policzków, a oczy płonęły coraz większym ogniem. Pewnego ranka, odprawivszy sługi, kazała wezwać małżonka do swego łóżka.

— Drogi mój mężu — przemówiła — muszę ci coś wyznać, co omal o pomieszenie zmysłów mnie znów nie przyprawiło, a całkiem zrujnowało mi zdrowie, choć na pozór może się wydawać nic nie znaczącą drobnostką. Jak ci wiadomo, ilekroć opowiadałam o mym dzieciństwie, nie mogłam sobie nigdy przypomnieć imienia małego pieska, z którym tak długo przestawałam; otóż owego wieczoru Walter zegnając się powiedział do mnie nagle: „Mogę sobie panią wyobrazić karmiącą małego Słomianka”. Byłżeby to przypadek? Czy odgadł imię pieska, czy też znał je i wymienił umyślnie? Co może łączyć tego człowieka z moim losem? Walczę wciąż ze sobą, próbując uwierzyć, że to dziwne zdarzenie sama sobie uroiłam, ale to rzecz pewna, aż nadto pewna. Ogarnęło mnie szalone przerażenie, kiedy obcy człowiek w ten sposób przyszedł z pomocą mej pamięci. I cóż ty na to, Ekbercie?

Ekbert spojrział na cierpiącą małżonkę z głębokim uczuciem; milczał, zadumany, po chwili wyrzekł parę pocieszających słów i opuścił sypialnię Berty. W jednej z odległych komnat jął chodzić tam i z powrotem, gnany szalonym niepokojem. Od wielu lat miał w Walterze jedyne go towarzysza, i oto stał się on jedynym na świecie człowiekiem, którego istnienie było dlań zawadą i udręką. Zdawało mu się, że przyniosłoby mu ulgę i zadowolenie, gdyby ta właśnie istota została usunięta z jego drogi. Wziął kuszę, by rozerwać się trochę polowaniem.

Był mroźny i wietrzny dzień zimowy, śnieg grubą powłoką pokrywał góry i uginał gałęzie drzew. Ekbert krążył po okolicy, pot wystąpił mu na czoło, zwierzyny nie było ni śladu, co pogarszało jeszcze jego zły humor. Nagle spostrzegł, że coś się w oddali porusza, był to Walter, który zbierał mech porastający drzewa; nieświadom tego, co czyni, Ekbert złożył się, Walter odwrócił głowę i pogroził mu niemym gestem, ale bełt został już wypuszczony i nieszczęsny runął na ziemię.

Ekbert poczuł się wyzwolony i uspokojony, a jednak jakiś lęk gnał go z powrotem do zamku, miał przed sobą spory kawałek drogi, gdyż zapędził się dość daleko w głąb lasu. Dotarł na zamek już po śmierci Berty; w ostatnich chwilach wciąż mówiła o Walterze i staruszce.

Ekbert żył potem przez długi czas w zupełnym osamotnieniu; i dawniej popadał często w melancholijny nastrój, niepokoiły go bowiem dziwne dzieje małżonki i lękał się nieszczęśliwego wypadku, jaki mogłyby one za sobą pociągnąć; teraz jednak był już całkiem z samym sobą skłócony. Zabójstwo przyjaciela stawało mu wciąż przed oczami, żył wśród nieustannych wyrzutów sumienia.

Dla rozrywki bywał od czasu do czasu w pobliskim dużym mieście, gdzie brał udział w zebraniach towarzyskich i ucztach. Pragnął, by jakiś nowy przyjaciel wypełnił pustkę w jego duszy, lecz na wspomnienie Waltera myśl o znalezieniu przyjaciela budziła w nim lęk, był bowiem przekonany, że każdy przyjaciel może mu przynieść jedynie nieszczęście. Tyle czasu przeżył

w błogim spokoju z Bertą, niemało lat cieszył się przyjaźnią Waltera, kiedy więc oboje tak nagle zniknęli, własne życie wydawało się Ekbertowi chwilami bardziej podobne do dziwacznej bajki niż do prawdziwego ludzkiego losu.

Miody rycerz Hugo zbliżył się do cichego, zgnębionego Ekberta, okazując mu, jak się zdawało, szczerą sympatię. Ekbert poczuł się nią w cudowny sposób zaskoczony i tym skwapliwiej przyjaźni rycerza wyszedł naprzeciw, że zupełnie się jej nie spodziewał. Obaj wiele czasu zaczęli spędzać razem, obcy darzył Ekberta wszelkimi możliwymi względami, jeden nie odbywał nigdy konnej przejażdżki bez drugiego; spotykali się na wszystkich przyjęciach, słowem: sprawiali wrażenie nierozłącznych.

Ekbert miewał jedynie krótkie chwile radości, czuł bowiem wyraźnie, że Hugo lubi go tylko przez pomyłkę; nie zna go wcale, nie słyszał jego historii, i Ekberta ogarnęła znowu dawna potrzeba zwierzenia się tamtemu ze wszystkiego, by zyskać pewność, że jest on naprawdę jego przyjacielem. Powstrzymywały go jednak wątpliwości i lęk, że Hugo się od niego odwróci. Chwilami był tak przekonany o własnej niegodziwości, że nie wierzył, by ktokolwiek, oprócz całkiem obcych ludzi, mógł żywić dlań szacunek. Nie zdołał jednak zapanować nad swym pragnieniem; podczas jednej ze wspólnych konnych przejażdżek wyjawiał przyjacielowi całą swą historię, po czym zapytał go, czy może odczuwać miłość do mordercy. Hugo był wzruszony i starał się go pocieszyć; Ekbert z lekkim sercem pokłusował z powrotem do miasta.

Wisiąło nad nim widać jakieś przekleństwo, bowiem każda chwila zwierzeń rodziła w jego duszy podejrzliwość, i teraz, ledwie przekroczyli próg sali, w blasku licznych świec wyraz twarzy przyjaciela przestał mu się podobać. Wydało mu się, że Hugo uśmiecha się złośliwie, że do niego odzywa się rzadko, natomiast rozprawia wciąż z innymi, na niego nie zwracając wcale uwagi. Wśród znajomych znajdował się pewien stary rycerz, który zawsze jawnie występował jako przeciwnik Ekberta i w niemiły sposób

zasięgał wiadomości o majątku jego i jego żony; Hugo przysiadł się właśnie do niego i obaj przez dłuższy czas szeptali ze sobą, wskazując na Ekberta. Ten znalazł w tym potwierdzenie swych podejrzeń, sądził, że sam się zdradził, i opanowała go straszliwa wściekłość. Wpatrując się wciąż w rozmawiających, ujrzał nagle twarz Waltera, jego miny, całą jego tak dobrze mu znaną postać, nie odwracając wzroku upewniał się coraz bardziej, że nikt inny tylko Walter szepcze o czymś ze starcem. Jego przerażenie nie miało granic; jak oszalały wybiegł z sali, tej samej jeszcze nocy opuścił miasto i okrężnymi drogami wrócił na swój zamek.

Niby duch niespokojny miotał się po wszystkich komnatach, żadna trzeźwa myśl nie miała do niego dostępu, coraz potworniejsze rojenia snuły mu się po głowie, żadną miarą nie mógł zasnąć. Chwilami sądził, że popadł w obłąd i że wszystko to jest jedynie wytworem jego chorego umysłu, kiedy zaś przypominał sobie rysy twarzy Waltera, stawał znów przed coraz bardziej niepojętą zagadką. Postanowił wybrać się w podróż, by uporządkować ostatnie wrażenia; myśli o przyjaźni, o potrzebie towarzystwa wyrzekł się na zawsze.

Ruszył w świat, nie wytyczając sobie żadnej określonej drogi, mało też zwracał uwagi na mijane okolice. Po kilku dniach jazdy wyciągniętym kłusem spostrzegł nagle, że zabłądził w plątaninie górskich ścieżek, z której nie było widać żadnego wyjścia. Spotkał wreszcie starego wieśniaka, i ten wskazał mu dopiero drogę biegnącą mimo wodospadu. Ekbert chciał starcowi podziękować i wręczyć mu parę groszy, on jednak zapłaty nie przyjął. — I na co to wszystko — powiedział do siebie Ekbert — mógłbym sobie przecież i tym razem wmówić, że ów wieśniak to nikt inny, tylko Walter. — Tu odwrócił się i ujrzał nie kogo innego, tylko Waltera. Spiał konia ostrogami i dobywając z niego ostatnich sił, popędził przez łąki i bory, aż zwierzę padło pod nim ze zmęczenia. Nie troszcząc się o nie, ruszył w dalszą drogę piechotą.

Pogrążony w zadumie wdrapał się na jakieś wzgórze; i nagle wydało mu

się, że słyszy gdzieś blisko wesołe szczekanie, szelest brzoźowych listków, a także pieśń o cudownym brzmieniu:

*Leśne ustronie,
Znów we mnie płonie
Radość bez bólu i troski,
Boś znów jest blisko,
O, wymarzone
Leśne ustronie.*

Wówczas świadomość opuściła Ekberta, zmysły mu się pomieszały; nie mógł żadną miarą wyplątać się z tej zagadki; czy teraz śni, czy też dawniej śnił o żonie imieniem Berta; rzeczy najdziwniejsze plątały mu się ze zwykłymi, świat wokół niego był zaczarowany, on sam zaś nie potrafił już zdobyć się ani na jakąkolwiek myśl, ani na wspomnienie.

Zgarbiona starucha, opierając się na kosturze i kaszląc, wspinała się po zboczu wzgórza.

— Czy przynosisz mi mego ptaka? Moje perły? Mego psa?! — krzyczała do niego z daleka. — Widzisz, krzywda sama sobie karę wymierza: nie kto inny, tylko ja byłam twoim przyjacielem Walterem i Hugonem.

— O wielki Boże — szepnął Ekbert do siebie. — W jak strasznej samotności spędziłem całe życie!

— Berta zaś była twoją siostrą. Ekbert runął na ziemię.

— Czemu podstępnie mnie opuściła? Jej czas próby dobiegł już końca i wszystko tak pięknie mogło się ułożyć. Berta była córką pewnego rycerza, który oddał ją pasterzowi na wychowanie, była córką twojego ojca.

— Dlaczego zawsze tkwiło we mnie to straszne podejrzenie! — wykrzyknął Ekbert.

— Ponieważ we wczesnej młodości słyszałeś, jak twój ojciec o tym opowiadał; nie mógł wychowywać córki przy sobie przez wzgląd na żonę, było to bowiem dziecko spłodzone z inną niewiastą.

Ekbert leżał na ziemi bez zmysłów i bliski śmierci; z daleka i jak przez mgłę słyszał głos staruszki, szczekanie psa i piosenkę, którą raz po raz powtarzał ptak.

Przełożyła Emilia Bielicka

Heinrich von Kleist

ŻEBRACZKA Z LOCARNO

U stóp Alp, niedaleko Locarno, w północnych Włoszech, wznosił się stary zamek, należący do pewnego markiza; jeszcze dziś ruiny tego zamku można oglądać, gdy się jedzie od strony Świętego Gottharda: była to budowla o wysokich, przestronnych komnatach, i kiedyś w jednej z nich pani tego zanku z litości umieściła na słomie, którą kazała tam rozesłać, starą, chorą kobietę, która żebrała u wrót. Markiz, który po powrocie z polowania wszedł przypadkiem do owej komnaty, zwykł był bowiem wieszać tam swą strzelbę, z gniewem rozkazał staruszce wstać z kąta, gdzie leżała, i ukryć się za piecem. Kobiecie, gdy wstawiała, kula obsunęła się na śliskiej podłodze, tak że biedaczka uszkodziła sobie kręgosłup, i to bardzo poważnie, tak poważnie, że z niewypowiedzianym trudem zdołała wprawdzie podnieść się i zgodnie z poleceniem przejść na ukos przez pokój, za piecem jednak osunęła się jęcząc i stękając i skonała.

Po wielu latach, kiedy markiz wskutek wojen i nieurodzajów popadł w nie lada tarapaty majątkowe, przybył do niego pewien rycerz florencki, który pragnął kupić odeń zamek z racji jego pięknego położenia. Markiz, jako że transakcja leżała mu bardzo na sercu, polecił żonie, by przygotowała gościowi posłanie w wymienionej już komnacie, wówczas nie zamieszkaney, a pięknie i z przepychem urządzonej. Jakaż była jednak konfuzja obojga małżonków, gdy w środku nocy rycerz stanął przed nimi blady i wzburzony, zaklinając się na wszystkie świętości, że w komnacie straszy: bowiem coś, co dla oka pozostawało niewidzialne, z szelestem, jakby leżało na słomie, podniosło się z kąta, przeszło na ukos przez pokój wyraźnymi, choć powolnymi i kalekimi jakby krokami, po czym osunęło się za piec, z jękiem i

stękanie.

Markiz przerażony, sam dobrze nie wiedząc dlaczego, wyśmiał gościa z wymuszoną wesołością i oznajmił, że zaraz wstanie i dla jego spokoju razem z nim przepędzi resztę nocy w owej komnacie. Rycerz jednak poprosił, by mu łaskawie pozwolono przespać się na fotelu w sypialni, po czym skoro świt kazał zaprząć konie, pożegnał się i odjechał.

Zdarzenie to zyskało niemały rozgłos i odstraszyło wielu kupców, co markizowi było ze wszech miar nie na rękę; gdy na domiar złego wśród jego własnych domowników rozeszła się dziwna i niepojęta fama o duchach, co straszą o północy w komnacie, markiz postanowił pewnej nocy sam zbadać sprawę, by ową famę ostatecznie pozbawić podstaw. Z zapadnięciem zmroku kazał więc posłać sobie łoże w rzeczonyj komnacie i czuwając oczekiwał północy. Jakiegoż wszelako doznał wstrząsu, gdy w istocie wraz z wybiciem godziny duchów usłyszał owe niepojęte odgłosy: zdawało się, że ktoś podnosi się z legowiska na słomie, która pod nim szeleści, idzie na ukos przez pokój i osuwa się za piec, rżąc i wzdychając. Gdy nazajutrz markiz zszedł na dół, żona spytała go, jak wypadła próba; widząc zaś, jak rozgląda się dokoła niepewnym i wystraszoną wzrokiem, i słysząc, jak zaryglowawszy drzwi zapewnia, że wieści o duchach są prawdziwe, przelękną się jak jeszcze nigdy w życiu i jęła go prosić, aby, nim sprawę rozgłosi, zbadał ją raz jeszcze na zimno i w jej, markizy obecności. Następnej nocy jednak usłyszeli oboje wraz z wiernym sługą, którego ze sobą zabrali, te same niepojęte, upiorne odgłosy; i tylko pragnienie pozbycia się zamku za wszelką cenę sprawiło, że wobec służącego opanowali potworne przerażenie, jakie ich ogarnęło, i poczęli sobie wmawiać istnienie jakiejś błahej, zwyczajnej i łatwej do wykrycia przyczyny tego niezwykłego zjawiska. Wieczorem trzeciego dnia, gdy oboje, chcąc zgłębić tajemnicę, z biciem serca wstępowali po schodach wiodących do komnaty gościnnej, przed jej drzwiami zastali podwórzowego psa, którego ktoś przypadkiem spuścił z łańcucha; małżonkowie, nie porozumiewając się wcale, wiedzeni być może

nieświadomą chęcią posiadania przy sobie jakiejś trzeciej żywej istoty, weszli do komnaty wraz z psem. Postawiwszy dwie świece na stole, usiedli oboje około godziny jedenastej, każde na swoim łożu: markiza nie rozebrana, markiz mając u boku szpadę i pistolety, które wyjął z szafy; podczas gdy małżonkowie próbowali zabawiać się nawzajem rozmową, jak umieli, pies, złożwszy łeb na wyciągniętych łapach, legł na środku pokoju i zasnął. Nagle, z wybiciem północy, dają się znów słyszeć niesamowite odgłosy: ktoś, niewidzialny dla ludzkich oczu, wstaje o kulach z kąta komnaty, rozlega się szelest poruszonej słomy, i już po pierwszym kroku: tap! tap! pies się budzi, zrywa się nagle z ziemi nastawiwszy uszy, po czym warcząc i szczekając cofa się, jak przed zbliżającym się człowiekiem, w kierunku pieca. Na ten widok markiza ze zjeżonym włosem wybiega z komnaty i podczas gdy markiz, chwyciwszy za szpadę, woła: „Kto idzie?“, a nie słysząc odpowiedzi, siecze wokół siebie powietrze jak oszalały, ona każe zaprzęgać, postanawiając jechać do miasta. Zanim jednak, zgarnąwszy najpotrzebniejsze rzeczy, wypadła za bramę, widzi, jak cały zamek staje w płomieniach. Markiz, nieprzytomny z przerażenia, porwał jedną ze świec i, mając już dość życia, podpalił wszystkie cztery rogi budowli, której ściany wyłożone były drewnianą boazerią. Na próżno markiza wysłała służbę na ratunek nieszczęśliwemu: zginął już bowiem nędzną śmiercią i do dziś jego białe kości, zebrane przez miejscową ludność, leżą w kacie komnaty, z którego wypędził niegdyś żebraczkę z Locarno.

Friedrich de la Motte Fouque

MANDRAGORA

Do Wenecji, sławnego na cały świat włoskiego miasta handlowego, zjechał pewnego pięknego wieczoru młody niemiecki kupiec, wesoły i zawadiacki frant, imieniem Reichard. W owym czasie było bardzo niespokojnie na ziemiach niemieckich, a to z powodu trzydziestoletniej wojny; dlatego też młody handlowiec, nie stroniący od rozrywek, był szczególnie zadowolony, że interesy wzywały go aa jakiś czas do Włoch, którym obce były nastroje wojenne i gdzie — jak słyszał — można było delectować się wspaniałym winem, mnóstwem najlepszych i najsmakowitszych owoców, nie mówiąc już o tłumie przepięknych kobiet, których był szczególnym wielbicielem.

Płynął, jak to było w zwyczaju, małą łódeczką, tak zwaną gondolą, po kanałach, które w Wenecji zastępują porządnie brukowane ulice, przy czym wielką radością napawał go widok pięknych domów i o wiele jeszcze piękniejszych postaci niewieścich, często wyglądających z okien. Gdy wreszcie podpłynął do jakiejś nadzwyczaj wspaniałej budowli, w której oknach siedziało chyba z tuzin najwdzięczniejszych białogłów, młody człowiek odezwał się do jednego z gondolierów, wiosłujących na jego stateczku: — O Boże! Gdyby mi się tak kiedyś powiodło, iżbym mógł odezwać się choć słówkiem do jednej z tych prześlicznych panienek!

— Ach — rzekł gondolier — jeśli tylko o to idzie, to wysiadaj, waszmość, i śmiało idź na górę Czas z pewnością nie będzie ci się tam dłużył.

Lecz młody Reichard odparł: — Ty widać lubisz droczyć się z obcymi i sądzisz, że w mojej osobie natrafiłeś na prostaka, który zastosuje się do twoich niemądrych rad, a potem zostanie na górze w pałacu wyśmiany, a

może nawet i wychłostany.

— Panie, nie uczcie mnie obyczajów tego kraju — powiedział gondolier. — Uczyńcie tylko według mojej rady, skoro lubicie sobie dogadzać, a jeśliby was nie przyjęto z otwartymi pięknymi ramionami, to niech stracę moje przewozowe!

To już wydało się młodemu człowiekowi rzeczą godną próby, a gondolier rzeczywiście nie skłamał. Gromadka rozkosznych panienek nie tylko przyjęła cudzoziemca z radością, ale nawet ta, którą uważał za najpiękniejszą, zaprowadziła go do swojej komnaty, uraczyła najprzedniejszymi trunkami i potrawami, a także niejednym pocałunkiem, ba, była mu wreszcie całkowicie powolna. Wielokrotnie myślał w duchu: Zaiste, dostałem się do najcudowniejszej i najbardziej uroczej krainy, jaka istnieje na ziemi; ale zarazem muszę gorąco podziękować niebu za uroki mojej osoby i mego ducha, dzięki którym tak bardzo spodobałem się tym obcym damom.

Gdy jednak zbierał się do odejścia, panienska zażądała od niego pięćdziesięciu dukatów, a ponieważ zdziwił się tym wielce, rzekła: — Ej, młokosie, czy sądzisz, że można się zabawiać z najpiękniejszą kurtyzaną w Wenecji tak zupełnie za darmo? Zapłać no żywo; kto zawczasu nie umówił ceny, musi zgodzić się na taką, jakiej się od niego żąda. Jeśli jednak w przyszłości chciałbyś tu wrócić, to bądź rozsądniejszy; za sumę, jaką kosztuje cię dzisiejsza wizyta, będziesz mógł używać wszelkich uciech przez cały tydzień.

Ach, jakież to musi być przykre, jeśli ktoś sądzi, iż zdobył księżniczkę, a nagle przekonuje się, że była to zwykła nierządnicą, która na dobitek wyciągnęła mu z sakiewki tak okazałą kwotę! Młody handlowiec nie był jednak aż tak rozsierdzony, jakby się mogło wydawać. Chodziło mu bowiem bardziej o staranną pielęgnację ciała niż chwalebne sukcesy w swoim życiorysie, dlatego po uiszczeniu zapłaty kazał się zawieźć do winiarni, by tam w kieliszku utopił resztki gniewu, gdyby takie jeszcze pozostały mu w sercu.

Skoro więc wszedł na taką drogę, nie zbywało mu również na licznej i wesołej kompanii. Niejeden dzień mijał mu na hulankach wśród wesołych twarzy; wyjątkiem był jedynie hiszpański kapitan, który wprawdzie brał udział we wszystkich dzikich wyczynach bandy, do której młody Reichard przystał, najczęściej jednak nie odzywał się ani słowem, a w rysach jego ponurego oblicza wyczytać można było ogromny niepokój. Mimo to chętnie przyjmowano go w towarzystwie, gdyż był człowiekiem poważnym i zamożnym, któremu podejmowanie całego grona, i to często przez kilka kolejnych wieczorów, nie sprawiało kłopotu.

Niezależnie od tego i mimo że młody Reichard nie pozwalał się już tak nabierać jak w dniu swego przybycia do Wenecji, to w końcu przecież pieniądze zaczęły mu się wyczerpywać; z wielkim żalem myślał o tym, że ten niesłychanie przyjemny tryb życia musi się niebawem dla niego skończyć, jeśli na skutek rozrzutności nie ma stracić reszty pieniędzy, jakie mu jeszcze pozostały.

Przyjaciele zauważyli jego smutek i domyślali się przyczyny, jako że w ich gronie często zdarzały się podobne przypadki, toteż mieli uciechę z tego zrujnowanego desperata, który — nie mogąc oprzeć się pokusie — za resztki swej sakiewki nadal łasował rozkoszną trucizną. Wtedy to pewnego wieczoru Hiszpan wziął go na bok i zaprowadził z niezwykłą uprzejmością w dość odludną okolicę miasta. Młodego kupca zaczął ogarniać lęk, ale w końcu pomyślał: Kapitan wie, że niewiele u mnie znajdzie, a co do mojej skóry, gdyby mu na niej zależało, musiałby przede wszystkim zaryzykować własną, a to niewątpliwie uzna za zbyt wysoką stawkę.

Jednakże hiszpański kapitan, sadowiąc się na podmurówce starego, walącego się budynku, zachęcał młodego kupca, by usiadł obok niego, i oto tak zagadał: — Zdaje mi się, mój miły, młody przyjacielu, że brak ci właśnie tej zdolności, która dla mnie jest ciężarem ponad miarę, mianowicie mocy zdobywania każdej chwili dowolnej ilości pieniędzy i powtarzania tej procedury wedle upodobania. Tę moc, a na dodatek wiele jeszcze innych

darów odstąpię ci za tanie pieniądze.

— Cóż może wam, panie, zależeć jeszcze na pieniądzach, skoro chcecie się pozbyć daru zdobywania ich? — zapytał Reichard.

— Rzecz ma się następująco — odparł kapitan. — Nie wiem, czy znacie małe stwory zwane alraunami. Są to czarne diabełki, uwięzione w małych szklanych naczynkach. Kto posiada takiego diabełka, może od niego otrzymać każdą uciechę, jakiej tylko w życiu zapragnie, przede wszystkim jednak nieograniczoną ilość pieniędzy. W zamian za to diabełek żąda dla swego pana, Lucyfera, duszy posiadacza, o ile ten umrze nie przekazawszy swego diabełka w inne ręce. Może to jednak nastąpić tylko w drodze sprzedaży, i to za mniejszą kwotę od tej, jaką się za niego zapłaciło. Mój kosztował mnie dziesięć dukatów; jeśli więc dasz mi za niego dziewięć, będzie twój.

Podczas gdy młody Reichard jeszcze się zastanawiał, Hiszpan mówił dalej: — Mógłbym kogoś na to nabrać, przekazać kobolda w cudze ręce w zamian za jakąś inną flaszeczkę czy zabawkę, tak jak i mnie go przekazał pewien niesumienny kupiec. Ale staram się o to, by mego sumienia nie obciążać jeszcze bardziej, i proponuję wam, panie, kupno uczciwe i jawne. Jesteście, panie, młody, miłujący życie i będziecie mieli jeszcze mnóstwo sposobności pozbycia się flakonika, gdyby stał się wam ciężarem, jakim jest dzisiaj dla mnie.

— Drogi panie — powiedział na to Reichard — jeśli nie weźmiesz mi tego za złe, to chciałbym ci z żalem wyznać, że już wielokrotnie tu w Wenecji zostałem haniebnie okpiony.

— Ech, ty niemądry kawalerze! — zawołał gniewnie Hiszpan — wystarczy, żebyś przywołał na pamięć moją wczorajszą ucztę wieczorną, aby sobie uświadomić, że dla twoich parszywych dziewięciu dukatów nie będę cię oszukiwał!

— Kto dużo ucztuje, ten dużo wydaje — odparł skromnie młody kupiec — tylko uczciwa praca ma złote dno, a nie sakiewka. Gdybyście panie,

wczoraj wydali wasz ostatni grosz, to dziś moje dziewięć przedostatnich dukatów mogłoby was ucieszyć.

— Wybacz, że cię nie zabiję — odrzekł Hiszpan. — Nie czynię tego, ponieważ mam jeszcze nadzieję, że pomożesz mi odczepić się od tego diabełka, a poza tym i dlatego, że zamierzam odbyć pokutę, która wówczas byłaby utrudniona i większa.

— Czy pozwoliłbyś mi, panie, na kilka prób z tym talizmanem? — zapytał młody kupiec jak najostrożniej.

— To niemożliwe — odparł kapitan. — Talizman nie pozostaje przy nikim, nie pomoże nikomu, jeśli ten ktoś nie nabędzie go przedtem prawidłowo, za gotówkę.

Młody Reichard zaniepokoił się; na odludnym placu, gdzie wśród nocy siedzieli obok siebie, było niesamowicie, mimo iż kapitan zapewniał, że nie zmusza go do niczego ze względu na zamierzoną pokutę. Lecz równocześnie Reichardowi stanęły przed oczyma wszystkie uciechy, jakie będą jego udziałem, gdy już posiadzie diabełka. Zdecydował się więc zaryzykować połowę pozostałej mu gotówki, próbując jednak przedtem, czy nie udałoby się utargować coś niecoś z tej wysokiej ceny.

— Ty głupcze — śmiał się kapitan. — Dla twego dobra domagam się najwyższej ceny i dla dobra tych, którzy go będą kupowali po tobie, ażeby nie nabył go ktoś za wcześnie za najniższą monetę świata, a tym samym nie stał się nieodwołalnie łupem diabła, bo nie będzie już mógł sprzedać go taniej.

— Ach, zostawmy to — powiedział Reichard uprzejmie. — Zapewne nie sprzedam tak prędko tego osobliwego talizmanu. Gdybym więc mógł go dostać za pięć dukatów...

— Niech będzie — odparł Hiszpan. — Wyznaczasz czarnemu diabełkowi dość krótki czas na zdobycie ostatniej, zgubionej duszy ludzkiej. — Co powiedziawszy, wręczył młodemu człowiekowi w zamian za umówioną cenę cieniutką szklaną flaszeczkę, w której Reichard przy świetle gwiazd zobaczył

coś czarnego, dziko miotającego się na wszystkie strony. I zaraz zażądał w myślach, na próbę, zwrotu wydatku, ale w podwójnej wysokości; niebawem wyczuł w prawej ręce dziesięć dukatów. Zadowolony, wrócił do gospody, gdzie reszta kompanii jeszcze ucztowała, dziwiąc się wielce, że ci dwaj, którzy dopiero co rozstali się z nimi w tak smutnym nastroju, teraz znów zjawili się z wesołymi twarzami. Hiszpan jednak pożegnał się szybko, nie zamierzając uczestniczyć w wystawnej uczcie, jaką Reichard mimo późnej godziny nocnej kazał przygotować, zapłaciwszy za nią z góry podejrzliwemu gospodarzowi, podczas gdy dzięki mocy diabełka w obu kieszeniach dźwięczały mu coraz to nowe dukaty.

Ci, którzy sami pragną takiego diabełka, będą mogli najlepiej sobie wyobrazić, jakie życie wiódł od tego dnia wesoły, młody frant, chyba że zasklepiają się w nadmiernym skąpstwie. Ale także ostrożne i łagodne natury mogą sobie bez trudu wyobrazić, że młody Reichard poczynił sobie teraz hucznie i rozrzutnie. Przede wszystkim zdobył za bajońskie sumy wyłącznie dla siebie piękną Lukrecję — tak bowiem zwała się, jakby na urągowisko, jego dawna i kosztowna kochanka — po czym kupił pałac i dwie wille i otoczył się wszystkimi możliwymi wspaniałościami świata.

Pewnego dnia siedział z bezbożną Lukrecją w ogrodzie jednej ze swych letnich rezydencji na brzegu wartkiego i głębokiego strumyka. Było mnóstwo przekomarzań i śmiechów między tym dwojgiem młodych i nierozważnych istot, aż w końcu Lukrecja niechcący chwyciła breloczek, który Reichard nosił na złotym łańcuszku na piersi pod odzieżą. Zanim zdołał temu zapobiec, Lukrecja rozsypała łańcuszek i już trzymała w ręku mały flakonik, igrając nim pod światło. Najpierw śmiała się z przedziwnych koziołków zamkniętego w nim małego figlarza, po chwili jednak pełna przerażenia krzyknęła: — Fe, to przecież ropucha! — i cisnęła łańcuszek razem z flakonikiem i diabełkiem do strumyka, którego rwące wiry natychmiast pochłonęły.

Biedny chłopiec starał się ukryć przerażenie, ażeby kochanka nie

zadawała mu pytań, albo co gorsza, nie pozwałała go przed sąd pod zarzutem czarów. Flakonik nazwał osobliwą zabawką i czym prędzej uwolnił się od Lukrecji, aby w cichości ducha zastanowić się, co należy uczynić. Miał jeszcze pałac i dwie wille, a w jego kieszeni powinna tkwić pokaźna ilość dukatów. Ale jakże radośnie był zaskoczony, gdy sięgając po pieniądze, namacał ręką flakonik z diabełkiem. Łańcuszek leżał zapewne na dnie strumyka, ale flaszeczka z diabełkiem wróciła posłusznie do swego pana.

— Ej — wykrzyknął radośnie — a więc posiadam skarb, którego żadna siła ludzka odebrać mi nie może! — i o mało nie pocałował flakonika, gdyby mały czarny kobold, płasający wewnątrz, nie wydał mu się jednak zbyt odrażający.

Jeśli dotąd Reichard wiódł życie hulaszcze i wesołe, to teraz zaczęło się dziać z nim jeszcze gorzej. Na wszystkich potentatów i władców świata spoglądał z politowaniem i pogardą, przekonany, że żaden z nich nawet w połowie nie może wieść tak wesołego życia jak on. W bogatym handlowym mieście Wenecji nie można już było nastarczyć tyle wyszukanych specjałów z dziedziny potraw i napitków, ile żądano na urządzenie jego hulaszczych bankietów. Gdy ktoś z osób dobrze mu życzących chciał go skarcić lub upomnieć, mówił: — Nazywam się Reichard, a moje bogactwo jest tak trwałe, że żaden wydatek nie jest w stanie nim zachwiać. — Często też śmiał się bez miary z hiszpańskiego kapitana, który wypuścił z rąk tak wspaniały skarb, a w dodatku, jak opowiadano, wstąpił do klasztoru.

Wszystko na tym świecie trwa jednak tylko do pewnego czasu. Musiał się o tym dowiedzieć i młody kupiec, i to tym wcześniej, że oddawał się zmysłowym rozkoszom bez żadnego umiaru. Śmiertelne znużenie opanowało jego wyczerpane ciało i nic tu nie pomógł diabełek, którego w pierwszym dniu choroby chyba z dziesięć razy nadaremnie wzywał na pomoc. Nie nastąpiło żadne polepszenie, natomiast w nocy miał przedziwny sen.

Wydawało mu się mianowicie, że wśród butelek z lekami, stojących przy jego łóżku, jedna zaczęła zabawnie płaszać, przy czym nieustannie potrącała z

dźwiękiem o głowy i brzuszki pozostałych. Gdy Reichard przyjrzał się jej dokładniej, rozpoznał w niej flakonik z diabełkiem i rzekł: — Aj, diabełku, diabełku, tym razem nie chcesz mi pomóc, a na dobitek przewrócisz i wylejesz mi lekarstwa na ziemię. — Ale diabełek w odpowiedzi zaśpiewał z głębi buteleczki ochrypłym głosem:

*Kupczyku mój, kupczyku mój,
Ach, czeka cię wieczysty znój!
Daremny byłby wszelki bój,
Gdyż przesądzony los jest twój.
Na śmierć fortelu nie ma czart,
Więc trud mój był zachodu wart.*

Po tych słowach diabełek zrobił się bardzo długi i cienki i choć Reichard z całych sił zatykał otwór buteleczki, to jednak lichy wypełzło między jego kciukiem a korkiem posmarowanym smołą i przemieniło się w wielkiego czarnego potwora, który ohydnie tańczył, szeleszcząc przy tym skrzydłami nietoperza; w końcu przywarł tak mocno włochatą pierśią do piersi Reicharda, a twarzą szczerzącą zęby do twarzy chorego, że ten czując, iż zaczyna upodabniać się doń, jął przeraźliwie krzyczeć: — Dajcie mi lustro! Dajcie mi lustro!

Zbudził się zlany zimnym potem, przy czym wydawało mu się, że jakaś czarna ropucha ogromnie szybko zbiega mu po piersi i chowa się w kieszeni nocnej koszuli. Z obrzydzeniem sięgnął do tej kieszeni, wydobył jednak tylko flaszeczkę, w której leżał teraz mały, czarny, jakby wyczerpany i pogrążony w marzeniach kobold.

Ach, jakże długa wydawała się choremu reszta tej nocy! Nie chciał już zasypiać z obawy, że sen mógłby mu znowu sprowadzić czarnego potwora, a mimo to nie miał odwagi otworzyć oczu, lękając się, że maskara może czatować na niego w jakimś kącie pokoju. Jeśli zaś oczy miał zamknięte, to zdawało mu się, że potwór podkrada się cichaczem do niego, więc ponownie

się zrywał, pełen przerażenia. Dzwonił oczywiście na służących, ale ci spali jak zabici, a piękna Lukrecja, odkąd zachorował, w ogóle nie pokazywała się w jego domu. Tak więc musiał leżeć sam ze swoimi lękami, które się wciąż wzmagają, gdyż bezustannie prześladowała go myśl: O Boże, jeśli ta noc jest taka długa, to jakże długa musi być noc piekieł! Postanowił też, o ile Pan Bóg pozwoli mu doczekać jutra, pozbyć się diabła za wszelką cenę.

Gdy więc nareszcie nastał ranek, chory — nieco orzeźwiony i wzmocniony pogodnym świtem — zaczął się zastanawiać, czy aby diabełka jak dotąd wykorzystał należycie. Pałac, wilie i różne kosztowności nie wydawały mu się wystarczające, zażądał więc czym prędzej wielkiej ilości dukatów pod swoją poduszkę i gdy tylko znalazł tam ciężki wór, zaczął spokojnie rozmyślać nad tym, komu najlepiej będzie sprzedać flakonik. Wiedział, że jego lekarz był wielkim amatorem wszelakich osobliwych kreatur, które przechowuje się w spirytusie, i miał nadzieję, że jako takie kuriozum ulokuje u niego kobolda, gdyż poza tym doktor, człek pobożny, z pewnością nie chciałby mieć nic wspólnego z tą bestią. Rzecz jasna, że w ten sposób spleta mu złośliwego figla, ale pomyślał: Lepiej odpokutować w czyścicu mały grzech niż nieodwołalnie i na zawsze stać się własnością Lucyfera. W dodatku każdy jest sobie najbliższym bliźnim, a moje śmiertelne niebezpieczeństwo nie pozwala na zwłokę.

Więc tak też zostało. Zaoferował medykowi diabełka, który właśnie się znów ożywił i zabawnie płaśał w butelce; uczony, chciwy bliższej obserwacji tak osobliwego tworu natury (za jaki go uważał), oświadczył, że go kupi, o ile cena nie będzie zbyt wysoka. Żeby sumieniu choć trochę uczynić zadość, zażądał Reichard, ile tylko mógł: cztery dukaty, dwa talary i dwanaście groszy w niemieckich pieniądzech. Lekarz chciał jednak dać najwyżej trzy dukaty i w końcu powiedział, że musi się jeszcze przez parę dni namyśleć. Wtedy biednego młodego kupca opanowała na nowo śmiertelna trwoga; oddał diabełka, a otrzymane za niego trzy dukaty kazał swemu służącemu rozdać między biednych. Natomiast pieniądze znajdujące się pod poduszką

schował najlepiej, jak umiał, w przeświadczeniu, że na nich opiera się teraz cały jego los.

Tymczasem choroba przybierała na sile. Młody kupiec leżał prawie bezustannie w malignie, i gdyby na sercu ciążył mu jeszcze kłopot z diabełkiem, zadręczyłby się ze strachu na śmierć. Ale w końcu, krok za krokiem przecież się pozbierał, a całkowity powrót do zdrowia odsuwała jeno troska o te dukaty pod poduszką, których od pierwszych jaśniejszych chwil daremnie tam poszukiwał. Początkowo nie miał nawet ochoty pytać o to kogokolwiek, a gdy w końcu to uczynił, nikt nie chciał o tym słyszeć. Posłał do pięknej Lukrecji, która w najgroźniejszych chwilach jego nieprzytomności podobno czuwała przy nim, a teraz znów wróciła do domu, do swego dawnego towarzystwa. Lukrecja kazała mu jednak powiedzieć, żeby ją zostawił w spokoju; czyżby zdradził jej czy komukolwiek tajemnicę istnienia dukatów? Skoro nikt o nich nie wiedział, to z pewnością są one tylko gorączkowym przywidzeniem.

Gdy właśnie wstawał i ze smutkiem myślał o tym, jak zamienić pałac i wille na pieniądze, weszli ludzie, którzy przynieśli rewersy na pełną sumę kupna wszystkich posiadłości, zaopatrzone jego pieczęcią i podpisem; w dniach swawoli bowiem wręczył pięknej a niegodziwej Lukrecji czeki in blanco, by korzystała z nich wedle upodobania; teraz, wyczerpany chorobą, musiał zgarnąć resztę swego ogromnego dobytku i wyprowadzić się, na poły jak żebrak.

Na domiar złego przyszedł jeszcze lekarz, który go skutecznie leczył, z bardzo poważnym obliczem.

— Aj, panie doktorze! — krzyczał do niego młody, markotny kupczyk. — Jeśli chce pan, jak to czynią pańscy koledzy, przedłożyć mi poważne rachunki, to proszę od razu dodać gratisowo proszek z trucizną, gdyż wiem i tak, że upiekłem mój ostatni chleb i na zakup nowego nie będę już miał pieniędzy.

— Nie o to idzie — rzekł medyk poważnie — daruję waści koszta całej

kuracji. Ale za pewien nadzwyczaj rzadki lek, który już wstawiłem do szafki, i który będzie wam do wyzdrowienia w przyszłości niezbędnie potrzebny, musicie mi zapłacić dwa dukaty. Czy zgadzacie się?

— Jak najchętniej! — zawołał ucieszony kupiec i wręczył dwa dukaty lekarzowi, który szybko opuścił pokój. Zaledwie jednak Reichard włożył rękę do szafki, a już buteleczka z diabełkiem tkwiła mu między palcami. Owinięta była karteczką o następującej treści:

*Pragnąłem ciało twe uzdrowić,
Ty chciałeś duszę moją zgubić,
Lecz w sukurs przyszedł rozum mój,
Odkryłem nędzny zamiar twój!
Pogodzić musisz się z podstępem,
Diabełka wsunę ci znów w rękę,
Przychylność mą i hojność znaj —
On stworzy ci wisielczy raj!*

Rzecz jasna, że młody Reichard przeraził się ogromnie, oto znów kupił diabełka, i to już po bardzo niskiej cenie. Ale była przy tym i radość. Nie miał wielkich skrupułów na myśl o tym, że się będzie musiał znów pozbyć buteleczki; postanowił nawet przy pomocy diabliska zemścić się na tej zepsutej szelmie Lukrecji.

Zabrał się do tego w sposób następujący: najpierw zażyczył sobie podwójnej porcji dukatów, w stosunku do tej, jaką uprzednio miał pod duszką; niezwłocznie też obciążyły one jego kieszenie, ściągając go niemal do ziemi. Całą tę olbrzymią sumę zdeponował u najbliższego adwokata w zamian za skrypt sądowy, zatrzymując sobie tylko około stu dwudziestu sztuk złota, z którymi udał się do domu rozpustnej zalotnicy. Tam znów pito, grano, figłowano jak przed paru miesiącami, a Lukrecja, dostrzegłszy u młodego kupca pieniądze, okazała się w stosunku do niego znów bardzo życzliwa. Reichard polecił diabełkowi popisać się kilkoma przyzwoitymi

sztuczkami kuglarskimi i pokazał flakonik zdumionej kurtyzanie, przypominając, że taki właśnie kiedyś rzuciła do wody i że on posiada jego różne odmiany. Wiadomo, jakie są kobiety, Lukrecja od razu zapragnęła takiej zabawki, a gdy sprytny kupiec niby to dla żartu zażądał zań pieniędzy, dała mu bez chwili wahania jednego dukata. Handel był ubity. Reichard opuścił dom Lukrecji tak spieszenie, jak tylko mógł, by u adwokata podjąć część powierzonej mu sumy. Ale nie było tam nic do zainkasowania; adwokat zrobił wielkie oczy i zdziwił się bardzo, gdyż — jak oświadczył — w ogóle nie zna petenta. Wobec tego Reichard chciał wyciągnąć z kieszeni pokwitowanie, ale znalazł w niej tylko pustą, nie zapisaną kartkę. Adwokat napisał pokwitowanie takim atramentem, który po paru godzinach znika bez śladu. Młody kupiec spostrzegł, że po raz drugi, wbrew przypuszczeniu, zubożał i zostałby żebrakiem, gdyby nie pozostało mu w kieszeni jeszcze około trzydziestu dukatów po jego rozrzutnej biesiadzie u Lukrecji.

Kto ma krótkie łoża, musi leżeć skulony; kto nie ma łoża w ogóle, musi radzić sobie na ziemi; kto nie może zapłacić za powóz, niech jeździ konno; kto nie ma konia, niech chodzi piechotą. Po kilku dniach beczynnego wałęsania się Reichard uświadomił sobie, że w ten sposób pieniądze całkowicie mu się rozejdą i że wobec tego musi na razie przekształcić się z kupca w wędrownego handlarza.

W tym celu zaczął poszukiwać szafeczki i kupił odpowiednią za resztę pieniędzy, płacąc przeciętnie za każdą przegródkę około czterech groszy w niemieckiej monecie. Aj, jakże ciężko przyszło mu przerzucać sobie ramię przez plecy i oferować swój towar na tych właśnie ulicach, na których jeszcze przed paru tygodniami paradował wspaniale i dumnie! Jednakże w miarę upływu godzin nabierał coraz więcej radosnej otuchy, bowiem nabywcy wręcz podbiegali do niego, a często oferowali mu więcej, niż śmiałyby żądać. Miano jest jednak bardzo pocziwe, pomyślał w duchu, jeśli tak dalej pójdzie, to przy niewielkim wysiłku może znów stanę się zamożnym człowiekiem! Po czym wróć do Niemiec i będę się czuł o tyle

lepiej, że już raz tkwiłem w szponach przeklętego szatana, a jednak dzięki rozsądkowi i rozwadze zdołałem uwolnić się od niego.

Podobnymi myślami chwalił się i delektował wieczorem w gospodzie, gdzie właśnie odstawił swój kramik. Kilku ciekawskich stało dookoła, a jeden zapytał: — A cóż to za dziwaczny stwór, który tkwi w tej flaszcze i fika takie osobliwe koziolki? — Reichard spojrział tam przerażony i dopiero teraz spostrzegł, że wraz z innymi puszkami nabył bezwiednie także i tę z potworkiem. Pospiesznie zaoferował ją pytającemu za trzy grosze, sam za nią zapłacił tylko cztery, i szybko oferował ją wszystkim gościom za tę samą cenę. Mieli oni jednak wstręt do paskudnego, czarnego stwora, o którego pożytku Reichard nie chciał im nic określonego powiedzieć; gdy więc nie przestawał zachwalać podejrzanego towaru, pilnie przerywając każdą rozmowę, wyrzucono natrętnego kupczyka razem z jego szafką i czarną bestią za drzwi.

Z duszą na ramieniu udał się zaraz do sprzedawcy szafeczki i chciał mu odsprzedać małego szatanka za niską cenę. Ale kupiec był senny, nie interesował się w ogóle tą transakcją i uznał w końcu — skoro paskudna flaszeczka koniecznie ma wrócić do pierwotnego właściciela — że Reichard powinien pójść z nią do kurtyzany Lukrecji, bo to ona sprzedała mu ten flakonik wraz z innymi gratami. Jemu zaś niechaj pozwoli spać spokojnie.

— Boże drogi — westchnął Reichard głęboko — gdybym i ja mógł spać tak spokojnie! — Przebiegając przez rozległy plac, by dostać się do mieszkania Lukrecji, miał wrażenie, że ktoś nocą biegnie za nim z szelestem i od czasu do czasu chwyta go mocno za kołnierz. Przeważony dostał się w końcu przez dobrze mu znane z dawnych czasów tylne drzwi do apartamentu Lukrecji. Niegodziwa ślicznotka siedziała jeszcze przy wesołej kolacyjce z dwoma obcymi zalotnikami. Najpierw zwymyślano bezczelnego domokrażcę, potem jednak zalotnicy wykupili od niego prawie wszystkie towary dla kurtyzany, która oczywiście poznała sprzedawcę i nieustannie go wyśmiewała. Diabełka jednak nikt nie chciał kupić. Gdy go ponownie

zaoferował, Lukrecja powiedziała: — Fe, wynocha z tym paskudztwem!

Już je miałam i całymi dniami budziło we mnie wstręt. Dlatego sprzedałam je za parę groszy podobnemu łajdakowi jak ten, który mi je wmówił za jednego dukata.

— Na twoje własne, doczesne szczęście — wołał młody zalękniony kupiec — ty nie wiesz, co odrzucasz, Lukrecjo, ty gniewna, piękna ladacznico! Pozwól mi tylko przez parę minut rozmówić się z tobą w cztery oczy, a kupisz ode mnie flakonik z całą pewnością.

Odeszła z nim trochę na bok, on zaś odkrył jej osobliwą tajemnicę chochlika. Ale wtedy dopiero zaczęła gwałtownie krzyczeć i łajać go.

— Czy chcesz zakpić sobie ze mnie, ty nędzny żebraku! — wołała. — Gdyby to było prawdą, na pewno zażyczyłbyś sobie od szatana czegoś lepszego niż to pudło i rzemień. Wynoś się stąd! I choć kłamiesz, to jednak podam cię do sądu jako kuglarza i czarownika! Zostaniesz spalony za twoje głupie przechwałki.

Po tych słowach dwaj zalotnicy, chcąc się przypodobać swej przyjaciółce, rzucili się na przerażonego młodego kupca i zepchnęli go ze schodów, tak że oburzony do głębi doznana zniewagą i przerażony, że jako czarnoksiężnik zostanie spalony na stosie, gnał ile sił w nogach, by czym prędzej wydostać się z Wenecji. Następnego dnia w południe był już daleko poza miastem, a od granicy zaczął je przeklinać jako przyczynę swoich nieszczęść.

Diabełek wyglądał mu przy tym z kieszeni, a Reichard, dotknąwszy go niechcąc w ferworze gestykulacji, zawołał: — A jednak wykorzystam cię jeszcze, i to właśnie w tym celu, żeby się ciebie najszybciej pozbyć!

I natychmiast znów wyraził życzenie posiadania olbrzymiej sumy pieniędzy, o wiele większej niż ostatnim razem, i z trudem podtrzymując ciężkie kieszenie, prześliznął się cichaczem do następnego miasta. Tu kupił wspaniałą powóz, wynajął lokajów i spieszył teraz, z pompą i przepychem, do wielkiej stolicy, do Rzymu, przekonany, że tam, w tłumie ludzi o najróżniejszych upodobaniach i obyczajach, niewątpliwie bez trudu

pozbędzie się fatalnej buteleczki; na razie zaś, ilekroć wydawał dukaty, kazał diabełkowi natychmiast je sobie zwracać, żeby po sprzedaniu flakonika ciągle jeszcze mieć całą, nienaruszoną sumę. Wydawało mu się to skromną rekompensatą za przeżywany strach; gdyż nie dość, że prawie co noc, skoro tylko zasypiał, wstrętny, czarny potwór znów kładł mu się na piersiach, to jeszcze i na jawie widział diabełka płasającego w butelce z taką dziką radością, jak gdyby był już pewny swej zdobyczy i cieszył się z odbytej już służby.

Gdy tylko bogactwo i rozrzutność wprowadziły Reicharda w najwytworniejsze koła Rzymu, ustawiczny dojmujący lęk nie pozwalał mu czekać na stosowną chwilę do sprzedania czarcika, tak że bez wyboru oferował go teraz każdemu, z kim rozmawiał, za trzy grosze niemieckie i niebawem stał się pośmiewiskiem wszystkich jako osobliwy pomyleniec. Pieniądze dają oczywiście pewność siebie i radość. Toteż dzięki bogactwu był wszędzie mile widziany; jednak gdy tylko zaczął mówić o swoim flakoniku i trzech groszach niemieckich, kiwano pobłażliwie głowami i usiłowano czym prędzej pozbyć się natręta, skutkiem czego często mawiał: „A niech mnie diabli porwą! Tylko że niestety jestem już na pół porwany”.

W końcu ogarnęła go taka rozpacz, że nie mógł już wytrzymać w pięknym Rzymie; postanowił więc szukać swego ocalenia na wojnie: kto wie, może tam uda mu się pozbyć potworka. Słyszał, że dwa małe, włoskie państewka prowadzą ze sobą wojnę, i poważnie przygotowywał się do tego, by przystąpić do jednej ze stron. Zaopatrzony w piękną, złotem zdobioną zbroję, wspaniały kapelusz z piórem, dwie wybrane, lekkie strzelby myśliwskie, w doskonałą, lśniącą jak lustro szpadę i w dwa zgrabne sztylety —wyjechał konno z bram miasta na roslym hiszpańskim ogierze, mając w świcie trzech wypróbowanych służących, jadących na mocnych koniach.

Któryż z dowódców kawalerii nie przyjąłby chętnie na ochotnika tak dobrze uzbrojonego wojaka, ofiarowującego się przy tym służyć bez żołdu? Dziarski Reichard został niezwłocznie wcielony do jednego z oddziałów

dzielnych hufców i przez jakiś czas żył w obozie wesoło przy winie i śpiewie, o ile pozwalał mu na to jego wielki wewnętrzny niepokój z powodu diabełka, a także złych snów, które go prześladowały co noc. Nauczony doświadczeniem nabytym w Rzymie, pilnie wystrzegał się teraz oferowania niebezpiecznego towaru w sposób natrętny. Raczej nie mówił na razie nic swoim kolegom, by niepostrzeżenie, niby żartem, zawrzeć tym łatwiej wiadomą transakcję handlową.

Pewnego pięknego poranka rozległy się nieoczekiwanie pojedyncze strzały z pobliskich gór. Żołnierze, którzy właśnie grali z Reichardem w kości, nadstawili uszu: niebawem zabrzmiały w obozie trąbki, wzywające „Na koń!” Szybko znaleźli się w siodłach i w przepisowym szyku ruszyli kłusem w stronę doliny położonej u stóp wzgórz. Na ich szczytach widać było w kurzu i dymie piechotę obu stron, w dolinie nadciągała wroga konnica. Reichard był pełen animuszu, hiszpański ogier rżał pod nim i skakał; jego zbroja chrzęściła wesoło. Dowódcy pokrzykiwali, trębacze trąbili. Wrogi oddział konny wysunął się groźnie do przodu, ażeby — jak się zdawało — przeszkodzić przeciwnikowi w rozwinięciu szyku. Wycofał się jednak wobec liczebnej przewagi nieprzyjaciela, a Reichard ze swymi wiernymi, gnającymi w ślad za nim służącymi nie należał do ostatnich; cieszyła ich świadomość, że to oni ścigają i są postrachem. Wtem nagle gwizdnęło coś dziwnie w powietrzu tuz nad ich głowami. Konie stanęły dęba; gwizdnęło po raz drugi i jeden z jeźdźców, ciężko trafiony kulą z falkonetu, tarzał się już we krwi wraz ze swoim rumakiem. Reichard pomyślał: Bezpieczniej jest w dużej gromadzie, i właśnie tam chciał pocwałować, gdy ku swemu zdumieniu konnica znalazła się tuż za nim pchając się wprost pod świszczące kule falkonetów. Jeszcze przez chwilę poczciwy młodzian cwałował wraz z nią, ale gdy obok, na prawo i lewo, kule zaczęły siec łąkę, a równocześnie zaczęła nadciągać nieprzyjacielska jazda licznymi szeregami, z dobytą białą bronią, pomyślał: Aj, jakże niemądrze postąpiłem, przybywając tutaj! W ten sposób jestem przecież o wiele bliższy

śmierci aniżeli w łożu chorego. A jeśli dosięgnie mnie któraś z tych świszczących bestii, stanę się na wieki łupem diabła i jego pana Lucyfera! Zaledwie to pomyślał, a już hiszpański ogier zawrócił i dzikim pędem gnał wstecz, w stronę pobliskiego lasu.

Pod wysokimi drzewami Reichard tak długo spinał konia ostrogami i gnał z nim w szalonym tempie po bezdrożach, aż zwierzę ustało z wyczerpania. Wtedy i on, znużony, zsiadł z konia, odpiął zbroję, koniowi zdjął szory i siodło i rzekł, wyciągając się jak długi w trawie: — Aj, jakże mało mam zadatków na żołnierza, zwłaszcza z diabełkiem w kieszeni! — Zamierzał właśnie zastanowić się, co począć dalej, gdy zmorzył go głęboki sen. Po wielu godzinach spokojnego wypoczynku dotarto do jego uszu coś jakby szept ludzkich głosów i szelest ludzkich kroków. Leżąc wygodnie na chłodnej podściółce, pogrążał się jednak umyślnie w coraz głębsze senne zamroczenie, nie chcąc nic wiedzieć o tych wszystkich szmerach, gdy jakiś głos grzmiąco wrzasnął do niego: — Żyjesz jeszcze, ty sakramencka ofermo? Powiedz od razu, żebyśmy niepotrzebnie nie marnowali prochu! — Kiedy młody wojak, brutalnie wyrwany ze snu, spojrział w górę, zobaczył naciągnięty muszkiet wycelowany w swoją pierś. Żołnierz, który trzymał broń, był zgryźliwym piechurem, a otaczający kompani już przywłaszczyli sobie broń, konia i ekwipunek Reicharda. Prosił o łaskę, a przede wszystkim krzyczał w śmiertelnej trwodze: — Jeśli już koniecznie chcecie mnie zabić, to przynajmniej kupcie przedtem ode mnie tę flaszeczkę, którą mam w prawej kieszeni kaftana.

— Głupi nicponiu — zaśmiał się jeden z piechurów — kupić nie kupię, ale zabiorę ci to bez pardonu.

Po tych słowach sięgnął od razu po diabełka i ukrył go na piersi.

— W imię Boże! — rzekł Reichard. — Oby ci się tylko udało zachować tę bestię przy sobie. Ale jeśli za nią nie zapłacisz, nie zostanie przy tobie. — Wojacy śmiali się i odeszli wraz z koniem i dobytkiem Reicharda; nie troszczyli się już o niego, uważając go za półwariata. On zaś szukał po

kieszeniach i rzeczywiście znów znalazł w nich przekłete lichy. Wołał więc za nimi i pokazywał im flaszczkę. Ten, który mu ją zabrał, sięgnął zdumiony za pazuchę, a ponieważ jej tam nie znalazł, przybiegł z powrotem, by zabrać ją raz jeszcze.

— Przecież ci mówię — rzekł Reichard zasmucony — że w taki sposób nie zostanie przy tobie. Nie żałuj na nią tych paru groszy.

— Ty kuglarzu — śmiał się żołnierz — tym sposobem nie wyłudzisz ode mnie nic z mojej uczciwie zarobionej gotówki. — I biegnąc za kolegami mocno trzymał flaszczkę w ręku. Nagle jednak stanął i zawołał: — Do kroćset! A jednak wysliznęła się z ręki. — Podczas gdy szukał jej w trawie, Reichard zawołał: — Chodźże tutaj! Ona znów jest w mojej kieszeni. — Gdy wojak znalazł ją u Reicharda, tym bardziej zapragnął posiadać tak zabawnego kobolda, który przy każdej transakcji zachowywał się wesoło i radośnie, bowiem każdy taki akt zbliżał go coraz bardziej do ukończenia służby. Żądane trzy grosze wydawały się jednak piechurovi kwotą za wysoką, na co Reichard niecierpliwie odparł: — Jeśli chcesz, sknero, zgadzam się. Daj mi jeden grosz i zabierz, co twoje.

Transakcja była zawarta, pieniądź wpłacony, mały czarcik przekazany. Podczas gdy żołnierze zatrzymali się jeszcze, by przyjrzeć się dziwnemu stworowi, i śmiali się z niego, Reichard zastanawiał się nad swoim przyszłym losem. Stał tutaj z lekkim sercem, ale i z lekkimi kieszeniami, i bez widoków na jakikolwiek dobry zarobek, gdyż do oddziału konnicy, gdzie byli jeszcze jego słudzy z bronią, końmi i dużą ilością pieniędzy, nie miał odwagi wrócić. Trochę wstydził się swej haniebnej ucieczki, trochę rozmyślał i o tym, że zgodnie z wojskowym prawem rozstrzelają go tam jako dezertera. Przyszło mu więc na myśl, czyby nie przyłączyć się od razu do gromady spotkanych tu piechurów. Z ich gadaniny wywnioskował, że służyli stronie przeciwnej, gdzie go nikt nie znał, a po straceniu całej gotówki, i mimo nieszczęśliwego początku wojny, ale już bez diabełka, miał teraz ochotę zaryzykować życie dla dobrego łupu. Wyraził swoje życzenie, żołnierze zgodzili się, udał się

więc wraz z nowymi kolegami do ich obozu.

Kapitan nie robił trudności z włączeniem do swego oddziału smukłego, dobrze zbudowanego młodziana, jakim był Reichard; tak więc pędził on swe życie przez jakiś czas w charakterze żołnierza piechoty. Było mu jednak niekiedy smutno na duszy. Od ostatniej potyczki obie armie stały naprzeciw siebie beczynnie, ponieważ między państwami toczyły się pertraktacje. Nie było więc rzecz jasna niebezpieczeństwa śmierci, ale też i nie było okazji do plądrowania i zdobycia łupu. Należało cicho i spokojnie siedzieć w obozie, żyć ze skromnego żołdu i równie skąpo przydzielanej żywności. W dodatku większość żołnierzy obłowiła się solidnie w minionej wojnie i Reichard, niegdyś zepsuty młody kupiec, był niemal jedynym wśród żyjących po królewsku kolegów, który musiał sobie radzić niby żebrak. Rzecz jasna, że wkrótce zbrzydło mu takie życie, i kiedy pewnego razu ważył w ręce swój skromny, miesięczny żołd — za mały, by z niego żyć wesoło, za duży, by niczego nie przedsięwziąć — postanowił pójść do kantyny i spróbować, czy gra w kości nie przyniesie mu większych korzyści niż jak dotąd handel i wojna.

Szczyście jak zwykle toczyło się kołem; raz wygrywano, raz przegrywano, i tak to trwało aż do późnej nocy, przy czym popijano też nielicho. W końcu wszystkie rzuty obróciły się przeciw dobrze już podchmielonemu Reichardowi; przegrał cały żołd i nikt nie chciał mu skredytować ani halerza. Zaczął przeszukiwać kieszenie, a gdy nic w nich nie znalazł, szukał dalej w ładownicy, ale były tam tylko naboje. Wyciągnął je i zaoferował grającym jako stawkę; zostały przyjęte, a kiedy już toczyły się kości, zamroczony Reichard spostrzegł, że stawkę tę trzyma z nim żołnierz, który niedawno odkupił od niego diabełka i dzięki niemu oczywiście wygrywa. Chciał zawołać: „Stop!”, ale kości już się zatrzymały, i rozstrzygnęły grę na korzyść przeciwnika. Reichard, klnąc, opuścił towarzystwo i ciemną nocą wracał do swego namiotu. Kolega, który również przegrał swoje pieniądze, ale był trzeźwiejszy od Reicharda, ujął go pod ramię. Zapytał po drodze, czy

Reichard ma w namiocie zapasowe naboje.

— Nie! — zawołał Reichard z pasją. — Gdybym miał naboje, wziąłbym je do dalszej gry.

— No to musisz się postarać o nowe — powiedział towarzysz. — Jeśli bowiem przyjedzie inspekcja i stwierdzi, że żołnierz pobierający żołd nie ma ani jednego naboju, to każe go rozstrzelać.

— Psiakrew! To byłoby głupio! — przeklinał Reichard. — Nie mam ani nabojów, ani pieniędzy.

— Ach — odparł towarzysz — inspekcja na pewno nie zjawi się wcześniej niż za miesiąc.

No to w porządku, myślał Reichard, przedtem dostanę znów żołd i kupię sobie nabojów, ile dusza zapagnie. Potem życzyli sobie dobrej nocy, i Reichard zaczął odsypiać swoje pijaństwo.

Ale niedługo leżał, gdy kapral zawołał przed namiotem: — Hej! Jutro inspekcja; o świcie pan komisarz będzie w obozie. — Reichard natychmiast otrząsnął się ze snu. Naboje wirowały mu w na pół jeszcze zawianej głowie. Nieśmiało rozpytywał się u towarzyszy, czy któryś nie pożyczyłby mu naboi lub nie sprzedał ich na kredyt. Kamraci jednak nazwali go nocnym włóczęgą i pijakiem i odesłali z powrotem na pryczę. W wielkim strachu, że rano z powodu nabojów może zostać rozstrzelany, szukał pieniędzy we wszystkich częściach garderoby, znalazł jednak tylko pięć halerzy. Biegał z nimi chwiejąc się na nogach przez ciemną noc od namiotu do namiotu, chcąc kupić naboje. Niektórzy śmiali się, inni urągali mu, ale nikt nawet nie odpowiedział mu na jego pytanie. Podszedł wreszcie do ostatniego namiotu, skąd rozległy się przekleństwa żołnierza, który w przeddzień wygrał naboje od niego.

— Kolego! — zawołał nieszczęśnik błagalnie. — Albo ty mi pomożesz, albo nikt. Wczoraj zabrałeś mi wszystko, a już i dawniej pomagałeś mnie ograbiać. Jeśli jutro komisarz nie znajdzie u mnie naboi, każe mnie rozstrzelać. Wtedy ty będziesz winien mego nieszczęścia. Dlatego podaruj,

pożycz albo sprzedaj mi parę sztuk.

— Przysięgłem sobie nic nie darowywać i niczego nie pożyczać — odparł piechur — ale dla świętego spokoju mogę ci je sprzedać. Ile masz pieniędzy?

— Tylko pięć halerzy — —odpowiedział Reichard markotnie.

— No — powiedział żołnierz — żebyś wiedział, że jestem dobrym druhem, masz tu pięć nabojów za twoich pięć halerzy, ale teraz kładź się spać i daj spokój mnie i całemu obozowi. — Podał mu naboje przez otwór w namiocie, Reichard dał mu w zamian pieniądze, po czym wolny od trwogi spał spokojnie do rana.

Zapowiedziana inspekcja odbyła się, Reichard ze swymi pięcioma nabojami przetrwał ją szczęśliwie; około południa komisarz wyjechał, piechurzy wrócili do obozu. Ale słońce prażyło niemiłosiernie przez namiotowe płótno, koledzy Reicharda poszli do kantyny, on zaś siedział sam przy kawałku komiśnego chleba; czuł się zmęczony i chory po wczorajszym przepiciu i dzisiejszych trudach.

— Aj — westchnął — gdybym to miał teraz choć jednego z tych dukatów, które kiedyś tak lekkomyślnie trwoniłem. — Nie zdążył jeszcze dokończyć życzenia, a już w jego lewej ręce leżała piękna, błyszcząca moneta. Myśl o diabełku przemknęła mu przez głowę, zatruwając wszelką radość, jaką odczuwał na widok tej ciężkiej sztuki złota. Wtem do namiotu wszedł pełen niepokoju kolega, który nocą sprzedał mu naboje.

— Przyjacielu — powiedział — butelecarka z małym czarnym koboldem, wiesz przecież, kupiłem ją wtedy w lesie od ciebie, zginęła mi. Czy nie dałem ci jej przypadkiem zamiast jednego z nabojów? Zawinąłem flaszeczkę w papier i leżała przy patronach. — Reichard, pełen lęku, zaczął szukać w swojej ładownicy i rozwiniąwszy z papieru pierwszy z brzegu nabój, od razu znalazł w swym ręku wąską flaszeczkę ze straszliwym sługą. — No to dobrze — powiedział żołnierz. — Niechętnie obywałbym się bez niego, choć wygląda wstrętnie, zawsze mi się zdaje, że przynosi mi zupełnie wyjątkowe szczęście w grze. Weźcie, kolego, swojego halerza i oddajcie mi tę kreaturę.

— Reichard pospiesznie uczynił zadość temu życzeniu, a uradowany żołnierz pobiegł do kantyny.

Ale biedny Reichard czuł się bardzo źle, odkąd znów widział szatankę, ba, nawet miał go w rękach i nosił ze sobą. Z każdego fałdu tego namiotu, myślał, szczyrzy pewno do mnie zęby, a może nawet niepostrzeżenie zadusi mnie we śnie? Pełen lęku rzucił precz od siebie upragnionego dukata, choć tak bardzo potrzebował pokrzepienia, i w końcu strach,—że lichy znów może zagnieździć się w pobliżu, wygnał Reicharda z obozu, biegł w zapadającym zmierzchu w najgęstszy mrok lasu, gdzie w odludnym miejscu, wyczerpany strachem i znużeniem, osunął się na ziemię.

— O Boże! — westchnął spragniony — żebym miał choć manierkę wody, żebym nie musiał umierać z pragnienia. — I już manierka z wodą stała tuż przy nim. Chciwie łyknął parę razy, po czym zaczął się zastanawiać, skąd się też wzięła. Wtedy przyszedł mu na myśl diabełek, lękliwie sięgnął do kieszeni, a kiedy wyczuł tam flaszeczkę, opanowało go przerażenie, stracił przytomność i zapadł w sen.

Podczas snu nawiedził go, jak zwykle, potworny koszmar, widział, że diabełek wydłuża się coraz bardziej, aż w końcu dobywa się z flaszeczki i szczyząc zęby kładzie mu się na piersi. Chciał się bronić, gdyż szatan nie był już — jak sądził — jego własnością, ale diabełek odparł, śmiejąc się głucho: — Kupiłeś mnie przecież za jednego halerza, musisz mnie teraz sprzedać za niższą kwotę, inaczej transakcja nie będzie ważna.

Wtedy zerwał się zlany zimnym potem i zdawało mu się, że znów widzi cień snujący się w stronę jego kieszeni i znikający we flaszeczce. Na pół oszalały cisnął butelkę w pobliską przepaść, ale zaraz potem poczuł ją znowu w swej kieszeni.

— Biada mi, biada! — krzyczał głośno wśród spowitego nocą lasu. — Niegdyś cieszyłem się, że zawsze do mnie wraca, czy to z głębi wód, czy z przepaści, a teraz to właśnie jest moją niedolą, ach, zapewne już wieczną niedolą! — I zaczął biec przez czarne zarośla, wpadał w ciemności na drzewa

i skały, ale przy każdym kroku słyszał, jak buteleczka pobrzękuje mu w kieszeni.

O świcie dotarł do jasnej, wesołej polany. Smutno mu było na sercu, a jednak miał nadzieję, że te zwariowane widziadła mogą być po prostu tylko koszmarnym snem: być może znajdzie szklaną flaszeczkę w swojej kieszeni, ale już inną, całkiem zwyczajną. Wyciągnął ją i trzymał pod światło porannego słońca. O Boże, czarny potworek tańczył w niej w przyjaznym blasku poranka, wyciągając do Reicharda swe małe, zwyrodniałe, niby obciążki, ramiona. Z głośnym krzykiem upuścił flakonik na ziemię, ale zaraz potem znów usłyszał brzęk szklanej buteleczki w swej kieszeni. Teraz zależało mu już tylko na tym, by zdobyć monetę o mniejszej wartości niż halerz, ale nigdzie takiej nie mógł znaleźć; powoli tracił wszelką nadzieję na pozbycie się obrzydliwego Sługi, który groził, że niebawem stanie się jego panem. Niczego już nie chciał od tego diabła, potworny strach odbierał mu siłę i zdolność do jakichkolwiek poczynań i tak, o żebraczym kijku, wędrował tam i z powrotem po włoskiej ziemi. Ponieważ spojrzenie miał błędne, a przy tym ciągle rozpytywał o monety półhalerzowe, uważano go za obłąkanego i nazwano powszechnie „Półhalerzem”; pod tym przezwiskiem znano go niebawem wszędzie.

Mówi się, że sępy niekiedy siadają na karku sarnom lub innej młodej zwierzynie i w ten sposób szczują na śmierć biedne stworzonko, które w swoim rozpaczliwym biegu na oślep przez las i wertepy musi jeszcze nieść na sobie wstrętne, drapieżnego wroga.

Podobny los spotkał biednego Reicharda z szatańskim koboldem w kieszeni, a ponieważ męczarnia jego była aż nazbyt przykra i pożałowania godna, nie będę już opowiadał o jego cierpieniach podczas długiej i bezskutecznej ucieczki, natomiast zdradzę, co w czasie tej ucieczki spotkało go po kilku miesiącach.

Pewnego dnia zabłądził wśród dzikich gór i siedział cichy i zgnębiony nad małym strumyczkiem, który sącząc się wśród gęstych zarośli, jakby ze

współczucia i dla orzeźwienia wędrowca przeciekał aż do niego.

Nagle po skalistym gruncie rozległo się potężne stąpanie kopyt końskich i w miejscu, gdzie siedział Reichard, pojawił się na wielkim, czarnym, dziko wyglądającym rumaku ogromny mężczyzna o bardzo szpetnym obliczu, cały w krwistoczerwonym, wspaniałym stroju.

— Cóż to za smutek was gnębi, panie? — zagadał drżącego wewnątrz i przeczującego nieszczęście młodzieńca. — Wyglądacie na kupca. Czyżbyście towar zakupili zbyt drogo?

— Ach nie, raczej zbyt tanio — odparł Reichard cichym zaleknionym głosem.

— Mnie się też tak wydaje, miły kupczyku! — wołał jeździec z okropnym śmiechem. — I czy masz może na sprzedaż takie małe stworzonko, które zwie się diabełkiem? Chyba się nie mylę, biorąc cię za owego znanego obłąkanego „Półhalerza”?

Biedny młodzian ledwo mógł pobladłymi ustami wyszeptać: „Tak, to ja”, spodziewał się bowiem, że płaszczy jeźdźca lada chwila przemieni się w ociekające krwią skrzydła, że ogierowi wyrosną czarne jak noc pióra, przesywane błyskawicami piekielnego ognia, po czym rumak zerwie się do lotu wraz z nim, nieszczęsnym, i zanieś go na miejsce wiecznych mąk.

Ale jeździec odezwał się nieco łagodniejszym tonem i z mniej okrutnymi gestami: — Widzę już, za kogo mnie bierzesz. Lecz bądź spokojny, nie jestem nim. Raczej chciałbym cię od niego uwolnić, szukam cię bowiem już od wielu dni, by odkupić od ciebie kobolda. Co prawda dałeś za niego wściekle mało i nawet ja nie potrafiłbym zdobyć monety o niższej wartości. Lecz posłuchaj uważnie. Po drugiej stronie gór mieszka książę, młody rozwiąły człowiek. Jutro na polowaniu odciągnę go od świty i poszczuję na niego wstrętne potwora. Czekał tu do północy, a następnie, kiedy księżyc stanie nad tym ostrym wierzchołkiem skały, idź miarowym krokiem wzdłuż ciemnej przepaści, otwierającej się tu po lewej stronie. Nie spiesz się, nie zatrzymuj się, a znajdziesz się na miejscu akurat w chwili, kiedy potwór

będzie miał księcia w swoich łapach. Zaatakuj potwora bez lęku, musi ci ulec i w twoich oczach runąć w morze ze stromego skalnego urwiska. Wtedy zażądaj od księcia, żeby z wdzięczności kazał ci wybić kilka półhalerzówek, wymienisz mi dwie i za jedną z nich kupię od ciebie diabełka.

Tak powiedział straszliwy jeździec i nie czekając odpowiedzi, zniknął wolno wśród zarośli.

— Ale gdzie ja cię znajdę, kiedy będę już miał te półhalerze! — wołał Reichard za nim.

— Przy Czarnym Źródle! — krzyknął jeździec. — Tu każda niańka ci powie, gdzie się ono znajduje.

I powolnymi, ale wielkimi krokami obrzydły rumak uniósł swe wstrętne brzemię.

Dla kogoś, kto przegrał wszystko, ryzyko właściwie już nie istnieje, dlatego i Reichard w swej ponurej rozpaczycy zdecydował się posłuchać rady straszliwego jeźdźcy.

Zapadła noc, pojawił się księżyc połyskujący czerwienią i wreszcie stanął nad oznaczonym skalnym wierzchołkiem. Wtedy blady, drżący wędrowiec podniósł się i wszedł w ciemną rozpadlinę. Było tam ponuro i głucho, światło księżycy tylko niekiedy zaglądało przez wysokie skały, wznoszące się po obu stronach, a w wąskiej czeluści snuły się jakby cmentarne wyziewy, poza tym jednak nic nie sprawiało wrażenia niesamowitości. W tej sytuacji Reichard był raczej skłonny do pośpiechu niż do zatrzymywania się, ale wierny wskazówkom jeźdźcy nie uległ pokusie i był zdecydowany nie zrywać własnowolnie tej wątej niteczki, jaka go jeszcze wiązała ze światłem i nadzieją.

Po wielu godzinach na jego mrocznej drodze rozbrłysło parę różowych promyków jutrzunki, świeże, kojące podmuchy wietrzyka chłodziły mu twarz. Ale właśnie kiedy wydostawał się z głębokiego jaru, chcąc rozkoszować się piękną okolicą i błękitnym lśnieniem pobliskiego morza, przeszkodził mu w tym pełen lęku krzyk. Odwrócił się i zobaczył, że jakies

wstrętne zwierzę powaliło na ziemię nieznanego mu młodego człowieka w bogatym, myśliwskim stroju. Pierwszym odruchem Reicharda było oczywiście pospieszyć na pomoc, lecz gdy bliżej przyjrzał się bestii i spostrzegł, że podobna jest do olbrzymiej, złej małpy, która w dodatku miała na głowie potężne jelenie rogi, opuściła go wszelka odwaga i zamierzał, nie bacząc na żalosne wołania o pomoc, wrócić z powrotem do jaru. W tej chwili przypomniał sobie słowa jeźdźca. Gnany więc strachem przed wiecznym potępieniem, rzucił się ze swoim sękatym kijem na małpiego potwora. Ten kołysał właśnie myśliwego na przednich łapach, by go podrzucić w górę i wziąć na rogi. Ale gdy tylko Reichard zbliżył się, potwór puścił swoją ofiarę i uciekł, wydając obrzydliwe gwizdy i skrzeki; rozzuchwalony Reichard ścigał go, aż stwór runął z wysokiego urwiska do morza, szczerząc jeszcze kły na Reicharda i znikając wreszcie w falach.

Teraz młody człowiek wrócił z tryumfem do uratowanego, który — jak zresztą należało tego oczekiwać — przedstawił się jako panujący na tym obszarze książę; ogłosił też swego wybawcę za bohatera i prosił go, by śmiało zażądał od niego jakiejś nagrody, gotów dać mu każdą, jaka tylko się mieści w jego możliwościach.

— Naprawdę, panie? — zapytał Reichard pełen nadziei. — Czy mówicie to poważnie? I chcecie, powołując się na wasz książęcy honor, dopomóc mi wedle możliwości w tym, o co was poproszę?

Książę raz jeszcze potwierdził obietnicę z największą radością i zdecydowaniem.

— Więc, na litość boską — zawołał Reichard z żarliwym błaganiem — niech książę każe mi wybić w mennicy parę półhalerzówek, mających wartość obiegową, a chociażby tylko dwie!

Kiedy książę przyglądał mu się jeszcze ze zdumieniem, nadbiegło kilka osób ze świty, którym książę opowiedział całe zdarzenie; jeden z przybyłych niebawem rozpoznał w Reichardzie pomyłonego „Półhalerza”, którego już kiedyś spotkał.

Wtedy książę zaczął się śmiać, a biedny przerażony Reichard objął go za kolana, przysięgając, że zginie, jeśli nie dostanie półhalerzówek.

Książę, ciągle jeszcze się śmiejąc, odparł: — Wstań, chłopcze, masz moje książęce słowo, i jeśli obstajesz przy swoim, to każę ci wybić tyle półhalerzówek, ile tylko zapragniesz. Gdyby ci jednak odpowiadały monety o wartości jednej trzeciej halerza, to obyłoby się bez mennicy, gdyż nasi sąsiedzi twierdzą, że nasze krajowe halerze są tak lekkie, iż dopiero trzy stanowią równowartość ich jednego.

— Czy aby tak jest naprawdę? — rzekł Reichard z powątpiewaniem.

— Aj — odparł książę — byłbyś chyba pierwszym, któremu wydawałyby się za dobre. Ale gdyby cię jednak spotkał zawód, to przyrzekam uroczyście, że każę ci wybić jeszcze gorsze, o ile to będzie możliwe.

Po czym polecił jednemu ze służących wręczyć Reichardowi woreczek pełen krajowych halerzy. Młodzieniec jak szalony popędził z woreczkiem do pobliskiej granicy, a kiedy w najbliższej gospodzie sąsiedniego kraju dano mu, niechętnie i ociągając się, jednego zwykłego halerza za trzy książęce, które wymieniał na próbę, poczuł się człowiekiem tak szczęśliwym, jakim już od dawna nie był.

Nie zwlekając ani chwili zapytał o Czarne Źródło, ale na samą wzmiankę o nim dzieci bawiące się w gospodzie wybiegły z niej z krzykiem. Gospodarz poinformował go, sam drżąc ze strachu, że jest to osławione miejsce, z którego ponoć wiele złych duchów rozchodzi się po kraju i które tylko niewiele ludzi widziało na własne oczy. Wie on z całą pewnością, że wejście prowadzące do źródła znajduje się w pobliżu, że przed wejściem jest jaskinia, a przed nią sterczą dwa suche cyprysy, i że nie można zmylić drogi, gdy się tam idzie, przed czym jednak niechaj Bóg zachowa Reicharda i wszystkich wiernych chrześcijan.

Rzecz jasna, że Reichard znów się zaniepokoił, ale w końcu musiał się przecież zdecydować, ruszył więc w drogę. Już z daleka dostrzegł czarną i pełną grozy jaskinię, zdawało się, że cyprysy uschły ze strachu przed

wstrętną czeluścią, która zbliżającemu się Reichardowi odsłoniła w swej głębi dziwaczne skały. Wyglądały one jak wykrzywione gęby o długich brodach, a niektóre z nich były nawet podobne do owego małego potwora znad morskiego brzegu. Gdy się tam jednak spojrzęło wnikliwiej, były to tylko zwykłe, ostro postrzępione i popękane głązy. Biedny młodzian wszedł między te maskary drżąc na całym ciele. Kobold w jego kieszeni stał się tak ciężki, jak gdyby usiłował go stamtąd odciągnąć. Ale to właśnie spotęgowało odwagę Reicharda. Myślał bowiem: Czego on nie chce, tego właśnie ja powinienem chcieć. Toteż wkrótce nie widział już tych przerażających maszkar, gdyż jaskinię zaległa na jego oczach nieprzenikniona ciemność. Z wielką ostrożnością macał teraz kijem przed sobą, by nie wpaść przypadkiem w jakąś nieznaną przepaść, nie wyczuwał jednak j nic prócz gruntu pokrytego delikatnym mchem i gdyby nie osobliwe gwizdy i skrzeczenia, przesywające od czasu do czasu jaskinię, otrząsnąłby się z wszelkiego przerażenia.

Wreszcie wydostał się na zewnątrz. Bezludna górská kotlina zamykała go ze wszystkich stron. Z boku dostrzegł straszliwego czarnego rumaka, własność swego kontrahenta; olbrzymi koń stał nie przywiązany, z wysoko zadartym łbem, nie pasł się i nie poruszał, był podobny do spiżowego posągu. Naprzeciw tryskało ze skały źródło, w którym jeździec mył sobie głowę i ręce, ale zły strumień był czarny jak atrament i tak też barwił; gdy bowiem olbrzymi mężczyzna odwrócił się w stronę Reicharda, jego wstrętna twarz była czarna jak u Murzyna, co szpetnie odbijało od wspaniałej, czerwonej szaty.

— Nie drzyj, chłopcze — rzekł Straszliwy. — To jeden z obrzędów, które muszę spełniać na życzenie diabła. W każdy piątek muszę się tutaj myć, na złość i na urągowisko temu, j którego wy nazywacie waszym kochanym Stwórcą. Muszę też purpurę mego czerwonego stroju, ilekroć potrzebuje nowego, mieszać z dużą ilością kropli własnej krwi, od której, rzecz jasna, szata moja nabiera właśnie tej wspaniałej barwy; o reszcie uciążliwych

warunków nie chcę nawet wspominać. W dodatku sprzedałem mu duszę i ciało tak nieodwołalnie, że trudno nawet myśleć o jakimś ratunku. A czy wiesz, co mi ten skąpiec za to daje? Sto tysięcy sztuk złota rocznie. To mi nie wystarcza i dlatego chcę sobie kupić tego diabełka, co czynię również i na złość staremu sknerze. Bo pomyśl, moją duszę ma już i tak, a czarcik wróci do piekła bez sukcesu i po długiej pracy. Możesz sobie wyobrazić, jak ponury Belzebub będzie się wściekał. — I zaczął się tak śmiać, aż echo rozchodziło się po skałach, a nawet czarny rumak, zazwyczaj nieruchomy, zląkł się porządnie.

— No cóż, kamracie — zapytał Straszliwy zwracając się znów do Reicharda — czy przyniosłeś półhalerzówki?

— Nie jestem waszym kamratem, panie — odparł Reichard na pół trwoźnie, na pół butnie, otwierając swój woreczek.

— No, no, nie bądź taki hardy! — krzyknął olbrzym. — Któż to poszczuł na księcia owo monstrum, żebyś ty mógł zwyciężyć?

— Te czary wcale nie były potrzebne — rzekł Reichard i opowiedział, jak to książę, już z własnej woli, wybija nie tylko półhalerzówki, ale nawet monety o wartości jednej trzeciej halerza.

Czerwony jeździec wydawał się zagniewany, że niepotrzebnie zadał sobie tyle trudu z potworem. Mimo to wymienił jednego halerza na trzy grosze, wręczył Reichardowi jeden grosz i otrzymał w zamian flakonik, który z trudem dał się wyciągnąć z kieszeni i na dnie którego leżał markotny i żałośnie skulony diabełek. Na jego widok nabywca znów wybuchnął gromkim śmiechem i zawołał: — I tak nic ci nie pomoże, szatanie; dawaj złota, tle tylko mój czarny rumak prócz mnie potrafi unieść. Niebawem ogromne zwierzę stękało już pod olbrzymim ciężarem złota. Wzięło jednak na grzbiet jeszcze i swego pana, po czym, podobne do muchy, która wspina się po ścianie, zaczęło kroczyć po prostopadłej skale w górę, ale z tak obrzydliwymi ruchami i przegięciami, że Reichard czym prędzej uciekł do jaskini, aby już niczego więcej nie widzieć.

Dopiero kiedy znów wyszedł z jaskini po tamtej stronie góry i odbiegł kawał drogi od skalnej gardzieli, duszę jego przepęłniło wreszcie radosne uczucie wyzwolenia. Czuł w sercu, że odpokutował dawne wielkie winy i że odtąd żaden kobold już mu nie zagrozi. Z radości położył się w wysokiej trawie, głaskał kwiaty i posyłał całusy słońcu. Odzyskał swe dawne, pogodne usposobienie, ale już bez niegdysiejszej zuchwałej lekkomyślności i bezecności. Choćby miał teraz niejakię prawo chełpić się, że samego diabła wyprowadził w pole, nie chwalił się tym jednak. Całą swoją odmłodzoną energię zużywał na to, aby odtąd żyć w sposób bogobojny, godny i radosny. Udało mu się to tak dalece, że już po kilku latach sumiennej pracy mógł jako zamożny kupiec wrócić do swej ukochanej niemieckiej ojczyzny, gdzie pojął żonę i często w błogosławionym sędziwym wieku opowiadał ku pożytkowi i przestrodze wnukom i prawnukom baśń o przeklętym diabełku.

Przełożyła Gabriela Mycielska

Ernst Theodor Amadeus Hoffmann

PIASKUN

Nataniel do Lotara

Pewnoś niespokojny, że od tak dawna nie pisałem. Matka gniewać się musi, a Klara może myśli, że tu hulam, zapominając o mym słodkim aniele, którego obraz tkwi głęboko wryty w mym sercu. Przecież nie ma dnia, nie ma godziny, żebym nie myślał o was wszystkich, piękna twarzyczka mojej Klary zjawia mi się w snach, a jej jasne oczy uśmiechają się tak wdzięcznie jak zwykle, kiedy do was wchodzę.

Doprawdy, nie wiem nawet, jak ci wypowiedzieć wrażenia, od których jeszcze w tej chwili zmysły mi się mącą. Coś straszliwie dziwnego zdaje się targać wątek mojego życia. Ponure przecucia jakiejś przyszłości pełnej grozy gromadzą się zewsząd koło mnie, podobne do nawału czarnych i nieprzenikliwych obłoków, nie dopuszczając ani promyka jasności do skołatanej głowy. Jakimiż słowy zdać ci sprawę z tego, co mi się w tych dniach zdarzyło? Umiem wiele wymóc na sobie, ale na samą myśl o tym, co ci mam opowiedzieć, słyszę we własnej duszy śmiech gorzki i szalony. O mój drogi Lotarze, jak ci tu dać pojąć całą okropność tego wydarzenia, które mogło zniszczyć moje życie? Gdybyś przynajmniej sam na to patrzył, nie zadałbyś mi fałszu w oczy; ale z daleka wziąć mnie możesz za szalonego wizjonera. Jednym słowem, wypadek, z którego wpływem złowróżbnym dotąd się jeszcze daremnie moczuję, jest następujący: Dni temu kilka,

mianowicie trzydziestego października około południa, wstąpił do mnie pewien optyk wędrowny i zaofiarował mi swoje towary. Nie kupiłem nic i zagroziłem mu nawet, że go zrzucę ze schodów. Na te słowa wyniósł się dobrowolnie.

Zgadujesz, że tylko pewne okoliczności, ściśle związane z moim życiem, mogą nadać niejakię znaczenie temu tak powszedniemu wypadkowi; że osoba owego przekłętego kramarza musi wywierać zgubny wpływ na mnie.

Tak jest w istocie. Potrzebuję niemało sił i władzy nad sobą, żebym ci mógł z jakim takim ładem opowiedzieć tyle ze wspomnień mego dzieciństwa, aby ci to dało jasny obraz całej sytuacji.

Wyobrażam sobie, jak się oboje z Klarą śmiejecie z tej przedmowy. „Co za dziecinada!” mówi Klara. Śmiejecie się, proszę was, żartujcie sobie, ile wam się podoba, owszem, błagam was o to. Bo co do mnie, Boże wielki! śmierć gości w mojej duszy i jeśli wyśmianym być pragnę w szaleńczej rozpaczy, to nie inaczej jak Franciszek Moor, który się o to sam u Daniela dopraszał.

Ale przystąpmy do rzeczy.

W dzieciństwie naszym nigdy prawie w ciągu dnia nie widzieliśmy ojca, niekiedy tylko jadał z nami obiad. Było rzeczą wiadomą, że obowiązki urzędowania zajmowały mu wszystkie chwile. Po wieczerzy, która stosownie do dawnego obyczaju była podawana o siódmej, szliśmy z matką do pokoju ojca i zasiadaliśmy przy okrągłym stole. Ojciec palił wtedy fajkę i popijał piwo z dużej szklanki. Często opowiadał nam dziwne zdarzenia, i to z takim zapalem, że raz wraz gasła mu fajka. Do mnie zaś należało zapalać ją bezustannie, co czyniłem z wielkim upodobaniem. Niekiedy znowu dawał nam tylko do oglądania książki pełne obrazków, sam zaś siedział w krześle milczący i bez ruchu, puszczając tak ogromne kłęby dymu, żeśmy się zdawali pływać w obłokach. Wtedy matka bywała smutna i zadumana i skoro zegar wybił dziewiątą, mówiła do nas: — No, dzieci, czas do łóżka. Piaskun idzie. Słyszycie?

W istocie, słyhać było wtedy kogoś idącego po schodach krokiem powolnym i ciężkim. Był to zapewne piaskun.

Pewnego dnia to głucho stąpanie przstraszyło mię więcej niż zwykle, rzekłem więc do matki, podczas kiedy mnie wyprowadzała: — Mateczko, co to za jeden ten brzydki piaskun, co nas zawsze wypędza od ojca? Jak on wygląda?

— Nie ma żadnego piaskuna — odpowiedziała matka. — Kiedy wam powiadam: piaskun idzie, to znaczy po prostu, że wam się spać chce i nie możecie oczu otwartych utrzymać, tak właśnie, jakby wam kto w nie piaskiem rzucał.

To objaśnienie nie zadowoliło mnie bynajmniej. Wyobraziłem sobie tylko, że matka nie chce nas straszyć, ale piaskun istnieje rzeczywiście, skoro co dzień słyszę, jak idzie po schodach.

Wiedziony pragnieniem dowiedzenia się czegoś bliższego o nim i jego do nas, dzieci, stosunku, począłem raz wypytywać o to starą kobietę, która była niańką mej najmłodszej siostry.

— Piaskun? — rzekła. — Nie wiesz jeszcze, co to za jeden? To taki niegodziwiec, który przychodzi na zawołanie, kiedy dzieci spać iść nie chcą, i rzuca im garściami piasek w oczy, aż im z orbit wychodzą; wtedy je pakuje do worka i zanosz na księżyc swoim dzieciom do zjedzenia. Te zaś nie wyłazą nigdy z gniazda i mają jak sowy ogromne zakrzywione dzioby, którymi łapczywie zjadają oczy powydzierane nieposłusznym dzieciom.

Ten obraz okrutnego stracha z piasku uparcie tkwił mi w głowie. Odtąd na sam odgłos kroków na schodach drżałem przerażony. Najczulsze słowa matki nie były w stanie uspokoić mojej obawy i na wszystko odpowiadałem tylko z łkaniem: — Piaskun! Ja nie chcę piaskuna! — Po czym uciekałem co prędzej do łóżka i przez całą noc umierałem ze strachu, dręczony widziadłem nawet we śnie.

Byłem już dość duży, by rozumieć, że to, co stara sługa opowiadała o piaskunie i jego dzieciach na księżycu, było zupełnie nieprawdopodobne.

Zawsze jednak piaskun przstraszał mię niemało. Czułem dreszcz słysząc, że nie tylko stąpa po schodach, ale jeszcze z trzaskiem otwiera drzwi pokoju mego ojca i wchodzi do niego. Niekiedy czas jakiś nie przychodził, później znów bardzo często.

Trwało tak lat kilka i pomimo że już podraستاłem, niepodobna mi było oswoić się z tą tajemniczą zjawą. Obraz ponurego piaskuna nie dawał się zatrzeć w mej pamięci. Stosunki jego z moim ojcem dręczyły mnie coraz mocniej, a jednak za nic w świecie nie byłbym się odważył stawiać mu w tym względzie pytań. Opanowała mnie żądza wyjaśnienia tej tajemnicy na własną rękę i ujżenia własnymi oczami strasznego widziadła; żądza ta umacniała się we mnie z latami. Piaskun przywodził mi na myśl cały świat tajemnic i zagadkowych przygód, które tak łatwo zagnieżdżają się w umyśle dziecka. Lubiłem wprawdzie i dawniej opowiadania o czarownikach, wilkołakach i upiorach, ale od czasu jak mnie opętał piaskun, nie było stołu, ściany, szafy, na której bym go nie rysował kredą lub węglem, nadając mu rysy najosobliwsze, a zawsze bardzo straszne.

W dziesiątym roku życia przeniesiono mię z izby dziecinnej. Matka przeznaczyła mi osobny pokoik niedaleko pokoju ojca położony. Jak i wprzódy, ile razy z uderzeniem godziny dziewiątej dały się słyszeć kroki nieznanego na schodach, trzeba się było wynosić co prędzej. Z izdebki mojej słychać było, jak wchodził do pokoju ojca, i wkrótce dolatywała mię woń jakichś osobliwych wyziewów, którymi niebawem wypełniał się dom cały. Wtedy wraz z żądzą dowiedzenia się jakimkolwiek sposobem, kto to jest ten piaskun, rosła we mnie odwaga. Niekiedy, gdy matka odeszła, wykradałem się z izdebki na korytarz, zawsze jednak bezskutecznie. Piaskun był już zawsze u mego ojca, zanim zdążyłem stanąć na miejscu, z którego mógłbym go podpatrzeć. Wreszcie, nie mogąc sobie dać już rady, umyśliłem skryć się w pokoju ojca.

Pewnego wieczora milczenie ojca i smutek matki zapowiedziały mi znowu odwiedzin piaskuna. Udawszy zmęczenie, wymknąłem się przed

dziewiątą i ukryłem się w kącie tuż przy drzwiach. Zaskrzypiały drzwi od ulicy, ktoś szedł przez sień powoli, schody trzeszczały. Matka przeszła obok mnie z młodszymi dziećmi. Ostrożnie, cichutko zajrzałem do pokoju ojca. Siedział jak zwykle, tyłem do drzwi, milczący, nieruchomy, zadumany. Nie zauważył mnie. Szybko wśliznąłem się do wnętrza i schowałem za firanką, która przysłaniała otwartą szafę z ubraniami ojca, stojącą tuż przy drzwiach. Bliżej, coraz bliżej słychać było kroki. Idący pokaszliwał, chrząkał, szedł bardzo powoli. Umierałem ze strachu i niecierpliwości.

Wreszcie tuż za drzwiami głośne stąpanie, silne naciśnięcie klamki, i drzwi otworzyły się z trzaskiem. Zebrałem całą odwagę i wytknąłem głowę najostrożniej, jak tylko mogłem. Otóż i piaskun stoi na środku pokoju, blask świec pada na jego twarz. Cóż widzę! Piaskun, ów straszny człowiek, toż to nie kto inny tylko stary adwokat Coppelius, który często bywa u nas na obiedzie!

A jednak najbardziej przerażająca nawet postać nie tak by mnie trwożyła, co ten przekłety Coppelius. Wystaw sobie niewielkiego człowieka z szerokimi ramionami, ogromną głową, twarzą żółtoziemistą, krogulczym nosem oraz krzaczastymi siwymi brwiami, spod których błyskają ostro zielone, kocie oczy. Jego skrzywione usta otwierały się czasem do złośliwego uśmiechu, wtedy przez zaciśnięte zęby wydobywał się dziwny świst, a na policzkach występowały mu ciemnoczerwone plamy. Nosił on nieodmiennie surdut popielaty staroświeckiego kroju, podobne spodnie i kamizelkę oraz czarne pończochy i trzewiki ze sprzączkami. Małeńka peruka zaledwie przykrywała mu czubek głowy, pukle sterczały wysoko ponad czerwonymi uszami, a szeroki, ściągnięty harbajtel z tyłu, tak że widać było srebrną klamerkę spinającą zmięty halsztuk. W ogóle był okropny i odrażający, ale szczególny wstręt budziły w nas porośnięte włosami i guzowate palce tego człowieka; uważaliśmy za rzecz do wyrzucenia, czego się tylko raz dotknął. Spostrzegł to i odtąd wziął się obmacywać z jakiego bądź powodu ciasta lub owoce, które nam matka wydzielala przy obiedzie lub chowała na

podwieczerek. Wyrzekaliśmy się tych smakołyków ze łzami w oczach. To samo robił, gdy w dni świąteczne ojciec nalewał nam po szklaneczce słodkiego wina. Przejeżdżał ręką po kieliszkach, albo je nawet przytykał do swoich szkaradnych, sinych warg, śmiejąc się szatańsko, kiedy widział nasz gniew przechodzący w cichy płacz. Nie nazywał nas inaczej jak bestyjkami. W jego obecności nie śmieliśmy nieledwie oddychać, przeklinając w duszy obrzydliwca, śmiertelnego naszego wroga, który się uwziął, by zatruwać nam wszelkie przyjemności życia. Matka zdawała się równie go nienawidzić. Ile razy się pojawił, traciła wesołość, stawała się zamyśloną, posępną. Co do ojca, to ten wyraźnie widział w nim jakąś wyższą istotę; skwapliwie uprzedzał wszystkie jego chęci, zdawał się nieledwie czytać w jego oczach. Niech tylko wspomniał przypadkiem o jakiej ulubionej potrawie, zaraz mu ją sporządzano; najrzadsze wina, najzbytkowniejsze łakocie, wszystko było na jego zawołanie.

Gdy zobaczyłem teraz owego Coppeliusa, uczułem straszliwą pewność w duszy. Tak, nikt inny tylko on mógł być piaskunem. Lecz nie było to już straszdyło z bajki, wydzierające dzieciom oczy i zanoszące je na księżyc do pożarcia. Nie, był to okropny, upiorny potwór, który, gdzie się zjawi, niesie ze sobą grozę, nieszczęście, zgubę doczesną i wieczną.

Stałem jak skamieniały. Choć groziło mi odkrycie, za które, jak mniemałem, zostanę surowo ukarany, nie byłem w stanie cofnąć głowy za firankę.

Ojciec przyjął Coppeliusa nader uroczyście.

— No, do roboty! — zawołał tenże głosem ochrypłym, zdejmując surdut.

Ojciec, nie odpowiedziawszy nawet słowem, zdjął także szlafrok i obaj wdziali na siebie długie czarne kitle. Skąd je wzięli? Nie mogłem dociec. Ojciec otworzył drzwi szafy ściennej. Zobaczyłem, że to, co uważałem za szafę, nie było nią wcale; ukazała mi się ciemna pieczara, na środku której ustawiony był piec. Coppelius zbliżył się do niego i niebawem rozniecił na kominie błękitnawy płomień. Stały tam jakieś dziwne przyrządy. Boże

miłosierny, mój ojciec pochylił się nad ogniem i wyglądał teraz zupełnie inaczej. Jakiś straszliwy, konwulsyjny niepokój zdawał się tak dziwnie wykrzywiać jego rysy, zwykle słodkie i szlachetne, że wyglądał, jakby miał na twarzy złośliwą maskę szatana. Stał się nawet podobny do Coppeliusa. Ten ostatni machał rozpalonymi obcęgami, wyciągał nimi z żaru jakieś iskrzące w gęstym dymie bryłki, które kuł gorliwie. Zdawało mi się, że widzę wokoło porozrzucane twarze ludzkie, ale bez oczu; głębokie, czarne, straszliwe dziury zamiast nich.

— Oczu! Oczu! — wołał ciągle Coppelius, głosem zarazem głuchymi grzmiącym.

Przejęty niewypowiedzianym strachem, krzyknąłem i padłem na ziemię. W okamgnieniu schwycił mię Coppelius.

— Ach! Bestyjka, bestyjka! — zawołał zgrzytając. I porwawszy mnie w powietrze, rzucił na rozpalony komin, tak że płomień zaczął mi zajmować włosy.

— Ach! Mamy teraz oczy, śliczną parę dziecięcych oczu! — mruknął do siebie, biorąc w palce rozżarzone węgle z zamiarem przytknięcia mi ich do oczu.

Wtedy ojciec błagalnie podniósł ręce i zawołał: — Mistrzu, mistrzu, zostaw mojemu Natanielowi oczy, nie bierz ich, zaklinam cię!

Coppelius wybuchnął okropnym śmiechem.

— Cha! Cha! To niech je sobie zatrzyma ten łobuz, żeby mógł płakać jak najwięcej. Ale za to zbadamy przynajmniej mechanizm rąk i nóg.

To powiedziawszy, schwycił mnie tak silnie, że mi trzasnęły wszystkie stawy. Odkręcił mi ręce i nogi i przypasowywał je to tu, to tam.

— Nie, to się na nic nie zda, wprzódy było daleko lepiej; stary umiał to zrobić — syczał przy tym, sepleniąc.

Otoczyły mnie ciemności, przebiegł mnie dreszcz i wkrótce nie wiedziałem już o niczym. Słodkie, łagodne tchnienie owionęło moją twarz. Obudziłem się jakby ze śmiertelnego snu. Matka pochylała się nade mną.

— Czy piaskun jest tu jeszcze? — szepnąłem.

— Nie, moje dziecko, poszedł już dawno, nie zrobi ci nic złego.

Mówiąc to ścisnęła mnie czule, ze łzami w oczach.

Nie chcę cię nudzić, kochany Lotarze. Mamże opowiadać tak szczegółowo i obszernie, gdy tyle jeszcze do opowiedzenia zostało? Dość! Zostałem przez Coppeliusa przyłapany na podsłuchiwanie i potraktowany bardzo surowo. Z przestachu dostałem silnej gorączki, która mnie zatrzymała w łóżku przez kilka długich tygodni. Zapytanie „Czy piaskun jest tu jeszcze?” było pierwszym przytomnym słowem, znakiem, że wróciłem do zdrowia, jednym słowem: że zostałem uratowany.

Pozostaje mi już tylko opowiedzieć ci jeden z najstraszliwszych momentów mojej młodości. Przekonasz się, Lotarze, że to nie żadne przywidzenia z mej strony, ale że istotnie coś wyrocznego zawisło nad moim życiem niczym zasłona chmur złowróżbnych, którą może dopiero śmierć rozedrzeć zdoła.

Coppelius nie pokazywał się więcej. Mówiono, że się wyniósł z miasta.

Tak upłynął z rok może. Pewnego wieczora starym zwyczajem siedzieliśmy wokół stołu. Ojciec był bardzo ożywiony i opowiadał rozmaite zajmujące szczegóły z podróży, które był odbył w młodości. Wtem wybiła dziewiąta. Z nagła drzwi od ulicy skrzypnęły w zawiasach i ktoś po schodach iść zaczął krokiem ciężkim i powolnym.

— To Coppelius! — szepnęła matka blednąc.

— Tak, to Coppelius — powtórzył ojciec głosem słabym i złamanym.

Łzy błysnęły w oczach matki.

— Ach, mój mężu — wykrzyknęła — czyż musi tak być?!

— Ostatni to już raz, przyrzekam ci. No, odejdz i zabierz dzieci. Idźcie spać, dobranoc!

Czułem się tak, jakby mi ktoś zwał na piersi brzemię zimnych kamieni; tchu mi zabrakło. Widząc to, matka chwyciła mnie za ramię.

— Chodź, chodź, Natanielu, chodź, mój mały. Pozwoliłem się

wyprowadzić. Kiedy znalazłem się w swoim pokoiku, matka zawołała zza drzwi: — Uspokój się, uspokój, moje dziecię, połów się i zaśnij. Ale dręczony niepokojem i niewypowiedzianą trwogą, oka zmrużyć nie mogłem. Odrażający, straszliwy Coppelius uparcie stał przede mną, z błyszczącymi jak próchno oczyma, z tym swoim drwiącym uśmiechem. Na próżno starałem się oddalić od siebie to widmo.

Było już koło północy, gdy z nagłą rozległ się wśród ciszy huk niesłychany, jakby wystrzał z działa. Zatrząsł się cały dom. Ktoś przeszedł z łoskotem wzdłuż korytarza, zbiegł ze schodów i niebawem trzasnęły drzwi wiodące na ulicę.

— To Coppelius! — zawołałem przejęty zgrozą i wyskoczyłem z łóżka.

W tejże chwili usłyszałem rozdzierające krzyki rozpacz. Po—skoczyłem do pokoju ojca: drzwi zastałem otwarte. Wydobywał się stamtąd duszący dym.

— Ach! Nasz pan! Nasz pan! — wołała służąca.

Tuż przed kominem, na podłodze, leżał martwy mój ojciec, z twarzą wykrzywioną, czarną i popaloną okrutnie. Wokoło niego płakały i zawodziły moje siostry, a matka zemdlona leżała obok.

— Coppeliusie! Przeklęty szatanie! Toś ty zabił ojca! — zawołałem i straciłem przytomność.

Kiedy w dwa dni potem złożono ojca w trumnie, rysy jego odzyskały dawną słodycz i pogodę. To było mi niemałą pociechą. Przekonałem się bowiem, że jego stosunek z Coppeliusiem nie pociągnął go do zupełnej, wiekuistej zatury.

Wybuch rozbudził wszystkich sąsiadów. Rzecz doszła nawet do wiadomości władz. Chciano Coppeliusa pociągnąć do odpowiedzialności, ale gdzieś przepadł bez śladu.

Jeżeli ci powiem teraz, kochany przyjacielu, że ów optyk wędrowny, który mnie obecnie nawiedził, nie był nikim innym jak Coppeliusiem, to spodziewam się, że nie weźmiesz mi za rzecz płonną mej obawy. Był tylko

inaczej ubrany, ale co się tyczy rysów jego twarzy, wreszcie całej nawet postaci, nazbyt go chowam w żywej pamięci, żebym się mógł omylić. Przy tym nie zmienił nawet nazwiska. Powiadano mi, że się podaje za mechanika piemonckiego nazwiskiem Giuseppe Coppola.

Postanowiłem walczyć z tym człowiekiem do upadłego, cokolwiek by się stało. Śmierć mego ojca musi być pomszczona.

Nic o tym wszystkim nie mów naszej matce. Serdecznie pozdrawiam moją dobrą Klarę. Napiszę do niej, jak będę spokojniejszy. Bądź zdrow.

Klara do Nataniela

Prawda, żeś do mnie dawno nie pisał, wiem jednak, że mnie zawsze chowasz w swym sercu. Co większa, widzę, że w każdej chwili myślisz o mnie, skoroś list pisany do Lotara wysłał pod moim adresem. Otworzyłam go z nieopisaną rozkoszą i już przy słowach „Kochany Lotarze” dostrzegłam omyłkę. Co prawda zamiast czytać list dalej, powinnam była oddać go bratu, ale tego nie potrafiłam. Jak często wyrzucałeś mi w przystępie dziecięcej złośliwości, że jak na młodą dziewczynę nazbyt we wszystkim rozumiem,—, nazbyt hołduję rzeczywistości, żeś zdolna zrobić jak ta kobieta, która uciekając z zapadającego się domu jeszcze poprawiała fałdy firanek. Z tym wszystkim, wierz mi, początek twego listu dziwnie mnie przeraził. Ach! mój drogi Natanielu, zaledwie mogłam oddychać, w oczach mi pociemniało. Jakież to straszliwy wypadek do tego stopnia struł ci życie? Pierwsza myśl moja, że mi cię ktoś odbiera, że cię więcej nie ujrzę, przeszyła mnie jak rozżarzony sztylet. Daruj mi tedy, żeś czytała dalej. Twój opis tego niegodziwego Coppeliusa jest okropny; nic też dotąd nie wiedziałam o gwałtownej śmierci twego nieszczęśliwego ojca. Lotar, kiedym mu wreszcie twój list oddała, usiłował mnie uspokoić, ale na próżno. Przeklęty optyk wędrowny Giuseppe Coppola stał mi ciągle przed oczyma; we śnie nawet, zazwyczaj tak spokojnym, wyznam ci ze wstydem, doświadczyłam przykrych marzeń. Wkrótce jednak, bo już nazajutrz, wszystko wydało mi się inne. Nie gniewaj się, mój najdroższy, jeśli ci Lotar doniesie, że pomimo twych dziwnych przywidzeń, iż doznasz od Coppeliusa jakiejś krzywdy, zachowałam po dawnemu wesołość i spokój duszy.

Muszę wyznać otwarcie, żeś jest tego przekonania, iż wszystkie okropności, o których mówisz, odbywały się wewnątrz twego mózgu, rzeczywisty zaś świat zewnętrzny najmniejszego w tym nie brał udziału.

Stary Coppelius mógł być w rzeczy samej odrażający, a ponieważ nie cierpiał dzieci, ten jego wstręt mógł w was z postępem czasu rozbudzić prawdziwą zgrozę. Rzecz prosta, że w twój dziecięcej wyobraźni straszny piaskun, zasłyszany w bajce niańki, utożsamiał się ze starym Coppelusem, a choć podrósłszy przestałeś wierzyć w istnienie piaskuna, pozostał on groźnym potworem. Jego tajemne nocne schadzki z twym ojcem nie miały zapewne nic innego na celu jak doświadczenia alchemiczne, którym twoja matka niezbyt mogła być rada, raz dlatego, że bezużytecznie pochłaniały niemało pieniędzy, a po wtóre, że — jak zwykle bywa w takich razach — ojciec twój, nazbyt się oddając marnym ułudom zdobycia ciemnej mądrości, zaniedbywać musiał rodzinę. Co się tyczy śmierci twego ojca, ośmielam się mniemać, że była tylko owocem jego nieostrożności i że Coppelius nic temu nie był winien. Czy uwierzysz, że w tym względzie rozpytywałam naszego sąsiada, aptekarza, bardzo doświadczonego chemika, czy w istocie zdarzają się przy próbach chemicznych wypadki eksplozji, skutkiem których można znaleźć śmierć niespodzianą.

Odpowiedział mi: — W rzeczy samej — i rozwlekł, jękając się, jak to ma we zwyczaju, opisał mi, jak do tego przyjść mogło. Wymienił przy tym tyle dziwnie brzmiących nazw, że nie udało mi się ich zapamiętać.

Być może, gniewać się będziesz na swoją Klarę i powiesz: Do tej zimnej duszy nie przeniknie nigdy promień tajemniczej siły, która często chwyta życie człowieka w niewidzialne ramiona. Widzi ona tylko tęczową powierzchnię rzeczy ziemskich i cieszy się jak dziecko owocem, którego łupina błyszczy pozłocisto, choć w głębi kryje się śmiertelna trucizna.

Ach, mój drogi Natanielu, wierz mi, że nawet w duszy jak moja, pogodnej, beztroskiej, zbudzić się może przecucie nieznannej potęgi, która sprzysięgła się zniszczyć człowieka aż do rdzenia jego istoty. Przebacz mi, że ja, naiwna dziewczyna, ośmielam się wypowiedzieć otwarcie, co myślę o tej dziwnej walce, która się odbywa w naszej duszy. Może nie znajdę na to odpowiednich wyrażen i śmiać się ze mnie będziesz, nie, żeby zdanie moje

było śmieszne, ale że wymowa tak nieporadna.

Jeśli istnieje jakaś ciemna potęga, usiłująca zdradziecko oplatać nasze istnienie, aby pociągnąć je na niebezpieczną drogę, której byśmy nie wybrali bez jej wpływu, jeśli istnieje taka potęga, to kształtuje się ona w nas, jak my sami, stapia się z naszą osobowością; tylko wówczas bowiem dopuszczamy do jej zakorzenienia się w nas i prowadzenia jej tajemnego dzieła. Jeżeli umysł nasz dostatecznie się wzmógł na siłach dzięki pogodnemu życiu, tak że na pierwszy rzut oka potrafi rozpoznać wszelki wpływ obcy sobie i zgubny i tyle być panem siebie, żeby się nie dać zbić z drogi odpowiedniej swym skłonnościom i powołaniom, to władza ta fatalna nie zdoła nigdy przybrać kształtów określonych, które po większej części bywają tylko naszym własnym obrazem, jakby odbitym w zwierciadle.

Choć znowu nic pewniejszego (jak mi powiadał Lotar), że byle się tylko poddać wpływowi owej ciemnej mocy, potrafi ona wprowadzić do naszej duszy również i obce obrazy, brane ze świata zewnętrznego, które w dziwnym jakimś oszołomieniu sami ożywiamy własną wolą, wierząc w głos, jakim do nas przemawiają. Są to fantomy naszej własnej osobowości, tylko że stosownie do kierunku, jakiemu się ona poddaje, równie nas w niebo wynieść, jak i do piekła zaprowadzić może. Poznasz z tego, drogi Natanielu, jakieś tu pracowicie o materii ciemnych mocy i potęg rozprawiali z Lotarem i jak teraz, kiedy to z trudem przeniosła na papier, wydaje mi się warte zastanowienia. Ostatnich słów Lotara nie ze wszystkim rozumiem, czuję jednak, że i w tym tkwi prawda głęboka. Proszę cię na wszystko, wybij sobie z głowy tego obrzydliwego adwokata Coppeliusa i wędrownego optyka Giuseppe Coppolc. Upewniam cię, że najmniejszej władzy mieć nad tobą nie mogą. Jedynie wiara twoja w ich wrogą potęgę może ich zrobić prawdziwie niebezpiecznymi. Doprawdy, gdyby nie wzburzony ton twojego listu oraz współczucie dla twego strapienia, czułabym się zdolną pożartować sobie z tego adwokata–piaskuna i zarazem wędrownego przekupnia. Bądź dobrej myśli i wesoły! Ułożyłam sobie, że ci będę aniołem–stróżem i że tego

ohydnego Coppolę, gdyby się jeszcze kiedy zjawił w twych koszmarach, śmiechem przepłoszę. Nie boję się go ani trochę, i nawet z jego rąk guzowatych nic sobie nie robię. Ani jako adwokat nie odbierze mi moich łakoci, ani jako piaskun nie wydrze mi oczu. Do zobaczenia, mój najdroższy.

Twoja do zgonu, najdroższy Natanielu...

Nataniel do Lotara

Przykro mi bardzo, że Klara przeczytała list do ciebie pisany. Przekłete moje roztargnienie stało się tego przyczyną.

Odpisała mi na to w sposób bardzo głęboko filozoficzny, dowodząc jasno jak na dłoni, że Coppelius i Coppolo są tylko wytworem mojej wyobraźni, że to tylko fantomy mego własnego ja, które się rozpierzchną, jeśli je uznam za złudzenia.

W istocie nikt by się nie domyślił, wnosząc z jej jasnego, śmiejącego się spojrzenia, które często słodki sen na myśl przywodzi, do jakiego stopnia rozumek mieszkający w tej pięknej główce zdolny jest snuć tak logiczne wywody. Odwołuje się do twego sądu, utrzymując, że o tym rozmawialiście. Mógłbym myśleć, że jej wykładasz początki filozofii. Daj temu pokój.

Zresztą, okazało się rzeczą pewną, że optyk Coppola nic nie ma wspólnego z adwokatem Coppeliusem. Właśnie uczęszczam na wykłady świeżo tu przybyłego profesora fizyki noszącego to samo nazwisko co sławny przyrodnik Spalanzani i będącego Włochem z pochodzenia. Zna on Coppolę od wielu lat, zresztą i z wymowy tego ostatniego poznać można, że jest on prawdziwym Piemontczykiem. Coppelius zaś był Niemcem, choć, jak mi się zdaje, mieszanego pochodzenia.

Nie uspokoilem się jeszcze w zupełności. Miejcie mię, ty i Klara, za co chcecie, ale niepodobna mi się pozbyć na zawołanie wrażenia, jakiego doznałem na widok tego przekłętego Coppoli. Szczęściem wyniósł się już z miasta; wiem to od Spalanzaniego.

Ten profesor to także dziwna figura. Niewielkiego wzrostu, krągły, z wystającymi kośćmi policzkowymi, cienkim nosem, obwisłymi wargami, przeszywającym wzrokiem. Zresztą jeśli chcesz mieć dokładniejsze jeszcze o nim pojęcie, wyszukaj sobie w berlińskim almanachu portret Cagliostro,

rytowany przez Chodowieckiego. Powiadam ci: to żywy portret Spalanzaniego.

Niedawno, idąc po schodach, spostrzegłem w oszklonych drzwiach jego mieszkania nieco uchyloną firankę. Sam nie wiem, czemu zajrzałem ciekawie. Siedziała tam przy stoliku, trzymając na nim złożone ręce, wysoka, smukła, niezwykle harmonijnie zbudowana i prześlicznie ubrana młoda kobieta. Odwrócona była twarzą ku drzwiom, tak że mogłem się przyjrzeć jej anielsko pięknemu obliczu. Zdawała się mnie nie widzieć. W ogólności spojrzenie jej miało w sobie coś nieruchomego, byłbym skłonny przypuścić, że nic nie dostrzega. Wyglądało to tak, jakby spała z otwartymi oczyma. Zrobiło mi się dość nieprzyjemnie i po cichu prześliznąłem się do audytorium położonego obok.

Dowiedziałem się później, że to była Olimpia, córka Spalanzaniego, której on tak dziwnie zazdrośnie strzeże, że dotąd nikt się do niej zbliżyć nie zdołał. Musi mieć jakieś po temu przyczyny. Może jest słaba na umyśle lub coś podobnego.

Ale doprawdy, po cóż ja ci piszę to wszystko, kiedy będę mógł opowiedzieć nierównie dokładniej. Bo najdalej za dwa tygodnie będę z wami. Muszę zobaczyć moją dobrą, serdecznie ukochaną Klarę. Stopnieje to napięcie między nami, które — muszę to przyznać — powstało po jej straszliwie rozsądnym liście. Dlatego też nie piszę dziś do niej. Tysiącne pozdrowienia.



Trudno o coś osobliwszego i dziwaczniejszego jak to, co się wydarzyło memu biednemu przyjacielowi, studentowi Natanielowi, a co ci właśnie zamierzam opowiedzieć, łaskawy czytelniku. Czy wydarzyło ci się kiedyś coś, co by całkowicie wypełniło twe serce, myśli, pamięć, wypierając

wszystko inne? Nurtuje cię to, wre w tobie, żarem zapala krew w żyłach, maluje rumieńcem policzki. Spojrzenie twoje staje się dziwaczne, jak gdybyś w pustym pokoju dostrzegał zjawy, niewidoczne dla oczu innych. Ciężkie westchnienia często przerywają twą mowę. Przyjaciele pytają: Co ci jest? Co ci dolega? I oto chciałbyś swe przeżycia wewnętrzne odmalować przy pomocy najjaskrawszych farb, najostrzejszych światła i cieni, wysilasz się, by zacząć jakoś, by znaleźć właściwe słowa. Wydaje ci się, że od razu, od samego początku musisz zebrać razem wszystkie te doznania, cudowne, wspaniałe, przeraźliwe, okropne, wesołe i groźne zarazem, tak by podziały na wszystkich jak porażenie prądu. Ale język, wszystkie twe słowa wydają się bezbarwne, zimne, martwe. Szukasz ich, płaczesz się, jąkasz, a rozsądne pytania przyjaciół jak podmuchy lodowatego wichru gaszą żar twego wnętrza. Jeżeli jednak uda ci się, niby zuchwałemu rysownikowi, jednym pociągnięciem, kilku śmiałymi kreskami wywołać właściwy obraz, z łatwością już przychodzi ci nakładać coraz płomienniejsze farby; porwani widokiem różnorodnych żywych postaci, przyjaciele twoi, jak i ty, dostrzegają samych siebie w owym obrazie wyczarowanym z twej duszy.

Muszę ci wyznać, łaskawy czytelniku, że nikt mnie właściwie o historię młodego Nataniela nie pytał, wiesz jednak dobrze, że należę do tego osobliwego gatunku autorów, którzy, jeśli doznają czegoś podobnego temu, co powyżej przedstawiłem, czują się tak, jak gdyby każdy w ich pobliżu, jakby cały świat pytał: „Cóż to takiego?” „Opowiedz, przyjacielu”. Czuję niepowstrzymaną chęć opowiedzenia ci o tragicznym życiu Nataniela; niesamowitość, osobliwość tego życia przepęłnia moją duszę. Ale właśnie dlatego, mój czytelniku, że mam cię skłonić do wysłuchania rzeczy dziwnych — co nie jest drobnostką — dręczy mnie pytanie, jakby tu historię tę zacząć jasno, a oryginalnie i porywająco. „Pewnego razu...” — to początek w opowiadaniu najodpowiedniejszy, ale zbyt oschły. „W małym mieście prowincjonalnym S. żył...” — tak już trochę lepiej, to przynajmniej stwarza od razu klimat. A może wprost, medias in res: „Idźże do diabła! — zawołał

Nataniel, a w jego dzikim spojrzeniu odmalowały się wściekłość i przerażenie, gdy wędrowny optyk Giuseppe Coppola...” Tak bym może i zaczął, gdybym w spojrzeniu Nataniela mógł dopatrzeć się czegoś zabawnego, ale historia nie jest wcale zabawna. Nie przychodzą mi na myśl słowa, które w najmniejszym choćby stopniu zdolne byłyby oddać koloryt wewnętrzny tego obrazu. Postanowiłem więc wcale nie zaczynać. Niech te trzy listy, których mi łaskawie udzielił przyjaciel Lotar, posłużą jako szkic. A ja, opowiadając, postaram się tylko intensywniejszymi barwy ten zarys podmalować. Może okażę się dobrym portrecistą, może mi się uda niektóre postaci tak zarysować, że nie znając oryginału, będziesz je, łaskawy czytelniku, jakby własnymi oczyma oglądał. Może zrozumiesz wtedy, że nie ma nic dziwniejszego i bardziej szalonego jak samo życie, a sztuka pisarska potrafi jedynie uchwycić jego odbicie w zmętniałym, matowym zwierciadle.



Do listów poprzednich wypadnie dodać pewne objaśnienia, będące w związku z przeszłością naszych bohaterów. W czas jakiś po śmierci ojca Nataniela Klara i Lotar, sieroty, dzieci dalekiego krewnego, zostały przygarnięte w domu wdowy celem wspólnego z jej dziećmi wychowania. Wkrótce Nataniel pokochał Klarę i gdy się przekonał, że była mu wzajemną, zaręczył się z nią, czemu się nikt nie sprzeciwił, i wyjechał do G. kończyć rozpoczęte nauki. Właśnie go tam widzieliśmy w jego ostatnim liście, uczęszczającego na wykłady Spalanzaniego.

Teraz mógłbym już dalej snuć opowiadanie, ale obraz Klary tak żywo stoi mi przed oczyma, że nie mogę się napatrzeć, jak to zresztą zawsze bywało, gdy uśmiechnęła się słodko. Klara nie była w ścisłym znaczeniu piękna, tak twierdzili ci, którzy się na piękności znają z urzędu. Architekci chwalili proporcje jej ciała, malarze znajdowali, że jej szyja, piersi, ramiona mają

kształty niemal zbyt dziewicze, wszyscy zaś podziwiali jej cudowne włosy, przywodzące na myśl Marię Magdalenę, i jej płeć delikatną jak u Batoniego. Ale nade wszystko wyraz oczu, który zdolny był zachwycić najwymyślniejszego fantastę. Jeden z nich porównał je z jeziorem Ruisdaela, w którym przegląda się jednocześnie i przeczysty niebios błękit, i zarazem bogactwo krajobrazu w całej pełni kolorów i kipiącego życia.

Poeci i muzycy szli nierównie dalej jeszcze, mówiąc: — Jezioro i zwierciadło? Cóż znowu! Z oczu tej dziewczyny tryskają cudowne, niebiańskie natchnienia i harmonie, przenikając w nasze dusze, budząc je i ożywiając. Czyż nie widzicie, jak uśmiech igra na jej wargach, ile razy który z nas popisuje się w jej obecności. Bo w duszy swojej nosić musi stokroć obfitsze zasoby piękna niż te, na jakie nas wszystkich razem stać.

W istocie. Klara miała żywą wyobraźnię dziecka, duszę po kobiecemu tkliwą i głęboko kochającą, ale zarazem umysł bystry i przenikliwy. Stąd nie lubiła dziwaków i fantastów i jeśli jej się zdarzyło spotkać gdzie którego, nie mówiąc wiele, bo z natury była małomówna, samym już swym byстрыm spojrzeniem i ironicznym uśmiechem zdawała się mówić: — Moi przyjaciele, niech wam się nie zachciewa, żebym brała wasze przywidzenia za coś prawdziwie istniejącego na tym świecie.

Z tego względu Klara była nawet przez wiele osób pomawiana o chłód, nieczułość i prozaiczność. Natomiast ludzie rozumiejący głębię życia bardzo lubili tę wrażliwą, dziecinną, a rozsądną dziewczynę. Wszakże nikt nie miał tyle do niej przywiązania, co Nataniel, skłaniający się do nauki i sztuki. Klara kochała go także z całej duszy i kiedy po raz pierwszy rozłączyć im się przyszło, pierwsza ciemna chmura zaciążyła nad jej życiem. Z jakim zachwytem biegła rzucić się w jego objęcia, kiedy, jak to był obiecał w ostatnim liście, zjawił się w rodzinnym mieście i wszedł do pokoju matki. Stało się też, jak był przewidział: zaledwie ujrzął Klarę, zapomniał natychmiast i o zbyt rozsądnym jej liście, i o Coppeliusie. Całe napięcie między nimi zniknęło.

Miał słuszność Nataniel pisząc w swym liście, że zjawienie się wędrownego optyka fatalnie wpłynęło na jego życie. Wszyscy już w pierwszych dniach odczuli, że Nataniel jest zmieniony do głębi swej istoty. Popadał w ponure marzenia i począł roić rzeczy dziwne jak nigdy. Życie ziemskie w mniemaniu jego było tylko sennym przeczuciem.

— Człowiek błędnie mniema, iż jest samowładny — powtarzał. — Przeciwnie, służy on tylko za okrutną igraszkę tajemniczym potęgom, przeciw którym walczyć daremną jest rzeczą! Prędzej lub później ulega się nieuchronnie losowi, który nam z góryznaczono.

Uwziął się nawet dowodzić, że jest szaleństwem sądzić, jakoby w nauce i sztukach można było coś wytworzyć swoją własną, wolną wolą; gdyż entuzjazm, który sam tylko ma zdolności twórcze, nie przychodzi z wewnątrz, ale jest wynikiem wyższych pierwiastków, działających na człowieka bezpośrednio z zewnątrz.

Rozsądna Klara ze wstrętem odpychała ten fantastyczny mistycyzm; z tym wszystkim nie zdawało się jej właściwym zbijać twierdzenia Nataniela. Wszakże kiedy ten ostatni począł pewnego razu dowodzić, że Coppelius w charakterze niegodziwego ducha opętał go od chwili, kiedy się ujrzał podpatrywanym spoza firanki, i że ten demon zapewne zechce zawichrzyć ich wspólne przyszłe szczęście, nie mogąc się wstrzymać dłużej, wstała i rzekła poważnie: — Tak jest, Natanielu, masz słuszność, Coppelius jest rzeczywiście niegodziwym duchem. Może on w istocie na—broić niemało, jako szatan ucieleśniający się w życiu; ale jedynie wtedy, gdy go się nie pozbędziesz z twej myśli. Jak długo wierzyć w niego będziesz, będzie on żyć i działać; nie co innego bowiem jak tylko wiara twoja stanowi jego siłę.

Nataniel rozgniewany, że Klara zakłada możliwość istnienia demona tylko w jego wyobraźni, usiłował obeznać ją z zasadami wyznawanego przez siebie mistycyzmu tajemniczych wpływów. Ale i to się na nic nie zdało. Uparta dziewczyna zaczęła mówić o czym innym, co wreszcie naprawdę już drażnić poczęło Nataniela. Pomyślał, że zimne i nieczułe dusze zamknięte są dla tak

głębokich tajemnic, nie zdawał sobie sprawy, że i Klarę do takich podrzędnych natur zalicza. Swoją drogą nie zaniechał usiłowań, żeby ją koniecznie zjednać swym przekonaniom. Zdarzało się, że gdy Klara pomagała przy śniadaniu, przynosił jej różne książki mistyczne, z których czytał co ważniejsze ustępy. Wtedy Klara mówiła: — Ależ, mój drogi Natanielu, powiedzieć by można, że tym sposobem ty sam jesteś jakimś niegodziwym pierwiastkiem, wywierającym jak najzgubniejszy wpływ na moją kawę. Nie mogę od ciebie oczu oderwać, kiedy czytasz, a tu tymczasem wszystko wykipiało i nie będziemy mieli śniadania.

Na te słowa Nataniel gniewny zamykał książkę i odchodził do swego pokoju. Niegdyś miał prawdziwy talent do spisywania miłych, żywych opowiadań, których słuchanie sprawiało Klarze największą w świecie przyjemność. Obecnie jego utwory były ponure, dziwne i niepojęte. Choć Klara taktownie nie robiła mu z tego powodu żadnych uwag, spostrzegł przecież, jak mało odpowiadają jej upodobaniom.

W istocie nie było dla niej nic przykrzejszego jak nudy. Kiedy ich doświadczała, wzrok jej równie jak rozmowa zdawał się wypowiadać odrętwienie, w które umysł jej zapadał. Przyznać zaś należy, że utwory Nataniela stały się wierutnie nudne. Do tego żal, jaki miał do Klary, znajdując, że odkrył w niej duszę chłodną i prozaiczną, zdawał się wzrastać coraz silniej, tym bardziej że i Klara nie mogła przemóc w sobie niejakiego wstrętu, widząc, jak Nataniel coraz silniej zapada w swój ponury i niedorzeczny mistycyzm. Tym sposobem wzajemnie się coraz więcej od siebie oddalali, ani się spostrzegając.

Tymczasem postać Coppeliusa rzeczywiście znacznie była zbladła w jego wyobraźni, tak że z trudnością przychodziło mu wprowadzać ją do utworów, w których usiłował wypowiedzieć cały zgubny wpływ tej zmory na swoje przeznaczenie.

Z tym wszystkim przedsięwziął napisać poemat mający za przedmiot ponure przecucie, że Coppelius zagraża ich szczęściu miłosnemu.

Przedstawił w nim Klarę i siebie związanych obopólną, silną miłością, udręczanych jednak od czasu do czasu złowróżbnymi znakami jakiegoś ciemnego wokoło nich wpływu. Wreszcie, w chwili kiedy się już znajdują u ołtarza, zjawia się straszliwy Coppelius, dotyka czarownych oczu Klary, te natychmiast wyskakują z orbit i tryskają na podobieństwo krwawych iskier na pierś Nataniela, którą zapalają płomieniem. W tejże chwili porywa go Coppelius i rzuca w ogniste koło, kręcące się z szybkością huraganu wśród świstu i zgrzytu. Zewsząd szturmuje tam wzdęte i spienione bałwany, szamocąc się ze sobą na podobieństwo czarnych olbrzymów z posiwiałymi głowami. Jednakże wpośród ich ogłuszającego ryku słyszy jeszcze słodki głos Klary, szepczący mu: — Jam przy tobie, opamiętaj się. Coppelius cię zczarował, to nie moje oczy pierś ci ogniem zżarły, to tylko palące krople krwi twego własnego serca. Ja mam oczy jak i dawniej, spojrzysz w nie...

— Prawda! Cóż za niedorzeczność! — mówi sobie Nataniel. — Toż to Klara jest przy mnie, toż ja należę do niej na wieki.

Oprzytomnienie to zdaje się wywierać wpływ ogólny. Płomieniste koło gaśnie, huk przepada w otchłani. Nataniel spogląda w oczy Klary, ale okazuje się, że są to oczy umarłej, patrzące na niego z wyrazem miłości.

Nataniel, dopóki tworzył swój poemat, był spokojny i pogodny. Pracowicie wygładzał i zaokrąglął strofy, a ponieważ przedsięwziął użyć wiersza miarowego, poty nie spoczął póki nie przywiódł wszystkiego do ostatecznej harmonii. Kiedy wreszcie skończył swoją pracę, umyślił przeczytać ją głośno. Ale zaledwie zasłyszał utwór, ogarnęła go niewysłowiona trwoga.

— Cóż to za straszliwe dźwięki?! — wykrzyknął.

Ochłonawszy jednak, począł znowu widzieć w poemacie swoim zwyczajną tylko robotę ducha, która mu się nad podziw udała. Pomyślał, że jeżeliby go przeczytał Klarze, może by zdołał tym sposobem choć trochę rozgrzać tę lodowatą duszę. Nie zdawał sobie przy tym sprawy, do czego właściwie by to Klarę zagrzało i do czego właściwie mogłyby ją doprowadzić

te przerażające obrazy, zapowiadające strasliwą, niszczącą ich miłość dolę.

Pewnego dnia siedzieli oboje w ogrodzie matki. Klara była wesoła jak ptaszę, gdyż Nataniel od trzech dni już — właśnie te trzy dni spędził na pracy nad swoim poematem — nie męczył jej marzeniami ani przeczuciami. On sam także był już jakoś odzyskał dawną swoją wesołość.

— Teraz — rzekła Klara — to już widzę na pewno, żeś znowu mój po dawnemu, drogi Natanielu! Widzisz, jak nam się udało odegnać wreszcie wspólnymi siłami tego niegodziwca Coppeliusa.

Słowa te nieszczęściem przypomniały Natanielowi poemat, który miał przy sobie. Wyjął go z kieszeni i zaczął czytać. Klara, będąc pewna, że to znowu coś bardzo nudnego, zdobyła się na rezygnację i wzięła się do roboty na drutach. Ale wsłuchawszy się w coraz straszniejszy utwór, przerażona opuściła pończochę i poczęła się bystro przyglądać poecie. Ten nieubłagany czytał dalej; rozplómięły mu się żarem policzki, w oczach łzy zabłyśły. Skończywszy jęknął głucho i porywając rękę Klary, zawołał z wyrazem niewysłowionej boleści: — Klaro moja, Klaro, Klaro!

Ona rzuciła mu się na szyję i wyszeptwała cicho, ale bardzo dobitnie i poważnie: — Natanielu, drogi Natanielu, rzuć w ogień te śmieszne i szalone bajki!

Ale ten zerwał się oburzony i odpychając od siebie Klarę zawołał: — Precz, przeklęty automacie bez życia!

Wybiegł. Klara, zraniona do żywego, zalała się gorzkimi łzami. — Mój Boże, on mię nigdy nie kochał, skoro mnie nie rozumie — wyrzekła łkając.

Wtem nadszedł Lotar. Na naleganie jego Klara zmuszona była powiedzieć wszystko, co zaszło. Lotar kochał siostrę z całej duszy. Każde słowo jej skargi działało na niego jak iskra, tak że niechęć, jaką z dawna żywił do Nataniela skutkiem jego dziwacznych marzeń, rozgorzała teraz w dziki gniew. Pobiegł do Nataniela i w niezwykle ostrych słowach zarzucił mu niewłaściwe traktowanie ukochanej siostry. Kipiący wzburzeniem Nataniel równie ostro mu odpowiedział. Za „zwariowanego chłystka” odwzajemnił się

„nędznym, pospolitym zjadaczem chleba”. Pojedynek stał się nieuniknionym.

Postanowili bić się najdalej nazajutrz z rana, poza ogrodem, na rapiery, studenckim zwyczajem. Wymknęli się z domu przed świtem, ponurzy i milczący, ale Klara domyśliła się wszystkiego, słyszała ich sprzeczkę, dostrzegła, jak broń przynoszono o zmroku. Przybywszy na miejsce walki, Lotar i Nataniel w posepnym milczeniu zrzucili płaszcze i z płonącymi żądzą walki oczyma zamierzali właśnie godzić w siebie, gdy Klara wbiegła, by rzucić się pomiędzy walczących.

— Szaleńcy, dzicy ludzie! — zawołała łkając. — Mnie najprzód zabijcie, bo czy brat zabije mi narzeczonego, czy narzeczonego brata, w obu razach żyć mi niepodobna!

Na te tkliwe słowa Lotar opuścił broń i wbił wzrok w ziemię, zawstydzony. Jednocześnie w sercu Nataniela wraz z rozdzierającym smutkiem wezbrała miłość do Klary, ta sama, którą czuł w cudownych dniach młodości. Rzucił rapier precz i padł jej do nóg. — Ach! Czyż zdołasz przebaczyć mi to kiedy, Klaro, jedyna moja! Najukochańsza moja! — rzekł ze łzami. — Czy przebaczysz mi kiedy, bracie mój, Lotarze?!

Wzruszył się Lotar tą głęboką boleścią przyjaciela. Otworzył ramiona i ze łzami padli sobie w objęcia, poprzysięgając odtąd być sobie braćmi do śmierci.

Nataniel uczuł ulgę, jakby spadło z niego ogromne jakieś brzemie, które go przygniatało do ziemi. Raz silny, postawiwszy opór tajemniczej potędze, która go opętała, mniemał się odrodzony na nowo. W istocie bowiem szło o życie, któremu zagrażała zguba, jak sądził, nieunikniona. Tak więc trzy dni jeszcze pozostał ze swymi przyjaciółmi, po czym wybrał się z powrotem do G., gdzie miał pozostawać przez rok jeszcze, po czym na zawsze już do rodzinnego miasta powrócić.

Zamilczano przed matką Nataniela wszystko, co było związane z Coppeliusem; wiedziano bowiem, że nie mogła bez wstrętu słuchać nawet nazwiska tego człowieka, któremu tak jak i jej syn przypisywała śmierć

swego męża.



Proszę sobie wyobrazić zdumienie Nataniela, kiedy przybywszy do G., zastał tylko zgłiszcza z domu, w którym miał mieszkanie. Ogień wybuchł był w pracowni aptekarza mieszkającego na dole, dom spłonął od suterren po dach. Jednak dzielni, odważni przyjaciele zdołali w porę jeszcze wyłamać drzwi od położonego na wyższym piętrze pokoju Nataniela i uratować wszystkie jego książki, rękopisy i przyrządy, tak że prawie nic nie przepadło. Wszystko to nie uszkodzone przeniesiono do innego mieszkania, które też Nataniel zajął.

Nic osobliwego nie widział w tym, że miał mieszkać naprzeciw profesora Spalanzanego, choć dość nieswojo się poczuł, gdy spostrzegł, że ze swego okna może zaglądać do pokoju, gdzie często siadywała Olimpia, tak że mógł do woli przyjrzeć się jej kształtom, choć rysy twarzy były niewyraźne i zamazane. W końcu uderzyło go jednak to, że Olimpia godzinami siedziała w takiej postawie, w jakiej ją ujrzał po raz pierwszy, nieodmiennie przy tym samym stoliku, bez żadnego zajęcia, najwyraźniej jednak nie spuszczać z niego oka. Przyznać musiał, że nigdy mu się nie zdarzyło widzieć piękniejszej postaci. Z tym wszystkim, ponieważ Klara wyłącznie panowała w jego sercu, zjawisko sztywno zapatrzonej przed się kobiety było mu najzupełniej obojętne; miał tylko upodobanie, by spoglądać na nią niekiedy znad swych skryptów, jakby na jaki piękny posąg — nic ponadto.

Właśnie zajęty był pisaniem listu do Klary, kiedy zapukano delikatnie do drzwi i niebawem ukazała się na progu nieprzyjemna postać Coppoli. Nataniel uczył dreszcz, ale przypomniawszy sobie, co mówił Spalanzani o swoim współziomku Coppoli, oraz słowo, które był dał Klarze w sprawie piaskuna Coppeliusa, zawstydził się w duszy tak naiwnej obawy. Zmógł się

tedy na siłach i rzekł, jak mógł, najobojętniej i najłagodniej: — Nie potrzeba mi barometru, przyjacielu, możesz pan odejść!

Na te słowa Coppola wkwaterował się całkiem do pokoju i odezwał się głosem ochrypłym: — Nie, nie, nie idzie tu o barometr, bo ja mam także oczy... piękne, przepyszne oczy...

Mówiąc to, uśmiechał się ohydnie, wyszczerzając zęby, a oczy jego błyszcząły jak próchno spod gęstych, szpakowatych brwi.

Nataniel zerwał się wystraszony.

— Jesteś szalony, mój panie; jakże możesz mieć do zbycia oczy? Oczy... oczy!

Wtedy Coppola sięgnął ręką do wielkiej kieszeni i wyciągnąwszy stamtąd całą garść okularów, zaczął je rozkładać na stole. — Ech, ależ ja mówię o okularach, o okularach, które kładzie się na nos, to właśnie nazywam oczami.

Cedząc przez zęby te słowa, wyciągał coraz więcej okularów, tak że wkrótce cały stół iskrzył się dziwnymi jakimiś odblaskami. Tysiące najrozmaitszych oczu zdawało się mrugać stamtąd na Nataniela, który żadnym sposobem nie mógł oderwać wzroku. A tymczasem Coppola wyciągał coraz nowe okulary i spojrzenia coraz ognistsze, coraz krwawsze, coraz dziksze, coraz nieubłagańsze, raziły wzrok, mroziły serce w piersiach Nataniela.

— Dosyć! Dosyć, straszliwy człecze! — zawołał wreszcie, wychodząc z siebie ze zgrozy.

Mówiąc to, rozpaczliwie przytrzymał rękę swego prześladowcy, który wyciągał całe garście nowych okularów, choć nie było ich już gdzie kłaść, cały stół był zajęty. Coppola wyrwał mu rękę, chichocząc w sposób wstrętny i przeszywający dreszczem.

— A! To pan sobie tego nie życzy! Ale ja mam tu inne szkiełka, bardzo piękne...

Pozbierał był i pochował okulary i sięgnąwszy do innej kieszeni, zaczął z niej wyjmować lornetki i perspektywy.

Jak tylko okulary poznikały ze stołu, Nataniel uspokoił się zupełnie. Pomyślał o Klarze i przekonał się natychmiast, że wszystkie złe omamienia miały źródło w nim samym tylko i że Coppola nie jest żadnym strachem ani tym bardziej sobowtórem przekłętogo Coppeliusa, ale, przeciwnie, najuczciwszym mechanikiem i optykiem. Szkła bowiem, które wyjmował z drugiej kieszeni, nie miały w sobie nic nadzwyczajnego ani upiornego, jak te okulary. Chcąc się tedy z nim pogodzić, umyślił kupić cośkolwiek.

Wybrał małą, pięknie oprawną lornetkę i przyłożył do oczu, chcąc ją wypróbować. Nigdy w życiu nie widział lepszej: przybliżała wszystko tak dokładnie, że aż rozkosz była patrzeć. Mimowolnie skierował ją ku mieszkaniu Spalanzanego.

Olimpia siedziała jak zwykle, z rękoma złożonymi na stoliku. Teraz mógł dopiero przyjrzeć się jej cudownie pięknej twarzy. Tylko oczy wydawały się dziwnie nieruchome i martwe. Jednak w miarę jak się jej przypatrywał, wyraźnie budziły się w nich wilgotne jakieś blaski, jakby promienie wstającego księżyca. Powiedziałbyś, że zdolność widzenia rodziła się dopiero w tej postaci. Stopniowo oczy jej ożywiały się coraz mocniej.

Nataniel stał jakby przykuty do okna, nie umiejąc oderwać wzroku od widoku bosko pięknej Olimpii. Suche chrząknięcia i szuranie obudziły go z odrętwienia. Coppola stał za nim.

— Tre zechini! Trzy dukaty!

Nataniel, który był zupełnie o optyku zapomniiał, zapłacił skwapliwie.

— Nieprawdaż? Piękne szkiełka, śliczne szkiełka? — mówił Coppola ochryłym głosem, uśmiechając się szydlerczo.

— Piękne, piękne — rzekł mu na to Nataniel opryskliwie — No, już idź sobie, bywaj zdrów, przyjacielu!

Coppola rzucił na niego dziwne spojrzenie. Idąc po schodach zdawał się dusić od śmiechu.

Wyraźnie drwi ze mnie, pomyślał Nataniel, sądzi pewnie, że przepłaciłem lornetkę. — Przepłaciłem?

Kiedy to mówił, zdało mu się, że słyszy głębokie, śmiertelnie smutne westchnienie w głębi pokoju. Dreszcz go przebiegł ze strachu, ale niebawem przekonał się, że to on sam westchnął.

— Ma słuszność Klara — rzekł do siebie — cierpię rzeczywiście na chorobliwe przywidzenia. To po prostu śmieszne, więcej niż śmieszne. Czyż istotnie może mi tak dalece zależeć na tym, czym tę lornetkę przepłacił, czy też kupiłem tanio? Dlaczego mi myśl o tym nie daje spokojności? Pojąć tego nie mogę.

Siadł kończyć list do Klary, ale spojrzawszy przypadkiem w okno, spostrzegł, że Olimpia siedzi tam jeszcze. Uczuł nieprzewyciężoną ochotę, by porwać znowu lornetkę i utonąć wzrokiem w tej postaci cudownej. Nie wiadomo, jak długo trwał w tym upojeniu, przerwał mu je dopiero Zygmunt, jego kolega, oznajmiając, że już czas iść na wykład profesora Spalanzanego.

Wróciwszy zastał firankę w tajemniczym oknie zapuszczoną. Nie mógł ani tego dnia, ani przez dwa następne obserwować Olimpii, mimo że nie odstępował prawie od okna i wciąż spoglądał przez lornetkę Coppoli. Na trzeci dzień ujrzał całe okno staranniej jeszcze zasłonięte.

Zrozpaczony, rozgorączkowany, gnany tęsknotą i pożądaniem, wybiegł na miasto. Obraz czarownicy Olimpii unosił się przed nim w powietrzu, wypływał z każdego krzewu, zdając się spoglądać na niego promienistymi oczyma z błękitnych wód przezroczy. Myśl o narzeczonej całkiem wywietrzała mu z głowy, marzył już tylko o Olimpii.

— O ty, cudowna gwiazdo miłości! — wołał, odchodząc od siebie. — Czyliż na to tylko zabłysłaś na niebie, żeby zniknąć bezpowrotnie?! Czyliż mnie zostawisz samego na pastwę ciemnościom i rozpaczy?!

Wracając do domu, spostrzegł wielki jakiś ruch w domu Spalanzanego. Drzwi wszędzie poroztwierane były na przestrzał, wnoszono rozmaite sprzęty. Okna na pierwszym piętrze były powyjmowane, pracowite dziewczki wielkimi miotłami zamiatały posadzki, okurzano meble, wszędzie kręcili się stolarze i tapicerzy. Nataniel zdziwiony przystanął na ulicy, przypatrując się

temu wszystkiemu, kiedy przybliżył się do niego Zygmunt i śmiejąc się zagadnął: — No, co powiesz na to wszystko?

Nataniel wyjaśnił, że nic powiedzieć nie może, bo nic nie wie, tylko z wielkim zdziwieniem stwierdza, że w cichym i posępnym zwykle domu profesora panuje wielkie zamieszanie i przeprowadza się generalne porządki. Wtedy Zygmunt wyjaśnił mu, iż stary Spalanzani nie dalej jak jutro wydaje bal nader świetny, połączony z koncertem, na który zaproszona jest przynajmniej połowa uniwersytetu. Chodzi zaś wieść, że na tym balu po raz pierwszy wystąpić ma jego córka, którą dotąd tak zazdrośnie trzymał w ukryciu.

Nataniel!, znalazłszy u siebie zaproszenie, w oznaczonej godzinie z bijącym sercem zjawił się u profesora. Już było na dziedzińcu mnóstwo powozów, w pięknie ozdobionych salonach światła rażące, tłum świetnych gości. Olimpia ukazała się w ubiorze bogatym i gustownym. Podziwiano piękne rysy jej twarzy i figurę. Osobliwie wygięte plecy i talia cienka jak u osy świadczyły o tym, że jest zanadto ściśnięta sznurówką. Także chód jej i ruchy miały w sobie coś jakby ściśle obliczonego i nadto jednostajnego. Nie podobała się też niektórym osobom, ale składano to na karb zmieszania, jakie wywołało u niej liczne towarzystwo.

Rozpoczęto zabawę koncertem. Olimpia dała się naprzód słyszeć w grze na fortepianie, w czym okazała biegłość znakomitą, następnie odśpiewała brawurową arię głosem czystym i dźwięcznym jak szklany dzwoneczek, ale nieco ostrym. Nataniel był zachwycony. Stojąc w ostatnim rzędzie, nie mógł w jaskrawym świetle świec dokładnie widzieć twarzy Olimpii, dobył tedy z kieszeni lornetkę Coppoli i przyłożył do oczu.

O rozkoszy! Wtedy to spostrzegł dopiero, że w niego tylko z utęsknieniem patrzała, że modulacjom jej głosu odpowiadały namiętne spojrzenia, przesywające go jak błyskawice. Kunsztowna koloratura wydawała mu się niebiańskim okrzykiem serca wezbranego miłością. Kiedy długi tryl kończący kadencję rozbrzmiał w sali, Nataniel nie mógł się opanować i —

jakby dotknięciem rozpalonej jakiejś dłoni popchnięty — wyraził swój ból i zachwyty głóśnym okrzykiem: — Olimpio!

Wszystkie spojrzenia skierowały się ku niemu, niektórzy goście śmiać się poczęli. Organista z katedry, sposepniawszy, szepnął do siebie: — No, no!

Po koncercie bal się rozpoczął. Tańczyć z nią! Z nią! To był cel marzeń i zabiegów Nataniela! Ale jak się tu ośmielić zaprosić ją, królową balu, do tańca? A jednak! Nie wiedzieć jakim sposobem, gdy tańce się zaczęły, znalazł się tuż przy niej; nie była zamówiona jeszcze przez nikogo, i właśnie on, choć zaledwie kilka słów mógł wyjąkać, ujął ją za rękę. Dłoń Olimpii była zimna, jakby trupia. Nataniel uczuł dreszcz we wszystkich członkach; szczęściem, spojrzawszy zdumiony w jej oczy, wyczytał w nich tyle miłości i tęsknoty, że zapomniał o wszystkim w świecie. W tejże chwili uczuł także, jakby krew krążyć zaczęła w jej dłoni; dotknął tętna, biło przyśpieszonym napływem. I w nim rozpalił się żar miłości. Ująwszy kibić pięknej Olimpii, porwał ją w wir szalony i przepadli w kole tańczących. Sądził dotąd, że umie wybornie w takt tańczyć; wszelako rytmiczność ruchów Olimpii była tak zdumiewająca, że utracił całą pewność siebie i zrozumiał wkrótce, jak niewystarczającą jest cała umiejętność jego w tym względzie. Nie chciał jednak z żadną inną niewiastą tańczyć i zabiłby na miejscu każdego, kto by się poważył ubiec go w zaproszeniu Olimpii. Zdarzyło się to zaledwie dwa razy. Rzecz dziwna, Olimpia odmawiała, więc mógł z nią tańczyć, ile mu się tylko podobało. Gdyby Nataniel był w stanie dostrzec cokolwiek prócz pięknej Olimpii, nie dałoby się uniknąć fatalnego zajścia. Nie zważał bowiem, jak wokół młodzież szeptała, tłumiała uśmiechy, przyglądała się ciekawie Olimpii z niezrozumiałego powodu. Rozgorączkowany tańcem i winem, którym się hojnie raczył, ośmielił się nad wszelki podziw. Siadł przy Olimpii, ujął jej rękę i w namiętnym podnieceniu wypowiadał swą miłość słowami, których nikt by nie pojął, ani on, ani Olimpia. Zresztą ona może coś rozumiała, gdyż nieustannie patrzyła mu w oczy i wzdychała raz po raz: — Ach! Ach!

Na co Nataniel odpowiadał z uniesieniem: — O istoto niebiańska! O ty promieniu cudowny, zwiastujący świat miłości, ku któremu wrywa się tęsknota! O światło mego życia!

Mówił jeszcze wiele, ale Olimpia za całą odpowiedź powtarzała tylko wzdychając: — Ach! Ach!

Profesor Spalanzani przeszedł koło nich, przyglądając im się z uśmiechem zadowolenia. Nagle Nataniel, opamiętawszy się w swoim upojeniu, spostrzegł, że dziwnie pociemniało. Obejrzał się wokoło i z przerażeniem stwierdził, że sala była już najzupełniej pusta. Ostatnie dwa światła dogasały, dawno zamilkła muzyka, ustały tańce.

— Co? Rozstać się już? Mamyż się rozstać! — wykrzyknął namiętnie, odchodząc od zmysłów z rozpaczy.

Ucałował rękę Olimpii, pochylił się, jego rozpalone usta dotknęły warg jak lód zimnych. Podobnie jak wprzódy, przy pierwszym ręki dotknięciu, przeszył go teraz dreszcz śmiertelny, mimowolnie przypomniała mu się legenda o martwej oblubienicy; ale Olimpia namiętnie przycisnęła go do piersi, a usta jej zdawały się rozgrzewać w pocałunku.

Tymczasem Spalanzani przechadzał się bezustannie po pustej sali, kroki jego budziły głucho echa, a postać na skutek gry cieni miała wygląd fantastyczny i widmowy.

— Czy kochasz mię? Czy mię kochasz, Olimpio? Tylko to jedno słowo! Kochaszże mnie?

Tak szeptał Nataniel. Ale Olimpia wstała i odpowiedziała wzdychając: — Ach! Ach!

— O tak! cudowna gwiazdo mej miłości — mówił Nataniel. — Zabłysłaś obietnicą szczęścia pośród nocy mego życia i opromieniać je będziesz na wieki.

— Ach! Ach! — odpowiedziała Olimpia odchodząc. Nataniel pobiegł za nią i znalazł się twarzą w twarz z profesorem.

— Z niezwykłym ożywieniem rozmawiałeś pan z moją córką — rzekł,

uśmiechając się dobrotliwie. — Jeżeli tylko znajdziesz pan, kochany Natanielu, upodobanie w rozmowie z niemądrą dziewczyną, zawsze nam będziesz miłym gościem.

Nataniel oddalił się wreszcie, unosząc całe niebo w swej duszy.



Bal u Spalanzanego stał się przedmiotem wielu rozmów w dniach następnych. Chociaż profesor uczynił wszystko, by osiągnąć świetność, to przecież rozmaici wesołkowie potrafili przyczepić się do najniewinniejszych rzeczy.

Wyśmiewano się ze sztywnej i niemej Olimpii, której, pomimo ładnej powierzchowności, zarzucano najzupełniejszą tępotę i przypuszczano, że z tej przyczyny zapewne Spalanzani tak długo trzymał ją w ukryciu. Nataniel nie mógł bez oburzenia słuchać uwag podobnych, postanowił jednak milczeć opornie.

Na co się zda, mówił w duszy, strzepić sobie język w podobnym przedmiocie, dowodzić tym półgłówkom, że tylko własne ich ograniczenie przeszkadza im ocenić boskie przymioty Olimpii.

— Przepraszam cię, drogi Natanielu — rzekł mu raz wreszcie Zygmunt — ale wytłumacz mi, jakim, u diabła, sposobem człowiek jak ty rozsądny mógł się zakochać w tej drewnianej lalce z woskową twarzą?

Nataniel, z trudnością poskramiając wybuch, odpowiedział na to, ile mógł, spokojnie: — Wytłumacz mi raczej ty, Zygmunco, jakim sposobem człowiek jak ty świątły i umięjący ocenić wszystko, co piękne, mógł się nie poznać na cudownych wdziękach Olimpu? Co do mnie, cieszę się z tego, boś mi nie jest rywalem; inaczej jeden z nas już by nie żył.

Zygmunt, widząc ze smutkiem chorobliwy stan swego przyjaciela, zaniechał drwiącego tonu i przyznał, że w rzeczach miłości upodobanie jest

jedynym prawem.

— Tylko dziwnym mi się wydaje — dodał — że ktokolwiek widział Olimpię, tak samo ją sądzi jak ja. Przepraszam cię, drogi Natanielu, wszyscy znajdują ją sztywną i jakby pozbawioną duszy. Ma kibić powabną, twarz nawet piękną, to prawda, ale cóż z tej piękności, kiedy jej nie ożywia spojrzenie. Czyż nie dostrzegasz, że w oczach jej nie ma iskry życia, że zdają się patrzeć nie widząc? Podobnie i ruchy jej dziwnie się wydają obrachowane; czyż nie można by myśleć, że są zależne od układu jakichś kółek, które się obracają stosownie do nakręcenia? Podobnie gra jej, śpiew nawet, ma w sobie tę osobliwszą dokładność, nieprzyjemną i bezduszną, jaka jest udziałem sztucznego tylko mechanizmu; toż samo da się powiedzieć o jej tańcu. Wierz mi, Natanielu, ta twoja Olimpia zrobiła na nas wszystkich nieprzyjemne wrażenie i od pierwszego wejrzenia nie chcieliśmy mieć z nią nic wspólnego. Wydała nam się po prostu zręcznym podrobieniem istoty obdarzonej życiem; a co do mnie, jestem przekonany, że wcale nie jest tym, czym się być wydaje.

Nataniel nie poddał się przykreemu uczuciu, które go przy tych słowach przyjaciela opanowało; cierpliwie wysłuchawszy uwag, odpowiedział wreszcie głosem silnego przekonania: — Nie dziwię się bynajmniej, że takie, a nie inne wywiera na was wrażenie Olimpia, boście ludzie prozaiczni i niedaleko widzący. Dusza jej nadobna rozkwita tylko dla umysłów wybranych. Toteż z całego tłumu mnie tylko jednemu rozbłysnął wzrok jej, w którym kryją się tajemnicze głębie. Mnie tylko jednemu znany jest cały urok uczucia, do jakiego zdolne jest jej serce. Wam może się nie podobać, że Olimpia nie wdaje się w zdawkową paplaninę, jak to czynią inne powierzchowne umysły. Olimpia mówi mało, nie przeczę, ale te nieliczne słowa, które wymawia, wypowiedają cały tajemniczy świat uniesień ducha, czarownych przeczuć i zespolenia wszystkich władz umysłu w miłości, która jak w zwierciadło w wieczność spogląda. Ale na cóż mówię to wszystko, dla tych rzeczy nie macie zrozumienia.

— Niech cię Bóg ma w swej opiece, bracie — rzekł Zygmunt łagodnie, prawie smutno — ale mniemam, żeś nie jest na dobrej drodze. Na mnie możesz liczyć, gdy wszystko... Nic więcej powiedzieć nie mogę.

Nataniel uczuł, że zimny i prozaiczny Zygmunt jest mu jednak bardzo oddany. Serdecznie uściskał jego rękę.

Natanielowi najzupełniej wyszło z pamięci, że była na świecie jakaś Klara, którą kochał. Tym bardziej wywietrzeli mu z głowy matka i Lotar. Już tylko żył dla Olimpii, poświęcając jej wszystkie niemal chwile, nieustannie jej tylko mówiąc o swojej miłości, o dziwnym ich dusz powinowactwie, o nadziemskich wpływach, kojarzących dwie połowy jednej całości. Wszystkiego tego Olimpia słuchała z jak największym zbudowaniem. Wreszcie powyciągał z teki wszystko, co kiedykolwiek w życiu napisał: poematy, fantazje, szkice, powieści, opowiadania, do których codziennie jeszcze dodawał mnóstwo sonetów mistycznych, ustępów, pieśni; cały ten zbiór szpargałów godzinami niezmordowanie czytywał Olimpii. Przysiąc należy, że nigdy nie miał tak cierpliwej słuchaczki.

Ani haftowała, ani robiła pończochę, ani wyglądała oknem, ani karmiła ptaki, ani bawiła się z pieskiem, ani z kotem ulubionym, nawet nie kręciła w ręku ścinka papieru, a jednak nigdy nie potrzebowała kaszleć w sposób przymuszony w celu ukrycia ziewania. Krótko mówiąc, po prostu całymi godzinami, siedząc bez najmniejszego ruchu, wpatrywała się tylko w oczy swego kochanka, a wzrok jej zapalał się, stawał coraz żywszy. Tylko ile razy Nataniel przyciskał jej rękę do swej piersi albo całował w usta, mówiła: „ach! ach!”, a niekiedy także: „do zobaczenia, mój luby!”

— O czarodziejska istoto! O duszo przezczystych głębi! — wolał Nataniel, chodząc w uniesieniu po swojej izdebce. — Ty jedna tylko na świecie rozumieć mię umiesz!

I drżał z rozkoszy na samą myśl o tej cudownej harmonii, do której coraz doskonalej nastrajały się ich dusze, gdyż wydawało mu się, że Olimpia rozmawiała z nim o jego utworach, o jego talencie poetyckim, i na ogół tak

przedziwnie się zgadzali, że nieraz wydawało się, jakby głos Olimpii wychodził z własnych piersi Nataniela. Nawet po trosze tak być musiało, gdyż, ile wiadomo, Olimpia wymawiała tylko wyrazy, któreśmy wyżej przytoczyli.

Niekiedy wprawdzie w chwilach trzeźwego opamiętania, na przykład rano, tuż po obudzeniu się, dziwiło go uparte milczenie dziewczyny i bierność umysłowa; ale wtedy mówił sobie: — Słowa? Cóż mi słowa! Jedno spojrzenie jej czarownej źrenicy sto razy więcej mówi niż najwymowniejsze wyrazy. I czyż wypada istocie tak nieziemskiej stosować się do tych lichych warunków, w których kręci się jakby w ciasnym kole biedny nasz byt ziemski?

Profesor Spalanzani zdawał się wielce sprzyjać stosunkom Nataniela ze swą córką. Zupełnie niedwuznaczny dowód życzliwości dał, kiedy Nataniel zdobył się raz pewnego na to, by napomknąć o swoim związku z Olimpią. Profesor rozpromienił się w uśmiechu i oświadczył, iż pozostawi córce całkowitą swobodę w tym względzie.

Pokrzepiony tymi słowy, Nataniel postanowił nie później jak nazajutrz błagać Olimpię, ażeby mu powiedziała wyraźnie to, co już od dawna odgadywał w jej oczach, a mianowicie: czy chce być jego na wieki. W tym celu począł szukać obrączki, którą mu dała niegdyś matka przy wyjeździe z domu, chciał ją bowiem ofiarować Olimpii w zakład swojej wierności, jako zadatek przyszłego wspólnego życia. Wpadły mu przy tym w ręce listy Klary i Lotara, ale obojętnie odsunął je na bok, znalazł pierścionek i spiesznie udał się z nim do Olimpii.

Wszedłszy na schody, usłyszał na górze łoskot jakiś osobliwy, wyraźnie z pracowni Spalanzaniego dochodzący. Tupano nogami, mocowano się, coś sobie wydzierano, słychać też było trzaskanie drzwi, krzyki i przekleństwa.

— Puszczajże, puszczaj mi zaraz, ty łotrze przekłety! Czyś na to poświęcił własne życie?! — Cha, cha, cha, inaczej się układaliśmy!

— Ja zrobiłem oczy...

— A ja wszystkie kółka.

— Głupiś ze swoimi kółkami! Puszczaj, przeklęty zegarmistrz!

— Precz!

— Szatanie!

— Dam ja tobie!

— Masz, bestio piekielna!

— Puścisz czy nie puścisz?!

Były to głosy kłócących się: Spalanzanego i straszliwego Coppeliusa. Pchnięty niepojętą trwogą, Nataniel rzucił się na górę.

Spalanzani trzymał jakąś figurę kobiecą za ramiona, Coppola za nogi, i z największą zawziętością wydzierali ją sobie, ciągnąc każdy w swoją stronę.

Nataniel odrętwiał ze zgrozy, poznavszy w tej figurze Olimpię. Oszałały z gniewu, już się miał rzucić, by wydrzeć ją oprawcom, kiedy nagle Coppola z taką siłą wydarł ją z rąk ojca, że ten zmuszony był puścić ofiarę. Jednocześnie tak silnie ciałem jej uderzył go w piersi, że profesor padł na wznak, a zataczając się przewrócił stół, na którym stały fiołki, retorty, flaszki i szklane cylindry. Wszystko to rozbiło się w najdrobniejsze szczątki z niesłychanym łoskotem.

Wtedy Coppola, przrzuciwszy sobie Olimpię przez plecy, zaczął schodzić, śmiejąc się przeraźliwie, drewniane nogi figury zwisały obrzydliwie, objijając się po schodach.

Nataniel stał jak skamieniały. Aż nazbyt dokładnie zobaczył trupio bladą, woskową twarz Olimpji: w miejscach gdzie były oczy, widział tylko czarne wgłębienia. Była pozbawioną życia lalką.

Spalanzani wił się na posadzce. Czerepy szkła powłaziły mu w głowę i w piersi, poprzecinały żyły w rękach, krew tryskała z ran jakby ze źródeł. Nagle zebrał siły, zerwał się na nogi: — Trzymaj go! Leć! Jeszcze tu?! Coppelius, przeklęty łotr! Mój najlepszy automat! Ukradł go, strawiłem nad nim najlepsze dwadzieścia lat życia, włożyłem w to cały majątek, więcej niż życie! Cały mechanizm, mowa, chód, wszystko mojego pomysłu. Oczy tylko,

tylko oczy tobie ukradzione. Och! zbrodniarz! Och! potępieniec. Łapaj go! Biegnij! Leć! Przynieś mi Olimpię! Tu masz oczy!

Nataniel wtedy dopiero spostrzegł na posadzce parę zakrwawionych oczu, które w niego bystro patrzyły. Spalanzani schwycił je zdrową ręką i rzucił mu na piersi. Wtedy szaleństwo porwało Nataniela w płomieniste swoje szpony i całkowicie za—wichrzyło mu w głowie.

— Hej! Hej! Dalejże! Płomieniste koło, kręć się! Wiruj! Grzmij! Gwijunun! Gwijunun! Tańcuj, lalko z drewna, dobrze, dobrze, prędejj! Kręć się! Leć Gwijunun...

I po tych słowach rzucił się do Spalanzaniego, chwytając go za gardło. Byłby go zadusił, szczęściem tumult zwabił wielu ludzi, którzy oderwali oszalałego Nataniela, uratowali profesora i opatrzyli jego rany.

Zygmunt, chociaż bardzo silny, nie był w stanie sam utrzymać szaleńca. Ten walił pięściami, gdzie popadło, kopał i wrzeszczał wniebogłosy: — Kręć się, lalko z (drewna! Kręć się! Wiruj!

Wreszcie połączonymi siłami zdołano go powalić na ziemię i związać. Już tylko ryczał wściekle i pieniał się jak opętany. W tym smutnym stanie zawieziono go do domu obłąkanych.



Zanim ci opowiem, łaskawy czytelniku, co się dalej stało z nieszczęsnym Natanielem, mogę cię — byś uczestniczył również w historii mechanika i twórcy automatu Spalanzaniego — zapewnić, że ten ostatni wkrótce wyleczył się ze swych ran. Musiał jednak opuścić uniwersytet, ponieważ wypadek Nataniela wzbudził sensację i ogólnie uważano, że Spalanzani popełnił niedopuszczalne oszustwo wprowadzając do przyzwoitego towarzystwa (Olimpia bywała w nim ciesząc się powodzeniem) bezduszny automat w charakterze żywej osoby. Prawnicy uważali to nawet za bardzo

wyrefinowane oszustwo, na tym większą karę zasługujące, że Spalanzani potrafił tak chytrze podejść ogół publiczności, iż nikt (z wyjątkiem mądrali studentów) się nie połapał, choć teraz oczywiście wszyscy powoływali się na fakty, które im się jakoby od razu wydały podejrzane. Wydobywano na światło dzienne wydarzenia, które w rzeczywistości nie miały znaczenia. Czy mogłoby na przykład komukolwiek wydać się podejrzane, że — jak opowiadał pewien elegancki bywalec — Olimpia wbrew wymogom dobrego tonu częściej kichała, niż ziewała? Jak sądził ów elegant, nakręcała ona wówczas ukryty mechanizm, nawet coś przy tym zgrzytało itd. Profesor poezji i retoryki zażył niuch tabaki, pociągnął nosem, odchrząknął i rzekł uroczyście: — Czcigodni panowie i panie! Czy nie miarkujecie, w czym tkwi sęk? Oczywiście jest to alegoria. Bardzo daleko posunięta metafora. Sądzę, że mnie rozumiecie. Sapienti sat. — Ale czcigodnych panów wcale to nie uspokoiło.

Historia owego automatu głęboko wrosła im w serce, a nawet przerodziła się w szkaradną nieufność do ludzkiej postaci. Młodzi ludzie, z obawy, czy się nie kochają w lalkach z drewna, wymagali od panien, żeby ile możliwości śpiewały i tańczyły nie w takt, żeby robiły pończochę lub haftowały, podczas gdy im coś czytano, lub przynajmniej bawiły się psem lub kotem, ale nade wszystko, żeby nie słuchały wszystkiego obojętnie, ale odpowiadały coś takiego, co by przecież dowiodło, że umieją czuć i myśleć. Tym sposobem wzmocnił się niejeden stosunek miłosny, inne znowu powoli się rozchwiały.

— Doprawdy, to niewarte zachodu — mawiał ten i ów Na herbatkach ziewano nieprawdopodobnie wiele, o ile możliwości mało kichano, jedynie dla usunięcia wszelkich podejrzeń, ubliżających naturze ludzkiej.

Spalanzani tedy, jakeśmy to wyżej powiedzieli, musiał opuścić miasto, aby uniknąć kryminalnego dochodzenia, iż poważył się zdradziecko wprowadzić lalkę w towarzystwo.

Co do Coppoli, ten znikł bez śladu.

Dnia pewnego Nataniel zbudził się jakby ze snu strasznego.

Otworzywszy oczy, uczuł rozkosz niewymowną, i słodkie jakieś ciepło przebiegło wszystkie jego członki. Znalazł się na łóżku w domu rodzinnym. Klara stała pochylona nad nim, opodal siedziała matka i Lotar.

— Och! Nareszcie! Nareszcie! Mój ukochany! Znowu mi przywrócony jesteś po ciężkiej chorobie! Znowu jesteś mój — mówiła Klara w łzawym uniesieniu.

Mówiąc to otoczyła go białymi ramionami. Rozpłakał się łzami boleści i szczęścia.

— Klaro! Jedyna moja Klaro! — wyjąkał.

W tejże chwili wszedł Zygmunt, który wiernie wytrwał u boku przyjaciela w najcięższej potrzebie. Nataniel wyciągnął do niego rękę.

— Drogi przyjacielu — rzekł mu — i tyś mnie nie opuścił. Szaleństwo odeszło go było bezpowrotnie. Wkrótce dzięki tkliwym staraniom matki, ukochanej i przyjaciół całkowicie wróciły mu stargane silnymi wzruszeniami siły.

Jednocześnie powodzenie zdawało się wchodzić w ich dom. Umarł wuj jakiś, stary skąpiec, od którego nigdy niczego nie oczekiwano, i matce dostał się oprócz znacznych kapitałów jeszcze i mająteczek ziemski w przyjemnej okolicy, niedaleko od miasta położony. Nataniel, mając wkrótce zaślubić Klarę, postanowił tam osiąść i wziąć do siebie matkę i Lotara. Stał się łagodny, dziecinny jak nigdy i po raz pierwszy w życiu uczuł się całkowicie szczęśliwy, poznawszy teraz dopiero, ile to nieba mieściło się w anielskiej duszy jego Klary. Nikt też mu nigdy nie wspomniał o przeszłości. Jednak raz, przy odjeździe Zygmunta, odezwał się niespodziewanie: — Doprawdy, Zygmuncie, gdzieś mi się już była zapodziała piątka klepka. Szczęściem na czas nadszedł anioł i nie dał mię opętaniu. Była to oczywiście Klara.

Zygmunt zagadał jakoś tę drażliwą kwestię w obawie, że wspomnienia mogą zaognić zabliznione rany duszy.

Już byli szczęśliwie wszyscy czworo na wyjeźdźnym do swojej posiadłości, kiedy wypadło jeszcze porobić w mieście sprawunki. Było południe,

ogromna wieża ratuszowa rzucała cień na cały rynek.

— Wiesz co, Natanielu — rzekła Klara — wejdźmy sobie na wieżę. Śliczny musi być stamtąd widok na dalekie góry.

Jak powiedziała, tak zrobili. Oboje weszli na wieżę. Matka odeszła ze służącą do domu, a Lotar, nie chcąc się wspinać po tylu stopniach, przyrzekł czekać na dole.

Kochankowie, trzymając się za ręce, stali na najwyższym ganku wieży i przyglądali się precudnej panoramie lasów dalekich, poza którymi piętrzyły się jeszcze błękitne góry, podobne do miasta olbrzymów.

— Patrz no, Natanielu — rzekła Klara — czy widzisz tam ten krzak szarawy, który zdaje się zbliżać do nas?

Nataniel machinalnie sięgnął do kieszeni i wyjąwszy lornetkę Coppoli, przyłożył ją sobie do oczu. O nieba! Ujrzał przed sobą postać Klary!

Krew mu zbiegła do serca. Błady jak śmierć, spojrzał osłupiałym wzrokiem w twarz Klary, z oczu sypnęły mu się płomienie i ryknął jak zwierz zewsząd osaczony. Nagle wyskoczył w górę i śmiejąc się śmiechem potępińca, zaczął wołać głosem przenikliwym: — Kręć się, lalko z drewna! Kręć się! Tańcuj!

I porwawszy wpół Klarę, chciał ją zrzucić na dół; ale ona w strachu śmiertelnym wszystkimi siłami uczepiła się poręczy.

Lotar usłyszał wycie szaleńca i krzyki Klary; straszliwe przecucie owładnęło nim. Rzucił się na schody wieży. Krzyki Klary były coraz rozpaczliwsze. Na drugim piętrze znalazł drzwi zamknięte. Rozpacz i strach dodały mu sił, podsadził je i wyleciały z zawiasami.

— Pomocy! Ratunku! Ratunku! — wołała Klara coraz słabszym głosem.

— Tam! Szaleniec ją chce zamordować! — wołał Lotar, przelatując po dziesięć schodów naraz. Drzwi wychodzące na ganek znalazł również zamknięte. Rozpacz dała mu siły olbrzymie. Drzwi zgrzytnęły tylko i puściły, wywalając się z trzaskiem. Na Boga żywego! Klara przerzucona przez balustradę wisiała w powietrzu, trzymając się już tylko jedną ręką żelaznej

sztaby. W okamgnieniu porwał ją Lotar, wciągnął na powrót i w tejże chwili wymierzył tak silny raz pięścią w twarz szaleńca, że ten, rażony jak gromem, natychmiast puścił swą ofiarę.

Podczas gdy Lotar zbiegał ze schodów, unosząc zemdloną siostrę, której przyniósł ocalenie, Nataniel jak opętany latał wokoło galerii, robiąc skoki najdziwniejsze i wrzeszcząc wniebogłosy: — Kręć się płomieniste koło, hajda! Hopsasa! Gwijunun!

Na ten dziki krzyk mnóstwo ludzi zbiegło się na rynek. Pośród nich zauważono wysoką postać niejakiego Coppeliusa, adwokata świeżo przybyłego do miasta, który właśnie był w drodze na rynek. Chciano biec na ratunek szaleńcowi, ale adwokat rzekł z uśmiechem: — Ech, nie róbcie tego; zaczekajcie tylko cierpliwie, a on sam tu do nas zejdzie.

I patrzył w górę, tak jak i drudzy.

Nagle Nataniel zatrzymał się jak wryty, przechylił się przez poręcz i ze wzrokiem utkwionym w Coppeliusa, zawołał rozdzierającym głosem: — Oczy, oczy! Prześliczne, cudowne oczy! — i rzucił się w dół.

Ale zanim jeszcze zdążył głowę sobie o bruk roztrzaskać, już Coppelius znikł w tłumie.

W kilka lat po tej smutnej katastrofie daleko gdzieś, daleko widziano Klarę siedzącą na ganku pięknego wiejskiego dworku. Stał przy niej dorodny mężczyzna, patrząc na nią z miłością. U nóg jej igrało dwóch chłopców. Tak więc, jak się zdaje, słodka i wesoła Klara znalazła nareszcie ciche szczęście domowe, którego jej niespokojny duch Nataniela nigdy by dać nie zdołał.

Przełożył Felicjan Faleński

Joseph von Eichendorff

POSAĞ Z MARMURU

Był piękny, letni wieczór, kiedy Florio, młody szlachcic, powoli zbliżał się konno do bram miasta Lucca, rozkoszując się delikatną mgłą, unoszącą się nad dachami i wieżami miasta, przepięknym krajobrazem i widokiem wytwornych dam i kawalerów, którzy radośnie podnieceni przechadzali się kasztanowymi alejami.

Niespodziewanie przyłączył się do niego z uprzejmym ukłonem inny jeździec, zdążający tą samą drogą na pięknym rumaku, ubrany w barwny strój, ze złotym łańcuchem na szyi i w aksamitnym berecie na ciemnobrązowych kędzierzawych włosach. Obaj, jadąc jakiś czas obok siebie w zapadający wieczór, nawiązali wkrótce rozmowę i młodzieńcowi smukła postać nieznajomego wydała się tak piękna, a jego żywe usposobienie i wesoły głos tak przyjemne, że nie mógł od niego oderwać oczu.

— Co was, panie, sprowadza do Lukki? — zapytał wreszcie nieznajomy.

— Nie mam tu właściwie żadnych interesów — odrzekł Florio trochę nieśmiało.

— Żadnych interesów? Jesteście zatem z pewnością poetą — zawyrokował nieznajomy i zaśmiał się wesoło.

— O nie — odpowiedział Florio i spłonął rumieńcem. — Próbowałem czasem swych sił w radosnej sztuce śpiewania. Kiedym jednak studiował dawnych znakomitych mistrzów, którzy oddają wszystko tak żywo, jak o tym jeno marzyć mogłem, głos mój wydawał mi się słabym kwileniem skowronka, zagłuszany Przez wiatr pod niezmierną kopułą nieba.

— Każdy wielbi Pana na swój sposób, a wszystkie głosy razem czynią wiosnę — powiedział obcy. Jego wielkie, mądre oczy spoczęły z widocznym

upodobaniem na pięknym młodzieńcu, który tak niewinnie patrzył na szarzejący świat.

— Wybrałem więc wędrowkę — ciągnął teraz Florio już pewniej i bardziej ufnie — i czuję się jak uwolniony więzień.

Wszystkie dawne marzenia i radości nagle we mnie ożyły. Wyrosłem na wsi, w spokoju i ciszy, lecz jakże często spoglądałem tęsknie na błękitne góry w oddali, kiedy wiosna niczym cudowny grajek wędrowała przez nasz ogród i wabiąc swym pięknym głosem, śpiewała pieśń pełną nieopisaną radości. Nieznajomy pogrążył się w zadumie.

— Słyszeliście zapewne — powiedział z roztargnieniem, ale poważnie — o cudownym grajku, który swą pieśnią zwabiał młodzieńców do czarodziejskiej góry i żaden z nich nigdy stamtąd nie wracał? Strzeżcie się!

Florio nie wiedział, co o tym myśleć, nie zdążył o nic zapytać, bo oto zamiast u bram miasta, niepostrzeżenie, podążając za tłumem, znaleźli się na ogromnej zielonej polanie, na której królowała wesoła, skoczna muzyka wśród kolorowych namiotów, jeźdźców i pieszych, poruszających się w ostatnich blaskach wieczoru.

— Dobrze się tu żyje — powiedział wesoło nieznajomy i zeskoczył z konia. — Żegnajcie! Wkrótce się zobaczymy! — I z tymi słowami zniknął w tłumie.

Florio stał jeszcze chwilę w milczeniu, oszołomiony nieoczekiwaną obietnicą. Radość przepełniała mu serce. Poszedł wreszcie za przykładem swego towarzysza, oddał konia służącemu i wmieszał się w wesoły tłum.

Niewidzialne chóry rozbrzmiewały ze wszystkich stron wśród kwitnących krzewów, pod wysokimi drzewami przechadzały się skromnie niewiasty i pięknymi oczyma uważnie śledziły migoczącą łąkę, śmiejąc się przy tym i gawędząc. Powiewały kolorowymi piórami w złotym blasku wieczoru i wyglądały jak grządki kwiatów, które kołysze wiatr. Nieco dalej, na zielonej murawie, dziewczęta bawiły się piłeczkami. Barwne kulki fruwały jak motyle, zataczając lśniące łuki w błękitnym powietrzu, a na dole wśród

zieleni migające postacie dziewczęce tworzyły przepiękny obraz. Szczególnie jedna przykuwała wzrok Floria swą drobną, prawie jeszcze dziecięcą figurką i wdziękiem ruchów. Na głowie miała barwny wianek, upleciony z polnych kwiatów, i rzeczywiście wyglądała jak wiosna, kiedy tak unosiła się i pochylała nad murawą, to znów powabnym gestem chwytiała w powietrzu piłkę. Nagle wskutek nieuwagi jej przeciwniczki piłka poszybowała w niewłaściwym kierunku i przyfrunęła prosto pod nogi Floria. Podniósł ją natychmiast i wręczył nadbiegającej dziewczynie w wianku na głowie. Stała przed nim chwilę jakby zalękniona i patrzyła swymi ogromnymi, pięknymi oczyma. Potem skłoniła się, zarumieniona, i pobiegła do swoich towarzyszek.

Barwny strumień powozów i jeźdźców, który stawał się coraz większy i płynął dostojnie główną aleją, odwrócił tymczasem uwagę Floria od tej zachwycającej zabawy. Młodzieniec przechadzał się teraz dobrą godzinę samotnie pośród barwnych, coraz to nowych obrazów.

— Patrzcie, to pieśniarz Fortunato! — usłyszał okrzyk kilku dam i rycerzy naraz. Natychmiast odwrócił się w tym kierunku i zdumiony zobaczył nieznanego, który mu towarzyszył w drodze. Stał nie opodal na łące oparty o drzewo, w otoczeniu dam i rycerzy, którzy słuchali jego śpiewu, a wtórowało mu kilka dźwięcznych głosów z tłumu. Wśród zebranych Florio znów spostrzegł tę piękną dziewczynę, która z niemą radością jak gdyby wpatrywała się szeroko otwartymi oczyma w dźwięki pieśni.

Przestraszony nie na żarty, Florio pomyślał o tym, jak to niedawno gawędził poufale z wielkim pieśniarzem, którego zawsze wielbił za jego sławę, i stanął nieśmiało w oddali, aby przysłuchiwać się śpiewaniu. Stałby tak chętnie przez noc całą, ponieważ płynące dźwięki dodawały mu otuchy, toteż był wielce niezadowolony, gdy Fortunato skończył pieśń i całe towarzystwo podniosło się z trawy.

Wtedy pieśniarz spostrzegł w oddali młodzieńca i natychmiast podszedł do niego. Ujął go przyjaźnie za ręce i poprowadził onieśmiałego, nie zważając na sprzeciw, jak miłego więźnia do stojącego w pobliżu namiotu,

gdzie zebrało się już dużo ludzi 1 Przygotowano wesołą ucztę. Powitali go jak starzy znajomi, niejedna para oczu spoczęła, przychylnie zdumiona, na młodej, kwitnącej postaci.

Po wesołej ogólnej pogawędce usadowili się wokół okrągłego stołu pośrodku namiotu. Orzeźwiający owoce i wino w szlifowanych pucharach odbijały od oślepiająco białego nakrycia. W srebrnych wazach pachniały wielkie bukiety kwiatów, a przez nie zalotnie zerkały piękne dziewczęta; ostatnie promienie wieczoru igrały po trawie i rzece, gładkiej jak lustro, płynącej nie opodal namiotu. Florio niemal odruchowo przysiadł się do pięknej dziewczyny, która niedawno grała w piłkę. Poznała go od razu, siedziała milcząca i nieśmiała, a jej długie rzęsy ledwie osłaniały błyszczące spojrzenie czarnych oczu.

Postanowiono, że każdy przepije do swej wybranki, śpiewając krótką improwizowaną piosenkę. Wesoły śpiew, zwiewny jak wiosenny wietrzyk, ledwie muskał powierzchnię życia, nie zanurzając się w nim, i radośnie ożywił pogodny grono zebrane wokół stołu. Florio był do głębi rozbawiony, opuściła go nieśmiałość i trwoga, patrzył jak przez sen, przepelniony radosnymi myślami, na piękny krajobraz, powoli pogrążający się w gorących oparach wieczoru. A kiedy przyszła na niego kolej, podniósł w górę kielich i zaśpiewał:

*Wszyscy mają lube swoje,
Tylko ja samotny stoję,
Bo skąd wie wybranka moja,
Że marzenia o niej roję,
I co tak wiosennie w sercu moim śpiewa,
Nie słyszane, jak w rzece szept fali pobrzmiwa.*

Piękna sąsiadka zerknęła nań filuternie i szybko znów spuściła główkę, kiedy napotkała jego spojrzenie. Ale Florio, do głębi poruszony, pochylił się ku niej i patrzył tak niecierpliwym i błagalnym wzrokiem, że dziewczyna nie

okazała niechęci, kiedy pocałował ją spiesznie w czerwone, gorące usta.

— Brawo! Brawo! — zawołali młodzieńcy. Swawolny, lecz szczerzy śmiech zabrzmiał wokół stołu. Florio, zmieszany, opróżnił swój kielich jednym haustem, a piękna dziewczeczka, zawstydzona, spuściła wzrok; wyglądała niezwykle powabnie w swym wianku z barwnych kwiatów.

I tak każdy ze szczęśliwców przy wtórze śmiechu wybrał sobie ukochaną. Tylko Fortunato nie należał do żadnej lub należał do wszystkich dziewcząt i siedział samotnie w tym radosnym zamęcie. Był nadzwyczaj wesoły, a chwilami nawet wydawałby się lekkomyślny, płocho, kiedy żart i dowcip mieszał z powagą — gdyby nie przeczyło temu spojrzenie jego szczerych jasnych oczu. Florio powziął myśl, aby przez stół wyznać mu głęboką miłość i szacunek, jakie od dawna doń żywił. Ale wszelkie nieśmiałe próby odbijały się od szorstkiej wesołości pieśniarza. Fortunato nie mógł go zupełnie zrozumieć.

Na dworze tymczasem zapadła uroczysta cisza, tu i ówdzie zamigotała gwiazda wśród wierzchołków drzew, rzeka z mrocznym szumem wiła się w orzeźwiającym chłodzie wieczoru. Wreszcie przyszła kolej na Fortunata. Skoczył żywo, chwycił gitarę i zaśpiewał:

Cóż dźwięczy tak we mnie

Donośnie jak chór?

Unosi przyjemnie

Ku niebu, do chmur?

Na gór szczytach mnie stawia,

Zostaję tu sam,

Świat piękny pozdrawiam

Przed sobą go mam.

Bachusie, pokażesz,

Jak wielki tyś bóg!

*Twój spokój rozmarza,
Twój żar siły wzmógł.*

*Róż wieniec otoczył
Młodzieńczą twą twarz,
Łagodnie lśnią oczy,
Choć płomień w nich masz.*

*Czy świętość, czy miłość
Szczęściem z ciebie tchną?
Tak cię zachwyciło
Wiosny piękne tło.*

*O, Wenus, radosna!
Głos twój miękko brzmi.
W łunie zórz cię poznam,
Gdy się zjawisz mi.*

*Na słonecznych wzgórzach
Pałac wznosisz swój.
Tam skrzydlata służba
To amorków rój.*

*Mkną jak sny tęczowe,
Powabny ich blask.
Do komnat królowej
Zapraszają nas.*

*Damy i rycerze
Krążą tłumem par
Wśród zieleni świeżej,*

W gamie kwietnych barw.

*A gdy miłość splata
W łańcuch dwoje rąk,
Wesoła gromada
Toczy tańca krąg.*

Po tych słowach zmienił nagle melodię i ciągnął dalej:

*Cichną dźwięczne tony,
Blednie zieleń łąk,
Damy zamyślane,
Wojów butny wzrok.*

*I śpiewną tęsknotą
Lazur nieba tchnie,
Posyła ogrodom
Dżdzu błyszczącą łzę.*

*Nagle wśród radości
Pojawia się tam
Najcichszy z tych gości.
Skąd twarz jego znam?*

*W liliowej koronie,
A łagodny tak,
Z boku łśni na skroni
Romantyczny mak.*

Czule jego usta

Rozchylone drżą,
Jakby chciał całusa
Słać z niebiańskich stron.

Pochodnia płonie mu
W ręku. Pyta nas
„Gdzie jest ten, któremu
Do domu wrócić czas?”

A gdy zakołysze
Pochodnią jak wiatr,
Wnet nastaje cisza,
Jakby ginął świat!

I kiedy tu gaśnie
Barwny kwiecica blask,
Spójrz, lśnij coraz jaśniej
Chłodne iskry gwiazd.

O cudny młodzieńcze,
Niebo to twój kraj!
Zgiełk świata mnie dręczy,
Z tobą iść mi daj!

Nadzieja uparta
W górę, w górę mknie,
Niebo jest otwarte.
Ojcze, przyjmij mnie!

Fortunato umilkł, inni milczeli także i słychać było tylko, jak dźwięki muzyki, szmer tłumy i cały ten czarodziejski harmider na dworze zamierają

pod rozgwieżdżonym niebem i wśród potężnego nocnego śpiewu strumieni i lasów. Nagle do namiotu wszedł wysoki, smukły rycerz w przepysznej zbroi, która w migocących na wietrze światłach rzucała zielonozłoty blask. Jego zapadnięte oczy płonęły jak błędne, twarz miał piękną, ale bladą, znać było na niej ślady hulaszczego życia. Na jego widok wszyscy mimo woli pomyśleli ze zgrozą o milczącym gościu z pieśni Fortunata. Ale przybysz, skłoniwszy się lekko obecnym, podążył wprost do szynkwasu i zaczął pić spiesznie dużymi haustami ciemnoczerwone wino.

Florio zdrzął, kiedy dziwny gość po chwili zwrócił się przede wszystkim do niego i przywitał się jak z dawnym znajomym z Lukki. Zdumiony i zakłopotany, mierzył go Florio od stóp do głów, ponieważ nie przypominał sobie, aby go kiedykolwiek widział. Ale rycerz był bardzo rozmowny i opowiadał wiele o różnych faktach z życia Floria. Dokładnie znał też jego rodzinne strony, ogród i wszystkie te miejsca, które Florio jako dziecko głęboko umiłował. Sprawilo to, że młodzieniec bardzo prędko zaczął się oswajać z tajemniczym przybyszem.

Do reszty zgromadzonych Donati, bo tak nazywał się ów rycerz, zupełnie nie pasował. Dokoła dało się zauważyć trwożliwe poruszenie, którego przyczyny nikt nie mógł wytłumaczyć. Tymczasem zapadła noc i towarzystwo zaczęło się rozchodzić.

Rozpoczęło się osobliwe kłębiecie powozów, koni, służby i pochodni, które rzucały niesamowite blaski na pobliską wodę, drzewa i błakające się postacie. W tym niezwykłym oświetleniu Donati wyglądał jeszcze bardziej blado i strasznie. Śliczna dziewczyna w wianku na głowie patrzyła na niego cały czas z tajonym lękiem. Teraz, kiedy zbliżył się do niej, by z galanterią pomóc jej wsiąść na konia, cofnęła się z trwogą do stojącego z tyłu Floria, a ten z bijącym sercem podał jej strzemień. Wszyscy byli już gotowi do drogi, dziewczyna ze swego pięknie zdobionego siodła skinęła mu jeszcze raz głową, i za chwilę barwny i lśniący korowód zniknął wśród nocy.

Florio poczuł się nieswojo, kiedy znalazł się nagle sam z Donatim i

pieśniarzem na olbrzymim opustoszałym placu. Pieśniarz przechadzał się z gitarą w ręku brzegiem rzeki w pobliżu namiotu i wydawało się, że szuka nowej melodii — próbował różnych tonów, które spokojnie płynęły nad cichą łąką. Nagle przerwał. Jakiś dziwny wyraz niechęci odmalował się na jego zazwyczaj pogodnej twarzy, zapragnął natychmiast odjechać.

Wszyscy trzech dosiedli więc koni i udali się razem w kierunku pobliskiego miasta. Fortunato nie odezwał się po drodze ani słowem, za to jeszcze bardziej gadatliwy był Donati, popisywał się kunsztowną, wytworną mową; Florio, wciąż jeszcze przeżywając zabawę, jechał między nimi jak rozmarzona dziewczyna.

Kiedy przybyli do bramy, koń Donatego, który już wcześniej płoszył się na widok przechodniów, stanął nagle dęba i ani myślał ruszyć dalej. Błysk gniewu przebiegł niespodziewanie przez oblicze jeźdźca, niemal je wykrzywiając; drżącymi ustami wypowiedział półgłosem dzikie przekleństwo. Zdziwiło to wielce Floria, ponieważ nie pasowało do tego wytwornego, mądrego i układnego rycerza. Po chwili jednak Donati się opanował. — Chciałem wam towarzyszyć do gospody — powiedział wesoło i ze zwykłą sobie galanterią zwrócił się do Floria — ale mój koń postanowił inaczej, widzicie zresztą. Mieszkam tu pod miastem i mam nadzieję ujrzeć was u siebie niebawem. — Z tymi słowy skłonił się, i koń niespokojny pomknął jak strzała wraz ze swym jeźdźcem w ciemność. Aż wiatr za nimi zaświszcział.

— Chwała Bogu — wykrzyknął Fortunato — że ciemność znów go pochłonęła! Wyglądał mi zaiste jak wyblakła ćma, która wyfrunęła z niesamowitego snu i z tymi swoimi długimi kocimi wąsami i wyłupiastymi oczyma jak gdyby chciała udawać człowieczą twarz.

Florio, który już zdążył trochę zaprzyjaźnić się z Donatim, wyraził zdziwienie z powodu tych zgryźliwych słów. Lecz pieśniarz, podrażniony wyjątkową pobłażliwością towarzysza, wymyślał mu wesoło, nazywając go, ku jego ukrywanemu oburzeniu, księżycowym kawalerem, marzycielem,

melancholikiem.

Tak rozmawiając dotarli wreszcie do gospody i każdy udał się do wskazanej komnaty.

Florio rzucił się w ubraniu na posłanie, ale długo nie mógł zasnąć. W jego duszy, wzburzonej wrażeniami minionego dnia, wciąż jeszcze dźwięczało, wrzało i śpiewało. I kiedy drzwi domu coraz rzadziej się otwierały i zamykały, i tylko od czasu do czasu dał się słyszeć jakiś głos, aż wreszcie dom, miasto i dolina pogrążyły się w głębokiej ciszy, wydało mu się, że płynie samotnie łodzią o białych jak śnieg żaglach po morzu skąpanym w blasku księżyca. Fale cichutko uderzały o burtę, syreny wyłaniały się z wody, a wszystkie podobne były do pięknej dziewczyny w wianku na głowie, którą spotkał dzisiejszego wieczoru. Śpiewały tak pięknie, smutnie i bez końca, że tylko tonąc z żałości. Łódź przechyliła się niepostrzeżenie i zaczęła się zanurzać coraz głębiej. Wtedy obudził się przerażony.

Zeskoczył z łóżka i otworzył okno. Gospoda stała na skraju miasta, popatrzył na wzgórza pogrążone w ciszy, ogrody i doliny jaśniejące w blasku księżyca. W drzewach i strumieniach dźwięczały echa minionej zabawy, wszystko dokoła jak gdyby śpiewało cicho głosem syren, które słyszał we śnie. Nie mógł się oprzeć pokusie, chwycił gitarę, którą zostawił mu Fortunato, opuścił spiesznie komnatę i szedł ostrożnie przez pogrążony w ciszy dom. Drzwi na dole były tylko przyknięte, służący spał na progu. Wyszedł nie zauważony na dwór i powędrował równym krokiem przez winnice i opustoszałe alejki obok drzemiących chat coraz dalej i dalej.

Na dole między winnicami widać było rzekę; bielejące w mroku zamki, rozproszone po okolicy, spoczywały jak śpiące łabędzie w morzu ciszy. Zaśpiewał radosnym głosem:

*Jak chłodno nocą się kołyszę
Cytra na wiernej służbie rąk!
Ze wzgórz pozdrawiam nieba ciszę
I całą ziemię cichą w krąg.*

*Tak odmienione wszystko tu jest,
Gdziem niegdyś szczęśny spędzał czas.
Księżyc wśród głuchych sal wędruje
Przez kolumnowych buków las.*

*Nie słyhać gwaru winobrania,
Umilkł jaskrawy życia bieg,
I czasem oczom się odsłania
Nitek strumieni srebrny śnieg.*

*Często się budzi niby z marzeń
Słowików słodko drżący śpiew.
Gdzieś tajemniczo się ukaza
Wspomnienia, szepcząc pośród drzew.*

*Radość nie przebrzmi tak bez echa
I niby słońca złoty blask
Ukryta w piersi mojej czeka,
Żeby zakwitnąć jeszcze raz!*

*Wesoło struny cytry trącam.
Dziewczę z za rzeki, wsłuchaj się
W dźwięki ku tobie tam płynące,
W tym pozdrowieniu poznasz mnie!*

Zaczął się śmiać sam z siebie, ponieważ w końcu nie wiedział, dla kogo śpiewa tę serenadę. Przecież już nie miał na myśli pięknej dziewczyny w wianku na głowie. Nocną muzykę, sen i cudny obraz dziewczyny jego rozmarzone serce przemieniło niepostrzeżenie niby czarodziejską mocą w wizję jeszcze piękniejszą, wspanialszą, potężniejszą, jakiej nigdy dotąd nie

oglądał.

Zatopiony w myślach, długo tak wędrował, aż wreszcie znalazł się nad ogromnym stawem, okolonym wysokimi drzewami. Księżyc, który właśnie wytoczył się nad wierzchołki drzew, oświetlał jasno marmurowy posąg Wenus, który stał tuż nad wodą na kamieniu, jak gdyby bogini dopiero przed chwilą wyłoniła się z fal i oglądała swoje odbicie w lustrze wody, oczarowana własną pięknnością. Kilka łabędzi zataczało regularne koła wokół posągu, cichy szmer rozchodził się w zaroślach.

Florio stał jak urzeczony na widok posągu, ponieważ wydało mu się, że jest to długo poszukiwana i teraz odnaleziona ukochana, jak cudowny kwiat wyrosły z wiosennego zmięzchu i najskrytszych snów jego młodości. Im dłużej na nią patrzył, tym bardziej rosło wrażenie, że spoglądają na niego oczy pełne serdeczności, usta jak gdyby poruszają się na powitanie, a piękne ciało przenika życie niby pieśń miłosna. Długo nie otwierał oczu w olśnieniu, pełen tęsknoty i zachwyty.

Kiedy znów spojrział na świat, wszystko było jak odmienione. Księżyc wyglądał spoza drzew, silny wiatr pofałdował staw w mętne fale, marmurowa Wenus, przerażająco biała i nieruchoma, niemal trwożnie patrzyła na niego kamiennymi oczami w niepojętej ciszy. Nie znana dotąd groza owładnęła młodzieńcem. W pośpiechu opuścił to miejsce, biegł coraz szybciej, bez wytchnienia, przez ogrody i winnice w stronę spokojnego miasta; wydawało mu się nawet, że słyszy wyraźny szept drzew, a wysokie topole jak duchy zdawały się ścigać go swymi wydłużającymi się cieniami.

Niezwykłe wzburzony przybył do gospody. Służący spał jeszcze na progu, ale zerwał się przerażony, gdy Florio przechodził obok niego. Florio jednak szybko zamknął drzwi za sobą i odetchnął z ulgą, gdy znalazł się w swym pokoju. Chodził długo jeszcze w tę i z powrotem, zanim się uspokoił. Potem rzucił się na posłanie i zapadł w sen, pełen niezwykłych widziadeł.



Następnego ranka Florio i Fortunato siedzieli przed gospodą pod wysokimi drzewami, skąpanymi w porannym słońcu, i spożywali śniadanie. Florio był bledszy niż zwykle i niewyspany. — Poranek — rzekł wesoło Fortunato — to prawdziwy, zdrowy jak rydz towarzysz, kiedy tak z okrzykiem radości opada na śpiący jeszcze świat, otrząsa łązy z drzew i kwiatów, dźwięczy, hałasuje i śpiewa. Nic sobie nie robi z tkliwych uczuć, ścina chłodem wszystkie członki i śmieje się prosto w twarz, gdy człowiek staje przed nim zaspany i jeszcze jakby omotany światłem księżyca. — Florio wstydził się teraz opowiedzieć pieśniarzowi o posągu Wenus, tak jak sobie przedtem postanowił, i milczał zmieszany. Służący wiedział jednak o jego nocnym spacerze i z pewnością go zdradził, bo Fortunato ze śmiechem ciągnął dalej: — No, jeśli nie wierzycie, stańcie, panie, i powiedzcie na przykład tak: „O czysta duszo, o blasku księżyca, o pyłku kwiatowy tkliwych serc” i tak dalej; czy to nie zabawne? A jednak założę się, że dzisiejszej nocy powtarzaliście, panie, te słowa często i z pewnością byliście przy tym niezwykle poważni.

Florio uważał dotąd pieśniarza za człowieka spokojnego i łagodnego, toteż raniła mu teraz boleśnie serce zuchwała wesołość ukochanego pieśniarza. Łzy napływały mu do rozmarzonych oczu, kiedy mówił: — Panie, mówicie zupełnie inaczej, niż czujecie, a tak nie należy nigdy czynić. Lecz ja nie pozwolę się zwieść, istnieją bowiem na świecie poważne i wielkie uczucia, które z pewnością są wstydlive, ale które nie powinny się wstydzić, i istnieje ciche szczęście, które kryje się przed blaskiem dnia, a otwiera swój kielich tylko przed rozgwieżdżonym niebem, jak kwiat, w którym mieszka anioł. — Fortunato popatrzył zdumiony na młodzieńca, wreszcie wykrzyknął: — No tak, chłopcze, jesteś naprawdę zakochany!

Tymczasem przyprowadzono konia, na którym Fortunato zamierzał odbyć przejażdżkę. Przyjaźnie pogłaskał po zgiętej szyi lśniącego rumaka, który radośnie i niecierpliwie skubał trawę. Potem zwrócił się raz jeszcze do Floria i z dobrotliwym uśmiechem ucisnął mu dłoń. — To smutne — powiedział

— za dużo mamy łagodnych, szlachetnych, zakochanych młodych ludzi, którzy uparli się być nieszczęśliwymi. Porzućcie melancholię, blask księżyca i wszystkie te głupstwa; a jeśli jest wam czasem naprawdę źle, wyjdźcie w świeży boski poranek, otrząśnijcie się, pomódlcie z głębi serca, i chyba tylko za sprawą diabelskich mocy nie staniecie się pogodni i silni. — Z tymi słowy wskoczył szybko na konia i pocwałował wśród winnic i kwitnących ogrodów w barwny, falujący świat, sam kolorowy i radosny jak poranek wokół niego.

Florio długo patrzył za nim, aż lśniący obłok pochłonęło dalekie morze. Potem chodził szybkim krokiem pod drzewami. Wydarzenia nocy pozostawiły w jego duszy głęboką i nieokreśloną tęsknotę, zaś Fortunato swoimi słowami szczególnie go wzburzył i zmącił myśli. Teraz sam już nie wiedział, czego chce, jak lunatyk, który nagle się ocknął, zawołany po imieniu. Patrzył zamyślony na cudowne łąki i pola, jak gdyby przyjazne bóstwa tam daleko chciał zapytać o zdanie. Ale poranek zsyłał tylko pojedyncze czarodziejskie blaski, które przenikały do jego płonącego serca, owładniętego przez inne moce. Gwiazdy bowiem wciąż jeszcze zataczały w nim magiczne kręgi, a pośród nich z niezwykłą wyrazistością wyłaniał się przecudny marmurowy posąg.

Wreszcie postanowił znów odnaleźć staw i szybko trafił na ścieżkę, którą wędrował w nocy.

Jakże wszystko było teraz inne! W winnicach, ogrodach i alejkach krzątali się radośnie ludzie, dzieci bawiły się beztrosko na słonecznej trawie przed chatami, które nocą, pod baśniowymi drzewami, przerażały jak drzemiące sfinksy, księżyc stał blady i daleki na jasnym niebie, niezliczone ptaki śpiewały w lesie radosnym chórem. Florio nie mógł pojąć, że wówczas, w nocy, ogarnął go taki strach.

Wkrótce spostrzegł, że w zamyśleniu zmylił drogę. Badał dokładnie wszystkie miejsca i zaraz potem z powątpiewaniem wracał, to znów szedł naprzód, ale nadaremnie, im uporczywiej szukał, tym bardziej wszystko wydawało mu się nieznanne i inne.

Długo tak błędził. Ptaki już zamilkły, na pagórkach wokół było coraz ciszej, południowe słońce słało żar na całą dolinę, która jakby spowita woalem upału zdawała się drzemać i śnić.

Nagle Florio stanął przed bramą z żelaznej kraty, przez ozdobne pozłacane pręty widać było piękny ogród. Owiał go orzeźwiający chłód i woń kwiatów. Brama nie była zamknięta, otworzył ją cicho i wszedł.

Aleja wysokich buków oplotła go uroczystym cieniem, ptaki o złocistych piórach niby zdmuchnięte przez wiatr kwiaty fruwały nad głową, a wysokie, niezwykle rośliny, jakich Florio nigdy jeszcze nie widział, kołysały marzycielsko swymi żółtymi i czerwonymi dzwoneczkami na spokojnym wietrze. Niezliczone fontanny szemrały w głębokiej ciszy, strzelając monotonnie w górę złotymi kulkami. Między drzewami w oddali widać było wspaniałą pałac o wysokich, smukłych kolumnach. Dokoła panowała głęboka cisza. Tylko tu i ówdzie budził się słowik i lkał w gałęziach drzew. Florio patrzył zachwycony na drzewa, fontanny i kwiaty — wydawało mu się, że wszystko to już przeminęło, a nad nim płyną dni, lekko falujące, w dole zaś leży tylko zaczarowany ogród i śni o dawnych czasach.

Nie uszedł daleko, gdy usłyszał dźwięki lutni, to głośniejsze, to znów cichnące wśród szumu wodotrysków. Stanął i nasłuchiwał, dźwięki stawały się coraz bliższe, i oto nagle ujrzał, jak cichą boczną alejką idzie mu naprzeciw wysoka, smukła dama niezwyklej piękności — zbliżała się powoli, nie podnosząc wzroku. Trzymała w ręku bogato zdobioną złotem lutnię, z której, zatopiona w myślach, wydobywała pojedyncze akordy. Jej długie złote włosy opadały bujnymi lokami na odsłonięte, oślepiająco białe ramiona i plecy; szerokie, długie rękawy spięte były ozdobnymi złotymi klamrami, piękną kibić okrywała błękitna jak niebo szata, dołem haftowana w kolorowe kwiaty. Blask słońca w prześwicie drzew oświeślał wyraźnie jej kwitnącą postać. Florio zadrzał — były to te same rysy, te same kształty, kształty pięknej Wenus, którą widział dzisiejszej nocy nad stawem. Kobieta śpiewała, nie widząc obcego.

*Czemu na nowo rozbudzasz mnie, wiosno,
By wskrzeszać dawno wymarłe pragnienia?
Poprzez kraj płynie twe cudowne tchnienie,
Ciało przenika dreszcz, jakże rozkoszny.*

*Sławią cię w pieśniach, piękną i radosną,
W wieńcu, znów młodą, widzą zachwyceni.
Lasy chcą śpiewać, zaszumieć strumienie,
Na jady śpiewem wtórują swym płąsom.*

*Róże wykwitną z cel — zielonych pąków
I świeży wietrzyk powiewem nas kusi,
W czystym powietrzu pomknie na zaloty.*

*Mnie też wywoła coś z cichego domku,
Bym w czasie wiosny, cierpiąc śmiać się musiał, W dźwiękach i woniach
tych tonąc — z tęsknoty.*

Tak śpiewając, szła wolno przed siebie — znikąła wśród zieleni, to znów się wyłaniała i szła coraz dalej i dalej, wreszcie zniknęła w pobliżu pałacu. Naraz znów zrobiło się cicho, tylko drzewa i woda szumiały jak przedtem. Florio stał zatopiony w barwnych marzeniach, wydawało mu się, że kobietę grającą na lutni zna bardzo długo, tylko w zawierusze życia zapomniał o niej i stracił z oczu, i że ona teraz, pogrążona w żalu, woła go nieustannie wśród szmeru wody, aby szedł za nią. Wzburzony, pospieszył dalej w głąb ogrodu, na miejsce, gdzie zniknęła. Idąc tak pod prastarymi drzewami, doszedł do zniszczonych murów, na których miejscami znać było jeszcze, jakkolwiek słabo, piękne malowidła. Pod murem, wśród popękanych brył marmuru i głowic kolumn wyrastały bujnie trawy i kwiaty — leżał tam, wyciągnięty jak długi, śpiący mężczyzna. Florio rozpoznał w nim ze zdziwieniem rycerza Donatego. Ale jego twarz wydawała się we śnie całkiem odmieniona,

wyglądał prawie jak nieżywy. Dreszcz przeszył Floria na ten widok. Gwałtownie potrząsnął śpiącego. Donati powoli otwierał oczy, a jego pierwsze spojrzenie było tak obce i dzikie, że Florio aż zadrżał ze strachu. Przy tym mruknął jeszcze między snem a jawą kilka obcych słów, których Florio nie zrozumiał. A gdy całkowicie oprzytomniał, skoczył szybko na równe nogi i spojrzał, jak się zdawało, z wielkim zdziwieniem na Floria.

— Gdzie ja jestem?! — zawołał Florio spieszenie. — Kim jest ta piękna dama, która mieszka w tym ogrodzie?

— Jakżeście, panie, tu weszli? — zapytał Donati bardzo poważnie.

Florio opowiedział pokrótce, jak się tu dostał, a rycerz pogрузzył się w głębokiej zadumie. Młodzieniec niecierpliwie powtórzył pytanie, Donati zaś odpowiedział z roztargnieniem: — Ta pani to moja krewna, jest bogata i potężna, a jej dobra rozsiane są po całym kraju, można ją spotkać wszędzie, bywa również niekiedy w mieście Lucca.

Te niedbale rzucone słowa dziwnie poruszyły Floria, ponieważ stawało się dlań coraz bardziej jasne to, czego dotychczas jedynie się domyślał, mianowicie: że widział już kiedyś w bardzo wczesnej młodości tę kobietę, ale nie mógł sobie tego wyraźnie przypomnieć.

Tymczasem, idąc dość szybko, znaleźli się niepostrzeżenie przy pozłacanej bramie ogrodu. Nie była to ta sama krata, przez którą przedtem wszedł Florio. Ze zdziwieniem rozglądał się młodzieniec po nieznaney okolicy; w dali za polami lśniły wieże miasta w jaskrawym blasku słońca. Przy bramie stał uwiązany koń Donatego i parszając grzebał kopytem.

Florio nieśmiało wyraził życzenie, że chciałby raz jeszcze ujrzeć piękną panią zamku. Donati, który dotychczas był pogрузony we własnych myślach, dopiero teraz zdawał się coś sobie przypominać. — Tej pani — powiedział ze zwykłą uprzejmością — będzie miło was poznać. Dzisiaj jednak byłoby to jej nie na rękę. Również mnie pilne sprawy wzywają do domu. Może jutro po was przyjadę. — Po czym pożegnał się z młodzieńcem w gładkich słowach, dosiadł konia i po chwili zniknął wśród pagórków.

Florio długo patrzył za nim, potem jak pijany pospieszył do miasta. Tam upał więził jeszcze wszystko, co żywe, w domach, za ciemnymi żaluzjami. Wszystkie uliczki i place były puste, Fortunato także jeszcze nie powrócił. Uszczęśliwionemu Floriowi było tu za ciasno w smutnym osamotnieniu. Szybko wskoczył na konia i ruszył w pola.

„Jutro, jutro”, dźwięczało nieustannie w jego duszy. Było mu niewypowiedziane błogo. Piękny marmurowy posąg ożył i zstąpił z kamiennego postumentu w piękną wiosnę, spokojny staw nagle zamienił się w niezmierny krajobraz, gwiazdy — w barwne kwiaty, a wiosna przybrała postać ukochanej. Florio przemierzał długo prześliczne doliny Lukki, jechał obok urokliwych małych domków, wodospadów i grot, aż opromienił go blask zorzy wieczornej.

Gwiazdy świeciły już jasno na niebie, kiedy powoli przez ciche uliczki wracał Florio do swojej gospody. Na jednym z odległych placów stał okazały dom, tonący w blasku księżyca. Okno na górze było otwarte, a za wspaniałe wyhodowanymi kwiatami Florio spostrzegł dwie damy, które wydawały się pogrążone w ożywionej rozmowie. Ze zdumieniem Florio usłyszał kilkakrotnie powtarzane swoje imię. Zdawało mu się również, że te urywane pojedyncze słowa, które przywiewał lekki wietrzyk, wypowiada owa cudowna śpiewaczka. Ale nie mógł nic dokładnie rozróżnić przez drżące w blasku księżyca liście i kwiaty. Zatrzymał się, aby lepiej słyszeć. Wtedy obie panie spostrzegły go i nagle na górze zapadła cisza.

Niezadowolony, jechał Florio dalej, ale kiedy właśnie skręcał na rogu ulicy, zobaczył, że jedna z pań, patrząc za nim, wychyliła się spoza kwiatów, a potem szybko zamknęła okno.



Następnego ranka, gdy Florio otrząsnął się ze swych marzeń sennych i

zadowolony spoglądał przez okno na iskrzące się w porannym słońcu wieże i kopuły miasta, do pokoju niespodziewanie wszedł rycerz Donati. Był ubrany na czarno i wyglądał dziś niezwykle zmieszany, zdenerwowany, niemal jak obłąkaniec. Florio bardzo się przestraszył, ale zarazem uradował, ponieważ wciąż miał w pamięci tamtą piękną kobietę.

— Czy mogę ją ujrzeć? — zapytał niecierpliwie.

Donati potrząsnął przecząco głową i patrząc smutno powiedział: — Dziś jest niedziela. — Potem, opanowawszy się, ciągnął dalej: — Ale chciałem was zaprosić na polowanie.

— Na polowanie? — odpowiedział Florio w najwyższym stopniu zdumiony. — Dzisiaj, w święto?

— Tak, dzisiaj — przerwał mu rycerz z szyderczym śmiechem. — Nie macie chyba zamiaru iść ze swą wybranką u boku do kościoła, klęczeć tam w kącie i pobożnie mówić „na zdrowie”, kiedy niewiasta kichnie.

— Nie rozumiem, co macie na myśli — powiedział Florio — i możecie się ze mnie śmiać, ale ja i tak nie mógłbym dziś polować. Popatrzcie tylko, jak wokół ustała wszelka praca, a lasy i pola są pięknie przystrojone na chwałę Pana, jak gdyby aniołowie przelatywali po niebiosach, tak piękny, uroczysty i pełen łaski jest to dzień.

Donati stał zadumany przy oknie i Floriowi zdawało się, że drży patrząc w niedzielną ciszę pól.

Tymczasem z wież miasta rozległy się dzwony i popłynęły jak modlitwa w czyste powietrze. Wtedy Donati przeraził się, chwycił za kapelusz i prawie z lękiem nalegał na Floria, aby szedł za nim. Florio jednak uparcie odmawiał.

— Dalej stąd! — wykrzyknął wreszcie rycerz półgłosem, jak gdyby z najgłębszych czeluści ściśniętej piersi, potrząsnął zdumionemu młodzieńcowi rękę i wypadł z domu.

Florio poczuł się od razu swojsko, gdy do jego pokoju wszedł Fortunato, rześki i pogodny. Przyniósł mu zaproszenie na jutrzejszy wieczór do pewnego domu pod miastem — Tylko się trzymajcie — dodał — spotkacie

tam bowiem dawną znajomą.

Florio nie na żarty się przeraził i zapytał szybko: — Kogo?

Ale Fortunato nie chciał mu zdradzić tajemnicy i prędko się oddalił. Czyżby to była owa piękna śpiewaczka?, myślał sobie Florio, a jego serce biło coraz gwałtowniej.

Potem wstąpił do kościoła, ale nie mógł się modlić, był za bardzo podniecony i roztargniony. Niespiesznie przechadzał się uliczkami miasta. Wszystko wokół przystrojone było odświętnie i świeżo — piękni panowie i panie ciągnęli radośnie do kościołów. Ale cóż — najcudniejszej nie było wśród nich! Przypomniała mu się przygoda podczas wczorajszego powrotu do domu. Odszukał ową ulicę i wkrótce ujrzał znów duży, piękny dom, ale, o dziwo! drzwi były zamknięte, wszystkie okna także, wydawało się, że nikt tam nie mieszka.

Daremnie wałęsał się cały dzień po okolicy i wypytywał o piękną nieznaną, w nadziei, że może ją nawet gdzieś spotka. Jej pałac, jak również ogród, gdzie ją w owo południe przypadkowo odnalazł, jak gdyby się zapadły pod ziemię, nie zobaczył również Donatego. Toteż jego serce biło niecierpliwie, pełne radości i oczekiwania, kiedy wreszcie wieczorem wraz z Fortunatem, nadal tajemniczym, opuszczał bramy miejskie udając się do domu za miastem.

Było już zupełnie ciemno, kiedy tam przybyli. Pośrodku w ogrodzie, jak się zdawało, stała śliczna willa ze smukłymi kolumnami, nad którymi wyrastał drugi wonny gaj, pełen pomarańczy i kwiatów. Dokoła stały olbrzymie kasztany i wysuwały w noc swe potężne ramiona, osobliwie oświetlone blaskiem świateł, przenikającym z okien. Gospodarz, wytworny, wesoły mężczyzna w średnim wieku, którego Florio nigdy chyba przedtem nie widział, powitał pieśniarza i Floria serdecznie na progu domu i poprowadził szerokimi schodami na górę do sali.

Dźwięczała wesoła, skoczna muzyka, liczne towarzystwo kłębiło się kolorowo i pięknie w blasku niezliczonych świec, które niczym gwiazdy

migotały w kryształowych lichtarzach nad wesołą gromadą. Niektórzy tańczyli, inni zabawiali się ożywioną rozmową, wielu miało na twarzach maski, a ich tajemniczy wygląd podczas tej pięknej zabawy sprawiał niekiedy głębokiej niesamowite wrażenie.

Florio stał, zaskoczony, sam jak wdzięczny posąg wśród innych przesuwających się pięknych posągów. I wtedy cudna dziewczyna podeszła do niego, odziana w zwiewną grecką szatę, piękne włosy miała kunsztownie splecione. Maska zasłaniała jej połowę twarzy, dzięki czemu dolna połowa oblicza wyglądała jeszcze bardziej kwitnąco i powabnie. Skłoniła się lekko, wręczyła mu różę i znów szybko zniknęła w tłumie.

W tej samej chwili Florio spostrzegł także, że gospodarz stoi tuż przy nim, patrzy nań badawczo — natychmiast jednak odwrócił wzrok, kiedy Florio spojrział na niego.

Zdumiony, przeciskał się Florio przez szumiący tłum. Tej, o której skrycie marzył, nigdzie nie znalazł i prawie czynił sobie wyrzuty, że tak lekkomyślnie dał się namówić wesołemu Fortunatowi na ten wir zabaw, który teraz, jak mu się zdawało, coraz bardziej oddalał go od owej samotnej dostojnej postaci. Tymczasem fale wesołości beztrosko opływały pogrążonego w zadumie młodzieńca — niepostrzeżenie dał się im unosić. Muzyka taneczna, nawet jeśli nie wstrząsa nami, nie wzrusza, porywa nas jak wiosna. Jej dźwięki muskają cudownie, jak pierwsze blaski słońca przenikają człowieka do głębi i przywołują na pamięć te wszystkie pieśni, które dotychczas drzemały spętane, a woda, kwiaty, dawne wspomnienia i całe to skostniałe, ciężkie i zbutwiałe życie staje się spokojnym, przejrzystym strumieniem, który radośnie przepływa serce, pełne porzuconych już dawno marzeń. Tak więc ogólna wesołość udzieliła się wkrótce i Floriowi. Było mu tak dobrze, jak gdyby rozwiązały się nagle wszystkie tajemnice i zagadki, które go trapiły.

Zaciekawiony szukał pięknej Greczynki. Znalazł ją pogrążoną w rozmowie z innymi maskami, ale zauważył, że również ona wybiegała

wzrokiem na wszystkie strony, jak gdyby kogoś szukała, i z daleka już go spostrzegła. Poprosił ją do tańca. Skłoniła się uprzejmie, ale jej ruchliwość jakby się rozprysła, kiedy ujął ją za rękę i mocno trzymał. Podążała za nim w milczeniu i ze spuszczoną głową, trudno było orzec — filuternie czy smutno. Zagrała muzyka, a on nie spuszczał oczu z uroczej czarodziejki, która niczym zaczarowana królewna z bajki wirowała dokoła niego.

— Ty mnie znasz — szepnęła mu ledwie dosłyszalnie, kiedy w tańcu ich usta niemal się dotknęły.

Taniec wreszcie się skończył, muzyka nagle ucichła; i wtedy Floriowi wydało się, że w drugim końcu sali ujrzał swą piękną tancerkę, która przecież była przy nim: ten sam strój, te same barwy tkaniny, te same ozdoby we włosach. Piękna postać jak gdyby przyglądała mu się uważnie i stała cały czas w milczeniu w tłumie rozproszonych wokół tancerzy, jak pogodna gwiazda wśród płynących obłoków, to znikając, to znów wynurzając się. Czarująca Greczynka zdawała się niczego nie dostrzegać albo po prostu nie zwracała na to uwagi, opuściła tylko spiesznie i bez słowa, z delikatnym uściskiem dłoni, swego tancerza.

Sala tymczasem nieco opustoszała, goście wylegli do ogrodu, aby pospacerować na świeżym powietrzu, również owa dziwna druga postać zniknęła. Florio szedł śladem innych, zatopiony w myślach, pod wysokimi arkadami. Liczne pochodnie rzucały czarodziejski blask przez drżące liście. Tu i tam spacerowały we wspinałym pochodzie maski o skrzekliwych głosach; w bladym oświetleniu wyglądały jeszcze bardziej dziwnie i niemal upiornie.

Florio bezwiednie wyszedł na odludną ścieżkę; znajdował się z dala od reszty towarzystwa, kiedy usłyszał w zaroślach uroczy śpiew.

*Gną się czubki drzew, szepczące,
Jakby się całować chciały.
Szczyty gór złocone słońcem
Z dala świat witają cały.*

*Piękny on, łagodny taki,
Na tajemnym cichym tle,
Całą noc śpiewały ptaki,
Jakżem wesół zbudził się.*

*Nie szumcie zbyt głośno, zdroje,
Ranek nie śmie wiedzieć o tym,
Żem łagodnej Lunie swoje
Zwierzył szczęście i zgryzoty.*

Florio podążał za śpiewem i wyszedł na duży, okrągły trawnik, pośrodku którego fontanna wesoło igrała z błyskami księżyca. Greczynka siedziała jak piękna najada na kamiennej krawędzi fontanny. Zdjęła maskę i zamyślona bawiła się różą nad połyskującym lustrem wody. Księżyc opromieniał przymilnie jej oślepiająco białe ramiona. Twarzą Florio nie mógł widzieć, ponieważ dziewczyna była odwrócona do niego plecami. Kiedy piękna zjawa usłyszała za sobą szelest gałęzi, natychmiast poderwała się, założyła maskę i uciekła szybko jak spłoszona sama z powrotem do zebranych.

Florio znów wmieszał się w szeregi spacerujących. Niejedno piękne zakłęcie miłosne popłynęło tej nocy w letnie powietrze. Księżyc swymi niewidocznymi niani tkął złotą sieć miłosną, w którą wplątywały się wszystkie postacie, i tylko dziwaczne maski ze swymi igrami stanowiły komiczny wyłom. Szczególnie Fortunato przebierał się tego wieczoru kilkakrotnie, niby zjawa zmieniając w osobliwy sposób postać, wciąż inny i nie rozpoznany, zadziwiający sam siebie odwagą i celnością swojej gry, tak że często nagle sam milkł z żalu, kiedy inni zaśmiewali się do rozpuku.

Piękna Greczynka nie pokazała się więcej, wydawało się, że świadomie unika spotkania z Floriem.

Za to gospodarz domu zajął się nim teraz gorliwie i nie odstępował go ani na krok. W sposób nienaturalny i natarczywy dopytywał się o jego życie,

podróże i plany na przyszłość. Florio nie mógł nabrać do niego zaufania, gdyż Piętro, tak się ów gospodarz nazywał, patrzył na niego przenikliwym wzrokiem; wyglądało na to, że za kunsztownymi słówkami kryje się jakaś szczególna pułapka. Daremnie jednak Florio się zastanawiał, pragnąc znaleźć przyczynę tej natrętnej ciekawości.

Właśnie znów się od niego uwolnił, gdy skręcając na końcu alei, spotkał kilka masek, wśród których nieoczekiwanie ujrzał Greczynkę. Maski rozmawiały ze sobą z ożywieniem i dziwnymi głosami, a jeden spośród nich wydał mu się znajomy, lecz nie mógł sobie dokładnie przypomnieć. Wkrótce potem postacie zaczęły znikać jedna po drugiej, aż wreszcie, zanim to sobie jasno uprzytomnił, pozostał Florio sam z dziewczyną. Stała niepewna i przez kilka chwil spoglądała na niego w milczeniu. Nie miała już maski, ale krótka śnieżnobiała woalka, ozdobiona przepięknym złotym haftem, osłaniała jej twarzyczkę. Był zdziwiony, że ta nieśmiała dziewczyna została z nim sam na sam.

— Podśluchiwałeś, panie, jak śpiewałam — rzekła wreszcie uprzejmie. Były to jej pierwsze głośno wypowiedziane słowa. Ich melodyjne brzmienie przeniknęło jego duszę na wskroś, jak gdyby nagle ożyły w nim wspomnienia tego, co ukochane, piękne i radosne, co dane mu było kiedykolwiek w życiu przeżyć. Przepraszał za swoją śmiałość i zmieszany opowiadał o samotni, która go zwabiła, o swoim roztargnieniu i szumie fontanny. Przybliżało się tymczasem kilka głosów. Dziewczyna popatrzyła niepewnie dokoła i szybkim krokiem podążyła w ciemność. Wydawała się rada, że Florio spieszy za nią.

Odważnie i poufale prosił ją teraz, aby się dłużej nie ukrywała lub powiedziała chociaż swoje imię, żeby jej ukochana postać znów nie zniknęła wśród tysięcy kłębiących się posągów.

— Daj pokój, panie — odpowiedziała rozmarzona. — Zrywaj kwiaty życia z radością, jaką daje ulotna chwila, nie sięgaj po korzenie w ziemi, bo tam jest tylko smutek i cisza.

Florio patrzył na nią zdumiony; nie pojmował, skąd biorą się takie ponure i tajemnicze słowa w ustach pogodnej dziewczyny, światło księżyca oświetlało spoza drzew jej postać. Wydała mu się jeszcze wyższa, smuklejsza i piękniejsza niż przedtem w tańcu czy też przy fontannie.

Doszli tymczasem do bramy ogrodu. Nie było tu światła, tylko od czasu do czasu pobrzmiwały z oddali pojedyncze głosy. Okolica poza ogrodem odpoczywała spokojnie i świątecznie w cudownym blasku księżyca. Na łące, która roztaczała się przed nimi, Florio ujrzał mnóstwo kłębiących się w mroku, ledwie widocznych, koni i ludzi.

Tu jego towarzyska nagle się zatrzymała.

— Bardzo będę rada ujrzeć was w moim domu — powiedziała. — Nasz przyjaciel was przyprowadzi. Żegnajcie! — Po tych słowach odrzuciła woalkę, a Florio przestraszył się. Była to owa cudna piękność, której śpiewu słuchał wówczas w ciężkim od upału i dusznym ogrodzie. Ale jej twarz jasno oświetlona Księżycem, wydała mu się blada i nieruchoma, tak jak owego czasu marmurowa twarz Wenus nad stawem.

Patrzył teraz, jak szła przez łąkę, jak powitali ją bogato przystrojeni służący i jak szybko przywdziawszy strój myśliwski, dosiadła śnieżnobiałego rumaka. Stał jak wrośnięty w ziemię ze zdumienia, radości i ukrywanego lęku, który budził się w jego duszy, aż jeźdźcy, konie i tajemnicza postać zniknęły w ciemnościach nocy.

Wołanie z ogrodu wyrwało go wreszcie z zadumy. Poznał głos Fortunata i przyspieszył kroku; chciał jak najszybciej znaleźć się u boku przyjaciela, który go daremnie od dawna poszukiwał. Fortunato zaś, ledwo go dostrzegł, zaśpiewał, zwracając się do niego:

Cisza w krąg

Ściele się,

Kwiecie łąk wonią tchnie.

Milej zew,

Słyszysz on.

Gwiazdnych stref

Sięga ton.

Skargi głos,

Serca żal,

Czas i los

Niosą w dal.

Księżycy blask

Ozłaca nas.

Niech miłość i miła

Będzie taką, jak była.

— Gdzie się tak długo podziewaliście! — wykrzyknął w końcu ze śmiechem. Florio za nic nie mógłby zdradzić swej tajemnicy. — Długo? — odrzekł tylko, sam mocno zdziwiony. Rzeczywiście, ogród tymczasem całkiem opustoszał, światła prawie pogasły, tylko niektóre lampiony migotały jeszcze niepewnie gdzieś jak błędne ogniki na wietrze.

Fortunato nie nalegał więcej na młodzieńca, i w milczeniu wchodzili po stopniach opustoszałego domu.

— A oto moja tajemnica — powiedział Fortunato, kiedy zna— leżli się na tarasie na dachu willi, gdzie siedziała jeszcze niewielka grupka ludzi, pod niebem wesoło połyskującym gwiazdami.

Florio od razu rozpoznał wiele twarzy, które widział owego pierwszego wieczoru koło namiotów. Wśród nich dostrzegł także swą piękną sąsiadkę. Ale nie miała dzisiaj wianka z kwiatów. Jej piękne włosy bez wstążki i bez żadnej zapinki falowały wokół głowy i smukłej szyi. Florio stał w milczeniu, zaskoczony tym widokiem. Wspomnienie owego wieczoru owładnęło nim z

niezwykłą siłą. Wydawało mu się, że to wszystko działo się bardzo dawno temu, że tak wiele się zmieniło od tamtego czasu.

Na dziewczynę wołano Bianka i przedstawiono ją jako siostrzenicę Pietra. Była wyraźnie onieśmielona, kiedy Florio się do niej zbliżył, i ledwie miała odwagę spojrzeć na niego. Wyraził swe zdziwienie, że nie widział jej przez cały dzisiejszy wieczór.

— Widziałeś mnie, panie, wiele razy — powiedziała cicho, a jemu zdawało się, że poznaje ten szept. Mówiąc to, dziewczyna spostrzegła na jego piersi różę, którą podarowała mu Greczynka, i zarumieniona spuściła wzrok. Florio to zauważył i jednocześnie przypomniał sobie, że po tańcu widział Greczynkę podwójnie. O Boże, pomyślał zmieszany, któż to był?

— To dziwne uczucie — powiedziała, przerywając milczenie — tak nagle z głośnej zabawy wejść w głęboką noc. Popatrzcie tylko, panie, płochliwe chmury tak bezładnie wędrują po niebie, że w głowie się mąci, kiedy się długo na nie patrzy; są one jak potężne góry księżycowe z bezdennymi przepaściami i straszliwymi wierzchołkami, jak przywidzenia, to znów jak smoki nagle wyciągają długie szyje, a pod nimi w dole rzeka wiję się powoli jak złoty wąż w ciemności, biały dom zaś, tam po drugiej stronie, wygląda jak martwy marmurowy posąg.

— Gdzie? — Florio mocno przestraszony wyrwany został nagle z zamyślenia. Dziewczyna patrzyła nań zdumiona, i oboje milczeli przez kilka chwil.

— Opuście Lukkę? — zapytała w końcu z wahaniem i cicho, jak gdyby obawiała się odpowiedzi.

— Nie — odparł Florio roztargniony — ależ tak, tak, wkrótce, już niedługo.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale nagle odwróciła twarz w stronę ciemności, powstrzymując słowa.

Młodzieniec nie mógł już dłużej znieść skrępowania. Jego serce było przepełnione i ściśnięte, a jednak bardzo szczęśliwe. Pożegnał się spiesźnie,

pobiegł na dół i pocwałował na koniu z powrotem do miasta, zostawiając Fortunata i całe towarzystwo.

Okno w jego pokoju było otwarte. Florio, roztargniony, wychylił się raz jeszcze. Cicha okolica leżała przed nim spokojna, nie do poznania, niby zawily hieroglif, w czarodziejskim świetle księżyca. Młodzieniec niemal z trwogą zamknął okno i rzucił się na posianie, pogrążając się jak w malignie w najosobliwsze marzenia senne.

Bianka natomiast długo jeszcze siedziała na górze na tarasie. Wszyscy udali się już na spoczynek, tu i ówdzie budził się skowronek, wzlatując w powietrze z nieśmiałą pieśnią, wierzchołki drzew zaczynały drzeć, blade światło brzasku tańczyło po jej rozbudzonym obliczu, na które luźna i niedbale opadały loki. Powiadają, że jeśli dziewczyna zaśnie w wianku uplecionym z dziewięciorakich kwiatów, ukaże jej się we śnie przyszły ukochany. Bianka po owym wieczorze w namiocie ujrzała Floria. Teraz okazało się, że to wszystko nieprawda, chłopiec był taki roztargniony, taki zimny i obcy. Zniszczyła złudne kwiaty, które aż do tej chwili przechowywała jako wianek ślubny. Potem oparła głowę na chłodnej poręczy i gorzko zapłakała.



Od tego czasu upłynęło wiele dni. Florio przebywał pewnego popołudnia u Donatego w jego domu pod miastem. Spędzali ciężkie, upalne godziny na przyjemnych pogawędkach przy stole zastawionym owocami i zimnym winem, aż słońce pochyliło się ku zachodowi. Donati kazał grać na gitarze swojemu słudze, który potrafił wyczarowywać z niej najpiękniejsze dźwięki. Wielkie szerokie okna były otwarte na oścież, a ciepły letni wietrzyk przywiewał woń kwiatów, które stały na parapetach. Miasto w dali leżało w barwnym zapachu, wśród ogrodów i winnic, a przez okno dobiegały aż tu

radosne dźwięki. Florio był wesoły, ponieważ wciąż myślał o pięknej dziewczynie.

Tymczasem na dworzu dały się słyszeć w oddali dźwięki rogów. Bliżej, to znów dalej odpowiadały sobie nawzajem z zielonych wzgórz. Donati podszedł do okna.

— To owa pani — powiedział — którą widzieliście w pięknym ogrodzie, wraca właśnie z polowania do swego pałacu.

Florio wyjrzał przez okno. Zobaczył dziewczynę na pięknym rumaku, jak jedzie w dole po błoniu. Sokół, przyczepiony na złotym sznurku do pasa, siedział jej na dłoni, szlachetny kamień na piersi rzucał zielonkawozłote blaski na łąkę. Skinęła mu przyjaźnie głową.

— Bywa rzadko w domu — powiedział Donati — jeśli macie ochotę, panie, moglibyśmy ją dziś jeszcze odwiedzić.

Na te słowa Florio otrząsnął się z marzycielskiego odrętwienia i najchętniej byłby się rzucił rycerzowi na szyję. Za chwilę obaj siedzieli już na koniach.

Nie jechali długo, gdy nagle wyrósł przed nimi pałac ze wspaniałymi wesołymi kolumnami, otoczony pięknym ogrodem jak barwnym wieńcem z kwiatów. Z dziesiątek fontann tryskały lśniąca strumienie jak radosne okrzyki, wysoko, ponad wierzchołki krzewów, pięknie iskrząc się w złotym blasku wieczoru. Florio dziwił się, że dotychczas nie napotkał tego ogrodu. Serce mu biło z zachwytu i oczekiwania, kiedy wreszcie znaleźli się przed pałacem.

Otoczyła ich służba, odebrała konie. Pałac był z marmuru i wyglądał dziwnie, prawie jak pogańska świątynia: piękne proporcje poszczególnych części, kolumny strzelające w górę niby młodzieńcze marzenia, kunsztowne ornamenty, wyobrażające sceny z dawnego, radosnego życia, wreszcie marmurowe posągi bogów, ustawione dokoła w niszach. Widok ten nappełniał duszę nieopisaną radością. Weszli do olbrzymiej sali, biegnącej przez cały pałac. Między lekkimi kolumnami majaczył ogród, a piękny jego zapach

przenikał aż do wnętrza.

Kiedy znaleźli się na szerokich, lśniących schodach, prowadzących do ogrodu, ujrzeli piękną panią zamku, która powitała ich z gracją. Spoczywała półleżąc na kanapie pokrytej kosztowną tkaniną. Zdjęła strój myśliwski, jej cudowne ciało spowijała teraz błękitna jak niebo szata, przepasana delikatnie splecionym sznurem. Obok niej klęczała dziewczyna i trzymała lustro, pozostałe służące były zajęte przystrajaniem swej pięknej pani różami. U jej stóp leżały w krąg na trawie dziewice i śpiewały przy dźwiękach lutni radośnie, to znów skarżąc się, jak słowiki, które w ciepłą letnią noc rozmawiają ze sobą kląskaniem.

W ogrodzie czuło się wszędzie orzeźwiający powiew chłodu. Nieznani panowie i panie przechadzali się wśród krzewów róż i wodotrysków, rozmawiając uprzejmie. Szlachetnie urodzeni chłopcy, w bogatych strojach, roznosili wino, pomarańcze i inne owoce na srebrnych tacach. Nieco dalej, gdzie dźwięki lutni i promienie wieczoru słały się po kwiatnych łąkach, wstawały, jakby zbudzone ze snu, piękne dziewczyny, strząsały z czoła ciemne loki, przemywały oczy w przejrzystych fontannach i włączały się w radosny korowód.

Spojrzenia Floria wędrowały nieprzytomne w coraz to nowym upojeniu wciąż ku pięknej pani zamku. Wydawała się nie przeszkadzać sobie w miłych zajęciach. Poprawiała swe cudne, pachnące sploty, to znów przeglądała się w lustrze, stale coś przy tym mówiąc do młodzieńca, obojętnie igrając ozdobnymi słowami, od czasu do czasu odwracała się nagle i patrzyła nań spod różanego wianka tak uroczo, że te spojrzenia przenikały go do głębi duszy.

Noc już zapadła, między falującym światłem lamp pociemniało, wesołe głosy w ogrodzie powoli zamieniły się w miłosne szepty, blask księżyca połyskiwał czarodziejsko na pięknych liściach. Wtedy to pani podniosła się ze swego kwiecistego łoża, ujęła Floria przyjaźnie za rękę i poprowadziła do pałacu, którym się tak zachwycał. Szli po stopniach w górę i w dół,

towarzystwo tymczasem rozproszyło się rozbawione, śmiejąc się i żartując spacerowano po krążgankach, również Donati zniknął gdzieś w tłumie, i wkrótce Florio znalazł się sam z damą w przepysznej komnacie pałacowej.

Piękna kobieta opadła na jedną z wielu leżących na podłodze jedwabnych poduszek. Bawiła się przy tym dużym, lśniącobiałym szalem, zręcznie odsłaniając swe piękne kształty, to znów je zakrywając. Florio przyglądał się jej z gorzącymi oczyma. Na dworze w ogrodzie zadźwięczał przepiękny śpiew. Była to stara nabożna pieśń, którą często słyszał w dzieciństwie, a którą prawie zapomniał w czasie podróży wśród barwnych, wciąż nowych obrazów. Zmieszał się, ponieważ nagle wydało mu się, że to głos Fortunata.

— Czy znasz, o pani, tego pieśniarza? — zapytał szybko damę. Wydawała się nie na żarty przestraszona i zaprzeczyła zmieszana. Potem siedziała długo pogrążona w zadumie.

Florio miał tymczasem okazję dokładnie przyjrzeć się wspaniałym ozdobom komnaty. Oświetlało ją tylko słabo kilka świec w dwóch olbrzymich, wystających ze ściany rękach. Wysokie zamorskie kwiaty, ustawione wokół w drogocennych dzbanach, rozsiewały upajającą woń. Naprzeciwko stał szereg marmurowych posągów, na które świece rzucały pożądliwe blaski. Reszta ścian wybita była jedwabiem haftowanym w przeróżne obrazy, a wszystko naturalnej wielkości i niezwykle żywe.

Ze zdziwieniem stwierdził Florio, że każda kobieta, którą oglądał na tych obrazach, podobna była do pięknej pani zamku. Raz ukazywała mu się z sokołem na dłoni, jadąca konno na polowanie, z młodym rycerzem u boku, raz pojawiła się w pięknym różanym ogrodzie z chłopcem, który klęczał u jej stóp.

Nagle przypomniał sobie, jakby pod wpływem pieśni na dworze, że we wczesnym dzieciństwie w domu często oglądał taki obraz: piękna dama ubrana podobnie jak pani zamku, rycerz u jej stóp, w dali duży ogród z wodotryskami i alejkami, przyciętymi nad wyraz kunsztownie, tak samo jak tutaj w ogrodzie. Widział tam również obrazy Lukki i innych znanych miast.

Zwierzył się damie ze swych myśli, głęboko poruszony.

— Wtedy — powiedział zatopiony we wspomnieniach — kiedy w parne popołudnie stałem w samotnej altanie w naszym ogrodzie i patrzyłem na stare obrazy, na których widniały piękne wieże miast, mosty i alejki, wspaniałe pojazdy i wytworni kawalerowie, którzy kłaniali się damom w powozach, nie myślałem, że to wszystko kiedyś ożyje wokół mnie. Mój ojciec często przystawał obok mnie i opowiadał różne wesołe przygody, jakie mu się wydarzyły w tym lub innym namalowanym mieście, w czasach wojennych wypraw w latach młodości. Potem spacerował długo, zamyślony, alejkami ogrodu. Ja natomiast rzucałem się w wysoką trawę i wpatrywałem godzinami w chmury, które płynęły nad duszną okolicą. Trawa i kwiaty kołysały się cicho nade mną, jak gdyby chciały utkać niezwykły dywan ze snów, pszczoły brzęczały dokoła nieustannie... ach, to wszystko jest jak morze ciszy, w którym serce chciałoby się pogрузić z tęsknoty!

— Daj spokój, panie — powiedziała dama jakby z roztargnieniem — każdemu się wydaje, że mnie już kiedyś widział, jako że mój obraz wschodzi i kwitnie we wszystkich młodzieńczych snach.

Odgarnęła przy tym łagodnie pięknemu młodzieńcowi brązowe loki z jasnego czoła. Ale Florio wstał, jego serce było za bardzo przepełnione i do głębi wzburzone, i podszedł do otwartego okna. Drzewa szumiały, w gałęziach śpiewały słowiki, w oddali od czasu do czasu przesywała niebo błyskawica. Nad ogrodem płynęła nieustannie pieśń, jak przejrzysty, chłodny strumień, z którego wynurzają się dawne młodzieńcze sny. Siła dźwięków owej pieśni pogрузzyła duszę Floria w głębokim zamyśleniu, nagle wydał się sam sobie obcy i jak gdyby zagubiony. Ostatnie słowa damy, których nie umiał wytłumaczyć, dziwnie go zatrwożyły. Powiedział cicho, w najgłębszych czeluściach duszy: Boże, nie daj mi zginąć w świecie.

Ledwie wypowiedział te słowa w myśli, zerwał się wiatr, zwiastujący nadciągającą burzę, owiał go mocno i zasiał zamęt w jego duszy. W tej samej chwili na gzymisie okiennym zauważył trawę i kilka kępek ziela, jak to na

starych murach. Spośród roślin wypełził zielonkawozłoty wąż i wijąc się runął w dół.

Florio, przerażony, odskoczył od okna i wrócił do damy. Siedziała nieporuszona, w milczeniu, jak gdyby nasłuchiwała. Potem wstała pośpiesznie, podeszła do okna i miłym głosem coś mówiła z wyrzutem. Ale Florio nie mógł nic zrozumieć, ponieważ wichura natychmiast porywała ze sobą jej słowa. Burza zdawała się nadciągać coraz bliżej, wiatr hulał z gwizdem po całym domu i groził migocącym gdzieś świecom, że je zgasi, jego świst przeplatały pojedyncze tony pieśni, przeszywającej serce. Długa błyskawica rozświetliła właśnie szarzejącą komnatę. Florio cofnął się nagle kilka kroków, gdyż wydało mu się, że dama stoi przed nim z zamkniętymi oczyma, a jej oblicze i ramiona są zupełnie białe. Ale wraz z błyskawicą zniknęło również straszne przywidzenie, tak szybko, jak się pojawiło. Szary zmierzch wypełnił znów komnatę, dama znów patrzyła nań z uśmiechem, jak przedtem, ale w milczeniu i smutnie, jak gdyby z trudem powstrzymywała łzy.

Tymczasem Florio, zataczając się ze strachu, wpadł na jeden z kamiennych posągów, które stały pod ścianą. W tej samej chwili posąg poruszył się, ruch ten udzielił się innym posągom i wkrótce wszystkie uniosły się w przerażającym milczeniu ze swoich postumentów. Florio dobył szpady i rzucił niepewne spojrzenie na damę. Lecz gdy zauważył, że wraz z narastającymi dźwiękami pieśni w ogrodzie kobieta staje się coraz bledsza, podobna do zachodzącej zorzy wieczornej, w której wydawały się pogrążyć nawet jej lśniące źrenice, ogarnęło go śmiertelne przerażenie. Wysokie kwiaty w dzbanach zaczęły się kłębić jak kolorowo nakrapiane węże, a rycerze na jedwabnych tapetach stali się nagle podobni do Floria i śmiali się doń szydlerczo; ręce, które trzymały świece, wiły się i wydłużały coraz bardziej, jak gdyby ze ściany wydostawał się jakiś olbrzym, sala wypełniała się dziwnymi postaciami, a błyskawice rzucały straszliwe blaski na ich oblicza. Przez ten kłębiący się tłum Florio widział kamienne posągi,

napierające nań z taką siłą, że włosy mu się zjeżyły. Przeważenie ogarnęło wszystkie jego zmysły, wypadł na wpół żywy z pokoju i biegł przez puste komnaty i krużganki, w których odbijało się echo.

Na dole w ogrodzie, całkiem na uboczu, był spokojny staw, ten sam, który Florio widział owej nocy, z marmurowym posągami Wenus. Pieśniarz Fortunato, tak mu się w każdym razie zdawało, płynął łodzią, odwrócony i wyprostowany pośrodku stawu, wydobywając jeszcze ze swej gitary pojedyncze akordy. Lecz Florio także i to zjawisko uznał za złudny majak nocy i pobiegł tak szybko przed siebie, nie oglądając się, że staw, ogród i pałac wnet pozostały daleko za nim. Miasto spało już, oświetlone blaskiem księżycy. Daleko na horyzoncie pobrzmiwały tylko słabe grzmoty, była piękna, jasna letnia noc.

Pojedyncze smugi światła dnia ślizgały się już po porannym niebie, kiedy Florio przybył do bram miasta. Szukał spieszenie domu Donatego, aby ten mu wyjaśnił wydarzenia dzisiejszej nocy. Dom stał na jednym z najwyższych wzniesień z widokiem na miasto i całą okolicę. Wkrótce odnalazł ten uroczy zakątek. Ale zamiast pięknej willi, w której był wczoraj, stała niska chata, obrośnięta winem i otoczona niewielkim ogródkiem. Gołębie, igrające w pierwszych promieniach dnia, spacerowały po dachu. Błogi spokój i cisza panowały wokół. Mężczyzna z łopata na ramieniu wyszedł właśnie z chaty i zaśpiewał:

*Minęła już ponura noc
I siła zła, i czarów moc,
Dzień nas do pracy wzywa też,
Wstań, jeśli Boga chwalić chcesz!*

Nagle przerwał pieśń, kiedy ujrzał obcego, który nadbiegł blady i ze zmierzwionymi włosami. Jak nieprzytomny zapytał Florio o Donatego. Ale ogrodnik nie znał nikogo o takim imieniu, sądził, że przybysz jest po prostu obłąkany. Jego córka przeciągnęła się na progu w chłodnym porannym

powietrzu, świeża i jasna, i popatrzyła na nieznanego wielkimi, zdziwionymi oczyma.

— Na Boga! Gdzież ja tak długo byłem? — rzekł Florio półgłosem do siebie, wbiegł spieszenie przez bramę i popędził co sił przez puste jeszcze ulice do gospody.

Zamknął się w swej izbie i pogrążył w skamieniałym zamyśleniu. Nieopisany urok damy i widok jej blednącej twarzy i gasnących pięknych oczu pozostawiły w głębi jego serca niezmierną tęsknotę. Florio zapragnął nagle umrzeć.

Cały dzień i noc siedział pogrążony w ponurych rozmyślaniach i marzeniach.

Pierwszy blask zastał go już na koniu pod bramami miasta. Wytrwałe prośby i namowy wiernego sługi skłoniły go wreszcie do postanowienia, aby raz na zawsze opuścić te strony. Zamyślony, powoli ciągnął przez piękną ulicę prowadzącą z Lukki na wieś, między ciemniejącymi drzewami, w których spały jeszcze ptaki. Niedaleko od miasta przyłączyli się do niego trzej inni jeźdźcy; z ukrywanym dreszczem strachu rozpoznał Florio w jednym z nich pieśniarza Fortunata. Drugi był stryjem Bianki, w którego domu tańczył Florio owego niefortunnego wieczoru. Towarzyszył mu chłopak, jechał obok niego w milczeniu, nie rozglądając się. Wszyscy trzej postanowili wspólnie przemierzyć piękną Italię i przyjaźnie zaprosili Floria, aby pojechał z nimi.

Ten jednak skłonił się w milczeniu, nie wyrażając zgody ani nie odmawiając, i przez całą drogę prawie nie brał udziału w rozmowie.

Zorza poranna zapalała się nad przepiękną okolicą przed nimi. Wtedy wesoły Piętro powiedział do Fortunata: — Popatrzcie tylko, jak niesamowicie igra mrok wśród starych ruin tam na górze. Jakże często, jeszcze jako chłopiec z zachwytem, ciekawością i tajonym lękiem wałęsałem się pośród starych rumowisk. Znacie tak dużo legend, opowiedzcie nam o powstaniu i upadku tego zamku, o którym krążą po kraju dziwne wieści.

Florio spojrział na górę. Sterczały tam osamotnione ruiny, piękne, do połowy wrosnięte w ziemię kolumny i kunsztownie rzeźbione kamienie; wszystko porośnięte bujnie wijącym się pnączem, wysoką trawą i cierniami. Obok znajdował się staw, nad którym wznosił się częściowo zniszczony marmurowy posąg, lśniący w blasku poranka. Była to najwidoczniej ta sama okolica, to samo miejsce, gdzie widział piękny ogród i damę. Floria przeszył dreszcz na ten widok. Ale Fortunato powiedział: — Znam starą pieśń o tym zamku, jeśli chcecie posłuchać: — I zaśpiewał bez namysłu swym jasnym, wesołym głosem:

*Z cudownych dzieł pomników
Pozostał proch i gruz,
W tę czarującą dzikość
Kwitnący ogród wrósł.*

*Królestwo ruin w trawie,
Niebo blisko i z dala,
Inny cię świat pozdrawia.
Oto Italia!*

*Gdy ponad pól zielenią
Wiosenny powiał wiatr,
Z pieśczoły lekkim drżeniem
W dolinę cicho spadł.*

*W grobach, gdzie śpią bogowie,
Przepływa cichy wiew
I lęk odczuwa człowiek
Mrozący w żyłach krew.*

Splątane głosy błędzą,

*Wśród drzew je uchem goń!
Marzenia mkną tęskniące
Nad modrą morza toń.*

*A pod woalem woni
Przedwiośnia pierwszy dar,
Z uroczysk się wyłoni
Tajemnic dawnych czar.*

*Usłyszysz Wenus—ani
Wabiący ptasząt chór
z kwiatów się wyłania
Witając ziemski dwór.*

*Odnaleźć chce swój pałac,
wyniosłych kolumn rząd,
W rumieńcach wiosny cała,
Uśmiechem usta drzę.*

*Lecz w miejscach wspomnień pustka,
Głuchy dziś piękny dom,
I trawą próg tam zarósł,
W krużgankach wichry dmą.*

*Gdzież zabaw towarzysze?
Dianę sen w lesie zmógł,
W podmorskiej spoczł ciszy
Samotny Neptun—Bóg.*

*Czasami syren grono
Wyplynie z głębi wód,*

*Zawodzą pieśń szaloną
Nabrzmiałych smutkiem nut.*

*Twarz blednie, myśl się mroczy,
Choć wiosny płonie blask,
I gasną Wenus oczy,
Ciało się zmienia w głaz.*

*Nad ląd i toń wyrasta
Ciszy i dobra cud,
Inna tam jest niewiasta,
Łuk tęczy u jej stóp.*

*Dzieciątko w jej ramionach
W objęciu czułych rąk,
Swym miłosierdziem ona
Obejmie ziemi krąg.*

*Jakby w jaśniejszym świecie
Z sennych się wyrwie mar
Inne człowiecze dziecię,
Zły zwyciężając czar.*

*Zaśpiewa jak skowronek,
Rozerwie czarów splot,
Duch jego wyzwolony
Wzbije się w górny lot.*

Wszyscy długo milczeli, kiedy skończył.

— Te ruiny — powiedział wreszcie Piętro — to dawna świątynia Wenus,
jeśli was dobrze zrozumiałem.

— Zapewne — odparł Fortunato — o ile to można odczytać z układu poszczególnych części i z ocalałych ozdób. Powiadają, że dusza pięknej bogini pogańskiej nie zaznała, spokoju. Każdej wiosny na pamiątkę ziemskich uciech wychodzi z mrocznego grobowca, udaje się do zielonej samotni swego rozpadającego się domu i obdarzona diabelską mocą, próbuje swej dawnej sztuki uwodzenia na młodych, beztroskich sercach, które potem, oderwane od tego świata, ale nie przyjęte jeszcze do królestwa umarłych, miotają się między dziką żądzą a straszliwą skruchą, błądzą w okrutnym omamieniu i wreszcie giną. Bardzo często w tym właśnie miejscu upiory nagabują ludzi, raz ukazują się w postaci pięknych dam, to znów jako znakomici kawalerowie, i wabią przechodzących tamtędy do pałacu i ogrodu, które nagle wyrastają przed nimi jak spod ziemi.

— Byliście kiedyś tam na górze? — zapytał szybko Florio, wyrwany z zamyślenia.

— Dopiero przedwczoraj wieczorem — odpowiedział Fortunato.

— I nie widzieliście nic straszego?

— Nie — powiedział pieśniarz — prócz spokojnego stawu, białego tajemniczego kamienia, oświetlonego blaskiem księżyca, niezmiernego nieba, lśniącego gwiazdami. Zaśpiewałem starą nabożną pieśń, jedną z tych dawnych pieśni, które jak odgłosy z innego świata przeciągają przez rajski ogród naszego dzieciństwa i dopiero w dojrzałym wieku wydobywa się z nich to, co poetyckie. Wierzcie mi, prawdziwy poeta nie musi się niczego obawiać, bowiem sztuka, ta bez patosu i fałszu, potrafi poskromić i zakłócić dzikie duchy ziemi, które sięgają po nas z otchłani.

Wszyscy milczeli, słońce właśnie wzeszło i zsyłało swe lśniące promienie na ziemię. Florio otrząsnął się, wyprzedził swych towarzyszy, oddalił się nieco i zaśpiewał czystym głosem:

Panie, jam twój.

Pozdrawiam blask,

Co duszność i ciasnotę

*Piersi przenika, darząc nas
Surowym swoim chłodem.*

*Wolny mój duch, choć chwieje się,
Lecz w drogę z Tobą pójść mi,
Ojcze, poznajesz przecież mnie
I nigdy nie opuścisz!*

Po silnych wrażeniach, które wstrząsają naszą istotą, następuje czas, kiedy duszę przenika radosny spokój, tak jak po burzy pola oddychają świeższą zielenią. Podobnie czuł się Florio, pokrzepiony wewnątrz, znów spoglądał śmiało na świat i czekał w spokoju na towarzyszy, którzy nadciągali ku niemu z zieleni.

Piękny chłopiec, który towarzyszył Piętrowi, również podniósł główkę, jak kwiat muśnięty pierwszym promieniem słońca. Wówczas Florio ze zdumieniem poznał Biankę. Przestraszył się, taka była blada — inna niż owego wieczoru, kiedy ją zobaczył po raz pierwszy koło namiotów, tak uroczo swawolną. Biedaczkę w połowie dziecięcych zabaw zaskoczyła potęga pierwszej miłości. Kiedy Florio, gorąco przez nią umiłowany, uległ ciemnym mocom, stał się obcy i coraz bardziej oddalał się od ukochanej, aż go wreszcie całkiem utraciła, popadła w głęboką melancholię, której przyczyny nie odważyła się nikomu wyjawić. Ale mądry Piętro dobrze wszystko wiedział i postanowił swą siostrzenicę wywieźć w obce strony i jeśli nie wyleczyć, to chociaż trochę rozerwać i podtrzymać na duchu. Aby móc bez przeszkód podróżować i niejako zatrzeć przeszłość, dziewczyna musiała przywdziać chłopięcy strój.

Wzrok Floria spoczywał z przyjemnością na miłej postaci. Dziwne omamienie zasłaniało mu dotychczas oczy jak czarodziejska mgła. Teraz dopiero zobaczył, jaka jest piękna! Przemawiał do niej do głębi poruszony i z największą serdecznością. Jechała obok niego ze spuszczonym wzrokiem, zaskoczona nieoczekiwanym szczęściem i pełna radosnej pokory, jak gdyby

nie zasłużyła na taką łaskę. Tylko niekiedy rzucała na Floria spojrzenia spod długich czarnych rzęs, a w tych spojrzeniach odbijała się jej czysta dusza. Wyglądała tak, jakby chciała powiedzieć błagalnie: „Nie zwódź mnie więcej”.

Gdy dotarli już dość wysoko, gdzie powietrze było świeże i czyste, a miasto Lucca w dole za nimi pograżyło się wraz ze swymi ciemnymi wieżami w upalnej mgle, Florio powiedział, odwracając się do Bianki: — Jestem jak nowo narodzony, wydaje mi się, że wszystko będzie jeszcze dobrze, odkąd was znów spotkałem. Nie chcę się nigdy więcej z wami rozstawać, jeśli się zgodzicie.

Zamiast odpowiedzieć Bianka spojrzała na niego pytająco, z niepewną jeszcze, na półkrywaną radością, i wyglądała jak piękny niebiański obraz na błękitnym tle porannego nieba. Ranek wydawał się im sprzyjać, strzelał wokół długimi złotymi promieniami. Drzewa płonęły w jasnym świetle zorzy, niezliczone skowronki śpiewały dźwięcznie w przezręczystych przestworzach. I tak ciągnęli, szczęśliwi, z radością, przez lśniące błonia do kwitnącego Mediolanu.

*Przełożyła Barbara Tarnas
Wiersze przełożył Stanisław Średnicki*

Wilhelm Hauff

OPOWIEŚĆ O STATKU UPIORÓW

Mój ojciec miał niewielki sklepik w mieście Basra. Nie był ani biedny, ani bogaty, a należał do luda, którzy niechętnie podejmują ryzyko, z obawy że stracą i to ubogie mienie, jakie posiadają. Wychowywał mnie w zasadach skromności i prawości i po niedługim czasie doczekał się w mej osobie cennego pomocnika. Kiedy ukończyłem lat osiemnaście, on zaś dokonał właśnie pierwszej poważniejszej spekulacji, zmarł, zapewne ze zgryzoty, iż tysiąc złotych monet morzu powierzył. Wkrótce śmierć tę musiałem uznać za los szczęścia, nie minęło bowiem wiele tygodni, jak nadeszła wiadomość, iż statek, który wiozł majątek ojca, zatonął. Fatalny ten wypadek nie zdołał jednak załamać mego młodzieńczego męstwa. Wszystko, co ojciec pozostawił mi w spadku, zamieniłem na pieniądze i wyruszyłem w świat, by spróbować szczęścia na obczyźnie, mając za jedynego towarzysza starego sługę mego ojca, który z racji wieloletniego przywiązania nie chciał rozstać się ze mną i mym losem.

Przy pomyślnym wietrze wsiedliśmy na statek odpływający z portu Basra. Celem podróży tego statku, na którym wynajęliśmy miejsca, były Indie. Płynęliśmy wytyczoną trasą już dwa tygodnie, kiedy kapitan zapowiedział zbliżającą się burzę. Miał przy tym zatroskaną minę, zdawało się bowiem, iż zna tutejsze wody nie na tyle, by móc spokojnie stawić czoło wichrowi. Kazał opuścić wszystkie żagle, i płynęliśmy dalej całkiem powoli. Noc zapadła, chłodna i jasna, i kapitan sądził już, że się omylił co do oznak zapowiadających burzę. Nagle statek jakiś, którego wcześniej nikt z nas nie widział, śmignął tuż obok naszego. Z pokładu owego statku dobiegały dzikie chichoty i wrzaski, co mnie w tych pełnych grozy chwilach przed burzą

niepomierne zdumiało. Jednakże kapitan stojący u mego boku pobladł śmiertelnie. — Mój statek jest zgubiony — wykrzyknął — tam oto żeglujecie śmierć! — Nim zdążyłem go spytać o znaczenie tego dziwnego okrzyku, nadbiegli ku nam marynarze, zawodząc i lamentując: — Czyście go widzieli? Teraz już po nas!

Kapitan kazał recytować pogrzbujące wersety z Koranu, a sam zasiadł u steru. Na próżno jednak! Wicher z każdą chwilą przybierał na sile, i nie minęła godzina, a statek zatrzęszczał i osiadł na mieliźnie. Spuszczono łódzie, i ledwie ostatni marynarze zdolali się uratować, statek w naszych oczach zatonął, ja zaś popłynąłem w morze jak żebrak. Niedola nasza na tym się jeszcze nie skończyła. Burza szalała coraz gwałtowniej, łodzią nie można już było kierować. Objąłem mocno starego sługę i przysięgliśmy sobie, że jeden drugiego nigdy nie opuści. Wreszcie zaczęło świtać. Lecz z pierwszym brzaskiem jutrzeńki huragan uderzył w łódź, którą płynęliśmy, i przewrócił ją. Nie ujrzałem już więcej żadnego z towarzyszy podróży. Wpadając do wody straciłem przytomność; kiedy się obudziłem, leżałem w ramionach starego wiernego sługi, który wdrapał się na przewróconą łódź i mnie za sobą pociągnął. Burza ucichła. Po naszym statku nie zostało ani śladu, ale w niewielkim oddaleniu ujrzeliśmy inny statek, i w jego stronę niosły nas fale. Gdyśmy się do niego zbliżyli, rozpoznałem, że on to właśnie mijał nas nocą i w takie przerażenie wprowadził kapitana. Dziwną grozę budził we mnie ten statek. Wypowiedź kapitana, która takie złowrogie znalazła potwierdzenie, pustka, jaką zionął statek — na jego pokładzie nikt się nie pokazywał, chociaż podpłynęliśmy tak blisko i wołaliśmy tak głośno — wszystko to przejmowało mnie lękiem. Był to jednak jedyny nasz ratunek, i chwaliśmy Proroka, który zgotował nam tak cudowne ocalenie.

Z dzioba statku zwieszała się długa lina. Chcąc się jej uchwycić, wiosłując rękami i nogami skierowaliśmy ku niej naszą łódź, wreszcie udało nam się szczęśliwie podpłynąć gdzie należy. Krzyknąłem gromkim głosem, ale na statku panowała wciąż głucha cisza. Jęliśmy wspinać się po Unie, jako

młodszy wiekiem ruszyłem pierwszy. Lecz, o zgrozo! jakiż widok ukazał się moim oczom, gdy wstąpiłem na pokład! Jego deski czerwone były od krwi, dwadzieścia, a może i trzydzieści trupów w tureckim odzieniu leżało dokoła, wsparty o środkowy maszt, stał mąż bogato ubrany, z szablą w dłoni, ale z twarzą bladą i wykrzywioną, w czoło miał wbity potężny gwóźdź, który go do masztu przytwierdzał. Nie śmiałem prawie oddychać. Na koniec zjawił się i mój towarzysz. I jego także zaskoczył widok pokładu, gdzie było pełno straszliwych trupów, lecz ani śladu żywej istoty. Odważyliśmy się wreszcie, poleciwszy wylęknione dusze opiece' Proroka, zapuścić się dalej. Za każdym krokiem rozglądaliśmy się dokoła, czy aby nic nowego, jeszcze straszliwszego, z jakiego kąta nie wychynie. Wszystko jednak trwało w nie zmienionym stanie. Jak okiem sięgnąć ani żywej duszy, tylko my dwaj i przestwór morza. Nie śmieliśmy nawet głośno mówić, z obawy że przybity do masztu martwy kapitan zechce obrócić ku nam swe nieruchome oczy albo że któryś z zabitych podniesie nagle głowę. Dotarliśmy w końcu do schodów prowadzących w głąb statku. Mimo woli przystanęliśmy obaj i popatrzyliśmy na siebie, żaden nie śmiał bowiem wyrazić swoich myśli.

— Panie mój — rzekł wierny sługa — wydarzyły się tutaj straszne rzeczy. Ale jeśli nawet tam na dole pełno jest morderców, wolę już zdać się na ich łaskę i niełaskę niż dłużej przebywać wśród samych trupów.

Myślałem podobnie jak on, zdobyliśmy się więc razem na odwagę i, pełni oczekiwania, poczęliśmy zstępować na dół. Jednakże i tutaj panowała śmiertelna cisza, i tylko nasze kroki rozbrzmiewały na schodach. Stanęliśmy przed drzwiami kajuty. Przyłożyłem do nich ucho i nasłuchiwałem: nie dobiegł mnie jednak żaden odgłos. Otworzyłem drzwi. Wnętrze przedstawiało obraz wielkiego nieporządku. Przyodziewek, broń i wszelki sprzęt poniewierały się wszędzie. Ani cienia jakiegokolwiek ładu. Załoga, a co najmniej sam kapitan, niedawno tu zapewne ucztowała, ślady libacji były bowiem wyraźne. Szliśmy dalej od jednego pomieszczenia do drugiego, od kajuty do kajuty, wszędzie piętrzyły się obfite zasoby jedwabiu, pereł, cukru i

innego dobra. Nie posiadałem się z radości widząc to, sądziłem bowiem, jako że nikogo na statku nie było, iż wszystko może stać się moją własnością. Ibrahim zwrócił mi wszelako uwagę, że znajdujemy się zapewne bardzo daleko od lądu i o własnych siłach, bez ludzkiej pomocy, nigdy tam dotrzeć nie zdołamy.

Uraczywszy się do woli jadłem i napojami, których znaleźliśmy pod dostatkiem, wróciliśmy na pokład. Wciąż jednak skóra nam cierpła od strasznego widoku zalegających wszędzie trupów. Postanowiliśmy uwolnić się od nich i wyrzucić je za burtę. Jakież było nasze przerażenie, gdy okazało się, że żadnego z nich nie można ruszyć z miejsca. Wszystkie były jak przyrośnięte, i aby je usunąć, trzeba by pozrywać deski z pokładu, do tego zaś brakowało nam odpowiednich narzędzi. Nie sposób też było zdjąć kapitana z masztu ani nawet wyciągnąć szabli z jego zeszywniałej dłoni. Spędziliśmy dzień na smętnym rozpamiętywaniu naszego położenia, a kiedy noc zapadać zaczęła, zezwoliłem staremu Ibrahimowi udać się na spoczynek, sam zaś zamierzałem czuwać na pokładzie i wypatrywać ratunku. Ledwie jednak księżyc wzeszedł, ja zaś wedle układu ciał niebieskich poznałem, iż jest godzina jedenasta, ogarnęła mnie senność tak przemożna, że padłem bez czucia za beczkę stojącą tuż obok. Był to zresztą nie sen, lecz raczej rodzaj otepienia, słyszałem bowiem wyraźnie uderzenia fal o kadłub statku, skrzypienie masztów i świst wichru w żaglach. Nagle wydało mi się, że na pokładzie rozbrzmiewają jakieś głosy i kroki męskie. Chciałem wstać, aby się rozejrzeć. Jednakże niewidzialna siła spętała mi członki, nawet oczu nie mogłem otworzyć. Tymczasem głosy stawały się coraz mocniejsze, odnosiłem wrażenie, że to załoga krząta się rażno po pokładzie. Chwilami zdawało mi się, że słyszę donośny głos dowódcy, to znów pociąganie za liny, zwijanie i rozwijanie żagli. Coraz to jednak traciłem świadomość, zapadłem w głębszy sen, tak że słyszałem już tylko coś niby szczękanie broni, a zbudziłem się dopiero wtedy, gdy słońce stało już wysoko i świeciło mi w twarz. Rozejrzałem się zdumiony: burza, statek, zabici i to, co się działo w

nocy, wydawało mi się snem jedynie, bo kiedy otworzyłem oczy, wszystko było jak wczoraj. Nieruchomo leżeli zabici, nieruchomo stał kapitan, przybity do swego masztu. Śmiałem się wspominając niedawny sen i udałem się na poszukiwanie starego sługi.

Zastałem go w kajucie pogrążonego w głębokiej zadumie.

— O panie mój! — wykrzyknął, widząc mnie. — Wolałbym spocząć na dnie najgłębszego z mórz, byle nie spędzać jeszcze jednej nocy na tym przeklętym statku.

Spytałem go o przyczynę tak zgryźliwego humoru, on zaś mi odpowiedział: — Pospawszy kilka godzin, zbudziłem się i usłyszałem nad głową gwałtowną bieganinę. Myślałem zrazu, że twoje to kroki, panie, wszelako musiało tam chodzić ze dwudziestu chłopca co najmniej, dobiegły mnie zresztą wołania i krzyki. Na koniec rozległy się na schodach czyjeś ciężkie kroki. Opuściła mnie wtedy całkiem wszelka przytomność, od czasu do czasu wracała mi tylko na chwilę, i wtedy to ujrzałem męża, który stoi tam na górze przygwożdżony do masztu, siedzącego przy tym oto stole: śpiewał on i popijał, zaś ów, co leży nie opodal w szkarłatnej szacie, siedział obok niego i pomagał mu w picciu.

Tak oto prawił mój stary sługa.

Możecie mi wierzyć, drodzy bracia, że nie było mi wesoło na duszy: otóż nie uległem bynajmniej złudzeniu i także słyszałem owych umarłych. Podróż w takim towarzystwie budziła we mnie grozę. Mój Ibrahim pogrążył się w głębokich rozmyślaniach. — Wiem już! — wykrzyknął wreszcie; przypomniał sobie bowiem zaklęcie, którego nauczył go jego dziad, doświadczony, bywały w świecie człowiek, a które miało pomagać przeciwko wszelkim duchom i czarom; zapewnił mnie również, że najbliższej nocy pokonamy ów nienaturalny sen, jaki nas opadł, jeśli z należytą gorliwością recytować będziemy wersety z Koranu. Propozycja starego spodobała mi się. W trwożnym oczekiwaniu wyglądaliśmy nadchodzącej nocy. Obok kajuty znajdowała się niewielka komórka, i tam właśnie

postanowiliśmy się ukryć. W drzwiach wywierciliśmy parę otworów, dostatecznie dużych, aby patrząc przez nie można było objąć wzrokiem całą kajutę; następnie zamknęliśmy drzwi od środka, najszczelniej, jak się tylko dało, a Ibrahim wypisał w każdym z czterech kątów imię Proroka. I tak oczekiwaliśmy koszmarów nocy. Około godziny jedenastej zaczęła mnie znów ogarniać gwałtowna senność. Mój towarzysz poradził mi odczytać parę wersetów z Koranu, co mi istotnie bardzo pomogło. Nagle w górze nad nami zaczął się jakby ruch, liny jęły trzeszczeć, kroki zadudniły po pokładzie, dały się słyszeć rozliczne głosy. Przez kilka minut wyczekiwaliśmy w napięciu, aż wreszcie na schodach wiodących do kajuty rozległy się czyjeś kroki. Słyszając to, stary począł recytować owo zaklęcie, którego dziad go nauczył dla obrony przed czarami i upiorami:

*Czy z niebieskich spływacie przestrzeni,
Czyli morska wydaje was fala,
Czy też ogień was rodzi z płomieni
Lub mrok grobu z otchłani wyzwala —
Skądkolwiek przybywacie, o tajemne duchy,
Allah jest waszym panem, jego macie słuchać.*

Muszę przyznać, że tak naprawdę to nie wierzyłem w moc tego zaklęcia, i włos zjeżył mi się na głowie, gdy drzwi otwały się z hałasem. Do kajuty wkroczył ów mąż okazałej postaci, którego widziałem przybitego gwoździem do masztu. Gwóźdź wciąż jeszcze tkwił w jego czole, szablę jednak wsunął do pochwy — za nim szedł ktoś drugi, mniej bogato odziany; jego również widziałem wśród trupów na pokładzie. Kapitan, gdyż on to był niewątpliwie, miał bladą twarz, wielką czarną brodę i dzikie spojrzenie, którym toczył po całym pomieszczeniu. Widziałem go całkiem dokładnie, kiedy przechodził obok naszych drzwi; on zaś zdawał się wcale nie zwracać uwagi na owe drzwi, które nas ukrywały. Obaj mężowie zasiedli przy stole stojącym pośrodku kajuty i jęli rozprawiać głośno, niemal krzycząc, w nie znane; nam

mowie. Gadali coraz głośniej i coraz zapalczywiej, wreszcie kapitan huknął zaciśniętą pięścią w stół, aż w całej kajucie zagrzmiało. Rozmówca jego, wybuchnąwszy wściekłym śmiechem, zerwał się i skinął na kapitana, by szedł za nim. Ów wstał również, wyciągnął szablę z pochwy i obaj opuścili kajutę. Odetchnęliśmy swobodniej, kiedy sobie poszli; kres naszych udręk był jednak jeszcze bardzo daleki. Hałas na pokładzie stawał się z każdą chwilą głośniejszy. Słysząc było spieszną bieganinę, krzyki, śmiechy i wycie. Nagle rozpętał się iście piekielny harmider, zdawało nam się po prostu, że cały pokład ze wszystkimi żaglami, ze szczękiem broni i ludzkim wrzaskiem zwali nam się na głowę — aż tu ni stąd, ni zowąd zapadła głęboka cisza. Kiedy po upływie wielu godzin odważyliśmy się wyjść na górę, zastaliśmy wszystko, tak jak było: ani jeden trup nie zmienił położenia, wszystkie były sztywne niby drewno.

Tak mijał nam na statku dzień po dniu: płynęliśmy wciąż na wschód, gdzie też wedle moich obliczeń powinien być znajdować się ląd, ale chociaż w ciągu dnia pokonywaliśmy wiele mil, nocą musieliśmy najwyraźniej przebywać tęże drogę z powrotem, gdyż wschodzące słońce zastawało nas zawsze w tym samym miejscu. Nie potrafiliśmy wytłumaczyć sobie tego stanu rzeczy inaczej jak tym, że w nocy umarli statek nasz zawracali i na pełnych żaglach odrabiali przebytą w dzień drogę. Aby temu zapobiec, przed nastaniem nocy ściągaliśmy wszystkie żagle i stosowaliśmy te same środki co przy drzwiach kajuty: wypisaliśmy na pergaminie imię Proroka oraz zaklęcie dziadka na dodatek i przywiązaliśmy ów pergamin do zwiniętych żagli. Siedząc w naszej komórce, wyczekiwaliśmy z lękiem na wynik tych zabiegów. Owej nocy upiory szalały, zda się, jeszcze gwałtowniej, lecz, o dziwo, nazajutrz żagle były nadal zwinięte, tak jakeśmy je poprzedniego wieczoru zostawili. Na dzień rozwijaliśmy tylko tyle żagli, ile trzeba było, aby statek mógł powoli posuwać się naprzód, i tym sposobem przez pięć dni przepłynęliśmy spory szmat drogi.

Wreszcie rankiem szóstego dnia ujrzeliśmy w niewielkiej odległości ląd,

podziękowaliśmy więc Allahowi za tak cudowne ocalenie. Dzień cały płynęliśmy wzdłuż brzegu, zaś siódmego ranka spostrzegliśmy w pobliżu, jak nam się zdawało, mury miasta; z nie lada trudem zarzuciliśmy kotwicę, która rychło na dnie morza spoczęła, spuściliśmy łódź, przymocowaną na pokładzie, i całą siłą wiosł popłynęliśmy ku miastu. Po upływie pół godziny znaleźliśmy się w nurcie rzeki wpadającej tutaj do morza i wysiedliśmy na brzeg. W bramie miasta usłyszeliśmy jego nazwę, okazało się, iż jest to miasto hinduskie, położone całkiem niedaleko od stolicy, która stanowiła pierwotny cel mej wyprawy. Udaliśmy się do karawanseraju, by orzeźwić się po pełnej przygód podróży. Jałem się tam rozpytywać o jakiegoś mądrego i roztropnego człeka, dając przy tym gospodarzowi do zrozumienia, że potrzebny mi jest taki, który znałby się nieco na czarach. Gospodarz poprowadził mnie więc na ustronną uliczkę, pod niepozorne domostwo, zapukał do drzwi, po czym wpuszczono mnie do wnętrza, zalecając jedynie pytać o Muleja.

Z głębi domu wyszedł ku mnie stary człeczyna z siwą brodą i długim nosem i zapytał, czego sobie życzę. Odparłem, że szukam mądrego Muleja, na co starzec rzekł, iż on to jest we własnej osobie. Poprosiłem go tedy o radę, co winienem uczynić z zabitymi i jak mam się zabrać do usunięcia ich ze statku. On mi wyjaśnił, że załoga statku za jakiś czyn występny została zapewne mocą czarów skazana na te morskie peregrynacje; w jego przekonaniu czar ten można odczynić wynosząc ciała zabitych na ląd; tego zaś nie da się dokonać inaczej jak zrywając deski, na których trupy leżą. Zgodnie z nakazami Boga i prawa statek wraz ze wszelkimi dobrami, jakie zawiera, należy do mnie, ja go bowiem znalazłem; winienem jednak trzymać wszystko w ścisłej tajemnicy i ofiarować mu jakiś skromny podarek z osiągniętych bogactw, a on mi za to wraz ze swoimi niewolnikami pomoże pozbyć się trupów. Obiecałem hojnie go wynagrodzić, po czym ruszyliśmy w drogę, zabrawszy pięciu niewolników, wyposażonych w piły i siekiery. Po drodze czarownik Mulej nie mógł się nachwalić naszego szczęśliwego

pomysłu, by owinąć żagle wersetami z Koranu. Oświadczył, że był to jedyny dla nas sposób ratunku.

Było jeszcze dość wczesne popołudnie, gdy dobiliśmy do statku. Natychmiast zabraliśmy się do roboty i po upływie godziny cztery trupy leżały już w łodzi. Kilku niewolników musiało popłynąć z nimi na ląd, by je tam pogrzebać. Po powrocie opowiadali, że zwłoki oszczędziły im trudu kopania grobu, gdyż ledwie spoczęły na ziemi, w proch się rozpadły. Piłowaliśmy dalej deski z przyrośniętymi do nich trupami i przed wieczorem wszystkie zostały przeniesione na ląd. W końcu nie było już na pokładzie ani jednego, prócz kapitana przybitego do masztu. Na próżno próbowaliśmy wyciągnąć gwóźdź z drewna — żadną siłą nie można było poruszyć go nawet o włos. Nie wiedziałem już, co robić, nie sposób przecież było rąbać maszt, by przewieźć go na ląd. Mulej znalazł jednak wyjście z tej opresji. Czym prędzej posłał jednego z niewolników, by popłynął łodzią na brzeg i przywiózł garnek wypełniony ziemią. Kiedy niewolnik wrócił, czarownik wypowiedział nad garnkiem jakieś tajemnicze słowa i nasypał trochę ziemi na głowę trupa. Ten natychmiast otworzył oczy, odetchnął głęboko, a rana od gwoździa na jego czole zaczęła krwawić. Teraz udało nam się bez trudu gwóźdź wyciągnąć, ranny zaś osunął się w ramiona jednego z niewolników. — Kto mnie tu sprowadził? — spytał, przyszedłszy jakby nieco do siebie. Mulej wskazał w moją stronę, podszedłem więc do niego. — Dzięki ci, cudzoziemcze, wyzwoliłeś mnie od długotrwałej męki. Pięćdziesiąt lat już ciało moje pływa po tych wodach, a dusza skazana była na to, by co noc do niego powracać. Teraz wreszcie głowa moja dotknęła ziemi i mogę już spokojnie odejść do mych przodków. — Na mą prośbę, by nam wyjawiał, jakim sposobem popadł w tak straszne położenie, odpowiedział: — Przed pięćdziesięciu laty byłem potężnym, powszechnie szanowanym człowiekiem i mieszkalem w Algierze; wszelako żądza zysku pchnęła mnie do tego, by wyposażyć statek i ruszyć na pirackie wyprawy. Czas jakiś uprawiałem już ten proceder, gdy pewnego razu w Dżancie wziąłem na pokład derwisza,

który pragnął podróżować za darmo. Zarówno ja, jak i moi towarzysze byliśmy surowymi ludźmi, nie zważaliśmy na świętość owego męża, ja zaś wręcz drwiłem sobie z niego. Wszelako gdy on w świętym zapale wypomniał mi raz mój grzeszny żywot, nocą, wypiwszy ze sternikiem w kajucie zbyt wiele, popadłem w srogi gniew. Rozwścieczony tym, co mi powiedział derwisz, a czego nie zniósłbym nawet z ust sułtana, wypadłem na pokład i wbiłem sztylet w pierś zuchwalca. Umierając przeklął on mnie i moją załogę, abysmy nie mogli umrzeć ani żyć, póki głowy nasze nie spoczną na ziemi. Derwisz zmarł, my zaś wrzuciliśmy go do morza, drwiąc z jego grózb; jednak tejsze nocy spełniły się słowa umierającego. Część załogi zbuntowała się przeciwko mnie. Rozpętała się okrutna walka, aż moi zwolennicy zostali pokonani, mnie zaś przybito gwoździem do masztu. W końcu zresztą i buntownicy poumierali z ran, i mój statek zamienił się w jeden wielki grobowiec. Mnie również oczy kołem stanęły i tchu już złapać nie mogłem, sądziłem więc, że umieram. Było to jednak tylko odrętwienie, które trzymało mnie w swej władzy; następnej nocy, o tej samej godzinie, kiedy wrzuciliśmy derwisza do morza, ocknąłem się i ja, i cała moja załoga, wszystko na statku ożyło; nie mogliśmy jednak nic robić i nic mówić prócz tego, cośmy robili i mówili owej nocy. I tak pływamy od lat pięćdziesięciu, nie mogąc ani żyć, ani umrzeć; jakimże bowiem sposobem mieliśmy dotrzeć do jakiegoś lądu? Z szaleńczą radością rzucaliśmy się na pełnych żaglach w każdą burzę, z nadzieją, że statek rozbije się wreszcie o jaką skałę i nasze zmęczone głowy spoczną na dnie morza. Wszystkie nasze wysiłki spełzały jednak na niczym. Teraz dopiero umrę. Raz jeszcze dziękuję ci, nieznanym wybawco; jeśli skarby mogą stanowić dla ciebie nagrodę, to przyjmij ten statek w dowód mej wdzięczności.

Po tych słowach głowa kapitanowi opadła, i wyzionął ducha. Natychmiast też rozpadł się w proch, jak jego towarzysze. Zebraliśmy ów proch do skrzyneczki i zakopaliśmy ją na lądzie; następnie sprowadziłem z miasta robotników, którzy doprowadzili do porządku mój statek. Wymieniwszy z

wielkim zyskiem towary, jakie się na nim znajdowały, na inne, nająłem marynarzy, obdarowałem hojnie mego przyjaciela Muleja i pożeglowałem w ojczyście strony. Płynąłem jednak okrężną drogą, przybijałem bowiem do brzegów rozlicznych wysp i lądów, handlując rozmaitymi towarami. Prorok błogosławił moim przedsięwzięciom. Po trzech kwartałach zawinąłem do portu w Basrze, dwa razy bogatszy, niż byłem dzięki spuściźnie, jaką zostawił mi umierający kapitan. Moi ziomkowie podziwiali moje bogactwo i moje szczęście, sądząc, iż znalazłem Diamentową Dolinę słynnego podróżnika Sindbada. Nie odbierałem im tej wiary, wszelako od tej pory wszyscy młodzieńcy z Basry, skoro tylko ukończyli lat osiemnaście, musieli wyruszać w świat, aby podobnie jak ja osiągnąć szczęście. Ja zaś żyłem sobie w spokoju i zadowoleniu i co pięć lat odbywałem podróż do Mekki, aby w tym świętym miejscu dziękować Panu za jego błogosławieństwa i prosić go, by kapitana i jego towarzyszy przyjął do swego raju.

Przełożyła Emilia Bielicka

Jeremias Gotthelf

CZARNY PAJĄK

Nad górami wschodziło słońce i świecąc w swym niezmaconym majestacie na uroczą, ale wąską dolinę, budziło do pogodnego życia istoty, które zostały po to stworzone, aby radowały się słońcem swego istnienia. Z ozłoczonego krańca lasu kos śpiewał swą poranną pieśń, wśród błyszczących kwiatów w zroszonej trawie rozbrzmiewał jednostajny śpiew miłosny tęskniącej przepiórki, na ciemnych jodłach rozkochane wrony wiodły swój weselny korowód lub krakały pieściwe kołysanki nad ciernistymi łóžeczkami swoich nie opierzonych piskląt.

W środku słonecznego zbocza przyroda wytyczyła żyzny, osłonięty szmat ziemi; na nim okazałe i schludnie stał piękny dom, okolony wspaniałym sadem, w którym kilka wysokopiennych jabłoni pyszniło się jeszcze późnym kwieciem; bujna, nawodniona przez domową studnię trawa miejscami jeszcze rosła, miejscami została już skoszona na paszę. Dom otaczał jakiś odświętny blask, jakiego nie wytworzy się paroma machnięciami miotły w sobotę wieczór na pograniczu dnia i nocy, blask będący świadectwem cennego dziedzictwa wrodzonej schludności, o którą trzeba dbać każdego dnia, podobnie jak o honor rodziny, który jedna jedyna nie strzeżona chwila może przyprawić o plamy, jakie niczym plamy krwi pozostaną niezatarte z pokolenia na pokolenie, kpiąc z wszelakiego przemalunku.

Nie na darmo ziemia, stworzona ręką Boga, i dom, stworzony rękami ludzi, błyszczały najczystszy blaskiem. Nad nimi rozbłysła dziś gwiazda na błękicie nieba, nastąpiło wielkie święto.

Był to ów dzień, kiedy Syn znowu wraca do Ojca, na świadectwo, że jeszcze stoi na niebie drabina, po której aniołowie schodzą i wchodzą, a także

dusza człowieka, która rozstała się z ciałem i swoje zbawienie upatrywała w górze u Ojca, a nie tu na ziemi; był to dzień, kiedy świat roślinny pnie się pod niebiosa i kwitnie z całym przepychem, stanowiąc dla człowieka rokrocznie odnawiający się symbol jego własnego przeznaczenia. Cudowne dźwięki rozlegały się nad wzgórzami, nie wiadomo było, skąd bierze się owo dzwonięcie; dochodziło jakby ze wszystkich stron; rozbrzmiewało z kościołów w dalekich dolinach; stamtąd obwieszczały dzwony, że świątynie Boga otwierają się dla wszystkich, których serca stoją otworem dla głosu Pana.

Wokół pięknego domu panował ożywiony ruch. W pobliżu studni ze szczególną dbałością czesano konie, okazałe klacze, otoczone rozbawionymi źrebiętami; w szerokim korycie studziennym beztrosko spoglądające krowy gasiły pragnienie, i chłopak stajenny musiał dwukrotnie sięgnąć po miotłę i łopatę, ponieważ nie dość starannie uprzątnął ślady ich beztroski. Krzepkie dziewczuchy, z włosami zwiniętymi w dwa kłębki na uszach, zgrzebną ścierką szorowały energicznie pod studnią rumiane twarze, ze skwapliwą skrętnością nosiły wodę przez otwarte drzwi, a ciemny słup dymu wznosił się mocarnymi sapnięciami z niskiego komina prosto i wysoko w błękit nieba.

Przygarbiony, wsparty o laskę dziadek wolno obchodził dom, w milczeniu przyglądając się krzątaniu parobków i sług, tu pogłaskał konia, ówdzie oganiał się przed niezdarną swawolą krowy, laską wskazywał nieuważnemu chłopakowi jeszcze gdzieś zapomniane źdźbła słomy, przy czym raz po raz z głębokiej kieszeni długiej kamizeli wyciągał krzesiwo, aby znów rozpalić fajkę, którą mimo jej ciężkiego tchnienia z lubością raczył się co rano.

Na czysto omiecionej ławie przed domem, koło drzwi, siedziała babka, krając smakowity chleb do ogromnej miski, cienko i jednakowej wielkości każdą kromkę, nie tak niedbale jak kucharki albo pokojówki, które krają czasem takie kęsy, że udławiłyby się nimi wieloryb. Dobrze odżywione,

dumne kury i piękne gołębie spierały się o okruchy u stóp babki, a jeśli jakiś nieśmiały gołąbek został pokrzywdzony, babka rzucała, mu osobny kawałek, pocieszając go życzliwym słowem z powodu jego głupoty i zapalczywości tamtych.

W obszernej, czystej kuchni trzaskał potężny ogień świerkowy, na szerokiej patelni strzelały ziarnka kawy, które okazała kobieta mieszała drewnianą kopyścią, obok skrzypiał młynek do kawy, ściśnięty kolanami świeżo umytej sługi, zaś w otwartych drzwiach do izby stała przystojna, nieco blada niewiasta, jeszcze z otwartym woreczkiem kawy w ręce, i mówiła: — Słuchaj, położna, nie pal dzisiaj ziarenek na taki ciemny kolor, bo mogliby sądzić, że chciałam poskąpić kawy. Żona kuma jest okrutnie podejrzliwa i tłumaczy sobie wszystko na opak. Pół funta więcej lub mniej nie gra dzisiaj roli. I nie zapomnij też w porę przygotować ciepłej polewki winnej! Dziadek uważałby, że nie ma chrzcina, jeśli nie poda się kumom polewki winnej, zanim pójdą do kościoła. Nie żałuj do niej niczego, słyszysz! Tam w misce na ławie jest szafran i cynamon, cukier stoi tu na stole, i weź wina tyle, aby ci się zdawało, że jest go przynajmniej o połowę za dużo; na chrzcinach nigdy nie trzeba się martwić, że coś się nie przyda.

Dowiadujemy się, że dziś mają się odbyć chrzciny, i położna piastuje urząd kucharki równie sprawnie, jak przedtem urząd akuszerki; ale musi się spieszyć, jeśli chce zdążyć na czas i na zwykłym piecu kuchennym ugotować wszystko, czego obyczaj wymaga.

Z piwnicy wyszedł krzepki mężczyzna z ogromnym kawałem sera w rękę, z lśniącej czystością półki zdjął pierwszy z brzegu talerz, położył na nim ser i chciał go zanieść do izby na stół z brunatnego drzewa orzechowego. — Ależ, Benz, ależ, Benz! — zawołała przystojna, blada kobieta — jakżeż śmialiby się z nas, gdybyśmy nie mieli lepszego talerza w dzień chrzcina! — Podeszła do błyszczącej szafy z czereśniówki, gdzie za szybkami pyszniły się ozdoby domu. Stamtąd wyjęła ładny talerz z niebieskim szlaczkiem i dużą wiązką kwiatów w środku, otoczoną zmyślnymi sentencjami w rodzaju: „Zważ, że

masła kwarta Talara warta”. „Bożą łaskę zawsze miej, I na hali mieszkać
chciej”. „Garncarz garnki lepi. W piekle człek się nie pokrzepi”. „Krowa
skubie trawę, A ty, człeku, gryź murawę”. Koło sera położyła ogromną
plecionkę, osobliwe berneńskie pieczywo, plecione jak warkocze niewiast,
upieczone na pięknie rumiany i żółty kolor, z najdelikatniejszej mąki, jajek i
masła, wielkie jak roczny dzieciak i niemal równie ciężkie, a u góry i przy
końcu stołu postawiła jeszcze dwa talerze. Wysoko piętrzyły się na nich
smakowite babeczki, drożdżowe na jednym talerzu, jajeczne na drugim.
Gorąca, gęsta śmietana w kwiecistym garnku stała przykryta na piecu, a w
błyszczącym dzbanku na trzech nóżkach, z żółtym wieczkiem, gotowała się
kawa. Tak więc na rodziców chrzestnych czekało śniadanie, jakie rzadko
miewają książęta, a już przenigdy włościanie, poza berneńskimi. Tysiące
Anglików pędem przemierza Szwajcarię, ale ani jednemu z tych zagonionych
lordów, ani żadnej sztywnonogiej lady nie zdarzyło się posmakować takiego
śniadania.

— Gdyby tylko wkrótce przyszli, tobyśmy szybko załatwili — westchnęła
położna. — Bo to zawsze schodzi tyle czasu, zanim wszystko się przygotuje i
każdy swoje załatwi, a proboszcz jest okrutnie punktualny i ostro zgani, jeśli
nie przybędzie się w porę.

— A bo też dziadek nigdy nie pozwoli wziąć wózka — odezwała się
młoda kobieta. — Jest przekonany, że dziecko nie niesione, lecz zawiezione
do chrztu będzie leniwe i póki życia nie nauczy się odpowiednio ruszać
nogami. Gdyby bodaj kuma była już na miejscu, ona guzdrze się najdłużej,
ojcowie chrzestni zwijają się szybciej i zawsze ją dogonią.

Niepokój o rodziców chrzestnych rozprzestrzenił się na całe obejście. —
Jeszcze ich nie widać? — słyhać było zewsząd; z wszystkich zakamarków
domu oczy wyglądały ich, a Burek szczełał co siłą, jak gdyby chciał ich
przywołać. Babka zaś orzekła: — Ongiś tak nie bywało, pierwiej ludzie
wiedzieli, że w takie dni należy w porę wstać i że Pan na nikogo nie czeka.
— Wreszcie chłopak wpadł do kuchni z wieścią, że kuma nadchodzi.

Przyszła, złana potem i obławowana niczym aniołek na Gwiazdkę. W jednej ręce trzymała czarne sznurki dużego, kwiecistego woreczka, z którego, zawinięta w delikatny, biały ręcznik, wyglądała ogromna plecionka, podarunek dla położnicy. W drugiej niosła następny woreczek, a w nim ubiór dla noworodka, ponadto zaś coś niecoś odzieży na własny użytek, w szczególności piękne białe pończochy; pod pachą natomiast ścisnęła jeszcze pudło z wianuszkami i koronkowym czepkiem, ustrojonym wspaniałymi wstążkami z czarnego jedwabiu. Radosne „Witaj z Bogiem” rozległo się ze wszystkich stron, i kuma ledwie zdążyła odstawić bodaj jeden ze swoich tłumoków, już serdecznie ścisnęła wyciągnięte ku niej dłonie. Zewsząd usłużne ręce sięgały po jej tobołki, a w progu stała młoda niewiasta, i zaczęło się ponowne witanie, aż w końcu położna wezwała obie do izby — wszak tam mogą sobie wszystko powiedzieć, czego obyczaj wymaga.

Z całym ceremoniałem posadziła chrzestną matkę za stołem, a młoda niewiasta przyniosła kawę, jakkolwiek kuma bardzo się wymawiała, udając, że już jest po śniadaniu. Siostra ojca za nic by jej nie wypuściła na czczo z domu, to ogromnie szkodzi młodym dziewczętom. Ale ona jest już stara, a sługi też nie chcą w porę wstać, dlatego przyszła tak późno; gdyby to tylko od niej zależało, byłaby tu już dawno. Do kawy wiano gęstą śmietaną, i chociaż kuma ogromnie się broniła, mówiąc, że wcale tego nie lubi, młoda kobieta wrzuciła jej kostkę cukru do filiżanki. Przez dłuższą chwilę nie chciała dopuścić do tego, aby dla niej napoczęto plecionkę, ale w końcu nałożono jej potężny kawałek, i musiała jeść. Sera też długi czas nie chciała, naprawdę obejdzie się bez niego, mówiła. Pewnie uważa, że jest tylko półtłusty, i dlatego ma go za nic, stwierdziła młoda kobieta, i kuma musiała się poddać. Bezwzględnie jednak nie zje babeczek, w ogóle nie wiedziałyby, gdzie je podziać, powiedziała. Przypuszcza zapewne, że nie są świeże, i jest przyzwyczajona do lepszych, usłyszała w końcu. Co więc miała zrobić innego jak nie jeść babeczek? W czasie tych przeróżnych nalegań wypija umiarkowanymi drobnymi łyżkami pierwszy kubek, i teraz powstała

prawdziwa kłótnia. Kuma odwróciła kubek do góry dnem, nie mając już ani odrobiny miejsca na dalsze smakołyki, i oznajmiła: Niechże jej dadzą spokój, bo w przeciwnym wypadku będzie musiała się przysięgać. Na co kobieta powiedziała, że niezmiernie jej przykro, iż uważa kawę za tak kiepską, wszak najusilniej kazała położnej przyrządzić ją jak najlepiej i doprawdy nie jej wina, że kawa jest taka niedobra, iż nikt jej nie chce pić, a śmietance też nie powinno było nic zabraknąć, zebrała ją tak, jak nie każdego dnia to czyni. Cóż biednej kumie innego pozostało, jak zgodzić się na nalanie jeszcze jednego kubka?

Położna już od dłuższej chwili niecierpliwie dreptała z miejsca na miejsce, wreszcie już nie mogła się pohamować i rzekła: — Jeśli mogę ci w czymś pomóc, powiedz tylko, mam czas! — Ejże, nie poganiaj! — upomniała ją młoda niewiasta.

Biedna kuma zaś, która dymiła niczym kocioł parowy, zrozumiała aluzję; najszybciej, jak się tylko dało, uporała się z gorącą kawą i w przerwach, do jakich zmuszał ją parzący napój, mówiła: — Byłabym już dawno gotowa, gdybym nie musiała więcej zjeść, niż mogę zmieścić, ale teraz już idę!

Wstała, opróżniła woreczki, wręczyła plecionkę, stroik, wiązarek — nowiuteńki talar, zawinięty w pięknie wymalowaną laurkę — usprawiedliwiając się przy tym gęsto, że to wszystko nie jest ładniejsze, zaś gospodyni domu wtrącała się z niejednym sprzeciwem, że kto to widział tak się wykosztować, tego prawie nie można przyjąć, i gdyby wiedziano o tym z góry, w ogóle nie ośmielono by się jej poprosić.

Teraz dziewczyna zabrała się do dzieła, wspierana przez położną i gospodynię domu, starając się ze wszech miar być piękną kumą od trzewików i pończoch aż po wianuszek na drogocennym koronkowym czepku. Sprawa się przeciągała, mimo zniecierpliwienia położnej, i kumie wciąż było źle, to to nie na swoim miejscu, to tamto. Wtem nadeszła babka i rzekła: — Muszę ja przecież też przyjść zobaczyć, jaką ładną mamy kumę. — Przy sposobności napomknęła, że już rozległ się drugi dzwonek i że obaj

ojcowie chrzestni czekają w pierwszej izbie.

Istotnie, obaj ojcowie chrzestni, stary i młody, siedzieli już przy dymiącej polewce winnej, gardząc nowoczesną kawą, którą mogli mieć każdego dnia; przy tej starodawnej, ale dobrej berneńskiej polewce, składającej się z wina, zrumienionego chleba, jajek, cukru, cynamonu i szafranu, owej równie starodawnej przyprawy, której przy uczcie następującej po chrzcinach nie może zabraknąć w zupie, przystawce i słodkiej herbacie. Zawijali smakowicie, i stary kum, nazywany przez nich kuzynem, stroił sobie przeróżne żarty z ojca noworodka, mówiąc mu, że nie będą go dzisiaj oszczędzać i że znać po polewce, iż niczego im nie żałował; widać, że ubiegłego wtorku dał posłańcowi do Berna worek na dwanaście miarek, aby mu przywiózł szafranu. Kiedy nie wiedzieli, co kuzyn chce przez to powiedzieć, wyjaśnił: Ostatnio jego sąsiad musiał wyprawić chrzciny; dał tedy posłańcowi duży worek oraz sześć centów wraz z poleceniem, aby przyniósł mu w tym worku za sześć centów miarkę albo półtorej tego żółtego proszku, jaki podczas chrzcin we wszystkim musi być, jego kobiety tego sobie życzą.

Wtem weszła kuma niczym młode słońce poranka i została przez ojców chrzestnych powitana i zaciągnięta do stołu, gdzie postawiono przed nią duży talerz winnej polewki i kazano jej jeść, ma jeszcze dość czasu, zanim przygotują dziecko do drogi. Biedna dziewczyna broniła się rękami i nogami, twierdząc, że jest najedzona po uszy i już ledwie zipie. Ale nie było rady. I starzy, i młodzi nie ustępowali, dopóki nie sięgnęła po łyżkę, i o dziwo, polewka, łyżka po łyżce, jeszcze się jej zmieściła. Lecz wtem już znowu nadeszła położna z pięknie opatulonym dzieckiem, włożyła mu haftowany czepeczek z różową jedwabną wstążką na główkę, owinęła dziecko ślicznym powijakiem, wsadziła mu słodki cumelek do pyszczka i rzekła: Nie zamierza nikogo popędzać, myślała tylko, że przygotowuje wszystko, a zawsze można pójść wtedy, kiedy będzie się chciało. Wszyscy obstąpili dziecko, chwaląc je jak należy, bo też i był to przerozkoszny chłopaczek. Matka cieszyła się

pochwałami i powiedziała: — Ja też chętnie poszłabym do kościoła i pomogła go polecić Panu Bogu; gdy człowiek sam jest obecny, kiedy chrzczą dziecko, lepiej pamięta o tym, co przyrzeka. Poza tym niewygodne to, że jeszcze przez cały tydzień nie mogę wyjść poza próg, teraz, kiedy ma się ręce pełne roboty z sadzeniem.

Babka jednak orzekła, że jeszcze nie jest tak źle, aby jej synowa niczym jakaś nędzarka, zanim upłynie osiem dni, musiała iść do wyvodu, a położna dodała, że nie lubi, gdy młode niewiasty z dziećmi idą do kościoła, bo one zawsze się boją, że w domu dzieje się tymczasem coś niedobrego, i nie skupiają się należycie w czasie nabożeństwa, a w drodze powrotnej spieszą się zbyt, oby tylko nie pominięto czegoś, zgrzeją się, i niejedna już zachorowała z tego ciężko i nawet umarła.

Teraz chrzestna matka wzięła niemowlę w powijaku na ręce, położna przykryła dziecko śliczną, białą kapką z czarnymi chwaścikami w rogach, starannie omijając piękny bukiet kwiatów na piersi kumy, i rzekła: — A więc w imię Boże, ruszajcie! — Babka złożyła dłonie i po cichu odmówiła żarliwe błogosławieństwo. Matka zaś wyszła z całym orszakiem aż pod próg, mówiąc: — Mój syneczku, mój ty syneczku, teraz nie będę cię widziała przez całe trzy godziny, jakżeż to przetrzymam! — I natychmiast łzy zakręciły jej się w oczach, ale szybko przetarta je fartuchem i wróciła do domu.

Szparkim krokiem kuma ruszyła przez łąkę w dół na drogę wiodącą do kościoła, trzymając w silnych ramionach żwawe dziecko, za nią obaj kumotrzy, ojciec oraz dziadek, i nikomu z nich nie przyszło na myśl uwolnić kumę od jej ciężaru, jakkolwiek młodszy kum miał przy kapeluszu okazały bukietek jako oznakę wolnego stanu, a oczy jego patrzyły jak gdyby z wielkim upodobaniem na kumę, oczywiście skrywanym pod maską całkowitej obojętności.

Dziadek opowiadał, jaka panowała okropna pogoda, gdy jego niesiono do kościoła, bił taki grad i pioruny, że uczestnicy uroczystości myśleli, iż nie ujdą z życiem. Później ludzie przepowiadali mu przeróżności z powodu tej

niepogody, jedni straszną śmierć, drudzy wielkie szczęście podczas wojny; tymczasem wiodło mu się jak i wszystkim innym, a mając już siedemdziesiąt pięć lat, ani nie umrze przedwcześnie, ani nie zrobi wielkiej fortuny na wojnie.

Uszli więcej niż pół drogi, gdy dogoniła ich sługa, która miała dziecko zanieść do domu po chrzcie, podczas gdy rodzice i kumotrowie starym chwalebny obyczajem jeszcze zostawali na kazaniu. Służąca też starała się o to, by ładnie wyglądać. Z tego powodu spóźniła się i chciała teraz kumie odebrać dziecko; ta jednak nie zgodziła się mimo nalegań. Była to aż nazbyt korzystna sposobność, aby przystojnemu, nieżonatemu kumowi pokazać, jakie mocne są jej ręce i jak dużo potrafi unieść. Silne ręce u niewiasty są dużo chętniej widziane przez prawdziwego chłopca niż takie delikatne, lada jakie patyczki, które każdy chłodniejszy podmuch wiatru potrafi połamać, jeśli tylko poważnie weźmie się do rzeczy. Silne ręce matki były już dla wielu dzieci błogosławieństwem, jeśli ojciec zmarł i matka sama musiała dzierżyć różgę i sama dźwigać taczki żywota ze wszystkich dziur, do jakich zamierzały wpaść.

Ale nagle jak gdyby ktoś tę krzepką kumę przytrzymał za warkocze albo zdzielił po głowie: wprost cofa się z nagłą, oddaje słudze dziecko, po czym zostaje w tyle i udaje, że poprawia coś przy podwiązce. Potem rusza, przyłącza się do mężczyzn, wtrąca do rozmowy i chce dziadkowi przerwać, to tym, to owym odciągając go od przedmiotu, jakiego się uczepił. Dziadek zaś zwyczajem ludzi starych obstaje przy swoim temacie i niezrażony wciąż od nowa wraca do przerwanego wątku. Wobec tego kuma zabiera się do ojca noworodka i rozmaitymi pytaniami próbuje nakłonić go do prywatnej rozmowy; lecz ojciec jest małomówny i rozpoczęta rozmowa stale się urywa. Może zajmują go własne myśli, jakie powinien mieć każdy ojciec, gdy niosą jego dziecko do chrztu, i to w dodatku pierworodnego syna. Im bliżej kościoła, tym więcej osób przyłączało się do pochodu, jedni czekali już z psalterzami w ręce przy drodze, inni w podskokach spieszyli ciasną ścieżką

w dół, tak że do wsi weszli niby jakaś duża procesja.

Przy kościele stała gospoda, jakże często blisko powiązana z kościołem, dzieląca z nim radości i smutki, i to w jak najbardziej godny sposób. Tam zatrzymano się, przewinięto chłopczyka, a ojciec dziecka zamówił wino, jakkolwiek wszyscy się sprzeciwiali: Niechże tego nie robi, przecież dopiero mieli wszystko, czego dusza zapragnie, i nie chcą ani jadła, ani napitku. Kiedy jednak wino znalazło się na stole, wszyscy pili, głównie zaś sługa; pewnie pomyślała, że musi pić, skoro ktoś ją winem częstuje, a to nieczęsto się zdarza jak rok długi. Tylko kuma nie dała się na nic namówić, mimo wszelkich nie kończących się perswazji, aż wreszcie właścicielka gospody orzekła: Niechże przestaną z namawianiem, dziewczyna blednie w oczach i bardziej potrzeba jej kropli na żołądek niż wina. Ale kuma nic chciała również kropli i ledwie zdobyła się na wypicie szklanki wody, w końcu musiała się zgodzić, żeby nasypano jej odrobinę soli trzeźwiących na chusteczkę, co w nie zawiniony sposób ściągnęło na nią niejedno podejrzliwe spojrzenie, a nie mogła się usprawiedliwić ani wezwać pomocy. Kuma okropnie się bała, a nie wolno jej było tego okazać. Nikt jej nie powiedział, jakie dziecko ma otrzymać imię, które matka chrzestna pradawnym obyczajem miała księdzu podszeptać przy podaniu mu noworodka, gdyż ksiądz łącznie może pomylić zapisane imiona, jeśli zdarzy się większa ilość dzieci do chrztu.

W nawale licznych spraw do załatwienia i w obawie przed spóźnieniem zapomniano jej podać imię, a pytać o imię surowo zakazała jej raz na zawsze siostra jej ojca, ciotka, jeśli nie chce unieszczęśliwić dziecka; gdy bowiem chrzestna matka pyta o imię dziecka, dziecko przez całe życie będzie wszystkiego ciekawe.

Nie znała zatem imienia, nie mogła o nie pytać, a jeśli również ksiądz je zapomniał i głośno oraz publicznie o nie spyta, albo w pośpiechu ochrzci chłopca imieniem Kasia lub Basia — jakże ludzie będą się śmiali i jakim wstydem okryje ją to na całe życie! Wydawało jej się to coraz straszniejsze;

nogi krzepkiej dziewczyny drżały niczym tyki na wietrze, a po bladej twarzy pot spływał strugami.

Teraz gospodyni upomniała ich, by ruszyli, jeśli nie chcą narazić się na naganę duchownego; ale do kумы powiedziała: — Ty, dziewczuszko, nie wystoisz, jesteś przecież biała jak świeżo wyprana koszula. — To z biegania, odrzekła kuma, polepszy się jej, gdy wyjdzie na świeże powietrze. Ale nie chciało się polepszyć, ludzie w kościele wydawali jej się całkiem czarni, a teraz jeszcze i dziecko zaczęło krzyczeć, przeraźliwie, coraz bardziej przeraźliwie. Biedna kuma zaczęła je huścić na rękach, szybko, coraz szybciej, im głośniej krzyczało, aż płatki spadały z bukiecika na piersiach. W tych piersiach robiło jej się coraz ciaśniej i ciężej, słychać było, jak głośno oddycha. Im wyżej pierś falowała, tym wyżej wzlatywało dziecko w objęciach kумы, a im wyżej wzlatywało, tym głośniej wrzeszczało, a im głośniej wrzeszczało, tym bardziej gromko duchowny odczytywał modlitwy. Głosy dosłownie bębniły o ściany, i kuma już nie wiedziała, gdzie się znajduje; wokół niej szumiało i grzmiało niczym fale morza, a kościół wirował z nią w powietrzu. Wreszcie kapłan powiedział „amen”, i teraz nadeszła straszliwa chwila, teraz miało się rozstrzygnąć, czy kuma stanie się pośmiewiskiem dla następnych pokoleń, teraz musiała ściągnąć kapkę, podać dziecko duchownemu, szepcząc mu imię w prawe ucho.

Uniosła kapkę, ale z drżeniem i lękiem, podsunęła dziecko, kapłan wziął je, nie patrząc na nią, nie pytając jej przenikliwym wzrokiem, tylko zanurzył rękę w wodzie, zwilżył czoło dziecka, które nagle zamilkło, i nie ochrzcił żadnej Kasi ani Basi, lecz ochrzcił Hansa Uli, zacnego, prawdziwego Hansa Uli.

Wtedy zdawało się kumie, że nie tylko wszystkie góry Emmentalu spadają jej z serca, lecz także słońce, księżyc oraz gwiazdy, i że z ognistego pieca ktoś zanoszą ją do chłodnej kąpieli, ale przez całe kazanie wszystko w niej drżało i nie chciało się uspokoić. Duchowny mówił dość ładnie i wnikliwie, że życie człowieka właściwie nie powinno być niczym innym jak

wniebowstąpieniem, ale kuma nie umiała się zdobyć na prawdziwe skupienie, a kiedy wyszli z kazania, już zapomniała jego treści. Nie mogła doczekać się chwili, kiedy wyjawí swój sekretny strach i przyczynę bladości. Było z tego wiele śmiechu, i musiała wysłuchać niejednego dowcipu o ciekawości i o tym, jak baby się jej boją, a przecież przekazują ją wszystkim swoim córkom, natomiast chłopców ona się nie czepia. Mogła śmiało spytać.

Niebawem jednak piękne zagony owsa, urocze poletka lnu, wspaniała urodzaj na łąkach i polach ściągnął na siebie uwagę i zajął umysły. Nadarzała się niejedna przyczyna, aby zwolnić kroku, przystanąć, jednak czyste, wznoszące się coraz wyżej słońce majowe rozgrzało wszystkich, gdy wrócili do domu, i szklaneczka chłodnego wina przydała się każdemu mimo ogromnych sprzeciwów. Następnie usiedli przed domem, a tymczasem w kuchni krzątały się żwawe ręce, i trzaskał potężny ogień. Położna gorzała niczym jeden z młodzianków z pieca ognistego. Już przed jedenastą wezwano na obiad, ale tylko czeladź, ją wpierw nakarmiono, i to suto, ciesząc się jednak, że zejdzí z drogi, zwłaszcza parobcy.

Rozmowa siedzących przed domem osób toczyła się wolno, lecz nie ustawała całkowicie; przed posiłkiem myśli żołądka przeszkadzają myślom ducha, ale człowiek niechętnie ujawnia ten wewnętrzny stan, tylko maskuje go powolnymi słowami o obojętnych sprawach. Słońce stało już w zenicie, gdy w drzwiach zjawíła się położna z wypiekami na twarzy, lecz wciąż jeszcze w czystym fartuchu, i oznajmiła przyjemną dla wszystkich nowinę, że można zasiąść do jedzenia, jeśli wszyscy są obecni. Ale brakowało jeszcze większości zaproszonych, a wcześniej już po nich wysłani gońcy przynosili niczym słudzy z Ewangelii rozmaite odpowiedzi, z tą jednak różnicą, że właściwie wszyscy chcieli przyjść, tylko jeszcze nie teraz; jeden miał robotników u siebie, inny zamówił sobie jakichś ludzi, a trzeci musiał jeszcze gdzieś coś załatwić — lecz nie należy czekać na nich, tylko zabrać się do posiłku. Wkrótce zdecydowano, że posłuchają owej rady, gdyby bowiem chciano na wszystkich czekać — powiadano — mogłoby to potrwać aż do

pojawienia się księżycy. Tylko położna pomrukiwała na boku: Bo też nie ma nic bardziej głupiego niż takie odwlekanie, tak naprawdę przecież każdy chciałby tu być, i to im prędzej, tym lepiej, ale żeby nikt o tym nie wiedział. Przez to tylko kłopot z trzymaniem wszystkiego na ciepłej blasze, nie wiadomo, czy starczy jadła, i człowiek nigdy się nie obrobi.

Choć szybko powzięto decyzję w sprawie nieobecnych, nie uporano się jeszcze z obecnymi i trzeba było dołożyć wszelkich starań, aby sprowadzić ich do pokoju, a następnie skłonić do siadania, gdyż nikt nie chciał być pierwszy ani w drzwiach, ani przy stole. Gdy wreszcie wszyscy już siedzieli, na stół wjechała zupa, piękny rosół, przyprawiony szafranem i aż gęsty od ślicznego białego chleba, wkrojonego przez babkę. Teraz wszyscy zdjęli nakrycia głowy, dłonie złożyły się do pacierza, i każdy długo i uroczyście się modlił po cichu do ofiarodawcy tych dobrych darów. Dopiero potem sięgnięto wolno po blaszaną łyżkę, wycierając ją o ładny, cienki obrus, i zabrano się do zupy, przy czym niejedno życzenie oblekło się w słowa: Gdyby każdego dnia miało się taką zupę, człowiek nie pragnąłby już niczego więcej. Kiedy zupa została zjedzona, znów wytarto łyżki w obrus, a gdy podano plecionkę, każdy odkroił sobie kromkę i przyglądał się, jak obnoszono przystawki w sosie szafranowym: mózdzek, baraninę, wątróbkę na kwaśno. Kiedy uporano się z nimi, niespiesznie sobie to i owo dobierając, wniesiono na półmiskach wysoko spiętrzoną wołowinę, tłustą i chudą, wedle upodobania, suchą fasolę i ćwiartki marynowanych gruszek, do tego szerokie płaty słoniny oraz przepyszne kawałki schabu z trzytętnarowych wieprzków, śliczne, białe i czerwone, i soczyste. Jedno danie następowało wolno po drugim, a gdy przybywał nowy gość, wszystko podawano od nowa, zaczynając od zupy, i każdy musiał jeść od początku, tak jak tamci, nikomu nie darowano ani jednego dania. Zaś Benz, ojciec noworodka, pilnie nalewał z ładnych, białych flaszek, zawierających podwójną kwartę i bogato zdobionych herbami i różnymi sentencjami. Tam gdzie jego ręce nie sięgały, innym zlecał urząd podczaszego, namawiał z powagą do picia, często

upominając: — Wypijcież do dna, przecież po to jest, aby pić! — A jeśli położna wносиła półmisek, przynosił jej swoją szklanę, inni też przynosili, tak że gdyby chciała do wszystkich uczciwie przepić, dziwne rzeczy działałyby się w kuchni. Młodszy z kumów musiał wysłuchać niejednego docinka, że nie umie matki chrzestnej udatniej zachęcać do picia; jeśli nie potrafi lepiej wznieść zdrowia, nie dostanie żony. O, Hans Uli nie będzie pragnął żony, odezwała się wreszcie kuma, kawalerowie mają obecnie całkiem inne sprawy w głowie niż żeniaczka, i większość z nich wcale tego nie pragnie. Ejże, odrzekł kum Hans Uli, jemu też się tak wydaje. Z takich laleczek, jakimi dziewczęta obecnie przeważnie są, bywają bardzo drogie żony, na ogół myślą, że aby być porządną żoną, wystarczy mieć niebieską jedwabną chusteczkę na głowie, rękawiczki latem i haftowane pantofelki zimą. Jeśli człowiek ma za mało krów w oborze, jest to oczywiście bieda, ale można ją odmienić; gdy jednak ma się żonę, która człeka wyzuje z mienia i domu, jest to klęska i nie można się jej pozbyć. Dlatego korzystniej dumać o innych rzeczach niż o żeniaczce i zostawić dziewczęta w spokoju.

— Owszem, owszem, masz całkowitą słuszność — przyznał mu starszy kum, drobny, niepozorny człowieczek, lichy odziany, ale traktowany z ogromnym szacunkiem i tytułowany kuzynem, gdyż nie miał dzieci, posiadał natomiast nie obdłużony folwark oraz sto tysięcy szwajcarskich franków złożonych na procent. — Tak, masz słuszność — mówił — z bab nie ma już żadnego pożytku. Nie powiem, że nie trafi się czasem tu i ówdzie jakaś jedna, która przydaje się domowi, ale zdarza się to niezmiernie rzadko. Mają tylko błazeństwa i pychę w głowie, ubierają się jak pawie, chodzą jak boćki, a jeśli którejś przyjdzie przez pół dnia popracować, to trzy dni głowa ją boli, a cztery dni leży w łóżku, zanim się znów pozbiera. Kiedym chodził w konkury do mojej starej, czasy były inne. Wtedy człowiek nie musiał się tak bać, że zamiast pocziwej domowej gosposi będzie miał tylko błazna czy nawet czorta w domu.

— Ejże, ejże, kumie Uli — wtrąciła się chrzestna matka, która już od

dawna chciała coś rzec, ale jej się to nie udawało — można by sądzić, że jedynie za twoich czasów trafiały się prawdziwe gospodarskie córki. Tylko że teraz ich nie znasz i już nie zwracasz uwagi na dziewczęta, jak zresztą przystało na starszego człowieka, jednak istnieją one jeszcze, tak samo jak wówczas, kiedy twoja stara była młoda. Nie chcę się chwalić, ale mój ojciec już nieraz mówił, że jeśli będę dalej się tak sprawować, prześcignę jeszcze świętej pamięci matkę, a ona była przecież sławną gospodynią. Tak ciężkich wieprzków jak w zeszłym roku ojciec jeszcze nigdy nie prowadził na jarmark. Rzeźnik parokrotnie mu mówił, że chciałby zobaczyć dziewczynę, która je tuczyła. To na dzisiejszych chłopców trzeba się skarżyć; co, na miłość boską, z nimi się dzieje? Przesiadywać w karczmie, białe kapelusze nosić na bakier i rozwierać oczy niczym bramy miejskie, włóczyć się po wszystkich kręgielniach i strzelnicach, za wszystkimi zepsutymi dziewczuchami, to potrafią, ale gdy któryś ma wydoić krowę albo zorać pole, to jest zaraz wykończony, a jeśli weźmie narzędzie do ręki, jest taki niezdarny niby jakiś pan czy nawet pisarz. Ja już nieraz przysięgałam sobie, że nie chcę mieć męża, chyba żebym z całą pewnością wiedziała, jak na tym wyjdę, bo jeśli nawet tu i ówdzie trafia się jakiś prawdziwy gospodarz, jeszcze długo nie wiadomo, jaki będzie z niego mąż.

Wtedy tamci zaczęli się głośno śmiać i żartować z niej, aż dziewczyna się zarumieniła: Ile czasu jej zdaniem trzeba kogoś wypróbować, zanim się z całą pewnością wie, jaki będzie z niego mąż?

Tak więc wśród śmiechów i żartów posilano się mnóstwem mięsiwa, nie zapominając też o ćwiartkach gruszek, aż wreszcie starszy kum oznajmił: Wydaje mu się, że na razie powinno być dość i że należałoby na chwilę odejść od stołu, nogi mu całkiem zdrętwiały, a fajka nigdy nie smakuje lepiej niż wtedy, kiedy uprzednio jadło się mięso. Ta propozycja zyskała ogólny poklask, jakkolwiek rodzice noworodka perswadowali: Niechże nie opuszczają stołu; gdy ludzie raz odejdą, prawie nie sposób ich powtórnie przywołać do posiłku. — Nie martw się, kuzynko! — odparł kuzyn — jeśli

postawisz coś dobrego na stole, bez szczególnego wysiłku zbierzesz nas znowu przy nim, a skoro się trochę ruszymy, tym zwawiej uwiniemy się z jedzeniem!

Mężczyźni urządzili teraz obchód po stajniach, rzucili okiem na boisko, czy jeszcze jest zapas starego siana, chwalili bujną trawę i zaglądali w korony drzew, jakiego też błogosławieństwa będzie się można po nich spodziewać.

Pod jednym z jeszcze kwitnących drzew kuzyn przystanął i rzekł: Chyba tu najlepiej będzie spocząć i zakurzyć fajeczkę, miły panuje tu chłód, a gdy kobiety znów przyrządzą coś smakowitego, jest się pod ręką. Niebawem dołączyła do nich kuma, która z niewiastami poszła obejrzyć ogród i warzywnik. Za nią nadeszła reszta kobiet i jedna po drugiej usiadły na trawie, ostrożnie unosząc piękne spódnice, narażając natomiast halki z jasnoczerwoną krajką na ryzyko, że wyniosą pamiątkę po zielonej trawie.

Drzewo, wokół którego ułożyło się całe towarzystwo, stało powyżej domu, na łagodnym stoku łąki. Najpierw oko natrafiało na piękny, nowy dom; nad nim wzrok mógł szybować na przeciwległy kraniec doliny, ponad niejednym ładnym, bogatym obejściem, a dalej przez zielone wzgórza i ciemne doliny.

— Masz tu okazały dom i wszystko w nim dobrze urządzone — stwierdził kuzyn — teraz możecie w nim mieszkać i macie miejsce dla wszystkich; nigdy nie mogłem zrozumieć, jak można było tyle czasu wytrzymać w tak zniszczonym domu, skoro ma się dość pieniędzy i drzewa na budowę jak na przykład wy.

— Nie żartuj sobie, kuzynie! — odparł dziadek — nie ma się tu czym chwalić; poza tym budowanie to okropna rzecz, wprawdzie wiadomo, jak się zaczyna, ale nigdy, jak się skończy, a ponadto człowiekowi raz to przeszkadza, raz tamto, w każdym miejscu co innego.

— Mnie się ten dom wręcz wyjątkowo podoba — oznajmiła jedna z kobiet. — My też już od dawna powinniśmy mieć nowy dom, lecz zawsze boimy się kosztów. Gdy jednak nadejdzie mój mąż, musi wasz dom

dokładnie obejrzeć, wydaje mi się, że gdybyśmy mieli taki sam, czułabym się jak w niebie. Ale chciałabym spytać, bez obrazy, czemu tak obok pierwszego okna stoi ten paskudny czarny węgar, szpeci on cały dom.

Dziadek zasepił się, jeszcze mocniej pociągnął fajeczkę i wreszcie rzekł: — Zabrakło drzewa przy stawianiu, nie było go od razu pod ręką, wobec czego w pośpiechu i potrzebie wzięto co nieco ze starego domu.

— Ale — nie ustępowała kobieta — ten czarny kawałek drewna był przecież jeszcze za krótki, nadsztukowano go u góry i na dole, a każdy sąsiad byłby wam najchętniej w świecie dał całkiem nowy kawałek.

— Cóż, jakoś nie pomyśleliśmy i nie śmieliśmy naszych sąsiadów wciąż od nowa nachodzić, już nam dość pomogli drzewem i zwózką — odparł stary.

— Słuchaj, dziadku — wtrącił się kuzyn — nie wykręcaj się, tylko mów prawdę i gadaj, jak było! Słyszałem już niejedno, co sobie ludzie szepczą na ucho, ale nigdy nie udało mi się dowiedzieć prawdy. Teraz dobrze się składa, zabaw nas, dopóki kobiety nie przyrządzą pieczeni, mów więc szczerze, co i jak było! — Dziadek próbował jeszcze różnych wykrętów, zanim się zgodził, ale niewiasty i kuzyn nie ustąpili, dopóki nie przyrzekł spełnić prośby, lecz z wyraźnym zastrzeżeniem, że wolałby, aby to, co opowie, pozostało między nimi i nie rozeszło się dalej. Wiele ludzi boi się czegoś takiego w czyimś domu, i on nie chciałby na stare lata psuć opinii swoim bliskim.

— Ilekroć przyglądam się temu kawałkowi drewna — zaczął czcigodny starzec — ogarnia mnie zdziwienie, jak to się stało, że z Dalekiego Wschodu, gdzie podobno powstał rodzaj ludzki, ludzie doszli aż tutaj i odkryli ten zakątek w tym wąskim parowie, i myślę o tym, co ci, których los tu zagnał lub też którzy zostali tu zapędzeni, wycierpieli i kim też mogli być. Wiele się o to rozpytywałem, ale niczego nie mogłem się dowiedzieć poza tym, że te strony były już bardzo wcześniej zamieszkane, a nawet, że Sumiswald miał być miastem, zanim jeszcze nasz Zbawiciel zjawił się na świecie; ale to nigdzie nie jest zapisane. Wiadomo jednak, że minęło już ponad sześćset lat,

odkąd stoi zamek, gdzie obecnie jest szpital, i prawdopodobnie w tym samym czasie stał tutaj także dom, należący wraz z dużą częścią gruntu do i zamku, dom, który musiał tam składać dziesięcinę i czynsz od gruntu, wykonywać pańszczyznę, tak, ludzie byli pańszczyźnianymi poddanymi i nie mieli praw, tak jak ma je dziś każdy, gdy dojdzie do swoich lat. Niejednakowo się wtedy ludziom wiodło, i tuż obok siebie mieszkali poddani, którzy byli dobrze traktowani, i tacy których uciskano nie do wytrzymania i którzy nie byli pewni swego życia. Ich położenie było zależne od panów, a każdy z nich był inny i każdy prawie był nieograniczonym władcą nad swoimi ludźmi, którzy nie mieli nikogo, komu mogliby się łatwo i skutecznie poskarżyć. Ludziom w dobrach tego zamku wiodło się czasami podobno gorzej niż większości tych, którzy należeli do innych zamków. Tamte zamki przeważnie stanowiły własność jednej rodziny, przechodziły z ojca na syna, tedy pan i jego poddani znali się od dziecka, i niejeden odnosił się do swoich ludzi niczym ojciec. Ten zamek zaś wcześniej dostał się w ręce rycerzy nazywanych Niemcami, a tego, który tu rozkazywał, zwano komturem. Ci zwierzchnicy zmieniali się, raz był to ktoś z Saksonii, innym razem znowu ktoś ze Szwabii, tedy nie mogło być mowy o żadnym przywiązaniu, a każdy przywoził ze sobą zwyczaje i obyczaje swojego kraju.

Właściwie to oni byli od tego, aby się bić z poganami w Polsce i w Prusach i tam, aczkolwiek w istocie byli duchownymi rycerzami, przywykli do niemal pogańskiego życia i obchodzili się z innymi ludźmi tak, jak gdyby nie było Boga na niebie, a gdy potem wracali w te strony, wciąż jeszcze zdawało im się, że są w kraju pogan, i wiedli nadal takie samo życie. Bowiem ci, którzy woleli wesoło żyć w cieniu niż krwawo wojować w dzikim kraju, albo też tacy, którzy musieli leczyć rany i nabierać sił, przybywali na majątki ziemskie, które zakon, jak podobno nazywano stowarzyszenie tych rycerzy, posiadał w Niemczech i w Szwajcarii, a każdy postępował na swoją modłę i robił, co mu się podobało. Jednym z najbardziej dzikich był ponoć niejaki Hans von Stoffeln ze Szwabii, i za niego miało się dziać to, co chcecie ode

mnie usłyszeć i co przekazuje się u nas z ojca na syna.

Temu właśnie Hansowi von Stoffeln zachciało się na Barhegenhubel wybudować duży zamek; tam gdzie jeszcze dzisiaj przed nadejściem burzy widać, jak duchy zamku rozkładają swoje skarby na słońcu, tam stał zamek. Na ogół rycerze budowali swoje zamki przy gościńcach, podobnie jak obecnie buduje się karczmy przy gościńcu, jedne i drugie, by łatwiej łupić ludzi, co prawda w różny sposób. Dlaczego ów rycerz chciał mieć zamek na tamtym dzikim, odludnym wzgórzu na pustkowiu, nie wiemy, dość, że chciał, a chłopci, przynależni do zamku, musieli go zbudować. Rycerza nie obchodziły żadne prace związane z porą roku, ani sianokosy, ani żniwa, ani siewy. Tyle a tyle furmanek musiało wozić, tyle a tyle rąk musiało pracować, wtedy a wtedy miała być ułożona ostatnia cegła, wbity ostatni gwóźdź. Na domiar złego nie darował ani jednego snopka dziesięciny, ani jednej raty podatku gruntowego, ani jednej kury w zapusty, ba, nawet ani jednego jajka; nie znał litości, nie znał potrzeb biedoty. W pogański sposób popędzał ich biciem i wyzwiskami, a jeśli ktoś się zmęczył, wolniej się ruszał czy nawet chciał odpocząć, natychmiast włodarz poganiał go batem, i nie zważano ani na wiek, ani na słabość. Gdy ci dzicy rycerze bawili tam na górze, cieszyli się, kiedy bat odpowiednio strzelał, a i poza tym płatali chłopom rozmaite złośliwe figle; jeśli rozmyślnie mogli przysporzyć im roboty, nie omieszkali tego uczynić, i radowali się później ich strachem, ich siódmym potem.

Wreszcie zamek był gotów, mury grube na pięć łokci, nikt nie wiedział, po co tu stoi na górze, ale chłopci byli zadowoleni, że nareszcie stoi, skoro stanąć musiał, że już wbito ostatni gwóźdź, ułożono ostatnią cegłę.

Otarli pot z czoła, rozejrzeli się ze smutkiem w sercu po własnym gospodarstwie, stwierdzając z westchnieniem, jak daleko pozostali w tyle przez tę nieszczęsną budowę. Ale mieli przed sobą długie lato, a nad nimi był Bóg, toteż nabrali odwagi, chwycili za pługi i pocieszali żony i dzieci, które srodze głodowały i którym ta praca wydawała się nową udręką.

Ledwie jednak wyprowadzili pługi w pole, nadeszła wiadomość, że

wszyscy dworscy ludzie mają wieczorem o określonej godzinie stawić się na zamku w Sumiswaldzie. Wprawdzie nic jeszcze dobrego nie zaznali od obecnych mieszkańców zamku, tylko samo okrucieństwo i samowolę, ale wydawało im się słuszne, że panowie chcą się im czymś wywdzięczyć w zamian za okrutną harówkę pańszczyźnianą, a ponieważ im się tak zdawało, wielu przypuszczało, że panom też się tak zdaje i że tego wieczoru będą chcieli ich czymś obdarować lub ogłosić jakieś ulgi w daninach.

W wyznaczony wieczór stawili się wcześniej i z bijącym sercem, ale musieli długo czekać na dziedzińcu zamkowym, stając się pośmiewiskiem dla pachołków. Pachołkowie też przebywali przedtem w kraju pogan. A z pewnością było wtedy nie inaczej niż obecnie, gdzie byle chudopachołek pański uważa, że ma prawo gardzić osiadłymi chłopami i może z nich pokpiwać.

Wreszcie wezwano ich do sali rycerskiej, ciężkie drzwi otworzyły się przed nimi; na środku sali, dokoła masywnego dębowego stołu, siedzieli czarnobrunatni rycerze, z groźnymi psami u stóp, a na samej górze królował Hans von Stoffeln, dziki, ogromny mąż o głowie niby podwójna kwarta berneńska, z oczami jak koła pługu i brodą niczym grzywa starego lwa. Nikt nie chciał wejść pierwszy, jeden wypychał drugiego.— Wówczas rycerze wybuchnęli śmiechem, aż wino chlusnęło z dzbanów, i psy z wściekłością rzuciły się do przodu; gdy bowiem psy zobaczą dygocące ze strachu ciała, wydaje im się, że to jakaś zwierzyna do upolowania. Chłopi zaś poczuli się ogromnie nieswojo, pragnęli już tylko znaleźć się z powrotem w domu, i chowali się wzajemnie za siebie. Kiedy wreszcie psy i rycerze umilkli, von Stoffeln podniósł głos, a zabrzmiał on jak ze stuletniego dębu: „Mój zamek jest gotowy, lecz brak mu jednej rzeczy: nadchodzi lato, a na górze nie ma cienistej alei. W ciągu miesiąca musicie mi taką aleję posadzić, macie wziąć setkę wyrosniętych buków z Münnebergu, z gałęziami i korzeniami, i posadzić je na Barhegenie, a jeśli zabraknie tu bodaj jednego buka, zapłacicie mi za to mieniem i krwią. Na dole czeka trunek i jadło, ale jutro ma stanąć

pierwszy buk na Barhegenie”.

Słyszając o trunku i jadle, któryś z nich sądził, że rycerz jest łaskawie i życzliwie nastrojony, i zaczął mówić o czekających ich koniecznych pracach polowych i o głodzie żony i dzieci oraz o zimie, kiedy łatwiej będzie wykonać zadanie. Wtedy głowa rycerza coraz bardziej i bardziej nabrzmiewała ze złości i głos jego wybuchnął niczym grzmot ze skalnej ściany, i rycerz rzekł im: Jeśli on jest dla nich łaskawy, to się rozzuchwalają. Gdy w Polsce ktoś uchowa całą skórę, całuje go po nogach, tutaj zaś mają dzieci i bydło, dach i pracę, i jeszcze im mało. „Ale już ja was nauczę posłuszeństwa i skromności, jakem Hans von Stoffeln, i jeśli za miesiąc setka buków nie stanie na górze, każę was wychłostać, aż nie będzie ani jednego całego skrawka skóry na was, a baby i dzieci rzucę psom na pożarcie”.

Wtedy już nikt nie śmiał się sprzeciwić, ale też nikt nie miał chęci na jadło i trunek; gdy padł gniewny rozkaz, tłoczyli się do drzwi i każdy byłby najchętniej pierwszy, a długo jeszcze towarzyszył im grzmiący głos rycerza, śmiech jego towarzyszy, kpiny pachołków i wycie psów.

Kiedy droga skręciła i nie mogli już być widziani z zamku, usiedli na jej skraju i gorzko zapłakali, nikt nie znajdował słów pociechy dla drugiego, nikt też nie miał odwagi, aby zdobyć się na prawdziwy gniew, bowiem nędza i harówka zdławiła w nich odwagę, tak że nie mieli już sił na gniew, lecz tylko na lament. Przez bezdroża ciągnące się ponad trzy godziny mieli wozić buki wraz z konarami i korzeniami na stromą górę, a obok góry rosło wiele pięknych buków, które musieli zostawić nietknięte! Robota miała być wykonana w przeciągu miesiąca, przez dwa dni będą musieli wlec po trzy, trzeciego dnia cztery drzewa przez długą dolinę, na spadzistą górę, i to tym swoim wynędzniałym bydłem! A na domiar złego był maj, kiedy wieśniak musi się uwijać na roli i prawie że nie może jej opuścić za dnia ani w nocy, jeśli chce mieć chleb i pożywienie na zimę.

Gdy tak bezradnie płakali, nie patrząc jeden na drugiego, nie oglądając się na niedolę sąsiada, ponieważ już własna ich pogrzyżała, i nikt nie śmiał

wracać do domu z nowiną, nikt nie chciał żony i dzieci powiadomić o nowej biedzie, nagle zjawił się przed nimi nie wiadomo skąd wysoki i chudy, zielony strzelec. Na jego zawadiackim berecie chwiało się czerwone piórko, w ciemnej twarzy płonęła ruda bródka, a między zakrzywionym nosem i spiczastym podbródkiem prawie niewidoczne, niczym jaskinia pod skalnym nawisem, otwały się usta, pytając: „Co się dzieje, dobrzy ludzie, że siedzicie tu i zawodzicie, aż kamienie wypryskują spod ziemi, a gałęzie z drzew?” Dwukrotnie tak zapytał i dwukrotnie nie otrzymał odpowiedzi.

Wtedy czarne oblicze strzelca jeszcze bardziej szerniało, ruda bródka bardziej poczerwieniała, zdawało się, że coś w niej trzaska i trzeszczy niby ogień w sosnowych drzewach; usta stuliły się spiczasto niczym strzała, po czym rozwarły się i spytały przymilnie i łagodnie: „Ależ, ludzie kochani, co wam z tego, że siedzicie tu i płaczecie? Możecie zawodzić, aż nastanie nowy potop albo wasz wrzask strąci gwiazdy z nieba, ale to wam prawdopodobnie mało pomoże. Jeśli zaś pyta was ktoś, co wam dolega, ktoś, kto jest wam życzliwy, kto może mógłby pomóc, powinniście odpowiedzieć, zamiast płakać, i odezwać się rozsądnie, więcej by wam z tego przyszło”.

Wówczas pewien stary chłop potrząsnął siwą głową i rzekł: „Nie miejcie nam za złe, ale żaden myśliwy nie uwolni nas od tego, z powodu czego płaczemy, a jeśli serce raz wezbrało żalnością, już nie wydobędzie słów”.

Strzelec pokręcił spiczastą głową i odparł: „Niegłupio gadacie, dziadku, ale tak jednak nie jest. Można bić, co się chce, kamień albo drzewo, wyda ono głos, poskarży się. Tak też powinien skarżyć się człowiek, powinien wyzalić się, poskarżyć pierwszemu lepszemu, może pierwszy lepszy mu pomoże. Jestem tylko strzelcem, kto wie, czy nie mam w domu solidnego zaprzęgu do wożenia drzewa i kamieni lub buków i sosen?”

Gdy biedni chłopci usłyszeli słowo „zaprzęg”, zapadło im ono wszystkim w serce, zamieniając się w iskrę nadziei, i wszystkie oczy zwróciły się na strzelca, a staremu język rozwiązał się jeszcze bardziej. Odezwał się: Nie zawsze dobrze jest mówić pierwszemu lepszemu, co człowieka gnębi;

ponieważ jednak znać po nim, że żywi przyjazne zamiary, że może mógłby pomóc, nie będą przed nim nic ukrywać. Ponad dwa lata budowa nowego zamku dawała im się gorzko we znaki, nie ma ani jednej zagrody na całym obszarze podległym władzy zamku, która nie cierpiałaby straszliwego niedostatku. Teraz odetchnęli z ulgą, przekonani, że nareszcie mają wolne ręce do własnej roboty, z nową otuchą wyprowadzili pługi w pole, tymczasem komtur przed chwilą przykazał im w ciągu miesiąca obsadzić bukami rosnącymi na Münnebergu aleję przy nowym zamku. Nie wiedzą, jak tego dokonać w tak krótkim terminie ze swoim umęczonym bydłem, a jeśli nawet dokonają, co im z tego? Nie potrafią zasadzić drzew i będą potem przymierali głodem, o ile tak ciężka robota już przedtem ich nie zabije. Nie mogą z taką nowiną wrócić do domu, nie chcą do starej nędzy dorzucać jeszcze nowej biedy.

Wtedy strzelec przybrał litościwy wyraz twarzy, długą, chudą, czarną ręką wygrażał zamkowi i zaprzysiągł okrutną zemstę za tyle tyranii. Im zaś pomoże. Jego zaprzęg, nie mający sobie równego w całym kraju, zwiezie z drogi przy kościele, po tej stronie Sumiswaldu, wszystkie buki, jakie tylko zdołają tam zgromadzić, na Barhegen, z sympatii do nich, na przekór rycerzom, i to za niewielką opłatą.

Biedacy nastawili uszu na tak nieoczekiwaną propozycję. Jeśli ugodzą się co do zapłaty, będą ocaleni, bowiem do kościelnej drogi mogli buki przywieźć nie porzucając prac polowych i nie ginąc. Toteż starzec odezwał się: „Powiedz nam zatem, czego żądasz, abyśmy mogli z tobą dobić targu!”

Wtedy strzelec przybrał chytrą minę; w jego bródce coś zatrzeszczało, oczy zaś zaiskrzyły się niczym oczy węża i przeraźliwy uśmiech zjawił się w kącikach ust, gdy je otworzył i oznajmił: „Jak już mówiłem, żądam niewiele, nic poza nie ochrzczonym dzieckiem”. Słowo to poraziło mężczyzn jak piorun, nagle przejrzeni na oczy i prysnęli niczym plewy na wietrze.

Strzelec parsknął głośnym śmiechem, aż ryby skryły się w potoku, ptaki uciekły w gąszcz, piórko na kapeluszu zachwiało się okrutnie, a bródka

ruszała się w górę i w dół.

„Namyślcie się, albo poradzcie się waszych kobiet, w trzecią noc od dziś mnie tu znowu zastaniecie!” rzucił za uciekającymi przenikliwym głosem, a słowa utkwily im w uszach jak strzały z ościeniem w ranie.

Bladych i roztrzęsionych w duszy i na ciele mężczyzn jakby wymiotło; nikt nie oglądał się na nikogo, nikt nie odwróciłby się za żadne skarby świata. Kiedy mężowie przybiegli tacy wzburzeni niczym ścigane przez jastrzębia gołębie do gołębnika, wraz z nimi strach wtargnął do wszystkich domów i wszyscy zadrżeli na wieść, która mężczyzn tak roztrzęsła.

Dygocąc z ciekawości, kobiety skradały się za mężami, aż wreszcie dopadły ich w miejscach, gdzie w zaciszu można było poufnie porozmawiać. Wtedy każdy mąż musiał żonie opowiedzieć, czego dowiedzieli się na zamku. Kobiety słuchały ze złością i przekleństwem; musieli opowiedzieć, kogo spotkali i co im zaproponował. Wówczas kobiety ogarnął bezgraniczny lęk, nad lasami i górami rozległ się lament, każda z kobiet miała wrażenie, jak gdyby bezecnik domagał się jej własnego dziecka. Jedna jedyna kobieta nie krzyczała jak inne. Była to okrutnie rzutka niewiasta, podobno z Lindau, i mieszkała tu w tym domu. Miała dzikie, czarne oczy i nie bała się ani Boga, ani ludzi. Już się rozgniewała, że mężczyźni wręcz nie odrzucili żądań rycerza; twierdziła, że gdyby była tam obecna, powiedziała by mu to. Gdy usłyszała o zielonym strzelcu i jego propozycji, i jak mężczyźni wiali, rozzłościła się na dobre i zwymyślała ich za tchórzostwo oraz za to, że nie spojrzeli strzelcowi śmieiej w twarz, może byłby się zadowolił inną zapłatą, a ponieważ robota jest przeznaczona dla zamku, dusze ich nie poniosłyby szkody, jeśli wykonałby ją diabeł. Okropnie się piekliła, że nie było jej przy tym, choćby już tylko dlatego, by raz ujrzeć diabła i zobaczyć, jak on wygląda. Dlatego ta kobieta nie płakała, lecz w swoim gniewie ciskała twarde słowa na własnego męża i na wszystkich pozostałych.

Następnego dnia, kiedy głośny lament przygasł w cichym pojękiwaniu, mężczyźni, usiadłszy razem, zastanawiali się nad jakimś wyjściem i nie

mogli go znaleźć. Z początku była mowa o ponownym proszeniu rycerza, ale nikt nie chciał pójść, nikt nie chciał narażać zdrowia i życia. Ktoś chciał posłać żony i dzieci z płaczem i biadaniem, ale szybko umilkł, kiedy kobiety zabrały głos; bowiem już wtedy kobiety znajdowały się w pobliżu, gdy mężczyźni zasiadali do obrad. Nie widzieli innego wyjścia jak w imię Boże spróbować się poddać, zamówić msze, aby uzyskać poparcie Pana Boga, zwrócić się do sąsiadów o sekretną pomoc nocą, gdyż na jawną panowie by nie pozwolili, i się podzielić, połowa z nich miała pracować przy bukach, druga połowa siać owies i dbać o zwierzęta domowe. Żywili nadzieję, że w ten sposób oraz z boską pomocą zawiozą dziennie przynajmniej trzy buki na Barhegen; o strzelcu nikt nie wspominał; czy nikt nie myślał — o tym zapiski nie wspominają.

Podzielili się, przygotowali narzędzia, i gdy pierwszy dzień majowy przekroczył próg, mężczyźni zebrali się pod Münnebergiem i odważnie, w skupieniu, wzięli się do roboty. Należało buki okopać szerokim kręgiem, starannie chroniąc korzenie, i starannie spuszczać drzewa na ziemię, aby nie poniosły szkody. Jeszcze słońce nie wyszło zbyt wysoko na niebo, gdy trzy drzewa były już przygotowane do zwózki, bowiem mieli zawsze wozić po trzy naraz, aby na tej trudnej drodze wzajemnie sobie służyć pomocą i zaprzęgiem. Ale słońce już sięgnęło południa, a jeszcze nie wyjechali z owymi bukami z lasu, słońce chyliło się za góry, a wciąż jeszcze podwoły nie wyjechały poza Sumiswald; dopiero następny ranek zastał ich u podnóża góry, na której wznosił się zamek i miały być posadzone buki. Zdawało się, że jakaś fatalna gwiazda sprzysięgła się przeciwko nim. Spotykało ich jedno nieszczęście po drugim: uprzęż się rwała, wozy łamały się, konie i woły padały albo odmawiały posłuszeństwa. Jeszcze gorzej działo się następnego dnia. Coraz to nowe biedy przysparzały wciąż nowych kłopotów, biedacy sapali, pracując bez wytchnienia, a jeszcze ani jeden buk nie był na górze, żadne z następnych drzew nie wyjechało poza Sumiswald.

Hans von Stoffeln złorzeczył i klął; im więcej zaś złorzeczył i przeklinał,

tym gorsze spotykały ich niepowodzenia, tym bardziej zwierzęta się buntowały. Inni rycerze śmiali się i pokpiwali, ciesząc się niezmiernie z miotania się chłopów i złości komtura. Wyśmiewali jego nowy zamek na łąsycznym szczycie. Wtedy Hans przysiągł: W ciągu miesiąca musi na górze stanąć piękna aleja. Dlatego teraz złorzeczył, dlatego rycerze się śmiali, a chłopci płakali.

Ogarnęło ich straszliwe zniechęcenie, nie mieli już ani jednej całej furmanki, ani jednego nie uszkodzonego zaprzęgu, w ciągu dwóch dni nie zawieźli tych trzech buków na miejsce, a całkiem opadli już z sił.

Nastała noc, niebo pokryło się czarnymi chmurami, błysnęło się po raz pierwszy w tym roku. Mężczyźni usiedli przy drodze, był to ten sam zakręt, na którym siedzieli przed trzema dniami, ale nie pamiętali o tym. Był tam gospodarz z Hornbachu, mąż Lindauerki, z dwoma parobkami, oraz jeszcze kilku innych. Tu chcieli czekać na buki mające przybyć z Sumiswaldu, chcieli spokojnie zastanowić się nad swoją niedolą, dać odpocząć zmaltretowanym ciałom.

Wtem szybkim krokiem, tak szybkim, że powietrze niemal zaświszczało, tak jak świszczę wiatr, gdy urwie się z uwięzi, nadeszła jakaś kobieta, z dużym koszykiem na głowie. Była to Krystyna Lindauerka, żona gospodarza z Hornbachu, której się dorobił, gdy niegdyś ze swoim panem wyruszył na wojnę. Nie należała do kobiet zadowolonych z tego, że siedzą w chacie i w zaciszu domowym zajmują się swoimi obowiązkami, nie troszcząc się o nic poza gospodarstwem i dziećmi. Krystyna zawsze chciała wiedzieć, co się dzieje, a gdzie nie mogła wtrącać swoich trzech groszy, uważała, że źle się dzieje.

Z tego powodu nie przysłała sługi z posiłkiem, lecz sama wzięła ciężki koszyk na głowę i długi czas bezskutecznie szukała mężczyzn; toteż rzuciła parę gorzkich słów na ten temat, gdy ich odnalazła. Przy tym jednak nie próżnowała, gdyż umiała jednocześnie mówić i pracować. Postawiła koszyk, odkryła naczynie, w którym była owsianka, położyła chleb i ser i dla

każdego, dla męża i parobków, wsadziła łyżkę do owsianki i zaczęła zapraszać również pozostałych, którzy jeszcze nie mieli nic do jedzenia. Potem spytała, co działali i ile zrobiono przez te dwa dni? Mężczyznom jednak zabrakło apetytu i słów, nikt nie sięgnął po łyżkę i nikt nie zdobył się na odpowiedź. Jedynie pewien lekkomyślny młody parobek, któremu było obojętne, czy w czasie żniw pada deszcz, czy świeci słońce, byleby tylko rok minął i nadeszła zapłata oraz zjawiono się jedzenie na stole o każdej porze posiłku, sięgnął po łyżkę i opowiedział Krystynie, że jeszcze nie posadzono ani jednego drzewa i wszystko posuwa się tak, jak gdyby ktoś rzucił na nich urok.

Wtedy Lindauerka ich zwymyślała, że to czyste urojenie i że mężczyźni zachowują się jak baby w połogu; płaczem, beczynnym siedzeniem i bekiem nigdy nie zawiozą buków na Barhegen. W pełni zasłużą na to, jeśli rycerz na ich skórze da upust swojej samowoli; ale z uwagi na żony i dzieci należy inaczej brać się do dzieła. Wtem nagle zza ramienia kobiety ukazała się długa, czarna ręka i świdrujący w uszach głos krzyknął: „Tak jest, słusznie mówi!” I raptem stanął wśród nich ów zielony strzelec z roześmianą twarzą, a czerwone piórko na jego kapeluszu chybotąło się wesoło. Tedy strach porwał mężczyzn, rozpierzchli się po hali niczym plewy na wietrze.

Tylko Krystyna nie mogła uciec; poczuła, jak to jest, gdy o diable mowa, a on się nagle zjawia. Stała jak urzeczona, nie mogąc oderwać wzroku od czerwonego piórka na berecie i rudej bródki, wesoło podrygującej w górę i w dół w czarnej twarzy. Zielony strzelec zaś śmiał się przeraźliwie z mężczyzn, Krystynie natomiast rzucił tkliwe spojrzenie i uprzejmym ruchem chwycił ją za rękę. Krystyna chciała ją cofnąć, lecz już nie mogła się wyrwać strzelcowi, miała wrażenie, że jej ciało syczy, przypiekane rozpalonymi obcęgami. Strzelec zaczął prawić piękne słowa, a ruda bródka podrygiwała przy tym lubieżnie w górę i w dół. Dawno już nie widział tak urodziwej kobietki, mówił, aż serce mu się śmieje z radości, ponadto lubi śmiałe niewiasty i właśnie te są dlań najmilsze, które zostają, gdy mężczyźni uciekają. Gdy tak

przemawiał, wydawał się Krystynie coraz mniej straszny. Z takim można przecież się dogadać, pomyślała, i nie wiedziała, po co uciekać, spotykała już dużo gorszych. Coraz bardziej umacniało się w niej przekonanie: z nim da się coś zrobić, i jeśli umiałoby się odpowiednio porozmawiać, chyba byłby gotów do przysługi, lub może nawet dałoby się go okpić, podobnie jak innych mężczyzn. Wcale nie wie, ciągnął strzelec dalej, dlaczego ludzie tak się go boją, wszak ma jak najlepsze zamiary względem wszystkich, jeśli zaś odnoszą się grubiańsko do niego, nie należy się dziwić, że nie zawsze spełnia to, czego ludzie najgoręcej pragną. Wtedy Krystyna wzięła na odwagę i rzekła: Bo też i straszy ludzi tak, że coś okropnego. Po co domagał się nie ochrzczonego dziecka, mógł przecież wspomnieć o jakiejś innej zapłacie, jest to nader podejrzanе dla ludzi, dziecko jest bądź co bądź człowiekiem, i wydać je nie ochrzczone, tego nie zrobi żaden chrześcijanin. „Taka jest moja zapłata, do której przywykłem, i za żadną inną nie pojedę, i co kogo obchodzi dziecko, którego jeszcze nikt nie zna? Najchętniej oddaje się je w tak młodym wieku, jeszcze nie nacieszywszy się nim ani nie natrudziwszy. Ja zaś lubię jak najmłodsze, im wcześniej mogę dziecko wychować po swojemu, tym lepiej je wykształcę, na to jednak wcale niepotrzebny mi chrzest i nie pragnę go”.

Wtedy Krystyna zmiarkowała, że nie będzie chciał zadowolić się żadną inną zapłatą; ale coraz bardziej krzepła w niej myśl: Czyżby to miał być jedyny chłop, którego nie da się oszukać?

Dlatego też powiedziała: Jeśli jednak ktoś chce zarobić, musi poprzestać na wynagrodzeniu, jakie można mu dać, obecnie zaś w żadnym domu nie ma nie ochrzczonego dziecka, i za miesiąc też go nie będzie, a do tego czasu buki powinny być zwiezione. Wówczas strzelec, nader ugrzeczniony, począł się przymilać i rzekł: „Wcale nie domagam się dziecka z góry. Z chwilą gdy mi przyrzekniecie, że dostarczycie pierwsze nie ochrzczone dziecko, jakie się urodzi, już będę zadowolony”. Bardzo się to Krystynie spodobało. Wiedziała, że przez dłuższy czas nie zanoszą się na żadne dziecko w posiadłości ich

panów. Gdy zatem strzelec dotrzyman swej obietnicy i buki zostaną posadzone, nie trzeba będzie mu w ogóle nic dawać, ani dziecka, ani niczego innego; odprawi się mszę na intencję obrony i opieki i wyśmieje się strzelca, pomyślała Krystyna. Wobec tego nader serdecznie podziękowała za korzystną propozycję i rzekła: Należy się nad nią zastanowić, i ona pomówi na ten temat z mężczyznami. „Cóż — odparł strzelec — nie ma tu już nic do zastanawiania się ani do obgadania. Zamówiłem was na dzisiaj i teraz domagam się odpowiedzi. Mam jeszcze robotę w wielu innych miejscach i jestem tu nie tylko z waszej przyczyny. Musisz mi odpowiedzieć tak albo nie, potem nie chcę już słyszeć o tym całym targu”. Krystyna chciała sprawę odwlec, gdyż niechętnie brała ją na siebie, chętnie posunęłaby się nawet do pieszczot, byle uzyskać zwłokę, ale strzelec nie miał ochoty i obstawał przy swoim. „Teraz albo nigdy!” mówił. Gdy jednak dobiją targu raptem o jedno dziecko, gotów jest każdej nocy zawieźć tyle buków na Barghegen, ile mu dostarczą przed północą na drogę do kościoła, tam będzie je odbierał. „No, ślicznotko, nie zastanawiaj się!” mówił, łaskawie klepiąc Krystynę po policzku. Wtedy jednak serce jej zakołatało, byłaby wolała decyzją obarczyć mężczyzn, aby później zwalić winę na nich. Lecz czas naglił, żadnego chłopca jako kozła ofiarnego nie było pod ręką, zresztą była świecicie przekonana, że jest sprytniejsza niż strzelec i chyba nasunie jej się jakiś pomysł, aby go okpić. Dlatego rzekła: Co do niej, to się zgadza, gdyby jednak później mężczyźni się sprzeciwili, nie potrafi temu zaradzić i niech nie szuka odwetu na niej. Obietnica, że uczyni, co w jej mocy, zadowalała go w zupełności, powiedział strzelec. Wówczas Krystyna jednak się cała wzdrygnęła w duchu i na ciele, teraz, sądziła, nadejdzie okropna chwila, gdy krwią ze swej krwi będzie musiała podpisać pakt. Tymczasem strzelec ułatwił jej sytuację, mówiąc: Od urodziwych kobiet nigdy nie domaga się podpisu, wystarczy mu całus. Przybliżył stulone spiczaste usta do twarzy Krystyny, i Krystyna nie mogła uciec, była znowu jakby urzeczona, sztywna i obezwładniona. Spiczaste usta dotknęły jej twarzy, miała wrażenie, że ogień ze spiczastego

żelaza poraził ją do szpiku kości, żółta błyskawica mignęła między nimi, ukazując Krystynie szatańską twarz strzelca radośnie wykrzywioną, i grzmot zadudnił nad ich głowami, jak gdyby niebo pękało.

Strzelec zniknął, a Krystyna stała skamieniała, zdawało jej się, że nogi jej wrosły głęboko w ziemię w owej strasznej chwili. Dopiero za jakiś czas odzyskała w nich władzę, ale w głowie szumiało jej i huczało, jak gdyby potężne wody zwały swoje fale z wieżatych turni do czarnej otchłani. Podobnie jak w łoskocie wód człowiek nie słyszy własnego głosu, tak Krystyna nie była świadoma własnych myśli w tym huk, jaki miała w głowie. Bezwiednie uciekła na górę i coraz gorętsze czuła pieczenie na policzku tam, gdzie dotknęły go usta strzelca; tarła policzek, myślała go, ale pieczenie nie ustępowało.

Nastała obłądna noc. Nad górami i lasami szumiało i świstało, jak gdyby duchy nocy urządzały weselisko w czarnych chmurach, wiatry przygrywały dziką muzyką do swych przeraźliwych płasów, błyskawice były pochodniami weselnymi, a grzmot błogosławieństwem ślubnym. Nigdy jeszcze nie zdarzyła się taka noc o tej porze roku.

W ciemnej dolinie ruch panował wokół dużego domu, i mnóstwo osób cisnęło się pod jego opiekuńczy dach. Zazwyczaj podczas burzy strach o swoje domostwo zagania rolnika pod własny dach, gdzie baczenie czuwając, dopóki burza trwa na niebie, pilnuje on i strzeże własnego dobytku. Tym razem jednak wspólna niedola była większa niż lęk przed burzą. Ta właśnie niedola zebrała ich w tym domu, który musieli mijać zarówno ci, co ich wichura wygnała z Münnebergu, jak i ci, co uciekli z Barhegen. Zapominając o grozie nocy wskutek własnej biedy, lamentowali i pomstowali na swoją niedolę. Na domiar złego rozpętało się jeszcze szaleństwo żywiołów. Konie i woły płoszyły się, ogłuszone, rozbijały furmanki, spadały ze skał, i niejednen ciężko ranny jęczał w wielkich boleściach, niejednen głośno krzyczał, kiedy mu nastawiano i bandażowano połamane kości.

W tę beznadziejność schronili się też w potwornym strachu także ci,

którzy widzieli strzelca, i z drzeniem opowiadali o jego powtórny przybyciu. Roztrzęsiony tłum słuchał tego, co mężczyźni opowiadali, cisnąc się z obszernej ciemnej izby w pobliże ogniska, które obsiedli już inni, a gdy wiatr przelatywał przez krokwie albo grzmot przetoczył się nad domem, tłum wydawał głośny okrzyk, mniemając, że strzelec wdziera się przez dach, aby ukazać się wśród nich. Kiedy jednak się nie zjawiał, kiedy strach przed nim mijał, kiedy stara bieda pozostawała, a jęki cierpiących rozlegały się głośniejsze, wówczas z wolna rodziły się myśli, jakie człowieka będącego w opałach tak lubią przyprawiać o utratę duszy. Zaczęli obliczać, o ileż więcej wszyscy oni są warci niż jedno jedyne nie ochrzczone dziecko, i coraz bardziej zapominali, że krzywda wyrządzona jednej duszy waży tysiąc razy więcej niż uratowanie kroci tysięcy istnień ludzkich.

Te myśli z wolna dochodziły do głosu i jako zrozumiałe już słowa zaczęły się wtrącać w bolesne jęki cierpiących. Dopytywano się o bliższe szczegóły o strzelcu, gniewano się, że nie dogadali się z nim, jak należy; nikogo nie porwał, a im mniej się go bać, tym mniej krzywdy robi ludziom. Może udałoby im się pomóc całej dolinie, gdyby serca nie uciekły w pięty. Wtedy mężczyźni zaczęli się usprawiedliwiać. Nie mówili, że z diabłem nie ma żartów, że ten, kto nadstawia mu ucha, niebawem musi mu oddać całą głowę, lecz wspominali o straszliwej postaci strzelca, o jego płomiennej bródce, ognistym piórku na kapeluszu, podobnym do wieży zamku, oraz o okropnym zapachu siarki, którego nie mogli znieść. Mąż Krystyny zaś, przyzwyczajony, że jego słowa liczyły się dopiero po potwierdzeniu ich przez żonę, zaproponował, aby spytali Krystynę, ona może im powiedzieć, czy ktoś mógłby to wytrzymać, a przecież wiadomo wszystkim, że jest odważną kobietą. Wtedy wszyscy obejrżeli się za Krystyną, ale nikt jej nie widział. Każdy myślał tylko o ocaleniu siebie, a nie o innych, i gdy obecnie siedział w bezpiecznym miejscu, uważał, że inni też tak siedzą. Dopiero teraz uprzytomnili sobie wszyscy, że nie widzieli Krystyny od tamtej potwornej chwili, i że nie weszła do domu. Wówczas mąż podniósł lament, a wraz z

nim cała reszta, gdyż zdawało im się, że tylko Krystyna mogłaby pomóc. Nagle otworzyły się drzwi i stanęła wśród nich Krystyna, włosy jej ociekały deszczem, na policzki wystąpiły wypieki, a oczy jej, jeszcze mroczniejsze niż zazwyczaj, pały niesamowitym ogniem. Przyjęto ją ze współczuciem, jakiego Krystyna zazwyczaj nie doznawała, i każdy pragnął jej powiedzieć, co myślał i mówił i jak martwiono się o nią.

Krystyna wkrótce zorientowała się, co to wszystko ma znaczyć, i maskując swój wewnętrzny żar szyderczymi słowami, wypomniała mężczyznom ich pochopną ucieczkę, i że nikt nie zatroszczył się o biedną kobietę ani nie obejrzał, co strzelec z nią zrobi. Wtedy wybuchła istna burza ciekawości, i każdy chciał pierwszy się dowiedzieć, co też strzelec z nią poczynał, a ci, co stali całkiem w tyle, stawali na palcach, aby lepiej słyszeć i zobaczyć kobietę, która zawarła bliższą znajomość ze strzelcem.

Nie powinna nic mówić, oznajmiła Krystyna na początku, nie zasłużyli na to; jako nietutejszej okrutnie jej dokuczano w dolinie, kobiety nadały jej brzydki przydomek, mężczyźni nigdy jej nie pomogli, i gdyby nie była lepsza niż wszyscy oraz gdyby nie miała więcej odwagi niż reszta, nie byłoby teraz ani pociechy, ani wyjścia z sytuacji. Krystyna jeszcze długą chwilę tak przemawiała, w ostrych słowach wypominając kobietom, że nigdy nie chciały jej uwierzyć, iż Jezioro Bodeńskie jest większe niż zamkowy staw, a im więcej ją proszono, tym zdawała się być twardsza, upierając się zwłaszcza przy tym, że to, co miałyby do powiedzenia, będzie jej poczytane za złe, i nikt nie poczuje się do wdzięczności, jeśli rzecz skończy się dobrze, gdy zaś zakończy się źle, ją obarczą całą winą i odpowiedzialnością.

Kiedy wreszcie całe zgromadzenie padło niemal na kolana przed Krystyną, błagając i prosząc, a ranni głośno krzyčili i nalegali, Krystyna jak gdyby zmiękła i zaczęła opowiadać, jak się oparła i zawarła umowę ze strzelcem; ale o całusie nie wspomniała ani o tym, jak parzył ją na policzku i jak jej w głowie zaszumiało. Powiedziała natomiast, co wymyśliła w swym przebiegłym umyśle. Najpilniejszą sprawą jest zawiezenie buków na

Barhegen; gdy raz znajdą się na górze, zawsze jeszcze można się zastanowić, co zrobić, najważniejsze, że do tego czasu, o ile jej wiadomo, nie zanosi się na żadne narodziny dziecka.

Wielu osobom ciarki przeszły po plecach przy tym opowiadaniu, ale wszystkim spodobało się, że jeszcze będzie sposobność, aby pomyśleć, co dalej zrobić.

Tylko jakaś młoda kobiednka płakała gorzko, tak że można było ręce umyć pod jej oczami, ale nic nie mówiła. Natomiast pewna stara, czcigodna niewiasta, wysoka, o twarzy, przed którą należało albo się skłonić, albo uciekać, wystąpiła na środek izby i rzekła: Bezceństwem byłoby rzecz pewną oprzeć na niepewnej i igrać z żydem wiecznym. Kto zadaje się ze Złym, nie odczepi się już od niego, a kto mu poda palec, tego zatrzyma on z ciałem i duszą. W tym nieszczęściu może pomóc tylko Bóg, kto zaś porzuca Go w niedoli, ten w niedoli zginie.

Tym razem jednak wzgardzono słowami starej niewiasty, a młodemu kobieciątku kazano umilknąć, płacz i biadolenie nic tu nie pomoże, potrzebna pomoc innego rodzaju, mówiono.

Wkrótce doszli do wniosku, że należy zaryzykować. W najgorszym wypadku nie może się to źle skończyć; nieraz już zdarzało się, że ludzie okpili najgroźniejsze duchy, a jeśli sami nic nie wymyślą, może jakiś duchowny znajdzie radę i wyjście z sytuacji. Ale w swej czarnej duszy podobno niejeden myślał, jak później wyznał: bardzo dużo pieniędzy i starań nie będzie ryzykował z powodu jednego nie ochrzczonego dziecka.

Kiedy zapadło postanowienie po myśli Krystyny, zdawało się, że wszystkie huragany świata spotkały się nad domem, że gnają armie dzikich jeźdźców: dom chwiał się w posadach, belki gięły się, drzewa roztrzaskiwały się o mury niczym włócznie na piersi rycerskiej. Ludzie w środku bledli, ogarnęła ich zgroza, ale nie zmienili postanowienia. O szarym świcie zabrali się do pracy.

Ranek był piękny i pogodny, burza i czarnoksiężskie gusła przeminęły,

siekiery cięły ostrzej niż kiedykolwiek, gleba była miękka, i każdy buk padał pod tym kątem, pod jakim się chciało, ani jedna furmanka nie roztrzaskała się, zwierzęta pociągowe były chętne i silne, a ludzie jakby niewidzialną ręką chronieni przed wypadkami.

Tylko jedna rzecz była dziwna. Wówczas poniżej Sumiswaldu nie było jeszcze ścieżki wiodącej w głąb doliny; znajdowały się tam mokradła, zasilane przez nie ujarzmioną Zieloną Rzekę, trzeba było jechać drogą przez wieś, koło kościoła. Chłopi jak przedtem prowadzili zawsze po trzy zaprzęgi naraz, aby wzajemnie wspierać się radą, siłą i końmi, i mieli już tylko przejechać przez Sumiswald, za wioską, drogą kościelną w dół, gdzie stała mała kapliczka; poniżej tej kapliczki mieli na równej drodze złożyć buki. Z chwilą gdy wyjechali na górę i po równym zbliżali się do kościoła, ciężar wozów nie malał, lecz zwiększał się coraz bardziej, musieli zaprzęgać tyle koni, ile tylko mieli, bić je nieludzko, sami przykładać ręce do szprych, na domiar złego płoszyły się najbardziej łagodne konie, jak gdyby coś niewidzialnego od strony cmentarza stawało im na drodze, a z kościoła dochodził głuchy dźwięk dzwonu, niemal jak zabłąkane echo dalekiej sygnaturki, tak że osobliwa zgroza ogarniała nawet najsilniejszych, i ludzie oraz zwierzęta za każdym razem drżeli, gdy podjeżdżali pod kościół. Gdy go już raz minęli, mogli spokojnie jechać dalej, spokojnie wyładować drzewa i spokojnie zabierać się do następnego ładunku.

Tegoż dnia wyładowano sześć buków w umówionym miejscu, nazajutrz rano sześć buków już rosło u góry na Barhegenie, a nikt w całej dolinie nie słyszał ani osi obracającej się wokół piasty, ani zwykłego pokrzykiwania furmanów, ani rżenia koni, ani jednostajnego porykiwania wołów. Ale sześć buków stało na górze, kto chciał, mógł je oglądać, i były to te same buki, które złożono w dok przy drodze, a nie inne.

Wtedy wielkie zdumienie zapanowało w całej dolinie, i obudziła się powszechna ciekawość. Zwłaszcza rycerze dziwili się, co za pakt chłopi zawarli i w jaki sposób buki są dostarczane na miejsce. Chętnie wydusiliby w

pogański sposób tajemnicę z włościan. Ale niebawem spostrzegli, że chłopci też nie wszystko wiedzą, gdyż sami byli nieco przerażeni. Ponadto Hans von Stoffeln nie zgodził się na to. Jemu nie tylko było wszystko jedno, jak drzewa dostają się na Barhegen, ale przeciwnie, byleby tylko buki znalazły się na górze, był zadowolony, że oszczędzi się chłopów. Zdawał sobie sprawę, że kpiny rycerzy popchnęły go do nierozważnego postępu, jeśli bowiem wieśniacy zginą, a pola będą nie uprawione, największą szkodę poniesie wówczas posiadłość; jednak co Hans von Stoffeln raz powiedział, tego nie cofał.

Dlatego też odpowiadało mu to, że chłopci postarali się o jakieś ułatwienia, i było mu najzupełniej obojętne, czy w zamian zapisali diabłu swoje dusze; bo cóż obchodziły go dusze chłopów, gdy śmierć zabierze ich ciała. Śmiał się teraz ze swoich rycerzy i chronił chłopów przed ich swawolą. Rycerze jednak chcieli sprawę wysledzić i wysłali giermków na przeszpiegi; znaleziono ich rano ledwo żywych w rowach, dokąd rzuciła ich jakaś niewidzialna ręka.

Wtedy dwaj rycerze wyruszyli w górę na Barhegen; byli to nie lada śmiałkowie, i gdzie należało stawić czoło w krainie pogan, tam je stawili. Rano znaleziono ich zmartwiałych na ziemi, a kiedy odzyskali mowę, wyznali, że powalił ich czerwony rycerz z ognistą kopią. Tu i ówdzie jakaś ciekawska kobiecina nie mogła się powstrzymać, aby o północy przez szparę albo szczelinę nie zerknąć na drogę w dolinie. Wówczas owiewał ją zjadliwy wiatr; twarz jej puchła, całymi tygodniami nie dostrzegało się nosa ani oczu, z trudem domyślano się ust. Wtedy ludziom przeszła chęć na wygląkanie, i niczyje już oko nie zerkało w stronę doliny, gdy ścieliła się nad nią północ.

Kiedyś jednak zebrało się pewnemu człowiekowi na skonanie, potrzebna mu była ostatnia pociecha, ale nikt nie śmiał iść po księdza, gdyż zbliżała się północ, a droga wiodła koło ścieżki kościelnej. Tedy niewinny chłopczyk, Bogu i ludziom miły, powodowany lękiem o ojca, pobiegł, nie proszony, w stronę Sumiswaldu. Kiedy doszedł do drogi kościelnej, zobaczył, jak tam buki wznoszą się z ziemi, każdy zaprzężony w dwie ogniste wiewiórki, a

przy nich dostrzegł na czarnym koźle zielonego człowieka. Miał ognisty bicz w rękę, ognistą brodę, a na kapeluszu chwiało się czerwone jak ogień piórko. Taki to zaprzęg wzbił się wysoko w powietrze, ponad wszystkie grzbiety górskie, szybki jak okamgnienie. Tyle chłopczyk zobaczył, i nikt mu krzywdy nie wyrządził.

Nie minęły nawet trzy tygodnie, jak na Barhegenie rosło już dziewięćdziesiąt buków, tworząc piękną cienistą aleję, gdyż wszystkie rozkrzewiły się bujnie, ani jeden nie usechł. Ale rycerze i również komtur nieczęsto przechadzali się aleją, bo za każdym razem ogarniała ich jakaś tajemna zgroza; najchętniej byliby się odrzekli od całej sprawy, lecz nikt jej nie przerwał. Każdy się pocieszał: jeśli stanie się coś złego, ktoś inny będzie winien.

Chłopów zaś cieszył każdy buk, który stanął na górze, gdyż z każdym bukiem rosła nadzieja, że zadowolą pana i oszukają strzelca; wszak nie miał od nich żadnego fantu, a gdy setne drzewo stanie na górze, co ich wówczas będzie obchodził strzelec? Na razie jednak nie byli jeszcze pewni swego; każdego dnia obawiali się, że spleta im jakiegoś figla i zawiedzie ich. W dzień świętego Urbana zawieźli mu ostatnie buki na drogę kościelną i zarówno starzy jak i młodzi mało spali tej nocy; prawie nie mogli uwierzyć, że strzelec bez dalszych korowodów oraz bez dutecka lub fantu skończy robotę.

— Następnego ranka na długo przed słońcem starzy i młodzi byli już na nogach, wszystkich nurtował ten sam, pełen ciekawości, strach; nie wiadomo było, czy nie czeka tam jakaś niespodzianka na tych, którzy chcieli oszukać strzelca.

W końcu pewien zuchwały pastuch, który sprowadził kozy z hali, nabrał odwagi, podskoczył i nie zastał buków ani też nie dojrzał żadnej zasadzki na placu. Jeszcze nie dowierzali; pastuch musiał przed nimi wyjść na Barhegen. Tam wszystko było w porządku, setka buków stała w rzędzie, ani jeden nie usechł, nikomu twarz nie spuchła, nikogo nic nie bolało. Wtedy serca

wesbrały radością i zaczęły się liczne pokpiwania z zielonego strzelca i z rycerzy. Po raz trzeci wysłali zuchwałego pastucha, przykazując mu, aby powiedział komturowi, że na Barhegenie wszystko w porządku, niechaj przyjdzie i policzy drzewa. Rycerzowi jednak zrobiło się nieswojo, i kazał im powiedzieć, aby się czym prędzej wynieśli z domu. Najchętniej byłby im polecił, aby znów usunęli całą aleję, lecz nie uczynił tego z uwagi na swoich druhów, aby nie mówili, że się boi; zresztą nie znał paktu chłopów i nie wiedział, kto mógłby się wtrącić w całą sprawę.

Kiedy pastuch wrócił z odpowiedzią, serca wesbrały jeszcze większą hardością; szalona młodzież tańczyła w alei, dzikie zawodzenia rozlegały się od przełęczki do przełęczki, od góry do góry, odbijając się echem o mury zamkowe Sumiswaldu. Rozważni starsi obywatele ostrzegali i prosili, ale harde serca nie zważają na przestrogi rozważnej starszyny; a gdy potem dojdzie do nieszczęścia, powiadają, że starzy ściągnęli je swoją trwogą. Jeszcze nie nadszedł czas, kiedy młodzi przekonują się że zuchwalstwo to wywoływanie wilka z lasu. Radosna wrzawa rozprzestrzeniała się nad górami i lasami we wszystkich domach, i gdzie w kominie wędził się jeszcze bodaj skrawek mięsiwa, gotowano go, a gdzie jeszcze uchowała się w rynience grudka masła, pieczono ciasto.

Mięso zostało zjedzone, babeczki zniknęły, dzień minął, i na niebie wschodził inny dzień. Coraz bardziej zbliżał się czas, kiedy pewna niewiasta miała urodzić dziecko; a im był bliższy, tym natarczywiej wracał strach, że strzelec ponownie się zjawi, zażąda tego, co mu się należy, albo nawarzy im piwa.

Któż zmierzy rozpacz owej młodej kobiety, która miała rodzić? W całym domu rozlegał się lament, ogarniając po kolei wszystkich członków rodziny, a nikt nie umiał nic poradzić, natomiast wszyscy wiedzieli, że nie należy ufać temu, z kim się zadano. Im bliższa była fatalna godzina, tym bardziej biedna kobiecinka garnęła się do Pana Boga, obejmując nie tylko ramionami, lecz również ciałem i duszą, i całym sercem Matkę Przenajświętszą, prosząc o

opiekę za sprawą błogosławionego Syna. I coraz jaśniej zdawała sobie sprawę, że w życiu i śmierci, w każdej potrzebie największa pociecha jest w Bogu, bo tam, gdzie jest Bóg, nie może przebywać Zły, i nie ma on żadnej władzy.

Coraz silniej umacniała się w jej duszy wiara, że gdyby kapłan Pana z Najświętszym Sakramentem, świętym Ciałem Zbawiciela, był obecny przy porodzie, uzbrojony w skuteczne zaklęcia, żaden zły duch nie odważyłby się zbliżyć, i wówczas kapłan mógłby noworodka opatrzyć sakramentem chrztu, na co ówczesny obyczaj pozwalał; wówczas biedne dziecię na zawsze byłoby wyzwolone z niebezpieczeństwa, na jakie naraziło je zuchwalstwo ojca. To przekonanie zrodziło się również u innych, i serca ich bolały nad rozpaczą młodej kobiety, ale lękali się wyznać duchownemu swój pakt z szatanem, nikt od tamtej pory nie był u spowiedzi i nie wyznał mu prawdy. Duchowny był nader pobożnym mężem, nawet zamkowi rycerze nie pozwalali sobie na żarty z niego, bo on mówił im prawdę w oczy. Gdy zaś rzecz stanie się faktem dokonanym, ksiądz już nie będzie mu mógł przeszkodzić, myśleli chłopcy, teraz jednak nikt nie chciał być pierwszym, który go o tym powiadomi, niechybnie sumienie mówiło im, dlaczego.

Wreszcie lament poruszył serce pewnej kobiety; pobiegła do księdza i wyjawiała mu cały układ i pragnienie biednej niewiasty. Pobożny mąż ogromnie się przeraził, ale nie tracił czasu na puste słowa, śmiało stanął do walki o biedną duszę z potężnym przeciwnikiem. Był on jednym z tych, którzy nie lękają się najbardziej nawet zaciętego boju, ponieważ chcą zostać uwieńczeni koroną żywota wiecznego i ponieważ doskonale wiedzą, że nikt nie zostanie ukoronowany, jeśli nie będzie prawdziwie walczył.

Wokół domu, w którym niewiasta czekała swej godziny, zakreślił święconą wodą święty krąg, jakiego złym duchom nie wolno przekroczyć, pobłogosławił próg, całą izbę, i kobieta spokojnie porodziła, i duchowny bez przeszkód ochrzcił dziecko. Również na dworze w dalszym ciągu panował spokój, na czystym niebie jarzyły się jasne gwiazdy, lekki wietrzyk igrał w

drzewach. Jedni rzekomo słyszeli jakiś rżący śmiech z daleka, inni natomiast uważali, że były to tylko sówki na krańcu lasu.

Wszyscy zaś, którzy byli w domu, cieszyli się ogromnie, cały strach zniknął, na zawsze, jak im się zdawało; skoro strzelca raz wywiedli w pole, będą to mogli stale robić w ten sposób.

Przygotowano wielką biesiadę, prosząc gości zewsząd. Daremnie kapłan Pana przestrzegał przed ucztowaniem i weseleniem się, upominał, aby trwożyli się i modlili, bowiem nieprzyjaciel jeszcze nie został pokonany, Bóg nie przebłagany. Ma w duszy wrażenie, że nie powinien im nałożyć żadnej pokuty, gdyż zbliża się pokuta potężna i ciężka z samej ręki Boga. Ale nie słuchali i chcieli go uspokoić jadłem i napitkiem. Wobec tego kapłan odszedł zasmucony, modląc się za tych, którzy nie wiedzą, co czynią, i przygotowywał się, aby jako oddany pasterz modłami i postem walczyć o powierzoną mu trzodę.

Wśród wesoło ucztujących siedziała również Krystyna, ale dziwnie cicha, z wypiekami na policzkach, z posępnymi oczami, jej twarz osobliwie drgała. Krystyna była obecna przy porodzie jako doświadczona położna, z zuchwałym sercem, bez lęku posłużyła za kumę przy nagłych chrzcinach, ale kiedy ksiądz kropił dziecko wodą i chrzczył je w imię trzech najwyższych Osób Boskich, Krystyna miała wrażenie, że raptem ktoś przyciska jej rozpalone żelazo w miejscu, gdzie pocałował ją strzelec. W nagłym przerażeniu wzdrygnęła się, omal nie upuszczając dziecka, i od tej chwili ból nie zelżał, lecz stawał się z godziny na godzinę coraz bardziej palący. Z początku siedziała cicho, tłumiąc ból, i w skrytości biła się z ciężkimi myślami w swej rozbudzonej duszy, ale coraz częściej sięgała ręką ku piekającej plamie, na której zdawała się siedzieć jadłowita osa, wbijająca jej rozpalone żądło aż do szpiku kości. Kiedy nie było żadnej osy do przepędzenia, a klucia stawały się coraz dotkliwsze, myśli coraz straszniejsze, Krystyna zaczęła pokazywać swój policzek, pytając, co na nim widać, i dopytywała się wciąż od nowa, ale nikt nic nie widział i wkrótce nikt

nie miał ochoty zawracać sobie głowy oglądaniem jej policzka. W końcu uprosiła jeszcze jakąś starą babę; właśnie zapał kur i świtał ranek, gdy starucha dostrzegła na policzku Krystyny prawie niewidoczną plamę. To nic takiego, orzekła, na pewno przejdzie, i poszła dalej. I Krystyna chciała się pocieszyć, że to nic i że niebawem przejdzie, ale cierpienie nie ustępowało i drobny punkcik rósł nieznacznie, wszyscy go spostrzegli i pytali: Co to takiego czarnego na jej twarzy? Nic sobie przy tym złego nie myśleli, ale te pytania były jak ciosy nożem w serce Krystyny i znów budziły niedobre myśli. Wciąż i wciąż musiała myśleć o tym, że w to samo miejsce strzelec ją pocałował i że ten sam żar, który wtedy jak piorun poraził jej ciało, szaleje w nim obecnie, goreje i je trawi. Odszedł ją sen, jedzenie miało smak ognia, niespokojnie biegała to tu, to tam, szukając pociechy i nie znajdując jej, gdyż ból wciąż się nasilał i czarny punkcik stawał się większy i czarniejszy, wybiegały z niego pojedyncze czarne pasemka, a bliżej ust zdawała się tworzyć jakaś wypukłość.

Tak cierpiała i biegała Krystyna niejedną długą dzień i niejedną długą noc i nikomu nie wyjawiała lęku swojego serca i tego, co uczynił swoim pocałunkiem strzelec. Gdyby jednak wiedziała, w jaki sposób może się pozbyć tej udręki, oddałaby wszystko w niebie i na ziemi. Z natury była kobietą zuchwałą, ale teraz oszalała z wściekłego bólu.

I znów się zdarzyło, że pewna kobieta spodziewała się dziecka. Tym razem nie lękano się szczególnie, ludzie byli dobrej myśli; skoro w porę postarają się o księdza, uważali, że mogą sobie kpić ze strzelca. Tylko Krystynie tak się nie zdawało. Im bliższy był dzień porodu, tym straszliwszy stawał się pożar na jej policzku, tym potężniej rozprzestrzeniał się czarny punkt, wyciągał wyraźnie nogi, wypuszczał króciutkie włoski, na jego grzbiecie pojawiły się błyszczące kropki i pasemka, a wypukłość zamieniła się w głowę, z której lśniło i zjadliwie błyskało jak gdyby dwoje oczu. Głośno zakrzyknęli wszyscy, gdy ujrzeli jadowitego pajaka krzyżaka na twarzy Krystyny, i uciekali pełni przerażenia i zgrozy, przekonawszy się, jak

mocno siedzi na jej twarzy i że z niej wyrósł. Rozmaicie ludzie gadali, jeden radził to, drugi tamto, ale nikt nie żałował Krystyny, cokolwiek by to było, wszyscy omijali ją i uciekali przed nią, gdzie tylko się dało. Im bardziej zaś ludzie jej unikali, tym bardziej Krystynę ciągnęło do nich, jeździła od domu do domu; zdawała sobie sprawę, że diabeł upomina się u niej o obiecane dziecko, i aby ludzi namówić na ofiarę, jeździła za nimi w piekielnym strachu. Ale tamtych to mało obchodziło; to, co Krystynę dręczyło, ich nie bolało; jeśli cierpiała, to ich zdaniem sama była temu winna, a gdy już nie zdołali jej się wymknąć, mówili do niej: „To ty się postaraj! Nikt dziecka nie obiecywał, toteż nikt dziecka nie da!” Wściekłymi słowami nacierała na własnego męża. Mąż również uciekał jak inni, a gdy już nie mógł żadną miarą uciec, uspokajał Krystynę z zimną krwią, że to przejdzie, że jest to znamię, jakie miewa wiele osób, gdy przestanie wzbierać, ból się skończy i łatwo będzie je wtedy przewiązać.

Tymczasem jednak ból nie ustawał, każda noga była pożogą piekieł, odwłok pająka samym piekłem, a gdy nadeszła oczekiwana godzina tamtej kobiety, Krystyna miała wrażenie, że zalewa ją morze płomieni, że rozpalone noże wwiercają się w szpik kostny, że ogniste wichry wieją w jej mózgu. Pająk zaś nabrzmiewał, prężył się, a spomiędzy krótkiej szczeciny zjadliwie łypały wyłupiaste oczy. Gdy Krystyna w swej gorejącej udreńce nigdzie nie napotkała współczucia, a rodzącą zastała bacznie strzeżoną, wypadła jak obłąkana na drogę, którą miał nadejść duchowny.

Szedł szybkim krokiem wzdłuż zbocza góry, w towarzystwie dziarskiego kościelnego; upalne słońce oraz stroma ścieżka nie hamowały kroku, gdyż chodziło o ocalenie duszy, o odwrócenie wielkiego nieszczęścia, i kapłan, wracający od daleko mieszkającego chorego, bał się, że przybędzie za późno. Zrozpaczona Krystyna rzuciła mu się do nóg, objęła go za kolana, błagała o wybawienie jej z piekła, o ofiarę z dziecka, które jeszcze nie zna życia, a pająk puchł coraz bardziej, skrząc się okropną czernią w zaczerwienionej twarzy Krystyny, i straszliwym wzrokiem łypał na święte przybory i

emblematy kapłana. Ten zaś szybko odsunął Krystynę na bok i zakreślił święty znak krzyża; niechybnie dostrzegł tu nieprzyjaciela, ale poniechał walki dla ratowania duszy. Krystyna jednak zerwała się, pognąła za nim i siłą próbowała go zatrzymać, lecz mocna ręka kościelnego nie dopuściła rozwścieczonej kobiety do duchownego, tak że jeszcze w porę mógł uchronić dom, poświęconymi dłońmi przyjąć dziecko i złożyć je w ręce Tego, którego piekło nigdy nie pokona.

Krystyna tymczasem stoczyła potworny bój na dworze. Chciała dziecko nie ochrzczone dostać w swoje ręce, chciała wtargnąć do środka, ale silni mężczyźni odepchnęli ją. Porywisty wiatr walił w dom, sine błyskawice migotały wokół niego, ale była nad nim ręka Pana: dziecko zostało ochrzczone, i Krystyna daremnie krążyła bezsilna dokoła domu. Nękana coraz piekielniejszymi cierpieniami, wydawała z siebie dźwięki niepodobne do dźwięków z piersi człowieka; było trzęsło się po stajniach i zrywało postronki, dęby w lesie zaszumiały z przerażenia.

W samym domu zaś zapanowała radość z powodu ponownego zwycięstwa, bezsilności strzelca, daremnego szamotania się jego pomocnicy; Krystyna zaś leżała na dworze, nieludzką męką powalona na ziemię, i w jej twarzy zaczęły się bóle porodowe, jakich nie zaznała, jeszcze żadna położnica na świecie, a pająk na policzku nabrzmiwał coraz bardziej i coraz płomienniej wżerał się w jej kości.

Wtem zdało się Krystynie, że twarz nagle pęka, jak gdyby rozdziły się z niej rozżarzone węgle i budziły do życia, mrowiąc się na twarzy, na rękach i nogach, jak gdyby wszystko ożywało i rozżarzone mrowiło się po całym ciele. W sinym blasku pioruna spostrzegła na sobie długonogie, jadowite, niezliczone czarne pajęczki, rozbiegające się po jej ciele, wybiegające w noc, a za znikającymi biegły inne, długonogie, jadowite, niezliczone. Wreszcie nie zobaczyła już następnych, pożoga na twarzy ustąpiła, pająk skłęsnął, stawał się znów niemal niewidzialnym punkcikiem i gasnącym okiem patrzył za swoim piekielnym pomiotem, jaki zrodził i wysłał na dowód, jak to bywa,

gdy ktoś sobie żartuje ze strzelca.

Wyczerpana niczym położnica, Krystyna powlokła się do domu; jakkolwiek żar na twarzy mniej pałał, nie zelżał jednak żar w sercu, jakkolwiek zmęczone dało pragnęło spokoju, strzelec nie dawał jej spokoju: kogo raz posiadzie, tego nie wypuści.

W domu zaś ludzie wiwatowali i cieszyli się, i długo nie słyszeli, że bydlęta ryczą i szaleją po oborach. Wreszcie jednak poderwali się, aby zobaczyć, co się dzieje, i wrócili trupio bladzi, przynosząc wieść, że najładniejsza krowa padła, a reszta szaleje i miota się tak, jak jeszcze nigdy nie widzieli. Coś tu nie w porządku, dzieje się coś dziwnego. Wtedy radosna wrzawa umilkła, wszyscy pobiegli zajrzeć do bydła, których ryk rozlegał się nad górami i doliną, ale nie wiedzieli, jak temu zaradzić. Próbowano świeckich i kościelnych praktyk celem zażegnania uroku, ale wszystko było daremne; zanim jeszcze nastał świt, śmierć powaliła bydło w oborach. Gdy zaś tu zapadło milczenie, rozległy się ryki ówdzie i gdzie indziej; ci, co przebywali tam, słyszeli, jakie nieszczęście wdarło się do ich stajen, jak żałośnie bydło w okrutnym strachu wzywa swoich panów na pomoc.

Pospieszyli do domów, jak gdyby płomienie buchały z dachów, ale pomocy nie nieśli; zarówno tu, jak i tam śmierć kosiła bydło, biadanie ludzi i zwierząt napełniło góry i przełęcz, i słońce, które tak wesoło opuściło dolinę, ujrzało nieszczęście. Gdy zaświeciło, ludzie wreszcie zobaczyli, że w stajniach, gdzie zwierzęta padły, roi się od mnóstwa czarnych pajaków. Łaziły po zwierzętach, po paszy, i czegokolwiek dotknęły, było zatrute, a co żyło, zaczęło szaleć i wkrótce padało. Żadnej stajni opanowanej przez te pająki nie udało się oczyścić, zdawało się, że wyrastają spod ziemi; nie udało się też uchronić ani jednej, gdzie ich jeszcze nie było, bo nagle zaczynały wyłazić ze wszystkich ścian, całymi chmurami spadać z powały. Wypędzano bydlęta na pastwisko, gnając je jedynie w paszczę śmierci. Z chwilą gdy krowa stanęła na pastwisku, ziemia zaczynała ożywać, wykwitwały z niej czarne, długonogie pająki, potworne kwiaty alpejskie, wdrapywały się na

bydłęta, i straszliwie żalosny krzyk rozbrzmiewał od gór ku dolinie. A wszystkie te pająki podobne były do pająka na twarzy Krystyny, jak podobne są dzieci do matki, i nigdy jeszcze takich nie widziano.

Porykiwanie biednych zwierząt dotarło także do zamku, i niebawem nadeszli pasterze, oznajmiając, że krowy padły od jadowitych pająków, i komtur z narastającym gniewem dowiadywał się, że ginie trzoda po trzodzie, dowiadywał się, że zawarto pakt ze strzelcem, że oszukano go po raz drugi i że pająki, niby dzieci matkę, przypominają pająka na twarzy Lindauerki, która zawarła przymierze ze strzelcem, sama, nigdy dokładnie nie wypowiadając się na ten temat. Wtedy Hans von Stoffeln, srodze rozsierzony, ruszył konno do wsi i huknął na biedaków, że nie chce przez nich tracić trzody po trzodzie; muszą mu powetować szkodę, jaką poniesie, a tego, co przyrzekli, muszą dotrzymać, muszą ścierpieć skutki tego, co dobrowolnie uczynili. Nie chce być poszkodowany z ich przyczyny, a jeśli będzie, oni odpokutują za to tysiackrotnie. Niech się mają na baczności. Tak powiedział, nie troszcząc się o to, czego od nich wymagał, i ani mu w głowie nie powstało, że sam ich ku temu pchnął, a teraz wini ich za to, co uczynili.

Wielu osobom już zaczynało świtać, że pająki są plagą Złego, upomnieniem, aby dotrzymać umowy, i że Krystyna powinna coś bliższego na ten temat wiedzieć, że nie powiedziała im wszystkiego, co uzgodniła ze strzelcem. Obecnie znowu drżeli przed nim, przestali go wyśmiewać, drżeli przed świeckim panem: jeśli obu zadowolą, co powie duchowny pan, czy pozwoli na to i czy będą mogli to jakoś odpokutować? Wśród takich obaw zebrali się najbardziej szacowni spośród nich w samotnej szopie, i Krystyna musiała przyjść i bez owijania w bawełnę wyznać, co właściwie ustaliła.

Stawiła się, oszalała, mściwa, ponownie dręczona pęczniejącym pająkiem.

Gdy zobaczyła trwogę mężczyzn i że nie ma kobiet, prosto z mostu opowiedziała, co ją spotkało: jak strzelec szybko wziął ją za słowo i jako fant dał całusa, na który nie zwróciła większej uwagi niż na inne. Jak na tym samym miejscu wśród piekielnych mąk wyrósł pająk w chwili, kiedy

chrzczono pierwsze dziecko. Jak ów pajak — właśnie kiedy chrzczono drugie dziecko i okpiono strzelca — wśród straszliwych bólów zrodził mrowie pajaków; bowiem strzelec nie pozwala bezkarnie wodzić się za nos, jak się o tym w śmiertelnych boleściach przekonała. Teraz pajak znów rośnie, cierpienia wzmagają się, i jeśli następnego dziecka nie odda się strzelcowi, nie wiadomo, jak okropna nastanie plaga, jak okropna będzie zemsta rycerza.

Tyle było słów Krystyny, a serca mężczyzn zdrząły i długą chwilę nikt nie chciał zabrać głosu. Z czasem wyrwały się ze ściśniętych trwogą krtani urywane słowa; gdy je poskładano, okazało się, że głoszą to samo co Krystyna, ale nikt z osobna nie wyraził zgody na jej propozycję. Tylko jeden z mężczyzn wstał i powiedział bez ogródek: Wydaje mu się, że najlepiej będzie Krystynę zabić, gdy się ją raz uśmierci, strzelec może czepiać się zmarłej i nie będzie już miał dostępu do żyjących. Wówczas Krystyna zaśmiała się dziko, podeszła do niego i rzekła: Niech uderzy, nie sprzeciwia się, ale strzelec pragnie nie jej, lecz nie ochrzczonego dziecka, i tak jak napiętnował ją, może równie dobrze napiętnować rękę, która jej wyrządzi krzywdę. Wtedy drgnęła ręka człowieka, który przemówił, usiadł i w milczeniu słuchał, jak tamci się naradzają. I w oderwanych słowach, nie mówiąc wszystkiego do końca, lecz tylko coś niecoś, co niewiele znaczyło, uradzili, iż należy poświęcić następne dziecko, ale nikt nie chciał do tego przyłożyć ręki, nikt nie chciał zanieść dziecka na drogę kościelną, gdzie składano buki. Nie cofnęli się przed użyciem diabła dla dobra ogółu, jak mniemali, ale zawierać z nim osobistej znajomości nikt nie pragnął. Wówczas zgłosiła się Krystyna, bowiem gdy ktoś raz miał do czynienia z diabłem, za drugim razem chyba już niewielką poniesie szkodę. Doskonale wiedzieli, kto ma urodzić następne dziecko, jednak nie wspomniano o tym, a ojciec dziecka był nieobecny. Porozumiewszy się słowami i bez słów, rozeszli się do swoich domów.

Młoda niewiasta, która owej nocy zgrozy, kiedy Krystyna przyniosła odpowiedź strzelca, lękała się i płakała, nie wiedząc wówczas dlaczego,

spodziewała się obecnie drugiego dziecka. Poprzednie zdarzenia nie napawały jej otuchą i ufnością, jej serce przytłaczała niewysłowiona trwoga, której nie mogła odeprzeć ani modlitwą, ani spowiedzią. Wydawało jej się, że otacza ją podejrzane milczenie, nikt już nie mówił o pająku, podejrzane zdawały się wszystkie oczy, jakie spoczywały na niej, jak gdyby ludzie obliczali godzinę, w której zdobędą jej dziecko i prześlą ją diabła.

Czuła się niezmiernie samotna i opuszczona w obliczu otaczającej ją niesamowitej siły, nie mając w nikim oparcia poza swoją teściową, kobietą bogobojną, która była po jej stronie, ale cóż może zdziałać stara niewiasta wobec rozjuszonej zgrai? Miała męża, który wprowadził wszystko przyrzekał, ale jakżeż rozpaczał nad swoim bydłem, a jak mało myślał o strachu biednej kobiety!

Duchowny obiecał przybyć jak najszybciej, i to natychmiast, gdy tylko zostanie wezwany, ale co mogło się zdarzyć od chwili, kiedy pośle się po niego, do momentu jego nadejścia, a biedna kobiecina nie miała żadnego zaufanego posłańca prócz własnego męża, który miał być jej opieką i strażą, a jeszcze na domiar złego mieszkała w jednym domu z Krystyną, ich mężowie byli braćmi, żadnych własnych krewnych nie miała, przybyła do tego domu jako sierota! Można sobie wyobrazić serdeczną trwogę biedaczki; jedynie w modlitwie z pobożną teściową odzyskiwała odrobinę ufności, która natychmiast znów zniknęła, gdy napotykała złe oczy.

Tymczasem zaraza, wciąż jeszcze panowała, podtrzymując strach. Co prawda tylko tu i ówdzie padała jakaś sztuka bydła, tu i ówdzie pokazywały się pająki. Ale w chwili gdy u kogoś trwoga ustępowała, gdy ktoś pomyślał albo głośno powiedział: „Nieszczęście samo mija, i należy się dobrze zastanowić, zanim zgrzeszy się wobec dziecka”. Piekielne męki Krystyny wracały, pająk wzdykał się, a śmierć z ponowną wściekłością nawiedzała trzodę tego człowieka, który tak myślał lub mówił. Nie dość na tym, im bardziej zbliżała się spodziewana godzina, tym bardziej chłopcy czuli się nieszczęśliwi, ponieważ zdawali sobie sprawę z tego, że muszą dokładnie

omówić, w jaki sposób zdobyć z całą pewnością i bez ryzyka dziecko. Najbardziej obawiali się męża, a wzdragali się przed użyciem siły wobec niego. Wtedy Krystyna podjęła się uzyskać jego zgodę, i rzeczywiście ją uzyskała. Nie chciał nic o całej sprawie wiedzieć, pragnął spełnić wolę swej żony i pójść po księdza, ale nie spiesząc się, a o to, co stanie się podczas jego nieobecności, nie będzie pytał; w taki oto sposób pogodził się z swoim sumieniem; z Bogiem pojedna się przez złożenie ofiary na mszę, a dla duszy biednego dziecka może też jeszcze da się coś zrobić, pomyślał, może bogobojny duchowny znowu wyrwie je diabłu, wówczas wydobędą się z tego kłopotu, zrobią, co do nich należy, a jednak wywiodą Złego w pole. Tak sobie myślał, a w każdym razie niech się dzieje, co ma być, on sam nic nie zawini w całej tej sprawie, skoro nie przyczyni się do niej własnoręcznie.

Tak więc biedna kobiecina była sprzedana i nic nie wiedziała o tym, z niepokojem czekała na ratunek; rada ludzi postanowiła zadać jej cios w serce, a co postanowiono w górze, to jeszcze kryły chmury, zasłaniające przyszłość.

Był to rok burzowy, i nadeszła pora żniw; zmobilizowano wszystkie siły, aby w godzinach pogody zwieźć ziarno pod bezpieczny dach. Nastąpiło upalne południe, chmury wysunęły zza ciemnych gór mroczne głowy, jaskółki trwożnie fruwały koło dachu, i biednej kobiecie zrobiło się ciasno i straszno samej w domu, gdyż nawet babka była w polu, aby pomagać, nie tyle czynem, ile chęciami. Wtem obosieczny ból przeszył kobietę do szpiku kości, w oczach jej się zaćmiło, bo nadeszła właśnie jej godzina, a była całkiem sama. Strach wygnał ją z domu, ociężała ruszyła w stronę zagonu, lecz niebawem musiała usiąść; chciała krzyknąć, ale głos nie mógł wydobyć się ze ściśniętej piersi. Był przy niej maleńki chłopczyk, który dopiero uczył się chodzić i jeszcze nigdy na własnych nóżkach nie był w polu, lecz wyłącznie na rękach matki. Owego to chłopczyka biedna niewiasta musiała użyć jako swego gońca, nie wiedząc, czy znajdzie zagon, czy nóżki zanoszą go tak daleko. Chłopczyk jednak widział, w jakim matka jest strachu, biegł więc i padał, i znów wstawał, a kot gonił jego królika, gołębie i kury

zabiegały mu drogę, rozbawiony baranek skakał za nim, ale chłopczyk nic z tego wszystkiego nie widział, tylko nie ociągając się wiernie przekazał wiadomość.

Babka zjawiała się bez tchu, ale mąż zwlekał, mówiąc, że wyładuje tylko jeszcze furę. Minęły wieki, zanim w końcu nadszedł, i znowuż minęły wieki, zanim wreszcie wolno ruszył w daleką drogę, a biedna kobieta w śmiertelnym lęku czuła, że jej godzina zbliża się coraz szybciej i szybciej.

Krystyna, która była na polu, przyglądała się temu wszystkiemu uradowana. Słońce wprawdzie mocno przypiekało podczas znoej pracy, ale pajak niemal przestał doskwierać i robota wydawała jej się lekka w ciągu następnych godzin. Wesoło pracowała i nie spieszyła się z powrotem do domu, wiedząc, jaki powolny jest goniec. Dopiero kiedy załadowano ostatni snop i porywy wiatru zapowiedziały nadciągającą burzę, Krystyna pośpieszyła po swą zdobycz, pewną, jak mniemała. Wracając machała znacząco spotykanym znajomym; ci zaś odpowiadali skinieniem głowy i szybko szli z nowiną do domu, gdzie niejedne nogi się ugięły i niejedna dusza zapragnęła pomodlić się w mimowolnej trwodze, ale nie umiała.

W izdebce biedna niewiasta pojękiwała, minuty wydłużały się w wieczność, a babka ani modłami, ani pocieszeniem nie umiała uśmierzyć jej biadań. Dokładnie zamknęła izdebkę i ciężkimi sprzętami zastawiła drzwi. Dopóki były same w domu, czuły się jeszcze jako tako bezpiecznie, ale kiedy zobaczyły wracającą Krystynę, kiedy posłyszały jej skradający się krok pod drzwiami, i z zewnątrz doszedł jeszcze niejeden inny krok i sekretny szept, kiedy nie zjawiał się kapłan ani żaden inny oddany człowiek, a chwila na ogół tak upragniona zbliżała się coraz bardziej, można sobie wyobrazić, w jakim strachu pogrążone były biedne kobiety, niczym we wrzącym oleju, bez pomocy i bez żadnej nadziei. Słyszały, że Krystyna nie odchodzi od progu; biedna kobieta czuła ogniste oczy swojej dzikiej szwagierki przez drzwi, paliły ją one do szpiku kości. Wtem w izdebce rozległo się pierwsze kwilenie niemowlęcia, uciszone tak szybko, jak tylko to było możliwe, ale za późno.

Drzwi rozwarły się od wściekłego, zawczasu przygotowanego pchnięcia, i niczym tygrys na swą zdobycz Krystyna rzuca się na biedną położnicę. Staruszka, odpierająca szturm, pada na ziemię, położnica w świętej trwodze matczynej chce się zerwać, ale słabe ciało osuwa się, dziecko jest w rękach Krystyny; straszliwy krzyk wydobywa się z serca matki, po czym omdlenie spowija ją swoim czarnym cieniem.

Gdy Krystyna wyszła z porwanym dzieckiem, mężczyzn ogarnęła zgroza i przerażenie. Zaświtało im przecucie jakiejś okrutnej przyszłości, ale nikt nie miał odwagi przeszkodzić temu uczynkowi, i strach przed plagami diabła był silniejszy niż bo—jaźń Boga. Tylko Krystyna nie czuła strachu, twarz jej jaśniała, jak jaśnieje twarz zwycięzcy po przebytej walce, miała wrażenie, że pająk pieści ją łagodnym muskaniem; błyskawice migające w drodze do ścieżki kościelnej zdawały się jej wesołymi światłami, grzmot tkliwym pomrukiem, pomstą dyszący wicher urokliwym zefirkiem.

Hans, mąż biednej kobiety, aż nadto dobrze dotrzymywał swej obietnicy. Wolno szedł swoją drogą, niespiesznie obejrzał każdy zagon, oglądał się za każdym ptakiem, obserwował, jak ryby wyskakują z potoku i łapią komary przed nadchodzącą burzą. Potem przyspieszył kroku, szedł szybko, sadził niemal skokami; coś go popędzało, coś jeżyło mu włosy na głowie — było to sumienie, które mu mówiło, na co zasługuje ojciec, który zdradza żonę i dziecko; była to miłość, jaką bądź co bądź żywił do żony i do owocu jej ciała. Za chwilę jednak znów go coś powstrzymywało, i to było silniejsze niż pierwsze uczucie — był to lęk przed ludźmi, lęk przed diabłem i umiłowanie tego, co ów mógł mu zabrać. Wtedy szedł znowu wolniej, zupełnie wolno, jak człowiek, który idzie po raz ostatni, który idzie ku miejscu swej kaźni. Może zresztą tak było, wszak niejedyn człowiek nie wie, że są to jego ostatnie kroki; gdyby o tym wiedział, nie stawiałby ich albo też urządziłby się jakoś inaczej.

Tak więc zrobiło się późno, zanim doszedł do Sumiswaldu. Nad Miinnebergiem gnały czarne chmury, padały ciężkie krople deszczu, ginące

w pyle, i sygnaturka na wieży głuchym głosem jęła nawoływać ludzi, aby pomyśleli o Bogu i uprosili go, iżby nie zamieniał burzy w sąd nad nimi. Duchowny stał przed swoim domem, odziany do wyjścia, aby być gotowym, gdy Pan, nadciągający nad jego głową, wezwie go do konającego albo do palącego się domu czy też gdziekolwiek indziej. Kiedy zobaczył Hansa, domyślił się, że czeka go trudne zadanie, owinął się swoją szatą i dał znać dzwoniącemu kościelnemu, aby znalazł innego dzwonnika, a sam mu towarzyszył w wyprawie. Tymczasem poczęstował Hansa rzeźwiącym trunkiem, tak dobroczynnym po szybkim biegu w upale, trunkiem, którego Hans wcale nie potrzebował, ale ksiądz nie domyślał się podstępu u tego człowieka. Hans pokrzepiał się wolno. Niespiesznie przybył kościelny i chętnie przyłączył się do poczęstunku, jakim go Hans uraczył. Duchowny stał przed nimi gotowy do drogi, gardząc wszelakim napojem, niepotrzebnym mu w takiej wyprawie i walce. Nie chciał odrywać ich od dzbana, jaki postawił, nie chciał naruszać praw gościa, ale znał prawo wyższe niż prawo gościnności, i to wolne popijanie rozgniewało go srodze.

Jest gotowy, odezwał się w końcu, czeka nań niewiasta w potrzebie, na którą czyha straszliwa zbrodnia, i między tą niewiastą a zbrodnią musi stanąć on ze świętym orężem, dlatego niech nie zwlekają, lecz zbierają się, na górze z pewnością jeszcze znajdzie się coś dla tego, kto nie ugasi pragnienia tu na dole. Wtedy Hans, mąż czekającej niewiasty, rzeki, że nie ma co tak bardzo się spieszyć, u jego żony każdy poród przebiega ciężko. Wtem błyskawica mignęła przez izbę, aż wszystkich oślepiło, i grzmot rozległ się nad domem, aż zatrzęsła się każda belka i zadrżał każdy słup. Wówczas kościelny po odmówieniu aktu strzelistego oznajmił: „Słyszycie, co się wyprawia na dworze, samo niebo potwierdziło słowa Hansa, że mamy czekać, i co za pożytek byłby z tego, gdybyśmy poszli, przenigdy nie doszlibyśmy żywi na górę, a przecież sam powiedział, że u jego żony nie ma takiego gwałtu”.

I rzeczywiście nadciągnęła nawałnica, jakiej jeszcze nie było, jak daleko sięga pamięć ludzka. Szturmowała z wszystkich przełęcz i otchłani,

szturmowała zewsząd, gnana wszelakimi wiatrami nad Sumiswaldem, każda chmura zmieniała się w bojową armię, i jedna chmura nacierała na drugą, jedna domagała się życia drugiej chmury, zaczęła się bitwa chmur, i burza stanęła w miejscu, sypał się piorun za piorunem i piorun za piorunem walił w ziemię, jak gdyby chciał utorować sobie przejście przez jej środek. Grzmoty dudniły bez ustanku, wichura gniewnie wyła, łono chmur pękło, potoki wody spadały na dół. Kiedy tak nagle i gwałtownie rozgorzała bitwa chmur, duchowny nie odpowiedział kościelnemu, ale i nie usiadł; ogarniał go narastający niepokój, coś go pchało, aby wybiec w to szaleństwo żywiołów, lecz wahał się z uwagi na swoich towarzyszy. Wtem zdawało mu się, że poprzez straszliwy głos grzmotu słyszy bolesny, mrozący krew w żyłach krzyk kobiety. Wtedy grzmot wydał mu się okropnym łajaniem Boga za jego opieszałość; ruszył więc, nie bacząc na to, co tamci powiedzą. Przygotowany na wszystko, wyszedł w ogniową nawałnicę, w rozwścieczoną wichurę, w potoki chmur; tamci dwaj wolno, niechętnie udali się za nim.

Na dworze szumiało i wrzało, i łomotało, jak gdyby dźwięki te miały stopić się w trąbę ostateczną, zwiastującą zagładę światów, ogniste snopy spadały na wieś, jak gdyby każda chata miała zapłonąć, ale sługa tego, kto udziela grzmotowi głosu, a piorun ma za swojego parobka, może nie bać się parobka tego samego Pana, bo kto kroczy ścieżkami Boga, ten może spokojnie zaufać zawierusze Boga. Dlatego też duchowny szedł nieustraszony skroś nawałnicę w stronę dróżki kościelnej, poświęcony święty oręż miał przy sobie, i serce jego było przy Bogu. Tamci jednak nic szli za nim z taką samą odwagą, gdyż serca ich nie były równie mężne; nie chcieli iść kościelną ścieżką, zwłaszcza w taką burzę i późną nocą, a Hans miał jeszcze szczególny powód, dla którego nie chciał. Prosili księdza, aby zawrócił, obrał inną drogę, Hans znał bliższą, kościelny lepszą, obaj ostrzegali przed wodami w dolinie, przed Zieloną Rzeką. Ale ksiądz nie słuchał, nie zważał na ich słowa; gnany jakimś cudownym pędem, spieszył na skrzydłach modlitwy w stronę dróżki kościelnej, jego stopa nie potknęła

się o żaden kamień, błyskawica nie oślepiła oka; drżąc i pozostając daleko w tyle, osłonięci w swoim mniemaniu Przenajświętszym Sakramentem, niesionym osobiście przez księdza, podążali za nim Hans i kościelny.

Kiedy jednak wyszli ze wsi, gdzie ścieżka schodziła w dół ku dolinie, ksiądz nagle przystanął i ręką osłonił oczy. Poniżej kapliczki w blasku pioruna zamajaczyło czerwone piórko, i bystre oko duchownego dostrzega oto wystającą z zielonego gaju czarną głowę, na niej to właśnie chwieje się czerwone piórko. I gdy ksiądz patrzy chwilę dłużej, widzi, jak na przeciwległym stoku biegnie pędem jakby gnana szalonym podmuchem wiatru, jakaś szalona postać w stronę owej czarnej głowy, na której niczym chorągiewka chwieje się czerwone piórko.

Wtedy duchowny zapalał świętą bojowością, jaka w chwili przeczuwania złego budzi się w tych, których serca poświęcone są Bogu, podobnie jak pęd budzi się w ziarnie, gdy wnika weń życie, jak rodzi się w kwieciu, gdy ma się ono rozwinąć, jaki ogarnia bohatera, gdy nieprzyjaciel wznosi miecz. I podobnie jak spragniony człek rzuca się w chłodny nurt rzeki, bohater w bitwę, tak ksiądz pognał ścieżką na dół, rzucając się w najzuchwalszy bój, wcisnął się między strzelca i Krystynę, która właśnie zamierzała dzieciątko złożyć w jego ręce, gromkim głosem wezwał imiona Trójcy Świętej, podsunął Sakrament pod twarz strzelca, pokropił dziecko święconą wodą, opryskując jednocześnie Krystynę. Wówczas strzelec umknął ze straszliwym wyciem, migocąc niby ogniste pasmo, dopóki ziemia go nie pochłonęła; Krystyna zaś, pokropiona święconą wodą, kurczy się z przeraźliwym sykiem niczym wełna w ogniu, niczym wapno w wodzie, sycząc i pryskając skrami kurczy się do rozmiarów czarnego, opuchłego, okropnego pająka na jej twarzy, kurczy się razem z nim, wtapia się w niego z sykiem, i teraz pająk obrzmiały jadem siedzi już czupurnie na dziecku i ciska swymi ślepiami rozwścieczone błyskawice na duchownego. Ksiądz kropi pająka święconą wodą, która syczy jak zwykła woda na rozpalonym kamieniu; pająk rośnie coraz bardziej, coraz dalej rozpościera swoje czarne nogi nad dzieckiem,

patrzy na księdza coraz zjadliwie). Wówczas ksiądz z odwagą żarliwej wiary śmiałą ręką sięga po niego. Ma wrażenie, że wsadził rękę w ogniste kolce, ale nieustraszony zaciska dłoń, odrzuca gadzinę, bierze dziecko i niezwłocznie spieszy z nim do matki.

A gdy zakończył walkę, uspokoiła się również walka chmur; zaszyły się znów w swoich ciemnych zakamarkach; niebawem dolina rozjarzyła się cichym światłem gwiazd, ta sama dolina, gdzie jeszcze przed chwilą szalała bitwa, i ksiądz niemal bez tchu dobiegł do domu, gdzie popełniono zbrodnię na matce i dziecku.

Tam matka jeszcze leżała w omdleniu, wydawszy przeraźliwy krzyk, wyrzekła się życia; obok niej siedziała staruszka, pokładając ufność w Bogu, że jest mocniejszy niż złość diabła. Wraz z dzieckiem ksiądz przywrócił również matce życie. Kiedy ocknąwszy się ujrzała dzieciątko, przeniknęła ją rozkosz, jaką znają jeno aniołowie w niebie; i jeszcze na rękach matki ksiądz ochrzcił dziecko w imię Boga Ojca i Syna, i Ducha Świętego; teraz zostało wyzwolone z mocy diabła na zawsze, o ile nie zechce mu się oddać dobrowolnie. Przed tym jednak uchronił je Bóg, którego mocy przekazano teraz jego dusze, bowiem dało zostało zatrute przez pająka.

Wkrótce duszyczka uleciała, a na ciałku pozostało piętno jak gdyby oparzelin. Biedna matka spłakała się, ale gdy każda część wraca znów tam, gdzie jej miejsce, dusza do Boga, ciało do ziemi, tam i pociecha się znajdzie, jednemu wcześniej, drugiemu później.

Gdy ksiądz wykonał swoją świętą misję, poczuł dziwne swędzenie w ręce, którą odrzucił pająka. Zobaczył na dłoni małe czarne plamki, które rosły w oczach i puchły, śmiertelne dreszcze przenikały jego serce. Pobłogosławił niewiasty i pośpieszył do domu, chcąc jak wierny bojownik odnieść znów święty oręż tam, gdzie było jego miejsce, aby po nim służył komuś innemu. Ramię mu ogromnie spuchło, czarne guzy nabrzmiwały coraz bardziej, ksiądz walczył ze śmiertelnym znużeniem, ale nie poddał mu się.

Gdy doszedł do kościelnej dróżki, ujrzął Hansa, bezbożnego ojca, o

którym nie wiadomo było, gdzie się podział, jak leży pośrodku drogi na wznak. Twarz miał zapuchniętą i szerniałą, a na niej siedział pajak, ogromny, czarny i przerażający. Gdy duchowny nadszedł, pajak wzdał się, włoski na grzbiecie zjeżyły mu się zjadliwie, wlepił w księdza jadowite, roziskrzzone ślepie, zachowując się jak kot, gdy przygotowuje się do skoku na twarz śmiertelnego wroga. Wtedy ksiądz wygłosił pobożne zaklęcie i wzniósł święty oręż, i pajak wzdrygnął się, zlazł, długonogi, ze szerniałej twarzy i zniknął w syczącej trawie. Duchowny wrócił do domu, odstawił Przenajświętszy Sakrament na swoje miejsce, i gdy wściekłe bóle szarpały jego ciałem, dusza w błogim spokoju czekała na swojego Boga, za którego tak wojowała w śmiałej walce, a Bóg nie dał jej długo czekać.

Ale w górach, w dolinie, nie było tego błogiego spokoju, nie było cichego wyczekiwania na Pana.

Z chwilą gdy Krystyna z porwanym dzieckiem pognąła w dół na spotkanie z diabłem, nieopisany lęk poraził wszystkie serca. W czasie tej okropnej nawałnicy ludzie drżeli w śmiertelnym strachu, gdyż ich serca dobrze wiedziały, że jeśli ręka Boga podniesie się na nich i przyniesie zagładę, będzie to więcej niż słuszne. Kiedy burza minęła, z domu do domu biegła wieść o tym, jak ksiądz przyniósł dziecko z powrotem i je ochrzcił, ale że nie ma śladu po Hansie ani po Krystynie.

Świtający ranek zastał same blade twarze, i piękne słońce nie ubarwiło ich, bowiem wszyscy wiedzieli, że dopiero teraz nadejdzie rzecz najstraszniejsza. Dowiedzieli się, że ksiądz zmarł, cały w czarnych bąblach, że Hansa znaleziono z okropną twarzą, a o potwornym pajaku, w jaki zamieniona została Krystyna, krążyły dziwne sprzeczne wieści.

Był to piękny dzień na żniwa, ale niczyja ręka nie zabrała się do roboty; ludzie zbierali się razem, jak to zwykle dzieje się nazajutrz po dniu, w którym zdarzyło się wielkie nieszczęście. Dopiero teraz poczuli na dobre w swoich roztrzęsionych duszach, co to znaczy chcieć się wykupić od doczesnej biedy i niedoli skazaniem na ztratę duszy nieśmiertelnej, poczuli, że jest Bóg na

niebie, który okrutnie pomści wszelkie krzywdy wyrządzone biednym dzieciom. Tedy stali razem, drżąc i biadając, a kto był u sąsiadów, temu nie pozwolono wrócić do domu, a mimo to kłócili się i wadzili, wszyscy obwiniali się wzajemnie, każdy rzekomo napominał i przestrzegał, nikt nie przeczył, że winnych powinna spotkać kara, ale jego dom i on sam powinien ujść bezkarnie. I gdyby wtedy, podczas tego okropnego wyczekiwania i swarów znali jakąś nową niewinną ofiarę, nie byłoby nikogo, kto by nie popełnił tej zbrodni, w nadziei, że sam ocaleje.

Raptem ktoś z gromady przeraźliwie wrzasnął, zdawało mu się, że nadepnął na rozpalony cierń, że rozżarzoną gwoździem przybija mu się stopę do ziemi, że ogień rozlewa się po szpiku kostnym. Tłum rozpierzchnął się, i oczy wszystkich spojrzały na stopę, do której sięgała ręka krzyczącego. Na stopie zaś siedział pająk, czarny i duży, gapiąc się dookoła zjadliwie i ze złośliwą uciechą. Wówczas wszystkim zastygła najpierw krew w żyłach, a potem zamarło tchnienie w piersi, zastygł wzrok w oku, pająk zaś spokojnie rozglądał się ze złośliwą satysfakcją, a noga czerniała, i w ciele ofiary jak gdyby ogień, sycząc i szalejąc, wojował z wodą; strach rozerwał pęta przerażenia, i tłum prysnął. Z niebywałą szybkością jednak pająk opuścił swe pierwsze siedzisko i laźł temu po stopie, owemu po pięcie, i żar rozlewał się po ciele, a straszliwy wrzask popędzał uciekających jeszcze prędzej. Z szybkością wiatru, w śmiertelnym przestachu niczym widmowa zwierzyna przed pogonią upiorów, gnali ludzie do swoich chat, każdy mniemając, że ma za sobą pająka, tarasowali drzwi, i mimo to nie przestawali dygotać w niewymownym leku.

Aż tu pewnego dnia pająk znikł, nie słyhać było żadnych przedśmiertnych krzyków, ludzie musieli zabarykadowane domy opuścić, szukać pożywienia dla bydła i siebie, i czynili to w śmiertelnym przerażeniu. Bowiem gdzie obecnie przebywał .pająk, czy nie mógł być tutaj i niepostrzeżenie sięść na stopie? A kto najbardziej ostrożnie stąpał i najbystrzej się rozglądał, ten nagle spostrzegał pająka siedzącego na ręce lub

nodze, albo pajak przebiegał mu przez twarz, duży i czarny siadał na nosie i gapił mu się w oczy, ogniste kolce wpijały się w kości, ciało ogarniała pożoga piekieł, dopóki nie powaliła napiętnowanego śmierć.

Tak to pajaka albo nie było nigdzie, albo znów był raz tu, raz tam, to na dole w dolinie, to w górach; syczał w trawie, spadał z pułapu, wpełzał spod ziemi. W samo południe, gdy ludzie siedzieli przy owsiance, zjawiał się gapiąc przy końcu stołu, i zanim ludzie, porażeni strachem, ochłonęli, przebiegł wszystkim po rękach i już siedział w górze, na głowie gospodarza, i wlepił ślepią nad stołem w czerniejące ręce. Nocą spadał ludziom na twarze, spotykał ich w lesie, nawiedzał w stajni. Ludzie nie potrafili go ominąć, pajak był wszędzie i nigdzie, na jawie nie potrafili się przed nim obronić, śpiąc nie byli bezpieczni. Gdy w swoim mniemaniu byli najmniej narażeni pod gołym niebem, na wierzchołku drzewa, niebawem ogień pełzał im po plecach, czuli ogniste nogi pajaka na karku, pajak zaglądał im przez ramię. Nie oszczędzał ani dziecka w kolebce, ani starca na łożu śmierci; była to zaraza, o jakiej nikt jeszcze nie słyszał, a umieranie na nią było okropniejsze niż jakiegokolwiek inne, a jeszcze gorszy od umierania był ten bezgraniczny strach przed pajakiem, który był wszędzie i nigdzie, i w chwili gdy człowiek czuł się najpewniej, nagle zaglądał mu w oczy, zwiastując śmierć.

Wieść o tym postrachu oczywiście dotarła niebawem na zamek, siejąc również tam przerażenie i swary, o ile takowe mogły w ogóle istnieć przy obowiązującej regule zakonu. Hans von Stoffeln zaczął się obawiać, że oni także mogą być tym morem dotknięci, jak przedtem ich bydłota, zmarły kapłan głosił takie rzeczy, że teraz wywołało to niepokój w duszy rycerza. Ksiądz mówił mu nieraz, że wszelka krzywda, jaką wyrządza chłopom, wróci do niego, ale komtur nie wierzył w to, gdyż sądził, że Bóg będzie umiał odróżnić rycerza od chłopca, w przeciwnym wypadku nie stworzyłby ich tak odmiennych. Teraz jednak zaczął się bać, że sprawdzą się przepowiednie duchownego, twardymi słowami łajał swoją drużynę twierdząc, że obecnie nadchodzi sroga kara za ich lekkomyślne gadanie. Rycerze zaś też nie chcieli

ponosić winy, jeden zwał ją na drugiego, i choć nikt tego głośno nie mówił, wszyscy uważali, że sprawa dotyczy tylko komtura, bo jeśli dobrze zważyć, on wszystkiemu winien. A poza nim obwiniali jeszcze pewnego młodego rycerza, który przedtem wojował w Polsce; on to właśnie rzucał najwięcej lekkomyślnych słów o zamku i on najbardziej prowokował komtura do podjęcia budowy zamku i tej zuchwałej alei. Był to człowiek bardzo młody, ale najbardziej szalony z nich wszystkich, i jeśli chodziło o jakiś wyzywający czyn, on stawał na czele; zachowywał się jak poganin i nie bał się Boga ani diabła.

Ów rycerz doskonale miarkował, co tamci mają na myśli, ale nie mówił mu wprost, dostrzegł również ich potajemny lek. Dlatego szydził z nich i pytał, jak zamierzają wojować ze smokami, skoro boją się pająka? Następnie uzbroił się znakomicie i wyruszył konno w dolinę, zaklinając się zuchwale, iż nie wróci, dopóki jego rumak nie rozdepcze pająka lub jego własna pięść go nie zgniecie. Złe psy skakały dokoła niego, na ręce siedział mu sokół, przy siodle wisiła kopia, koń wesoło wierzgał; załoga zamku przyglądała się jego wyruszeniu z na wpół złośliwą uciechą, na wpół z lękiem, mając w pamięci nocną straż na Barhegenie, gdzie moc świeckiego oręża tak haniebnie zawiodła w spotkaniu z takim przeciwnikiem.

Rycerz jechał brzegiem jodłowego lasu w stronę najbliższej zagrody, byстрыm okiem rozglądając się poza i ponad siebie. Gdy ujrzał dom oraz kręcących się przy nim ludzi, zawołał psy, odsłonił głowę sokoła. Sztylet, luźno tkwiący w pochwie, zabrzączał. Kiedy sokół zwrócił oślepienie oczy na rycerza, gotowy na jego skinienie, zerwał się z jego pięści i poszybował w górę; psy, które przybiegły, zawyły i ze schowanymi pod siebie ogonami uciekły. Bezskutecznie rycerz gonił je i nawoływał, nie zobaczył już ich więcej. Tedy zawrócił w stronę ludzi, chcąc zasięgnąć języka, a oni przystanęli i czekali, dopóki nie zbliżył się do nich. Wówczas straszliwie krzyknęli i uciekli w głąb lasu i przełęcz, gdyż na hełmie rycerza siedział czarny pająk nadnaturalnej wielkości i zjadliwymi ślepiami rozglądał się

złośliwie dokoła. Rycerz, nie wiedząc o tym, nosił na sobie to, czego szukał. Pałając gniewem, wołał i jechał za ludźmi, krzycząc coraz wścieklejszym głosem, jadąc coraz bardziej szaleńczo, wrzeszcząc coraz okropniej, dopóki wraz z koniem nie runął ze skalnej ściany na dół w dolinę. Tam znaleziono jego hełm i ciało, nogi pająka przebiły się przez hełm aż do mózgu rycerza, rozniecając w nim straszliwy pożar, dopóki nie zakończył życia.

Wtedy dopiero blady strach padł na zamek; rycerze zamknęli się w nim, a mimo to nie czuli się bezpieczni; szukali duchowego oręża, ale przez długi czas nie mogli nikogo znaleźć, kto by umiał i śmiał ich poprowadzić. W końcu jakiś daleki klecha dał się skusić pieniędzmi i słowem; przybył i chciał, uzbrojony w święconą wodę oraz święte wersety, ruszyć na nieprzyjaciela. Zamiast jednak wzmocnić się w tym celu modlitwą i postem, ucztował od wczesnego ranka z rycerską drużyną, nie skąpił sobie pucharów i raczył się pieczystym z jelenia i niedźwiedzia. Wiele przy tym plótł o swoich duchowych zwycięstwach, a rycerze znów o świeckich, kielichów sobie nie żałowano, a o pająku zapomniano. Raptem całe życie zamarło, ręce zastygły przy pucharze lub widelcu, usta się rozdziawiły, znieruchomiałe oczy wlepiły się wszystkie w jedno miejsce, tylko komtur wychylił swoją czarę i snuł opowieść o bohaterskich wyczynach w kraju pogan. Na jego głowie zaś siedział ogromny pająk i gapił się na rycerski stół, ale komtur go nie czuł. Wtem żar począł mu się rozlewać po mózgu i krwi, komtur krzyknął przeraźliwie, ręką sięgnął ku głowie, ale pająka już tam nie było, w niesamowitym pośpiechu przebiegł wszystkim rycerzom po twarzach, nikt nie mógł się przed nim obronić; jeden po drugim wrzeszczeli, trawieni żarem, a pająk gapił się z łysiny klechy na ogólną zgrozę. Pucharem, który nie chciał wysunąć się z ręki klechy, chciał ten ugasić pożogę, która z głowy przenikała mu do szpiku kości. Ale pająk oparł się tej broni i tylko gapił się ze swego tronu na chaos, dopóki ostatni rycerz nie wydał ostatniego jęku oraz ostatniego tchnienia.

W zamku pozostało przy życiu tylko niewiele sług, którzy nigdy nie

naigrawali się z chłopów; oni właśnie opowiadali, jak strasznie się to odbyło.

Ale przekonanie o słuszności kary, jaka spotkała rycerzy, nie pocieszyło chłopów, strach przybierał coraz większe, coraz potworniejsze rozmiary. Niektórzy próbowali ucieczki. Jedni chcieli opuścić dolinę, ale właśnie ci stawali się ofiarą pająka. Znajdowano ich zwłoki na drodze. Inni uciekali w wysokie góry, ale pająk był tam przed nimi, a gdy uważali się za ocalonych, pająk siedział im na karku albo na twarzy. Potwór stawał się coraz złośliwszy, coraz bardziej diabelski. Już nie zaskakiwał znienacka, nie piętnował niepostrzeżenie śmiercią, lecz siedział przed człowiekiem w trawie, wisiał nad nim na drzewie, wlepiając weń zjadliwe ślepie. Wówczas człowiek uciekał co sił w nogach, a gdy bez tchu przystawał, pająk siedział przed nim, łąpiąc zjadliwymi ślepiami. Jeśli człowiek znów podrywał się do ucieczki i ponownie musiał zwolnić kroku, pająk znów siedział przed nim, i dopiero gdy człowiek nie mógł już uciekać, wówczas pająk laź powoli w jego stronę i zadawał mu śmierć.

Tedy niejeden z rozpaczycy usiłował stawiać opór i próbując, czy nie uda mu się pająka zabić, ciskał cietnarowe głązy na niego, gdy siedział przed nim w trawie, rzucał weń kłody, topory, ale wszystko było daremne, najcięższy kamień nie zgniótł pająka, najostrzejszy topór nie skaleczył, pająk niepostrzeżenie siadał człowiekowi na twarzy, niepostrzeżenie przyłaził do niego. Wówczas spełzły wszystkie nadzieje, i rozpacz zapanowała w dolinie i szerzyła się w górach.

Potwór oszczędził do tej pory tylko jeden jedyny dom, nie zjawiwszy się w nim ani razu; był to dom, gdzie mieszkała Krystyna, dom, skąd porwała dzieciątko. Jej własnego męża pająk dopadł na samotnej łące, tam znaleziono jego zwłoki w okropnym stanie, rysy jego twarzy były wykrzywione bezgranicznym bólem jak u nikogo dotąd; mąż jej padł ofiarą jego najokropniejszego gniewu, mężowi zgotował najgorsze spotkanie. Ale nikt nie widział, jak się to stało.

Do tego domu pająk jeszcze nie wszedł; czy chciał go zachować na

ostatek, czy też cofał się przed nim, tego nikt nie odgadnął.

Trwoga jednak panowała tam nie mniejsza niż gdzie indziej.

Owa pobożna kobiecina wyzdrowiała i nie lękała się o siebie, lecz za to ogromnie o swego zacnego chłopczyka i jego siostrzyczkę, czuwała nad nimi dzień i noc, a pocziwa babcia dzieliła z nią troski i czuwanie. Wspólnie modliły się do Boga, aby dozwolił im mieć oczy otwarte do stróżowania, aby je oświecił i krzepił gwoli ocalenia niewinnych dzieci.

Nieraz zdawało im się, gdy tak czuwały przez długie noce, że widzą pająka, jak błyszczy i lśni w ciemnym kącie, jak gapi się przez okno; wówczas wielki ogarniał je strach, gdyż nie wiedziały, jak chronić dziatki przed pajakiem, i tym żarliwiej prosiły Boga o radę i wsparcie. Miały przygotowany przeróżny oręż pod ręką, ale gdy usłyszały, że kamień traci swój ciężar, a topór ostrość, odłożyły te narzędzia. Wtedy matce zaczęła się nasuwać coraz wyraziściej, coraz żywiej myśl: Gdyby ktoś odważył się pająka schwycić ręką, wówczas zdołałby go pokonać. Ale słyszała też o ludziach, którzy, gdy kamień nic nie działał, usiłowali pająka zgnieść ręką, jednak bezskutecznie. Straszliwy prąd ognia przeszywający rękę i ramię gasił wszelką siłę i przyprawiał serce o śmierć. Również ona miała wrażenie, że nie zdołałaby pająka zgnieść, ale chyba mogłaby go wziąć do ręki, a Bóg doda jej na tyle sił, aby gada gdzieś zamknąć, unieszkodliwić. Niejeden raz słyszała, że znający się na rzeczy ludzie zamykali duchy w jakiejś dziurze w skale albo w drzewie i dziurę tę zabijali gwoździem, a dopóki tego gwoździa nikt nie wyciągnął, duch musiał siedzieć zaklęty w dziurze.

Coraz bardziej nagliła ją myśl, aby popробować tego samego. Wywierciła dziurę w słupie znajdującym się najbliżej jej prawej ręki, gdy siadała przy kołysce, wyciosała kołek, szczelnie zatykający otwór, poświęciła go święconą wodą; położyła na podporędku młotek i teraz modliła się dzień i noc do Boga o siły do wykonania zamiaru. Ale nieraz ciało było silniejsze od ducha i ciężki sen morzył jej oczy, wówczas widywała we śnie pająka, łypiącego na złote kędziorki jej syneczka; zrywała się wtedy ze snu i ręką

dotykała kędziorków. Ale nie było tam pająka, na twarzączce synka widniał uśmiech, jakim uśmiechają się dzieciątka, gdy we śnie widzą swego anioła; matce zaś skrzyły się we wszystkich kątach zjadliwe ślepie pająka, i sen omijał ją na długi czas.

Tak też kiedyś po wytrwałym czuwaniu zmógł ją sen i otoczył gęstą nocą. Zdawało jej się wtedy, że bogobojny kapłan, zmarły przy ratowaniu jej dzieciątka, spieszy z jakiejś nieskończonej dali i woła do niej: „Niewiasto, zbudź się, nieprzyjaciel się zjawił!” Po trzykroć tak zawołał i dopiero za trzecim razem wyrwała się z ciasnych więzów snu; ale gdy z trudem uniosła ciężkie powieki, ujrzała, jak pająk, nabrzmiały jadem, wolno kroczy po łożeczku ku twarzy syneczka. Wówczas pomyślała o Bogu i szybką ręką sięgnęła po pająka. Ognisty prąd popłynął z pająka zacnej matce poprzez rękę i ramię aż w głąb serca, ale matczyna wierność i macierzyńska miłość zacisnęły jej dłoń, a do wytrwania Bóg dodał sił. Wśród tysiąckrotnych straszliwych cierpień wepchnęła pająka jedną ręką do przygotowanej dziury, drugą wsadziła kołek i mocno przybiła go młotkiem.

W dziurze zaszumiało i zakotłowało się, jak gdyby wichura wadziła się z morzem, dom zatrzęsł się w posadach, ale kołek mocno trzymał, pająk był uwięziony. Zacna matka zaś cieszyła się, że ocaliła swoje dzieciątko, podziękowała Bogu za jego łaskę, po czym skonała tą samą śmiercią co wszyscy, ale jej matczyna wierność uśmierzyła jej boleść, i aniołowie zaprowadzili jej duszę przed tron Boga, gdzie przebywają wszyscy bohaterowie, którzy narażali życie dla innych, którzy dla Boga i swoich najbliższych ryzykowali wszystko.

Teraz czarna śmierć się skończyła. Spokój i życie wróciły w dolinę. Od tej pory nie widziano już czarnego pająka, gdyż siedział uwięziony w owej dziurze, gdzie jeszcze teraz przebywa.

— Co, tam w tym czarnym słupie?! — krzyknęła kuma i zerwała się jednym susem, jak gdyby siedziała na mrowisku. W izbie miała właśnie miejsce pod słupem. I teraz piekły ją plecy, kręciła się, oglądała za siebie,

otrzepując się ręką tu i tam, i nie mogła pozbyć się strachu, że czarny pająk siedzi jej na karku.

Również pozostałym ścisnęło się serce, gdy dziadek umilkł. Nastąpiło wielkie milczenie. Nikt nie śmiał pokpiwać, a przytakiwać też nikt nie miał ochoty; każdy wolał poczekać na pierwsze słowa kogoś innego, aby do nich dostosować własne zdanie, w ten sposób nie wyrwie się z czymś niepotrzebnym. Wtem przybiegła położna, która wołała ich już parokrotnie, ale nie otrzymała odpowiedzi; twarz jej pałała wypiekami, jak gdyby pająk po niej łąził. Zaczęła gderać, że nikt nie chce przyjść, choćby wołała bardzo głośno: Toć to przedziwna sprawa, gdy się ugotowało jadlo, nikt nie przychodzi do stołu, a gdy wszystko już nie będzie takie smaczne, wówczas będzie to jej wina, ona dobrze wie, jak to bywa. Tak tłustego mięsa, jakie jest w kuchni, nie da się jeść, gdy wystygnie, jest to wielce niezdrowe.

Teraz ludzie się ruszyli, ale bardzo się ociągając, i nikt nie chciał pierwszy stanąć w drzwiach, dziadek musiał zrobić początek. Nie był to tym razem ów zwykły obyczaj, który nie pozwalał okazywać, że nie można się doczekać posiłku; było to wahanie, jakie ogarnia wszystkich, gdy staną przy wejściu do jakiegoś straszego miejsca, a przecież w izbie nie było nic straszego. Jasnym blaskiem świeciły na stole ponownie napełnione piękne butle wina, pyszniły się dwie połyskliwe szynki, ogromne pieczenie cielęce i baranie dymiły, a pośród tego leżały świeże chałki, i pomiędzy to wszystko wciśnięto jeszcze talerze z tortami oraz talerze z ciasteczkami trojakiemu rodzaju; nie zabrakło również dzbanuszków ze słodzoną herbatą. Był to zatem piękny widok, a jednak mało zwracano nań uwagi, wszyscy bowiem rozglądali się niespokojnym wzrokiem, czy z jakiego kąta nie błysnie pająk lub nie gapi się na nich zjadliwymi ślepiami z przepysznej szynki. Nie było go nigdzie widać, a jednak nikt nie prawił zwyczajowych komplementów w rodzaju: co też sobie wyobrażają, jeszcze tyle nastawiać, kto miałby to zjeść, już i tak każdy podjadł aż za dużo, lecz wszyscy tłoczyli się przy dolnym końcu stołu, nikt nie chciał pójść bliżej.

Daremnie proszono gości dalej, wskazując puste miejsca, stali jak przygwożdżeni; daremnie ojciec noworodka nalewał i wzywał, aby przyszli i wypili na zdrowie, przecież szklanki są pełne. Wreszcie wziął kumę pod rękę i rzekł: — Bądź ty mądrzejsza i daj przykład! — Ale kuma oparła się wszystkimi siłami, a miała ich niemało, i krzyknęła: — Nawet za tysiąc funtów nie siądę tu na górze! Mrowi mi się coś po plecach tam i z powrotem, jak gdyby mnie ktoś łaskotał pokrzywami. Gdybym siedziała pod tym słupem, bez ustanku czułabym tego okropnego pająka na karku. — To twoja wina, dziadku — odezwała się babka — czemu poruszasz takie sprawy! Nic to dzisiaj już nie da, a może zaszkodzić całemu domowi. A gdy kiedyś dzieci przyjdą ze szkoły i będą płakać i skarżyć się, że inne dzieci wypominają im, iż ich babka była czarownicą i została zaklęta w słupie, będziesz miał za swoje.

— Bądź spokojna, babko! — odparł dziadek. — W dzisiejszych czasach ludzie zapominają o wszystkim i niczego długo nie przechowują w pamięci, jak bywało niegdyś. Chcieli się ode mnie dowiedzieć o całej sprawie, to i lepiej, że od razu usłyszą prawdę, niż żeby sami coś zmyślili; prawda naszemu domowi nie przynosi ujmy. Ale chodźcie i siadajcie! Popatrzcie, sam usiądę przy tym kołku. Wszak siedziałem pod nim już wieje tysięcy dni bez trwogi i lęku i dlatego też bez ryzyka. Tylko wówczas, gdy powstawały we mnie złe myśli, którymi diabeł mógłby się posłużyć, miałem wrażenie, że coś mruczy za mną, jak mruczy kot, gdy się z nim zadać i głaskać go po grzbiecie, pieścić się z nim, i coś mi dziwnie i niezwyczajnie chodziło po plecach. Poza tym jednak pająk zachowuje się cichuteńko, i dopóki tu na zewnątrz nie zapomina się o Bogu, pająk musi w środku czekać.

Tedy goście nabrali odwagi i usiedli, ale całkiem blisko w stronę dziadka nikt się nie posunął. Teraz ojciec noworodka mógł wreszcie zająć się częstowaniem: nałożył sąsiadce ogromny kawał pieczeni na talerz, sąsiadka odkroiła kawałtoko i na talerzu sąsiada złożyła resztę, zsuwając ją kciukiem z widelca. Tak więc ów kawał pieczystego krążył dokoła, aż wreszcie ktoś

orzekł, że chyba go zatrzyma, gdyż jest tego jeszcze więcej tam, gdzie był pierwszy kawałek, i teraz nowy płat mięsiwa rozpoczął wędrówkę. W czasie gdy ojciec noworodka nalewał i nakładał pieczeń, a goście mówili mu, że ma on dzisiaj ciężki dzień, położna krążyła ze słodką herbatą, suto przyprawioną szafranem i cynamonem, częstując wszystkich i pytając: Kto lubi herbatę, niech się tylko odezwie, starczy jej dla każdego. A kto zgłosił, że ma ochotę, temu wlewała herbatę do wina mówiąc: Ona też lubi herbatę, dużo lepiej znosi się wówczas wino, nie powoduje ono bólu głowy. Wszyscy jedli i pili, ale ledwie minął gwar, jaki zawsze powstaje, gdy ludzie zabierają się do nowych dań, znów zapadła cisza i twarze poważniały, znać było, że myśli wszystkich zajęte są pajakiem. Nieśmiało i ukradkiem oczy zerkwały na kołek za plecami dziadka, a jednak każdy cofał się przed potwornym nawiązaniem rozmowy na ten temat.

Wtem kuma głośno krzyknęła i nieomal spadła z krzesła. Mucha przebiegła przez kołek, kuma myślała, że czarne nogi pajaka grzebią się z dziury i ze strachu zatrzęsała się na całym ciele. Nawet nie wyśmiewano się z niej; jej przerażenie stanowiło wystarczający pretekst, aby od nowa wszcząć rozmowę o pająku, kiedy bowiem jakaś sprawa nas poruszy, nie otrząśniemy się z tego tak prędko.

— Ale posłuchajże, kuzynie — odezwał się starszy kum — czy pajak od tamtej pory nigdy nie wyszedł z dziury, tylko cały czas w niej siedzi od tylu setek lat?

— Ech — rzekła babka — lepiej byłoby milczeć o tej historii, wszak gadaliście o niej całe popołudnie.

— Ejże, matko — podjął kuzyn — dajże swojemu staremu mówić, zabawił nas, a nikt wam tej sprawy nie wypomina, przecież nie pochodzicie od Krystyny. I nie odwiedzisz naszych myśli od tamtej sprawy, jeśli nie pozwolisz nam o niej mówić, nie będziemy też mówili o niczym innym, i wówczas nie będzie żadnej rozrywki. No, dziadku, gadaj, niech nam twoja stara nie żałuje opowieści!

— Ha, skoro się tak upieracie, niech wam będzie, ale mądrzej byłoby o czymś innym mówić, zwłaszcza teraz przed nocą — uznała babka.

Wtedy dziadek zaczął, a na wszystkich twarzach pojawiło się napięcie. — Niewiele już tego, co wiem, ale co wiem, to powiem; może będzie to w obecnych czasach przykładem dla kogoś, nie zaszkodziłoby to zaiste wielu ludziom.

Kiedy ludzie dowiedzieli się, że pajak siedzi zamknięty, a oni znów są pewni swego życia, poczuli się podobno tak, jakby byli w niebie i Pan Bóg ze swoim zbawieniem wśród nich, i długi czas było dobrze. Trzymali się Boga i unikali diabła, i również rycerze, którzy od niedawna sprowadzili się do zamku, mieli respekt przed ręką Boga i łagodnie traktowali ludzi, pomagając im się dźwignąć.

Na ten dom zaś patrzyli z czcią, niemal jak na kościół. Z początku co prawda wstrząsał nimi dreszcz, gdy mu się przyglądali, gdy widzieli więzienie okropnego pajaka i pomyśleli, jak łatwa mógłby się wydostać, i dzięki sile szatana całe nieszczęście zaczęłoby się na nowo. Ale wkrótce spostrzegli, że moc Boga jest silniejsza niż moc diabła, i z wdzięczności dla matki, która umarła za wszystkich, pomogli dzieciom i darmo oprząkali im gospodarstwo do czasu, kiedy same mogły pracować. Rycerze chcieli im zezwolić na budowę nowego domu, aby nie musiały się bać pajaka albo żeby ów przez przypadek nie wydostał się w zamieszkanym domu; pomoc chciało również wielu sąsiadów, którzy nie mogli pozbyć się lęku przed potworem, przed którym tak okropnie drżeli. Ale stara babka nie chciała się zgodzić. Prawiła swoim wnukom: Tu pajak jest zaklęty przez Boga Ojca i Syna, i Ducha Świętego, póki te trzy święte imiona obowiązują w tym domu, póki w ich święte imię jada się i pije przy tym stole, poty są bezpieczni przed pajakiem i pajak mocno zamknięty w dziurze, i żaden przypadek nic tu nie zmieni. Tu przy tym stole, z pajakiem za plecami, nigdy nie zapomną, jak potrzebny im jest Bóg i jaki jest możny; w taki sposób pajak przypomina im o Bogu i musi, diabłu na przekór, przynosić im pożytek. Gdyby zaś odeszli

od Boga, choćby to było ze sto godzin stąd, pajak mógłby ich znaleźć albo nawet sam diabeł. Dzieci rozumiały to, pozostały w domu, wyrosły w bojaźni Bożej, a na dom spłynęło błogosławieństwo Pana.

Chłopczyk, co był taki oddany matce, a matka jemu, wyrósł na okazałego mężczyznę, który był miły Bogu i ludziom i znalazł łaskę u rycerzy. Dlatego też był błogosławiony dobrami doczesnymi i nigdy nie zapomniał, że wyższy nad nie jest Bóg, nigdy też ich nikomu nie skąpił: pomagał innym w biedzie, tak jak pragnął, aby jemu pomagano w ostatniej biedzie, a gdzie jego pomoc była za słaba, tam był tym żarliwszym orędownikiem przed Bogiem i ludźmi. Miał mądrą żonę, i panowała między nimi niezmacona zgoda, stąd dzieci ich rozkwitały pobożnie, i oboje zasnęli łagodną śmiercią w późnym wieku. Jego rodzina kwitła dalej w bojaźni bożej i prawości.

Tak nad całą rodziną ścieliło się błogosławieństwo boże, i szczęście gościło na polu i w stajni, a pokój wśród ludzi. Owa straszliwa nauka wstrząsnęła ludźmi, wiernie stali przy Bogu; cokolwiek czynili, czynili w jego imię, a gdzie kto mógł pomóc drugiemu, nie zwlekał. Od strony zamku nie działa im się żadna krzywda, doznawali natomiast wiele dobrego. Mieszkało w nim coraz mniej rycerzy, gdyż coraz sroższe boje staczano w krainie pogan i coraz bardziej potrzebna była każda ręka umiejąca szermować; tym zaś, którzy przebywali w zamku, duża sala śmierci, gdzie pajak zgładził tylu rycerzy i chłopów, przypominała każdego dnia, że Bóg z jednaką mocą karci każdego, kto od niego odchodzi, czy to będzie chłop czy rycerz.

Minęło wiele lat w szczęściu i błogosławieństwie, i dolina rozstawiła się nad wszystkimi innymi. Domy ich były piękne, zapasy wielkie, niejedna moneta spoczywała w skrzyni, bydło było najokazalsze w górach i w dolinie, córki słynęły w całym kraju, a synowie byli wszędzie chętnie widziani. I ta sława nie więdła przez noc jak cienisty krzak Jonasza, lecz trwała z pokolenia na pokolenie; bowiem w tej samej bojaźni bożej co ojcowie żyli również synowie z pokolenia na pokolenie. Ale właśnie tak jak w gruszy, suto

podlewanej, najbujniej rozrośniętej, leże się robak, toczy ją, zżera i uśmierca, tak i tam, gdzie błogosławieństwo boże najobficiej spływa na ludzi, robak dostaje się do błogosławieństwa, czyniąc z ludzi pyszałków i ślepców, tak iż wśród błogosławieństwa zapominają o Bogu, zapominają wśród bogactw o tym, kto je dał, i stają się podobni do Izraelitów, którzy, gdy Bóg pomógł zapomnieli o nim wśród złotych cielców.

Tak więc po przeminięciu wielu pokoleń w dolinie zadomowiła się pycha i buta, obce kobiety wniosły i szerzyły jedno i drugie. Suknie stały się wspanialsze, widziało się błyszczące klejnoty, ba, pycha sięgała nawet po święte symbole, i zamiast żeby ich serca podczas modlitwy żarliwie zwracały się do Boga, wlepiano oczy chełpliwie w złote kulki własnego różańca. W taki to sposób nabożeństwo zamieniło się w przepych i dumę, serca zaś stwardniały wobec Boga i ludzi. Nie dbano o przykazania boskie, kpiono z jego służby, z jego sług: bowiem gdzie wielka rządzi pycha albo wielkie pieniądze, tam łatwo powstaje urojenie, że uważa się swoje zachcianki za mądrość, a tę mądrość za wyższą od mądrości Boga. Jak dawniej ludzie byli gnębieni przez rycerzy, tak teraz stwardnieli wobec czeladzi i ją gnębili, a im mniej sami robili, tym więcej wymagali od niej. Im więcej pracy domagali się od parobków i sług, tym bardziej traktowali ich jak nierozumne bydło i nie pamiętali o tym, że tamci też posiadają dusze, które należy ochraniać. Tam gdzie są wielkie pieniądze albo wielka pycha, tam zaczyna się budowanie, jeden buduje piękniej niż drugi, i podobnie jak dawniej budowali rycerze, tak teraz oni budowali, i jak dawniej dręczyli ich rycerze, tak teraz oni nie szczydzili ani czeladzi, ani gadziny, gdy ogarniał ich szzał budowania. Ta przemiana nawiedziła również ten dom, natomiast dawna zamożność pozostała nie zmieniona.

Minęło prawie dwieście lat, odkąd pajak siedział uwięziony w dziurze, kiedy sprawowała tu rządy pewna sprytna i silna niewiasta, nie pochodząca z Lindau, ale jednak przypominająca Krystynę pod wieloma względami. Także była z obcych stron, i także owładnięta pychą i butą, i miała syna jedynaka;

ma? umarł wskutek jej rządów. Syn był urodziwym chłopcem, miał dobry charakter i odnosił się życzliwie do ludzi i zwierząt] matka też go bardzo kochała, ale nie dawała tego poznać po sobie. Rządziła każdym jego krokiem i nie podobał jej się ani jeden krok, na który mu nie udzieliła zezwolenia; chłopak dawno dorósł, a bez matki nie wolno mu było chodzić do rówieśników ani na zabawę. Kiedy matka wreszcie uznała, że chłopak doszedł do swoich lat, dała mu krewniaczkę za żonę, niewiastę po swojej myśli. Teraz miał dwie władczynie nad sobą zamiast jednej, obie cechowała jednaka pycha i buta, a ponieważ one takie były, również Krystian powinien być taki sam, a gdy bywał życzliwy i pokorny, jak nań przystało, pokazywano mu, kto tu rządzi, Od dawna już nie cierpiały starego domu i wstydziły się go, ponieważ sąsiedzi mieli nowe domy, chociaż nie byli tacy bogaci jak one. Legenda o pająku i słowa babki żyły wtedy jeszcze w pamięci ludzkiej, w przeciwnym razie bowiem by dawno zburzono stary dom, ale wszyscy odmawiali ich od tego. Kobiety zaś uważały owo odmawianie coraz bardziej za dowód zawiści, która żałuje im nowego domu. Ponadto czuły się coraz bardziej nieswojo w starym domu. Gdy siedziały przy stole, miały wrażenie, że przytulnie mruczy za nimi kot albo że cicho otwiera się dziura i pająk celuje w ich kark. Brakowało im owej wiary, która zawarła dziurę, dlatego bały się coraz więcej, że dziura się otworzy. Toteż znalazły dobry pretekst do budowania nowego domu, w którym nie musiałyby obawiać się pająka, jak mniemały. Uradziły, że stary dom pozostawią czeladzi, która częstokroć zawadzała ich pysze.

Krystian niechętnie się zgodził. Pamiętał, co mówiła stara babka, i wierzył w to, że błogosławieństwo dla rodziny związane jest z rodzinnym domem, nie lękał się pająka, a gdy siedział w górze stołu, miał wrażenie, że tu potrafi się modlić z największym nabożeństwem. Powiedział, co o tym sądzi, ale kobiety kazały mu zamilknąć, a ponieważ był ich parobkiem, rzeczywiście umilkł, ale często gorzko popłakiwał, gdy go nie widziały.

Tam powyżej drzewa, pod którym jedliśmy, miał być zbudowany dom,

jakiego nikt nie miał w całej okolicy.

W butnej niecierpliwości, jako że nie miały pojęcia o budowaniu i nie mogły się doczekać, kiedy będą mogły chełpić się nowym domem, okrutnie dręczyły podczas budowy czeladź i zwierzęta, żałując im nawet świąt i nocnego odpoczynku, i nie było takiego sąsiada, który pomógłby im ku ich zadowoleniu i któremu by nie złorzeczyły, gdy po bezpłatnej pomocy, jaką sobie już wtedy wzajemnie świadczone, wracał do domu, aby również swoich spraw dopilnować.

Kiedy stawiano mury i wbito pierwszy kołek w próg, z otworu wzbil się dym niczym z mokrej słomy, gdy chce się ją zapalić; wtedy robotnicy z namysłem pokręcili głowami i po cichu oraz głośno orzekli, że nowy budynek się nie zestarzeje, ale kobiety śmiały się z tego i zlekceważyły znak. A gdy dom wreszcie był gotowy, przeprowadziły się, urządziły się z niebywałym przepychem i na poświęcenie domu wyprawiły ucztę, która trwała trzy dni i o której jeszcze dzieci i wnuki opowiadały w całym Emmentalu.

Ale podczas wszystkich trzech dni słyszano podobno w całym domu dziwne mruczenie, jakby mruczenie kota, zadowolonego, że mu się głaszczcie sierść. Mimo wszelkich poszukiwań jednak nie znaleziono tego mrużącego kota; wtedy niejeden poczuł się nieswojo i mimo całej świątynności wynosił się z uczy. Tylko kobiety nic nie słyszały czy też nie zwracały na to uwagi, przekonane, że wraz z nowym domem wszystko wygrały.

Tak, kto ślepy, ten nie widzi również słońca, a kto głuchy, nie słyszy także grzmotu. Toteż niewiasty cieszyły się nową siedzibą i z każdym dniem stawały się butniejsze, nie myślały o pająku, lecz wiodły w nowym domu zbyt kowne, beczynne życie, strojąc się i ucztując, nikt nie mógł sprostać ich wymaganiom, a o Bogu nie pamiętały.

W starym domu czeladź została sama, żyjąc, jak jej się podobało, a gdy Krystian chciał ją wziąć pod swój nadzór, kobiety nie zgodziły się i wymyślały mu, matka głównie z pychy, żona z zazdrości. Toteż nie było na

dole żadnego ładu ani składu i niebawem także żadnej bojaźni Bożej, bo gdzie nie ma pana, na ogół tak bywa. Gdy brak pana, który siedziałby w górze stołu i który miałby w domu uszy otwarte i dzierzył wodze w nim i poza nim, wówczas za największego ze wszystkich zaczyna uważać się niebawem ten, kto sobie najbezwstydniej poczyną, a za najlepszego ten, kto głosi najbardziej bezbożne słowa.

Tak działo się w tym domu na dole, i cała czeladź niebawem przypominała stado rozdokazywanych kotów. Już nie pamiętano o pacierzu, toteż nie żywiono szacunku dla bożej woli ani dla jego darów. Podobnie jak pycha kobiet Krystiana nie miała już granic, tak i zwierzęca swawola czeladzi nie znała żadnych hamulców. Bez lęku bezczeszczono chleb, łyżkami rzucono sobie owsiankę ponad stołem na głowę, nie dość na tym, po bydlęcemu zapaskudzano potrawy, aby innym złośliwie obrzydzić jedzenie. Droczyli się z sąsiadami, męczyli zwierzęta, pokpiwali z nabożeństw, przeczyli siłom wyższym i na wszelki sposób dokuczali duchownemu, który zganił ich słowami; krótko mówiąc, nie bali się już ani Boga, ani ludzi i z każdym dniem zachowywali się coraz bardziej wyzywająco. Najgorsze życie wiedli parobcy i służebne, a przy tym dręczyli się wzajemnie, ile tylko się dało, a kiedy parobcy już nie wiedzieli, jakim nowym sposobem dokuczyć sługom, jeden z nich wpadł na pomysł, aby pająkiem w dziurze straszyć dziewczuchy albo je sobie podporządkować. Ciskał łyżkami pełnymi owsianki lub mleka w kołek krzycząc, że pająk w środku jest pewnie głodny, ponieważ tyle setek lat nic nie dostał. Wówczas dziewczęta okropnie wrzeszczały i obiecywały wszystko, co tylko się dało, a nawet innych parobków ogarniała zgroza. Kiedy ta zabawa powtarzała się bezkarnie, przestała odnosić skutek, dziewczęta już nie krzyczały i nic nie obiecywały, a reszta parobków też zaczęła dokazywać. Tedy tamten parobek nożem dźgnął w dziurę, zaklinając się wśród najokropniejszych wyzwisk, że wyciągnie kołek i zajrzy, co jest w środku, należałoby przecież raz coś nowego zobaczyć. Wzbudziło to ponowne przerażenie, i chłopak, który się tak odgrażał, zaczął panoszyć się

nad wszystkimi i wymuszać wszystko, co tylko chciał, zwłaszcza u dziewcząt.

Bo też i był to jakiś dziwny człowiek, nikt nie wiedział, skąd się wziął. Umiał być łagodny jak baranek i drapieżny jak wilk; gdy bawił sam u jakiejś dziewczyny, był łagodnym jagnięciem, w większym gronie natomiast był drapieżnym wilkiem i sprawował się tak, jak gdyby wszystkich nienawidził i chciał przewyższyć szaleńczymi postępkami i słowami; ale kobiety takich uważać się niebawem ten, kto sobie najbezwstydniej poczyną, a za najlepszego ten, kto głosi najbardziej bezbożne słowa.

Tak działo się w tym domu na dole, i cała czeladź niebawem przypominała stado rozdokazywanych kotów. Już nie pamiętano o pacierzu, toteż nie żywiono szacunku dla bożej woli ani dla jego darów. Podobnie jak pycha kobiet Krystiana nie miała już granic, tak i zwierzęca swawola czeladzi nie znała żadnych hamulców. Bez lęku bezczeszczono chleb, łyżkami rzucano sobie owsiankę ponad stołem na głowę, nie dość na tym, po bydlęcemu zapaskudzano potrawy, aby innym złośliwie obrzydzić jedzenie. Droczyli się z sąsiadami, męczyli zwierzęta, pokpiwali z nabożeństw, przeczyli siłom wyższym i na wszelki sposób dokuczali duchownemu, który zganił ich słowami; krótko mówiąc, nie bali się już ani Boga, ani ludzi i z każdym dniem zachowywali się coraz bardziej wyzywająco. Najgorsze życie wiedli parobcy i służebne, a przy tym dręczyli się wzajemnie, ile tylko się dało, a kiedy parobcy już nie wiedzieli, jakim nowym sposobem dokuczyć sługom, jeden z nich wpadł na pomysł, aby pajakiem w dziurze straszyć dziewczuchy albo je sobie podporządkować. Ciskał łyżkami pełnymi owsianki lub mleka w kołek krzycząc, że pajak w środku jest pewnie głodny, ponieważ tyle setek lat nic nie dostał. Wówczas dziewczęta okropnie wrzeszczały i obiecywały wszystko, co tylko się dało, a nawet innych parobków ogarniała zgroza. Kiedy ta zabawa powtarzała się bezkarnie, przestała odnosić skutek, dziewczęta już nie krzyczały i nic nie obiecywały, a reszta parobków też zaczęła dokazywać. Tedy tamten parobek nożem dźgnął w dziurę, zaklinając

się wśród najokropniejszych wyzwisk, że wyciągnie kołek i zajrzy, co jest w środku, należałoby przecież raz coś nowego zobaczyć. Wzbudziło to ponowne przerażenie, i chłopak, który się tak odgrażał, zaczął panoszyć się nad wszystkimi i wymuszać wszystko, co tylko chciał, zwłaszcza u dziewcząt.

Bo też i był to jakiś dziwny człowiek, nikt nie wiedział, skąd się wziął. Umiał być łagodny jak baranek i drapieżny jak wilk; gdy bawił sam u jakiejś dziewczyny, był łagodnym jagnięciem, w większym gronie natomiast był drapieżnym wilkiem i sprawował się tak, jak gdyby wszystkich nienawidził i chciał przewyższyć szaleńczymi postępkami i słowami; ale kobiety takich podobno najbardziej lubią. Toteż dziewczęta jawnie gorszyły się nim, gdy jednak któraś była z nim sam na sam, lubiła go najwięcej ze wszystkich. Miał oczy niejednakowe, lecz nie wiadomo było, jakiego koloru, i nienawidziły się one wzajemnie, nigdy nie patrzyły w tę samą stronę, ale on umiał to ukryć długą grzywką i pokornym spuszczeniem powiek. Włosy miał pięknie sfalowane, jednak nikt nie wiedział, czy są rude, czy płowe, w cieniu wyglądały jak najładniejszy len, gdy zaś padało na nie słońce, nie było wiewiórki o bardziej rudej sierści. Dręczył zwierzęta jak nikt. Toteż szczerze go nienawidziły. Każdy parobek uważał się za jego przyjaciela, a on podjudzał wszystkich na wszystkich. Niewiastom z nowego domu jedynie on dogadzał i często sam tam bawił, wówczas sługi piekliły się na dole; gdy to spostrzegali, przytykał nóż do kołka i zaczynał znowu się odgrażać, dopóki dziewczęta nie uderzyły w pokorę.

Lecz i ta zabawa przestała odnosić skutek. Dziewczęta przywykły do niej i w końcu mówiły: „Zrób to wreszcie, jeśli możesz, ale nie możesz!”

Zbliżało się Boże Narodzenie, święta noc. Nie pamiętając o tym, co ją nam uświęca, umyślili sobie podczas niej urządzać wesołą zabawę. W zamku mieszkał tylko pewien stary rycerz, który niewiele już troszczył się o sprawy doczesne. Łotrowski włodarz zarządzał wszystkim na swoją korzyść. Za psi grosz wytargowali od niego szlachetne wino z Węgier, o który to kraj rycerze

toczyli ciężki bój. Nie znali mocy i ognia szlachetnego trunku.

Nadciągnęła potworna burza z piorunami i wichurą, jaka nieczęsto się zdarza o tej porze roku, że psa nie wygnałby spod pieca. Nie powstrzymała ich od pójścia do kościoła, gdyż nie poszliby również i przy pięknej pogodzie i puściliby swego pana samego, ale powstrzymała ona innych od odwiedzin; tak więc zostali sami w starym domu przy szlachetnym winie.

Rozpoczęli wilię przekleństwami i tańcem oraz jeszcze bardziej wyuzdanymi i gorszącymi rzeczami, po czym zasiedli do uczyty, na którą sługi ugotowały mięso, białą polewkę i co tam jeszcze udało im się smacznego ukraść. Wyuzdanie panoszyło się coraz gorsze, zapaskudzili wszystkie potrawy, bluźnili wszystkiemu, co święte; wspomniany już parobek kpił z duchownego, rozdzielał chleb i pił wino, jak gdyby odprawiał mszę, ochrzcił psa pod piecem i tak dokazywał, że aż tamtych strach obleciał, chociaż sami byli na ogół tacy bezecni. Wówczas dźgnął dziurę nożem, zaklinając się, że pokaże im jeszcze całkiem inne rzeczy. Kiedy nie okazali przerażenia, jako że już niejedyn raz odgrażał się w ten sposób i nożem niewiele mógł zdziałać przy kołku, parobek na wpół oszalały złapał świder i okrutnie pomstując, że dowiedzą się, co potrafi, oraz odpokutują za swój śmiech, aż im włosy dęba staną na głowie, dzikim pchnięciem wraził świder w kołek. Rzucili się na niego z wrzaskiem, ale zanim ktoś zdołał mu przeszkodzić, parobek zaśmiał się jak sam diabeł i mocno szarpnął świdrem.

Wówczas cały dom zatrzęsł się od straszego grzmotu, złoczyńca runął na wznak, z dziury wypłynął strumień czerwonego żaru, a w samym środku siedział ogromny i czarny, napęczniały jadem stuleci pająk i gapił się ze zjadliwą uciechą na bluźnierców, którzy skamienieli w śmiertelnym przerażeniu i nie potrafili ruszyć ani ręką, ani nogą, aby uciec przed okropnym potworem, który wolno i złośliwie wlaził im uradowany na twarze, wszczepiając ognistą śmierć.

I oto dom zadrżał od okropnego wycia, jakiego setka wilków nie wydobydzie z siebie, gdy je głód dręczy. Niebawem podobny lament rozległ

się też z nowego domu, i Krystian, który właśnie wracał z pasterki, był przekonany, że zbójcy się włamali, i ufny w swe silne ramię, rzucił się bliskim na pomoc. Nie zastał zbójców, lecz śmierć; z nią walczyły jego żona i matka, nie mające już głosu w swych opuchłych, szerniałych twarzach. Dzieci zaś spały spokojnie, a pogodne ich twarzyczki były zdrowe i rumiane. Wtedy w Krystianie zbudziło się okropne przeczucie tego, co zaszło; wpadł do domu na dole, tam ujrzał całą służbę pomarłą, izbę przemienioną w kostnicę, otwartą straszną dziurę w słupie, w ręce ohydnie zniekształconego parobka świder, a na końcu świdra kołek. Teraz wiedział, co się stało. Załamał ręce i gdyby pochłonęła go ziemia, nie sprzeciwiłby się temu. Wtem coś wychynęło spod pieca, tuląc się do niego. Przerażony, wzdrygnął się, ale nie był to pająk, lecz biedny chłopczyk, którego w imię boże wziął do domu i pozostawił pośród rozpustnej czeladzi, podobnie jak i teraz często się zdarza, że bierze się dzieci w imię boże i rzuca diabłu na pastwę. Chłopczyk nie brał udziału w bezceństwach służby, przerażony uciekł za piec. Jego jedyne go pająk oszczędził, i chłopczyk mógł teraz całe zajście opowiedzieć.

Ale jeszcze w trakcie opowiadania mąka poprzez burzę i wicher rozległ się lament z innych domów. Jak gdyby spęczniały od wielowiekowej oskomy pająk leciał przez dolinę, wybierając sobie najpierw co bogatsze domy, gdzie najmniej myślano o Bogu, natomiast najwięcej o świecie, i wskutek tego nie chciano pamiętać o śmierci.

Jeszcze dzień nie nastał, a już wieść dotarła do każdego domu: stary pająk się wydostał, znów krąży po wsi, niosąc śmierć; wiele już osób pomarło i w głębi doliny pod niebo wzbija się krzyk za krzykiem napiętnowanych, którzy będą musieli umrzeć. Można sobie zatem wyobrazić, jaki płacz nastał na ziemi, jaki strach we wszystkich sercach, co to było za Boże Narodzenie w Sumiswaldzie! Żadna dusza nie mogła myśleć o radości, jaką święta na ogół niosą ze sobą, a cała ta niedola zrodziła się z bluźnierstwa ludzi. Niedola zaś zwiększała się z każdym dniem, bowiem pająk był teraz szybszy, bardziej jadowity niż za pierwszym razem. To zjawiał się na początku, to na końcu

wsi, o jednym i tym samym czasie był w górach i w dolinie. Gdy przedtem zazwyczaj naznaczał kogoś tu, kogoś innego ówdzie, tym razem rzadko kiedy opuszczał dom, dopóki wszystkich nie otruł; dopiero gdy wszyscy skręcali się w przedśmiertnych drgawkach, siadał na progu i gapił się ze złośliwą uciechą na dzieło zniszczenia, jak gdyby chciał powiedzieć, że to on i że znów przybył, chociaż go tak długo więziono.

Zdawało się, że wie, iż ma mało czasu, albo też że chce sobie oszczędzić fatygi, bo gdzie tylko mógł, uśmiercał za jednym zamachem wiele ludzi. Dlatego najchętniej czał się na orszaki, które miały zmarłych odprowadzić do kościoła. To tu, to tam, najchętniej na dole przy dróżce kościelnej, zjawiał się pośrodku ciżby albo nagle gapił się z trumny na żałobników. Wówczas z orszaku wzbijał się pod niebo okropny lament, padał człek za człekiem, aż cały pochód leżał na drodze i mocował się ze śmiercią, aż nie został już nikt przy życiu, a wokół trumny piętrzył się stos trupów, niczym waleczni żołnierze wokół swego sztandaru, powaleni przeważającą siłą. Odtąd przestano zmarłych wozić do kościoła, nikt nie chciał ich nosić, nikt odprowadzać; gdzie śmierć ludzi poraziła, tam ich zostawiano.

Rozpacz zapanowała w całej dolinie. We wszystkich sercach zawrzała gniew, rozładowując się w straszliwych przekleństwach pod adresem biednego Krystiana; on miał teraz być wszystkiemu winien. Raptem wszyscy wiedzieli, że Krystian nie powinien był starego domu porzucić ani czeladzi pozostawić samej sobie. Raptem wszyscy wiedzieli, że pan w większym lub mniejszym stopniu jest odpowiedzialny za swoją czeladź, że powinien czuwać nad modlitwą i jadłem, nie dopuszczać do bezbożnego życia, bezbożnych słów i bezbożnego hańbienia darów bożych. Teraz nagle pycha i buta wszystkich odeszła; zepchnęli te grzechy na samo dno piekła i nie uwierzyliby nawet Bogu, że jeszcze przed niewielu dniami tak haniebnie je piastowali w sobie; wszyscy znów spobożnieli, nosili najgorsze szaty, w rękach trzymali stare, wzgardzone różańce i sami siebie przekonywali, że byli zawsze jednako bogobojni, i najchętniej byliby również Pana Boga o tym

przekonali. Spośród nich wszystkich jedynie tylko Krystian miał być bezbożny i zewsząd niby głązy sypały się na niego przekleństwa. A może właśnie on był ze wszystkich najlepszy, ale wola jego była skrępowana wolą jego niewiast, i takie skrępowanie jest rzeczywiście wielką winą każdego męża, i nie uniknie on ciężkiej odpowiedzialności, ponieważ jest inny, niż chce go mieć Pan Bóg. Krystian zdawał sobie z tego sprawę, toteż nie był hardy, nie wierzgał, lecz czuł się bardziej winny, niż był w istocie; ale ludzi tym nie przebłagał, teraz dopiero podnieśli wrzask, jak wielka musi być jego wina, skoro bierze tyle na siebie i nawet sam przyznaje, że nie jest nic wart.

On zaś modlił się dzień i noc do Boga, aby odwrócił zło, lecz ono potęgowało się coraz okropniej z dnia na dzień. Uświadomił sobie, że musi naprawić błąd, jaki popełnił, że musi siebie złożyć w ofierze, że do niego należy spełnienie tego samego uczynku, jakiego dokonała niegdyś jego antenatka. Tak długo modlił się do Boga, aż zrodziła się w jego sercu decyzja uratowania mieszkańców doliny, odkupienia zła, a do decyzji tej dołączyła się niezłomna odwaga, która, niezachwiana, zawsze jest gotowa do czynu, tak samo rano, jak i wieczorem.

Wówczas przeprowadził się wraz z dziećmi z nowego domu do starego, przyciął nowy kołek do zatkania dziury, dał go poświecić święconą wodą i świętymi wersetami, położył młot obok kółka, usiadł przy łóżkach dzieci i czekał na pająka.

Siedział tedy, modlił się, czuwał i dzielnie walczył z ciężkim snem, nie poddając się; ale pająk nie przychodził, jakkolwiek pokazywał się wszędzie, bowiem zaraza szerzyła się coraz więcej, i coraz bardziej nieokiełznana stawała się wściekłość tych, co pozostali przy życiu.

Wśród tego całego strachu pewna kobieta o niesfornym usposobieniu miała urodzić dziecko. Wtedy ludzi ogarnęła dawna trwoga, że pająk porwie dzieciątko, fant starego paktu. Kobieta zachowywała się jak szalona, pozbawiona ufności w Bogu, miała za to tym więcej nienawiści i mściwości w sercu.

Pamiętano, jak ojcowie swego czasu bronili się przed strzelcem, gdy miało narodzić się dziecko, jak ksiądz był tarczą, którą ustawiali między sobą a odwiecznym wrogiem. Chcieli również tym razem posłać po duchownego, ale kto miał być gońcem? Nie pochowane trupy, które pająk poraził podczas pogrzebów, tarasowały drogi, i czy posłaniec, chcący sprowadzić księdza przez dzikie wertepy, będzie umiał wymknąć się pająkowi, który zdawał się być wszechwiedzący? Wszyscy stchórzyli. Wreszcie mąż tej kobiety pomyślał, że jeśli pająk chce go mieć, może go dopaść zarówno w domu, jak i w drodze; jeśli przeznaczona mu śmierć, nie uniknie jej ani tu, ani tam.

Ruszył w drogę, ale mijała godzina za godziną, a posłaniec nie wracał. Gniew i strach stawały się coraz okropniejsze, poród był coraz bliższy. Wtedy niewiasta w przypływie rozpaczki zerwała się z posłania, pognąła do domu Krystiana, tysiącrotnie przeklinanego, który modląc się siedział przy dzieciach, gotowy na bój z pająkiem. Już z daleka rozlegał się krzyk kobiety, jej przekleństwa łomotały o drzwi Krystiana na długo przedtem, zanim je pchnęła i wniosła łomot do izby. Gdy wpadła z tak straszną twarzą, Krystian zerwał się; w pierwszej chwili nie wiedział, czy to Krystyna w swej pierwotnej postaci. W progu jednak bóle zatrzymały kobietę, skręcała się przy odrzwiach, wylewając potok przekleństw na biednego Krystiana. On miał być gońcem, jeśli nie chce być przeklęty wraz z dziećmi i wnukami na wieki wieków. Wtem ból zdławił jej wyzwiska, i szalona kobieta urodziła synka na progu Krystiana, a ci wszyscy, którzy przyszli za nią, czmychnęli, w oczekiwaniu czegoś najgorszego. Krystian trzymał na rękach niewinne dziecię; ze zniekształconej cierpieniem twarzy kobiety dźgały go dziko i jadowicie jej oczy, i coraz bardziej zdawało mu się, że jawił się z nich pająk, że ona sama jest pająkiem. Wtem wstąpiła w niego jakaś moc od Boga, i okrzepła w nim nadludzka wola: ciepłym spojrzeniem ogarnął swoje dzieci, otulił nowo narodzone dziecko ciepłym kubrakiem i minąwszy zagapioną w siebie kobietę, pobiegł doliną w dół, w stronę Sumiswaldu. Sam chciał zanieść dzieciątko do świętego obrządku, dla odkupienia winy ciężącej na

nim, głowie domu, resztę pozostawiając Panu Bogu. Trupy tamowały mu drogę, ostrożnie musiał stawiać kroki. Wtem dogoniły go lekkie kroki, był to ów biedny chłopczyk, bojący się tamtej wściekłej kobiety; dziecięcy instynkt popchnął go za panem. Niby ciernie przeszła serce Krystiana świadomość, że jego dzieci są same z tą szalejącą kobietą. Lecz nogi nie zatrzymały się, tylko zdążyły do świętego celu.

Już był na dole przy dróżce kościelnej, widział kapliczkę, wtem coś rozbłysło nagle przed nim na środku drogi, coś poruszyło się w zaroślach, na drodze siedział pająk, w krzakach zachwiało się czerwone piórko, i pająk uniósł się wysoko w górę jakby do skoku. Wtedy Krystian donośnym głosem wezwał Trójkę Świętą, i z zarośli rozległ się dziki okrzyk, czerwone piórko zniknęło, Krystian zaś złożył dziecko na rękach chłopczyka i polecając ducha Panu, sięgnął mocną dłonią po pająka, który jak gdyby zaklęty świętymi słowami tkwił nieruchomo w miejscu. Żar rozszedł się po kościach Krystiana, ale nie zwolnił uścisku; droga była wolna, i rozgarnięty chłopczyk pospieszył z dzieckiem do księdza. Krystian zaś, z ogniem w silnej dłoni, uskrzydłony biegiem, gnał w stronę swojego domu. Straszna była pożoga w jego ręce, jad pająka przenikał całe ciało. Krew zamieniła się w żar. Siły chciały Krystiana opuścić, dech mu zamierał, ale on modlił się bez ustanku i mając Boga przed oczami, wytrzymał żar piekieł. Już widział swój dom, wraz z bólem rosła nadzieja, kobieta stała w progu. Gdy ujrzała, że nadchodzi bez dziecka, rzuciła się nań niby tygrysica, której porwano kocięta; podejrzewała go o haniebną zdradę. Nie zważała na jego znaki, nie słuchała słów wydobytych z zadyszanej piersi, rzuciła się na jego wyciągnięte ręce, uczepiła się ich, w śmiertelnym przerażeniu musiał oszalałą zawlec do izby, oswobodzić ręce, zanim mu się uda pająka wepchnąć do starej dziury i konającymi dłońmi zabić ją kołkiem. Z pomocą boską dokonał tego. Rzucą zamierające spojrzenie na dzieci, które uśmiechają się błogo we śnie. Wtedy czuje ogromną ulgę, czyjaś wyższa dłoń zdaje się gasić jego żar, głośno się modląc, Krystian zamyka oczy i kona, a ci, co ostrożnie i z lękiem nadeszli,

aby zobaczyć, gdzie podziła się kobieta, widzą pokój i radość na jego obliczu. Ze zdumieniem ujrzeni zabita dziurę, ale kobietę znaleźli poparzoną i zniekształconą w skurczu śmierci. Z ręki Krystiana wzięła ognistą śmierć. Stali jeszcze, nie wiedząc, co się wydarzyło, gdy chłopczyk z noworodkiem wrócił wraz z księdzem, który ówczesnym zwyczajem szybko ochrzcił dziecko i dobrze uzbrojony, śmiało zamierzał ruszyć w bój, w jakim jego poprzednik zwycięsko postradał życie. Ale Bóg nie domagał się takiej ofiary od niego, walkę wygrał już ktoś inny.

Nie mogli pojąć, że tak wielkiego czynu Krystian dokonał. Kiedy wreszcie spłynęła na nich wiara i poznanie, pełni radości modlili się razem z księdzem, dziękując Bogu za wrócone życie i za moc, jaką obdarzył Krystiana. Krystiana zaś przepraszali jeszcze po śmierci za wyrządzoną mu krzywdę i postanowili pochować go z wszelkimi honorami, a jego pamięć zachowała się świetlista niby pamięć świętego we wszystkich duszach.

Nie wiedzieli wprost, co się z nimi dzieje, kiedy ten okropny strach, który ustawicznie wprawiał ich ciała w drżenie, nagle zniknął, i z radością znów mogli podnieść oczy na błękit nieba, bez obawy, że pajak tymczasem wdrapie się im na nogi. Postanowili zamówić liczne msze oraz urządzać wspólny pochód do kościoła, a przede wszystkim chcieli pochować zwłoki Krystiana i jego gnębieli, po czym również reszta miała być w miarę możliwości pochowana.

Był to uroczysty dzień, kiedy cała dolina szła do kościoła, a także w niejednym sercu panował uroczysty nastrój, rozpoznano niejednen grzech, uczyniono niejednen ślub, i od tego dnia nie spotykało się już takiej przesady w zachowaniu i w strojach.

Kiedy w kościele i na cmentarzu popłynęło już wiele łez i odmówiono wiele pacierzy, mieszkańcy całej doliny, którzy przyszli na pogrzeb, a przyszli wszyscy, którzy mogli ruszać nogami, udali się na zwyczajową stypę do gospody. I zdarzyło się tak, że, jak każe obyczaj, niewiasty i dzieci siedziały przy osobnym stole, zaś wszyscy dorośli mężczyźni zmieścili się

przy słynnym „tarczowym stole”, który jeszcze dziś można zobaczyć *Pod Niedźwiedziem* w Sumiswaldzie. Zachowano go na pamiątkę, że niegdyś było mężczyzn tylko dwa tuziny, gdzie obecnie mieszka ich dwa tysiące, na pamiątkę, że również oni są w ręku Tego, który ocalił owe dwa tuziny. Nie zabawiono zbyt długo na tej stypie; serca były zanadto wezbrane żalnością, żeby mogło się w nich zmieścić wiele jadła i napitku. Gdy wyszli ze wsi na wyżynę, ujrzeli łunę na niebie, a gdy wrócili w dolinę, zastali nowy dom spalony aż do posad. Nigdy nie dowiedziano się, jak to się stało.

Ale ludzie nie zapomnieli, co zawdzięczali Krystianowi, i odpłacili mu się w jego dzieciach. Wychowali je na bogobojnych i dzielnych ludzi w najpobożniejszych domach; niczyja ręka nie targnęła się na ich mienie, jakkolwiek nie prowadzono żadnych rachunków. Pomnażano i dbano o ich dobytek, i kiedy dzieci osiągnęły wiek dorosły, nie tylko że nie zostały okradzione z mienia, ale, co ważniejsza, nie zubożono także ich dusz. Były prawe i bogobojne, cieszyły się łaską Boga i sympatią ludzi, błogosławieństwem w życiu i jeszcze większym w niebie. I tak już w rodzinie zostało, nie bano się pająka, gdyż bano się Boga, i jak było, tak niechaj też pozostanie, jeśli Bóg dozwoli, dopóki tu stoi dom, dopóki, dzieci w postępowaniu i w myślach idą śladem rodziców.

W tym miejscu dziadek umilkł, i wszyscy milczeli długą chwilę, jedni dumając nad tym, co usłyszeli, drudzy w mniemaniu, że dziadek pragnie zaczerpnąć tchu i potem znów podejmie wątek.

Wreszcie starszy kum zabrał głos: — Nieraz siedziałem przy tym stole i słyszałem o zarazie, i że po niej cała męska ludność wioski mieściła się przy nim. Ale jak to wszystko w rzeczywistości się działo, tego nikt nie umiał mi powiedzieć. Jedni gadali tak, a drudzy inaczej. Ale powiedz, skąd dowiedziałeś się o tym wszystkim?

— Ha — odrzekł dziadek — przekazywało się to u nas z ojca na syna, a kiedy pamięć o całym zdarzeniu zaginęła u mieszkańców doliny, stało się to rodzinnym sekretem i lękano się mówić o nim coś ludziom. Tylko w rodzinie

mówiono o tym, aby nikt ze swoich nie zapomniał, co dom buduje, a co go burzy, co przynosi błogosławieństwo, a co błogosławieństwo odpędza. Widzisz chyba po mojej starej, jak nie lubi, gdy tak publicznie rozprawia się o tym. Ale mnie się wydaje, że im dalej, tym bardziej należy mówić, do czego może doprowadzić pycha i buta. Dlatego też nie robię już takiej tajemnicy z całej tej sprawy i nie po raz pierwszy się zdarzyło, że opowiedziałem ją wśród bliskich przyjaciół. Zawsze uważam, że to, co naszej rodzinie przez tyle lat dawało szczęście, nie zaszkodzi również innym, i nie jest słuszne robić tajemnicę z czegoś, co przynosi szczęście i błogosławieństwo boże.

— Masz rację kuzynie — odparł kum — ale jednak muszę cię jeszcze o coś spytać: Czy ten dom, który zburzyłeś przed siedmiu laty, był tym pradawnym domem? Trudno mi w to uwierzyć.

— Nie — przyznał się dziadek. — Pradawny dom chylił się już ku upadkowi niemal trzysta lat temu, i błogosławieństwo boże na roli i niwach od dawna już się w nim nie mieściło. Rodzina jednak nie chciała go opuścić, a nowego nie mogła wybudować, bowiem nie zapomniała, co stało się z poprzednim domem. Tak więc mieli ogromny kłopot, i w końcu zwrócili się po radę do pewnego mędrca, który podobno mieszkał w Haslebachu. Ów człek miał powiedzieć: Mogę wybudować nowy dom na miejscu starego, ale nie gdzie indziej, muszę jednak zachować dwie rzeczy, stare drewno, w którym siedzi pająk, oraz starodawnego ducha, który uwięził pająka w starym drewnie, wówczas starodawne błogosławieństwo zamieszka również w nowym domu.

Wybudowali więc nowy dom i wśród modlitw z wielką dbałością przymocowali przy nim stary kawał drewna, i ani pająk się nie ruszył, ani duch i błogosławieństwo się nie zmieniło.

Ale także nowy dom się zestarzał i stał się za ciasny, dyle zrobaczywiały i zbutwiały, jedynie słup pozostał nietknięty i twardy jak żelazo. Już mój ojciec miał budować, lecz jeszcze się jakoś wybronił, kolej przyszła na mnie.

Po długim wahaniu zaryzykowałem. Postąpiłem tak jak tamci przede mną, umieściłem stary słupek przy nowym domu, i pająk nie drgnął. Ale wyznam: Nigdy w życiu nie modliłem się równie żarliwie jak wówczas, kiedy trzymałem fatalny słupek w ręce; ręka mnie piekła, całe ciało, mimo woli musiałem zerkać, czy nie występują mi czarne plamy na dłoni i ciele, i cała góra kamieni spadła mi z serca, gdy wreszcie wszystko stanęło na swoim miejscu. Wtedy jeszcze bardziej umocniło się we mnie przekonanie, że ani ja, ani moje dzieci i wnuki nie mają się czego obawiać ze strony pająka, póki boimy się Boga.

Dziadek umilkł i wszystkim ciarki przebiegły po plecach, gdy usłyszeli, że dziadek miał słupek w ręce, i pomyśleli, jak by się też sami poczuli, gdyby go musieli dotknąć.

Wreszcie kuzyn się odezwał: — Szkoda tylko, że nie wiadomo, ile jest prawdy w takich historiach. Trudno we wszystko uwierzyć, a jednak coś musi być na rzeczy, w przeciwnym razie nie byłoby tu tego starego kawałka drewna.

Mniejsza o to, ile w tym prawdy, jednak można się z tego wiele nauczyć, stwierdził młodszy kuzyn, i ponadto miło upłynął im czas, zdaje mu się, że dopiero co wrócił z kościoła.

Niechże tyle nie gadają, wtrąciła babka, bo stary gotów zacząć nową historię, niech wreszcie zaczną jeść i pić, wszak to istny wstyd, że nikt nie rusza jadła ani trunku. Chyba nie wszystko jest takie złe, przecież nie żalowali niczego, w miarę możliwości.

Teraz zaczęto dużo jeść i dużo pić, i od czasu do czasu wymieniano niejedno rozsądne słówko, aż wreszcie na niebie pojawił się księżyc, duży i złoty, i gwiazdy wyszły ze swoich komórek, aby ludziom przypomnieć, że pora pójść spać do alkierzy.

Doskonale widzieli te upomnienia, które przychodziły z niebios, ale siedziało im się tutaj nazbyt przytulnie, i każdemu coś niesamowicie kołatało pod halsztukiem, gdy pomyślał o powrocie do domu, i choć nikt głośno o tym

nie mówił, nikt nie chciał być pierwszym.

Wreszcie kuma wstała i z drżącym sercem zabrała się do odejścia, i nie zabrakło jej godnych zaufania towarzyszy; wszyscy zaproszeni opuścili gościnnych gospodarzy wśród rozlicznych podziękowań i życzeń pomyślności oraz próśb skierowanych do każdego z osobna i do wszystkich razem, aby jeszcze zostali, przecież jak na złość wcale się nie ściemnia.

Niebawem cisza zaległa wokół domu i niebawem również w samym domu nastąpiła cisza. Dom stał spokojny, schludny i piękny, w poświacie księżycy jaśniał w dolinie, troskliwie i życzliwie chroniąc zacnych ludzi, pogrążonych w słodkim śnie, jakim śpią ci, którzy mają bojaźń Boga w sercu oraz czyste sumienie, i których przenigdy czarny pajak nie zbudzi ze snu, lecz tylko przyjazne słońce. Bowiem tam, gdzie panuje taki duch, pajakowi nie wolno się ruszyć, ani w dzień, ani w nocy. Jaka jednak rodzi się w mm moc, jeśli duch się odmieni, o tym wie jedynie Ten, który wie wszystko i każdemu przydziela siły, zarówno pajakom, jak ludziom.

Przełożyła Edyta Sicińska

Ludwig Bechstein

CHŁOPIEC NA WIDŁACH

Działo się to w czasie wojny trzydziestoletniej, w roku pańskim 1627, trudno powiedzieć, iż pomyślnym, gdyż w latach owych w drodze niemieckiej ojczyźnie można było spotkać jedynie nieszczęście; z jednej strony wojna z całą swoją grozą i krwawymi okropnościami, z drugiej zaś przerażające otępienie umysłów, a zwłaszcza wśród uczonych w prawie — którzy we wszystkich czasach potrafili, trzymając się ściśle jego litery, czynić z prawa bezprawie, a wszelką rozsądną myśl sprowadzać do absurdu.

Zaglądamy oto, sami pozostając jednocześnie niewidzialnymi świadkami, do sali sądowej rycerskiego zamku Massbach we wsi Massbach, dziś podlegającej królewskiemu bawarskiemu sądowi krajowemu w Miinnerstadt, wówczas zaś jeszcze saksońsko–henneberskiej zwierzchności. Izba sądowa znajdowała się w tak zwanym Nowym Zamku, który rodzina panów na Massbachu kazała dobudować do swej staroświecko wyglądającej siedziby. W izbie owej zgromadziły się różne osoby; przede wszystkim szlachetny młody dziedzic włości, przewodniczący sądowi Filip–Krzysztof von i zu Massbach, następnie jego pani matka, pogrążona w żałobie pani Wittib — już nie jak dawniej powabna: raczej chuda postać o dumnych, surowych i ostrych rysach. Dalej Mikołaj Mergilet, syn lub bliski krewny wielce szanownego pana Andrzeja Mergileta, uwieńczonego niegdyś przez Pawła Meliusza Schediusa godnością cesarskiego poety. Jednakże niegdyjszy proboszcz z Miihlfeld i Puppenlauer nie miał w sobie nic z poezji. Służył w dobrach Massbachów, był sądowym pisarzem, a teraz w obecności wielmożnych dziedziców przesłuchiwał biednego, małego, bosego przestępcę, „mniej więcej dziewięcioletniego”, zwącego się Linhard, syna świniopasa, żwawego

i śmiałego, zupełnie nie zmieszanego, miłego chłopca o błyszczących niebieskich oczach i bardzo jasnych włosach, odzianego jedynie w lnianą świtkę — chłopca, zdawałoby się, nie umiejącego zabić nawet muchy. Wielmożna pani matka i jej równie wielmożny syn siedzieli w starych, twardejch fotelach, wyściełanych końskim włosiem i skórą, o oparciach ozdobionych wy—rzeźbionymi liśćmi i głowami aniołków. Pisarz sądowy zdawał sobie sprawę, iż jest osobą urzędową, rozsiadł się więc możliwie szeroko, przebierał w swoich piórach, chrząkał, a gdyby miał okulary, to można by postawić sto przeciwko jednemu, iż przetarłby je dokładnie swoją śnieżnobiłą chusteczką. Wreszcie pan Mikołaj Mergilet zanurzył swoje pióro w stojącym przed nim ciężkim, ołowianym kałamarzu, przysunął ku sobie plik papieru do protokołowania i po upomnieniu, iż należy dobrowolnie zeznawać prawdę i tylko prawdę, zaczął łagodnie wypytywać: — Powiedz, jak się nazywasz?

— Linhard! — odpowiedział dziewięcioletni obwiniony.

— Linhard, pięknie, a twoje nazwisko?

— Co to jest nazwisko?

— Stultus! Jak się nazywa twój ojciec?

— Świniopas!

Pisarz sądowy sapnął ze zniecierpliwienia. Wielmożna pani przytknęła małą cynową puszkę z piżmem do sporych otworów swego organu powonienia i potrząsnęła głową.

Pisarz sądowy pytał dalej: — Czy to prawda, że posiadasz czarodziejską sztukę latania na widłach i żeś tę sztukę uprawiał?

— Tak, to prawda!

— Gdzie i kiedyś się nauczył owej sztuki?

— Przed dwoma laty w Rheinfeld! (Dzisiaj zwane Rheinfelshof.) — A od kogoś się jej nauczył?

— Od świniopasa z Rheinfeld.

— A bodaj cię! Worek ze świniopasami się rozerwał! Łaskawa pani

ponownie uniosła puszkę z piżmem ku swej twarzy.

— Oczywiście twe serce boleje, iześ się nauczył tak nikczemnej sztuki, i z pewnością głęboko tego żałujesz?

— Nie! Zupełnie tego nie żałuję, bo to jest prawdziwie piękna, wyzwolona sztuka.

Słowa te przejęły pisarza i dostojnych obecnych lekkim dreszczem odrazy.

— Używałeś tak zwanego mazidla czy też maści czarownic? Skąd ją wzięłeś?

— Nigdy niczego nie brałem; maść kupiłem od grabarza ze Schweinfurtu; on ją sprzedaje po miarce za grosz.

„Grabarz, Schweinfurt, miarka za grosz”, zaprotokołował przesłuchujący i wypytywał dalej: — Z czego robi się taką maść? Jeżeli jest ci to wiadome, wyznaj szczerze i otwarcie!

— Czemu nie? Robi się ją z mleka, z nie ochrzczonych dzieci i z innych rzeczy, których nazwy nie znam.

— Z nie ochrzczonych dzieci! Okropność! Czy robi się z nich i inne diabelskie specyfiki?

— O, tak! Można robić również proszek, bardzo dobry na myszy; wystarczy szczyptę takiego proszku włożyć myszy do pyszczka, a zaraz zdechnie.

— Stultus! Jeśli ma się już mysz w rękę, to nie trzeba żadnego proszku, wystarczy ją zadusić.

— Można i w ten sposób, ale proszek jest lepszy.

— Do rzeczy, do rzeczy! Nie gubić się w głupstwach! A jeżeli nie można dostać nie ochrzczonego dziecka?

— Wtedy da się ją zrobić z żydów, bo oni zawsze oszukują ludzi!

— Niegodziwiec! Co też ty nam tu za głupstwa wygadujesz? Ile smarowidła uzyskują sojusznicy szatana z jednego takiego nieszczęsnego dzieciątka?

— Około pięciu do sześciu miarek. Z żyda, jeśli jest duży, można uzyskać

więcej, bez porównania więcej.

— Czy ojciec i matka wiedzą o tych twoich piekielnych kunsztach?

— Oczywiście. Każde z nas ma własny garnek ze smarowidłem; mój ojciec codziennie zagląda do swojego, matka postawiła swój w szafie, a oboje wiedzą także, gdzie stoi mój.

— Do pioruna, dosyć! A w jaki sposób używa się omawianego mazidla? Powiedz, jak ono działa.

— Jeżeli posmaruje się nim człowieka chorego, to wyzdrowieje, a jeżeli zdrowego, to zachoruje i umrze.

— Czy ten czarnoksięski środek działa również na zwierzęta?

— O, tak! Dlaczego by i nie? Z dobrym skutkiem. Jeśli chcę uśmiercić jakieś zwierzę, to smaruję mu nim nos i cztery nogi, a wtedy ginie.

— Horribile dictu! Powiedz, czy rzeczywiście dopuszczaliście się takiego grzechu uśmiercania zwierząt?

— Tylko jeden jedyny raz, albo dwa razy. Było to ubiegłego roku w lecie. Moja matka zabrała mnie do Rheinfeld, gdzie pracowała na dniówkę u wieśniaka nazwiskiem Heikelmann, pieląc warzywnik. Chłopu nie podobało się, że matka mnie przyprowadziła, bo myślał, że będzie musiał wykarmić dwie gęby zamiast jednej. Mruczał, burczał i patrzył na mnie chmurnie i niechętnie jak na wroga. To mnie tak rozjątrzyło, że zakradłem się do stajni i posmarowałem jego koniowi pysk i nos, a także kopyta i ogon; dlatego w nocy oszalał i w rozhukaniu swoim padł martwy, nim zapiał pierwszy kur. Gdy wczesnym rankiem wieśniak wszedł do stajni, biedne zwierzę padło, całe pokryte pianą, leżało z wyciągniętymi nogami, a wieśniak mało nie zwariował ze złości i przeklinał cały świat i Mękę Pańską, i więcej niż raz krzyczał: Ki diabeł, ki diabeł tak ohydnie umęczył mojego biednego konia? Nie pisałem ani słówka i śmiałem się w kułak. Tym diabłem byłem przecież ja.

— Pomiot piekielny! Diablątko! — złościł się pan Mikołaj Mergilet, pospiesznie zapisując osobliwe wyznanie.

— Czy przestępstwa tego dokonałeś sam?

— Nie, ktoś mi pomagał.

— Kto ci w tym dopomógł?

— Mój pan, duch! Belial!

— Panie Jezu! — krzyknęła, zadrżawszy z przerażenia, szlachetna pani.

— A jak duch wygląda? W jaki sposób przychodzi do ciebie?

— Wygląda szkaradnie, a przychodzi przez okno. Ma czarną brodę i kopyciaste stopy na cztery palce grube i na cztery palce długie.

— Czy gdy przychodzi, to przynosi coś tobie albo twoim rodzicom?

— O, tak, był wczoraj i przyniósł wiadro wystającego wina, które zabrał z Obcreisensheimu. Przynosi też za każdym razem smaczne, żółte, drożdżowe ciasto, które jemy.

— Czy masz tylko tego jednego pana i ducha, czy też jest ich więcej?

— Zawsze tylko jednego na raz; ten jest moim piątym. Zaofiarował swoje usługi, gdy poprzedniemu wymówiłem.

— Jak długo zły duch przebywał u was ostatnio?

— Przez pół poprzedniej nocy. Siedzieliśmy razem i piliśmy; potem mój pan położył się koło mnie i śpiewał, a potem przed świtem odleciał.

— Diabeł śpiewał! To coś zupełnie nowego! — zauważył szlachetny junkier Filip Krzysztof von Massbach.

— A potem odleciał! W głowie się od tego kręci! Należałoby uważać to za niemożliwe, gdyby taka niewiara nie była bezbożna i arcyheretycka! — mruzczał, pisząc, pan Mergilct i wypytywał dalej: — Czy brałeś udział w tańcach i gdzie?

— O, tak, na górze Zeusing, gdzie spotykają się czarownice. Jest tam również źródło, z którego musiałem pić, aby nauczyć się kunsztów.

— A kiedy i w jaki sposób odbywają się te tańce?

— Mamy w roku pięć świętych tańców na górze Zeusing, w tym jeden w Wigilię, jeden na Wielkanoc i jeden w Zielone Świątki.

— Jezu Chryste — zawołała dostojna pani — i to ten piekielnik nazywa

świętymi tańcami!

— Czy podczas tych diabelskich tańców grała muzyka? I kto był grajkim?

— Oczywiście, muzyka grała zawsze. Na flecie grali Hans z Weipoltshofenu i Schafbalzer, lecz byli tam i inni, których nie znam. Stara Coppin z Massbachu musiała świecić, a jej córka Anna objaśniać światło. Tańczyła z nami również Nasenbart i stary Pfuzenhannes ze swoim małym.

— A co spożywało to nieczne zgromadzenie w czasie tańców?

— Różności: jedliśmy kaszę jaglaną, mięso, zajęcze i gęsie podróbki, a także smaczne ciasto, i piliśmy dobre wino. Tylko stara Cöppin dostawała do picia sok z gruszek.

— Czy wiesz, jak czynić szkodę na łąkach i w zbożu?

— Oczywiście, ale sztuki tej nigdy nie praktykowałem, bo to jest grzechem. W ubiegłym roku złodzieje mleka wszystko niszczyli, ale tego roku winorośl i zboże dadzą dobre plony.

— Kogo masz na myśli, mówiąc o złodziejach mleka?

— Czarowników! Takim czarownikiem jest Pfutzenhannes; ma on ducha, który jest prawdziwym starym, złym diabłem, noszącym czarne jak smoła ubranie.

— Czy tacy przekłęci od Boga czarownicy potrafią uśmiercać również ludzi? I jak to czynią?

— Pfutzenhannes potrafi, tak samo jak ja, który tego nie czynię. Wystarczy wziąć szczyptę proszku z dziecka, nasypać komuś na plecy, a onże musi umrzeć.

Dostojna pani wydała okrzyk przerażenia — coś ją połaskotało w grzbiet — i gwałtownie się odwróciła. Myślała, że ktoś za nią stoi i sypie jej truciznę na plecy.

— A czy ci socjusze szatana i złoczyńcy nie wierzą w wieczną karę po śmierci?

— O, tak! Wierzą. Jeśli na przykład umrze Pfutzenhannes, będzie musiał

na wieki siedzieć przed bramami piekieł i wyć jak pies.

Teraz szlachetna pani, którą już od dawna korciło, by również wziąć udział w wypytywaniu, powiedziała: — A gdyby, chłopcze, twój pan kazał ci uśmiercić jednego z moich wołów, uczyniłbyś to?

— Za pozwoleniem waszej dostojności, proszę mi tego nie wziąć za złe, ale musiałbym to uczynić, nawet gdybym nie chciał, bo inaczej mój pan by mnie zabił.

Pisarz sądowy potrząsnął z dezaprobatą głową, mrużąc pod nosem: — *Mulier taceat in ecclesia!* — machnął zawijas pod swoim protokołem i posypawszy obficie piaskiem, powiedział: — Najłaskawsi państwo, na dzisiaj to wystarczy. Uważam, że dostojny sąd bez zwłoki wyśle przez konnego gońca dzisiejszy protokół wraz ze sprawozdaniem do władzy krajowej w Meiningen, aby otrzymać rozkaz, co w tej wielce kryminalnej sprawie przedsięwziąć.

— Niech to uczyni! — powiedziała pani Wittib von Massbach. Pan Mergilet zadzwonił, i wszedł strażnik, lecz szlachetny junkier zwrócił się jeszcze do młodego czarownika: — Na pewno wiesz, kto uśmiercił mojego konia! Wyznaj to natychmiast i bez krętactwa!

— Zrobił to chłopak Pfuzenhannesa. Posmarował koniowi pysk i kopyta. Właśnie wczoraj wyjawiał mi to pod przysięgą mój pan.

— Jak przysięgał twój pan?

— Powiedział: jest to prawda jak złoto.

— Odprowadzić chłopca i dobrze go pilnować — rozkazał pisarz sądowy pachołkowi, i mały jeździec na widłach podążył z pogodną twarzą i w dobrym nastroju z powrotem do więzienia, które tegoż rana opuścił.

Dama podniosła się i westchnęła: — Czegóż to się nie przeżywa w tych bezbożnych, złych i strasznych czasach! Antychryst stoi u drzwi. Pójdę do mojej izdebki, zamknę się i zaśpiewam modlitwę: *Przed szatanem chroń nas, Panie!*

— Pfutzenhannesa i jego piekielnego chłopaka trzeba natychmiast uwięzić

— rozkazał junkier — to będzie ładny kram, gdy wszystkich tych współników diabła będziemy musieli zatrzymać i żywić, bo że taki rozkaz nadejdzie, to widzę z góry bez okularów.

Po tych słowach również on opuścił kancelarię. Pisarz sądowy wstał, sapnął i stęknął: — Takie przesłuchanie to piekielna praca, tak rozgrzewa, że można dostać kołowacizny, a gdy wreszcie i dostojna pani zaczyna pomagać w przesłuchiowaniu, to łatwo można poplątać wszystko w protokole. Ale poczekaj tylko, mały piekielniku, już my przygotowujemy ci piękny stosik na tej niecnej górze Zeusing, i tam gdzie tańcowałeś, będziesz śpiewał. Przesłuchiwałem już wielu podobnych tobie, lecz nigdy takiego młodego piekielnika, który by tak otwarcie, bezczelnie wyznawał wszystko, jak gdyby nie chodziło o jego na wieki potępioną duszę.

Pan Mikołaj Mergilet napisał sprawozdanie i wysłał je wraz z protokołem. Następnego dnia o zwykłej godzinie rozpoczęcia przesłuchań powtórzyła się wczorajsza scena; mały jeździec na widłach miał teraz zeznać jeszcze więcej. Dostojną panią — chociaż ją to przerażało — pożerała ciekawość, a zeznania chłopca były czymś zupełnie nowym, niesłychanym i osobliwym. Jeszcze nigdy posądzony o czary nie zeznawał z taką gotowością, bez żadnego przymusu, bez najmniejszego napomknienia o torturach. Dostojni obecni siedzieli, pióra były świeżo zacięte, mały Linhard stał przed barierką, a pan Mergilet rozpoczął: — Wiadomym jest, i nasza najdostojniejsza pani władczyni sama widziała to wraz ze swoim fraucymerem, że przed kilku dniami płonął w nocy ogień na kuchni w domku świniopasa, a także po wielokroć otwierały się i zamykały drzwi. Co się wówczas u was działo?

— To było przedwczoraj! Przyszedł duch, mój pan, i przyniósł martwe dziecko; rozpaliliśmy ogień, ponieważ w piecu wielki garnek się nie mieścił, i na tym ogniu gotowaliśmy je w garnku. Moja matka siedziała przy ogniu i wiała z błyszczu wianki dla narzeczonej na nadchodzące wesele syna mojego pana.

— Wianki, duch, syn, wesele, narzeczona, coraz lepiej! — mruczał pan

Mergilet, pospiesznie pisząc, i spytał: — Co jest ci jeszcze wiadome o czarach i diabelskich sztuczkach? Wyznaj to otwarcie i bez oporu!

— Przed rokiem moja matka pracowała w gospodzie w Heidenfeld, i było podobnie jak u wieśniaka w Rheinfeld: karczmarz zrobił kwaśną minę i nie chciał dać mi nic do jedzenia, więc jeden kogut, dwie kury i świnia musiały zdechnąć. Następnie przed pięcioma laty stary Pfutzenhannes uśmiercił naszej dostojnej pani na Nowym Zamku cztery krowy i pięć wołów.

— Niesłychane! Okropne! — krzyknęła pani. — I dopiero teraz dowiadujemy się o tym! Pisarz sądowy niech natychmiast każe starego aresztować!

— Już siedzi z łańcuchami na rękach i nogach w podziemiu dla czarownic, dostojna pani! — odparł Mergilet i chciał wznowić przesłuchanie, gdy zjawił się posłaniec wysłany poprzedniego dnia do inkwizycji. Gонец przywiózł list do szlchetnych dziedziców. Junkier wziął pismo, rozpieczętował i wręczył pisarzowi, aby je odczytał na głos.

Ów, przyjąwszy je z należyтым szacunkiem, kazał wyprowadzić chwilowo małego złoczyńcę i podniósł się, aby czytać na stojąco. Uczynił to, pomijając liczne i obfite stylistyczne ozdobniki, jak następuje:

Szlachetni, czcigodni, szczególnie dobrzy przyjaciele! Z listu Waszego i dołączonego doń protokołu dowiedzieliśmy się, co zeznał dobrowolnie dziewięcioletni chłopczyk, syn pastucha z Nowego Zamku w Massbach, a co się tyczy jeżdżenia na widłach i innych sztuk czarnoksięskich. Że sprawa ta daje dużo do myślenia i konieczne jest sprawdzenie, czy wszystkie wyznane przez chłopca występki, dotyczy to również smarowidła od grabarza ze Schweinfurtu, rzeczywiście miały miejsce — przesłuchajcie wszystkie podejrzane osoby, skoro tylko znajdują się one w waszej jurysdykcji, a także dopilnujcie, aby chłopiec powtórzył swoje zeznania w obecności rodziców i innych wymienionych przezeń osób.

Wszystko to wiernie spiszcie, również co dotyczy życia i postępowania wymienionych osób, tak aby sprawa mogła być wniesiona przed ławę; jeśli

będzie konieczne, dla tym przezorniejszego postępowania, należy również przesłuchać najbliższych sąsiadów podanych osób, a także starszych Kościoła lub inne nieposzlakowane osoby, czy cokolwiek im we wspomnianej sprawie wiadomo. Wszystkie wypowiedzi trzeba zapisywać i dołączyć do sprawozdania — ponieważ nie można zbyt wiele budować na zeznaniu chłopca, zwłaszcza gdyby je odwołał lub przeinaczył. Samże on chłopiec zostanie przede wszystkim przekazany urzędowi kaznodziejskiemu i dokładnie pouczony, czym go obciążają wyuczone sztuki, a gdyby dalej nie chciał się ich wyrzec, zostanie doprowadzony do rozsądku surowym szkoleniem poprawczym, alio verbo plagami ad posteriora i innymi skutecznymi środkami. Przekazując Wam tę oczekiwaną przez Was wiadomość, polecamy Wam nasze przyjazne służby.

Datowane w Meiningen 14 lutego 1627

Kanclerz i Radcy

— Odpowiedź tę uważam za bardzo rozsądną! — powiedział Filip von Massbach, wyjąwszy skrobak i prymkę tabaki i naskrobawszy szczyptę dla siebie, potem dla pani matki i łaskawie również dla pisarza.

— Byłabym tylko jednego jeszcze ciekawa — powiedziała szlachetna pani — jak się przedstawia ta osobliwa sprawa z lataniem na widłach? O to powinien być jeszcze Linhard w naszej obecności dokładnie wypytyany; wiemy przecież dobrze, że złe czarownice na swoje tańce zlatują się na miotłach, nie wiadomo jednak, czy tutaj idzie o widły do pieca, czy też jakieś inne, i jak się właściwie wspomniana rzecz odbywa.

— Dobrze, ponieważ takie jest życzenie mojej dostojnej pani matki, niech pisarz sądowy każe przyprowadzić chłopca i wpyta go w naszej obecności o latanie na widłach! — rozkazał junkier.

Linhard wszedł, jak zawsze ze spokojnym, pogodnym obliczem; wszyscy usiedli w pełnej godności postawie, a Mergilet zaczął: — Masz nam bez osłonek powiedzieć, jak przedstawia się sprawa latania na widłach: jak się tę sztukę praktykuje.

— Musiałbym do tego mieć moje widły i smarowidło — odparł Linhard.

— Wspomniane haniebne corpora delicti są pod ręką — odrzekł Mergilet i skinął na pachółka sądowego, który zaraz przyniósł miseczkę zawierającą gęstą, tłustą substancję o nieprzyjemnym zapachu, co skłoniło damę do gwałtownego zbliżenia nosa do puszczonej z piżmem. Natomiast jej syn ponownie zażył niuch tabaki.

— Och, już jest, naprawdę, jak wyczarowane! — zawołał Linhard z ożywieniem i ciągnął dalej: — Proszę więc słuchać uważnie, szlachetna pani i szlachetni, najłaskawsii panowie! Gdy uczyłem się sztuki, była przy tym moja matka, działo się to na górze Zeusing, i był tam świniopas z Rheinfeld. Naraz przybyło siedem duchów; przyprowadzono mnie do źródelka, i każdy duch po kolei wylał na mnie garść wody.

— Co musiałeś przy tym mówić?

— Nie wiem.

— Przypomnij sobie, przyznaj się, z pewnością musiałeś mówić: wypieram, się, mego, Pana, co? Pana Jezusa Chr...?

— Nie musiałem nic mówić. Po prostu nauczyłem się, i na tym koniec. Jeżeli nauczy mnie pan pisać, panie pisarzu, to i ja nauczę pana mojej sztuki.

— Wcale nie pragnę uczyć się takich bezbożnych sztuk, a ty nie jesteś tutaj, by stawiać warunki, chłopcze! Teraz wyznaj bez ogródek, na czym to polega, w jaki sposób jeździcie?

— Gdy jeździmy, to nie dzieje się to na ziemi, lecz w górze, a gdy z powrotem opadamy, to tak łagodnie jak do łóżka. Niedawno pojechałem do Birnfeld i przywiozłem stamtąd dwa wiadra wina.

— Jak potrafiłeś unieść taki duży ciężar?

— O, to bardzo łatwo, zaprzęga się koty. Gdyby ktoś zaprzęgał czternaście kotów, to mógłby zabrać całą kufę wina; niedawno zabrałem taką kufę z piwnicy szpitala w Würzburgu.

— Incredibile dictu! .Incredibile! Zabrał z Würzburga! — mruczał pan Mergilet.

— Znam również zaklęcie, które, gdy je wymówić głośno, powoduje czyjąś śmierć.

— Na Boga i na krew Chrystusa Pana, milcz! — zawołała dama — to przecież przerażające! Linhard! Nie postąpisz chyba tak bezbożnie i po diabelsku! — Nachyliła się ku swemu synowi i szepnęła mu coś do ucha.

— Fac finem! Domina mater mea metuit eum de sua wita! — powiedział szlachetny junkier do pisarza sądowego, ów zaś skłonił głowę na znak zrozumienia i posłuszeństwa i zadał ostatnie pytanie: — Co przeto robisz, gdy uprawiasz swoją szlachetną, wyzwoloną sztukę?

— O tak, to jest naprawdę wyzwolona sztuka; nie żal mi, że jej się nauczyłem, i wy także musicie się jej nauczyć! Zaraz wam wszystko pokażę i założę się, że gdy kiedyś wybieriecie się znowu w podróż po kraju, to przywieziecie martwego żyda i mimo wszystko go ugotujecie. Spójrzcie! to są widły. Styliśko się na końcu rozdwaja, nie potrzeba więc poprzeczki do osadzenia zębów, tylko muszą być u dołu dwie rozporoki! A tu jest maść, nabieracie ją dwoma palcami i posmarujecie dokładnie całe widły; następnie siadźcie na nich okrakiem, tak jak to teraz robię, i dobrze uważajcie, bo teraz kolej na rzecz najważniejszą, na zaklęcie:

*Niech się jazda dzieje,
W obłok się rozwieje!
Zniknę z oczu
W jeden mig!
Jadę oto, jadę oto,
Nie dogoni mnie piechotą,
Nie pochwyci mnie już nikt!*

Zaledwie mały jeździec na widłach wymówił ostatnie słowo, gdy uniósł się w powietrze, uderzenie wiatru otworzyło okno i czarodziejski chłopak zniknął wszystkim z oczu.

Dostojna mama z rozdzierającym okrzykiem zemdlała, dostojny junkier

stał jak wryty, i trzęsła się w nim każda żyłka, zaś pisarz sądowy omal nie spadł z krzesła i dzwonił na pacholka. Ten rozwarł gwałtownie drzwi i zamarł z przerażenia, gdy spostrzegł, że chłopca w izbie nie ma. Pies junkra wziął ogon pod siebie i skomlał.

Nikt w obecnym okręgu sądowym Munnerstadt, do którego dzisiaj należy Massbach, ani też w okolicy nie widział już nigdy małego jeźdźca na widłach. Dlatego też i akta nic więcej o nim nie mówią.

Przełożył Zbigniew Fonferko

Friedrich Gerstäcker

GERMELSHAUSEN

Jesienią roku 184... szerokim traktem prowadzącym z Marisfels w górę do Wichtelhausen wędrował młody, wesoły chłopak z plecakiem przerzuconym przez ramię, z kijem w ręku; szedł powoli, ciesząc się wędrówką.

Nie był czeladnikiem, który w poszukiwaniu pracy przemierza kraj — widać to było na pierwszy rzut oka, nawet gdyby nie zdradzała tego mała, ślicznie wykonana skórzana teka, przytroczona do plecaka. Wszystko świadczyło o tym, że jest artystą. Zuchwale nasadzony na bakier czarny kapelusz z szerokim rondem, długie, jasne, kędzierzawe włosy, miękki, jeszcze bardzo młody zarost, nawet trochę wytarta czarna aksamitna kurtka, w której tego pogodnego ranka było mu chyba za ciepło. Rozpiął ją — biała koszula pod spodem, nie nosił bowiem kamizelki, była przy szyi luźno ściągnięta czerwona, jedwabną chustką.

Dzieliło go już niespełna piętnaście minut drogi od Marisfels, gdy rozległ się dzwon kościelny. Młodzieniec przystanął, podparł się kijem i nasłuchiwał uważnie dobiegających go cudownych głębokich tonów.

Dzwon już przebrzmiał, a on wciąż jeszcze stał w miejscu i marzycielsko spoglądał na zbocza. Duchem przebywał ze swymi najbliższymi w małej, pogodnej wiosce w górach Taunus, z matką, z siostrami — i jak gdyby łzy zalśniły mu w oczach. Lecz jego wesołe usposobienie nie dopuściło do smutnych, melancholijnych myśli. Zdjął tylko kapelusz i posłał serdeczny uśmiech w stronę, gdzie, jak mniemał, znajdowała się ojczysta wieś, potem mocniej ujął gruby kij i rześko ruszył dalej, zmierzając w obranym kierunku.

Tymczasem słońce lało żar na szeroki, monotony trakt, pokryty grubą

skorupą kurzu, i nasz wędrowiec już od jakiegoś czasu rozglądał się na prawo i lewo w poszukiwaniu wygodniejszej ścieżki. Na prawo droga się co prawda rozgałęziała, ale nie zdawała się być lepsza, zresztą za daleko odbiegała od kierunku, w którym zmierzał. Jeszcze więc czas jakiś trzymał się starej drogi, aż wreszcie dotarł do przejrzystego źródła górskiego, przy którym można było rozpoznać ruiny starego, kamiennego mostu. Przebiegała tamtędy ścieżka, porośła trawą, a ponieważ nasz artysta nie miał wytkniętego celu, zmierzał bowiem tylko do pięknej doliny Werrathal, aby wzbogacić swą tekę z rysunkami, więc suchą nogą przedostał się przez rzekę, przesadzając wielkie głazy, wkroczył na skoszoną łąkę i ruszył rażno po uginającej się pod jego stopami trawie w cieniu gęstych zarośli olszyny, bardzo zadowolony z obranej drogi.

— Teraz jestem w lepszej sytuacji, bo przynajmniej nie wiem, dokąd dojdę — śmiał się głośno. — Nie mam nudnego drogowskazu, który człowiekowi już na kilka godzin z góry wyjaśnia, jak nazywa się najbliższa miejscowość, a w ogóle za każdym razem podaje nieprawdziwą odległość. Chciałbym tylko wiedzieć, jak tutejsi ludzie odmierzają swój czas. Dziwnie tu w tej dolinie... no, w niedzielę chłopci nie pracują w polu, a skoro przez cały tydzień muszą chodzić za pługiem lub biec koło wozu, nie kwapią się w niedzielę do spacerów; najpierw porządnie wysypiają się w kościele, a potem, po obiedzie, wyprostowują nogi pod stołem w gospodzie... hm, na taki skwar kufel piwa byłby nie do pogardzenia, ale zanim go dostanę, czysta woda ze źródła też ugasi mi pragnienie.

Z tymi słowy zrzucił plecak i kapelusz, zszedł nad wodę i pił ile dusza zapagnie. Orzeźwiony miłym chłodem, spostrzegł starą, dziwacznie wykoślawioną wierzbę; wprawną ręką szybko ją naszkicował i teraz, już całkowicie rześki i wypoczęty, podniósł z ziemi lekki plecak i ruszył dalej, nie troszcząc się o to, dokąd go droga zaprowadzi.

Szedł tak chyba z godzinę, uzupełniając swoją tekę szkicami to głazu skalnego, to osobliwych zarośli olszyny czy też sękatego konara dębu; słońce

wznosiło się coraz wyżej, i młodzieniec postanowił przyspieszyć kroku, aby w najbliższej wsi dostać przynajmniej obiad.

Nagle w dolinie tuż przy strumyku i starym głazie, służącym dawniej zapewne za ołtarzyk, ujrzał młodą wieśniaczkę; siedziała, spoglądając na ścieżkę, którą szedł. Osłonięty olchami, ujrzał ją wcześniej niż ona jego; idąc brzegiem strumyka, prawie nie wychylał się z zarośli, które dotąd ukrywały go przed jej wzrokiem. Nagle zerwała się i z okrzykiem radości pobiegła mu na spotkanie.

Arnold, bo tak się młodzieniec nazywał, przystanął zdumiony i wkrótce mógł się przekonać, że była to śliczna, zaledwie siedemnastoletnia dziewczyna, odziana w osobliwy, lecz ogromnie malowniczy wiejski strój; wyciągnęła do niego ramiona i jak na skrzydłach pobiegła mu na spotkanie. Arnold zdawał sobie sprawę, że ona bierze go za kogoś innego i że to radosne powitanie nie dla niego jest przeznaczone. Dziewczyna zrozumiała swoją omyłkę, zatrzymała się zalękniona, zbladła, potem oblała się rumieńcem, wreszcie odezwała się nieśmiało: — Proszę mi wybaczyć, łaskawy obcy panie... ja... myślałam...

— Że to twój ukochany, prawda, moje dziecko? — roześmiał się młodzieniec. — A teraz jesteś rozczarowana, że zastąpił ci drogę jakiś obcy, obojętny człek. Nie gniewaj się, że nie jestem twoim chłopcem.

— Ach, łaskawy panie — szepnęła trwożnie — czyż mogłabym się gniewać... ale gdybyście, panie, wiedzieli, jak bardzo się cieszyłam...

— Wobec tego nie zasługuje na to, byś dłużej na niego czekała — rzekł Arnold, który dopiero teraz uświadomił sobie niezwykły doprawdy urok tego skromnego wiejskiego dziewczęcia. — Gdybym był na jego miejscu, nie czekałabyś na mnie ani jednej jedynej chwili nadaremnie.

— Tak pięknie przemawiacie, panie — rzekła zawstydzona. — Gdyby on mógł przyjść, już by tu był. Może jest chory albo... albo nawet nie żyje — dodała powoli, wzdychając głęboko, ze szczerym smutkiem.

— Czy dawno nie dawał znaku życia?

— Dawno, bardzo dawno.

— Może mieszka daleko stąd?

— Daleko?... no tak, dość daleko, w Bischofsrodzie.

— W Bischofsrodzie? Byłem przez cztery tygodnie w tej miejscowości i znam tam każde dziecko. Jak on się nazywa?

— Heinrich, Heinrich Vollgut, syn sołtysa.

— Hm — zastanowił się Arnold — u sołtysa bywałem bardzo często, ale jeśli się nie mylę, nazywa się on Bauerling, a nazwiska Vollgut nie słyszałem w tej wsi w ogóle.

— Widocznie nie wszystkich pan tam poznał — odparła dziewczyna; przez smutek malujący się na jej twarzyczce przedarł się jednak delikatny, figlarny uśmiech, z którym było jej tak ładnie, o wiele ładniej niż z poprzednią melancholią.

— Ale z Bischof środy można tu przejść górą w ciągu najwyżej trzech godzin.

— Mimo to nie przychodzi — westchnęła ciężko — a przecież solennie mi przyrzekł.

— No to na pewno przyjdzie — pocieszył ją Arnold pocziwie — bo jeśli się tobie coś przyrzekło, trzeba by mieć serce z kamienia, aby słowa nie dotrzymać. A twój Henryk chyba nie taki.

— Nie, ale teraz nie mogę na niego dłużej czekać; muszę iść do domu na obiad, inaczej ojciec będzie się gniewał.

— Skąd jesteś?

— Tam z doliny. Nie słyszeliście, panie, dzwonu? Właśnie skończyło się nabożeństwo.

Arnold ją nasłuchiwać — całkiem niedaleko rozbrzmiewało bicie dzwonu, nie były to jednak dźwięki czyste, głębokie, lecz ostre, niemile; kiedy młodzieniec zerknął w tamtym kierunku, wydało mu się, że dolinę zasnuwa gęsta mgła.

— Wasz dzwon jest chyba pęknięty — zaśmiał się — brzmi niezbyt

pięknie, złowieszczo.

— Tak, wiem — odparła dziewczyna obojętnie — nie brzmi ładnie, powinniśmy byli już od dawna go stopić i odlać dzwon na nowo, ale zawsze brak nam pieniędzy i czasu, bo tu w okolicy nie ma ludwisarza. Ale cóż to szkodzi, wszyscy znamy ten dzwon, i kiedy zaczyna bić, wiemy, co oznacza, tak więc i pęknięty dzwon spełnia swoją powinność.

— Jak się twoja wieś nazywa?

— Germelshausen.

— A czy dojdę stamtąd do Wichtelhausen?

— Bez trudu. Ścieżką idzie się zaledwie pół godziny, może nawet krócej, jeśli przyspieszy się kroku.

— Wobec tego idę z tobą, ślicznotko, i jeśli w twojej wsi jest jakaś dobra gospoda, zjem tam obiad.

— Gospoda jest aż za dobra — odparła dziewczyna z westchnieniem, spoglądając za siebie, jakby jednak spodziewała się nadejścia swego Heinricha.

— Czy gospoda może być z a dobra?

— Dla wieśniaków tak — rzekła poważnie, idąc obok niego powoli w stronę doliny — mają bowiem wieczorem po pracy niejedno w domu do zrobienia, a jeśli przesiadują w szynku do późna w noc, zaniedbują gospodarstwo.

— Ale ja dziś niczego nie zaniedbam.

— No tak, jeśli idzie o panów z miasta, to inna sprawa, przecież nie pracują, więc i niczego nie zaniedbują, to wieśniacy muszą na nich pracować.

— Co to, to nie — zaśmiał się Arnold. — Wprawdzie kmiecie uprawiają rolę, owszem, ale my sami musimy na siebie pracować, czasem nawet w pocie czoła, bo wieśniak każe sobie za swoją pracę słono płacić.

— Ale wy, panie, chyba nie pracujecie?

— Czemu tak myślisz?

— Na waszych rękach nie widać śladów pracy.

— Wobec tego zaraz ci dowiodę, co i jak potrafię robić. Usiądź na tym płaskim kamieniu pod starym krzewem bzu...

— Po co?

— Usiądź, a zobaczysz. — Młody malarz szybko zrzucił plecak i wyciągnął tekę i ołówek.

— Kiedy muszę już wracać.

— W ciągu pięciu minut będę gotów i chętnie zabiorę ze sobą w świat pamiątkę po tobie. Nawet twój Heinrich nie miałby nic przeciwko temu.

— Pamiątkę po mnie? Żartowniś z was, panie.

— Chcę zabrać ze sobą twój portrecik.

— Jesteście malarzem?

— Tak.

— Dobrze by było, gdybyście mogli w Germelshausen odmalować obrazy w kościele, są bowiem już bardzo zniszczone, wyblakłe.

— Jak się nazywasz? — Arnold otworzył tekę i szybko szkicował śliczne rysy dziewczyny.

— Gertruda.

— Kim jest twój ojciec?

— Sołtysem... Jeśli jesteście malarzem, nie powinniście iść do szynku; zabiorę was od razu do domu, a po obiedzie możecie omówić z ojcem całą sprawę.

— Sprawę obrazów kościelnych?

— Tak — odparła poważnie — i powinniście u nas zostać długo, bardzo długo... aż znowu nadejdzie nasz dzień, i obrazy będą gotowe.

— No, o tym porozmawiamy później, Gertrudo — rzekł młody malarz, zręcznie manewrując ołówkiem — ale czy twój Heinrich nie byłby zły, gdybym prowadził z tobą długie, zbyt długie rozmowy?

— Heinrich już nie przyjdzie.

— Dziś nie, ale może jutro.

— Nie — odparła Gertruda z niezmaconym spokojem — ponieważ nie

przyszedł do jedenastej, już się nie zjawi, aż znowu nastanie nasz dzień.

— Wasz dzień? Co masz na myśli?

Dziewczyna spojrzała na niego poważnie swymi wielkimi oczyma, lecz nie odpowiedziała; wzrok jej z dziwnym wyrazem bólu i smutku śledził przeciągające wysoko nad nimi obłoki. W tej chwili była doprawdy anielsko piękna, i Arnold w swym pragnieniu, aby oddać całą jej doskonałą urodę, zapomniał o wszystkim. Nie pozostało mu zresztą dużo czasu. Młoda dziewczyna nagle wstała i zarzucając chusteczkę na głowę, aby uchronić się przed promieniami słońca, powiedziała: — Muszę iść, dzień jest taki krótki, a w domu na mnie czekają.

Arnold ukończył swój szkic i zaznaczając kilkoma śmiałymi kreskami układ fałd stroju, pokazał Gertrudzie arkusz.

— Trafnie cię narysowałem?

— To ja?! — zawołała dziewczyna niemal z przestraszeniem.

— A któż by inny? — zaśmiał się Arnold.

— I chcecie ten rysunek zachować i zabrać ze sobą?

— Pewnie, że chce. Kiedy odejdę daleko, daleko stąd, będę często i serdecznie o tobie myślał.

— Nie wiem, czy ojciec zezwoli.

— Że będę o tobie myślał? Chyba nie może mi tego zakazać.

— Nie... ale... że zabierzecie ze sobą rysunek w daleki świat.

— Nie może mi tego zabronić, moja miła — rzekł Arnold. — Ale czy tobie samej byłoby przykro, że twój portrecik znajduje się w moim posiadaniu?

— Mnie? Nie... — odparła po krótkim wahaniu — gdyby tylko... muszę jednak ojca o to zapytać.

— Masz źle w głowie, dziecko — roześmiał się młody malarz. — Nawet księżniczka nie miałaby nic przeciwko temu, by jakiś artysta zachował dla siebie jej podobiznę. Nie stanie ci się z tego powodu żadna krzywda... Ale nie spiesz się tak, szalona dziewczyno. Pójdę z tobą, czy też chcesz

pozostawić mnie bez obiadu? Zapomniałaś o obrazach kościelnych?

— Ach, tak, obrazy. — Zatrzymała się, czekając na niego. Arnold szybko zawiązał tekę i po chwili był przy niej. Przyspieszyli kroku, zdążając do wsi.

Wioska znajdowała się o wiele bliżej, niż Arnold sądził, słysząc dźwięk pękniętego dzwonu: to bowiem, co brał z daleka za gąszcz olszyny, okazało się szpalerem drzew owocowych, za którym, ukryta w zieleni, lecz od północy i od południowego wschodu otoczona rozległymi polami, ciągnęła się stara wieś ze swą niską wieżą kościelną i szerniałymi od dymu zabudowaniami.

Szli najpierw dobrze ubitą drogą, obsadzoną po obu stronach drzewami owocowymi. Nad wsią jednak unosiła się posępna górską mgła, którą Arnold spostrzegł już z daleka: jasne światło słoneczne załamywało się w niej i jako żółtawa niesamowita poświata padało na szare, zwietrzałe ze starości dachy. Arnold jednak prawie nie zważał na to, gdy bowiem zbliżyli się do pierwszych domów, Gertruda ujęła powoli jego dłoń i trzymając ją w swojej, skręciła w najbliższą uliczkę.

Cudowne uczucie ogarnęło młodzieńca pod dotknięciem tej ciepłej ręki, i prawie mimo woli oczy jego szukały oczu dziewczyny. Lecz Gertruda nie patrzyła na niego: ze skromnie spuszczonej ku ziemi wzrokiem prowadziła gościa do rodzicielskiego domu. Wreszcie Arnold zwrócił uwagę na dziwne zachowanie się spotykanych po drodze mieszkańców wsi — wszyscy mijali go w milczeniu, bez pozdrowienia.

To przede wszystkim rzuciło mu się w oczy, gdyż wszędzie w sąsiednich wioskach uważano by za wręcz karygodne, gdyby ktoś nie pozdrowił obcego przybysza przynajmniej skromnym „dzień dobry” lub „pochwalony”. Tutaj natomiast, jak w wielkim mieście, ludzie mijali go w milczeniu i obojętnie, czasem przystawali i oglądali się, ale nikt go nie zagadnął. Nikt też nie pozdrowił dziewczyny.

A jak osobliwie wyglądały stare domostwa o spiczastych, zdobnych w rzeźby szczytach i zwietrzałych, krytych słomą dachach! Choć to była

niedziela, nigdzie okna nie były wymyte, a w okrągłych, ujętych w ołów szybkach, szarych i jakby zaparowanych, mieniło się tęczowe lśnienie.

Kiedy oboje mijali domy, tu i tam z uchylonych okien wyglądały miłe twarzyczki dziewcząt lub oblicza szacownych matron. Arnold zwrócił też uwagę na dziwaczne ubiory ludzi, różniące się zasadniczo od odzieży noszonej w sąsiednich wsiach. Panowało przy tym całkowite milczenie. Arnold, przygnębiony, rzekł do swojej towarzyszki: — Czy tak ściśle przestrzegacie niedzieli, że ludzie nawet się ze sobą nie witają? Gdyby nie ujadanie psa czy pianie koguta, można by mniemać, że to martwa wieś.

— Jest teraz południe — odparła Gertruda spokojnie — o tej porze ludzie nieskorzy są do pogawędek. Dziś wieczorem przekonacie się, że są aż nadto hałaśliwi.

— Bogu dzięki! — zawołał Arnold — widzę przynajmniej dzieci bawiące się na ulicy, bo już poczułem się nieswojo; w Bischofsrodzie całkiem inaczej święci się niedzielę.

— Oto dom mojego ojca — powiedziała Gertruda po cichu.

— Nie mogę tak nagle i niespodziewanie zwalić mu się do domu prosto na obiad — zaśmiał się Arnold. — Byłby może niezadowolony, ja zaś lubię podczas posiłków widzieć dokoła siebie pogodne twarze. Raczej pokaż mi drogę do gospody, lube dziecię, albo sam ją znajdę; Germelshausen nie różni się zapewne od innych wsi: obok kościoła znajduje się zazwyczaj karczma, i jeśli się idzie w kierunku wieży kościelnej, nigdy człek nie zbłądzi.

— Macie słuszność, panie, i u nas tai: jest. Ale w domu już na nas czekają, i nie macie powodu obawiać się, że przyjmą was niechętnie.

— Czekają na nas? Ach, masz na myśli ciebie i twojego Heinricha. No cóż, Gertrudo, gdybyś zechciała przyjąć mnie na jego miejsce, zostałbym z tobą... tak długo, aż byś sama kazała mi odejść.

Ostatnie słowa wyrzekł mimo woli bardzo serdecznie i uścisnął jej dłoń, która wciąż jeszcze trzymała jego rękę. Gertruda nagle się zatrzymała, spojrzała mu prosto w oczy i rzekła: — Chcielibyście naprawdę?

— Z największą radością — zawołał młody malarz, zniewolony cudowną urodą dziewczyny. Gertruda nic na to nie odrzekła, szła dalej, jak gdyby zastanawiając się nad słowami swego towarzysza. Wreszcie zatrzymała się przed okazałym domem, ogrodzonym żelaznymi sztachetami, do którego wiodły szerokie, kamienne schody.

— Tu mieszkam, łaskawy panie — rzekła nieśmiało jak poprzednio — i jeśli to wam dogadza, bardzo proszę, wstąpcie do naszego domu, ojciec będzie rad gościć was u siebie.

Zanim Arnold zdążył coś odpowiedzieć, sołtys ukazał się w drzwiach prowadzących na schody. Jedno z okien otwarło się i ukazała się w nim twarz starej kobiety, która życzliwie skinęła mu głową. Sołtys zaś zawołał: — Gertrudo, tyle czasu zmitrężyłaś, ale proszę, proszę, jakiego przystojnego chłopaka sobie przyprowadziła!

— Panie sołtysie...

— Żadnych ceregieli, wejdźcie do domu, kluski już czekają, gotowe ostygnąć i stwardnieć...

— Ależ to nie Heinrich! — zawołała stara kobieta w oknie. — Czy nie mówiłam, że on nie wróci?

— Już dobrze, dobrze, matko — rzekł sołtys. — Niech będzie i ten. — ściskając rękę przybyszowi ciągnął dalej: — Witajcie serdecznie w Germelshausen, młody panie, gdziekolwiek dziewczyna was znalazła. A teraz proszę na obiad, jedzcie, ile dusza zapragnie, o reszcie pogadamy potem. — Nie pozostawił młodemu malarzowi ani chwili na usprawiedliwienie się i trzymając jego dłoń, którą Gertruda wypuściła ze swojej, gdy tylko weszli na schody, ujął go poufale za ramię i zaprowadził do obszernej izby.

W domu czuć było stęchlizną i wilgotną ziemią. Arnold znał zwyczaje niemieckiego wieśniaka, który najchętniej nie wpuszcza do izby ani strużki świeżego powietrza i nawet latem często-gęsto pali w piecu, aby wytworzyć miłą mu ciepłą temperaturę — a jednak zwróciło to jego uwagę.

Wąski korytarz także nie wyglądał zachęcająco: tynk odpadł ze ścian i jak gdyby został tylko powierzchownie zmieciony na bok. Jedyne ślepe okno w głębi przepuszczało zaledwie nikłe światło, a schody prowadzące na górne piętro były stare i spróchniałe. Lecz Arnold niewiele miał czasu na obserwacje, w następnej bowiem chwili jego gościnnie gospodarz rozwarł szeroko drzwi, i Arnold znalazł się w izbie dobrze wywietrzonej, posypanej białym piaskiem, ze stojącym pośrodku dużym stołem, nakrytym śnieżnobiałym płótnem. Izba ta w korzystny sposób różniła się od reszty zaniedbanego wnętrza domu.

Poza starą kobietą, która teraz zamknęła okno i przysunęła swoje krzesło do stołu, w kącie siedziało kilkoro rumianych dzieci; krzepka gospodyni, ubrana również inaczej niż kobiety z sąsiednich wsi, otworzyła właśnie drzwi dziewczynie, która weszła z dużą parującą misą klusek. Wszyscy stłoczyli się dokoła stołu, czekając na upragniony posiłek. Nikt jednak nie usiadł; jak Arnoldowi się zdawało, zerkali niemal bojaźliwie ku ojcu. Sołtys podszedł do swego krzesła, oparł się o poręcz i w milczeniu spoglądał posepnie przed siebie. Czyżby się modlił? Miał mocno zaciśnięte usta, prawa ręka zwarta w pięść zwisała mu bezwładnie — w rysach jego twarzy nie ujrzalbyś modlitwy, jeno zacięty, choć nie pozbawiony trwogi upór.

Gertruda podeszła do ojca po cichu i położyła mu dłoń na ramieniu, stara kobieta stała naprzeciw niego w milczeniu i spoglądała bojaźliwym, błagalnym wzrokiem.

— Zabierajmy się do jedzenia — rzekł szorstko sołtys — i tak nam to nic nie pomoże. — Odsunął krzesło i skinąwszy na gościa, usiadł, ujął dużą warząchew i zaczął wszystkim nakładać na talerze. Zachowanie się tego człowieka wydało się Arnoldowi niesamowite, nie mógł też czuć się dobrze, widząc przygnębienie całej rodziny. Sołtys jednak nie był człowiekiem, który lubi spożywać obiad w smutnym nastroju. Gdy zastukał w stół, weszła służąca i przyniosła butelki i szklanki. Sołtys nalał wszystkim, i znakomite stare wino wprowadziło ich w weselszy nastrój. Cudowny trunek rozgorzał w

żyłach Arnolda jak płynny ogień — nigdy w życiu nie kosztował jeszcze czegoś tak wybornego. Gertruda również trochę wypła, a także stara matka, która po obiedzie zasiadła w kącie do kołowrotka, cicho nucąc piosenkę o wesołym życiu w Germelshausen.

Sam sołtys był jak gdyby odmieniony. Przedtem poważny i milczący, stał się wesoły i pogodny; także i na Arnolda podziałał cudowny trunek. Nie spostrzegł, kiedy sołtys wziął do rąk skrzypce i zaczął wygrywać wesołe melodie do tańca. Arnold z Gertrudą w ramionach jął wirować po izbie, przewrócił kołowrotek, stojące im w drodze krzesła i potrącił dziewczynę, która wynosiła naczynia; dokazywał tak, że obecni pokładali się ze śmiechu.

Nagle wszystko w izbie ucichło, a kiedy Arnold, zdumiony, spojrzął na sołtysa, ten smyczkiem wskazał mu okno i odłożył instrument do drewnianego pudła, skąd przedtem go wyjął. Arnold zobaczył, że ulicą ciągnie orszak pogrzebowy. Sześciu mężczyzn w białych koszulach niosło na ramionach trumnę, za którą postępował stary człowiek, trzymając za rękę małą, jasnowłosą dziewczynkę. Szedł zgarbiony pod brzemieniem nieszczęścia, dziewczynka natomiast, która miała zaledwie cztery latka i nie zdawała sobie sprawy, kto leży w ciemnej trumnie, pozdrawiała grzecznie każdą znajomą twarz i śmiała się do rozpuku, gdy kilka psów, goniąc się, przebiegło koło szkoły, a jeden się przewrócił i wywinął koziołka.

Cisza trwała tylko tak długo, póki trumna nie znikła za rogiem. Gertruda podeszła do młodego malarza.

— Teraz odpocznijcie, panie, dość tej zabawy, to ciężkie wino, uderza do głowy. Weźcie kapelusz, i udamy się na małą przechadzkę. Kiedy wrócimy, będzie właśnie czas iść do gospody, dziś wieczór odbędą się tam tańce.

— Tańce, to świetnie — wykrzyknął Arnold zadowolony — przyszedłem w samą porę! A ty, Gertrudo, zatańczysz ze mną pierwszy taniec?

— Zapewne, jeżeli sobie życzycie, panie.

Arnold wziął kapelusz i teczkę.

— Po co wam ta książka? — zapytał sołtys.

— On rysuje, ojczy — rzekła Gertruda — mnie też narysował. Obejrzyjcie sobie ten portrecik.

Arnold otworzył tekę i podał rysunek sołtysowi, który przez chwilę przyglądał się portrecikowi w milczeniu.

— I chcecie to zabrać ze sobą do domu, a może nawet oprawić w ramkę i powiesić w pokoju?

— Czemuż by nie?

— Czy pozwolisz mu, ojczy?

— Jeśli z nami nie zostanie — zaśmiał się sołtys. — to nic mam nic przeciwko temu, ale tam w głębi czegoś brak.

— Czego?

— Pogrzebu, który przed chwilą widzieliśmy. Dorysujcie go na arkuszu, a wtedy możecie zabrać ze sobą rysunek.

— Pogrzeb na portrecie Gertrudy?

— Na arkuszu jest jeszcze dość miejsca — upierał się sołtys — powinien się tam znaleźć; nie zgodzę się, abyście, panie, zabrali portret mojej córki zupełnie samej. W tak poważnym zaś towarzystwie nikt nie posądzi jej o nic złego.

Arnold pokręcił głową: co za dziwaczny pomysł, aby ładnej młodej dziewczynie dorysować pogrzeb jako eskortę honorową. Stary jednak tak się zaciętrzewił, że Arnold musiał się na to zgodzić. Później będzie mógł ten smutny dodatek bez trudu wymazać. Wprawna ręką szkicował na papierze dopiero co widziane postaci. Cała rodzina zgromadziła się dokoła niego i ze zdumieniem przyglądała się jego pracy.

— Dobrze utrafiłem? — zapytał Arnold wreszcie, zrywając się z krzesła i wyciągając arkusz na odległość ramienia.

— Wspaniale — rzekł sołtys z uznaniem — nigdy bym nie przypuszczał, że tak szybko sobie z tym poradzicie. Tak to może być, a teraz wyjdźcie z dziewczyną, panie, i obejrzyjcie sobie naszą wieś, tak prędko jej znowu nie ujrzyjecie. Na piątą wracajcie, obchodzimy dziś święto, i musicie wziąć w nim

udział razem z nami.

Arnolda ogarnęło przygnębienie — może dlatego, że w izbie było tak duszno lub wskutek wina, które uderzyło mu do głowy. Pragnął znaleźć się na świeżym powietrzu, i w kilka minut później szedł już z Gertrudą ulicą ciągnącą się przez wieś.

Teraz nie było tu tak cicho jak przedtem, hałasowały dzieci, gdzieniegdzie staruszkowie siedzieli przed drzwiami domów, przyglądając się przechodzącym, i cała miejscowość ze swymi starymi, dziwnymi budynkami miałaby zapewne przyjemniejszy wygląd, gdyby słońce mogło przedrzeć się przez ten gęsty brunatny dym, który niby chmura ciążył nad dachami.

— Czy tu w pobliżu pali się las albo torfowisko? — zapytał dziewczynę.
— Nad żadną z innych wsi dym się nie unosi; przecież to nie z kominów.

— To dym ziemny — odparła Gertruda spokojnie. — Czy nigdy nie słyszeliście o Germelshausen?

— Nie.

— Dziwne, wieś jest przecież taka stara...

— W każdym razie domy na to wyglądają, zresztą i ludzie zachowują się tak dziwnie, a język wasz brzmi zupełnie inaczej niż w pobliskich miejscowościach. Chyba rzadko opuszczacie swoją wieś.

— Rzadko.

— I nie ma tu ani jednej jaskółki, chyba stąd nie odleciały?

— Już od dawna żadna nie buduje gniazda w Germelshausen — odparła dziewczyna. — Widocznie nie mogą znieść dymu ziemnego.

— Chyba nie unosi się on u was stale?

— Owszem.

— Więc dlatego w waszych sadach drzewa pozbawione są owoców; przecież w Mansfeld musieli podpierać gałęzie, taki jest urodzajny rok.

Gertruda nic na to nie odpowiedziała, w milczeniu kroczyła u jego boku, aż osiągnęli kraniec wsi. W drodze niekiedy tylko życzliwie kiwała głową dzieciom lub zamieniała kilka słów z którąś z młodych dziewcząt — może

rozmawiały o dzisiejszej zabawie. Dziewczęta spoglądały przy tym na młodego malarza ze współczuciem, i choć Arnold nie wiedział czemu, ogarnął go smutek; nie ważył się jednak zapytać Gertrudy, o czym rozmawiała.

Teraz wreszcie dotarli do ostatnich domów; podczas gdy we wsi panował ruch i ożywienie, tutaj było cicho i bezludnie, jakby wszystko powymierało. W sadach, rzekłbyś, od lat nie powstała noga ludzka, ścieżki porosły trawą, a szczególnie dziwne wydawało się młodemu przybyszowi to, że na żadnym z drzew nie było owoców. Spotkali ludzi idących w stronę wsi. Arnold natychmiast ich poznał, byli to ci sami, którzy nieśli trumnę. Minęli ich w milczeniu, a oboje młodych prawie mimo woli skierowało swe kroki ku cmentarzowi.

Arnold starał się teraz rozweselić swą towarzyszkę, wydawała mu się zbyt poważna; opowiadał jej o rozmaitych miejscowościach, które zwiedził, o tym, jak to jest na szerokim świecie. Gertruda nigdy jeszcze nie widziała kolei żelaznej, nawet nigdy o niej nie słyszała, teraz, zdumiona, z uwagą przysłuchiwała się jego wyjaśnieniom. Nie miała nawet pojęcia o istnieniu telegrafu, jak również o innych nowszych wynalazkach, a młody malarz nie mógł pojąć, jak to możliwe, żeby ludzie w Niemczech żyli w takim odosobnieniu, tak całkowicie odcięci od reszty świata, nie utrzymując z nim żadnego kontaktu. Tak rozmawiając doszli do cmentarza, i tutaj Arnold zauważył, że nagrobki i kamienie, choć na ogół proste, były bardzo stare.

— To bardzo, bardzo stary nagrobek — rzekł, pochylając się i z trudem odczytując ozdobne pismo. — Anna Maria Berthold z domu Sieglitz, ur. 1 grudnia 1188, zmarła 2 grudnia 1224...

— To moja matka — rzekła Gertruda; łzy napłynęły jej do oczu i stoczyły się na stanik.

— Twoja matka? Dziecko drogie, to jest może twoja prapraprababka.

— Nie — odparła ze smutkiem — to moja prawdziwa matka; ojciec pojął drugą żonę, i ta kobieta w domu to moja macocha.

— Ale tutaj podane, że zmarła w tysiąc dwieście dwudziestym czwartym roku.

— Cóż mnie obchodzi rok; to takie bolesne utracić matkę. A jednak — dodała cicho — może dobrze się stało, bardzo dobrze, że Pan Bóg powołał ją do swojej chwały...

Arnold pokręcił głową, schylił się nad nagrobkiem, aby dokładnie przyjrzeć się napisowi: może pierwsza dwójka w dacie jest ósemką, w staroświeckich esach–floresach nietrudno o omyłkę. Jednak druga dwójka podobna była do pierwszej jak dwie krople wody, a przecież do roku 1884 było jeszcze daleko, Może kamieniarz się pomylił, a dziewczyna taka była zatopiona w smutku po zmarłej, że Arnold nie chciał naprzykrzać się natrętnymi pytaniami. Uklęka przy grobie cicho się modląc, Arnold zaś poszedł zbadać inne nagrobki — wszystkie bez wyjątku nosiły daty sprzed kilkuset lat, nie znalazł ani jednego nowszego, a przecież zmarłych jeszcze teraz chowano, jak o tym świadczyła ostatnia, zupełnie świeża mogiła. Z niskiego muru kościelnego roztaczał się wspaniały widok na tę całą starą wieś; Arnold skorzystał ze sposobności, aby to naszkicować. Ale i nad tym miejscem unosił się osobliwy gorzki dym, natomiast dalej, w stronę lasu, widać było jasne słońce, opromieniające zbocza górskie.

We wsi rozbrzmiewał znów stary, pęknięty dzwon. Gertruda wstała z klęczek, otarła łzy i skinęła młodemu człowiekowi.

Arnold od razu się do niej przyłączył.

— Teraz już nie wolno się nam smucić — rzekła z uśmiechem. — Kończy się właśnie nabożeństwo, nadchodzi pora na tańce. Myśleliście zapewne, panie, że ludzie z Germelshausen są ponurzy; dziś wieczorem przekonacie się, że tak nie jest.

— Przecież nie widzę, aby z wrót kościoła ktokolwiek wychodził.

— To zrozumiałe — roześmiała się Gertruda — bo nikt tam nie wchodzi, nawet ksiądz. Tylko stary zakrystian nie używa sobie ani chwili spoczynku i dzwoni na początek i koniec nabożeństwa.

— I nikt z was nie uczęszcza do kościoła?

— Nie, ani na mszę, ani do spowiedzi. Wadzimy się z papieżem, który zamieszkał we Włoszech i nie chce wracać, dopóki mu znowu nie przyrzekniemy posłuszeństwa.

— Nic o tym nie słyszałem.

— No tak, bo to dawne sprawy. Popatrzcie, panie, oto zakrystian wychodzi z kościoła sam jeden i zamyka wrota; nie przychodzi do gospody, zawsze przesiaduje samotnie.

— A ksiądz przychodzi?

— No pewnie, a jaki jest wesoły! Niczym się nie przejmuje.

— A jak do tego doszło? — Arnolda dziwiły nie tyle fakty, ile swoboda, z jaką mówiła o nich Gertruda.

— To długa historia, ksiądz spisał ją w grubej, dużej księdze. Jeśli macie ochotę, panie, i rozumiecie po łacinie, możecie to sobie przeczytać. Ale — dodała ostrzegawczo — nie wspominajcie o tym w obecności ojca, bo on tego nie lubi... Popatrzcie, chłopcy i dziewczęta już spieszą do gospody. Wracajmy do domu, muszę się przebrać, nie lubię przychodzić ostatnia.

— A pierwszy taniec, Gertrudo?

— Zatańczę z wami, przyrzekam.

Szybkim krokiem wracali do wsi, gdzie wyglądało zupełnie inaczej niż z rana. Wszędzie stały gromadki roześmianych młodych ludzi, dziewczęta były wystrojone, chłopcy także mieli na sobie odświętne ubrania. W gospodzie od okna do okna wisały girlandy z liści, tworząc nad drzwiami duży łuk tryumfalny.

Arnold, widząc, że wszyscy się tak wystroili, nie chciał pokazać się na zabawie w swym ubraniu podróżnym; w domu sołtysa wypakował plecak, wyjął odświętne ubranie i był właśnie gotów, kiedy Gertruda zapukała do drzwi. Piękna była w swoim skromnym, a jednak bogatym stroju; poprosiła go, aby jej towarzyszył, ponieważ ojciec z macochą przyjdą później.

Tęsknota za Heinrichem niezbyt jej doskwiera, pomyślał Arnold, ujął ją

pod rękę i poprowadził w zapadającym mroku na salę tańca, myśli swej jednak nie wyznał na głos — zbudziło się w nim dziwne, nie znane dotąd uczucie, a serce biło mu jak szalone, gdy przyciskając ramię dziewczyny, wyczuwał pulsowanie jej serca.

— Jutro muszę powędrować dalej — westchnął. Wbrew jego woli słowa te dotarły do dziewczyny.

— Nie troszczcie się o to, pandę — rzekła z uśmiechem — zostaniemy ze sobą długo, może dłużej, niżby to wam było miłe.

— Chciałabyś, Gertrudo, abym z wami został? — Arnold poczuł, jak krew, gwałtownie uderza mu do skroni.

— Oczywiście — odparła swobodnie. — Jesteście, panie, dobry i miły, ojciec też was lubi, wiem o tym... a Heinrich jednak nie przyszedł — dodała po cichu, jakby zagniewana.

— A gdyby nadszedł jutro?

— Jutro? — Gertruda spojrzała nań poważnie swymi wielkimi ciemnymi oczyma. — Dziś od jutra dzieli długa, długa noc. Jutro! Jutro zrozumiecie, co to słowo oznacza. Ale nie mówmy już o tym — rzekła krótko i łagodnie — dziś obchodzimy święto na które od tak dawna, od tak bardzo dawna się cieszyliśmy, i nie należy mącić go smutnymi myślami. A oto jesteśmy. Chłopcy zrobią wielkie oczy, że przyprowadziłam sobie tancerza.

Arnold chciał jej coś odpowiedzieć, ale hałaśliwa muzyka, wydobywająca się z karczmy, zagłuszyła jego słowa. Dziwne melodie grali muzykanci, nie znał żadnej, początkowo oślepiło go też światło wielu świec.

Gertruda poprowadziła go do środka, gdzie gromada młodych dziewcząt stała gawędząc, i wtedy dopiero puściła jego ramię, aby — nim rozpoczną się tańce — rozejrzał się i poznał resztę chłopców.

W pierwszej chwili Arnold poczuł się nieswojo wśród tych obcych ludzi, raziły go też ich dziwne stroje oraz niezwykle twarda mowa; choć w ustach Gertrudy brzmiała przyjemnie, u innych nabierała szorstkich tonów. Lecz wszyscy chłopcy byli dla niego uprzejmi, jeden podszedł doń nawet, ujął go

za rękę i powiedział: — To rozsądne, panie, że chcecie u nas zostać, prowadzimy wesołe życie, a międzyczas szybko mija.

— Jaki międzyczas? — Arnolda zaskoczyło nie tyle to określenie, ile przekonanie chłopca, iż on, Arnold, zdecydował się pozostać w tej wsi na zawsze. — Macie na myśli, że tu wrócę?

— Chcecie stąd odejść? — zapytał chłopak spiesźnie.

— Tak, jutro albo pojutrze, ale tu powrócę.

— Jutro? Tak? — roześmiał się chłopak. — No dobrze, jutro o tym pogadamy. A teraz chodźcie, pokażę wam naszą gospodę, bo jeśli jutro chcecie nas opuścić, nawet tego nie zobaczycie.

Inni śmiali się skrycie, lecz młody wieśniak oprowadzał Arnolda po całym budynku, w którym tłoczno było od wesoło bawiących się gości. Minęli pokój do gry w karty — każdy z graczy miał przed sobą spory stos pieniędzy — potem weszli do kręgielni, wyłożonej jasną, lśniąca mozaiką. W trzeciej izbie grano w rozmaite gry towarzyskie. Dziewczęta, śmiejąc się i śpiewając, krążyły tam i z powrotem i przekomarzały się z chłopcami. Naraz muzykanci, którzy dotąd wygrywali skoczne melodie, wykonali tusz — znak, że rozpoczynają się tańce. Gertruda znalazła się u boku Arnolda i wzięła go pod ramię.

— Chodźcie, panie, nie powinniśmy być ostatni, jako córka sołtysa muszę otworzyć tańce.

— Ale cóż to za dziwaczna melodia? — zapytał. — Nie mogę złapać taktu.

— Damy sobie rade — uśmiechnęła się — w ciągu pięciu minut wprawicie się wedle moich wskazówek.

Wszyscy poza karciarzami runęli do sali tańca z głośnymi okrzykami radości, Arnold zaś, uszczęśliwiony, że trzyma tę cudną dziewczynę w ramionach, zapomniał wkrótce o wszystkim. Wciąż od nowa tańczył z Gertrudą — nikt się nie kwapił odebrać mu partnerki; dziewczęta w mijaniu przekomarzały się z nimi. Jedno tylko raziło Arnolda: tuż obok gospody

znajdował się stary kościół, i na sali słyhać było wyraźnie ostre, przykre tony pękniętego dzwonu. Za każdym razem, gdy rozlegało się pierwsze uderzenie, tancerze zamierali jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Muzyka urywała się w pół taktu. Roztańczona gromada zatrzymywała się jak zaklęta, stała cicho, bez ruchu, i wszyscy w milczeniu liczyli powolne uderzenia. Kiedy jednak rozlegało się ostatnie uderzenie, życie i radość powracały na nowo. Tak było o ósmej, o dziewiątej i o dziesiątej; Arnold zapytał o powód tak dziwnego zachowania. Gertruda przyłożyła palec do ust i przybrała wyraz tak poważny, że Arnold już za nic nie chciał jej smucić.

O dziesiątej nastąpiła przerwa w tańcach; chór, który miał chyba płuca z żelaza, poprowadził gości do jadalni. Tam zabawa była w pełni. Wino lało się strumieniami, i Arnold, który nie chciał pozostać w tyle, obliczał w duchu, jaką wyrwę spowoduje w jego skromnej kasie ten rozrzutny wieczór. Lecz obok niego siedziała Gertruda, piła z nim z jednej szklanki, więc jakżeby miał troszczyć się o tak przyziemne sprawy? A jeżeli Heinrich jutro nadejdzie?

Rozległo się pierwsze uderzenie jedenastej godziny, i znowu ucichła głośna radość uczujących, znowu owo zapierające dech nasłuchiwanie powolnego bicia. Arnold poczuł dziwną grozę; sam nie wiedział dlaczego, lecz nagle przyszła mu na myśl matka, która nań w domu czekała. Powoli unióś szklankę i wypił jej zdrowie — tak dalekiej, a tak umiłowanej.

Wraz z uderzeniem jedenastej godziny goście zerwali się od stołów — znowu rozpoczęły się tańce, wszyscy pobiegli na salę.

— Za czyje zdrowie wychyliście ostatnią szklankę? — zapytała Gertruda, gdy znowu położyła rękę na ramieniu Arnolda.

Arnold zwlekał z odpowiedzią. Może Gertruda go wykpi, jeśli się przyzna? Nie, jednak nie. Przecież tak żarliwie modliła się na grobie swej matki.

— Za zdrowie mojej matki — rzekł po cichu.

Gertruda nie odezwała się ani słowem, w milczeniu weszła z nim na

schody, ale już się nie śmiała, a zanim rozpoczęli taniec, zapytała: — Bardzo kochacie, panie, matkę?

— Ponad życie.

— A ona was?

— Czyż matka nie kocha swego dziecka?

— A gdybyście już do niej nie wrócili?

— Biedna matka, to by złamało jej serce.

— Rozpoczyna się taniec — szybko wtrąciła Gertruda — chodźmy, nie wolno nam tracić ani chwili.

Tancerze szaleli. Chłopcy, rozgrzani mocnym winem, harcowali, wydawali dzikie okrzyki, powstał taki zgiełk, że niemal zagłuszał muzykę.

Arnoldowi to szaleństwo nie sprawiało już przyjemności. Gertruda ucichła, spoważniała.

Lecz inni nie ustawiali, szaleństwo jak gdyby się wzmagало. W przerwie między tańcami podszedł do nich sołtys i rzekł z uśmiechem: — Słusznie, panie malarzu, trzeba tańcować do upadłego. Będziemy mieli dość czasu na wypoczynek. Trudo, czemu masz tak poważną minę, wcale nie licuje ona z tańcem. No, bawcie się, muzyka znowu gra, muszę poszukać mojej starej, aby zatańczyć z nią ostatni raz. Ruszajcie w tany, muzykanci już nadęli policzki. — Iz radosnym okrzykiem zaczął się przeciskać przez tłum.

Arnold objął Gertrudę, aby rozpocząć taniec, gdy dziewczyna nagle mu się wywinęła, chwyciła go za rękę i szepnęła: — Chodźcie, panie!

Arnold nie zdążył zapytać, dokąd go chce zaprowadzić, ona zaś prześliznęła się już ku drzwiom sali.

— Dokąd idziesz Trudo? — zawołało kilka koleżanek.

— Zaraz wracam — odparła krótko, i w kilka sekund później znaleźli się z Arnoldem na świeżym wieczornym powietrzu przed karczmą.

— Dokąd chcesz iść, Gertrudo?

— Chodźcie, panie! — Znowu ujęła go za ramię i poprowadziła przez wieś; mijając rodzicielski dom; na chwilę weszła tam i wróciła z tobołkiem.

— Gdzie masz zamiar iść? — zapytał Arnold przerażony.

— Chodźcie, panie! — to jedynie odpowiadała, mijając domy, aż pozostawili za sobą mur otaczający Germelshausen. Dotąd szli szeroką bitą drogą, teraz Gertruda skręciła w lewo i wspinała się na płaski pagórek, skąd widać było jasno oświetlone okna i drzwi karczmy. Tu się zatrzymała, uścisnęła Arnoldowi rękę i rzekła serdecznie: — Pozdrówcie ode mnie waszą matkę, panie, i bywajcie zdrowi.

— Gertrudo — zawołał Arnold zaskoczony — teraz, o północy, chcesz się mnie w ten sposób pozbyć?! Czy naraziłem ci się czymś?

— Nie, Arnoldzie — rzekła, po raz pierwszy zwracając się do niego po imieniu — właśnie... właśnie dlatego, że was polubiłam, musicie stąd odejść.

— Ależ nie możesz sama wracać do wsi w tej ciemności — prosił Arnold.
— Nie wiesz, dziewczyno, jak cię kocham, jak w ciągu tych niewielu godzin wrosłaś mi w serce. Nie wiesz...

— Nie mówcie dalej — przerwała mu — nie żegnajmy się. Gdy dzwon wybije dwunastą, a nastąpi to za niespełna dziesięć minut, przyjdźcie znowu pod drzwi karczmy, tam będę na was czekała.

— A tymczasem?

— Pozostańcie tutaj. Przyrzeknijcie mi, że nie ruszycie się ani o krok, nim dzwon nie wybije dwunastej.

— Przyrzekam, Gertrudo, ale potem...

— Potem przyjdziecie. — Podała mu rękę na pożegnanie i chciała odejść.

— Gertrudo! — zawołał błagalnie.

Dziewczyna zatrzymała się z wahaniem, potem nagle objęła go za szyję, i młodzieniec poczuł jej lodowato zimne wargi na swoich ustach. Lecz trwało to tylko chwilę, bo zaraz uwolniła się i pobiegła w kierunku wsi. Arnold, zaskoczony jej dziwnym zachowaniem, lecz pomny swego przyrzeczenia, pozostał w miejscu, gdzie Gertruda go opuściła. Teraz dopiero spostrzegł, jak w ciągu tych niewielu godzin zmieniła się pogoda. Wiatr wył wśród zarośli, niebo zasnuło się pędzącymi chmurami, pojedyncze krople deszczu

zapowiadały nadciągającą burzę. Skroś ciemną noc jaśniały światła karczmy, a kiedy wiatr dął z tamtej strony, Arnold mógł dosłyszeć oderwane hałaśliwe dźwięki instrumentów. Nie trwało to jednak długo, upłynęło zaledwie kilka minut, gdy zaczął bić stary dzwon i w tej samej chwili muzyka się urwała, czy też została zagłuszona przez wyjąca wichurę, która rozszalała się nad zboczem.

Arnold musiał przyłgnąć do ziemi, aby nie stracić równowagi. Przed sobą wyczuł tobolek, który Gertruda wyniosła z domu — był to jego własny plecak z teką rysunkową. Przerażony, podniósł się z ziemi... Zegar wybił pełną godzinę, wichura ustała, ale nigdzie we wsi nie ujrzałbyś ani światełka. Ucichły psy, które przedtem wyły i ujadły, z doliny unosiła się gęsta, wilgotna mgła.

— Czas minął — szepnął Arnold, zarzucając plecak na ramię — muszę ujrzeć Gertrudę jeszcze raz, w ten sposób nie mogę się z nią rozstać. Tańce się skończyły, tancerze udali się do domu, jeśli sołtys nie zechce mnie przenocować, zostanę w karczmie, zresztą w ciemności nie znalazłbym drogi przez las.

Ostrożnie zeszedł zboczem w dół, chciał trafić na tę szeroką bitą drogę, która prowadziła do wsi. Lecz daremnie błąkał się wśród zarośli. Ziemia tu była miękka i grząska, w swych cienkich trzewikach Arnold zapadał się po kostki, a gęsta olszyna wystrzelała w górę wszędzie tam, gdzie mniemał znaleźć drogę. Na pewno nie przeciął tej drogi, nawet w ciemności poczułby twardy grunt pod nogami, poza tym ciągnął się tam mur otaczający wieś — tego nie mógł przeoczyć. Im dalej jednak brnął, tym głębiej się zapadał w grząskim mule, tym gęstsze były zarośla pełne kolców, które rozdzierały mu odzież i raniły ręce do krwi. Czy zboczył w prawo, czy w lewo od wsi? Obawiał się, że jeszcze bardziej zmyli drogę, więc pozostał na dość suchym miejscu oczekując, aż dzwon wybije godzinę pierwszą. Ale nie usłyszał żadnego bicia, nie dotarł do niego żaden ludzki dźwięk. Z trudem, przemoczony do nitki, drżąc z zimna, Arnold wspiął się na wyżej położone

zbocze górskie, gdzie zostawiła go Gertruda. Kilkakrotnie usiłował przedrzeć się przez gąszcz, aby odnaleźć wieś — na próżno. Śmiertelnie wyczerpany, ogarnięty dziwną grozą, ominął wreszcie tę głęboką, niesamowitą dolinę, szukając schronienia pod drzewem, aby tam spędzić noc. Jakże powoli mijały godziny. Drżał z zimna, nie zmrużył oka ani na chwilę podczas tej długiej nocy. Wciąż nasłuchiwał w ciemności, wciąż wydawało mu się, że słyszy chrapliwy dźwięk dzwonu, i wciąż od nowa stwierdzał, że słuch go myli.

Wreszcie na wschodzie zaczęło nieśmiało świtać: chmury popłynęły dalej, niebo znów było czyste, wygwieżdzone, ptaki, budząc się, ćwierkały wśród mroku drzew. Złote pasmo nieba stawało się coraz szersze, coraz jaśniejsze, Arnold mógł już rozpoznać wierzchołki drzew... daremnie jednak wzrok jego szukał starej wieży kościelnej i zwietrzałych dachów wsi. Rozciągała się przed nim jedynie gęstwa olszyny, a wśród niej pojedyncze wykoślawione wierzby. Żadnej drogi prowadzącej na prawo czy na lewo, ani śladu ludzkiego domostwa w pobliżu.

Nastawał dzień, robiło się coraz jaśniej, pierwsze promienie słońca padały na rozległą, rozpościerającą się przed nim zieloną dolinę.

Arnold w żaden sposób nie mógł wytłumaczyć sobie tej zagadki. Nie ulegało wątpliwości, że szukając wsi po nocy zboczył z drogi — teraz zaś postanowił odnaleźć ją za wszelką cenę.

Wreszcie dotarł do głazu, na którym pozowała mu Gertruda, to miejsce rozpoznałby wśród tysięcy — po starym krzaku bzu o grubych gałęziach. Teraz wiedział dokładnie, skąd wczoraj przyszedł i gdzie położona jest wieś Germelshausen. Cofając się w stronę doliny, trzymał się dokładnie kierunku, skąd przyprowadziła go Gertruda. Rozpoznał owo zbocze, nad którym zawisała ponura mgła. Od domostw wsi dzieliły go jedynie zarośla olszyny. Przedarł się przez gąszcz i znowu był na tym samym mokradle, po którym błędził poprzedniej nocy.

Bezradny, nie ufający własnym zmysłom, chciał siłą utorować sobie drogę, lecz bagniste podłoże zmusiło go wreszcie do szukania suchego

gruntu, daremnie się błąkał — wieś znikła, jakby zapadła się pod ziemię.

Wiele godzin zmitrężył Arnold na próżnych poszukiwaniach, wreszcie zmęczone ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Nie mógł iść dalej, musiał przede wszystkim odpocząć; na cóż zresztą zdałoby się owo daremne szukanie; dojdzie do najbliższej wsi i tam bez trudu znajdzie przewodnika, który poprowadzi go do Germelshausen.

Śmiertelnie znużony, rzucił się na ziemię w cieniu drzewa. Jego odświętne ubranie — w jakim stanie! Ale o to się teraz wcale nie troszczył. Otworzył tekę i wyciągnął portret Gertrudy; pełen goryczy i bólu spoglądał na ukochane oblicze i stwierdził ku swemu przerażeniu, że uczucie do dziewczyny zapuściło już głęboko korzenie w jego sercu.

Nagle usłyszał szelest liści i ujadanie psa; zerwał się i w pobliżu ujrzał starego leśniczego, który z ciekawością przyglądał się dziwnemu osobnikowi w porządnym, acz mocno zniszczonym ubraniu.

— Niech będzie pochwalony! — zawołał Arnold, rad z całego serca, że widzi żywego człowieka. Wsunął rysunek do teki. — Przychodzicie jak na zawołanie, panie leśniczy, bo chyba zmyliłem drogę.

— Hm — rzekł leśniczy — jeżeli spędziliście całą noc w tych zaroślach, mając niespełna pół godziny drogi do przyzwoitej gospody w Dillstedt, to istotnie tak jest. Do licha, wyglądacie, panie, jak gdybyście zażyli kąpieli w mokradle, a potem wytarzali się w kołcach.

— Znacie dobrze ten las? — zapytał Arnold, chcąc się przede wszystkim dowiedzieć, gdzie właściwie się znajduje.

— No chyba — zaśmiał się stary, krzesając ogień i zapalając fajkę.

— Jak nazywa się najbliższa wieś?

— Dillstedt, to tam. Kiedy wejdziecie na tamten wzgórek, zobaczycie tę wieś tuż pod stopami.

— A jak daleko jest do Germelshausen?

— Dokąd? — leśniczy ze zdumieniem wyjął fajkę z ust.

— Do Germelshausen.

— Niech mnie Pan Bóg ma w swej opiece — rzekł stary, rozglądając się trwoźnie — znam las dobrze, ale Panu Bogu wiadomo, jak głęboko zapadła się ta przeklęta wieś, zresztą... nic nam do tego.

— Przeklęta wieś? — zawołał Arnold zdumiony.

— Germelshausen... tak — odparł leśniczy — istniała podobno przed setkami lat... tutaj na trzęsawisku, gdzie rosną teraz wierzby i olszyny, potem pochłonęło ją mokradło. Nikt nie wie dlaczego, ale, jak głosi podanie, raz na sto lat, pewnego określonego dnia, wieś wyłania się na światło dzienne; nie życzyłbym żadnej duszy chrześcijańskiej, by przypadkowo na ten dzień trafiła... Ale, do licha, nocleg w zaroślach nie bardzo wam służył, panie, bladzi jesteście jak śmierć. Proszę sobie łyknąć, to dobrze zrobi.

— Dziękuję.

— Ach, co tam, upiliście ledwo co, a należy się potrójna porcja... Teraz idźcie do gospody i połóżcie się do ciepłego łóżka.

— Do Dillstedt?

— A gdzie by indziej? Żadnej bliższej wsi tutaj nie mamy.

— A Germelshausen?

— Nie wymawiajcie, jeśli łaska, tej nazwy właśnie w tym miejscu, gdzie stoimy. Niech zmarli spoczywają w spokoju, zwłaszcza ci, którzy nie mogą zaznać spokoju i wciąż od nowa nagle się wśród nas zjawiają.

— Ale przecież ta wieś wczoraj tu była! — zawołał Arnold; wydało mu się, że postradał zmysły. — Byłem tam, jadłem, piłem i tańczyłem.

Leśniczy zmierzył młodzieńca od stóp do głów, po czym powiedział z uśmiechem: — Ale nazywała się inaczej, prawda? Zapewne przychodząc z Dillstedt, wczoraj odbywała się tam zabawa. Gospodarz tamtejszy warzy mocne piwo, a nie każdy dobrze je znosi.

Arnold miast odpowiedzi otworzył tekę i wyjął rysunek, który naszkicował na cmentarzu.

— Znacie tę wieś?

— Nie, tak niskiej wieży nie mamy tu w całej okolicy.

— To właśnie jest Germelshausen! — zawołał Arnold. — A czy młodzież wiejska ubiera się tak jak ta dziewczyna?

— Hm... nie. Cóż to za dziwny pogrzeb dorysowaliście?

Arnold nie odpowiedział, wsunął arkusz do teki z uczuciem głębokiego smutku.

— Drogę do Dillstedt znajdziecie na pewno, panie — rzekł leśniczy dobrodusznie, gdy nagle zrodziło się w nim podejrzenie, że z tym obcym młodzieńcem coś nie jest w porządku. — Jeśli jednak sobie życzyacie, odprowadzę was kawałek. Nie nałożę drogi.

— Dziękuję, ale tam już drogi nie zmylę... Więc powiadacie, że raz na sto lat wieś może wydobyć się na powierzchnię...

— Tak powiadają ludzie, ale kto wie, czy to prawda. Arnold podniósł swój plecak. — Zostańcie z Bogiem — rzekł, ściskając leśniczemu rękę.

— Idźcie z Bogiem. Dokąd was teraz droga prowadzi?

— Do Dillstedt.

— I słusznie. Przez tamto zbocze wyjdziecie na szeroką drogę.

Arnold odwrócił się i ruszył przed siebie. Dopiero na wzgórzu, z którego mógł objąć wzrokiem całą dolinę, zatrzymał się.

— Żegnaj, Gertrudo — szepnął, a w oczach stanęły mu dwie duże jasne łzy.

Przełożyła Maria Gero-Roźniewicz

Theodor Storm

DOM BULEMANNA

W pewnym mieście portowym na północy Niemiec, na Dusterstrasse, stoi stary zapuszczony dom. Ten trzypiętrowy budynek ma wąski front, w którego środku, od parteru niemal do poddasza, mur stanowi jakby wykusz. Na każdym piętrze wybrzuszenie muru ma z przodu i z boków okna, tak że gdy noce są jasne, księżyc może zaglądać do wnętrza.

Od niepamiętnych czasów nikt nie wchodził do tego domu i nikt z niego nie wychodził. Ciężka mosiężna kołatka szerniała od wilgoci, w szparach stopni prowadzących do niego od lat rośnie swobodnie trawa. Gdy obcy pytają: „Cóż to za dziwny dom?”, słyszą jedną tylko odpowiedź: „To dom Bulemanna”; gdy chcą dowiedzieć się, kto tam mieszka, odpowiedź brzmi: „Tam nikt nie mieszka”. Dzieci na ulicy i niańki kołyszące niemowlęta śpiewają:

W domu Bulemanna

W domu Bulemanna

Tylko myszy wesóło —

Hasają do rana.

I doprawdy, przechodnie wracający nocą z hulanki opowiadają, iż z pustego domu dolatuje jakby piszczenie niezliczonych myszy. Jeden z nich dla żartu zakolał do drzwi, by usłyszeć echo w pustym domu. Opowiadał potem, iż wyraźnie usłyszał skoki jakichś wielkich zwierząt. „Prawie — dodawał — jak dzikie zwierzęta harujące w menażerii na rynku przed ratuszem”.

Dom stojący naprzeciwko kamienicy Bulemanna jest o piętro niższy, tak iż w nocy światło przenika swobodnie do górnych okien starego domostwa. Strażnik miejski ma również w zanadrzu historyjkę o takiej nocy. Powiada, że nagle ujrzał w okrągłym oknie wykusza drobną twarz starego człowieka w kolorowej szlafmocy. Sąsiedzi jednak twierdzą, że strażnik był zapewne znów wstawiony. Nikt nigdy nie widział za tymi oknami nic, co byłoby podobne do ludzkiej twarzy.

Jedynie pewien stary człowiek, mieszkający w odległej części miasta, dawny organista kościoła pod wezwaniem Św. Magdaleny, pamięta coś niecoś o domu Bulemanna. „Przypominam sobie — powiedział, spytany o historię tej ruiny — dość dokładnie chudego człowieka, który w czasie mego dzieciństwa mieszkał w tym domu samotnie z jakąś starą kobietą. Przez kilka lat utrzymywał stosunki z moim ojcem, handlarzem starzyzną, i wówczas często posyłało mnie do niego z różnymi poleceniami. Pamiętam dobrze, iż udawałem się tam niechętnie i starałem się zawsze od tego wykręcić. Bowiem nawet za dnia bałem się tych ciemnych schodów, prowadzących na trzecie piętro. Ludzie nazywali pana Bulemanna ‘handlarzem dusz’. Sama ta nazwa wzbudzała we mnie lęk, zwłaszcza że opowiadano sobie o nim niesamowite historie. Zanim po śmierci swego ojca wprowadził się do starego domu, był wiele lat marynarzem i pływał do Indii Zachodnich. Tam podobno ożenił się z Murzynką. Gdy wrócił z podróży, daremnie oczekiwano przybycia owej kobiety z kilkorgiem dzieci. Wkrótce zaczęto sobie opowiadać, że w drodze powrotnej napotkał statek wiozący niewolników i że sprzedał kapitanowi swoje własne dzieci oraz ich matkę za garść monet. Nie umiałbym powiedzieć, ile w tym prawdy — dodawał starzec — nie chcę obmawiać zmarłego, ale to fakt, iż był on skąpcem i odludkiem, a przy tym miał wzrok człowieka, który widział niejedno zło. Progu jego nie miał prawa przestąpić ani człowiek nieszczęśliwy, ani taki, który szukałby pomocy. Ile razy szedłem do niego, zawsze widziałem w drzwiach żelazny łańcuch. Po długim kołataniu ciężką mosiężną kołatką pan domu wołał kłótliwym

głosem: ‘Pani Anken! Pani Anken! Czy pani ogłuchła? Nie słyszy pani, że stukają!’ Wówczas rozlegało się człapanie starej kobiety, która zbliżała się do drzwi długimi korytarzami z odległej oficyny. Zanim otworzyła drzwi, pytała pokaszlując: ‘Kto tam?’ Dopiero gdy mówiłem: ‘Tu Leberecht’, zdejmowała łańcuch. Gdy szybko wbiegałem po siedemdziesięciu siedmiu stopniach, policzyłem je kiedyś, pan Bulemann czekał już na mnie w małej, ciasnej sieni przed swoim pokojem. Do pokoju nie wpuścił mnie nigdy. Mam go tak przed oczyma w żółtym szlafroku w kwiaty i szpiczastej mycce. Rękę za plecami trzymał na kłamce. Podczas gdy powtarzałem polecenie, patrzył na mnie niecierpliwie tymi swoimi okrągłymi, przenikliwymi oczami i spławiał mnie szybko, bez uśmiechu. Najbardziej interesowały mnie wówczas dwa ogromne koty: żółty i czarny, które czasami wybiegały za nim z pokoju i ocierały swoje grube łby o jego kolana.

Po kilku latach stosunki z moim ojcem urwały się, i nigdy już nie byłem w tym domu. To wszystko działo się siedemdziesiąt lat temu, i pana Bulemanna wyniesiono już dawno tam, skąd nie ma dla nikogo powrotu”. Stary człowiek mylił się. Pana Bulemanna nie wyniesiono z domu, żyje tam jeszcze dotąd.

A było to tak:

Przed nim, ostatnim właścicielem domu, jeszcze w czasach pudrowanych peruk i harbajtli, mieszkał tam pewien lichwiarz, stary, zgarbiony człowieczek. Ponieważ uprawiał swój zawód skrupulatnie od ponad pięćdziesięciu lat i żył więcej niż skromnie z kobietą, która od śmierci żony prowadziła mu gospodarstwo, doszedł wreszcie do majątku. Majątek jego składał się jednak przeważnie z nieprzebranej ilości precjozów, różnego rodzaju sprzętów i najprzedziwaczniejszego kramu. Zgromadził wszystko to, co przez wiele lat otrzymywał od utracjuszy i biedaków jako zastaw. Często, gdy nie spłacano mu długu, zastawu nie zwracał, Gdyby jednak sprzedał przedmioty stanowiące zastaw, co przeprowadza się prawnie, musiałby zwracać sumę przewyższającą dług właścicielom; wolał więc gromadzić te skarby w szafach z drzewa orzechowego, którymi z czasem zapełnił

pomieszczenia na pierwszym, a potem i na drugim piętrze. W nocy — gdy pani Anken już pochrapywała w swym samotnym pokoiku w oficynie, a drzwi zabezpieczone były łańcuchem — chodził tam i z powrotem po schodach. W surducie zapiętym pod szyję, trzymając w jednym ręku lampę, w drugim pęk kluczy, otwierał na pierwszym, a potem znów na drugim piętrze pokoje i szafy. Czasami wyjmował z jakiegoś schowka złoty zegarek kieszonkowy i brał go do ręki, czasem znów emaliowaną tabakierkę, i obliczał, ile też już lat są w jego posiadaniu oraz czy poprzedni właściciele tych przedmiotów zmarnieli i zaginęli, czy też być może wrócą jeszcze do niego, przyniosą gotówkę, by zabrać swój zastaw.

Lichwiarz zmarł wreszcie w bardzo podeszłym wieku, pozostawiając dom wraz z pełnymi szafami swoich skarbów jednemu synowi, któremu przez całe życie bronił dostępu do zgromadzonych bogactw.

Ten syn to był właśnie ów marynarz, którego tak bardzo lękał się mały Leberecht, a który wrócił właśnie do miasta rodzinnego z morskiej podróży. Po pogrzebie ojca zwinął wszystkie interesy i wprowadził się do jego pokoju na trzecim piętrze starego domu z wykuszem. Zamiast więc zgarbionego człowieczka w szarym surducie po domu poruszała się wysoka, chuda postać we wzorzystym żółtym szlafroku i kolorowej mycce, czasami obliczająca coś przy małym pulpicie nieboszczyka. Pan Bulemann nie odziedziczył jednak przywiązania starego lichwiarza do nagromadzonych kosztowności. Po dokładnym przejrzaniu — przy szczelnie zamkniętych drzwiach — zawartości wielkich szaf z drzewa orzechowego zaczął się zastanawiać, czy nie odważyć się na potajemną sprzedaż tych przedmiotów, będących wciąż jeszcze własnością innych. Wiedział, że ma prawo jedynie do niewielkiej wartości odziedziczonych drobiazgów, za które zastawiający otrzymywali znikome sumy. Pan Bulemann nie należał jednak do ludzi niezdecydowanych. Już po kilku dniach nawiązał kontakt z handlarzem starzyzny na dalekim przedmieściu. Po odłożeniu na bok przedmiotów zastawionych w ostatnich latach, zaczęto zamieniać potajemnie i ostrożnie

zawartość brzuchatych szaf na brzęczącą monetę. To właśnie w owych latach mały Leberecht zachodził do starego domu. Zdobyte pieniądze wkładał pan Bulemann do wielkich, okutych żelazem skrzyń, które umieszczał obok siebie w sypialni. Zdając sobie sprawę z bezprawia swoich poczynań, nie śmiał umieszczać pieniędzy na hipotekach lub wykorzystać w inny oficjalny sposób.

Gdy wszystkie przedmioty zostały już sprzedane, zaczął obliczać wszelkie możliwe wydatki na czas swego życia. Za podstawę wziął wiek dziewięćdziesięciu lat. Pieniądze umieszczał w paczuszkach przeznaczonych na wydatki w ciągu tygodnia. Na każdy kwartał odkładał dodatkowy rulonik monet na nieprzewidziane okoliczności. Pieniądze te umieszczane były w skrzynce, która stała w pokoju obok. Co sobota rankiem pani Anken, stara gospodyni, odziedziczona po ojcu, zjawiała się, by otrzymać nową paczuszkę i zdać rachunek z wydatków poprzedniego tygodnia.

Jak już wspominaliśmy, pan Bulemann nie przywiózł ani żony, ani dzieci. W dzień po pogrzebie starego lichwiarza jakiś marynarz przyniósł Bulemannowi ze statku dwa ogromne koty w zawiązanym mocno worku. Zwierzęta te stały się wkrótce jedynymi towarzyszami swego pana. Codziennie w południe otrzymywały jedzenie w specjalnych miskach. Pani Anken musiała przygotowywać je, choć złościło ją to niepomiernie. Po najedzeniu się, podczas gdy Bulemann odbywał krótką poobiednią drzemkę, siadały syte koło niego na kanapie, oblizywały się i wpatrywały w niego sennym wzrokiem. Gdy udawały się na polowanie na myszy w parterowych pomieszczeniach domu, za co dostawało im się w skrytości kopnięcie starej kobiety, to złowione myszy przynosiły w pysku swemu panu i pokazywały mu swą zdobycz, po czym wchodziły pod kanapę, by je pożreć. Gdy nadchodziła noc, i pan Bulemann zamienił już swą kolorową myckę na białą, udawał się ze swymi kotami do łóżka z baldachimem w sąsiednim pokoju. Koty, ułożywszy się wygodnie w nogach, usypiały go swym jednostajnym mruzeniem.

To spokojne życie nie toczyło się jednak bez zakłóceń. W ciągu pierwszych lat zjawiali się niektórzy posiadacze zastawów, żądając wydania kosztowności za zwrotem pożyczonej sumy. Pan Bulemann w obawie przed sprawą sądową, która ujawniłaby jego postępowanie, sięgał do wielkiego pudła i kupował sobie większymi lub mniejszymi sumami milczenie zainteresowanych. Stawał się coraz większym odludkiem, nastawionym wrogo do ludzi. Od dawna już nie utrzymywał kontaktu ze starym handlarzem starzyzną. Samotnie siadywał w swym pokoiku w wykuszu. Zajmował się rozwiązywaniem zagadnienia niezawodnej wygranej na loterii. W ten sposób pragnął pomnożyć nieskończenie swój majątek. Nawet Graps i Schnores, obydwie wielkie koty, musiały znosić jego zły humor. Czasami pieścił je swymi długimi palcami, by w chwilę potem, gdy obliczenia mu się nie zgadzały, rzucać w nie piaseczniczką lub nożycami do papieru, tak że, utykając, chroniły się do kąta.

Pan Bulemann miał siostrę przyrodnią, córkę z pierwszego małżeństwa swej matki. Po śmierci matki załatwiono z nią wszelkie pretensje o spadek, nie mogła więc wysuwać żadnych roszczeń do odziedziczonych przez niego skarbów. Nie troszczył się zupełnie o siostrę, chociaż mieszkała na przedmieściu w najnędniejszych warunkach. Pan Bulemann unikał bowiem najbardziej stosunków z ubogimi krewnymi. Raz tylko, gdy wkrótce po śmierci męża owa siostra, już niemłoda, urodziła chorowite dziecko, zwróciła się do niego o pomoc. Do pani Anken, która wpuściła ją do domu i nasłuchując usiadła na schodach, doszedł wkrótce ostry głos pana. Drzwi otworzyły się nagle, i kobieta, płacząc, zbiegła ze schodów. Jeszcze tego samego wieczoru pani Anken dostała surowy nakaz nie zdejmowania łańcucha z drzwi, gdyby Krystyna zjawiła się raz jeszcze.

Stara coraz bardziej lękała się haczykowatego nosa i przenikliwych swoich oczu swego pana. Gdy stojąc na schodach zawołał ją lub też, jak miał w zwyczaju na statku, gwizdnął na palcach, wyłaziła natychmiast z najdalszego kąta i jęcząc oraz gderając i wymyślając wbiegała na górę.

Tak jak pan Bulemann na trzecim piętrze, tak pani Anken na parterze gromadziła swoje, zdobyte niezbyt uczciwie, skarby. Już w pierwszych latach służby ogarnął ją dziecinny lęk, iż jej chlebowca zechce kiedyś sam przejąć wydatki na gospodarstwo i że wówczas, ze względu na skąpstwo swego pana, zostanie na stare lata w nędzy. By temu zapobiec, skłamała mu, że ceny pszenicy poszły w górę, i zażądała większej sumy na zakup chleba. Superkargo, który właśnie rozpoczął obliczanie wydatków na całe życie, ze złością podarł zestawienie i rozpoczął wszystko od początku, dodając żadaną sumę do tygodniowych obrachunków. Pani Anken zaś, gdy osiągnęła swój cel, przypomniała sobie przysłowie „Co do brzucha, to nie grzech” i chowała odtąd nadwyżkę nie w pieniądzach, lecz w bułkach, napełniając nimi wielkie brzuchate szafy orzechowe, w których nie było już żadnych skarbów. Czyniła to bez obawy, gdyż pan Bulemann nigdy nie schodził na parter.

Upłynęło chyba z dziesięć lat. Pan Bulemann stawał się coraz chudszy i zupełnie osiwiiał. Jego szlafrok w żółte wzory był coraz bardziej wyświechtany. Często przez wiele dni nie odzywał się w ogóle, nie widywał bowiem nikogo poza dwoma kotami i starą, dziecinniałą gospodynią. Czasami tylko, gdy słyszał, że przed domem dzieci sąsiadów bawią się w jeźdźców na kamiennych słupkach, wystawiał głowę za okno i krzyczał na nie. „Sprzedawca dusz, sprzedawca dusz!” wołały dzieci i rozbiegały się. A pan Bulemann klął i wymyślał jeszcze bardziej, aż wreszcie z trzaskiem zamykał okno i w pokoju odgrywał się na Grapsie i Schnoresie.

Aby uniknąć wszelkich kontaktów z sąsiedztwem, pani Anken już od dawna załatwiała zakupy na odległych ulicach. Wolno jej było opuszczać dom dopiero po zmroku, i musiała wówczas zamykać drzwi wejściowe.

Było to, być może, na osiem dni przed Bożym Narodzeniem. Stara znów pewnego wieczoru wyszła po zakupy. Mimo że bardzo się pilnowała, tym razem popełniła błąd przez zapomnienie. Bowiem w chwili, gdy pan Bulemann zapalił zapałką łożówkę, usłyszał ku swemu zdziwieniu, że ktoś idzie po schodach; gdy zaś, osłaniając światło ręką, wyszedł do sieni,

zobaczył swoją siostrę przyrodną, prowadzącą mizernego chłopczyka. — Jak dostaliście się do domu?! — zawołał, przyglądając się jej przez chwilę ze zdumieniem i złością.

— Drzwi na dole były otwarte — powiedziała kobieta nieśmiało.

Zamruczał przekleństwo pod adresem gospodyni.

— Czego chcesz?

— Nie bądź taki nieczuły, bracie — poprosiła kobieta — bo nie będę miała odwagi z tobą pomówić.

— Nie wiem, o czym miałabyś ze mną rozmawiać. Otrzymałaś, co twoje, między nami wszystko załatwione.

Siostra stała przed nim w milczeniu, szukając odpowiednich słów. W mieszkaniu słyhać było drapanie do drzwi pokoju. Gdy pan Bulemann się odwrócił i otworzył je, dwa wielkie koty wyskoczyły do sieni i łąsiły się, mruczając, do bledziutkiego chłopca, który w strachu cofał się przed nimi, opierając się o ścianę. Ich pan spoglądał niecierpliwie na stojącą przed nim, milczącą wciąż kobietę.

— No co, długo jeszcze? — spytał.

— Chciałam cię o coś prosić, Danielu — zaczęła wreszcie.

Twój ojciec wziął ode mnie na zastaw srebrny pucharek. Było to na kilka lat przed jego śmiercią, znajdowałam się wówczas w srogiej biedzie.

— Mój ojciec od ciebie? — spytał Bulemann.

— Tak, Danielu, twój ojciec, mąż naszych matek. Oto kwit, nie dał mi za niego zbyt wiele.

— No i co? — spytał Bulemann, który szybkim wzrokiem ogarnął puste ręce siostry.

— Niedawno — ciągnęła ta nieśmiało dalej — śniło mi się, że byłam z moim chorym dzieckiem na cmentarzu. Gdy doszliśmy do grobu matki, zobaczyłam, że siedzi ona na kamieniu nagrobnym, pod krzakiem kwitnących białych róż. W ręku trzymała ów mały pucharek, który podarowała mi, gdy byłam dzieckiem. Gdy zbliżyliśmy się, podniosła go do

ust i uśmiechając się do chłopca, powiedziała, co usłyszałam wyraźnie: „Na zdrowie!” To był jej łagodny głos, Danielu, taki jak w życiu. A sen ten miałam trzy dni z rzędu.

— I o co chodzi? — spytał Bulemann.

— Oddaj mi ten pucharek, bracie! Zbliża się Boże Narodzenie, daj go choremu dziecku na Gwiazdkę!

Wychudły mężczyzna w żółtym wzorzystym szlafroku stał przed nią bez ruchu i patrzył swymi ostrymi, okrągłymi oczami. — Czy masz pieniądze przy sobie? — spytał — łzami nie wykupuje się zastawu.

— Danielu! — zawołała kobieta — uwierz naszej matce! On wyzdrowieje, gdy napije się z tego małego pucharka. Miej litość, to jest przecież także twoja krew!

Wyciągnęła rękę do niego, ale on cofnął się o krok — Nie zbliżaj się — powiedział. A potem zawołał koty. — Graps, stara bestio! Schnores, syneczku! — I wielki żółty kocur skoczył jednym susem na ramię swego pana i wpił się pazurami w kolorową myckę, podczas gdy czarny kot wspinał mu się na kolana.

Chory chłopczyk przybliżył się. — Mamo — spytał, ciągnąc ja za suknię — czy to jest ten zły wuj, który sprzedał swoje czarne dzieci?

W tej samej chwili pan Bulemann zrzucił kota i chwycił krzyczącego chłopca za ramię. — Przekłete żebraczyny! — zawołał. — To i ty wyśpiewujesz tę głupią piosenkę?

— Bracie, bracie — zawodziła kobieta. Ale chłopak leżał już, jęcząc, na podeście. Matka skoczyła w dół i objęła go ramionami; przytrzymując krwawiącą główkę dziecka na piersi, uniosła pięść na brata, który stał na schodach między swymi kotami: — Ty przeklęty zły człowieku! Bodajbyś zginął z tymi twoimi bestiami!

— Przeklinaj, ile ci się podoba — zawołał brat — ale wynoś cię stąd!

Gdy kobieta z płaczącym dzieckiem schodziła ze schodów, zawołał swe koty i zamknął za sobą drzwi. Nie pomyślał, że przekleństwa biedaków są

niebezpieczne, gdy wywołuje je brak serca bogaczy.



Kilka dni później pani Anken przyniosła jak zwykle obiad do pokoju swego pana. Ale cienkie jej wargi bardziej były zaciśnięte niż zwykle, a małe głupawe oczka świeciły złośliwie. Nie zapomniała bowiem ostrych wymówek, iż zaniedbuje swoje obowiązki, wypowiedzianych owego wieczoru, i miała zamiar odpłacić za nie z nawiązką.

— Czy słyszał pan, że dzwoniono u Świętej Magdaleny? — spytała.

— Nie — odpowiedział Bulemann krótko, siedział bowiem nad swymi rachunkami.

— A czy wie pan, dlaczego dzwoniono? — pytała dalej stara.

— Głupie gadanie, nie słucham tego dzwonienia.

— Ale to podzwonne dla pańskiego siostrzeńca!

Pan Bulemann odłożył pióro. — Co ty gadasz, starucho?

— Powiedziałam — odrzekła — że właśnie chowają małego Krzysia.

Pan Bulemann zajął się na nowo pisaniem. — Po co mi to opowiadasz? Cóż mnie obchodzi ten chłopiec?

— No, mówiłam tak sobie, opowiada się przecież nowinki z miasta.

Gdy pani Anken wyszła, pan Bulemann odłożył jednak pióro i długi czas z założonymi na plecach rękoma chodził po pokoju. Gdy na dole powstawał szmer, podchodził do okna, jakby oczekiwał już nadejścia pracownika magistratu, który ma go zaprowadzić przed Radę Miejską, by oskarżyć go o znęcanie się nad chłopcem. Czarny Graps, który dopominał się swojej porcji z podanego obiadu, został kopnięty tak mocno, że piszcząc skrył się w kąt. Czy to był głód, czy też pokorne zachowanie zwierząt uległo zmianie, dość, że kot zwrócił się przeciwko swemu panu i prychnąwszy i piszcząc rzucił się na niego. Pan Bulemann kopnął go znowu. — Żryjcie! — zawołał. — Nie

musicie na mnie czekać.

Jednym susem obydwie koty skoczyły do pełnej miski, którą postawił im na podłodze.

Ale potem stało się coś dziwnego.

Gdy żółty Schnores, który pierwszy zakończył swój posiłek, stanął na środku pokoju i przeciągał się, wyginając grzbiet, pan Bulemann zatrzymał się nagle przed nim. Obszedł go dookoła i oglądał ze wszystkich stron. — Schnores, stary łajdaku, co się stało? — zawołał, drapiąc go po głowie. — Urosłeś jeszcze na stare lata! — W tej samej chwili podskoczył i drugi kot. Zjeżył swoje błyszczące futro, a potem stanął na tylnych łapach. Pan Bulemann zsunął myckę z czoła. — Ten również! — zamamrotał. — Ciekawe, to chyba jakaś specjalna rasa.

Powoli zapadał zmierzch, a ponieważ nikt nie niepokoił go niespodziewaną wizytą, zasiadł do potraw stojących na stole. Wreszcie zaczął spoglądać z zadowoleniem na swe wielkie koty, siedzące obok niego na kanapie; — Wspaniałe z was draby! — zawołał. — Teraz ta stara na dole nie będzie wam już truć szczurów. — Kiedy jednak wieczorem udał się do sypialni, nie wpuścił ich jak zwykle do siebie. Gdy usłyszał w nocy, jak uderzają łapami o drzwi i miaucząc ślizgają się po nich, nasunął pierzynę na uszy i pomyślał: Miauczcie sobie, ile chcecie, widziałem wasze pazury.

Następnego dnia w południe zdarzyło się to samo co i dnia poprzedniego. Znad pustej już miski koty ciężkim skokiem od— biły się od ziemi, przeciągały się i stawały na tylnych łapach. Gdy pan Bulemann, który siedział już nad swymi rachunkami, rzucił na nie wzrokiem, odsunął, przerażony, krzesło obrotowe i stanął jak wryty, wyciągając szyję. Ujrzał oba koty miauczące, jakby stała im się krzywda. Drżały, sierść im się jeżyła, skręcały ogony, przeciągały się, stawały się coraz większe.

Przez chwilę stał tak, oparty rękoma o stół, po czym przeszedł obok zwierząt i szeroko otworzył drzwi. — Pani Anken! Pani Anken! — zawołał, a gdy nie zjawiała się, gwizdnął na palcach. Stara natychmiast wylazła z

oficyny i dysząc wspinała się po schodach. — Niech no pani spojrzy na te koty! — zawołał, gdy weszła do pokoju.

— Już nieraz je oglądałam, panie Bulemann.

— Czy pani nie zauważyła nic dziwnego?

— Chyba nie, panie Bulemann — odpowiedziała, mrugając oczami i patrząc głupawo przed siebie.

— Co to za zwierzaki? To przecież nie są już koty! — Złapał starą za ramiona i pchnął ją na ścianę. — Ty wiedźmo czerwonoooka! — krzyczał. — Przyznaj się, co zrobiłaś z moimi kotami?

Staruszka załamała swe kościste ręce i mamrotała jakieś niezrozumiałe modlitwy. Ale straszne kociska skoczyły z prawej i lewej strony na ramiona swego pana i lizały go ostrymi językami po twarzy. To go zmusiło do puszczania starej.

Klepiąc pacierze i pokaszlując, wysunęła się z pokoju i zlazła ze schodów. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, lękała się, nie zdając sobie sprawy, kogo bardziej się obawia, swego pana czy tych wielkich kotów. Dostała się wreszcie do swojego pokoiku. Drżącymi rękoma wyjęła z łóżka wełnianą pończochę, w której trzymała pieniądze, potem wyjęła z jednej z szuflad kilka starych spódnic i łachów. Owinęła nimi swój skarb, tak że powstało spore zawiniątko. Chciała uciec stąd, uciec za wszelką cenę! Pomyślała o biednej siostrze przyrodniej swego pana, tam na przedmieściu. Ona była zawsze miła dla niej, do niej się uda. Była to daleka droga przez wiele uliczek, przez wiele długich i wąskich mostów, prowadzących przez ciemne rowy i kanały, a był już zmrok, zaczynał się długi zimowy wieczór. Ale coś wyganiało ją z tego domu. Nie myśląc o tych tysiącach bułeczek pszennych, które w swej dziecinnej chciwości zgromadziła w przepastnych szafach orzechowych, wyszła z domu, niosąc na plecach ciężki tłumok. Starannie przekręciła wielki, karbowany klucz w zamku, zamykając ciężkie dębowe drzwi. Klucz włożyła do skórzanej torby i ciężko dysząc wyszła na ulice miasta.

Pani Anken nie wróciła już nigdy, a drzwi od domu Bulemanna zostały na zawsze zamknięte.

Tego samego dnia, kiedy opuszczała dom, pewien młody nicpoń, przebrany za Świętego Mikołaja, biegał po domach i opowiadał, śmiejąc się, swoim kolegom, że gdy przechodził, odziany w kozuch, przez Kreszentiusbrucke, tak bardzo przestraszył jakąś starą babę, że wraz ze swym zawiniątkiem skoczyła jak szalona w nurty ciemnej rzeki. Nazajutrz wczesnym rankiem dozorca wyłowili z rzeki, już na dalekim przedmieściu, ciało starej babiny, przywiązane do wielkiego tobołka. Ponieważ nikt jej nie znał, pochowano ją w kwaterze ubogich na cmentarzu, w płaskiej trumnie.



Ten następny ranek był rankiem Wigilii. Pan Bulemann spędził niedobrą noc, drapanie i dobijanie się zwierząt do sypialni nie dawało mu tym razem spokoju. Dopiero nad ranem zapadł w długi, ołowiany sen. Gdy wreszcie wsunął głowę, jak zawsze w mycce, do drugiego pokoju, zobaczył oba koty, jak głośno mrużąc krążą niespokojnie koło siebie. Było już po południu. Zegar ścienny pokazywał pierwszą. — Bestie są pewnie głodne — mruknął. Otworzył drzwi do sieni i zagwizdał. Jednocześnie koty precisnęły się przez drzwi, i wkrótce usłyszał w kuchni skoki i brzęk przesuwanych talerzy. Widocznie wskoczyły na szafę, na której pani Anken stawiała jedzenie na dzień następny.

Pan Bulemann stał u góry na schodach i głośnym łajaniem wołał starą, lecz odpowiadało mu jedynie milczenie oraz słabe echo z kątów starego domu. Zgarniając poły swego szlafroka, zamierzał właśnie sam zejść na dół, gdy usłyszał hałas na schodach, i obydwie koty wbiegły znów na górę. Nie były to już jednak koty. Były to dwa straszne, nie znane mu drapieżniki. Stały przed nim, spoglądały na niego błyszczącymi ślepiami i wydawały

ochryple ryki. Chciał przejść koło nich, ale uderzenie łapą, które wyrwało mu kawał szlafroka, zmusiło go do odwrotu. Pobiegnął do pokoju, chciał otworzyć okno, by zawołać ludzi. Koty pobiegły za nim i uprzedziły go. Mrucząc groźnie, z podniesionymi ogonami snuły się pod oknem. Pan Bulemann wybiegł do sieni i zamknął za sobą drzwi, ale koty uderzyły łapami o klamkę i stały znów przed nim na schodach. Jeszcze raz uciekł do pokoju, i koty również wbiegły tam za nim.



Dzień już się kończył, i ciemność wyczierała ze wszystkich kątów. Z ulicy dochodził go śpiew: chłopcy i dziewczyny, ciągnąc od domu do domu, śpiewali kolędy. Wchodzili do każdego budynku; nasłuchiwał. Czy nikt nie wejdzie w jego drzwi?

Sam przecież wiedział, przegonił ich wszystkich, nikt nie stukał, nikt nie kołatał do zamkniętych drzwi. Przeszli koło domu i powoli na ulicach zapanowała śmiertelna cisza.

Starał się umknąć, chciał użyć siły, walczył ze zwierzętami, pozwolił, by pokaleczyły mu twarz i ręce. Potem zastosował podstęp: wołał je po dawnemu, pieszczotliwie głaskał i odważył się nawet drapać je po płaskich łbach, szczerzących wielkie białe zęby. Koty rzucały mu się do nóg. Gdy wydawało się, że nadeszła stosowna chwila, i już—już wysuwał się za drzwi, wyskakiwały i stawały przed nim, wydając głuchy ryk. Tak przeszła noc i nadszedł dzień. Wciąż biegał między schodami i oknami pokoju, tam i z powrotem, załamując ręce, dysząc, z potarganymi siwymi włosami.

Dwa razy jeszcze następowała po dniu noc; wreszcie, drżąc na całym cieple, zupełnie wyczerpany, rzucił się na kanapę. Koty usiadły naprzeciw niego, mrugając sennymi ślepiami. Powoli ruchy jego ciała uspokajały się, aż wreszcie poczuł jakby bezwład. Pod nie ogoloną szczecinę widoczna była

bladość na jego twarzy. Jeszcze raz westchnął, wyciągnął ramiona, długimi palcami objął kolana i już tak pozostał, bez ruchu.



Na dole, w pustych pomieszczeniach, nie panowała jednak cisza. Z zewnątrz, przed drzwiami oficyny, prowadzącymi na ciasne podwórko, słychać było odgłosy gryzienia i żarcia. Wreszcie nad progiem powstał otwór, który coraz bardziej się powiększał. Przez ten otwór przedostał się szary łeb myszy, potem jeszcze jeden. W końcu cała gromada myszy biegła już po sieni i po schodach na pierwsze piętro. Tutaj na nowo zaczynały skrobać i przegryzać drzwi. Po wdarciu się do pokoju myszy zabrały się do wielkich szaf pani Anken, kryjących jej skarby. To było dopiero życie, jak w mysim niebie: kto chciał przejść, musiał się przegryźć przez przeszkody. I tałatajstwo to napełniało sobie brzuszyska, a gdy już nic się w nich nie mieściło, zwijało ogonki i zasypiało w bułeczkach. W nocy zjawiały się znów, przemykały się po podłogach lub siedziały, liżąc łapki, przed oknem, i gdy świecił księżyc, patrzyły błyszczącymi oczkami na ulicę.

Ale to przyjemne gospodarowanie miało się szybko skończyć. Trzeciej nocy, gdy na górze pan Bulemann przymknął właśnie oczy, na schodach rozpoczął się hałas. Koty olbrzymy zeskoczyły na podłogę, jednym uderzeniem łapy otworzyły drzwi i rozpoczęły polowanie. I tak oto skończyły się wszelkie rozkosze. Piszcząc i gwizdząc, tłuste myszy biegały bezładnie i pięły się na ściany, szukając ratunku. Wszystko nadaremnie: milkły jedna po drugiej w miażdżących zębach obydwu bestii.

A potem nastąpiła cisza, i w wielkim domu słyzało się jedynie senne pomrukiwanie wielkich kotów, które, wyciągnawszy łapy, leżały przed pokojem swego pana i zlizywały sobie krew z wąsów.

Na dole zardzewiał zamek u drzwi. Mosięzna kołatka pokrywała się

śniedzią, a między stopnie schodów wdarła się trawa.



Poza domem Bulemanna życie biegło swym zwykłym trybem. Z nadejściem lata na cmentarzu Świętej Magdaleny, na grobie małego Krzysztofa, zakwitł krzak białej róży. Wkrótce pod krzakiem położono kamień. Krzak róży zasadziła matka, na kamień nie starczyło jej pieniędzy. Ale Krzysztof miał przyjaciela, młodego muzyka, syna handlarza starzyzną, który mieszkał w domu naprzeciwko. Z początku Krzysztof zakradał się pod okno, gdy muzyk siedział przy fortepianie. Potem nowy przyjaciel zabierał go czasami do kościoła Świętej Magdaleny, gdzie po południu ćwiczył na organach. Wówczas blady chłopczyna siadał na stołeczku u jego nóg, opierał, zasłuchany, głowę o ławkę i patrzył, jak promienie słońca przenikają przez okno kościelne. Gdy młody artysta, porwany nowym tematem, pozwalał, by potężne tony rozbrzmiewały w pustym gmachu, lub czasami tremolował, i tony, jakby drząc, płynęły przed majestat Boga, zdarzało się, iż chłopiec łkał cicho, a przyjaciel z trudem go uspokajał. Raz chłopiec powiedział nawet prosząco: — To mi sprawia ból, Leberechde, proszę, nie graj tak głośno!

Muzyk zmienił natychmiast głośne rejestry na głosy śpiewne i ciche. Słodko i przejmująco płynęła ulubiona pieśń chłopca *O Boże, wskaż mi drogę*. Chłopak zaintonował pieśń swym wątłym głosem. — Ja też chcę się uczyć muzyki — mówił, gdy cichły organy. — Czy będziesz mnie uczył?

Młody muzyk gładził jasne włosy chłopca i mówił: — Musisz wyzdrowieć, Krzysztofie, a wówczas będę cię chętnie uczył.

Ale Krzysztof nie wyzdrowiał. Za jego trumienką szedł prócz matki również młody organista.

Pierwszy raz rozmawiali ze sobą. Matka opowiedziała mu swój trzykrotny sen o małym srebrnym pucharaku.

— Pucharek — powiedział Leberecht — ja mogłem podarować Krzysztofowi. Mój ojciec, który odkupił go z wieloma innymi przedmiotami od pani brata, podarował mi go kiedyś na Gwiazdkę.

Kobieta wpadła w rozpacz. — Ach — powtarzała wciąż — na pewno byłby wyzdrowiał.

Młody muzyk szedł chwilę w milczeniu obok niej. — Nasz Krzysztof musi mimo wszystko dostać ten puchar — powiedział wreszcie.

I tak się też stało. Po kilku dniach sprzedał pucharek za dobrą cenę zbieraczowi. Za uzyskane pieniądze zamówił pomnik na grób małego Krzysztofa. W kamień wpuszczona była płytką marmurowa, a na niej wykuty kształt pucharka. Pod nim słowa. „Na zdrowie!”

Przez wiele lat, zimą, gdy grób pokryty był śniegiem, czy latem, gdy w czerwcowym słońcu bogato kwitły białe róże, blada kobieta stawała nad grobem, odczytując z nabożeństwem i w zamyśleniu wyryte na nim słowa.

Pewnego lata nie przyszła już na grób, ale życie toczyło się dalej. Raz jeszcze, po wielu latach, stanął nad grobem bardzo stary mężczyzna. Patrzył na pomnik, a potem zerwał białą różę z krzaka. Był to emerytowany organista z kościoła Świętej Magdaleny.



Opuśćmy jednak spokojny grób dziecka. By zakończyć naszą opowieść, musimy rzucić jeszcze raz spojrzenie na stary dom z wykuszami. Wciąż jeszcze stoi milczący i zamknięty. Podczas gdy na zewnątrz bezustannie toczyło się życie, wewnątrz domu panoszył się grzyb w szparach podłóg, z sufitu opadał gips. Nocami słyszało się głuchy dźwięk, gdy uderzał o podłogę.

Dzieci, które tamtego wigilijnego wieczoru biegały po ulicy, były dziś starcami lub też zakończyły już życie. Ludzie ubierali się inaczej niż za tych

dawnych czasów, a na podmiejskim cmentarzu czarny słupek na bezimiennym grobie pani Anken dawno zgnił. I oto pewnej nocy księżyc w pełni zajął znów, jak to się często zdarzało, w okna wykuszu na trzecim piętrze i swym niebieskawym światłem malował okrągłe małe szybki na podłodze. Pokój był pusty, tylko na kanapie siedziała skurczona drobna postać, wielkości rocznego dziecka. Twarz była stara, brodata, a chudy nos nieproporcjonalnie duży. Na głowie starzec miał myckę zbyt obszerną i opadającą na uszy. Odziany był w długi szlafrok, przeznaczony dla wysokiego mężczyzny. Na podciągniętych połach szlafroka trzymał nogi.

Tym starcem był pan Bulemann. Głód go nie zabił, ale brak pożywienia sprawił, że ciało jego skurczyło się i wyschło. I tak z biegiem lat stawał się coraz mniejszy. Czasami, w okresie pełni, jak ta właśnie, budził się i, coraz słabszy, starał się uciec przed swoimi strażnikami. Wyczerpany daremnym wysiłkiem, opadał z powrotem na kanapę, na którą ostatnio musiał się wspinać, i zasypiał kamiennym snem. Wówczas Graps i Schnores wyciągały się na schodach, tłukły ogonami o podłogę i nasłuchiwały, czy skarby pani Anken nie zwabia nowych wędrownych myszy.

Dzisiaj było inaczej: kotów nie było ani w pokoju, ani w sieni. Gdy światło księżycy, wpadające przez okno, przesuwano się po podłodze, a potem objęło drobną postać, zaczęła się ona poruszać; wielkie okrągłe oczy otworzyły się, i pan Bulemann zaczął wpatrywać się w pusty pokój. Po chwili z trudem zsunął się z kanapy i wlokąc za sobą szeroki tren szlafroka, posuwał się w stronę drzwi. Stając na czubkach palców, złapał za klamkę. Udało mu się otworzyć drzwi i podejść aż do poręczy schodów. Przez chwilę stał tak, ciężko dysząc, potem wyciągnął głowę i usiłował wołać: — Pani Anken! Pani Anken! — Ale jego głos był cichy jak szept chorego dziecka. — Pani Anken, jestem głodny, niechże pani słucha! Cisza. Tylko myszy piszczały teraz głośniej w pokojach na dole.

Rozzłościł się: — Wiedźmo przekłeta, czego gwizdzesz? — I z ust jego buchnęły niewyraźne, niezrozumiałe, szeptane wymysły, zahamowane

wreszcie gwałtownym kaszlem, który paraliżował mu język.

Na dole ktoś kołatał do drzwi, odgłos kołatania przenikał aż do górnego piętra. Być może był to ten nocny marek, o którym była mowa na początku naszego opowiadania.

Pan Bulemann uspokoił się tymczasem. — Niechże pani otworzy — szeptał — to ten chłopak, Krzysztof, przyszedł po pucharek.

Nagle z dołu wśród pisków myszy doszedł odgłos skoków i porykiwanie obu wielkich kotów. Pan Bulemann zaczął się zastanawiać: zdarzyło się to po raz pierwszy, że kiedy się przebudził, koty opuściły górne piętro i zostawiły go w spokoju. Szybko pokuśtykał z powrotem do pokoju, ciągnąc za sobą szlafrok.

Z ulicy słyszał wołanie dozorczy. — Człowiek, człowiek! — wymamrotał. — Noc jest taka długa, tyle razy już się budziłem, a wciąż świeci księżyc.

Wdrapał się na fotel, który stał w oknie wykusza; małymi, chudymi rękami mocował się z haczykiem przy oknie; na dole, na oświetlonej księżycem ulicy, ujrzał dozorcę. Ale zawiasy były zardzewiałe, daremnie starał się otworzyć okno. Wtedy zobaczył, że dozorca, który przez chwilę wpatrywał się w jego okno, schronił się w cień domu.

Słaby okrzyk wydobył się z jego ust: drząc uderzał pięściami o szyby, nie miał jednak dość siły, by je zbić. Zaczął teraz szeptać prośby i przyrzeczenia. Powoli, gdy postać stojącego pod domem mężczyzny zaczęła się oddalać, jego szept zamieniał się w zduszone, zachrypnięte krakanie; podzielił się z nim swoimi skarbami, żeby go tylko usłyszał; odda mu wszystko, nie zatrzyma dla siebie nic, zupełnie nic, tylko pucharek, bo pucharek to własność małego Krzysztofa.

Ale człowiek na ulicy szedł spokojnie swoją drogą i wkrótce zniknął mu z oczu.

Nikt nie usłyszał ani jednego słowa pana Bulemanna.

Wreszcie, gdy już nic nie dało się zrobić, drobna postać skuliła się w fotelu, poprawiła myckę na głowie i mrużąc niezrozumiałe słowa,

spoglądała w ciemne nocne niebo.

I tak pan Bulemann siedzi dotąd i czeka na zmiłowanie boskie.

Przełożyła Leonia M. Gradstein

Paul Heyse

PIĘKNA ABIGAIL

— To, o czym chcę państwu opowiedzieć, przydarzyło się dosyć dawno, ponad dziesięć lat temu, ale ilekroć o tym wspomnę, wszystko tak dokładnie staje mi znów przed oczyma, jak gdyby to działo się wczoraj, i ogarnia mnie nawet przerażenie takie samo jak owej niezwykłej nocy.

Mówię o tym na początku dlatego, aby państwo nie podejrzewali, że opowiadam jakiś nic nie znaczący sen. Sny są ułudą, a to, co wówczas przeżyłem... ale przejdę do rzeczy nie przedłużając wstępu.

Było to w pełni lata roku 1880. Postarałem się o cztery tygodnie urlopu, bo zaczęły mnie właśnie nieznośnie nękać reumatyczne dolegliwości. Wildbad, w którym pokładałem wiele nadziei, czynił cuda. Po trzech tygodniach czułem się już jak nowo narodzony, ponieważ jednak upały w tamtejszej dolinie niezbyt mi służyły, lekarz zdrojowy po dwudziestu jeden kąpielach zwolnił mnie z dalszych, doradzając spędzenie reszty urlopu w chłodniejszej okolicy, naturalnie przy zachowaniu wszelkiej ostrożności, by nie spowodować nawrotu choroby.

W B. miałem przyjaciela z lat młodości, którego nie widziałem od nastania pokoju. Po wojnie, a przebył ją jako lekarz pułkowy właśnie w mojej kompanii, objął tu w swoim mieście rodzinne kierownictwo szpitala, ożenił się, a nic naszej dawnej przyjaźni podtrzymywał tylko w ten sposób, że przysyłał mi zawiadomienia o narodzinach swoich pięciorga czy sześciorga dzieci.

Przybywszy zatem nieoczekiwanie do B., z tym większą ulgą znalazłem mego dobrego przyjaciela równie serdecznym, jak wówczas, gdy zegnałem go opuszczając szpital, by ewakuować się do Moguncji.

Musiałem pozostać u niego na obiedzie — jedyna pora dnia, wypominała przyjacielowi jego miła małżonka, w której przestaje on być własnością pierwszego lepszego pacjenta i należy wyłącznie do rodziny — a ponieważ najbliższe godziny znów zajmowała mu prywatna praktyka lekarska w mieście, ustaliliśmy, że będę oczekiwał go wieczorem po teatrze we wskazanej mi winiarni.

Moje samotne popołudnie upłynęło dosyć szybko. Prócz przyjaciela z czasu wojny nie znałem właściwie żywej duszy w tym pięknym, starym mieście, o które jako podchorąży kiedyś, przed wielu laty przelotnie zawadziłem. Było tu wszędzie tyle zakątków godnych obejrzenia, miałem ogromną ochotę niejedno paroma kreskami utrwalić w szkicowniku, a że i przyjemnie po—chłodziło po porannej burzy, zrezygnowałem z teatru (letnia scena dosyć wątpliwej jakości), wolałem bowiem czas pozostały mi do umówionego spotkania wypełnić spacerem w wieczornej ciszy wzdłuż gęsto obsadzonego drzewami brzegu rzeki.

Tak przy tym zagłębiłem się w myślach, że o powrocie do miasta pomyślałem dopiero wtedy, gdy zapadła noc. Co prawda noc do spaceru równie miła, jak dzień; księżyc wzeszedł i świecił nad wierzchołkami olch już prawie pełnym blaskiem, tak rozjaśniając okolicę, że na płyciznach przy brzegu widać było przez fale kamyki połyskujące na dnie niby srebrzyste kulki.

Miasto też, w drodze powrotnej, ukazało się moim oczom zasnutą srebrną mgłą, jak gdyby nagle przeniesione tu z bajki. Zegar na starej katedrze wybił dziewiątą. Uważałem, że zmęczonemu i spragnionemu po długim spacerze należy się w pełni wytchnienie w winiarni, do której drogę wskazał mi jakiś uprzejmy przechodzień.

Nie zastawszy tam jeszcze przyjaciela, zamówiłem coś do jedzenia i dla ugaszenia pragnienia lampkę lekkiego wina.

Doktor nadal kazał na siebie czekać; ponieważ jednak lada chwila powinien nadejść, z góry zamówiłem mocnego raentalera, o którym

wspominał mi przy obiedzie, aby gdy tylko wejdzie, wznieść na jego powitanie toast tym szlachetnym trunkiem. A trunek był rzeczywiście rozkoszny, godny, by nim podlać kwiat starej przyjaźni. Zamiar minął się z celem. Około dziesiątej zamiast dobrego towarzysza broni, zjawił się posłaniec z listem, w którym przyjaciel prosił o usprawiedliwienie jego nieobecność, został wezwany poza miasto do ciężko chorego pacjenta i nie mógł przewidzieć, czy tej nocy w ogóle stamtąd powróci.

W taki oto sposób zostałem zdany na siebie i wino, które niestety nie nastrajało mnie wesoło, gdy nie piłem go w miłym towarzystwie. Odkąd obumarła mnie żona, wówczas był to już trzeci rok od tej daty, zawsze przy samotnie opróżnianej butelce ogarniała mnie głęboka melancholia, na której rozmyślne podsycanie nie byłem już dostatecznie młody i sentymentalny. Aby i tym razem nie pozwolić, by mną zawładnęła, sięgnąłem po gazety, a miałem je prawie wszystkie do dyspozycji, bowiem nieliczni stali bywalcy lokalu siedzieli przy swoich stolikach pochłonięci grą w skata lub w szachy.

Pierwsze, co wpadło mi w oko, to zamieszczona na ostatniej stronie miejscowej gazety lista tego, co godne obejrzenia w mieście. Zamierzałem pozostać tu jeszcze przez cały jutrzejszy dzień, przeto wskazówki te przysły mi w samą porę, wypisałem więc sobie w notesie niektóre, szczególnie mnie interesujące. Nagle spostrzegłem ogłoszenie, którego treść w jednej chwili kazała mi cofnąć się myślą do dosyć odległego czasu: „W każdy poniedziałek i czwartek czynna jest bezpłatnie w podziemiach ratusza Windhamowska galeria obrazów”.

Windham! Tak, nie myliłem się, to było to nazwisko. Wszak Windham odegrał główną rolę w ostatnim rozdziale mego młodzieńczego romansu. Sięgnąwszy pamięcią wstecz, przypominałem sobie, że później jeszcze doszła mnie wieść, jakoby ów Windham osiadł na stałe tu w B., wraz ze swą młodą żoną. Od tamtego czasu nic o nim nie słyszałem. Aż oto teraz, w tym miejscu, tak nagle zostałem niejako zmuszony, by znów sobie o nim przypomnieć.

Państwo nie rozumieją być może, co mnie tak poruszyło w tej niepozornej wzmiance gazetowej. Muszę zatem cofnąć się dalej w moim opowiadaniu.

Wiadomo państwu, iż jako potomek dolnofrankońskiej rodziny o tradycjach wojskowych odebrałem wychowanie w korpusie kadetów w Monachium, gdzie na rok przed wybuchem wojny z Francją doszedłem do stopnia porucznika. Miałem dwadzieścia dziewięć lat i poza zawodem żołnierza, któremu byłem całą duszą oddany, właściwie niewiele życia zaznałem. Szalenie wzniosła miłość, którą przeżyłem jako podchorąży, zakończyła się głupio; ustrzegła mnie ona wprawdzie od różnych wybryków popełnianych przez moich równolatków, ale też ukazała mi płęć piękną w nie najlepszym świetle. Mimo to nie stałem się wrogiem kobiet, a ponieważ byłem zapalonym tancerzem, jeszcze w akademii wojskowej, karnawał roku 70 spędziłem jako jeden z największych lekkoduchów, nie opaliwszy sobie przy tym skrzydeł.

Aż wreszcie wybiła i moja godzina.

Około połowy lutego zjawiała się na jednym z publicznych balów młoda, urzekająca piękność, która zaćmiła wszystkie dotychczas wybierane królowe balów.

Minął właśnie rok od śmierci jej ojca, przybyła więc wraz z matką z Austrii, by po okresie żałoby skorzystać jeszcze nieco z zimowych zabaw. Jej postać, maniery, sposób wysławiania się, wszystko to miało jakiś cudzoziemski wdzięk, który tłumaczyła choćby osobliwa mieszanina krwi płynącej w jej żyłach. Matka, rosła, rudowłosa Szkotka, kobieta o surowych, purytańskich obyczajach i powolnych, niezgrabnych ruchach, poślubiła styryjskiego szlachcica, który bawiąc w podróży po jej rodzinnym, górzystym kraju, zakochał się w młodej dziewczynie. Po ślubie, towarzysząc mężowi, przeniosła się do jego posiadłości ziemskiej, lecz nie umiała się tam zaaklimatyzować. Mimo to wydawało się, że jej związek z wiedzącym, jak używać żyda, małżonkiem katolikiem był szczęśliwy, i wyruszając z córką w podróż, ciągle jeszcze nie mogła się pogodzić z jego śmiercią.

Dwudziestoparoletnia podówczas córka widziała świata tyle, ile mogła zobaczyć w promieniu dziesięciu mil od swego wiejskiego dworu. Ojciec nie należał z pewnością do największych skrupulantów na punkcie wierności małżeńskiej i każdego roku spędzał wiele miesięcy w Wiedniu, ale umiał skutecznie trzymać małżonkę z dala od powabów wielkiego miasta, a córkę strzec od wszelkich kontaktów towarzyskich z młodymi mężczyznami. W istocie nie było to nawet potrzebne, bowiem chłodne temperamenty tych pań były im wystarczającą ochroną.

Pod tym względem Abigail (takie imię, zgodnie z dawną tradycją w rodzinie matki, nadano dziewczynie na chrzcie) była nieodrodną córką swej matki, poza tym zewnętrznie wcale do niej niepodobna, nawet z koloru włosów, które u córki nie miały ani trochę rudego połysku.

Nie będę próbował opisywać państwu tej uroczej, młodej osoby. Powiem tylko, że zaraz przy pierwszym spotkaniu zwróciły moją uwagę dwie rzeczy, które prześladowały mnie nawet w nocy: dziwnie pozbawione blasku spojrzenie jej dużych, szarych oczu, które, nawet gdy się uśmiechała, pozostawały zawsze poważne, jak również i to, że miała ręce najpiękniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem. Wbrew ówczesnemu zwyczajowi była w sukni bez rękawów (miała jedynie wąskie ramiączka z krepy na wspaniałych ramionach), co panie, szczególnie matki, uważały za skandaliczne, mimo iż moda wiedeńska uznawała taki strój, sama panna zaś, jej sposób wysławiania się i maniery były nad wyraz skromne. Ramiona miała jednak nadto piękne, by nie wzbudzać sensacji i nie wywoływać tyleż zazdrości, ile podziwu; o barwie białego, jak gdyby nieco żółkłego atłasu z matowym połyskiem, a w zgięciu łokci delikatne, niebieskie żyłki. Nawet małe, jasne blizny na lewym przedramieniu, ślad po skaryfikatorze lekarza, który szczepił jej ospę, przydawały jej swoistego wdzięku: sprawiały wrażenie śladów wytrawionych na gładkiej skórze rozmyślnie dla kokieterii, aby podkreślić jej szlachetną doskonałość.

Tak więc ręce (kiedy przy kolacji ściągała rękawiczki), przepiękne stopy

w białych, jedwabnych pantofelkach, proporcje i gibkość ciała zawdzięczała austriackiej błękitnej krwi, a nie rasie szkockich górali.

Od pierwszego spojrzenia na tę wspaniałą istotę byłem pod urokiem jej obcych, chłodnych oczu. Tak jak nigdy nie odczuwałem najmniejszego skrępowania wobec najpiękniejszych nawet kobiet, tak teraz serce biło mi gwałtownie, słowa się plątały, kiedy, przedstawiony jej, prosiłem o taniec...

Nieprędko też odzyskałem panowanie nad sobą, gdy wirując z nią w wielkiej sali, wściekałem się na siebie, że tak niefortunnie wypadłem. Bez przerwy myślałem: Przecież nie jest to kobieta taka jak inne. Bogini! Nic dziwnego, że tak chłodno spogląda na tę nędzną ciżbę. Czyż do pomyślenia jest, że można by pocałować takie usta? A śmiertelnik, któremu oplotłyby się wokół szyi te ramiona, czyż nie musiałby postradać zmysłów i z nadludzkiego szczęścia spalić się na garść popiołu?

Widzą państwo zatem, że było to prawdziwe oczarowanie. Dane mi było na sobie doświadczyć tego, co określa się mianem porażenia miłością od pierwszego wejrzenia.

Mimo to potrafiłem po niedługim czasie zdobyć się na tyle hartu ducha, by nie uchybiając dobrym manierom, poddać się swemu losowi i od pierwszego wieczoru grać tylko rolę rycerskiego adoratora i nie folgować chęci okazywania swych zachwyty tak przesadnie, jak czyniła to większość moich kolegów. Powściągliwość okazała się dla mnie znacznie korzystniejsza, niż gdybym zaćmił wszystkich urodą i miłym obejściem. Dziwna ta dziewczyna — mimo iż bale owej zimy były jej pierwszymi balami — przyjmowała pochlebstwa, a zwłaszcza komplementy tancerzy, z miną tak chłodną, jak gdyby w tańcu zależało jej wyłącznie na tym, by się poruszać; młodych, próżnych panów, tak pięknie wystrojonych i ufryzowanych, tolerowała jedynie na tyle, na ile pomagali jej w osiągnięciu tego celu.

Całkiem niewinnie wyznała mi zresztą, gdy rozmawialiśmy przy kolacji, że fakt, iż gapią się na nią dla jej urody i przymilają, jest dla niej raczej

czymś kłopotliwym i nudnym. Nie dostrzegłem u niej ani odrobiny kokieterii, raczej skłonność do ironizowania i okazywania ludziom pogardy, co niewątpliwie u istoty nie tak uroczej byłoby odpychające, lecz u panny Abigail wydawało się jakimś niezwykle klejnotem, czymś w rodzaju stalowego pasa najeżonego kolcami, opiętego wokół jej gibkiej kibici.

Nie powiedziałem jej ani jednego komplementu, i pewnie dlatego jeszcze tego wieczoru zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi; otrzymałem nawet od matki pozwolenie na odwiedzenie pań w ich domu.

Jak się państwo mogą domyślić, skorzystałem z tego już następnego dnia; musiałem przecież zapytać, jak czuły się po balu. Zostałem panie w apartamencie urządzonym tak wykwintnie, że uświadomiłem sobie, iż żyją one w nader dostatnich warunkach. Matka nie ukrywała wszelako, że przybyła tu jedynie po to, by znaleźć dla córki męża, na co w leżącej na ustroniu posiadłości ziemskiej nie było widoków. Panna słuchała wszystkich na ten temat wypowiedzanych myśli z najwyższą obojętnością, jak gdyby chodziło nie o nią, lecz o chwilowy kaprys matki, który zapewne rychło jej przejdzie.

W dalszym ciągu nie tylko darzyła mnie zaufaniem, które tak szybko sobie u niej zaskarbiłem, ale nawet dawała mi coraz to nowe dowody, że towarzystwo moje było jej miłe, zaś sposób widzenia świata i ludzi — słuszny. Opowiedziała mi całe swoje życie, które, prawdę mówiąc, nie przypominało romansu. Nigdy jeszcze dotąd nie była zakochana i wręcz nie umiała sobie wyobrazić takiego stanu serca. Kochała jednego tylko człowieka — ojca. Z matką nie rozumiały się pod żadnym względem, zaś wszystkie obowiązki córki spełniała niejako mechanicznie, w najmniejszym nawet stopniu nie powodowana uczuciem. Kiedyś powiedziała mi: „Tak, być może, tak jest, jak pan mówi, że nie mam moralnego, dziewczęcego serca, ale jednak...”

To powiedziawszy, przymknęła oczy, odchyliła do tyłu swą piękną, jasną głowę, a na jej wpółrozchylonych ustach pojawił się po trosze bolesny, po

trosze dziki wyraz pragnienia i pożądania. Wszystkim tym poufałościom daleko było do tego, by wbijać mnie w dumę i budzić we mnie śmiałe nadzieje.

Nieomal każdy wieczór spędzałem jednak w towarzystwie obu pań, po części — jak długo trwał karnawał — na oficjalnych balach, gdzie uchodziłem już za nieodłącznego kawalera i faworyzowanego adoratora, po części w ich przytulnym salonie jako jedyny przyjaciel domu płci męskiej. Od czasu do czasu zjawiała się tam pewna starsza dama, znajoma matki z Austrii, na partyjkę taroka, czemu Abigail kibicowała. Nie ukrywała znudzenia, jak nie miała w ogóle zwyczaju ukrywać swoich doznań.

A jednak był w jej naturze jakiś zagadkowy, mroczny plan, który przeziarał skądś z głębi w godzinach słabości i za każdym razem przejmował mnie niesamowitym dreszczem.

Mój stosunek do rozpieszczonej dziewczyny był przez wszystkie te tygodnie i miesiące tak szczery, że nawet nie winiłem jej za to niezbyt pochlebne wrażenie.

Kiedyś, patrząc gdzieś poza mnie nieruchomym wzrokiem, powiedziała: „Wiem, co pan myśli. Jest we mnie coś, czego sama się lękam, a czego nie potrafię bliżej określić. Może przecucie, że nigdy się nie dowiem, co to jest szczęście, a pewnie i to, że dawanie szczęścia innym nie stanie się moim udziałem, nie z własnej winy, w głębi mej istoty buntuję się przeciwko temu i zastanawiam, jak by się za to upośledzenie zemścić. Czy wie pan, jak widzę samą siebie? Jako sople lodu, który patrząc na wesoło pęłgający płomień, wstydzi się, że ciągle jest tak niewzruszenie zimny, przysuwa się więc bliżej ognia, ale nie osiąga nic ponad to, że całkiem się roztapia. Wiem; porównanie to kuleje na obie nogi, ale jest w tym coś, i pan zapewne również wie, co miałam na myśli, mówiąc o płomieniu”.

Zaraz potem uśmiechnęła się i zaczęła w drwiącym tonie opowiadać o pewnych młodych damach, które poznała, a które na bieżąco informowały zawsze przyjaciółki o stanach swych tkliwych serc.



Porównanie rzeczywiście kulało. Płomyk nie migotał bowiem tak radośnie, jak powinien się palić płomień prawdziwej miłości, lecz przejawiał w swym rytmie okresy chłodu, aż po próby zupełnego wygaśnięcia. Z całą siłą wybuchał tylko wtedy, gdy znajdowałem się z tą wspaniałą młodą istotą sam na sam lub gdy w rozjarzonej światłami sali jawiła się przede mną cała jej piękność.

Kiedy traciłem ją z oczu, to bynajmniej nie z pamięci, wtedy dopiero rzeczywiście o niej myślałem, aczkolwiek zwykle z niewytłumaczoną niechęcią, bo przecież nic konkretnego nie mogłem jej zarzucić.

Czyż grzechem było mnie nie kochać, albo w ogóle nie odczuwać jeszcze najmniejszego choćby tchnienia miłości? A ów mroczny plan, który jej samej wydawał się niesamowity, mógł przecież pewnego dnia okazać się zupełnie niewinnym tłem, od którego tym barwniej i wdzięcznej odcinałyby się wszystkie jasne radości.

Jedno wszakże było pewne: pragnąłbym, aby nigdy nie było mi dane poznać tej pięknej dziewczyny, która ciągle od nowa przyciągała mnie do siebie, a gdy znalazłem się w jej bliskości, wprowadzała w moje zmysły magiczny zamęt.

Wmawiałem sobie, że gdyby raz tylko przywrzeć ustami do tych spragnionych warg, raz znaleźć się w objęciu tych delikatnych smukłych ramion, to urok zostałby odczyniony, a ja byłbym znów sobą.

Matka widziała, że przychodziłem i odchodziłem, ale nie zastanawiała się specjalnie nad moim stosunkiem do jej dziecka. Fakt, iż byłem zakochany, uważała za rzecz zwykłą i niegroźną przy usposobieniu córki, które znała nader dobrze i którego nie próbowała zmieniać, bowiem przy całej swej powierzchownej religijności uważała umiejętność świeckiego spekulowania za bardzo przydatną.

Jeśli chodziło o przyszłość córki, miała wyższe aspiracje, niż mógłby je

zaspokoić skromny porucznik, ale po mnie spodziewała się, że przez swoje znajomości utworzę jej drogę do kręgów arystokracji. Wówczas, rozumowała, nie zabraknie hrabiowskiego, albo nawet morganatycznego kandydata na zięcia.

Na razie lato przekreśliło te rachuby, ponieważ „towarzystwo” rozproszyło się, powyjeżdżało na wieś. Również moje dwie panie, ku memu głębokiemu ubolewaniu, wynajęły willę w Tagernsee i teraz mogłem je odwiedzać tylko raz na siedem dni. Wprawdzie brak ich stałej obecności tak rozniecił płomień, że od soboty do soboty żyłem w gorączkowej niecierpliwości, a równocześnie w nieustannym lęku, że podczas każdego długiego oddalenia mógłby wcisnąć się do samotnych pań ktoś, kto odpowiadałby wymaganiom mamy, a i przez córkę nie byłby mniej niechętnie widziany od innych.

Obawy były zbędne. Niebo nagle tak groźnie pociemniało nad całym niemieckim światem, że przesłoniło wszystkie jednostkowe sprawy.

Wybuchła wojna francuska. Powitałem ją z radością również dlatego, że kładła kres mojej trudnej sytuacji, która była już nie do zniesienia. Z ogromnym trudem znalazłem jeszcze czas, by nocą, dosiadłszy konia, udać się z wizytą pożegnalną do Tagernsee. Wczesnym rankiem znalazłem ukochane dziewczę w ogrodzie, albowiem nie oczekiwała mojego przybycia. Zażyła właśnie kąpieli w jeziorze; ranne powietrze owiewało jej jasną skórę i blond włosy, które niby miękki płaszcz opadały jej na ramiona. Usłyszawszy, co sprowadza mnie o tak niezwyklej porze, ani na moment nie zmieniła się na twarzy; spuściła tylko powieki, chcąc jak gdyby za zasłoną ukryć to, co się w niej działo.

„A więc — powiedziała — spełni się najgorętsze pana życzenie. Non piu andrai farfallon amoroso, dokona pan cudów męstwa i wróci jako sławą okryty zwycięzca. Życzę panu szczęścia i będę codziennie o panu myślała”.

„Naprawdę, będzie pani? — zapytałem. — I to trochę serdeczniej niż o innych synach swych matek, którzy pro patria nadstawiają piersi pod kule

francuskich kartaczy?”

„Jak pan może w to wątpić! — odparta i zerwawszy kwiat, powąchała go z owym tęsknym wyrazem twarzy. — Przecież pan wie, że go bardzo lubię. Czyż nie okazywałam panu większego zaufania niż któremukolwiek z młodych ludzi? Nie wystarczy to panu?”

„Nie, Abigail — odpowiedziałem — wszak pani też doskonale wie dlaczego”. I po raz pierwszy, a myśląc, że możliwe, iż po raz ostatni, w namiętnym wzburzeniu otworzyłem przed nią swoje serce. „Wiem — powiedziałem na zakończenie — że pani nie odczuwa nic takiego. Grom, który raził moje serce, nie musnął ani jednego włoska na pani czole. Nie jestem też aż tak zaślepiony, by myśleć, że pani tylko z litości udaje cieplejsze uczucie po to, żeby wyruszającego w pole nie pozbawić zupełnie nadziei. Musiałem to kiedyś powiedzieć, by ulżyć sobie. A teraz zechce pani pokłonić się ode mnie matce, której nie chciałbym przeszkadzać w porannej toalecie, i proszę zachować mnie w życzliwej pamięci”.

Podniosła oczy i bardzo poważnie spojrzała mi w twarz, a jej policzki, zwykle pozbawione rumieńców, zabarwiły się lekko, co ogromnie przydało jej uroku.

„Nie — powiedziała — przecież tak nie może pan ode mnie odejść, Bóg wie, czy się jeszcze kiedy zobaczymy. Chcę panu na drogę coś wyznać: otóż jestem głęboko przekonana, że gdyby pan jeszcze przez kilka tygodni czy miesięcy był dla mnie tak miły i dobry, ów sopel lodu przemieniłby się w zielony, kwitnący pęd winnej latorośli; znów wyraziłam to niezgrabnie, ale pan mnie rozumie. Może na zimnym biwaku, nocą, gdy nie będzie pan mógł zasnąć, pomyśli pan o tej wiosennej bajce i ogrzeje nią zziębnięte serce”.

Nie jestem w stanie opisać, jak czułem się po tych słowach. Bóg jeden wie, co wyjąkałem w nagłym zamęcie uczuć. Tyle tylko pamiętam, że domagałem się między innymi, abyśmy bezzwłocznie udali się do jej matki z prośbą o błogosławieństwo i tym samym przypieczętowali naszą wolę zaręczyn.

„Przykro mi, jeśli nie zadowala pana moje wyznanie — odpowiedziała na to chłodno — na razie jednak nie czuję się usposobiona do czegoś więcej”.

Naprawdę powiedziała „usposobiona”, a była przy tym do szaleństwa powabna, choć zimna jak marmur.

„Gdybyśmy się zaręczyli, nie miałabym chwili spokoju, ciągle czułabym się jak Bürgerowska Lenora. Bałabym się nie tylko bezustannej niepewności: „... czy jesteś mi wierny, Wilhelmie, czy może umarłeś?”, lecz jeszcze czegoś znacznie gorszego. Jestem okropnie zabobonna, a raczej święcie wierze, że owa ballada nie jest tylko straszliwą baśnią, ale że tak czy owak historia ta istotnie się wydarzyła. Gdyby więc panu, drogi przyjacielu, przydarzyć się miała rzecz aż nadto ludzka, a miałby pan do mnie prawo jako do oficjalnie zaręczonej z panem narzeczonej, nie zasnąłabym już żadnej nocy i wiem na pewno, że jakaś zhora położyłaby kres memu godnemu pożalowania istnieniu Zdamy się zatem nadal na zrządzenie losu i niechaj pan wyrusza w pole, a moje myśli będą panu towarzyszyły wszędzie”.

Powiedziane to było po to tylko, aby rozładować mój nastrój. Próbowałem wzruszyć ją i żartem, i na serio, by uzyskać od niej coś więcej, lecz na próżno. Nawet nie otrzymałem obietnicy, że będzie do mnie pisała, i w końcu z bardzo mieszanymi uczuciami musiałem ją opuścić. W uścisku, z którym bardziej się pogodziła, niżli nań odpowiedziała, nie wyczułem nic z prawdziwego, gorącego oddania, zaś od tak dawna upragnione usta, które dane mi było przelotnie musnąć, tak były chłodne, jak gdyby przed chwilą nie wypowiedziały wcale miłych, obiecujących słów.

Mniejsza o to; przybyłem jako nie mający nadziei wielbiciel, wyjeżdżałem jako szczęśliwy, aczkolwiek jeszcze nie zdeklarowany narzeczonej.

Szczęście nie było wprawdzie przesadnie wielkie. Polegało ono jedynie na tym, że we wszystkich wolnych od służby chwilach mogłem myśleć, jaka to nagroda zwycięstwa czeka mnie po zakończeniu wojny — wtedy jeszcze nie wiadomo było, jak dłużej — przewidując, że ktoś poczuje się „usposobiony”, by nagrodzić moją miłość i wierność, ja zaś będę od czasu do

czasu wysyłał do Tagemsee, a później do Monachium, zapewnienia o mej miłości i wierności obok doniesień z placu boju.

Odpowiedzi nigdy nie otrzymałem.

Początkowo mnie to nie martwiło. Czyż nie było w porządku, że młoda osoba nie pisała do młodego mężczyzny, z którym nie była formalnie zaręczona, czułych listów? A przecież inne by mnie nie uszczęśliwiły.

Kto wie, czy purytańska mama, która i tak nie mogła pochwalać tego stosunku, nie wyraziła kategorycznie zakazu. Ale przecież wszystkie matki świata i wszystkie najmocniejsze zasady nie byłyby w stanie powstrzymać prawdziwie miłującego serca od przekazania odrobiny nadziei najdroższemu człowiekowi, przebywającemu daleko wśród niebezpieczeństw i dręczonemu tęsknotą. Jakże zazdrościłem liścików kolegom, gdy kryli się w cichych kątach, by im nikt nie przeszkadzał w delectowaniu się takimi „darami miłosierdzia”. Ja zawsze odchodziłem z kwitkiem, choć jeśli o mnie idzie, zatrudniałem pocztę częściej od owych szczęśliwców. Aż pewnego dnia poczułem się zawstydzony rolą altruisty. Postanowiłem, że jak długo sam nie dostanę dowodu pamięci, nie napiszę ani słowa. Bez względu na to, czy będzie uważała mnie za „...niewiernego, lub zmarłego”, powinna dowieść, że moje życie lub śmierć mają dla niej jakieś znaczenie.

Od chwili gdy to postanowiłem, upływały tygodnie, miesiące, a żaden list nie nadchodził. Państwo myliliby się jednak sądząc, że bardzo cierpiałem, iż całkowicie runęły wszystkie moje nadzieje. Odczuwałem raczej ulgę, zrozumiałwszy, że przez cały ten czas ulegałem iluzji szczęścia i miłości, gdyż w istocie wchodziły tu w grę jedynie zmysły, a może bardziej jeszcze dziwny upór, by w końcu zbliżyć się do tej nieprzystępnej istoty i stopić lody.

To, co się zdarzyło, było dla mnie zbawienną nauką, która przysłała w samą porę. Nie takiej kobiety potrzebowałem. Całe szczęście, że mogłem jeszcze ze spokojnym sumieniem wycofać się bez przeżywania tego, że ona ani na krok nie wyszła mi naprzeciw.



Tak upłynął rok, nie wymieniliśmy życzeń ani na Wielkanoc, ani na Boże Narodzenie. W lutym zostałem ranny i odtransportowany do Moguncji. Nie należy do tej opowieści historia o tym, jak w domu, w którym przez wiele tygodni doznawałem najtroskliwszej opieki, poznałem tę, która w następnym roku została moją żoną. Słowo, które przesądziło o naszym losie, nie zostało jeszcze przez nas wypowiedziane, wiedzieliśmy tylko, że znaleźliśmy siebie na całe życie, i właśnie wtedy, pewnego dnia, nadszedł list Abigail, że dowiedziała się z gazety, iż zostałem ranny; pytała zatem, czy ma przyjechać wraz z matką, by mnie pielęgnować. Ani śladu narzeczeńskich uczuć, był to list, którego treść zawierała bezosobową propozycję, dyktowaną miłością bliźniego.

Może mama dyktowała ten list. Czy jednak córka musiała tak niewolniczo pisać pod dyktando?

Poprosiłem Helenę, której wtedy po raz pierwszy opowiedziałem o moim rozwiązanym już stosunku, aby w moim imieniu podziękowała za uprzejmą propozycję, dodając, że niczego mi nie trzeba i że mam doskonałą opiekę.

Był to ostatni znak życia, jaki otrzymałem od mego uwielbianego „bezlitosnego obrazu”. Ostatni, jaki jesienią roku 1871 wyszedł ode mnie — zawiadomienie o moich zaręczynach — wrócił z Monachium nie doręczony. Kiedy wkrótce po tym sam przyjechałem do domu, dowiedziałem się, że panie przed wkroczeniem zwycięskich oddziałów wyprowadziły się nie wiadomo dokąd; być może powróciły do swej posiadłości ziemskiej w Austrii.

W następnym roku dotarła do nas jednakże wieść, jakoby piękna Abigail też wstąpiła w związek małżeński z pewnym, bardzo posuniętym w latach, bogatym Niemcem z północy, którego poznała w uzdrowisku. Ów elegancki i cieszący się powszechnym szacunkiem człowiek był wielkim przyjacielem sztuki i właścicielem kolekcji dzieł malarstwa nowoczesnego, a

przywłaszczył sobie piękną pannę chyba bardziej jako ozdobę galerii, żywe, plastyczne dzieło sztuki, był bowiem o trzydzieści pięć lat od niej starszy, a przy tym trapiły go ciężkie dolegliwości podagryczne.

Wydało się nikogo nie dziwić, że zimna ryba, jak nazywano Abigail, nie zastanawiała się długo nad wyrażeniem zgody na takie małżeństwo.

Od tego czasu nigdy już o niej nie słyszałem, nawet nazwa miejscowości, w której mieszkała, uleciała mi z pamięci, zapamiętałem tylko nazwisko: Windham. I oto teraz przeczytałem je w miejscowej gazecie, którą przeglądałem pobieżnie, niczego nie przeczuwając, i nie mogłem mieć wątpliwości: właściciel galerii obrazów, o którym była tu mowa, był właśnie jej mężem.

Przywołałem kelnera i zapytałem, czy mógłby powiedzieć mi coś bliższego o właścicielu galerii i jego rodzinie. Nie wiedział więcej ponad to, że pan Windham zmarł przed kilkoma laty, a galerię zapisał w testamencie miastu. Nie umiał mi też powiedzieć, czy miał żonę. Może wiedziałby coś na ten temat gospodarz. Ów siedział jednakże w swym prywatnym pokoju z paroma przyjaciółmi przy skacie, a nie lubił, gdy mu przy tym przeszkadzano.

Ja też bym tego nie lubił, próbowałem więc wmówić sobie, że nie interesuje mnie wcale, czy wdowa, pani Abigail Windham, mieszka w tym mieście, czy też może powróciła wraz z matką na wieś. Czymże była teraz dla mnie ta moja dawna ukochana? Obrazem i imieniem. A może ów dawny obraz tak bardzo wyblakł w ciągu jedenastu lat i pociemniał, że oboje nie życzylibyśmy sobie spotkania.

Niech mi wolno będzie wyznać, że ożyło we mnie, nie stłumione do końca, poczucie własnej winy.

W gruncie rzeczy cóż miałem jej do zarzucenia? Nie dotrzymała tego tylko, czego nigdy nie obiecywała i czego odmówiła jej natura. Kto wie, gdybym zaufał jej słowom i pozostawił wszystko przyszłości, być może wątłe ziarno sympatii do mnie rzeczywiście rozwinęłoby się w końcu w

krzew osypany kwieciami, wszak powoli otwierane serce miało nie mniejszą wartość od tego, które wybiera w ciągu jednej nocy. Nie, to była podła niestałość z mojej strony, tak nagle odwrócić się od niej. Zapewne, ale czy z nią byłbym tak szczęśliwy, jak z moją biedną Heleną. Jednak nie o to chodziło. Przysięgałem jej wierność zbyt pochopnie, mimo to jako człowiek honoru obowiązany byłem nigdy jej nie opuszczać.

Podobne rozważania zaprzętały mnie niejednokrotnie w ciągu ostatnich lat, i zawsze starałem się odpierać je sofizmatami. Tamtego wieczoru ogarnęły mnie jednak z taką siłą, że siedziałem w winiarni w bardzo ponurym nastroju, czując na języku smak goryczy, której spłukać nie mogło nawet szlachetne wino.

Zrobiło się późno. Gracze opuścili już lokal, tylko jedna partia szachów uparcie się przeciągała. W końcu wyszedłem i wtedy dopiero zauważyłem, że ciężkie wino i ciężkie myśli razem są ciężkostrawne. Głowa mi pałała, w okolicy serca czułem dokuczliwy ucisk. Poczułem się lepiej, gdy odetchnąłem miłym, nocnym powietrzem, ruszając w dobrze mi znaną drogę do zajazdu. Nie spotkałem żywej duszy poza nocnym stróżem, który, uzbrojony jeszcze w halabardę i latarnię, robił obchód po tym starym mieście — tak przynajmniej było wtedy. Latarnia była niepotrzebna, bowiem na dachach i ulicach leżało czarowne światło księżyca, oświetlając wypukłości ornamentów na starych wykuszach; nawet napisy na drzwiach domów widać było jak za dnia. Noc okazała się tak piękna, że nadłożyłem sporo drogi, nim zdecydowałem się wrócić do swego pokoju, który w ciągu dnia był nieco duszny. Prawdopodobnie pokojówka zostawiła okna szeroko otwarte.

Tak dotarłem do hotelu. Drzwi wejściowe zastałem jeszcze uchylone, zaś portiera w kabinie pogrążonego w głębokim śnie. Nie chciałem zakłócać mu wypoczynku, zwłaszcza że klucz pozostawiłem w drzwiach. Drogę po schodach mogłem też w tym nikłym, gazowym świetle odnaleźć bez przewodnika. Czułem obezwładniające zmęczenie w całym ciele, miałem więc nadzieję, że solidnie się wyśpię. Kiedy jednak otworzyłem drzwi

pokoju, ujrzałem coś, co w jednej chwili uwolniło mnie od sennego nastroju i zatrzymało w proggu. Wydałem okrzyk zdziwienia.

Obydwa okna pokoju wychodziły na otwarty plac i wpuszczały do wnętrza jaskrawe światło księżyca. Tym ciemniej było w kącie tylnej części pokoju, gdzie stało łóżko i naprzeciwko niego, przy drugiej ścianie, sofa. Mimo to wyraźnie widziałem, że na sofie ktoś siedzi: czarno ubrana postać kobieca; jedyne, co było w niej jasne, to twarz, nieruchomo wynurzająca się z czarnego welonu. Jedną ręką podtrzymywała welon pod brodą, podczas gdy druga przyciskała do twarzy bukiet kwiatów. Musiała je wyjąć z wazonu, który stał na stoliku przed sofą; kilka róż i gałązek jaśminu, które żona przyjaciela zerwała po obiedzie dla mnie w swym ogrodzie.

Gdy wszedłem, zawoalowana postać nawet nie drgnęła. Dopiero kiedy, zdobywając się na odwagę, podszedłem do stolika, niezdolny wypowiedzieć choćby słowo i nadal nie wierząc Własnym oczom, obca kobieta podniosła głowę, przechyliła ją do tyłu aż na oparcie sofy; mimo ciemności nocy całkiem wyraźnie zobaczyłem dwoje dużych, utkwionych we mnie oczu.

„Abigail!”

Kobieta nadal siedziała bez ruchu. Wydawała się bynajmniej nie skrępowana miejscem i nocną godziną. Opuściła tylko na kolana rękę trzymającą kwiaty. Po chwili odezwała się, a głos ten zabrzmiał mi niesamowicie obco: „Naprawdę zna mnie pan jeszcze? Byłby zatem daremny ten trud, jaki pan sobie zadał, by o mnie zapomnieć? To przynosi panu zaszczyt. Widzę, że jednak właściwie oceniałam pana”.

„Abigail! — zawołałem znów. — Czy to możliwe? Pani tu? Jak pani weszła do mego pokoju o tak niezwykłej porze?”

Wzrok mój przywykł do półmroku; teraz wyraźnie już widziałem rys chłodu i czujności, który zmienił wyraz jej ust. Poza tym wydała mi się piękniejsza, niż zachowałem ją w pamięci, tylko bledsza, i brwi ściągnięte miała jakoś boleśnie.

„Jak tu przyszłam? — odpowiedziała wolno, trochę ochryłym głosem,

jak ktoś, kto żyjąc samotnie, często całymi dniami nic ma okazji do mówienia. — To bardzo proste. Usłyszałam, że przyjechał pan tu na krótko. Wiedziałam, że nie będzie pan starał się mnie odszukać. Musiałam zatem zdecydować się na przyjście do pana. Nikt naturalnie nie wskazywał mi drogi na górę. Na dole znalazłam na czarnej tablicy pańskie nazwisko, a obok numer pana pokoju. Pozwoliłam sobie rozgościć się tu i czekać. Teraz, gdy jestem tak samotna, mąż mój zmarł przed trzema laty, bardzo chciałam przywitać się ze starym przyjacielem. Wie pan, on revient toujours! Taki biedny revenant jest smutną postacią, ale jeśli zbrzydłam, pan nie powinien mi tego wypominać, ponieważ jest pan temu winien; ale nie będziemy teraz o tym mówili. Nie należy psuć tej miłej chwili spotkania wracaniem do przeszłości”.

Ciągle jeszcze nie wiedziałem, co powiedzieć. Było dla mnie 7agadką, co powinienem z tym zrobić. Abigail, którą znałem tak dumną i powściągliwą, teraz o północy w moim cichym pokoju hotelowym jedynie po to, aby mnie zobaczyć!

„Tak tu ciemno — wyjąkałem w końcu. — Pozwoli pani, że zapalę światło”.

„Nie, proszę, nie! — wpadła mi w słowo. — Jest dość widno, abyśmy mogli widzieć swoje oczy, a więcej nie trzeba. Trzeba panu wiedzieć, że jestem próżna. Nie powinien pan widzieć na mojej twarzy śladów tych wielu lat, jakie upłynęły od czasu naszego ostatniego spotkania. Czas ten przeżyłam niezbyt wesoło. Gdyby pan mnie nie opuścił, byłabym może radosna, bo ten, kto się czuje szczęśliwy, nie starzeje się!”

„Łaskawa pani!” wykrzyknąłem i chciałem jej powiedzieć, że wprawdzie nie czuję się bez winy, lecz w tym, co się stało, ona też ma swój udział. Nie dała mi jednak dojść do słowa.

„Proszę nazywać mnie jak dawniej, a nie łaskawą panią! — powiedziała. — Jak długo żył mój mąż, musiałam godzić się na tę formę, która mi się jednak nie należała. Dla mego zacnego męża byłam jedynie siostrą

miłosierdzia, a nie żoną I pewnie jeszcze czymś: jego modelem, który ubóstwiał, do którego modlił się, którego piękność umiał niestrudzenie wychwalać. Początkowo sprawiało mi to przyjemność, wkrótce jednak stało się nudne. W końcu nieznośną pańszczyzną wydawało mi się i to, że rysował mnie w setkach póz i sytuacji. Cóż jednak miałam robić? Była to jego jedyna radość, której nie powinnam mu zakłócać; był to szlachetny i kochany człowiek, o wiele lepszy od pana. A jednak poczułam się jak gdyby uwolniona, kiedy wreszcie cierpienie położyło kres jego życiu”.

„Abigail! — powiedziałem — miło mi, że mam wreszcie sposobność zrzucić z serca to, co gnębiło mnie od tak dawna”. I powiedziałem jej wszystko: o smutku z powodu jej oziębłości, o złudnych nadziejach, że w ciągu długo trwającej kampanii wojennej spadną z jej serca okowy, i o tym, jak w końcu zwątpiłem, że uda mi się kiedyś stopić lód w jej piersi.

„O — powiedziała z lekkim drżeniem w głosie — przedstawia pan to w nazbyt korzystnym dla siebie świetle, mój piękny panie. Gdyby pan rzeczywiście mnie kochał, nie wyczerpałaby się pańska cierpliwość, czekałby pan, aż ja, która wówczas z trudem zaczynałam sylabizować miłość, dobrnę w końcu do Z, skoro powiedziałam A. Jednak gdy tylko wyruszył pan w pole, przestałam dla pana istnieć”.

„Jak pani może tak mówić! Wszystkie listy, jakie do pani pisałem...”

„Nie otrzymałam ani jednego”.

Patrzyliśmy nie odrywając od siebie wzroku. Obojgu narzucała się jedna myśl, że matka przejmowała moje listy, ale żadnemu z nas nie przeszło to przez usta.

„No tak — powiedziała w końcu — cóż pomoże łamanie sobie głowy, a nawet serca tym, co przepadło. Pan znalazł zadowalające zastępstwo, a ja też mogłam trafić o wiele gorzej. W końcu i tak nie byliśmy nigdy ze sobą szczęśliwi. Powiem panu szczerze, że dotychczas jeszcze nie wiem, czy jestem zła, czy dobra. Może ani taka, ani taka. A może, jeśli natura obdarzyła kogoś szczególną urodą, to uczyniła dla niego tyle, że nie musi mu już dawać

nic więcej na drogę życia. Mój mąż był entuzjastą sztuki i ode mnie też niczego więcej nie żądał. A pan... myślę, że panu szybko znudziłoby się podziwianie moich pięknych ramion i rąk”.

Z tymi słowy odrzuciła do tyłu czarny welon i na wpół leżąc w malowniczej, niesłychanie zachwycającej pozie, poważnym spojrzeniem powiodła po sobie. Bez próżności, lecz tak, jak się patrzy na obraz. Była w istocie jeszcze piękniejsza, bardziej dojrzała, białe ramiona stały się nieco krągłejsze; i teraz też miała wąskie ramiączka, które, gdy wydawało się, że zaraz opadną, spokojnie podsuwała w górę. Na lewym przedramieniu dostrzegłem znów te trzy małe blizny; zapragnąłem przywrzeć do nich ustami i poczuć na szyi dotyk tych dwu miękkich ramion——węzy.

W końcu, gdy moje uważne, natarczywe spojrzenia stały się dla niej uciążliwe, zgarnęła na piersi fałdy welonu i wstała. „Ten bukiet zabiorę na pamiątkę — powiedziała. — Wy macie o wiele piękniejsze kwiaty, i nawet pachną, czego naszym kwiatom brak”.

Wyjęła pęczek nieśmiertelników, które zdobiły głębokie wycięcie jej czarnej, aksamitnej sukni.

„Czy chce je pan? Również na pamiątkę? Dla kogóż, jeśli nie dla dobrego przyjaciela, miałabym się przystrajać? Tak dobrze nie dzieje mi się na co dzień”.

„Abigail! — zawołałem, całkiem już oczarowany, gdy tak stała przede mną w całej krasie swej urody przy oknie pełnym księżycowej poúwiaty, Ł jasnymi wúosami, przeúwiecającymi przez welon. — Czy to ma być nasze ostatnie spotkanie? Jest pani znów wolna, i ja samotny jak pani, a to, ýe nie mogliúmy poúrczyã sić wczéúniej... zrozumieliúmy przecieź, że nie było w tym naszej winy. Droga Abigail, czy mogłaby pani, czy możesz jeszcze teraz zdecydować się zostać moją żoną?”

Rzuciłem się ku niej, chcąc wziąć ją w ramiona. Ona jednakże postąpiła krok do tyłu i w geście obronnym wyciągnęła w moją stronę obie ręce.

„Nie, mój piękny panie! — powiedziała, a chłodny, drwiący wyraz, który

dostrzegłem na jej białej twarzy, stłumił moje zapędy. — Nie popełnijmy głupstwa. Przez pana nie dane mi było dowiedzieć się, jakie może być życie u boku kochanego człowieka. Tego nie da się odrobić. Zawsze porównywałby pan mnie z tą dobrą, drobną kobietą, którą uczynił pan tak szczęśliwą, a która była tak inna niż ja; czy może pan zaprzeczyć, że wierzy pan, iż żaden człowiek nie miał nigdy lepszej żony? No, a ja, czyżbym ja też miała wzdychać, ażeby mój mąż był o trzydzieści lat młodszy, albowiem nikt już mnie tak nie będzie wielbił jak on? Zatem przekreślmy to, i koniec z jęczeniem i lamentami! Widzę jednak po panu, że jest pan teraz bardzo we mnie zakochany, dlaczegóż więc miałabym kazać panu umierać z tęsknoty? Jestem obecnie całkowicie niezależna i mogę rozporządzać sobą według własnej woli. Jeśli raz zaprzepaściło się okazję do upicia się szczęściem, dlaczego gardzić sposobnością do zakosztowania go, do stworzenia sobie przynajmniej na krótko iluzji szczęścia, zwłaszcza w tak parną noc, kiedy biedna istota ludzka ma prawo pragnąć orzeźwienia?”

Nie mogę opisać, jak dziwnie podziały na mnie jej słowa. Ta mieszanina melancholii i płochości, rezygnacji i zmysłowości tak była mi obca u tej niegdyś nieprzystępnej i chłodnej istoty że aby odpowiedzieć jej, i to pewnie coś bardzo naiwnego, musiałem najpierw przez chwilę zbierać myśli.

Usłyszałem, że zaśmiała się cicho.

„Dziwi pana, że mimo purytańskiego wychowania jestem tak mało pruderyjna. Widzi pan, to z latami mija; coraz bardziej przeziera ów ciemny plan, z wściekłości i zgryzoty nad zmarnowanym życiem nawet czysta jak anioł kobieta mogłaby stać się diabolicą. Ale nie musi się pan obawiać, nie narzucam się panu. Powiedziałam już przecież, że biedny revenant nie może żądać zbyt wiele. Zatem żegnam pana, i dobrej nocy!”

Jak gdyby pogodzona ze swym smutnym losem, wypowiedziała to tak przedziwnie stłumionym głosem, że moje serce znów żywiej dla niej zabiło. Wyciągnąłem ramię, aby przytulić ją do piersi, ale znów się cofnęła.

„Nie tu! — wyszeptała. — Co by pomyśleli o mnie ludzie w tym domu,

gdybym jutro rano schodziła ze schodów! Niech mi pan towarzyszy do mojego domu, tam nikt nam nie będzie przeszkadzał, i żadna wrona nie będzie krakała, jeśli zaproszę sobie gościa. Zgadza się pan? Wobec tego proszę iść, i nie traćmy czasu. Godziny mijają szybko, a wraz z nimi szczęście”.

Skierowała się ku drzwiom, a ja znów patrzyłem z zachwytem na jej lekkie, płynne ruchy, kiedy bezszelestnie szła po dywanie. Rozgorączkowany schodziłem za nią po schodach nie zamkniętego jeszcze domu, w którym wygaszono już światła. Na ulicy chciałem ją ująć pod ramię, ale bez słowa pokręciła przecząco głową i szła dalej spokojnie swoją drogą, i to tak blisko mnie, że gdy odwracała się, czułem jej chłodny oddech.

Ale nie zdarzało się to często. Przeważnie widziałem tylko jej profil. Znów na jej wpełzających ustach dostrzegłem wyraz pragnienia; odrzuciła ku tyłowi głowę, włosy pod welonem opadły jej na ramiona, nagie ręce trzymała skrzyżowane na odsłoniętej piersi, narażonej na podmuchy nocnego wiatru.

„Nie jest ci zimno?” zapytałem. Potrząsnęła przecząco głową. Potem nagle obrzuciła mnie z ukosa baczny, podejrzliwym spojrzeniem.

„Krępujesz się iść ze mną przez ulice — powiedziała. — Ale nie martw się, nie skompromituję cię. Nawet jeśli ktoś nas spotka, nie pomyśli, że prowadzę cię teraz na schadzkę miłosną. Cieszę się tu dobrą sławą, i nikt nie odważyłby się jej podważyć. Wiadomo, że mieszkam godnie w odosobnieniu i nie wpuszczam za próg mego domu mężczyzn, z wyjątkiem starego ogrodnika, który troszczy się o moje kwiaty. Nie wychodzę też w ogóle na powietrze, czegoż miałabym tam szukać? Dziś uczyniłam wyjątek dla ciebie, on revient toujours a ses premieres amours; ale to już ci raz mówiłam. Tak, widzisz, człowiek staje się nudny, kiedy kocha, dlaczego tak jest? Nie potępisz mnie za to?”

W tej chwili nadszedł z przeciwka jakiś spóźniony przechodzień. Minął nas, jak gdyby widział tylko mnie, a nie piękną, dziwnie ubraną kobietę u

mego boku, której wspaniałe ramiona dosyć wyraźnie przeświecały przez czarny welon. Usłyszałem jej cichy śmiech.

„Nie mówiłam ci? Ten stateczny pan był tak dyskretny dlatego, że nie chciał przyprawić mnie o zażenowanie. Jeśli o mnie chodzi, mógł sobie darować tę delikatność uczuć. Cóż mnie obchodzi opinia? Co to kogo obchodzi, że chcę uczynić coś dla starego przyjaciela, mimo iż wcale sobie na to nie zasłużył”.

Podczas gdy mówiła, szła naprzód tak szybko i bezszelestnie, jak gdyby stąpała nagimi stopami, że ledwie mogłem dotrzymać jej kroku. Tak dotarliśmy do bramy. Okolica była mi obca. Kilka ubogich domów, prawdopodobnie zamieszkanych przez robotników, stało po prawej i lewej stronie pełnej kurzu i zarzuconej papierami drogi, aż wreszcie osiedle skończyło się. Księżyc skrył się za jasną warstwą chmur; silniejszy powiew wiatru zaszumił nad nami w wierzchołkach sosen.

„Czy już wkrótce będziemy na miejscu?” zapytałem, albowiem jakieś osobliwe uczucie coraz bardziej uciskało mi pierś.

„Wkrótce! — odpowiedziała szeptem. — Widać już mury mego ogrodu, tam z lewej strony. Dom znajduje się wewnątrz. Może jesteś zmęczony? Chcesz zawrócić?”

Zamiast odpowiedzi próbowałem przyciągnąć ją do siebie. Odczuwałem palące pragnienie pocałowania jej w białą szyję. Jednak znów zrobiła unik i powiedziała: „Zaczekaj jeszcze! To, czego chcesz, dostaniesz niedługo. Oto już jesteśmy. Zdziwisz się, gdy zobaczysz, jak pięknie mieszkam”.

Staliśmy przed szeroką, żelazną bramą, zamykającą wejście do rozległego ogrodu, z którego widać było tylko prostą, ciągnącą się daleko aleję, utworzoną z cyprysowatych krzewów i drzewek tui, między którymi tu i ówdzie jaśniejszą plamą rysowała się jakaś marmurowa rzeźba. Na końcu alei wznosiła się piętrowa budowla o kopulastym dachu, zapewne willa. Wszystko spowijała jednak mgła, tak że z tej odległości nie można było nic dokładnie rozróżnić.

„Nie otworzysz bramy? — zapytałem. — Noc mija...”

„O, jeszcze jest dostatecznie długa — odpowiedziała cicho z nutą szyderstwa w głosie. — A ja zapomniałam zabrać ze sobą klucze. Co teraz zrobimy?”

„Przy bramie jest przecież dzwonek — odpowiedziałem. — Obudzi ogrodnika, choćby nawet spał”. „Nie waż się pociągać za dzwonek! Nikt nie powinien wiedzieć, że cię tu zaprosiłam, a już najmniej ów stary człowiek. Pogardzałby mną i nie chciałby podlewać moich kwiatów. Nie trzeba nam nikogo. Jeśli tylko troszkę zadamy sobie trudu, uda się i tak”.

Mówiąc to, precyzyjnie się pomieściła między dwoma prętami kraty, i to tak lekko, jak gdyby była obłokiem, a nie kobietą o bujnych kształtach.

Stała teraz po drugiej stronie bramy w jasnym świetle księżyca i skinęła ku mnie głową.

„Kto mnie kocha, pójdzie za mną!” zawołała, znów śmiejąc się złośliwie. Równocześnie cała jej dojrzała piękność zajaśniała przede mną pełnym blaskiem; myślałem, że z tęsknoty i niecierpliwości wyskoczę ze skóry.

„Nie igraj ze mną tak okrutnie! — zawołałem. — Widzisz przecież, że tą drogą nie mogę przyjść do ciebie. Zwabiłaś mnie tak daleko, dokończ zatem swego dobrego dzieła, przynieś klucz i pozwól mi wejść do środka”.

„Pewnie, to by się panu podobało! — szydziła spoza kraty, patrząc na mnie. — A jutro rano, gdy kur zapieje, odszedłby pan stąd i pozostawił mnie, samotną wdowę, bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Bo ja jestem tylko w nocy piękna. Nie wolno mi się pokazywać, kiedy świeci słońce. Nie, piękny panie, potrzebne mi było godne zaufania towarzystwo, bowiem cnotliwa kobieta niechętnie godzi się, by widziano ją o północy samą na ulicy. Teraz dziękuję za rycerską służbę i życzę panu majorowi, czy kim pan tam jest, szczęśliwej podróży”.

Zrobiła głęboki ukłon, a jej urocza postać była bardziej niż kiedykolwiek uwodzicielska, potem wolno odwróciła się i weszła w aleję.

„Abigail! — zawołałem, nie panując nad sobą — czy to możliwe?! Czyż

możesz mnie tak nieludzko traktować, najpierw uchylać niebios, a potem spychać bezlitośnie w otchłań szyderstwa? Jeżeli zaprzepaściłem sposobność, by móc nazywać cię moją, to nie odtrącaj mnie przynajmniej bez pocieszenia, daj zakosztować kropli miłości, bym mógł uskrzydlić nią moją spragnioną duszę. Tylko jeden pocałunek, Abigail, ale nie tak jak wtedy, kiedy usta twoje nie wyrażały porywu serca, lecz tak, jak całuje się przyjaciela, któremu darowana została ciężka przewina”.

Przystanęła w miejscu i odwróciła się w moją stronę.

„Jeśli panu wystarczy tak niewiele. Abigail nie jest okrutna, choć życie okrutnie się z nią obeszło. Ponadto ja też może kiedyś miałam ochotę całować, czego przez całe życie właściwie nie zaznałam”.

Zawróciła i stanęła przy kracie. Wysunęła między prętami białe, gładkie ramiona i szybko przyciągnęła moją głowę do swej twarzy. Zobaczyłem blisko jej duże, szare oczy, lśniące chłodnym blaskiem, w których i teraz nie było ani miłości, ani nienawiści. Potem uczułem, jak usta jej przywierają do moich, i dziwny dreszcz na poły strachu, na poły błogości przeniknął mnie na wskroś. Usta miała zimne, ale jej oddech palił mnie; czułem, jak gdyby wysysała mi duszę z ciała. Zrobiło mi się ciemno przed oczyma, brakło mi tchu, przerażony próbowałem uwolnić się, lecz jej chłodne, miękkie wargi mocno przywarły do moich ust; starałem się wyzwolić z uścisku jej ramion, lecz białe węże opasywały mój kark jak stalowe obręcze; gdzież się podziała siła moich ramion? Opadły bezsilnie, jak gdyby ów pocałunek pozbawił je szpiku. Na wpół omdlały, wisiałem na kracie jak biedny, cierpiący katusze grzesznik. Chciałem krzyczeć, lecz nie mogłem wydobyć z siebie dźwięku, myśli kłębiły mi się w głowie jak tonącemu w morskiej głębi, jeszcze chwila takiej męki, a byłbym zgubiony, lecz nagle w tę ponurą ciszę wtargnął trzask, jak gdyby strzelanie z bata, jej usta oderwały się od moich, spoza kraty dobiegł mnie dźwięczny śmiech. Straciłem przytomność, upadłem.



Kiedy wróciła mi świadomość, ujrzałem mego przyjaciela lekarza; klęczał koło mnie i esencją, którą przyniósł ze swej podręcznej apteczki, nacierał mi czoło i skronie. Obok w alei stała jego bryczka; zrozumiałem, że wybawienie od upiora zawdzięczałem woźnicy, to on właśnie spłoszył go strzelając z bata.

„Czego, u diabła, szukałeś, przyjacielu, tu za miastem, koło cmentarza? — zawołał doktor, gdy orzeźwiony nieco, wspierając się na nim, mogłem już chwiejnym krokiem podejść do bryczki. — Drżysz na całym ciele, wargi d krwawią, jeśli myślałeś, że po Wildbadzie odpowiednią kuracją będzie spanie tu przy tej nocnej wilgoci na zimnej ziemi, to jesteś w błędzie”.

Za nic na świecie nie wyznałbym mu prawdy.

„Mocne wino sprawiło, że o tak późnej porze spacerowałem, aż w końcu dotarłem tu do kraty, gdzie chciałem przez chwilę odpocząć — powiedziałem — potem niespodzianie zakręciło mi się w głowie i upadłem”.

Brzmiało to dosyć prawdopodobnie. Później, gdy uczynny przyjaciel pomógł mi dobrnąć do hotelowego łóżka, zapadłem w zdrowy, głęboki sen, podczas którego nikt nie musiał z obawą nade mną czuwać. Kiedy nazajutrz późnym rankiem wstałem, obudzony przybyciem doktora, nie pozostało ani śladu po owej niesamowitej nocnej wizycie.

Wcale jednak nie okazałem się tak dzielny, jak przystałoby na żołnierza i o co szanowni państwo mogliby mnie łaskawie posądzać. Gdy nadszedł wieczór — dzień spędziłem w pokoju na niespokojnych medytacjach — napisałem do przyjaciela bilet, zawiadamiając go, że dziś jeszcze muszę wyjechać nocnym pociągiem. I tym razem nie wyznałem prawdziwej przyczyny. Jakże mógłbym myśleć, że lekarz — sceptyk z zawodu — da wiarę mojej opowieści. Czyż nie powinienem się obawiać, że nawet wam, szanowni przyjaciele, wydam się albo dziwnym marzycielem, albo barwnie opowiadającym fantastą, który wysłał tę historię z palca, aby wykręcić się od dania fantu.

Zamilkliśmy wszyscy. Nawet panienska milczała przez chwilę, patrząc w

sufit, na którym odbijało się okrągłe światło lampy. W końcu powiedziała: — Jeśli mam być szczerą, ale nie chcę przez to psuć panu nastroju, drogi pułkowniku, to całą tę pańską historię z upiorem uważam tylko za twarde sen o wątkach niezwykle jasno powiązanych ze sobą. — Portier hotelu nie może służyć panu za świadka, albowiem podobno spał, gdy najpierw kobieta, a potem pan sam wchodził na schody. A w ogóle, jeżeli istotnie to wino zrodziło w pańskiej głowie całą tę historię, to i tym razem w winie byłaby prawda: uczucie pana dla ukochanej, którą pan opuścił, i Nemezis, która objawiła się panu w tym przerażającym uścisku upiora.

— Byłem przygotowany na takie wytłumaczenie — powiedział pułkownik z wzrokiem utkwionym przed siebie. — Co powie pani jednak o snach, które pozostawiają po sobie w rzeczywistości widoczne ślady? Kiedy rano podszedłem do stołu, stwierdziłem, że z wazonu zniknęły róże i jaśmin. Na sofie zaś leżał bukietek wyblakłych, zeschniętych nieśmiertelników.

Przełożyła Halina Leonowicz

Heinrich Mann

PIES

W salonie jednego z przyjaciół spieraliśmy się na temat wędrówki dusz. Gdy towarzystwo wyraźnie podzieliło się na przeciwników i zwolenników tej teorii, ci ostatni nie mogli się pogodzić w pewnej szczególnej kwestii. Chodziło o wcielanie się w zwierzęta, którą to skłonność przypisał ktoś duszom ludzi o niskim poziomie moralnym. Rozmowa coraz bardziej rozplątywała się w ogólnikach, i jeden ze sceptyków sądził, iż uda mu się ją zakończyć uwagą: — Nigdy nie będziecie mogli przytoczyć namacalnych dowodów dla jakiej teorii w kraju, gdzie owa teoria nie żyje ukształtowana w duszy narodu. Dopiero bowiem wiara stwarza fakty.

Tu przerwał mu szorstki, pełen rezerwy głos starego pułkownika Fastinsa: — Być może, iż ma pan rację. Sądzę przynajmniej, że tu w Europie nie do pomyślenia są wydarzenia, którym w Indiach zupełnie bym się nie dziwił.

Starzec wyjął z ust krótką drewnianą fajkę, co było niewątpliwym znakiem, że chce opowiedzieć jakąś historię. Poniżej jego siwiuteńkich włosów twarz lśniła czerwienią, wywołaną trzydziestoletnim pobytem w Indiach. Siedział wyprostowany, lekko wspierając ręce na oparciach. Jego bladoniebieskie przenikliwe oczy spoglądały między mną a moim sąsiadem w dal. Czekaliśmy; wreszcie zaczął: — W czasie jednej z lokalnych rebelii, jakie dawniej zdarzały się znacznie częściej niż dzisiaj, zostałem detaszowany jako dowódca daleko w głąb kraju. Był to wysunięty posterunek w pewnej dużej wsi, która nigdy nie widziała kwaterujących żołnierzy. Ludność nie okazywała żadnych oznak wrogości, wiedziałem jednak, iż nocami utrzymuje kontakty z buntownikami, być może dostarczając im żywności, chociaż nie dało się stwierdzić jak i gdzie. Moi ludzie mieli zakaz

utrzymywania kontaktów z niepewnymi tubylcami, bywają jednak atrakcje nawet dla najdzielniejszych żołnierzy silniejsze od rozkazu przełożonego. Jeden z przypadków zaniepokoił mnie do tego stopnia, iż wezwałem do siebie jego sprawcę.

„Bobie Raylor — powiedziałem do żołnierza. — Wdałeś się w historię miłosną z hinduską dziewczyną imieniem Giweh, która mieszka w przedostatniej chacie na północ”.

„Tak jest, panie kornecie”.

„Czy wiesz, że odebrałeś tę dziewczynę komuś innemu?”

„Tak jest, panie kornecie”.

„Komu?”

„Zdaje mi się, że Kamsunowi, którego nazywają tutaj Jadowitym Wężem”.

„Temu samemu, na którego nadaremnie czatowaliśmy, który każdej nocy mylił czujność naszych posterunków i w nie wiadomo jakim punkcie przedostawał się do wioski, jak gdyby przeczołgiwał się pod ziemią?”

„Temu samemu, panie kornecie”.

„Czy znasz krwawe historie, jakie o nim opowiadają?”

„Tak jest, panie kornecie”.

„A czy wiesz, że jest zazdrosny i że poprzysiągł zemstę?”

„Tak jest, panie kornecie”.

„Bobie — powiedziałem surowym głosem — kontakt z tubylcami jest zabroniony. Musisz skończyć tę znajomość”.

„Tak jest, jeśli to konieczne, panie kornecie”.

Powiedział to z tak nieszczęsnym wyrazem twarzy, że nie mogłem bardziej zdecydowanie obstawać przy swoim żądaniu.

Jednakże w moim położeniu każdy żołnierz był na wagę złota, nie mówiąc już o kłopotach i komplikacjach, jakie mogłyby wyniknąć, gdyby we wsi zginął jeden z moich ludzi. Kazałem przeto chaty Giweh pilnować ze szczególną uwagą. Wymagało tego również zwykłe ludzkie uczucie, prawda?

Wszystko to przydało się tylko na tyle, że o dokonanym czynie dowiedzieliśmy się natychmiast. Pewnej bezksiężycowej nocy posterunek w pobliżu pilnowanej chaty usłyszał chrapliwy, krótki okrzyk. Pobiegł w kierunku, skąd doszedł go głos, lecz niczego nie znalazł. Wszczął alarm i nadbiegli moi ludzie ze światłem. Drzwi chaty zastaliśmy otwarte, a jedyną izbę pustą, tylko w kącie przycupnęła głupawa matka dziewczyny. Ślady krwi zaprowadziły nas poza wieś, do miejsca, w którym posterunek jak zwykle nic nie wiedział o przedostaniu się jakiegoś człowieka do wioski. Tym razem przeto udało się drabowi to, co niemożliwe; przeniesienie jeszcze jednego, być może martwego człowieka. Bez wątpienia w zemście swojej posunął się tak daleko, że chciał uniemożliwić pogrzeb swojej ofiary.

Biegając dalej, usłyszeliśmy głuchoe ujadanie psa i wkrótce zrozumieliśmy wszystko. „Pomocnik”, ogromny dog Giweh, o którym opowiadał biedny Bob, zaatakował niestety zbyt późno i upolował mordercę. Nie opodal leżało ciało naszego Boba i rozciągnięta na nim w postawie wyrażającej rozpaczliwą boleść dziewczyna. Na jej opadających i wznoszących się do góry, w miarę jak okrywała twarz Boba pocałunkami, czarnych włosach pochodnie nasze zapalały ciemne błyski. Było w tym coś, co mi kazało pomyśleć o Edycie o łabędziej szyi, która po bitwie pod Hastings na polu pełnym poległych odnalazła swego królewskiego kochanka. Giweh nie przeoczyła swojego wśród najgłębszej nocy.

Musieliśmy jednak zająć się wreszcie suką i siłą odciągnąć ją od ciała mordercy. Dzika bestia wżarła się w nie i cała była zbluzgana krwią. Sądzę, że zaczęła pożerać jego wnętrzności.

Zanieśliśmy dziewczynę do domu. Była bardzo ładna; żołnierze, którzy ją nieśli, dotykali jej bezwładnego, smukłego brązowego ciała z dziwną niezręcznością. I niech mnie diabli porwą — gdyby tylko sprawa nie była tak tragiczna, nie wydawałoby mi się niestosownym uczynić oficera następcą biednego Boba.

Giweh przez całe tygodnie siedziała zamknięta w swojej chacie, nie

oglądając zupełnie ludzi. Od tamtego czasu okazywała suce niezwykłą przyjaźń. Niestety zwierzę zdechło wkrótce po wydaniu na świat szceniąt, z których dziewczyna zatrzymała Przy sobie tylko jedno.

Pies ów powinien był zyskać sobie przychylność Giweh, tym większą, że jak i przedtem nie znosiła ona żadnego innego towarzystwa. Jednakże moi ludzie, których zainteresowanie piękną dziewczyną nie osłabło w nudzie samotnego garnizonu, zauważyli, że stosunki między nią a zwierzęciem są bardzo dziwne. Wynikały między nimi zaczepki i hałasy, które, w miarę jak pies rósł, coraz bardziej przechodziły we wrogość. Z biegiem czasu hałasy z nieustannie zamkniętej chaty słychać było niemal bez przerwy. Giweh biła gryzącego ją psa, a wreszcie za każdym razem wyrzucała zwierzę na dwór, by wkrótce wołać je z powrotem. Później następowało między nimi osobliwe zawieszenie broni, które raz miałem sposobność zaobserwować. Dziewczyna siedziała na swojej macie, jej ładne ciało wyglądało na zaniedbane i wychudzone; naprzeciwko niej skulił się w kącie pies, kudłaty i zdziczały, a w spojrzeniu, przed którym wyraźnie odczuwała lęk, miał błysk gniewnej, jak gdyby ludzkiej namiętności, jakiej już nigdy potem nie widziałem u żadnego zwierzęcia. Wargi obojga pokrywała biała piana.

Pewnego wieczoru zjawiała się przed moim namiotem matka Giweh i znakami oraz niezrozumiałymi dźwiękami zdawała się prosić o pomoc. Musiało to być coś niezwykłego, co wybiło starą z jej otępienia. Ogromne zainteresowanie tą sprawą kazało mi pójść razem z nią.

Gdy weszliśmy do chaty, pies odskoczył na bok. Dziewczyna leżała rozciągnięta na macie, jej ciągle pięknie ukształtowane piersi były nieruchome. Z rozwartej rany na szyi spływała krew. Z pośpiechem usiłowaliśmy ją zatamować. Odzyskawszy skutkiem bólu przytomność, Giweh na wpół uniosła się na macie. Szukała czegoś oczami i znalazła. Jeden z żołnierzy zadał psu potężny cios kolbą i kopnięciem odrzucił go w kąt izby. Stamtąd jego martwiejące spojrzenie, niesamowicie wyraziste, spotkało się ze wzrokiem dziewczyny. Z oczu Giweh tryskał taki ogień nienawiści, o jaką

nikt by jej nie posądził w jej beznadziejnym stanie. Z największym wysiłkiem usiłowała się całkiem wyprostować, jedną ze swych chudych rąk wyciągnęła jak do przekleństwa, a z jej bladych ust wylatywały gwałtowne, wpółzrozumiałe, przypominające rzężenie, słowa: „Dobrze wiedziałeś, co zrobiłeś, ty, bo czy nie jesteś nim? Czy nie żyje w tobie jego dusza? Sama przecież widziałam, jak twoja matka chłęptała jego krew. Jego krew!”

Krzyczała tak, dopóki nie przewróciła się na bok, lecz nie oderwała spojrzenia od oczu psa, który, czy to skutkiem siły jej słów czy też wobec zbliżającej się śmierci, również zupełnie zapadł się w sobie.

Oboje umierający spoglądali na siebie nieustannie: dziewczyna i morderca jej ukochanego i jej samej.

— Pies! — zawołał, po umilknięciu opowiadającego, ów sceptyk, który swą uwagą wywołał opowieść pułkownika, a w głosie jego brzmiał wyraźny lęk. — Pies! — chciał pan powiedzieć.

Starzec jednakże nic już nie powiedział. Włożył na powrót fajkę między zęby i ciągle spoglądał nieruchomo swoimi jasnymi, ostrymi oczami pomiędzy mną a moim sąsiadem gdzieś wdał.

Przełożył Zbigniew Fonferko

Thomas Mann

SZAFA

Historia pełna zagadek

Szaro było, mroczno i chłodno, gdy pociąg pospieszny Berlin— Rzym wjechał w niezbyt wielką hale dworcową. W przedziale pierwszej klasy, z koronkowymi serwetkami na szerokich pluszowych fotelach, podniósł się samotny podróżny: Albrecht van der Qualen. Zbudził się. W ustach czuł mdły smak, a ciało jego przeniknięte było niemiłym uczuciem, jakie powstaje przy zatrzymaniu się po dłuższej jeździe, gdy milknie rytmicznie powtarzający się stukot i nastaje cisza, od której dziwnie wyraźnie odbijają zewnętrzne szmery, nawoływania i sygnały. Stan ten podobny jest do ocknienia po jakimś odurzeniu, oszołomieniu. Nerwom naszym odebrane zostaje nagle oparcie, rytm, któremu się poddały; czują się teraz jak gdyby porażone i opuszczone. A tym bardziej czują się tak wówczas, gdy jednocześnie budzimy się z tępego, podróżnego snu.

Albrecht van der Qualen przeciągnął się trochę, podszedł do okna i opuścił szybę. Spojrzał wzdłuż pociągu. Tam, koło wagonu pocztowego, różni ludzie zajęci byli ładowaniem i wyładunkiem paczek. Lokomotywa wydawała przeróżne odgłosy, kichnęła, powarczała nieco, po czym umilkła i trwała już w spokoju; lecz tylko tak, jak spokojnie stojący koń, co drząc przebiera kopytami, uszami strzyże i chciwie czeka na znak, by dalej ciągnąć. Jakaś wysoka i gruba dama w długim płaszczu przeciwdeszczowym wlokła z niesłychanie zatroskaną miną przeraźliwie ciężką torbę podróżną, popychając

ją co chwila przed sobą kolanem i biegając nieustannie tam i na powrót wzdłuż wagonów: milcząca, zziajana, z oczami pełnymi lęku. Górna jej warga zwłaszcza, którą wysuwała naprzód i na której lśniły drobniutkie kropelki potu, miała nieopisanie wzruszający wyraz. Kochane biedactwo! — pomyślał van der Qualen. Gdybym mógł ci pomóc, umieścić cię, uspokoić, jedynie ze względu na tę twoją górną wargę! Ale każdy sobie, tak to już urządzono, a ja, który w tej chwili wcale nie czuję strachu, stoję oto tutaj i przyglądam się tobie jak zuczkwowi na grzbiet przewróconemu.

Mrok zalegał skromną halę. Wieczór to był czy ranek? Nie wiedział. Spał i absolutnie nie można było określić, czy spał dwie, pięć czy dwanaście godzin. Czyż nie zdarzało mu się przespać dwudziestu czterech godzin, a nawet więcej, bez najmniejszej przerwy, głęboko, niebywale głęboko? Był to pan w półdługim, ciemnobrązowym, zimowym płaszczu z aksamitnym kołnierzem. Ż rysów jego trudno było odgadnąć wiek; można się tu było wahać od lat dwudziestu pięciu do końca trzydziestki. Cerę miał żółtawą, lecz oczy jego jarzyły się, czarne jak węgiel, i otoczone były głębokimi cieniami. Oczy te nie zdradzały nic dobrego. Różni lekarze w poważnych i szczerych męskich rozmowach obiecywali mu ledwie parę miesięcy życia. Ciemne jego włosy zaczesane były gładko, z przedziałkiem na boku.

Wsiadł przypadkowo w Berlinie — mimo iż Berlin nie był wyjściowym punktem jego podróży — do odchodzącego właśnie pospiesznego pociągu, z podręczną torbą z czerwonej skóry, przespał się, a teraz, gdy się ocknął, czuł się tak całkowicie wyzuty z poczucia czasu, że przeniknęło go zadowolenie. Zegarka nie posiadał. Szczęśliwy był wiedząc, że na cienkim, złotym łańcuszku, jaki miał zawieszony na szyi, znajduje się jedynie mały medalion, ukryty w kieszeni kamizelki. Nie lubił wiedzieć, która jest godzina albo choćby tylko jaki dzień tygodnia, gdyż kalendarza również nie miał. Od dłuższego czasu wyzbył się tego przyzwyczajenia, by orientować się, jaki to dzień miesiąca czy choćby tylko jaki miesiąc, a nawet rok. Wszystko powinno unosić się w powietrzu, zwykł był myśleć, a wiele przez to

określenie rozumiał, mimo iż był to zwrot raczej niejasny. Rzadko naruszano tę jego niewiedzę, starał się bowiem trzymać z dala od siebie wszelkie zakłócenia tego rodzaju. Czyż nie wystarczyło mu orientować się mniej więcej, jaka była pora roku? Jest już poniekąd jesień, myślał, wyglądając na mroczną i wilgotną halę. Więcej nie wiem! Czyż w ogóle wiem, gdzie jestem?

I nagle, na te myśl, zadowolenie, jakie odczuwał, ustąpiło miejsca radosnemu przerażeniu. Nie, nie wiedział, gdzie się znajduje! Czy był jeszcze w Niemczech? Niewątpliwie. W północnych Niemczech? Nie wiadomo! Oczami jeszcze otępiały od snu widział okno swego przedziału przesuwające się obok jakiejś oświetlonej tablicy, która, być może, wskazywała nazwę stacji, lecz obraz jednej nawet litery nie przeniknął do jego mózgu. W stanie zupełnego oszołomienia słyszał konduktorów, wywołujących ową nazwę dwa czy trzy razy — nie zrozumiał z niej ani jednego dźwięku. Tam jednak, tam, w mroku, o którym nie wiedział, czy oznacza wieczór czy ranek, leżała obca jakaś miejscowość, jakieś nieznanne miasto. Albrecht van der Qualen wziął z siatki filcowy kapelusz, chwycił podróżną torbę z czerwonej skóry, której rzemyki, zapinane na sprzączki, obejmowały jednocześnie pled z wełny, przetykanej jedwabiem, w czerwono — białą kratę, w którym z kolei tkwił parasol ze srebrną rączką, i chociaż bilet jego wystawiony był do Florencji, opuścił przedział, przeszedł wzdłuż skromnej hali, złożył swój bagaż w odpowiednim biurze, zapalił cygaro, wsunął ręce — nie niósł bowiem laski ani parasola — w kieszenie płaszcza i wyszedł z dworca.

Przed dworcem, na mrocznym, wilgotnym i niemal pustym placu, trzaskało z bata pięciu czy sześciu dorożkarzy, a jakiś człowiek w czapce z galonami i długim płaszczu, którym otulał się, wstrząsany dreszczem, zagadnął pytająco: — Do hotelu *Pod Rzetelnym Człkiem*? — Van der Qualen podziękował mu grzecznie i ruszył prosto swoją drogą. Ludzie, których spotykał, mieli podniesione kołnierze przy płaszczech; dlatego i on

tak uczynił, wtulił brodę w aksamit, palił i niespiesznie, ale też nie powoli kroczył przed siebie.

Minął jakąś przysadzistą budowlę, starą bramę o dwóch masywnych wieżach i przeszedł przez most, na którego poręczach stały posągi, a woda pod nim toczyła się mętnie i leniwie. Sunęło po niej długie, spróchniałe czółno, na którego rufie jakiś człowiek wiosłował długą żerdzią. Van der Qualen przystanął na chwilę i przechylił się nad barierą. Patrzajcie, pomyślał, rzeka; taka rzeka. Jak to miło, że nie znam jej pospolitej nazwy. Potem powędrował dalej.

Szedł jeszcze chwilę chodnikiem prosto przez jakąś ulicę, ani zbyt szeroką, ani zbyt wąską, a później skręcił gdzieś w lewo. Był wieczór. Elektryczne lampy łukowe rozblęły, zamigotały kilkakrotnie, rozjarzyły się, zasyczały i jęły potem świecić wśród mgły. Sklepy zamykano. A zatem, powiedzmy, jest już pod każdym względem jesień, pomyślał van der Qualen, krocząc dalej po czarnym, wilgotnym chodniku. Nie miał kaloszy, lecz trzewiki jego były niezwykle szerokie, mocne, trwałe, a mimo to nie pozbawione elegancji.

Szedł stale w lewo. Ludzie przechodzili i mijali go spiesznie, szli za interesami lub od nich wracali. A ja, myślał, idę pomiędzy nimi i jestem taki samotny i obcy, jak chyba nigdy nie był żaden człowiek. Nie mam żadnych interesów i żadnego celu. Nie mam nawet laski, na której bym się oparł. Nikt nie może być bardziej pozbawiony oparcia, bardziej swobodny i bezinteresowny. Nikt mi nic nie zawdzięcza ani ja nikomu. Bóg nigdy nie trzymał nade mną swej ręki, nie zna mnie wcale. Wierne nieszczęście bez jałmużny to dobra rzecz; można sobie powiedzieć: nic nie jestem winien Bogu.

Miasto skończyło się niebawem. Prawdopodobnie wyszedł był gdzieś od jego środka na ukos. Znajdował się na szerokiej ulicy przedmieścia, zadrzewionej, zabudowanej willami, skręcił w prawo, minął trzy czy cztery niemal wiejskie uliczki, oświetlone jedynie gazowymi latarniami —

zatrzymał się wreszcie na jednej z nich przed drewnianą furtką, znajdującą się z prawej strony obok pospolitego, na brudnożółty kolor pomalowanego domu, który wyróżniał się całkowicie nieprzejrzystymi i bardzo wypukłymi lustrzanymi szybami w oknach. Na furtce umieszczony był szyld z napisem: „W tym domu, na trzecim piętrze, są pokoje do wynajęcia”. — Tak? — powiedział, odrzucił resztkę cygara, przeszedł przez furtkę, wzdłuż parkanu oddzielającego tę posiadłość od sąsiedniej, w lewo, przez drzwi wejściowe, dwoma krokami przez sień, gdzie leżał nędzny chodnik, szary i zużyty, i jął się wspinać po skromnych drewnianych schodach.

Drzwi na piętrze były też bardzo skromne, z mlecznymi szybami, opatrzonymi drucianą siatką, a umocowano na nich kar— teczki z jakimiś nazwiskami. Podesty schodów były oświetlone lampami naftowymi. Na trzecim piętrze jednak — było to piętro ostatnie, nad nim znajdował się już tylko strych — wejścia znajdowały się jeszcze w prawo i w lewo od schodów: zwykłe, brązowe drzwi od pokoi; nazwisk nigdzie nie było widać. Van der Oualen pociągnął środkową mosiężną rączkę od dzwonka. Rozległ się dźwięk, lecz wewnątrz nikt się nie ruszył. Zapukał po lewej stronie — nikt nie odpowiadał. Zapukał po prawej — dały się słyszeć długie, lekkie kroki, i drzwi otworzono.

Była to kobieta, wysoka, chuda pani, stara i długa. Ubrana była w czepek z wielką, matową kokardą barwy lila i w staroświecką, wyszarzałą, czarną suknię. Ukazała zapadniętą, ptasią twarzyczkę, a na jej czole widać było kawał wysypki, jakąś mechowatą narośl. Było to wielce obrzydliwe.

— Dobry wieczór — rzekł van der Qualen. — Te pokoje...

Staruszka skinęła głową; kiwała głową i uśmiechała się powoli, w milczeniu i z całkowitym zrozumieniem, wskazując piękną, białą, długą ręką, powolnym, zmęczonym a wytwornym gestem przeciwległe drzwi po lewej stronie. Potem wycofała się i pojawiła na nowo z kluczem. Patrzajcież, pomyślał stojąc za nią, gdy otwierała. Wygląda pani jak zmora, jak jakaś postać z opowieści Hoffmanna, moja dobrodziko. Zdjęła z haka lampę

naftową i otworzyła przed nim drzwi.

Izba była mała i niska, o malowanej na brązowo podłodze; ściany aż do samej góry obite były matami w kolorowe słomy. Okno w głębi po prawej przysłaniała długimi, smukłymi fałdami muślinowa biała firanka. Białe drzwi do sąsiedniego pokoju znajdowały się po stronie prawej.

Staruszka otworzyła je i podniosła lampę do góry. Pokój ten był niemiłosiernie zimny, o nagich, białych ścianach, od których niczym truskawki od bitej śmietany odcinały się trzy krzesła trzciniowe, polakierowane jaskrawą czerwienią. Szafa ubraniowa, komoda z lustrem, będąca jednocześnie umywalnią... Łóżko, niebywale potężny, mahoniowy mebel, stało swobodnie pośrodku pokoju.

— Czy ma pan coś przeciwko temu? — zapytała staruszka, Przesuwając z lekka swą piękną, długą, białą ręką po mechowatej narośli na czole. Wydawało się, że powiedziała tak tylko przez omyłkę, nie mogąc sobie w danej chwili przypomnieć bardziej pospolitego zwrotu. Dodała natychmiast: — Że tak powiem...?

— Nie, nic nie mam przeciwko temu — powiedział van der Qualen. — Pokoje te są wcale zmyślnie urządzone. Wynajmuję je. Chciałbym, żeby ktoś odebrał moje rzeczy z dworca, oto kwit. Zechce pani uprzejmie kazać posłać łóżko, zaopatrzyć stolik nocny... dać mi teraz zaraz klucz od bramy i od drzwi na piętrze, jak również dostarczyć kilku ręczników. Chciałbym się nieco ogarnąć, a potem pójść do miasta, zjeść coś i wrócić.

Wyciągnął z kieszeni niklowane etui, wyjął z niego mydło i zaczął odświeżać sobie twarz i ręce przy umywalce. Spoglądał przy tym niekiedy przez mocno na zewnątrz wysklepione okienne szyby głęboko w dół, poprzez błotniste uliczki przedmieścia w świetle gazowych latarni, ku lampom łukowym i willom. Wycierając ręce podszedł do szafy. Był to grat rozłożysty, bejcowany brązowo, stojący nieco chwiejnie, ze szczytem naiwnie przyozdobionym, umieszczony pośrodku prawej, bocznej ściany, dokładnie w niszy drugich, białych drzwi, wiodących widocznie do

pomieszczeń, do których wejście od zewnątrz, ze schodów, stanowiły drzwi główne, środkowe. Pewne rzeczy są dobrze urządzone na świecie, pomyślał van der Qualen. Ta szafa pasuje do niszy, jakby była specjalnie do niej zrobiona. Otworzył. Szafa była zupełnie pusta, z kilkoma rzędami haków w górnej części; okazało się jednak, że solidny ten mebel nie posiada wcale tylnej ściany, tylko zamknięty jest od tyłu szarym materiałem, szorstkim i zwyczajnym workowym płótnem, umocowanym po czterech rogach gwoździami czy pluskiewkami.

Van der Qualen zaniknął szafę, wziął kapelusz, ponownie podniósł kołnierz płaszcza, zgasił świecę i wyszedł. Gdy przechodził przez pierwszy pokój, wydało mu się, że poprzez odgłos własnych stąpań słyszy obok, w głębi owych innych pomieszczeń, jakiś dźwięk, jakiś ton cichy, wysoki, metaliczny; lecz nie wiadomo, czy nie było to złudzeniem. Tak jakby złoty pierścień spadł do srebrnej misy, pomyślał zamykając mieszkanie; zszedł po schodach, opuścił dom i odnalazł drogę powrotną do miasta.

Na jakiejś ożywionej ulicy wszedł do oświetlonej restauracji i zajął miejsce przy jednym z frontowych stolików, odwracając się przy tym plecami do wszystkich. Zjadł zupę jarzynową z grzankami, befsztyk z jajkami, kompot, wino, kawałek zielonego sera gorgonzola i połowę gruszki. Płacąc i wkładając płaszcz zaciągnął się kilka razy rosyjskim papierosem, potem zapalił cygaro i wyszedł. Powłóczył się jeszcze troszkę, wytropił swą drogę na przedmieście i przemierzył ją bez pośpiechu.

Dom o lustrzanych szybach stał niemy i pogrążony w zupełnej ciemności, gdy van der Qualen otworzył sobie drzwi wejściowe i jął się wspinać po ciemnych schodach. Świecił przed sobą zapalką, a na trzecim piętrze otworzył brązowe drzwi po lewej, wiodące do jego pokoi. Złożywszy płaszcz i kapelusz na kanapce, zapalił lampę na wielkim biurku i znalazł tam swą torbę podróżną, jak również pled, zwinięty w rulon, i parasol. Rozwinął koc, wydobyl butelkę koniaku, po czym wyjął ze skórzanej torby szklaneczkę i dopalając cygaro, zasiadł w fotelu, i pociągał niekiedy łyk. Jak to miło,

myślał, że jednak istnieje koniak na tym świecie. Potem przeszedł do sypialni, gdzie zapalił świecę na nocnym stoliku, zgasił lampę w tamtym pokoju i zaczął się rozbierać. Składał po kolei na czerwonym krześle przy łóżku różne części swego szarego, nie rzucającego się w oczy, choć eleganckiego ubrania; potem jednak, kiedy rozpinął szelki, przypomniał sobie płaszcz i kapelusz, leżące jeszcze na kanapce; przeniósł je, otworzył szafę... cofnął się o krok i ręką sięgnął za siebie, szukając oparcia na jednej z wielkich, ciemnoczerwonych, mahoniowych kul, które zdobiły cztery rogi łóżka.

Pokój o nagich, białych ścianach, od których czerwono lakierowane krzesła odcinały się niczym truskawki od bitej śmietany, oświetlony był niespokojnym blaskiem świecy. Ale szafa o szeroko otwartych drzwiach nie była pusta, stał w niej ktoś, jakaś postać, jakaś istota tak urocza, że serce Albrechta van der Qualena przestało bić na chwilę, a potem podjęło znów swą pracę pełnymi, powolnymi, łagodnymi uderzeniami. Była całkiem naga i wznosiła jedno smukłe, delikatne ramię w górę obejmując wskazującym palcem hak w górnej części szafy. Fale długich, brązowej barwy włosów spływały na jej dziecięce ramiona, przejmujące czarem tak wielkim, że tylko łkaniem można było nań odpowiedzieć. W jej podłużnych, czarnych oczach odbijał się blask świecy. Usta jej były nieco szerokie, lecz wyraz miały tak słodki jak wargi snu, kiedy po dniach męczarni dotykają naszego czoła. Pięty zwarła mocno, a szczupłe jej nogi były stulone.

Albrecht van der Qualen przesunął ręką po oczach i patrzył... dostrzegł też, że tam na dole, w prawym rogu, szare, workowe płótno oderwane zostało od szafy.

— Jak to? — rzekł. — Nie zechce pani wejść...? jakże mam się wyrazić... wyjść? Nie wypije pani szklaneczki koniaku? Pół szklaneczki...? — Ale nie oczekiwał żadnej odpowiedzi na te słowa, i żadnej też nie otrzymał. Jej wąskie, błyszczące oczy, tak czarne, że wydawały się pozbawione wyrazu, niezgłębione i nieme, były wprowadzić na niego

skierowane, lecz bez oparcia, bez celu, przymglone i jakby wcale go nie widzące.

— Czy mam ci opowiedzieć? — zapytała nagle spokojnym, przytłumionym głosem.

— Opowiedz! — odparł. Opadł siedząc na skraju łóżka, płaszcz leżał mu na kolanach, a na nim spoczęły jego złożone ręce. Usta miał nieco rozchylone, oczy na pół przymknięte. Ale krew ciepła, łagodnie pulsująca krążyła w jego ciele, a w uszach z lekka mu szumiało.

Usiadła w szafie, obejmując delikatnymi ramionami jedno kolano, które podciągnęła nieco w górę, podczas gdy druga jej noga zwisała na zewnątrz. Drobne piersi były ściśnięte ramionami, napięta skóra kolana lśniła. Opowiadała... opowiadała cichym głosem, a płomyk świecy wykonywał tymczasem taneczne ewolucje...

Dwoje szło wrzosowiskiem, a jej głowa leżała na jego ramieniu. Ziola pachniały mocno, lecz z ziemi wstawały już mgliste opary wieczoru. Tak się to zaczynało. A często były tam wiersze, rymujące się w sposób tak nieporównanie uroczy i łatwy, jak zdarza się tylko niekiedy w półśnie, w gorączce, nocą. Ale dobrze się to nie kończyło. Koniec był tak smutny jak wówczas, gdy dwoje trwa w nierozzerwalnym uścisku, a gdy wargi ich łączą się, jedno wbija drugiemu szeroki nóż powyżej pasa, i to z należycie uzasadnionej przyczyny. Tak się to właśnie kończyło. A potem wstała, niezwykle łagodnym i skromnym gestem uniosła tam na dole prawy róg szarej tkaniny, stanowiącej tylną ścianę szafy, i już jej nie było.

Odtąd odnajdywał ją w szafie co wieczór i słuchał. Przez ile wieczorów? Przez ile dni, tygodni czy miesięcy przebywał w owym mieszkaniu i w owym mieście? Nic by z tego nikomu nie przyszło, gdyby umieścić tu jakąś liczbę. Któż się ucieszy byle liczbą? A wiemy, że liczni lekarze nie rokowali już Albrechtowi van der Qualenowi wielu miesięcy życia.

Opowiadała mu. I smutne to były opowieści, bez pociechy, lecz kładły się one słodkim ciężarem na jego sercu, każąc mu bić wolniej i radośniej.

Częstokroć się zapominał. Krew się w nim burzyła, i wyciągał po nią rękę, a ona się przed nim nie broniła. Ale potem przez wiele wieczorów nie odnajdywał jej w szafie, a gdy wracała, też jeszcze przez parę wieczorów nie opowiadała nic, i z wolna dopiero zaczynała na nowo, dopóki znów się nie zapomniał.

Jak długo to trwało — któż wie? Któż wie choćby tylko, czy Albrecht van der Qualen w ogóle obudził się naprawdę owego popołudnia i ruszył do nieznanego miasta; czy nie pozostał raczej, pogrążony we śnie, w swoim przedziale pierwszej klasy, a pociąg pospieszny Berlin—Rzym nie uniósł go z niebywałą szybkością przez lasy i góry? Któż z nas ośmielił się z całą stanowczością i na własne ryzyko odpowiedzieć na to pytanie? Wszystko to jest takie niepewne. Wszystko powinno unosić się w powietrzu...

Przełożyła Maria Kurecka

Oskar A. H. Schmitz

KOCHANKA SZATANA

Przed piętnastu laty, przyciśnięty biedą, przyjąłem posadę kapelmistrza w pewnym angielskim miasteczku prowincjonalnym. Stosunkowo umiarkowana złośliwość obywateli mego rodzinnego miasta umożliwiła mi łączenie dość swobodnego życia z utrzymywaniem stosunków towarzyskich w wyższych sferach, ba, mogłem sobie nawet pozwolić na to, by wnieść tam lekki wiew mego drugiego życia i wymagać dla siebie względów jak dla rozpieszczonego, niegrzecznego dziecka.

I oto wyrwany z tego otoczenia, znalazłem się w mieszczańskie angielskiej atmosferze, której charakter najlepiej oddaje wyraz „respectability”.

Proszę sobie wyobrazić miasto o domach pociągniętych dymnoczarną czerwienią, oświetlonych maleńkimi pseudogotyckimi oknami. Aby je otworzyć, należy ramy unieść, tak że wychylona głowa znajduje się jak gdyby pod gilotyną.

Teraz wystawcie sobie państwo ulice o niezdrowej, jakby sterylnej czystości, przypominające chorobliwą bladość pewnego gatunku skóry, która nigdy nie wydziela potu i nic nie wchłania.

Po tych ulicach bezgłośnie snują się mieszkańcy miasta. Na ich odzież aż przykro patrzeć. Mężczyźni mają na sobie ubrania koloru błotnistej lub rozmokłej drogi wiejskiej. Twarze chyba znieruchomiały w chwili rozpaczliwej wewnętrznej pustki lub pod wpływem jakiegoś okropnego wydarzenia. Wszędzie jak gdyby widziało się skamienieliny. Ulic nie ożywiają kawiarnie czy restauracje, tylko knajpy, mocno cuchnące whisky. Tak więc pędziłem dni w boarding house, gdzie przy stole gromadziło się

towarzystwo jasnowłosych, łysych, limfatycznych ludzi; czerwone pryszczki na rozlanych, pozbawionych zarostu twarzach, długie kończyny, zwłaszcza zaś jakby wydobywające się z automatu, pozbawione ciepła głosy nie zachęcały mnie do rozmowy; sztywny, milczący patrzyłem przed siebie.

Przez cały prawie dzień po jadalniach i korytarzach, które wskutek panującego tam mroku jak gdyby nie miały końca, służba w milczeniu roznosiła przykryte półmiski z olbrzymimi krwistymi befsztykami. Już o dziewiątej pożerano gęste „ragoût” i ciężko strawne pasztety, tak że od wczesnych godzin rannych znajdowałem się w stanie otępienia, jakie wywołuje zbyt obfity posiłek. Gęste, czarne, gorzkie piwo zadaje duchowi człowieka jasno myślącego ostateczny cios. Krew gęstnieje, mózg jest jak ciężka ciepła masa, w której niby spiczasty paskudny kolec tkwi splin.

Praca moja polegała na kierowaniu utworzonym wedle niemieckiego wzoru klubem muzycznym, gdzie gromadziła się tutejsza socjeta rzekomo po to, aby uprawiać muzykę kompozytorów klasycznych. Właściwym jednak powodem tych zgromadzeń był ów pozbawiony wdzięku flirt, który prowincjonalne mieszczaństwo angielskie tak bardzo lubi, bo może pofolgować swym przelotnym instynktom, nie pragnąc mocniejszych wyładowań.

Moja uporczywa niechęć brania udziału w życiu towarzyskim poza godzinami pracy, a może też dość ekstrawaganckie krawaty i kamizelki sprawiły, że na mój temat puszczono w obieg niezbyt pochlebne pogłoski. Chociaż przede mną, interesującym cudzoziemcem, stały otworem wszystkie domy umierającego z ciekawości i nudów miasta, pociągała mnie tylko jedna sfera, która dla „towarzystwa” w ogóle nie istniała, należeli do niej bowiem ludzie najgorszego autoramentu. W piwnicy na przedmieściu cieszącym się złą sławą zbierali się nocą członkowie małej wygłodzonej trupy, których groteskowe, niekiedy dość trywialne obyczaje bardziej mi odpowiadały niż anemiczna powściągliwość angielskiej gentry. Aktorzy, częściowo zdolni ludzie, którzy stoczyli się na dno, stosowali jedyne panaceum, jakie istnieje

na nędzę angielskiego życia — whisky.

W zadymionej mrocznej piwnicy spędzałem z nimi — przeważnie trzeźwiejszy od nich — sporo zimowych nocy, które inaczej doprowadziłyby mnie do samobójstwa, i nie opuszczałem tych wychudzonych patetycznych pijaków, póki nie zaczęli — z wykrzywionymi twarzami, w pijackiej euforii — wygłaszać jeden przez drugiego swoich ulubionych lub upragnionych ról. Kiedy, pokonany zmęczeniem, nie mogłem dłużej znieść tych głosów, wychodziłem w jasną, czystą noc zimową i z dala, w huczącym zgiełku, rozróżniałem monologi z *Hamleta* czy *Króla Leara*.

Często bywałem zły na siebie za te eskapady, bo potem przesypiałem pół dnia. Ale wciąż od nowa uciekałem do aktorów; gdy bowiem zapadał zmierzch, ów wilgotny, mglisty anglosaski zmierzch, dygotałem z zimna i trwogi; wówczas wkraczał do mego pokoju najgłupszy z upiorów, do którego wstydiłem się przyznać, a który szczególnie upatrzył sobie germańskie rasy — sentymentalizm.

Jakże często spędzałem popołudnia nad książką, która odrywała mnie od rzeczywistości, kiedy jednak zapadał zmrok, czułem, jak zimne dłonie tego widma, niby to pieszczotliwie, kładą się na moje czoło, przeszkadzają w dalszej lekturze. Jakieś słowo może wzbudziło we mnie ową słabość, i oto na cały wieczór ulegałem okrutnej potędze. Albo, podczas gdy grałem na fortepianie, wdzierał się obojętny głos z przedpokoju, lub wdychałem aromat herbaty, papierosa — i już byłem niewolnikiem straszliwej przemocy, której nie nazwalibyśmy po imieniu, określając ją tylko z uśmiechem jako niewinną słabość. Ja jednak twierdzę, że ten podstępny wróg pcha nas w zamroczenie nawet wtedy, kiedy chcemy pozostać trzeźwi, że budzi w nas strach przed nami samymi, przed samotnością, gdyż wiemy, że czatuje na nas wśród mebli, wywołuje zapachy zapomnianych na szczęście chwil, wydobywa głupiutkie melodie z fortepianu, a postaciom kołyszającym się na kwiecistej tapecie każe wołać do nas współczująco, że przegraliśmy życie. Nie wytrzymujemy tego, uciekamy i przyjmujemy wszystko, co podsuwa nam

przypadek, byle przebrnąć przez te kilka godzin. A ta zwariowana dusza udaje obrażoną, tak jak gdybyśmy sponiewierali to, co w nas najwartościowsze. I buntując się przeciw temu staropanieńskiemu widmu, splugawiamy się w najlepsze.

Codziennie spodziewałem się, że w moim życiu nastąpi jakiś zwrot, nie mogłem sobie wyobrazić, jak te poważne, nieufne rodziny kupieckie zgadzają się, by ich potrzeby muzyczne zaspokajała osoba tak podejrzanej konduity jak ja.

Pewnego ranka nadzwyczajne wydarzenie przerwało monotonię tej zimy. Otrzymałem list z miejskim stemplem pocztowym. Pismo było wyraźnie podrobione. Ku memu zaskoczeniu wśród sztywnej, pedantycznej kaligrafii angielskiej rzucały się w oczy wymyślne esy–floresy wielkich liter.

List nie miał podpisu. Treść jego brzmiała:

„Mój Panie, jest Pan najciekawszym człowiekiem w H., co zresztą niewiele znaczy. W ubiegłym tygodniu wróciłam z podróży i stwierdziłam, że Pańska osoba zaprzęta niemal wyłącznie wyobraźnię całego miasta. Nie widziałam Pana, ale mówiono mi, że jest Pan śmiertelnie brzydki. Chciałabym Pana poznać. Ponieważ zewnętrzny wygląd, zwłaszcza ludzi nie należących do anglosaskiej rasy, bardzo mnie zraża, pragnęłabym porozmawiać z Panem nie widząc Go. W jaki sposób — to już proszę mnie pozostawić. Przede wszystkim zechce Pan napisać, czy warto Mu zawierać znajomość z osobą, która nie zdradzi Panu nic ponad to, że jest damą”.

„Owszem, warto”, odpisałem bez wahania, gdyż nawet niemądry żart przyniósłby urozmaicenie w moim życiu. Bez trudu znalazłem dziuplę w Parku Jamesa, gdzie miałem złożyć swą odpowiedź.

„Sądzę, że jest Pan dostatecznie inteligentny — tak brzmiał koniec listu — by nie zniweczyć uroku tej przygody czyhaniem na posłańca. Gdyby popsuł Pan całą historię jakimś niemądrym posunięciem, żałowałabym niedoszłej do skutku rozmowy”.

Nazajutrz otrzymałem następujące zaproszenie:

„W poniedziałek o godzinie szóstej na rogu Pierroad i Kingstreet będzie na Pana czekała pod gazową latarnią kareta, którą otworzy Panu stangret na hasło Miramare”.

Istotnie w mroku wczesnego zimowego wieczora czekała pod gazową latarnią kareta. Stangret, niby egipskie bóstwo z bazaltu, patrzył nieruchomo przed siebie. Na umówione hasło uczynił krótki automatyczny ruch ręką. Pojazd sam się otworzył. Elektrycznie oświetlone wnętrze wyściełane było tkaniną koloru rezedy i wydzielało subtelny zapach werbeny. Drzwi zaraz się za mną zatrzasnęły, powóz ruszył. Na bocznej półeczce znalazłem papierosy i likier. Chciałem zobaczyć, jaką drogą jedziemy, lecz odsłoniwszy firanki stwierdziłem, że zamiast szyb w ścianki powozu wprawione są polerowane drewniane płyty. Brakło też klamek u drzwi. Byłem uwięziony, dopóki bazaltowy stangret nie raczy nacisnąć guzika. Tylko nieprzezroczysty aparat wentylacyjny w górze łączył mnie ze światem zewnętrznym. Koła na gumach toczyły się prawie bezgłośnie, tak że nie mogłem rozróżnić, czy jedziemy po bruku, czy też jesteśmy za miastem.

Jazda trwała o wiele dłużej, niż zajęłaby trasa w obrębie miasta, ale stangret mógł otrzymać polecenie, by kluczeniem wprowadzić mnie w błąd.

Czułem się w pachnącej celi tego buduaru na kółkach zupełnie znośnie. Skosztowałem likieru, zapaliłem papierosa — stwierdziłem, że są w znakomitym gatunku.

Nagle pojazd się zatrzymał; zgasło światło, usłyszałem z zewnątrz głosy. Drzwiczki się otwały. Ujrzałem drzewa pod grubą warstwą śniegu, kawałek nieba i drugi pojazd. Zręcznie niby egzotyczne zwierzę wsunęła się do karety czarno odziana postać, tak gęsto zawoalowana, że nie mogłem rozpoznać ani jej wieku, ani figury. Drzwi natychmiast się zatrzasnęły, pojazd ruszył. Kobieta w ciemności usiadła obok mnie. Postanowiłem czekać, aż ona pierwsza się odezwie. Na razie docierał do mnie aromat i szelest ciężkiego jedwabiu. Potem rozległ się pewny siebie, dość głęboki kobiecy głos: — Proszę o pańskie zapalki.

Poczułem jej rękę na swoim ramieniu. Zdaje się, że schowała zapalki w fałdach sukni.

— Zechce mi pan oddać pistolet — rzekła zaraz krótko i stanowczo. — Pański pistolet.

Oświadczyłem, że nigdy nie noszę z sobą pistoletu, ponieważ przy moim wybuchowym charakterze mogłoby to raczej wyrządzić szkodę niż zapewnić obronę.

— Nigdy poza dniem dzisiejszym — odezwała się na wpół ironicznie.

— W najgorszym razie spodziewałem się złośliwego żartu — odparłem — wystarczyłaby mi wówczas laska. Chętnie ją pani wręczę.

— Dziękuję, nie obawiam się laski.

— Ale pistoletu!

— Broń — odparła żywo — łatwo nadaje przygodzie koloryt kroniki wypadków z porannej gazety.

W tej chwili spostrzegłem, że odłożyła jakiś twardy przedmiot na półkę. Ostrożnie uniosłem rękę, chcąc go dotknąć, przy czym niechcący potrąciłem kieliszek.

— Co pan robi?

— Szukałem kieliszka do likieru... — Ale zaraz pożałowałem tak głupiego wykrętu.

— Miałabym ochotę zapalić światło — roześmiała się — aby zobaczyć, jak się pan teraz zarumienił.

Czułem się jak sztubak przyłapany na gorącym uczynku.

— Ale czy nie jest to objaw tchórzostwa, że zabrała pani ze sobą pistolet, podczas gdy ja przyszedłem bez broni?

— Jest pan górą o tyle, że zdobył moje zaufanie. Uwierzyłam bowiem, że nie ma pan broni.

— Czy wolno mi uścisnąć pani dłoń?

— Aby mnie pan od razu przejrział? Ale mam na sobie futrzane rękawiczki. Proszę, oto zamaskowana ręka, jej kształt nic nie zdradzi.

Już zdołałem się przekonać, że nie mam do czynienia z żadną panią Bovary, lecz ze świadomie dążącą do celu kobietą, przebiegłą i wyrafinowaną.

Nie odzywałem się dłuższą chwilę, to ją zirytowało.

— Ma pan dziś chyba swój zły dzień?

— Przeciwnie, najlepszy, odkąd mieszkam w H. A pani?

— Trochę się nudzę.

— Aby panią rozerwać, zdradzę jej, że w tej chwili czuje pani dokładnie to samo, czego niejednokrotnie doznaje mężczyzna wobec kobiety. Z obawy przed trywialnością waha się pani wypowiedzieć pierwsze niezbędne słowa. Wiem, kobiety bawi owa nieśmiałość, gdy dostrzegają, że mężczyzna bierze je zbyt serio. Na ogół nie zastanawiałyby się pani nad tym, że rozmowa o pogodzie jest czymś banalnym. Czemu nie zapyta pani po prostu, jak mi się podoba w H., czy w Niemczech jest równie pięknie?

— Przecież może pan to wszystko powiedzieć nie pytany — odparła zaskoczona, niemal z urazą.

— Nie zależy mi na rozmowie — roześmiałem się. — Wcale się nie nudzę jadąc w milczeniu przez nieznaną okolice z nieznaną kobietą, którą wedle życzenia mogę sobie wyobrazić jako Semiramidę lub Otero i pozostawić jej inicjatywę sprawienia mi najbardziej niezwykłych niespodzianek. Jeżeli jednak chce pani rozmawiać, służę z całą chęcią.

— Nie jest to chyba zbyt uprzejme? — zapytała naiwnie.

— Ponieważ nie znam pani, wolę wyobrazić ją sobie raczej jako Semiramidę niż jako guwernantkę z powieści Mrs. Bradford.

— No więc z własnej chęci podam panu rękę — rzekła nagle, — Sądzę, że mogę sobie po tej przygodzie coś niecoś obiecywać. — Chłodne, suche palce wśliznęły się powoli do mojej dłoni. Była to jedna z owych szczupłych, trochę może nazbyt kościstych rąk o długich palcach i węzłowatych stawach; drżące i ruchliwe, zdają się przybierać coraz to inne kształty.

— Przypuszcza pan, że jestem piękna? — zapytała, podczas gdy w

ciemności bawiłem się jej ręką, która w mojej powoli się rozgrzewała.

— Nie — odparłem — ale sądząc z pani ręki, zalety ducha zastępują pani urodę.

— Ach! — zawołała jakby oburzona, zmieszana i zaskoczona. Odsunęła się w kąt. Ponieważ i ja siedziałem nieruchomo, zaczęła nerwowo: — Jak pan sądzi, dlaczego zainicjowałam całą tę historię?

— Prawdopodobnie z ciekawości.

— Prawdopodobnie? Czy uważa mnie pan za całkowicie pozbawioną temperamentu?

Miast odpowiedzi gwałtownie chwyciłem ją w ramiona. Broniła się, lecz utorowałem sobie drogę do jej zawoalowanej twarzy i przyłgnałem ustami do jej ust. Opór słabł pod naciskiem pocałunku, wchłaniałem zapach pudru na jej policzkach nie pierwszej już młodości. Jej wąskie delikatne usta miały w sobie coś naiwnie łagodnego, tak że odniosłem — może błędne — wrażenie, że po raz pierwszy doznaje rozkoszy pocałunku. Nagle odepchnęła mnie gwałtownie.

— Już mi się pan nie podoba — rzekła krótko.

— Bo pani ciekawość nie daje się tak prędko zaspokoić, jak pani sądziła.

— A pan? Czy pan jest zadowolony?

— Bynajmniej — odparłem chłodno.

— I powiada pan to tak obojętnie?

— Oczywiście, bo jestem przekonany, że zostanę zaspokojony.

— To niesłychane!

— Tak pani sądzi?

Znow wzięłem ją w ramiona. Usiłowała się uwolnić.

— Proszę mnie puścić, bo zadzwonię na stangreta.

— Niech pani dzwoni.

Nie zauważyłem, by uczyniła jakikolwiek ruch, jednak powóz się zatrzymał. W tej samej chwili drzwiczki się otwarły i znowu za nią zatrzęsnęły. Zapaliła się żarówka, wóz ruszył. Znowu byłem uwięziony w

pachnącej jasności buduaru. Czyżbym przez zbytnią popędliwość popsuł całą przygodę? Może ścisnąłem boginię moich marzeń lub jakąś antyczną kurtyzanę, która do mnie zstąpiła?

Najbardziej odpowiadało mi wyobrażenie zielonookiej perwersyjnej kobiety o małych, kocich ząbkach. Nagłe zatrzymanie się karety przerwało tok moich myśli. Drzwi się otwały, wysiadłem i znalazłem się przy znanym narożniku. Zanim zdążyłem odezwać się do stangreta, wóz odjechał. Stałem na drodze jak żebrak, który zbudził się z cudownego snu i nie może odnaleźć się w rzeczywistości.

Tydzień chyba minął od tej przygody, która zaprzętała wszystkie moje myśli, gdy pewnego ranka otrzymałem znowu list od nieznanym. W dzielnicy położonej daleko od poprzedniej miała czekać na mnie kareta o tej samej porze.

I znowu przez pół godziny byłem uwięziony w jasnym, toczącym się buduarze. Gdy pojazd się zatrzymał, sądziłem, że wszystko odbędzie się tak jak poprzednim razem. Tymczasem znalazłem się przed podjazdem niemal pałacowego budynku. .Przed rana wznosiły się szerokie frontowe schody, oświetlone dwoma kandelabrami. Na górze oczekiwało mnie dwóch służących, którzy w milczeniu otworzyli przede mną oszklone drzwi, prowadzące do jasno oświetlonego hallu, skąd przez rozsuwane drzwi wszedłem do ciemnego pokoju. Czułem pod stopami gruby dywan, wdychałem dziwny zapach szlachetnego drzewa i ciężkich jedwabnych tkanin, jaki panuje w bogatych, mało używanych pomieszczeniach. Powoli po omacku znalazłem fotel. Potem usłyszałem, jak otwarto i zamknięto w głębi drzwi.

— Gdzie pan jest, przyjacielu? — zapytał znajomy głęboki głos z poufnym odcieniem, który zaskoczył mnie po naszym ostatnim pożegnaniu — Niech pan siedzi, znajdę pana.

Słyszałem, jak idzie po dywanie, i poczułem jej ręce w moich włosach.

— Chodźmy — szepnęła.

Znowu ująłem jej szczupłą dłoń. Wdychałem trochę cikliwą, intymną woń wydzielaną przez kobiety, które w przewiewnych szatach spędzają długie zimowe dni w ciepłych, perfumowanych pomieszczeniach. Weszliśmy do przyległego pokoju. Panowało tam duszne, wilgotne powietrze, jakiego wymagają podzwrotnikowe rośliny. Pociągnęła mnie na otomanę.

— Widziałam pana — zaczęła — pokazano mi go.

— To komplement.

— Dlaczego?

— Że mimo to chce pani kontynuować tę przygodę.

— Uważam, że jest pan naprawdę śmiertelnie brzydki. Ale wygrywa pan tym samym w moich oczach.

— Więc jest pani wyuzdana.

— A ta wyuzdana miłość do pana zwie się satanizmem.

— Obawiam się, że pani wyuzdanie pochodzi tylko z literatury — roześmiałem się.

— Nie rozumiem.

— Może obracała się pani w Londynie czy Paryżu w kołach literackich, gdzie jeszcze niedawno wszelkie wyuzdanie uchodziło za ogromnie szykowne.

— Nigdy! Obcowałam tylko z ludźmi interesu i z oficerami marynarki. Cześć życia spędziłam w Ameryce. Nigdy nie byłam w Paryżu i wcale nie mam ochoty tam pojechać. Sądzę, że wcale by to mnie nie bawiło. W Londynie byłam tylko przejazdem. Majątek mój pozwala mi na pewne ekstrawagancje, ale dotąd nie dowiedziałam się, co to jest wyuzdanie czerpane z literatury.

— Tym lepiej. Ale skąd pani wie coś niecoś o satanizmie? wyraz ten obcy jest słownictwu salonów amerykańskich.

— Chętnie to panu opowiem — zaczęła z zadowoleniem.

Już w wieku dziecięcym fascynował mnie katolicyzm, jego fantastyka, ale proszę mi wierzyć, nie jest to dla mnie niczym więcej niż sportem; w gruncie

rzeczy nic mnie to nie obchodzi, jestem protestantką z przekonania. Potem kupowałam sobie na chybił trafił pisma i książki katolickie o wielce obiecujących tytułach, które zresztą przeważnie sprawiały mi zawód. To mnie tym bardziej intrygowało. Irytowało mnie, że autorzy najwidoczniej zachowywali dla siebie tajemnice, jakie rzekomo posiadali i o jakich protestantyzm głucho milczy. Wmawiałam sobie, że to tylko czcze gadanie, ale za wszelką cenę chciałam tym ludziom wydrzeć ich tajemnice. I tak wpadła mi w ręce książka ojca Sinistrari d’Ameno o demonach...

— Zna ją pani?! — wykrzyknąłem zaskoczony.

— Znalazłam w niej wiadomość o inkubach, o tajemnych schadzках kobiet z istotami nadprzyrodzonymi; nic dotychczas w takim stopniu nie rozpałiło mojej wyobraźni. Gdzieś poza sferami towarzyskimi utrzymywać nadnaturalne stosunki, do których nie da się zastosować żadnej ludzkiej miary i które z tego powodu nie uchybiają żadnym ludzkim normom moralnym ani nie mogą skompromitować kobiety pod względem towarzyskim! To bowiem, co autor katolicki prawi tam o grzechu śmiertelnym, nie dotyczy nas, protestantów. Wydało mi się to więc arcygenialną ideą naprawdę doskonałego Boga, że w ten sposób wynagradza swych szczególnie inteligentnych wiernych, którzy wolą nie wystawiać swych poczynań na widok publiczny.

Życie moje ma odtąd tylko jeden cel: zakosztować tego po—naziemskiego szczęścia. Przez całe lata interesowałam się niezwykle wydarzeniami, aż niedawno wywróżyła mi chiromantka, że w tym roku przeżyję coś nadzwyczajnego. Udałam się w podróż na spotkanie tej przygody. Zmęczona i rozczarowana, niedawno wróciłam.

— Wyobrażam sobie, co pani wyprawiała w czasie tej podróży — wtrąciłem ubawiony.

— Proszę mi nie przerywać! — Podniecona ciągnęła dalej: — Kiedy opowiedziano mi o panu, to, co usłyszałam, wydało mi się przerażające. Pańskie nazwisko prześladowało mnie, kiedy byłam sama. Nie ulegało dla

mnie wątpliwości, że to niezwykle przeżycie łączy się z pańską osobą. Za wszelką cenę musiałam pana poznać. Może to pan ma służyć za narzędzie mojej rozkoszy, może słowa ojca Sinistrariiego były tylko symboliczne. Ostatecznie można by nawiązać stosunek niemal ponadmysłowy także z istotą żyjącą, należałoby tylko zamknąć oczy, aby uniknąć rozczarowania i doświadczeń świata zmysłów. Nie sądzi pan? Nie czułem się bynajmniej, jakbym przyszedł na schadzkę miłosną. To połączenie zimnego, wyrachowanego, wręcz bezwstydnego występku z kazuistycznymi spekulacjami i protestancko–mieszczańską ograniczonością mogło doprawdy wyprowadzić z równowagi; przy tym niemiłe uczucie, że mam służyć za narzędzie rozkoszy, że do pewnego stopnia stawilem się na rozkaz... Aby przerwać przykre milczenie rzekłem: — Starając się mnie zobaczyć, ucięła pani skrzydła swojej wyobraźni.

— Jakżeby mogła przyjąć pana w swoim domu nie wiedząc, czy jest pan dżentelmenem? — zawołała.

Ledwo zdołałem powstrzymać uśmiech. Przesady klasowe tej anglosaskiej damy sięgały aż do czwartej potęgi.

— No i przekonała się pani, że nim jestem?

— Nie tylko to — szepnęła znowu podniecona; czułem ją tuż przy sobie. — Teraz wiem także, że jest pan rzeczywiście tym, z którym mam przeżyć ową niezwykłą przygodę. Pogasiłam światła, aby mógł pan sobie wyobrazić, że pieści pan swoje bóstwo, a nie jakąś kobietę, w której razilyby pana tysiące drobiazgów; a owe prapieszczoty, nie strywializowane rzeczywistością, pragnę ukraść dla siebie, tak, ukraść! Widziałam pana, ale nie rozczarowałam się. Tak właśnie wyobrażałam sobie szatana.

Zabrakło mi tchu. Gwałtownie porwałem ją w ramiona i nagle ogarnęło mnie szalone pragnienie, by z zamkniętymi oczyma rzucić się w ziejącą przede mną przepaść.

— Ani słowa dalej! — jęknąłem jak w panicznym lęku przed przebudzeniem. — Mogłabyś to zniszczyć! — Zamknąłem jej usta

pocałunkiem. Poddała się bez oporu, w milczeniu. W nieprzeniknionej ciemności mogłem sobie wyobrazić baśniowy widok. Po raz pierwszy trzymałem w ramionach kobietę, ową tajemniczą, niedościgłą Wieczną Kobiecość, która nie może nigdy ucieleśnić się w jakiejś jednej kobiecie.

Wszystko, co, zostało we mnie zgaszone przez jałowe sny i rozczarowującą rzeczywistość, odżyło teraz i rozkwitło. Nigdy nie zatraciłem się tak do szaleństwa, do całkowitego samounicestwienia, jak wtedy, gdy brałem to szczupłe, zimne ciało, tak obce, obojętne.

Mówiła później, że wyrzucałem z siebie głośne, barbarzyńskie słowa, podobne do pierwotnych dźwięków, jakie wydają dzikie ludy podczas obrzędowych tańców, dając ujście najwyższej ekstazie, kiedy dusza dosięga najgłębszej głębi tajemnic. Zapomniała, jak brzmiały, twierdziła jednak, że przypomniaby sobie, gdyby poczuła znowu na języku smak pewnych trucizn, tak jak niektóre wspomnienia związane są z melodią czy zapachem.

Co do mnie, to swoje uczucia mogę porównać jedynie z owym doznaniem, kiedy pewnego razu w Alpach wisiałem uczepiony tylko czubkami palców nad przepaścią i w obliczu śmierci widziałem całe swoje życie biegnące od końca do początku.

Tak więc podczas tych uścisków przesuwały się przede mną wszystkie kobiety, jakie znałem, i miałem uczucie, że je wszystkie posiadam. Dawne uściski miłosne powtarzały się w doskonalszej formie, nieudane przygody kształtowały się na nowo. Niedostępne królowe, których niegdyś pożądałem, padały mi w ramiona, pod koniec zaś zjawiały się cudownie zawołowane baśniowe kobiety, kochanki moich chłopięcych snów, adorowane przeze mnie dłużej i goręcej niż żywe kobiety. Tylko ktoś, kto jako dziecko doznał tak niewymiernej tęsknoty, potrafi zmierzyć spełnienie tej godziny siłą swoich ówczesnych pragnień, przekraczających wszelkie realne pożądanie miłosne.

Nie wiem, jak i kiedy zdrzemnąłem się w ramionach tej kobiety; nagle się zbudziłem; przed chwilą jeszcze czułem gorące, aromatyczne tchnienie; teraz

usłyszałem szelest jedwabiu, rozsuwanie drzwi. Dokoła mnie zapłonęły niezliczone lampy. Przerażony, znalazłem się nagle w wąskim, jaskrawo oświetlonym pokoju, gdzie ze wszystkich stron szczyrzyły się na mnie ohydne maskary; wysuwały swe brunatne owłosione pyski spomiędzy olbrzymich łuków, kolorowych pióropuszków i innych egzotycznych przedmiotów. Był to buduar mojej przyjaciółki. Cofnąłem się do sąsiedniego pokoju i znalazłem się w jasnym, dość banalnym saloniku w stylu Ludwika XV, w kolorze truskawkowym. Wszedł służący i powiedział: — Madame jest cierpiąca. Niestety nie może pana przyjąć.

Odprowadził mnie na dół, pojazd już czekał. Stangret odwiózł mnie znowu tam gdzie zawsze.

Co cztery czy pięć dni otrzymywałem podobne zaproszenia do najrozmaitszych dzielnic, lecz zawsze odwożono mnie na to samo miejsce.

Coraz mniej ze sobą rozmawialiśmy. Co zresztą miałyby sobie do powiedzenia dwoje ludzi posługujących się ciałem partnera, by rozpętać orgię swej wyobraźni? Ta kobieta nie mnie kochała, lecz szatana. Kiedy w ciemności leżała przede mną, pozwalając w milczeniu, bym ręką kreślił kontury jej ciała, kiedy czułem się tak, jak gdybym znalazł w ogrodzie obalony posąg, który ożywał pod moim dotknięciem — wówczas kochałem Lais, wówczas paliły się wokół mnie miasta, na które z rozkazu tej kobiety rzucono płonące żagwie. Nie odczuwałem najmniejszego pragnienia, aby osiąść kiedyś ją samą. Przede wszystkim po raz pierwszy w życiu dręcząca mnie bujna wyobraźnia została w pełni zaspokojona.

Już nie zazdrościłem, jako zbyt późno urodzony słabeusz, oszołomień miłosnych doznawanych przez postacie z literatury lub przez bohaterów odległych epok, które, jak mniemałem, były o ileż wznioślejsze i bardziej mistyczne niż moje własne. Teraz przeżywałem je na nowo. Poczekaj do nocy, mówiłem sobie, gdy wyobraźnia roztaczała przede mną kuszące obrazy; nadchodziły noce, kiedy słyszałem, jak fale Adriatyku biją o marmurowy pałac, kiedy ciało tej kobiety było niby wspaniałą jedwabistą

aksamit, a jej członki nabierały pełniejszych kształtów; piękna a zła dogressa kochała się ze mną i cieszyła się, że gotów jestem oddać życie za cenę jej miłości. Albo włosy jej wydzielały aromat frankońskich lasów, linie jej dała były łagodne jak pieśni, które niegdyś śpiewały niemieckie dziewczyny wieczorem przy studni... Dziewczyny, które muszą nieśmiało błagać o miłość Matkę Boską, potem mogą raz jeden o wszystkim zapomnieć, nawet o tajemnej kapliczce swych dziecięcych modłów, a jednak d są świadomości, że Madonna powita je uśmiechem, i wtedy, kiedy powrócą do niej później, on zostanie w obcym kraju i będzie kochał ponętniejsze kobiety.

Potem znowu ostry, cichy śmiech mojej kochanki wywoływał zuchwałę wizję księżniczek regencji; cierpko pachnący puder nadawał jej skórze chorobliwą gładkość. Wydawało mi się, że jesteśmy w ciasnej skorupie orzecha i płyniemy po jakimś nie całkiem prawdziwym, w każdym razie wcale nie wzburzonym morzu. Nasz uścisk był jakby osnuty nitkami ze złota. W takie dni moja kochanka była szczególnie wrażliwa.

Przeżycia te nie byłyby możliwe, gdyby moja nieznajoma nie miała pewnej cechy charakteru, jaką na ogół kobiecie niełatwo się wybacza. W rzeczywistości bowiem była zawsze taka sama: żadnych kaprysów, żartów, pomysłów, życzeń, nic nieprzewidzianego. To, czego potrzebowała, zdawała się uzyskiwać bez mego współudziału. Jedno mnie w tym irytowało: chociaż uważałem ją za swoje narzędzie, to przecież w większym stopniu ja jej służyłem. Zjawiałem się na jej skinienie, odprawiała mnie, gdy miała dość. Jeśli się czasem nie stawilem, bo nie miałem ochoty, o nic nie pytała. Po kilku dniach otrzymywałem nowe zaproszenie. Ta obojętność gniewała mnie, postanowiłem rozdrażnić ją, doprowadzić do wściekłości, podając niemądre wykrety. Lecz kiedy włosy jej pachniały tak, jak gdyby w słońcu nabierały rudawej barwy, gdy jej szczupłe kształty w nerwowym pośpiechu kurczowo mnie ścisnęły, tak że nie wiedziałem, czy odczuwa najwyższą rozkosz, czy największą udrękę, czy kocha mnie, czy też chce ukarać — wówczas

zapominałem o gniewie, o zamiarach zemsty, wtedy czułem się jak spowiednik, który wchodzi do celi młodej mniszki skazanej na stos; zostanie jutro spalona, ale dziś chce raz jeszcze wchłonąć jak najwięcej rozkoszy, wyssać jak najwięcej czyjejsi siły, zniszczyć, ile się tylko jeszcze da.

Moja zarozumiałość i arogancja ulatniały się, kiedy nieznajoma bywała ospała i nieruchoma niby bajadera, która upalnego ranka w cieniu egzotycznych drzew pochłonęła za dużo ckliwie słodkich owoców. Wtedy pachniało indyjskimi kwiatami, ona zaś wykonywała jakby taniec brzucha i wydawała się niemal pulchna. Wtedy chętnie zapominałem, że jest to może wielko—pański kaprys jakiejś damy niezbyt wysokiej klasy. Ona właściwie nie istniała. Nieraz przychodziło mi na myśl nauczyć ją kilku podniecających wyrazów w językach obcych lub martwych. Ale w porę się spostrzegłem, że żywy kształt moich wymyślonych postaci stałby się literaturą, teatrem, płaskim żartem, który przyswoiłaby sobie bez trudu każda dziwka.

Oczywiście stwarzałem sobie o niej pewne pojęcie, ale nie umiem powiedzieć, czy wyobrażałem ją sobie jako brzydszą czy ładniejszą od spotykanych kobiet, które niejednokrotnie brałem za nią.

Moje doznania były tak wyjątkowe, że trudno by zastosować do nich zwykłą miarę.

Chociaż nie utrzymywaliśmy ze sobą w życiu codziennym żadnych kontaktów, które w zarodku niosą w sobie rozkład stosunków ludzkich, ta historia miłosna, najbardziej niezwykła ze wszystkich, zakończyła się niemądrze i banalnie jak miłostka strażaka. Pani stała się zazdrosna, i to o moje bóstwa. Pewnego dnia zapytała mnie jak prosta szwaczka, czy ją kocham. To już był koniec. Pani zdała sobie sprawę, że moje doznania były gorętsze i różnorodniejsze niż jej. Niewczesna ciekawość nastawiła na zawsze jej zmysły na moją osobę. Teraz znudziły ją już pocałunki jednego i tego samego mężczyzny, chociaż podczas miesięcy miodowych nazywała go szatanem. Poniosła mnie złość, i napomknąłem, że gdyby nie jej wielkopańska ostrożność, byłaby — tak jak ja — dysponowała haremem, że

dziś miałyby za kochanka subtelnego George'a Brummela, jutro rzymskiego gladiatora.

Słowa te wprawiły ją we wściekłość.

— No to niech pan mnie pozna — powiedziała oburzona. Wtedy zobaczymy, czy będzie pan jeszcze przywoływał swoje bóstwa.

Odgadłem, że chce zapalić światło.

— Niech pani tego nie robi — zawołałem — bo ucieknę!

— Nie chce pan mnie zobaczyć?

— Nie, nie jest pani na pewno tak piękna, jak chciałbym to sobie wyobrazić.

— To niesłychane!

— Chciała pani przecież, aby palono przed nią kadzidło jak przed bóstwem.

Teraz chyba przelękła się, że będę rozczarowany. Opuściła mnie bez słowa.

Nie otrzymałem już zaproszenia. Mijały tygodnie, czułem wielką lukę w swoim życiu, które toczyło się w beznadziejnej monotonii. Smutno mi było, jakby umarła moja ukochana. Ale kiedy pomyślałem o tej kobiecie, tęsknota od razu mijała. Czułem jakby lekkie szyderstwo, rodzaj pogardy, a zarazem miałem poczucie wyższości. Nie warto było o tym myśleć.

Pewnego wieczora siedziałem sam w jedynej restauracji, gdzie po wyjściu z teatru można było coś zjeść. Przy stoliku za mną zajęło miejsce towarzystwo, które przyszło później: dwóch panów w eleganckich wieczorowych strojach, jeden o prawie siwej brodzie i wygolonym podbródku, drugi — młody, jasnowłosy człowiek o żywej, bardzo angielskiej twarzy grooma. Między nimi siedziała kobieta mniej więcej trzydziestopięcioletnia. Miała ciemne włosy, które regularnymi puklami otaczały jej czoło, szczupłą celtycką twarz o spokojnych, prawie nieruchomych oczach. Wyglądała bardzo wytwornie. Zbyt duże, wąskie usta zdobiły białe, wyjątkowo małe ząbki — była to twarz, o której można by

powiedzieć, że była niegdyś piękna, bo wszelkie braki urody składamy na karb wieku. Ale tutaj ten brak istniał zawsze.

Ręce miała duże, lecz szczupłe, zdobiło je kilka pierścionków z opalami. Tych troje ludzi cechowała naturalna, skromna wytworność bez natrętnej ekstrawagancji, co jest takie przyjemne u sąsiadów przy table d'hôtel lub w teatrze, ludzi, którzy w niczym nie przeszkadzają i nawet nie wzbudzają zainteresowania. Mimo to jakiś wewnętrzny mus nakazał mi odwrócić się.

Miałem wrażenie, że i pani mnie obserwuje. Może to moja nieznajoma, pomyślałem obojętnie. Myśl ta nawiedzała mnie oczywiście na widok wielu kobiet.

Zamówiłem herbatę i podczas gdy kelner sprzątał ze stołu, skorzystałem ze sposobności i zmieniłem miejsce. Teraz miałem panią przed oczami. Zauważyłem, że stała się niespokojna i nagle zaczęła gorliwie przekonywać o czymś starszego pana. Ten uregulował rachunek, i cała trójka opuściła restaurację.

Nazajutrz otrzymałem dwa listy:

„Finita la comedia — brzmiał pierwszy, pisany zwykłym pismem. — Czuję się rozpoznana. Zrzućmy maski”.

Drugi list miał podobny, lecz chyba zmieniony charakter pisma. Zawierał oficjalne zaproszenie na bal do zupełnie nie znanej mi pani. Dama ta chciała widocznie, abyśmy po naszych wyuzdanych orgiach przeszli na nieunikniony flirt, a może nawet na prawdziwy, trochę mieszczański romansik.

Wolałem nie wskrzeszać z grobu swojej wyimaginowanej kochanki. Helena wróciła do niematerialnego świata. Byłem zbyt wybredny, aby zgodzić się na proponowany surogat.

Wkrótce opuściłem H. Pani tej nigdy więcej nie zobaczyłem.

Przełożyła Maria Gero-Rozniewicz

Georg von Schlieben

SZAMBELAN

Źle znosiłem upały na Bałkanach, trawiła mnie gorączka, tęskniłem za ojczyzną — zrezygnowałem więc z dalszych polowań i powróciłem do kraju.

W miasteczku, które opuściłem jako młodzieniec, nic się prawie nie zmieniło. Na dworcu tkwił wciąż ten sam tragarz i wciąż tak samo spluwał brunatną cieczą, od której pociemniały mu wargi. Przed drzwiami sklepu korzennego stała jak dawniej otyła pani Souc, której małżonek rokrocznie płodził nieślubne dzieci ze służącymi, a potem brał od niej straszliwe cięgi. Także przy stolikach stałych bywalców w gospodach *Pod Żłotym Lwem* i *Pod Smakowitą Gąską* widziało się te same twarze. Zamieszkałem *Pod Smakowitą Gąską*.

Tego samego wieczora przyszedł do mnie mój przyjaciel Drenck von Salow.

— Dowiedziałem się, że przybyłeś, i bardzo się z tego cieszę; jakie to miłe z twojej strony.

— Skąd się dowiedziałeś?

— Dziura licząca pięć tysięcy dusz ma jedno oko i jedno usta — odparł ze śmiechem.

Kazałem przynieść wina.

— Jak ci się powodzi?

— Dobrze — odparł. — Odziedziczyłem podmiejski dom po moim wuju i jakoś egzystuję. Przecież nie można się najeść więcej niż do syta.

Taką filozofię musiał uprawiać ktoś, kto chciał „jakoś egzystować” w tej podmiejskiej posiadłości, na której ledwie można by wyżywić kozę.

— No a poza tym?

— Poza tym zajmuję się trochę historią sztuki, zagrzebuję się w książkach. Nie mam środków na podróże, więc chociaż w ten sposób wymykam się z małomiasteczkowej nudy.

Piliśmy wino, bardzo marne, świeca rzucała nikłe, jakby niechętne światło, a że paliliśmy w ciasnej izdebce, stało się nieznośnie duszno. Rozwarłem okno na oścież i wychyliłem się. Plac rynkowy pogrążony był w ciszy sytego mroku. Zbliżała się ósma godzina, a więc pora, kiedy mieszkańcy miasteczka udają się na spoczynek. W domu naprzeciwko jedno okno było oświetlone, żarzyło się złościście kolorową zasłoną. «

Stojący za mną Salow wskazał to okno.

— Wiesz, kto tam mieszka?

— Nie.

— Charlotta Baise, przypominasz sobie?

Mignęło mi przelotne wspomnienie delikatnej, wrażliwej dziewczyny o jasnej, pięknej twarzy z wyrytą na niej gorzką zmarszczką, która mnie onieśmiała. Dopiero później się dowiedziałem o jej stosunkach rodzinnych: ojciec — skrzypek-wirtuoz, inteligentny, oryginalny, lecz nałogowy alkoholik, stoczył się na dno, matka i córka obarczone troskami, w ciężkiej sytuacji materialnej...

Odwróciłem się.

— A więc to ona...

Salow zrozumiał.

— Tak, właśnie ona. Mógłbym wybrać sobie którąś z rodu pękatek sakiewek. Ale jeśli się ma coś w rodzaju duszy, to niemożliwe. Kto wie, może i do mnie przedrze się słońce przez chmury... Wiesz co, chodź do mnie, będzie tam przyjemniej, a spacer na pewno dobrze ci zrobi.

Przecieliśmy rynek i przez Zaulek Wysoki wyszliśmy nad rzekę i podążaliśmy jej brzegiem. Noc była ciepła i jasna, wszystko dookoła miało wyraźnie zarysowane kontury. Pod trzema lipami spotkaliśmy człowieka, który na nasz widok wyraźnie się spieszył. Szybko ukrył się w cieniu drzewa.

Spojrzałem za nim zdziwiony, Salow jednak ujął mnie za ramię i wyjaśnił: — Tego już od dawna mam na oku. To Ziegler, syn starego bankiera, którego dziadek był służącym u mego pradziadka. Teraz wiesz, w jaki sposób ta rodzina dorobiła się fortuny.

Doszliśmy na miejsce. Na niewielkim wzgórzu stał podmiejski dom, prosty, wydłużony budynek w stylu angielskim. Pies zaczął ujadać. W drzwiach ukazała się stara służąca z lampą.

— Dobry wieczór! — zawołała. — Tak późno pan wraca. Panienska już czeka.

Charlotta Baise siedziała przy stole. Drenck mnie przedstawił, przypomniała sobie, że się znamy. Twarz jej prawie się nie zmieniła, tyle że znikł ów surowy wyraz.

Usiedliśmy i zaczęliśmy wspominać dawne czasy. Nagle wśród rozmowy Drenck zapytał: — Powiedz no, Charlotto, czy nie szedł za tobą Ziegler? Zarumieniła się, milczała. Salow nalegał, więc przyznała się, że tak. Salow wpadł w złość. Charlotta starała się go ułagodzić. Zrobiło mi się chłodno, wstałem i zaciąłem przechadzać się po pokoju. Wzrok mój zatrzymał się na obrazie, który wisiał nad sofą, pokrytą indyjską tkaniną. Był to portret arystokraty z osiemnastego wieku; pierś jego zdobiła gwiazda, jaką dekorowano dawniej na dworze królewskim pełniącego służbę szambelana. W długich, szczupłych dłoniach trzymał strzemię.

— Kto to? — zapytałem Salowa, który siedział przy stole milczący i ponury.

— Mój przodek, szambelan na dworze Ferdynanda Walecznego. Srebrne strzemię zostało mu przyznane w nagrodę za to, że ocalił życie swemu panu w bitwie pod Hohenkirchen. Nie mając żadnej broni, była to zresztą sprawa bardzo dziwna i powikłana, posłużył się strzemieniem, rozplątał nim czaszkę nieprzyjacielskiemu rajtarowi.

Nie mogłem oderwać oczu od portretu, Salow zaś ciągnął dalej: — To on właśnie doprowadził do ruiny nasz ród, przywożąc ze wschodnich prowincji

służącego nazwiskiem Ziegler. Resztę już wiesz.

Wolałem odwrócić uwagę przyjaciela od tego tematu, zacząłem opowiadać o swoich podróżach.

Około dziesiątej wyruszyliśmy do miasta. Odprowadziliśmy Charlotte Baise do domu, po czym udałem się do swego zajazdu.

Drenck był w złym humorze; ściskając mi dłoń i życząc dobrej nocy, powiedział mimochodem: — Ten łotrzyk jeszcze mnie popamięta.



Stało się jednak inaczej. W dogodnej chwili przed zapadnięciem zmroku Salow na ożywionej ulicy zatrzymał Zieglera, aby ten wytłumaczył się ze swego postępowania wobec Charlotty, a ponieważ przy tym posłużył się staroświeckim pejczem, sporządzonym z mocnej bawolej skóry, powstało pewne zamieszanie. Ziegler, który bez szczególnego powodzenia studiował prawo, był członkiem korporacji uprawiającej pojedynki i wyzwiał Salowa.

Pojedynek skończył się tragicznie.

O godzinie dziewiątej rano wraz z lekarzem i z pomocą starej służącej położyliśmy Salowa na sofie pod portretem szambelana. Był nieprzytomny. Ziegler zadał mu zakrzywioną szablą głęboki cios w pierś.

— Niesłychane! — rzekł lekarz. — Taki wspaniały chłop pokonany przez łotra.

Skinąłem głową, niezdolny byłem wymówić słowa. Około jedenastej Salow odzyskał przytomność. Nie od razu zdał sobie sprawę ze swego stanu, ale potem zrozumiał.

— Mój Boże! — Jego pierwszą myślą była troska o Charlotte Baise. — Co się z nią stanie? — Jęknął. Na czoło wystąpiły mu krople potu.

Lekarz starał się go uspokoić.

— Proszę się nie ruszać...

Salow spojrział na niego błędnym wzrokiem.

— Chciałbym raz jeszcze ją zobaczyć, tylko raz jeszcze zobaczyć. — Poderwał się gniewnie. — Przez niego, przez takiego łotra... — Wzrok jego padł na portret szambelana, który spokojnie spoglądał na niego ze ściany. — To ty jesteś wszystkiemu winien! — zawołał do portretu chrapliwym głosem. — Ty sprowadziłeś tę hołotę... Gdyby nie ty, nie musiałbym dziś zdychać przez takiego... — Dygotał na całym ciele. Lekarz pochylił się nad nim, lecz zanim zdołaliśmy go ułożyć, Salow splunął na portret jasnoczerwoną pianą, która nagle trysnęła mu z ust. Osunął się na sofę, miotał się, wił jak w kurczach, rozerwał koszulę, rozdrapując sobie pierś. Potem drgawki ustały — skonał.

Gdy zamykałem oczy memu przyjacielowi, na szczupłych białych rękach szambelana i na srebrnym strzemieniu dostrzegłem jasnoczerwoną plamę. Po chwili jednak, kiedy znowu spojrziałem na portret, nie widać już było ani śladu krwi. Dziwne tylko: ręce nabrały różowej barwy, jak gdyby do szklanki wody wpuszczono kroplę czerwonego wina.



Szliśmy aleją cmentarną z majorem von Salowem, krewnym mego zmarłego przyjaciela. Major szukał grobowca rodzinnego. Była piąta po południu. Słońce prażyło niemiłosiernie. Major zadawał mnóstwo pytań, na które, roztargniony, nie potrafiłem udzielić zadowalających odpowiedzi. Około godziny czwartej odbył się pogrzeb Drencka. Upalny dzień potęgował jeszcze moje przygnębienie.

— Jeśli sobie dobrze przypominam, powinien tu jeszcze być stary grób rodzinny; czy panu coś o tym wiadomo?

— Sądzę, że jest.

— Ale gdzie?

Zaproponowałem, abyśmy zapytali ogrodnika cmentarnego.

Stary człowiek, który wbrew swemu smutnemu zawodowi miał pogodny uśmiech na wywiniętych wargach, zaprowadził nas na grób. Znajdował się on na przeciwległym końcu cmentarza.

— Ale tu leży tylko jeden nieboszczyk — oświadczył. — Ten grób przeznaczony był wyłącznie dla niego. Tak przynajmniej podane jest w księgach.

Była to prosta mogiła z urną na postumencie. Zwietrzały napis głosił: „R. von Salow, szambelan królewski i rotmistrz, urodzony 18 stycznia anno 1738”. Na tym kończył się napis. Daty śmierci nie wyryto, inaczej widać by było przynajmniej jakieś ślady na kamieniu.

— Coś takiego! — rzekł major, siląc się na żart. — Czyżby pan szambelan kazał przygotować grób na wszelki wypadek, a potem zapomniał o śmierci?

— Możliwe — odparłem, byle tylko coś odpowiedzieć.

Grabarz zbadał pagórek porośły bluszczem: ziemia pośrodku była rozryta, jak gdyby ktoś kopał tam łopata.

— A to co? — zapytał major.

Stary splunął brunatnym sokiem prymki.

— W mieście mamy takiego szelmę znachora, który podobno podczas pełni szuka na cmentarzu ziół leczniczych. Będę musiał powiedzieć na policji, żeby łajdakowi zabronili.

Poprosiliśmy grabarza, aby z tym nie zwlekał, i ruszyliśmy w stronę bramy cmentarnej. Opowiedziałem majorowi o pojedynku, o Charlotcie Baise i o Zieglerze, a także o tym, w jaki sposób rodzina Zieglerów się dorobiła.

— Co za banda! — Major aż się zasapał, zaczerpnął tchu i chusteczką otarł pot z czoła.

Dotarliśmy do bramy. Major niby przypadkowo odwrócił się i zerknął za siebie.

— Niech pan spojrzy, cóż to za osobliwa postać stoi przy grobie szambelana.

Skierowałem wzrok w tamtą stronę. Oparty o urnę, stał człowiek zwrócony do nas tyłem, w długim płaszczu, jaki nosi się do jazdy na welocypedzie, i stosownym kapeluszu na głowie. Nic więcej nie dało się rozpoznać, odległość była za duża. Podczas gdyśmy się mu przyglądali, odszedł powoli i znikł za dużą tują.

Major pokręcił głową.

— Któż to może być?

Odczekaliśmy chwilę, ale ponieważ nic więcej nie dostrzeżliśmy, ruszyliśmy dalej.

Odprowadziłem majora na dworzec; ze względów służbowych nie mógł dłużej zostać i prosił mnie o załatwienie spraw, które w takim wypadku załatwić należy.

— Niech pan pocieszy tę biedną dziewczynę, Charlotte Baisc, niech się pan nią zaopiekuje, o ile to jest możliwe — rzekł na pożegnanie. Przyrzekłem mu to.



Nazajutrz o dziesiątej rano udałem się do niej. Przyjęła mnie w skromnej czarnej sukni i była bardziej opanowana, niż przypuszczałem. Jeszcze raz złożyłem jej kondolencje i starałem się ją pocieszyć.

— Nie mam szczęścia — rzekła znużonym głosem — byłoby lepiej? gdybym wtedy zmilczała. — Wzruszyła ramionami i przesunęła dłonią po oczach. — Nie wiem, co teraz ze mną będzie, może... — urwała.

Starałem się dodać jej otuchy i skierowałem rozmowę na majora.

— Ten pan był u mnie wczoraj o siódmej — przerwała mi.

Spojrzałem na nią zdumiony.

— To niemożliwe, przecież odjechał o szóstej, ja sam odprowadziłem go do pociągu.

Ona jednak ciągnęła dalej niewzruszona: — O siódmej rozległ się dzwonek, byłam sama w domu, więc otworzyłam drzwi. Jakiś pan stał przede mną, przedstawił mi się jako rotmistrz von Salow...

— Major!

— Nie, wiem na pewno, rotmistrz von Salow.

— To niemożliwe — zawołałem — przecież sam odprowadziłem go na dworzec! To wykluczone. I co ten pan powiedział?

— Niewiele. Zapytał, czy jestem Charlottą Baise, a kiedy potwierdziłam, rzekł: „Nie będzie pani cierpieła nadaremnie, demoiselle, narzeczony jej zostanie pomszczony”. Po czym odszedł.

— Ale to nie mógł być major: ze względów służbowych bowiem musiał natychmiast wracać. Gdyby nie to, że ja sam... Jak on wyglądał?

Zastanowiła się chwilę.

— O ile zdołałam dojrzeć w półmroku, miał na sobie długi płaszcz.

— Major w ogóle nie miał płaszcza. A poza tym?

— Zdaje się, że trzymał w ręku kapelusz.

— Major miał hełm. Czy spostrzegła pani coś jeszcze?

— Tyle tylko, że był wysoki i szczupły.

— Major jest tęgi i przysadzisty. Bóg wie, kto u pani był. Pani się zapewne pomyliła. — Uważałem za wskazane przerwać rozmowę, ponieważ czułem, że Charlottą jest już u kresu sił. Straciła panowanie nad sobą, wybuchnęła niepohamowanym płaczem.

— Dlaczego? Dlaczego tak okrutnie nas rozłączono?

Wstrząśnięty, starałem się pocieszyć ją jakąś pobożną sentencją o spotkaniu w zaświatach. Na nic się to nie zdało.

Kiedy się trochę uspokoiła, uściśnęła mi rękę, mówiąc: — Proszę, niech pan pozostawi mnie samą. W takich chwilach człowiek powinien opanować się i liczyć tylko na własne siły.

Odszedłem. Bez celu błąkałem się ulicami miasta. Na moście nad Elsterą spotkałem Zieglera, szedł mi naprzeciw z uśmiechem tryumfu na zużytej beczelnej twarzy. Minąłem go odwracając głowę i zaciskając pięści, by nie wybuchnąć.

Za Zieglerem włókł się pies, a jakieś dwadzieścia kroków dalej szła brzemienna kobieta o twarzy pięknej, lecz pełnej rozpacz.

Przed kuźnią za mostem zatrzymał się wieśniak z okulała szkapą. Czeladnik, zajęty przybijaniem podkowy do kopyta, spojrzął w ślad za tamtą trójką i zawołał z wściekłością: — O, tam idzie ten łotr, a za nim pies i dziwka. Hannie, córce szewca, też się dobrze przysłużył. Temu łajdakowi żadna się nie oprze. Do diaska, gdybym to mógł...

I z przekleństwem cisnął żelazo na ziemię, aż potoczyło się niemal do moich nóg.

— Tak, tak — potwierdziłem z głębi serca. Krew gorącą falą uderzyła mi do głowy. Oczy napawały się żarem kuźni, nienawiść gwałtownie kołatała do piersi. Coś radowało się we mnie i z zapalem podchwyciłem owo piekielne przekleństwo.

Skinąłem głową czeladnikowi. I w tym momencie wydało mi się, jak gdyby ktoś się zbliżył i do mnie przemówił. Poczułem, że jakaś obca wola objęła nade mną władzę. Okulała szkapa stanęła dęba i dziko wierzgała kopytami.



O dziewiątej wieczorem wróciłem do gospody *Pod Smakowitą Gąską*. Gdy zmierzałem do swego pokoju, dziewczyna powiedziała mi, że jakiś pan czeka na mnie na górze. Poszedłem więc do siebie, zapaliłem świecę, ale nikogo nie było. Zadzwoiłem na służącą — potwierdziła, że przed dwudziestoma minutami z całą pewnością ktoś tu był i że ten człowiek udał

się na górę.

— No więc powinien tu być! — Zglądałem do wszystkich kątów. Poza mną jednak nie było w pokoju nikogo.

Ponieważ po całym tym dniu czułem się ogromnie zmęczony, ryglowałem drzwi i położyłem się do łóżka. Pamiętam, że szybko zasnąłem. Wkrótce potem coś mnie zbudziło. Ktoś był najwidoczniej w pokoju. Uniosłem się na łokciu.

— Przepraszam — rozległ się głos tuż koło mnie — przepraszam, że przeszkadzam, chciałem jednak prosić, aby wyświadczył mi pan pewną przysługę; chyba rozumie pan, że człowiek traci siły, kiedy całe lata leży na wznak, ze splecionymi rękami, i gra rolę sztywnego pobożnisia. To okropna męka, ani się na nią nie zasłużyło, ani się tego nie pragnęło. Niech diabli porwą klechów. Ta hołota jest do niczego. Ale pan mi pomoże, tym bardziej że ma pan ochotę spełnić moje życzenie. Czy mogę prosić, by pan wstał. Tak... A teraz zechce pan narzucić na siebie mój płaszcz, noc bądź co bądź jest chłodna. Tak, a oto proszę strzemię. Resztę załatwi mój cień. Proszę iść za mną.

Straciłem poczucie rzeczywistości. Czułem, jak idę przez rynek i przez ulice miasta. Wydawało mi się to ponurym snem. W pewnych momentach czułem znów ciężar pierzyny, której nie mogłem z siebie zrzucić. Raz dojrzałem nawet okno, a przez szyby jasne niebo, migocące światłem gwiazd. Potem wszedłem po schodach do jakiegoś obcego pokoju, usłyszałem pełne przerażenia „Kto tam?”. Z mego wnętrza wydarł się obcy głos: „Ty lokajska duszo!” Lecz to moja pięść z wściekłością uniosła stalowe strzemię.

Jakieś ciało zwarło się z moim. Wymierzałem niezliczone ciosy, słyszałem głośny krzyk. Spostrzegłem, że coś mi się w ręku rozpadło — odzyskałem przytomność, leżałem w łóżku i pięścią tłukłem w pierzynę. Opanowałem się i rozejrzałem dokoła — oto okno z jasno migocącymi gwiazdami...

— Dziękuję — rzekł ktoś obok mnie i zdjął coś z mojej głowy — Teraz

mogę się znowu położyć na wznak jako sztywny pobożniś — rozległo się jak gdyby gdzieś z oddali. Zapadłem w głęboki sen, z którego zbudziłem się dopiero późnym rankiem.



Niewyspany, siedzę przy stoliku w gospodzie i spożywam śniadanie. Pulchna gospodyni przynosi mi kawę.

— Już pan wie? — pyta.

— Co?

— Dziś w nocy młody Ziegler został zamordowany.

...

— Mój mąż rozmawiał z żandarmami.

...

— Oni nawet wiedzą, kto to zrobił. Całe miasto jest na nogach. Młodego panicza zabił czeladnik kowala. Zmiażdżył mu czaszkę strzemieniem. Odłamki tkwią głęboko w mózgu. Okropność! Taki młody, miły człowiek, a jaki zamożny! I został zamordowany przez takiego przybłędę.

— Skąd wiadomo, że to właśnie czeladnik kowala?

— Córka szewca, Hanna, wielmożny pan jej chyba nie pamięta, była jego dziewczyną... To ona doniosła policji. Wczoraj w południe przechodziła koło kuźni, a chłopak tak okropnie odgrażał się i przeklinał. Zrobił to z zazdrości. Już go zabrali, i podobno się przyznał. Co wielmożny pan na to? To okropne. Miły młody człowiek zamordowany przez nicponia... Czemu wielmożny pan nic nie je i nie pije? No tak, wcale się nie dziwię, kiedy się coś takiego słyszy, traci się apetyt. Wcale się nie dziwię...



Byliśmy z Charlottą Baise na cmentarzu. Odwiedziliśmy grób Drencka i spokojnie zdążaliśmy alejami. Minęliśmy grób z urną na postumencie. Bluszcz zasnuł całą mogiłę, i nie było już ani śladu zniszczenia. Znowu odczytałem: „R. von Salow, szambelan królewski i rotmistrz, urodzony 18 stycznia 1738, zmarły 28 maja 1792”. Napis był wyraźny, choć litery zatarte. „Urodzony 18 stycznia 1738, zmarły 28 maja 1792”.



W sądzie okręgowym oświadczono nam, że major von Salow zrzekł się spadku na rzecz Charlotty Baise.

Sędzia, żywy starszy pan, pogratulował Charlotcie: — No, teraz jest pani zabezpieczona, bądź co bądź dom stanowi pewną wartość.

— Dla mnie to tylko drogie, lecz jakże smutne wspomnienie. — Charlotta urwała i utkwiała wzrok w ziemi.

Wróciłem jeszcze raz do sędziego. Coś nie dawało mi spokoju.

— Proszę mi wybaczyć, panie radco, ale wydaje mi się, że czeladnik kowala jest niewinny.

Sędzia wzruszył ramionami.

— Możliwe, że tak, możliwe, że nie. To wykaże śledztwo.

Zresztą dowiedziono mu podobną sprawkę. Przed laty w Gotha zamordowano jakiegoś kupca na drodze. Przyznał się do tej zbrodni. Winien czy nie, to niebezpieczny ptaszek i nie stanie mu się wielka krzywda, jeśli go się uwięzi.

Przypomniała mi się sentencja tybetańskiego mędrca: „Słowa mordercy władne są skłonić cię do tego, czego pragniesz w głębi duszy”.

Pożegnałem się ze zmęczoną, bladą i smutną Charlottą Baise. Uśmiechnęła się, kiedy rzekłem: „Do widzenia”.

— Chce pan może wziąć coś na pamiątkę Drencka, mnie i tego wszystkiego?

Zastanowiłem się chwilę: — Jeśli nie byłoby to życzenie zbyt nieskromne, prosiłbym o portret szambelana, który wisi nad sofą.

— Bardzo chętnie, ale czemu właśnie to? Są tu rzeczy o wiele cenniejsze. Nie wołałby pan czegoś innego?

— Nie, właśnie ten portret...

— Dlaczego?

— Nie wiem...



Portret nadszedł, kiedy zaszyłem się w leśniczówce, wśród lasów frankońskich. Był starannie opakowany i nie poniósł w drodze żadnych uszkodzeń. Ale strzemię w szczupłych dłoniach szambelana było zatarte, złamane, poobijane.



Kiedy czasem ktoś mnie odwiedza i widzi ten portret, spogląda na szambelana, na mnie i znowu na portret.

— To chyba pański przodek?

— Nie.

— Może jakiś krewny?

— Nie.

— Dziwne, przecież widać pewne podobieństwo... chyba no tak... można się mylić...

— Tak, można się mylić.

W chaosie różnorodnych przeżyć, w mrocznym labiryncie naszych doznań otrzymujemy niekiedy w darze, niby jałmużnę, przeblysłk poznania, którego ludzki rozum nie pojmie, nie uchwyci. I pogrążony w zadumie, umysł nasz zapala latarnie i niby stary nieudolny stróż nocny szuka na zagmatwanych, zjeżdżonych i krętych drogach tego, czego nie odnajdziemy z kagańcem rozumu.

Przełożyła Maria Gero-Rozniewicz

Paul Ernst

MAJAK

Ciało maga spoczywało bezwładnie w wielkim fotelu. Twarz miał bladą i wpadniętą wokół nosa. Ale cała jego wola skoncentrowała się na majaku.

Majak bujał przed nim w powietrzu, w odległości około trzech stóp. Była to ucięta głowa, z na wpół zamkniętymi i wywróconymi oczami, z przylizanymi, wilgotnymi włosami, wąskimi wargami, z których wyłaniał się blady koniec języka. Głowa nie była ucięta równo, i z zakrwawionej szyi sterczała tchawica i kawałek kręgosłupa. Twarz majaka wyrażała szyderczą uległość.

Mag z wysiłkiem wstał z fotela, chcąc sprawdzić, czy jego praca wydała owoce. Zawołał do majaka: „Zostań” i wyszedł do sąsiedniego pokoju, aby spojrzeć na swoją punktową mapę świata. Wyjął i zamienił wtyczki, a potem długo wpatrywał się w kryształową kulę.

Po pewnym czasie w kuli pojawiła się postać mandaryna, siedząca w altanie. Mag zaklął obraz, po czym skierował się z powrotem do pokoju, w którym pozostawił był majaka samego.

Unosił się on ciągle w tym samym miejscu, nie sprawiał już jednak, jak poprzednio, wrażenia materialności. Stał się przejrzysty, widmowy, i można było dostrzec przezeń tytuły książek stojących z tyłu na półce. Jeden dało się nawet wyraźnie odczytać: *Zagubiony rękopis Freytaga*.

Mag usiadł cierpliwie w fotelu i kazał od nowa działać swej woli. Majak długo pozostawał przejrzysty, wreszcie jednak rysy jego stały się znowu wyraźniejsze, bladej twarzy o czarnych włosach i zakrwawionej szyi wróciła cielesność, a w miarę jak ciało maga zdawało się coraz bardziej omdlałe i słabe, głowa nabierała życia, aż wreszcie wyglądało na to, że szykuje się, by

poszybować ku magowi.

Zastukała gospodyni. Mag podszedł do drzwi, wziął od niej tacę z kawą i postawił na stole. Pijąc, przechadzał się po pokoju tam i sam, tuż obok majaka, który unosił się nieruchomo w tym samym miejscu. Zadowolony był, że mimo wywołanego chodzeniem ruchu powietrza głowa nie zaczęła drżeć ani się kołysać.

Mag spojrział na zegarek. Była pora spotkania. Zamknął drzwi pokoju, umieściwszy wprzód na nich kartkę z wiadomością dla gospodyni, że nie chce, aby mu przeszkadzano. Potem ułożył się w głębokim fotelu i natychmiast pogrążył w autohipnozie. Podczas tego jego dusza oddzieliła się od ciała, przeniknęła ściany i udała się na miejsce spotkania.

Był nim umeblowany pokój, wynajmowany przez jednego z członków stowarzyszenia u wdowy po pewnym urzędniku magistratu.

Konwentykiel odbywał się w komplecie. Dusze tłoczyły się w pokoju; damy siedziały na sofie i krzesłach, kilku panów usiadło na łóżku, inni zaś stali. Teraz rozpoczęło się wzajemne informowanie, dokonujące się bezpośrednio, bez słów.

Zawsze odbywało się to tak samo. Każdy z obecnych został przeniknięty fluidem stowarzyszenia, wywołującym ból jak głęboka rana w piersi. Chciałby się uchylać i bronić, lecz nie mógł. Czuł, jak fluid rozlewa się w całym jego jestestwie aż po czubki palców, a jego własne ja staje się coraz słabsze. Chwilami czuł, jak gdyby miecz wyciągano odrobinę z rany, a potem znowu wciskano go, jak w pochwę. Nikt nie potrafił się bronić; każdy patrzył z przerażeniem na pozostałych uczestników zgromadzenia. Każdego ogarniała straszna nienawiść wobec obcego, wciskającego się w jego wydrażone wnętrze, i każdemu pozostali wydawali się koszmarnymi przebierańcami: ich twarze zmieniły się w poczwary lub przybrały cechy zwierzęce o tak strasznym wyrazie złośliwości, że się serce ścisnęło. Potem zaczął z góry opadać na całe zgromadzenie strach, wciskający się coraz głębiej w każdego z obecnych, aż wydawało się, że już nie mogą oddychać.

Mieli wrażenie, że stają się ulotnym dymem.

Tak gdyby ciemność zgromadziła się w środku pokoju.

Szyby okienne rzucały czarny blask na pogrążony w milczeniu pokój. Każdy miał wrażenie, że staje się coraz bardziej wiotki i że tonie, a nienawiść wzbiera w nim i ciśnie się na usta; nie potrafili jednak mówić, bo byli przecież tylko duszami. Dlatego nienawiść przepełniała ich do głębi i wydostawała się na zewnątrz, tak jak pot przecieka przez pory skóry. Siły te spotkały się w środku pokoju i zaczęły ze sobą w milczeniu walczyć, nacierając nawzajem na siebie. Było to niewidoczne, również dla zgromadzonych dusz, lecz każda z nich wiedziała, co się dzieje pośrodku pokoju, i tuliła się do ściany, aby nie zostać porwaną i zmiażdżoną w ścisku.



Mandaryn, którego mag upatrywał sobie na ofiarę, był jeszcze dość młodym mężczyzną. Jak to bywa w zwyczaju w Chinach, studiował on na koszt konsorcjum, wobec którego zobowiązał się zwrócić poniesione za naukę koszty, gdy otrzyma posadę. Ponieważ wkrótce po znakomicie zdanym egzaminie uzyskał bardzo wysokie stanowisko, nietrudno było znaleźć w dobrej rodzinie żonę, której ojciec nie tylko nie chciał odeń za nią pieniędzy, lecz zgodził się nawet spłacić wierzycieli swojego zięcia.

Mieszkał ów mandaryn w niewielkim, lecz aż do najdrobniejszych szczegółów ze smakiem urządzonym domu, na którego tyłach rozciągał się bardzo ładny ogród. Pierwotnie ogród ów stanowił całość z ogrodem sąsiedniego domu i posiadał pośrodku basen wyłożony kolorowymi szkiełkami, w którym pływały złote rybki. Później podzielono ogród murem, który przerzucono łukiem ponad miniaturowym stawem. Obok owego stawu znajdowała się altana, w której często przesiadywał mandaryn ze swoją młodą i piękną żoną. Ona przy wtórze lutni śpiewała pieśń któregoś z

dawnych klasyków, on zaś bawił się bezwiednie swoim łańcuchem, zrobionym z drewnianych kul i kawałków jadeitu, i spoglądał na pływające w stawie złote rybki. Chronił ich swoim cieniem lotos, którego wielkie, białe kwiaty pachniały w słońcu, a niekiedy z któregoś z kwiatów spadał na stojący przed nimi stolik z różanego drzewa złoty żuk i leżąc na grzbiecie przebierał nóżkami.

Pewnego razu młoda żona mandaryna siedziała w altanie sama i myślała sobie, jak by to było pięknie, gdyby jej mąż miał jeszcze jedną żonę, która byłaby podobna do niej i równie jak ona piękna, jak obie by wówczas mogły bawić się i żartować a gdyby jeszcze miała ona piękny alt, to mogłyby obie siedzieć w altanie i śpiewać pieśni na dwa głosy, podczas gdy ich mąż zabawiałby się swoim mandaryńskim łańcuchem. Gdy tak zadumana siedziała, spostrzegła swoje odbicie w spokojnej wodzie i nachyliła się, aby mu się przyjrzeć. Wówczas obok swojego ujrzała odbicie drugiej kobiecej twarzy; wydała cichy okrzyk, któremu odpowiedział podobny spoza muru, i w tym samym momencie płatek kwiatu lotosu opadł na wodę, wzbudzając drżące kręgi fal, które zmąciły obraz.

Najwidoczniej po drugiej stronie muru również znajdowała się altana, w której, podobnie jak ona, przebywała jakaś kobieta. Tylko przez mgnienie widziała jej obraz, lecz twarz ta poruszyła jej serce.

Z pośpiechem udała się do biura swojego męża i opowiedziała mu, co się jej przydarzyło. On również miał tęsknotę w sercu i wyszedł razem z nią. Wzięła wykładaną szyldkretem i złotem lutnię o powleczonych srebrem strunach i zaśpiewała nad sadzawką pieśń Thu–Ju:

*Zmarszczyła się woda,
Bo opadł w nią kwiat,
Lecz spokojny księżyc świeci na niebie.*

*Na moje serce niepokój padł,
Lecz me oczy, ukochany, patrzą na ciebie.*

— Pięknie to zaśpiewałaś — powiedział mąż. I nagle dosłyszeli spoza muru kilka akordów lutni, a potem wspaniały alt odpowiedział:

*Na niebie, hen, spokojny księżyc świeci,
Przesłania go przejrzystej chmurki cień,
W oborze senne było podzwania swym łańcuchem.
A bezszelestny duch nad grządką lilii tchnie.*

Gdy śpiew ucichł, znowu ujrzeli na chwilę obcą twarz w zwierciadle wody. Potem nie słyszeli już nic i niczego już nie ujrzeli, mimo że długo siedzieli i czekali. Mandaryn udał się następnie do swojego teścia i opowiedział mu o tym wydarzeniu. Ów rozpytał się i dowiedział, iż rodzice obcego dziewczęcia chętnie zgodzą się na oddanie swojej córki jego zięciowi. Dał mu więc pieniądze, jakich zażądali, i sprawy potoczyły się tak, że w najbliższych dniach miały się odbyć uroczystości weselne.

W tym właśnie czasie pojawił się przed mandarynem majak. Nagle ukazała mu się odcięta głowa. Trzymała się stale w odległości trzech stóp, natychmiast cofała się, gdy próbował do niej podejść, i zbliżała się, jeżeli odchodził. Miała wywrócone, półprzymknięte oczy, wilgotne włosy przyklepione do bladego czoła; wąskie wargi, z których wysuwał się bładny koniec języka, wyrażały szydercze oddanie, a z przeciętej szyi sterczały strzępy tętnic i kręgosłupa.

Oczywiście w takich przypadkach w Chinach natychmiast rozpoznają z wyglądu twarzy europejskie pochodzenie zjawy, a sprawy te z pewnością nie służą budzeniu w Chińczykach przyjaźniejszych uczuć wobec nas, Europejczyków.

Przy pomocy pewnego czarownika mandaryn rychło ustalił miejsce, skąd pochodził majak. Postanowił więc pieniądze, przeznaczone na prezent ślubny dla swojej narzeczonej, wydać na swe wyswobodzenie i na podróż do Niemiec. Dzięki dokładnym wskazówkom udzielonym mu przez czarownika

przybył do miasta i prosto z dworca pojechał do mieszkania swojego wroga. Rozumie się samo przez się, że obcy przybysz wzbudził wielką sensację i że nie tylko dzieci, lecz również i dorośli, zwabieni ciekawością, zgromadzili się tłumnie przed domem, którego próg przestąpił. Mag zauważył go nadjeżdżającego i rzucił się ku drzwiom, aby je zaryglować. Te jednak natychmiast otworzyły się przed majakiem, ciągle tkwiącym w odległości trzech stóp od przybysza. Mag stał pośrodku pokoju i z płonąącym spojrzeniem oczekiwał obcego.

Teraz mógł polegać już tylko na swoim spojrzeniu. Wyrażało ono rozkaz, aby obcy nie zbliżał się doń na więcej niż dwa metry, a miało w sobie tyle siły, że było skuteczne. Chińczyk rzucił się nań, z ciągle tkwiącą przed nim odciętą głową, lecz mimo największych wysiłków nie mógł przekroczyć niewidzialnej granicy. Daremnie okrążał maga; ten obracał się tylko spokojnie na pięcie, nieustannie wpatrując się we wroga. Oszalały z wściekłości Chińczyk wyciągnął swoją szablę i rzucił nią w maga; ostrze zazgrzytało, jakby uderzyło w szkło, i szabla spadła na ziemię.

Jednakże gdy Chińczyk tak bezsilnie okrążał maga, głowa bujała ciągle na tej samej wysokości, w węższym kręgu, mniej więcej w połowie odległości między mmi obydwojma. Do maga była odwrócona tyłem. Ponieważ ów, tworząc ją, cały wysiłek skoncentrował na obliczu, tylna część głowy nie była dopracowana: brakowało jej włosów i czerepu. Mag widział odkryty, pulsujący mózg, szary, pokryty czerwonymi żyłkami, a ponieważ cięcie biegło przez szyję, w tył ku górze, widział również całą jego bladoczerwoną powierzchnię z ciemnoczerwonymi punkcikami i sterczącymi żyłkami, tchawicą i przełykiem.

Chińczyk zbladł i przestał krzyczeć. Okrążał go tylko uparcie, patrząc mu badawczo w oczy. Mag wiedział, iż liczy on na swoje silniejsze nerwy i chce poczekać, aż osłabnie potęga jego spojrzenia. A czuł, iż Chińczyk rzeczywiście ma nerwy silniejsze.

Już teraz musiał walczyć o stłumienie niepokoju; rodził się w nim ciągle

na nowo, .on zaś za każdym razem go opanowywał, bez przerwy okrążany przez badawcze spojrzenie i pulsujący mózg. Czuł, że przestaje rozróżniać śledzące go oczy, że rozciągają się one w świecąca, jasnoszarą linię. Wśród tego wszystkiego do milczącego, głuchego pokoju docierał z dołu pomruk ludzkich głosów; mag słyszał krzyki dzieci, a potem chrapliwy głos policjanta. Nadpłynęła myśl: Co to ma znaczyć?, lecz odpędził ją, bo nie wolno mu było myśleć o niczym prócz dwumetrowego dystansu. Pomimo to zaczęły go teraz nachodzić głupie myśli, których nie potrafił odpędzić: Jeszcze nie piłem kawy. Gdyby teraz kawałek mózgu spadł na podłogę. Wtem usłyszał ciężkie stąpienie na najniższym stopniu schodów. Spadł mu ciężar z piersi, lecz w tym momencie ulgi pozwolił osłabnąć swojej woli, Chińczyk rzucił się nań, objął silnymi rękami, obrócił i popchnął do przodu, stąpając po jego śladach. Mag nadaremnie próbował się opierać. Chińczyk, osiągnąwszy swój cel, odepchnął go na środek pokoju, po czym spokojnie wyszedł.

Teraz majak był przywiązany do maga i nie chciał go opuścić. Zresztą mag wiedział, że wszelkie wysiłki byłyby daremne. Należało chyba lepiej się zastanowić, czy nie znajdzie się jakiś sposób pozbycia się go.

Mag usiadł w swoim fotelu i zaczął rozmawiać z nim myślą, bez pomocy słów. Majak unosił się przed nim, jemu zaś wydawało się, że twarz ta ma wyraz bardziej szyderczy. Ukazał mu, jakie to dla niego niewygodne, takie unoszenie się w postaci samej głowy. On, mag, chce uczynić z niego całego człowieka, mającego pełną swobodę poruszania się, dzięki czemu stanie się zupełnie niezależny. Oczywiście nie będzie mógł mu stworzyć duszy, lecz poza tym nie będzie mu niczego brakowało, a zresztą powinna to być raczej zaleta, bo ostatecznie z posiadania duszy wynikają tylko kłopoty.

Głowa odpowiedziała, że wprawdzie doskonale wie, iż propozycje te wypływają nie z sympatii, lecz z chęci pozbycia się jej, lecz jej jest wszystko jedno, zgadza się na nie i tylko będzie uważała, aby jej mag nie oszukał.

Wówczas mag wziął się na nowo do pracy. Usadowił się wygodnie w

fotelu, tak by mu nic nie przeszkadzało, i skoncentrował swoją wolę. Była to zmuszona praca, ponieważ odczuwał wobec głowy taki wstręt, że przydana jej przezeń postać miała mimo woli wygląd odpychający. Jednakże głowa chciała mieć proporcjonalne i ładne członki i korpus, tak iż mag musiał dziesięć razy poprawiać swoją pracę, nim za jedenastym zyskała ona uznanie głowy. Wyrobiła ona w sobie prawdziwą próżność, żądała bowiem rosłej figury, wiedząc, że będzie tym imponować płci żeńskiej, a przy dłoniach i stopach tak grymasiła, że mag musiał jej grubiańsko oświadczyć, że na dalsze zmiany się nie zgadza. Główną troską majaka było to, że zaniedbana w swoim czasie potylicca w żaden sposób nie dawała się teraz uzupełnić. Czerwoną pręgę wokół szyi osłaniał wprowadzie kołnierz, lecz obnażony mózg trzeba było przykryć srebrną płytką, na którą nałożono perukę.

Teraz brakowało majakowi tylko ludzkiego życia, a do tego niezbędna była krew. Majak zdecydowanie nie chciał przystać na transfuzję krwi zwierzęcej. Również propozycja maga, aby zwabić kilkoro dzieci i posłużyć się ich krwią, nie znalazła uznania majaka, ponieważ uczyniła się z niego osoba, wprowadzie nieco ograniczona i myśląca tylko o zewnętrznym wyglądzie, lecz pozbawiona złości. Wreszcie mag musiał się zgodzić na użyczenie do transfuzji swojej własnej krwi. Za pomocą aparatu połączył ramię majaka ze swoim i przetoczył tyle krwi, ile, jak sądził, bez większego niebezpieczeństwa może stracić. Potem przez cały tydzień żył na specjalnej diecie, jedząc dużo krwiotwórczych potraw, takich jak świeży szpinak, a gdy się poczuł dostatecznie wzmocniony, powtórzył operację. Wreszcie po czterech takich zabiegach w majaka wstąpiło życie.

Teraz majak utracił całą swoją niesamowitość. Wprowadzie z początku wydawał się jeszcze trochę blady i mizerny, lecz ponieważ dopisywał mu apetyt, wkrótce ów chorobliwy wygląd całkowicie zniknął. Majak chesał się z przedziałkiem pośrodku, chodził wyłącznie w smokingu, a przy łańcuszku od zegarka nosił dużą, srebrną monetę. Z wyglądu był mężczyzną nieco ponad dwudziestoletnim. Wyprowadził się od maga, którego nazywał swoim ojcem,

i odwiedzał go tylko od czasu do czasu, by brać od niego pieniądze. Wydawał dużo, ponieważ był dobrym kolegą, a wiódł naprawdę wesołe życie. Dzięki swej sztuce mag rozporządzał obfitymi źródłami pieniędzy, jednakże te ciągłe upusty nie były mu miłe, tym bardziej że za każdym razem, gdy widział swojego tak zwanego syna, nie potrafił opanować skrytej trwogi. Zaproponował mu przeto, że rozliczy się z nim ostatecznie większą sumą pieniędzy, której odsetki wystarczą na dostatnie życie, i dodał, że powinien się ożenić, bo dzięki temu się usatkuje.

Syn zgodził się na obie propozycje i wyjawiał ojcu, że jeszcze w czasie gdy bawił w Chinach jako odcięta głowa, poczuł skłonność do narzeczonej nieszczęsnego mandaryna. Ponieważ pieniądze dla jej rodziców mandaryn wydał na podróż, być może jest ona jeszcze niezamężną, przeto chciałby udać się do Chin, aby stwierdzić, jak się rzeczy mają.

Ojciec przystał na to i odprawił go.



W Chinach sprawy przedstawiały się dokładnie tak, jak sobie to majak wyobrażał. Ponieważ zaś nie musiał oszczędzać pieniędzy, wkrótce zyskał sobie przychylność rodziców dziewczęcia i ożenił się ze swoją ukochaną.

Teraz w ciepłe, wiosenne dni siadywał z nią w altanie pod starym murem, gdzie znajdował się wykładany kolorowym szkłem basen ze złotymi rybkami. Rybki pływały spokojnie w krąg jedna za drugą i tylko od czasu do czasu któraś, machnąwszy mocno ogonem, pędziła w bok, a reszta podążała za nią. Żona jego grała na długiej, wykładanej szyldkretem i złotem lutni o powleczonych srebrem strunach i śpiewała pieśni któregoś z dawnych klasyków, spoglądając nań tkliwie, on zaś palił cygaro i przebierał palcami po stole z sandałowego drzewa.

Czasami, gdy było mu bardzo gorąco, zdejmował perukę i srebrną płytkę,

by ochłodzić sobie mózg. Jego młodą żonę bardzo to dziwiło, lecz ponieważ pochodziła ze znakomitej rodziny, była zbyt dobrze wychowana, by pytać, co to znaczy. Wreszcie jednak ciekawość jej stała się tak silna, że skłoniła ją do pytania. Majak zupełnie beztrąsko opowiedział jej swoje dzieje, nie przemilczając i tego, iż nie ma duszy. Oczywiście młoda żona opowiedziała o tym dalej, i wkrótce przygoda ta znana była w całej okolicy.

Mandaryn po powrocie z Europy ze smutkiem osiadł w swoim domu. Troszczył się o sprawy biurowe, chętnie również siadał w altanie obok żony, nad stawem ze złotymi rybkami, lecz nie sprawiała mu radości ani jego praca, ani jadeitowe ogniwa jego łańcucha mandaryna, ani nawet uroda jego żony i piękno jej śpiewu. Gdy zaś rozeszła się wieść o małżeństwie jego narzeczonej i w zwierciadle wody widział oboje przytulonych pod kwitnącą gałęzią, i słyszał pieśni spoza muru, chudł z dnia na dzień, aż stał się niepodobny do siebie.

Usłyszał kiedyś, jak dwaj przyjaciele rozmawiali o nim i jak jeden ze smutkiem powiedział: „Została z niego tylko dusza”. Słowa te przeniknęły go do głębi. Spojrzał po sobie, istotnie, z jego ciała nie pozostało prawie nic; czy zdoła teraz spełnić swoje życzenie?

Odwiedził sąsiada. Ów przyjął go, pozdrawiając, jak zwykle się pozdrawiać starych znajomych, i spytał, co się z nim działo po ich rozstaniu. Mandaryn wyłożył swoją propozycję. Polegała ona na tym, że majak ma go przyjąć jako swoją duszę. Dotychczasowe życie stało się dla niego nieznośne. Nie chce za to żadnego zadośćuczynienia, a nawet odstępuje mu, jako swemu spadkobiercy, całą majątność, a także żonę.

Propozycja ta wydała się majakowi tak korzystna, że aż podejrzana. Jednakże, chociaż rozpatrywał ją ze wszystkich stron, nie znalazł żadnego powodu, by ją odrzucić. Należy sobie zdawać sprawę z tego, że ktoś, kto nigdy nie miał duszy, nie ma pojęcia, jak to wygląda, gdy się bierze najzwyczajniej kogoś obcego za swoją duszę. Obaj udali się do notariusza i spisali odpowiednią umowę.

W określonym czasie przyszedł mandaryn, wręczył majakowi wszystkie dokumenty, zrzucił odzienie i wskoczył weń przez usta.

Majakowi wydawało się, że na razie nic specjalnego nie czuje. Zauważył wprawdzie, że mandaryn rozpostarł się w nim, układając się jak najwygodniej w jego wnętrzu, i że go sobą przenika, lecz po jakimś kwadransie wszystko było w porządku. W istocie wyobrażał sobie posiadanie duszy jako coś o wiele piękniejszego i był naprawdę rozczarowany.

W dalszym ciągu jednak miało się ujawnić coś, czego sobie poprzednio nie wyobrażał.

Gdy siedział między swoimi obydwoma żonami, zauważył wyraźnie, że nie on, który był właściwie tylko ciałem, odczuwa zadowolenie, lecz jego dusza. Nie był wprawdzie z tego powodu zazdrosny, trochę jednak go to gniewało. Nie byłoby to jeszcze takie złe, gdyby zazdrosna dusza nie powstrzymywała go od wszelkiej pieśczoćy z żonami. Za każdym razem gdy wyciągał rękę, by objąć tę czy tamtą i pocałować, czuł, iż jest od wewnątrz z wielką mocą powstrzymywany; był to mandaryn, odmawiający obcemu tej przyjemności. Był więc zmuszony siedzieć spokojnie i tylko spoglądać żonom w oczy. Mógł co najwyżej dotknąć ich dłoni, a i wówczas czuł, jak jego dusza wierci mu się w czubkach palców, chcąc mieć udział w tej przyjemności. Majak był bardzo dobrodusznym człowiekiem, lecz zwykany te poczęły go gniewać. Oczywiście próbował się uwolnić od duszy, lecz zazdrosny mandaryn nie dał się wypędzić. Wreszcie i jego żonom sprzykrzyła się ta wyłącznie duchowa miłość, i dawna żona mandaryna często wspominała, wzdychając, swoje, o ileż piękniejsze, dawne życie, zaś jego pierwsza żona, która poprzednio znała go przecież zupełnie innym, usiłowała przywrócić dawny stosunek przymilaniem się i pieśczoćami, ku jego wielkiej męce, bo gdy tylko się w tym celu doń zbliżała, mandaryn w jego wnętrzu zachowywał się jak szalony.

Zrozumiał, iż chytry Chińczyk haniebnie go oszukał, i w trosce swojej pomyślał o ojcu; może on potrafiłby mu pomóc?

Mag bardzo się ubawił oświadczeniem swojego syna. Oczywiście mandaryn wszystkiemu się przysłuchiwał i wykluczone było, aby w normalnych warunkach zdołali wspólnie cokolwiek przedsięwziąć, bowiem Chińczyk z góry by o wszystkim wiedział. Wyczekał przeto mag, aż nadeszła piękna księżycowa noc, gdy dusze mają zwyczaj spacerować po dachach dla przewietrzenia się i rozprostowania kości. I rzeczywiście trafiło się, iż zastał swego syna bez duszy, i naradził się z nim.

Następnego dnia, niby to przypadkiem, opowiedział, iż udaje się na spotkanie, na którym mają być tym razem dwie obce damy, żony jego i jego duszy, które w czasie jego długiej nieobecności oddały się czarnej magii, aby mieć chociaż trochę zadowolenia z życia.

Wprawdzie mandaryn był głęboko przekonany, iż każde słowo maga jest zełgane, lecz zazdrość jego była tak wielka, że zmusił majaka, aby ów poprosił swego ojca o zabranie ze sobą jego duszy. Nie było z tym żadnych trudności, bowiem już uprzednio dusza siedziała w nim luźno. Znalazły się również odpowiednie części garderoby, i dusza maga wraz z mandarynem udała się w drogę, podczas gdy ich ciała pozostały w pokoju.

Zgromadzone dusze siedziały i wydawały wyroki, w sercach swych były jednak błaznami. Z poważnymi obliczami poprowadziły mandaryna na środek pokoju i kazały mu tam stanąć z opuszczonymi rękami. Teraz wszyscy skierowali nań spojrzenia, w których były namiętności na wskroś go przenikające. Myślał o czystym czole swej żony, o falującym łanie zboża, o burzy w lesie, odłamującej z drzewa gałąź i rzucającej ją na środek drogi, i o pierwszym śniegu, padającym wielkimi płatkami ma zieloną trawę; o złotym winie, płonącym w szlifowanym kieliszku, i o szerokim stepie, w którym znajdował się tatarski kurhan. Dusze pokrzykiwały radośnie niemymi ustami, ponieważ dzisiaj nie dręczyły się wzajemnie, lecz swą nienawiść skupiły na obcym. Miał wrażenie, że usunięto mu spod nóg podłogę, a izba z duszami przy ścianach rozdyma się w ciemność. Czuł się, jak gdyby samotnie unosił się w ciemnym i miękkim powietrzu. Czuł w sobie ból, którego nie rozumiał,

a który sprawiał mu radość. Czuł w sobie również wielką dumę: Tak, teraz unoszę się, myślał, teraz lecę, teraz odpływam w wieczność. Lecz wieczność miała prastary wygląd, mogący komuś sprawić przykrość.

On jednak wiedział, że pod ścianami siedziały wkoło wrogie dusze, zatruwające go wnikającymi weń namiętnościami. Lecz to mu się podobało, bo przecież już przedtem wiedział, że swoich żon tutaj nie spotka. Jego żony siedziały razem nad stawem ze złotymi rybkami i grały na lutniach wykładanych szyldkretem i złotem, o powleczonych srebrem strunach, i śpiewały pieśń jakiegoś dawnego klasyka. On zaś unosił się, leciał i płynął ku wieczności.

Dusze pod ścianami rozzarzyły się do białości, zaś pokój się ścięnił. Nienawiść omotała jego głowę, jak miękka, czysta, jedwabna chusta, bardzo zimna, a wokół piersi owinęło się coś, co wywoływało ból w sercu, ponieważ go bardzo powoli ścisnęło. Także nienawiść cisnęła coraz mocniej i ziębła w nim. Wiedział, że od bioder stawał się coraz cieńszy i cieńszy, zaniepokoiło go jednak to, że w biodrach pozostał taki szeroki. Nagle zauważył, że i dolna część jego ciała staje się coraz cieńsza. Tak, nienawiść była w istocie stalowym pierścieniem, który na skutek jakiegoś procesu chemicznego uczyniono straszliwie zimnym.

A strach zaczął się teraz wznosić od serca ku górze. Czuł, jak podchodzi coraz wyżej. Wiedział, że gdy dojdzie do głowy, to będzie jak nieprzytomny i już nie będzie mógł myśleć. Myślał o ciemnej nocy i oświetlonym oknie jakiegoś domku wśród ciemnej nocy. Przerazenie mrowiło się w nim jak robactwo, jak gdyby mózg majaka rozsypano w powietrzu. Wszystko to chciało nań wpełznąć. Lecz on przecież nie był jeszcze pogrzebany, aby robaki miały doń jakieś prawo! Nie, przecież on był w ogóle człowiekiem, a ci inni byli tylko duszami. Przecież jedynie służył jako dusza, lecz wcale przez to nie zrzekł się swoich praw człowieka! Przecież dusze nie miały nad nim żadnej władzy, bo były niematerialne, on zaś był materialny!

Lecz żarząco zimne żelazo powoli ścisnęło się coraz bardziej, strach z

obrzydliwą powolnością podpełzał coraz wyżej, on zaś wspiął się na czubki palców. I mimo że nie był nagą duszą, lecz człowiekiem, schwytano go, gdy stał się dostatecznie cienki, i wsadzono do butelki z denaturatem, zamykanej szklanym korkiem. Potem dano go przewodniczącemu zgromadzenia, który włączył go do swojego zbioru minerałów.

A majak radośnie powracał do Chin. Wprawdzie przez pewien czas czuł swędzenie w miejscu, gdzie siedziała dusza, lecz wkrótce . to przeszło.

Jeszcze przez długie lata żył ze swoimi obydwoma żonami, które urodziły mu wiele dzieci.

Przełożył Zbigniew Fonferko

Gustav Meyrink

PREPARAT

Przyjaciele siedzieli przy narożnym oknie kawiarni *Radetzky*, rozmawiając szeptem.

— Nie ma go, dzisiaj po południu wyjechał ze swoim służącym do Berlina. Dom jest zupełnie pusty; wracam właśnie stamtąd, sprawdziłem wszystko dokładnie; mieszkają tam tylko obaj Persowie.

— A więc jednak zwiódła go ta depeza.

— Nie wątpiłem o tym ani przez chwile; kiedy posłyszysz nazwisko Fabia Mariniego, polecą jak w dym.

— To mnie właśnie dziwi, spędzili przecież razem wiele lat... aż do śmierci profesora... czegoż nowego mógłby się dowiedzieć o nim w Berlinie?

— Oho! Profesor Marini wiele rzeczy trzymał przed nim w tajemnicy; on sam napomknął mimochodem w rozmowie coś na ten temat, mniej więcej pół roku temu, kiedy nasz drogi Axel był jeszcze z nami.

— Czy rzeczywiście Fabio Marini znał jakąś tajemniczą metodę preparowania? Wierzysz w to, Sinclairze?

— Nie ma tu co mówić o „wierzeniu”. Własnymi oczyma widziałem we Florencji spreparowane przez Mariniego zwłoki dziecka. Mówię ci, każdy by przysiągł, że dziecko tylko śpi, ani śladu zeszywnienia, żadnych zmarszczek, żadnych pofałdowań, została zachowana nawet różowa barwa skóry, jak u żywej istoty.

— Hm... Czy sądzisz, że Pers mógł naprawdę zamordować Axela i...

— Tego nie wiem, Ottokarze, ale jest naszym moralnym obowiązkiem upewnić się co do jego losu. A jeżeli Axel za pomocą jakiejś trucizny został

wprawiony w pewnego rodzaju letarg? Boże, ileż ja natłumaczyłem lekarzom w Instytucie Anatomicznym, ileż ich nabłagałem, ażeby podjęli próby przywrócenia go do życia. „Czego pan właściwie chce — powiedzieli — ten człowiek jest martwy, to jasne, a żadnego zabiegu na zwłokach nie wolno nam dokonać bez zezwolenia doktora Daraszekoha”. I pokazali mi kontrakt, w którym było wyraźnie napisane, że Axel sprzedaje swoje zwłoki posiadaczowi umowy i że z tego tytułu otrzymał wtedy to a wtedy pięćset florenów i pokwitował ich odbiór.

— Nie, to jest okropne, i że coś takiego może uchodzić w naszym stuleciu za prawomocne. Ilekroć o tym myślę, ogarnia mnie nieopisana wściekłość.

— Biedny Axel! Gdyby przecztał, że posiadaczem kontraktu może stać się ten Pers, jego najzacieklejszy wróg! Był zawsze przekonany, że Instytut Anatomiczny...

— Adwokat nie mógł też nic zrobić?

— Wszystko na próżno. Nie wzięto nawet pod uwagę zeznania starej mleczarki, że Daraszekoh raz o wschodzie słońca w swoim ogrodzie tak długo przeklinał imię Axela, aż w napadzie furii piana wystąpiła mu na usta. Tak, gdyby Daraszekoh nie był europejskim medicinae doctor! Ale po co o tym mówić, chcesz iść ze mną, Ottokarze, czy nie? Zdecyduj się.

— Oczywiście, że chcę, ale pomyśl, gdyby nas przyłapano niby włamywaczy! Pers cieszy się najlepszą opinią jako uczonego! Samo podejrzenie to jeszcze, na Boga, nie wystarczający powód. Nie bierz mi tego za złe, ale czy jesteś całkowicie pewny, że się nie omyliłeś, kiedy ci się wydało, że słyszysz głos Axela? Nie unoś się, Sinclairze, proszę, opowiedz mi jeszcze raz dokładnie, co się wtedy zdarzyło. Czy nie byłeś już może wcześniej czymś podniecony?

— Ani trochę! Pół godziny przedtem byłem na Hradczynie i oglądałem raz jeszcze kaplicę Świętego Wacława i katedrę Świętego Wita, te stare, osobliwe budowle z rzeźbami jakby ze skrzepłej krwi, które zawsze wywierają tak głębokie, niesłychane wrażenie na naszej psychice, a potem

Wieżę Głodową i ulicę Alchemików. Schodziłem później schodami zamkowymi i zatrzymałem się mimo woli, ponieważ mała furtka w murze, prowadząca do domu Daraszekoha, była otwarta. W tym momencie posłyszałem wyraźnie głos dochodzący prawdopodobnie z okna (i przysięgłbym na wszystkie świętości, że był to głos Axela), który wołał: „Raz — dwa — trzy — cztery”. O Boże, gdybym był wtedy natychmiast wtargnął do mieszkania; ale zanim zdołałem się opamiętać, ten Turek, służący doktora, zatrzaskał furtkę. Mówię ci, musimy się dostać do tego domu! Musimy! Bo jeżeli Axel jeszcze żyje? Zastanów się, nikt nie może nas przyłapać. Kto chodzi nocą po zamkowych schodach? Proszę cię, a jak ja potrafię teraz operować wytrychem, aż się zdziwisz.



Do zmierzchu obaj przyjaciele snuli się po ulicach, nim wreszcie przystąpili do wykonania swego planu. Przelazszy przez mur, stanęli przed należącym do Persa starodawnym domostwem.

Budynek — stojący samotnie na wzgórku w parku Fürstenberga — opiera się, jak martwy strażnik, o boczne obmurowanie porośniętych trawą zamkowych schodów.

— Ten ogród, te stare wiązy tam na dole mają w sobie coś niewymownie przerażającego — szeptał Ottokar Dohna — spójrz tylko, jak groźnie rysuje się Hradczyn na tle nieba. A te oświetlone okna we wnękach zaniku! Naprawdę, osobliwa atmosfera panuje tutaj na Małej Stranie. Jakby całe życie ukryło się głęboko w ziemi, ze strachu przed czyhającą śmiercią. Czy nie masz i ty tego uczucia, że pewnego dnia ten widmowy obraz rozplynie się nagle, jak wizja, jak fatamorgana, że to uśpione, przyczajone życie zbudzi się jak upiorny zwierz do czegoś nowego, przerażającego? A popatrz tylko, te wysypane białym żwirem ścieżki, jak żyły...

— Chodźże już — naglił Sinclair — nogi uginają się pode mną z podniecenia, masz tu, potrzyмай mi tymczasem szkic sytuacyjny.

Drzwi zostały wkrótce otwarte, pieli się po omacku na stare schody, na które mroczne gwieździste niebo rzucało ledwo nikły blask przez okrągłe okna.



— Musimy obywać się bez światła, ktoś mógłby je zobaczyć z dołu, z pawilonu w parku, słyszysz, Ottokarze? Posuwaj się tuż za mną. Ostrożnie, tu jest wyszczerbiony stopień. Drzwi na korytarz są otwarte... tutaj, tutaj... na lewo.

Znaleźli się nagle w jakimś pokoju.

— Nie róbże hałasu!

— To nie moja wina: drzwi się same zatrzęsły.

— Musimy zapalić światło. Boję się, że lada chwila coś przewrócę, pełno tu krzesel.

W tym momencie błysnęła na ścianie niebieska iskra, i dał się słyszeć jakiś szmer — jak westchnienie, jak oddech.

Ciche trzeszczenie zdało się wydobywać z podłogi, ze wszystkich szczelin.

Znowu sekunda śmiertelnej ciszy. A potem jakiś charczący głos zaczął liczyć głośno i powoli: — Raz — dwa — trzy — Ottokar Dohnal krzyknął, tarł jak obłąkany zapalką o pudełko, ręce dygotały mu w okropnym przerażeniu. Nareszcie światło — światło! Przyjaciele patrzyli w swoje pobielające upiornie twarze: — Axel!

— Cztery — pięć — sześć — siedem — Liczenie brzmiało z niszy w głębi.

— Świecę! Prędko, prędko!

— Ossiem — dździewięć — dździesięć — jedenaście — W niszy zwisała z sufitu na miedzianym pręcie ludzka głowa o jasnych włosach. Pręt przechodził przez środek ciemienia. Szyja pod brodą obwiązana jedwabną szarfą, a poniżej czerwone płuca z tchawicą i oskrzelami. Między nimi poruszało się rytmicznie serce, owinięte złotymi drutami, biegnącymi do stojącego na podłodze małego elektrycznego aparatu. Sprężyste pulsujące żyły czerpały krew z dwu flaszek o wąskich szyjkach.

Ottokar Dohnal umieścił świecę w małym lichtarzu i uczepił się ramienia przyjaciela, żeby nie upaść.

To była głowa Axela, o czerwonych wargach, kwitnącej cerze, jak żywa — szeroko rozwarte oczy wpatrywały się z okropnym wyrazem we wklęsłe zwierciadło na przeciwległej ścianie, którą okrywały całkowicie turkmeńskie i kirgiskie szale oraz egzotyczny oręż. Wszędzie dziwaczne wzory wschodnich tkanin.

Pokój pełen był spreparowanych zwierząt — osobliwie powykęcane węże i małpy leżały wśród porzucanych książek, W szklanej wanience na stojącym z boku stole pływał w niebieskawej cieczy brzuch ludzki.

Gipsowe popiersie Fabia Mariniego patrzyło poważnie z postumentu na pokój.

Przyjaciele nie mogli wykrztusić słowa; jak zahipnotyzowani wpatrywali się w serce tego straszliwego ludzkiego zegara, które dygotało i biło jak żywe.

— Na miłość boską, uciekajmy stąd, bo zemdleję. Niech piekło pochłonie tego perskiego potwora.

Byle do drzwi.

Wtem — znowu to niesamowite zgrzytanie, zdające się dobiegać z ust preparatu.

Zamigotały dwie niebieskie iskry, zwierciadło rzuciło ich odbicie prosto w źrenice umarłego.

Wargi rozchyliły się — język poruszył się z trudem — zgiął się poza

przednimi zębami — i charkotliwie zabrzmiało: — Kwad—rranss.

Potem usta zamknęły się, a twarz wpatrzyła się znów prosto przed siebie.

— Okropne!! Mózg działa, żyje. Precz stąd, precz, na powietrze! Świeca, weź świecę, Sinclairze!

— Otwierajże! Na miłość boską, czemu nie otwierasz?

— Nie mogę, tam, tam, patrz!

Wewnętrzzną klamkę stanowiła ozdobiona pierścieniami dłoń ludzka. Dłoń umarłego; białe palce prężyły się w pustkę.

— Tu, trzymaj, masz chustkę! Czego się boisz, to jest przecież dłoń naszego Axela!



Stali znowu na korytarzu i patrzyli, jak drzwi zamykają się powoli. Wisiała na nich czarna szklana tabliczka:

Dr Mohammed Darasze—Koh

Anatom

Płomyk świecy drżał w przeciągu wiejącym nad ceglanymi schodami. Nagle Ottokar zatoczył się pod ścianę i osunął się z jękiem na kolana: — Tutaj! O, to tutaj — i wskazał na sznur od dzwonka.

Sinclair zbliżył się ze światłem.

Z krzykiem odskoczył i upuścił świecę.

Błaszany lichtarz toczył się, brzęcząc, ze stopnia na stopień.



Jak obłąkani, ze zjeżonymi włosami, nie mogąc schwytać tchu, pędzili w ciemności na dół po schodach. — Perski szatan. Perski szatan.

Przełożył Stefan Lichański

Hanns Heinz Ewers

PAJĄK

*And a will therein lieth,
which dieth not.
Who knoweth the mysteries
of a will with its vigour?
Glaniville*

W pokoju numer 7 hoteliku *Stevens* przy ulicy *Alfreda Stevensa* 6, w którym postanowił zamieszkać *Richard Bracquemont*, student medycyny, powiesiło się na futrynie okna w trzy kolejne piątki trzech ludzi.

Pierwszym z nich był pewien szwajcarski komiwojażer. Jego samobójstwo odkryto dopiero w sobotę wieczorem; lekarz stwierdził, że śmierć nastąpiła w piątek między piątą a szóstą po południu. Zwłoki wisały na wbitym w futrynę mocnym haku, na którym umieszczano ramiączka z ubraniami. Okno było zamknięte. Jako stryczka, użył samobójca sznura do firanek. Ponieważ okno znajdowało się bardzo nisko, zmarły niemal klęczał na podłodze; musiał zatem wykonywać swój zamiar z niebywałą siłą woli. Był, jak stwierdzono, człowiekiem żonatym, ojcem czworga dzieci, miał ustaloną pozycję, żył dostatnio, odznaczał się wesołym i pogodnym usposobieniem. Nie pozostawił listu, który by wyjaśniał jego samobójstwo, nie sporządził też testamentu; również w rozmowach ze znajomymi nigdy nie zdradził chęci rozstania się z życiem.

Podobnie przedstawiał się drugi wypadek. W dwa dni po śmierci Szwajcara pokój numer 7 wynajął *Karl Krause*, cyklista–akrobata z

pobliskiego cyrku Médrano. Kiedy w piątek nie zjawił się w porę przed początkiem przedstawienia, dyrektor wysłał do hotelu gońca; znalazł on akrobatę w nie zamkniętym pokoju wiszącego na futrynie okna, przy czym wszystko wyglądało tutaj tak samo, jak w ubiegły piątek. Samobójstwo to przedstawiało się równie zagadkowo, jak poprzednie; popularny artysta pobierał wysokie uposażenie, a będąc młodym, dwudziestopięcioletnim człowiekiem, nie szczędził sobie uciech życia. I on nie napisał ani słowa, nie wspomniał też nigdy w rozmowie o zamiarze samobójstwa. Nie miał rodziny oprócz matki, której co miesiąc przysyłał punktualnie dwieście marek.

Dla pani Dubonnet, właścicielki taniego hoteliku, w którym mieszkali przeważnie pracownicy znajdujących się w pobliżu teatrzyków Montmartre'u, następstwa tego drugiego dziwaczego samobójstwa, popełnionego w tym samym pokoju, okazały się nader nieprzyjemne. Kilka osób wyprowadziło się, niektórzy stali goście hotelu już się nie pokazali. Ponieważ znała dobrze komisarza IX okręgu, zwróciła się przeto do niego osobiście, a on przyrzekł jej, że zrobi wszystko, co tylko będzie w jego mocy. I rzeczywiście, nie tylko podjął ze szczególną energią śledztwo, mające na celu wykrycie przyczyn samobójstwa obydwóch mieszkańców hotelu, ale przydzielił jeszcze funkcjonariusza, który zamieszkał w niesamowitym pokoju.

Zresztą policjant Charles–Maria Chaumié zgłosił się na ochotnika. Przez jedenaście lat służył on w wojskach kolonialnych jako żołnierz piechoty morskiej. Sierżant Chaumié spędził samotnie w Tonkinie i Annamie niejedną noc na czatach i niejednokrotnie zdarzyło mu się ugościć przybywających z nieproszoną wizytą rzecznych piratów, skradających się bezszelestnie jak koty, powitalnym strzałem w brzuch ze swego lebela, wydawał się więc człowiekiem jak najbardziej właściwym do podjęcia rozprawy z „upiorami”, o których wiele się gadało na ulicy Alfreda Stevensa. Wprowadził się zatem do pokoju w niedzielę wieczorem i pokrzepiwszy się obficie jadłem i napitkiem, którego nie pożałowała mu zacna pani Dubonnet, położył się

zadowolony do łóżka.

Co dzień rano i wieczorem Chaumie wpadał na chwilę do komisariatu, ażeby złożyć raport. Przez pierwsze dni ograniczały się one do meldunku, że nie zaszło nic godnego uwagi. Natomiast w środę wieczór oświadczył, że — jak mu się zdaje — wpadł na trop. Kiedy jednak zażądano od niego dokładniejszych informacji, poprosił, ażeby na razie mógł się nie wypowiadać na ten temat, ponieważ nie jest pewny, czy rzeczywiście to, co wyśledził, wiąże się w jakiś sposób z tamtymi dwoma śmiertelnymi wypadkami. Obawia się bowiem, że mógłby się skompromitować i ośmieszyć. W czwartek sprawiał wrażenie, jakby czuł się mniej pewnie, był natomiast poważniejszy; nie miał jednak znowu nic do zameldowania. W piątek rano był trochę podniecony i tonem ni to żartobliwym, ni to poważnym rzucił uwagę, że jednak to okno ma w sobie coś osobliwie przyciągającego. Obstawał jednak przy tym, że nie ma to nic wspólnego z samobójstwami i że by go wyśmiano, gdyby powiedział coś więcej. Wieczorem nie zjawił się w komisariacie: znaleziono go wiszącego na haku wbitym we framugę okna i tym razem wszystko przedstawiało się tak samo, jak w poprzednich wypadkach: nogi zwieszały się na podłogę, jako stryczka użyto sznura do firanek. Okno było zamknięte, drzwi otwarte; śmierć nastąpiła o szóstej po południu. Z szeroko otwartych ust zmarłego wysuwał się język.

Trzecie samobójstwo w pokoju numer 7 spowodowało, że hotel *Stevens* opuścili jeszcze ‘tego dnia wszyscy goście, prócz pewnego Niemca, nauczyciela gimnazjum, zamieszkałego w pokoju nr 16, który wykorzystał sposobność, aby uzyskać zniżkę komornego o jedną trzecią. Niewielką pociechę przyniosło pani Dubonnet również to, że nazajutrz przyjechała swoim renaultem Mary Garden, gwiazda Opery Komicznej, i kupiła za dwieście franków sznur do firanek. Po pierwsze dlatego, że sznur wisielca przynosi szczęście, po drugie — że będą o tym piisały gazety.

Gdyby cała ta historia wydarzyła się latem, na przykład w lipcu lub w

sierpniu, pani Dubonnet otrzymałaby za sznur trzy razy więcej; pisma zaś na pewno wałkowałyby całymi tygodniami sprawę hotelu *Stevens* na swoich łamach. Ale teraz, w pełni sezonu: wybory, Marokko, Persja, krach bankowy w Nowym Jorku, trzy polityczne skandale naraz — doprawdy, trudno znaleźć choćby odrobinę miejsca. W rezultacie wypadki na ulicy Alfreda Stevensa omawiano krócej, niż na to zasługiwały, a poza tym wzmianki o nich, krótkie i zwięzłe, ograniczały się przeważnie do powtarzania policyjnych relacji i były niemal całkiem pozbawione sensacyjnego zabarwienia.

Te informacje stanowiły jedyne źródło wiadomości studenta medycyny Richarda Bracquemonta o całej sprawie. Nie znał on pewnego drobnego faktu, który wydawał się tak nieważny, że ani komisarz, ani nikt inny ze świadków wydarzeń nie wspomnieli o nim reporterom. Przypomniano sobie o tym dopiero później, po historii ze studentem. Otóż kiedy policjanci zdejmowali z haka zwłoki sierżanta Charles–Marie Chaumiégo, z otwartych ust nieboszczyka wypełził duży czarny pająk. Służący strącił go prztyczkiem, wołając: „O, do diabła, znowu to paskudztwo!” Później, podczas śledztwa w sprawie Bracquemonta, zeznał on, że kiedy zdejmowano z haka ciało szwajcarskiego komiwojażera, zobaczył takiego samego pająka, który przebiegł po ramieniu nieboszczyka. O tym wszystkim jednak Richard Bracquemont nic nie wiedział.

Wprowadził się on do pokoju nr 7 w niedzielę, dwa tygodnie po ostatnim samobójstwie. Wszystko zaś, co tam przeżył, zapisywał co dzień dokładnie w swoim dzienniku.

**Pamiętnik Richarda Bracquemonta,
studenta medycyny**

Poniedziałek, 28 lutego

Wprowadziłem się tutaj wczoraj wieczorem. Rozpakowałem oba swoje koszyki, zagospodarowałem się, jak mogłem, i położyłem do łóżka. Spałem bardzo dobrze; właśnie była dziewiąta, kiedy zbudziło mnie pukanie do drzwi. Była to gospodyni, która osobiście przyniosła mi śniadanie. Troszczy się o mnie bardzo, dowodem tego jaja, szynka i wyborna kawa. Umyłem się, ubrałem, a potem, paląc fajkę, przyglądałem się, jak służący sprząta pokój.

No więc jestem tutaj. Zdaję sobie dobrze sprawę, że wdałem się w niebezpieczną historię, ale jestem też pewny, że jeśli zdołam ją rozwikłać, to wygrałem. I jeżeli kiedyś Paryż wart był mszy — dzisiaj nie kupiłoby się go tak tanio — to mogę i ja zaryzykować trochę swoim życiem, Trafiła mi się jakaś tam szansa, a więc dobrze: spróbuję ją wykorzystać.

Zresztą i inni byli na tyle sprytni, żeby zorientować się w sytuacji. Aż dwadzieścia siedem osób, w tym trzy kobiety, ubiegało się o ten pokój, czy to przez policję, czy bezpośrednio u gospodyni. Konkurencję miałem więc nie byle jaką; zapewne wszystko takie same, jak i ja łapserdaki.

Ale to ja właśnie „dostałem posadę”. Dlaczego? Ach, byłem widocznie jedynym, który umiał uraczyć policyjnych mądrali swego rodzaju „pomysłem”. I to jakim pomysłem! Bluffowałem oczywiście.

Te sprawozdania przeznaczone są także dla policji. I cóż to dla mnie za uciecha móc zaraz na początku powiedzieć tym panom, że nabiłem ich w butelkę. Jeżeli komisarz nie od parady nosi głowę na karku, to powie: „Hm, właśnie dlatego wydał mi się Bracquemont jak najbardziej odpowiedni!” Zresztą niech tam sobie później mówi, co chce — teraz siedzę tutaj. I poczytuję sobie za dobrą wróżbę, że zacząłem swoją robotę od wystrychnięcia tych panów na dudków.

Najpierw zresztą złożyłem wizytę pani Dubonnet, ale ona odesłała mnie do komisariatu. Włóczyłem się tam codziennie przez cały tydzień, zawsze „brano moją propozycję pod uwagę” i zawsze odkładano decyzję do jutra. Większość moich rywali machnęła już ręką na ten interes, mieli widocznie coś lepszego do roboty niż wysiadywać godzinami w dusznej wartowni

komisariatu; ja natomiast trwałem w uporze, wprawiając tym komisarza w zły humor. Wreszcie oznajmił mi kategorycznie, że nie mam po co więcej się tu pokazywać. Jest wdzięczny mnie, jak i innym za nasze dobre chęci, ale nie widzi możliwości wykorzystania „niekompetentnych dyletantów” — jeżeli nie dysponuję więc żadnym gotowym planem działania...

Oświadczyłem wtedy, że taki plan przygotowałem. Oczywiście niczego nie przygotowałem i nie miałem na ten temat nic do powiedzenia. Zacząłem jednak wywodzić, że swój plan, który wprawdzie jest dobry, ale nader niebezpieczny i może zakończyć się równie tragicznie, jak przedsięwzięcie sierżanta, wyjawię mu jedynie pod tym warunkiem, że zapewni mnie słowem honoru, iż sam podejmie się jego wykonania. Tej propozycji nie przyjął, tłumacząc się brakiem czasu. Zorientowałem się jednak, że ryba połknęła haczyk, gdyż zaczął mnie wypytywać, czy nie mógłbym przynajmniej przedstawić najogólniejszego zarysu...

Zrobiłem to. Opowiadałem mu najczystsze bzdury, które jeszcze przed sekundą nawet by mi na myśl nie przyszły; sam nie wiem, skąd mi to nagle strzeliło do głowy. Tłumaczyłem mu, że pośród zwykłych godzin tygodnia istnieje przecież jedna najbardziej osobliwa. Jest to godzina, kiedy Chrystus zniknął z grobu, aby zstąpić do piekieł: szósta godzina wieczorna w ostatnim dniu żydowskiego tygodnia. A przecież pan komisarz chyba pamięta, że wszystkie trzy samobójstwa zostały popełnione w piątek między piątą a szóstą po południu. Więcej nie mogę teraz powiedzieć, co najwyżej polecić mu lekturę *Objawienia* świętego Jana.

Komisarz zrobił taką minę, jakby wszystko doskonale zrozumiał, podziękował i zaprosił mnie na wieczór. Zjawiłem się punktualnie w jego biurze; zobaczyłem rozłożony na stole *Nowy Testament*. Zanim tu przyszedłem, zajmowałem się tą samą lekturą: przeczytałem *Apokalipsę* — i nic z niej nie rozumiałem. Widocznie komisarz był inteligentniejszy, niż ja, a w każdym razie oświadczył bardzo uprzejmie, że chociaż poprzestałem na nader niejasnych napomknieniach, uchwycił, jak sądzi, tok mojego

rozumowania. I że jest gotów przyjąć moje propozycje oraz pomóc w ich realizacji.

Muszę przyznać, że rzeczywiście nie poskąpił mi swej pomocy. Zawarł z gospodynią umowę zapewniającą mi na cały czas pobytu w hotelu gratisowe utrzymanie. Zaopatrzył mnie w doskonały rewolwer i policyjny gwizdek, a odbywający służbę funkcjonariusze otrzymali polecenie, aby możliwie często zaglądali na ulicę Alfreda Stevensa i na każdy mój znak spieszyli mi natychmiast z pomocą. Najważniejsze jednak to to, że kazał zainstalować w moim pokoju telefon, zapewniający mi bezpośrednią łączność z komisariatem. Ponieważ zaś komisariat znajduje się o cztery minuty drogi stąd, mogę w każdej chwili liczyć na natychmiastową pomoc. Nie mam pojęcia, czego mógłbym się obawiać w tych warunkach.

Wtorek, 1 marca

Ani wczoraj, ani dzisiaj nic się nie zdarzyło. Pani Dubonnet przyniosła sznur do firanek z innego pokoju — tyle ich teraz stoi pustką. Gospodyni wykorzystuje każdą sposobność, aby zachodzić do mnie, a za każdym razem coś przynosi. Skłoniłem ją, aby opowiedziała raz jeszcze z najdrobniejszymi szczegółami wszystkie poprzednie wypadki, ale nie dowiedziałem się nic nowego. Jeżeli chodzi o przyczyny zgonów, pani Dubonnet ma w tej kwestii własne zdanie. W wypadku akrobaty powodem była według niej nieszczęśliwa miłość: kiedy mieszkał w hotelu zeszłego roku, odwiedzała go często młoda dama, która teraz nie zjawiała się ani razu. Co skłoniło do tego rodzaju decyzji jegomościa ze Szwajcarii, tego nie wie — ale przecież niepodobna wiedzieć wszystkiego. Sierżant natomiast popełnił samobójstwo tylko dlatego, żeby jej dokuczyć.

Muszę przyznać, że wyjaśnienia pani Dubonnet nie wydały mi się nazbyt przekonujące. Wysłuchiwałem jednak spokojnie jej gadaniny, było to bądź

co bądź pewne urozmaicenie.

Czwartek, 3 marca

Wciąż jeszcze nic się nie dzieje. Komisarz dzwoni kilka razy w ciągu dnia, a ja zapewniam go, że u mnie wszystko w najlepszym porządku. Te informacje nie uspokajają go jednak całkowicie. Wydobyłem swoje podręczniki i zabrałem się do nauki; tak więc, cokolwiek się wydarzy, mój dobrowolny areszt nie będzie całkiem bezużyteczny.

Piątek, 4 marca, druga po południu

Zjadłem wyborny obiad, do którego gospodyni podała pół flaszki szampana; była to istna uczta skazańca. Pani Dubonnet patrzyła na mnie jak na trzy ćwierci nieboszczyka. Zanim wyszła, prosiła ze łzami w oczach, żebym poszedł z nią; obawiała się widocznie, że się powieszę, „żeby jej dokuczyć”.

Przyjrzałem się dokładnie sznurowi do firanek. Miałbym się więc powiesić na czymś takim? Hm, nie mam na to wcale chęci, a poza tym sznur jest szorstki i sztywny, tak że trudno by było zadzierzgnąć go w pętlę. Gdybym chciał pójść za przykładem moich poprzedników, musiałbym wykazać dużo dobrej woli. Siedzę teraz przy stole, na lewo mam telefon, na prawo rewolwer. Nie odczuwam obawy, raczej ciekawość.

Szósta wieczorem

Nic się nie wydarzyło, omal że nie napisałem — niestety! Fatalna godzina nadeszła i minęła — tak samo jak inne. Nie mogę co prawda zaprzeczyć, że chwilami miałem chęć podejść do okna — tak! ale z całkiem innych powodów. Komisarz dzwonił między piątą a szóstą z dziesięć razy, był chyba równie jak ja podniecony. Pani Dubonnet natomiast jest uszczęśliwiona: ktoś mieszkał przez tydzień pod siódmką i mimo to się nie powiesił. Niebywałe!

Poniedziałek, 7 marca

Jestem obecnie pewny; że nic nie wykryję, i utrwalam się w przekonaniu, że samobójstwa moich poprzedników złączył ze sobą tylko osobliwy przypadek. Prosiłem komisarza, ażeby we wszystkich tych trzech sprawach jeszcze raz przeprowadził dokładne śledztwo, i jestem pewien, że koniec końców uda się dotrzeć do sedna. Co do mnie, będę tu siedział, dopóki się da. Mój rozgłos nie podbije Paryża, ale bądź co bądź mieszkam tu i obzeram się za darmo. Wziąłem się poza tym do obkuwania i idzie mi coraz lepiej. No, a prócz tego jest jeszcze coś, co mnie tu trzyma.

Środa, 9 marca

A zatem niech postawię kropkę nad i. Clarimonde...

Ach, prawda, nie mówiłem jeszcze nic o Clarimonde. Ona to właśnie jest tą trzecią przyczyną, dla której pragnę pozostać tutaj, i z jej właśnie powodu miałem ochotę w ciągu „fatalnej” godziny podejść do okna — choć nie po to, rzecz jasna, aby się powiesić. Clarimonde — dlaczego tak ją nazywam? Nie mam pojęcia, jak brzmi jej imię, ale czuję, że tak muszę ją nazywać. I gotów bym się założyć, że gdybym kiedyś miał sposobność zapytać ją o imię, wymieniałaby to właśnie.

Zobaczyłem Clarimonde wkrótce po wprowadzeniu się tutaj. Mieszka ona po drugiej stronie wąskiej uliczki, a jej okno znajduje się naprzeciw mojego. Siaduje przy nim za firankami. Muszę zresztą stwierdzić, że zaczęła mnie obserwować wcześniej, aniżeli ja ją, i wyraźnie wykazała zainteresowanie moją osobą. Nic w tym ostatecznie dziwnego, cała ulica wie, gdzie i z jakiego powodu zamieszkałem, pani Dubonnet postarała się o to.

Nie jestem z natury kochliwy i niewiele miałem do czynienia z kobietami. Kiedy się przyjeżdża z Verdun do Paryża, żeby studiować medycynę, a pieniędzy starcza ledwie na to, żeby co trzeci dzień najeść się do syta, co innego ma się w głowie niż miłość. Nie mam zatem wiele doświadczenia i prawdopodobnie nie najmądrzej się zabrałem do rzeczy. Ale i z tego, jak sprawy w tej chwili stoją, jestem zupełnie zadowolony.

Początkowo nie przyszło mi nawet do głowy, że cośkolwiek może się nawiązać między mną a tą osobą z naprzeciwka. Pomyślałem sobie tylko, że skoro po to się tutaj znalazłem, aby prowadzić obserwacje, a jak dotąd nie wypatrzyłem mimo najlepszej woli nic interesującego, cóż stoi na przeszkodzie, abym się zajął obserwowaniem mojej sąsiadki? Trudno przecież cały dzień siedzieć nad książkami. Ustaliłem tedy, że Clarimonde mieszka samotnie na drugim piętrze. Pokój ma trzy okna, ona jednak siedzi zawsze przy tym, które znajduje się akurat naprzeciw mojego: siedzi i przędzie na małym staroświeckim kołowrotku. Widziałem kiedyś podobny kołowrotek u mojej babki, która zresztą nigdy na nim nie przędła, odziedziczyła go po prostu po jakiejś swojej praciotce; nie wiedziałem, że się jeszcze teraz używa takich staroci. Nawiasem mówiąc, kołowrotek Clarimonde to małe, śliczne cacko, bielutkie, prawdopodobnie z kości słoniowej; nici, które na nim przędzie, są chyba niebywale delikatne. Cały dzień siedzi ukryta za firankami i pracuje bez ustanku; przerywa robotę dopiero o zmierzchu. Co prawda teraz, podczas tych mglistych dni, wcześniej zapada zmrok na tej wąskiej ulicy, o piątej jest tu już zupełnie ciemno. Nigdy też nie widziałem światła w pokoju Clarimonde.

Jak ona wygląda? Bogiem a prawdą nie wiem tego dokładnie. Jest blada, a jej czarne włosy układają się w faliste pukle. Ma wąski, mały nosek o ruchliwych nozdrzach, blade wargi, a jej drobne ząbki wydają się spiczaste jak u drapieżnych zwierząt. Powieki ma zwykle opuszczone, ale kiedy je podnosi, błyskają wielkie, ciemne oczy. To wszystko jednak raczej odczuwam, aniżeli wiem na pewno. Trudno bowiem dostrzec coś dokładnie, przez firanki.

I jeszcze jedno: Clarimonde ubrana jest zawsze w czarną, zapiętą pod szyję suknię w duże fioletowe cętki.

Stale też nosi długie czarne rękawiczki, nie chce zapewne niszczyć rąk przy pracy. Bardzo to osobliwie wygląda, kiedy smukłe, czarne palce chwytają i wyciągają nitki szybkimi, pozornie bezładnymi ruchami, przypominającymi poruszanie się nóg owada.

A nasze wzajemne stosunki? Cóż, są one całkiem powierzchowne, a jednak odnoszę wrażenie, jakby były o wiele głębsze. Zaczęło się od tego, że ona popatrzyła w moje, a ja zerknąłem w jej okno. Ona obserwowała mnie, ja jej się przyglądałem. No i widocznie jej się spodobałem, bo pewnego dnia, kiedy znowu spoglądałem na nią, uśmiechnęła się, ja naturalnie także. I tak minęło parę dni; a my coraz częściej i częściej uśmiechaliśmy się do siebie. A później raz po raz zacząłem się zbierać do złożenia jej ukłonu; sam nie wiem, co mnie stale od tego powstrzymywało.

Wreszcie się jednak na to zdobyłem — dzisiaj po południu. I Clarimonde odwzajemniła mój ukłon. Bardzo lekko co prawda, ale skinęła głową, widziałem to dobrze.

Czwartek, 10 marca

Długo siedziałem wczoraj nad książkami. Nie mogę jednak powiedzieć, że bym się dużo nauczył: bujałem w obłokach i marzyłem o Clarimonde. A

później spałem długo ciężkim, niespokojnym snem.

Kiedy podszedłem do okna, Clarimonde siedziała już na zwykłym miejscu. Ukłoniłem się, a ona się odkloniła. Uśmiechnęła się i długo patrzyła na mnie.

Chciałem się zabrać do roboty, ale nurtował mnie niepokój. Usiadłem przy oknie i zapatrzyłem się na Clarimonde. Nagle spostrzegłem, że i ona siedzi beczynn timer. Pociągnąłem za sznur, odsuwając białą firankę, i — niemal jednocześnie — ona zrobiła to samo. Uśmiechnęliśmy się i wpatrzyli w siebie.

Siedzieliśmy tak chyba z godzinę.

A potem znowu zaczęła prząść.

Sobota, 12 marca

Dnie mijają. A ja jem, piję, siedzę przy biurku. Palę fajkę i pochylam się nad książką. Ale nie udaje mi się przeczytać ani jednego nawet słowa. Raz po raz podejmuję próby, ale wiem z góry, że na próżno. Potem podchodzę do okna. Kłaniam się, Clarimonde się odklania. Uśmiechamy się i patrzymy na siebie — całymi godzinami.

Wczoraj po południu, około szóstej, byłem trochę niespokojny. Zmierzch zapadł bardzo wcześnie i poczułem, że się czegoś boję. Siedziałem przy biurku i czekałem. Coś mnie pchało wręcz do okna — nie po to, żeby się powiesić oczywiście, ale żeby zobaczyć Clarimonde. Zerwałem się i stanąłem za firanką. Nigdy, jak mi się wydaje, nie widziałem jej tak dokładnie, chociaż było już całkiem ciemno. Przędła, ale patrzyła w moją stronę. Odczuwałem dziwną błogość i lekki niepokój.

Zadzwonił telefon. Byłem wściekły na tego durnia komisarza, który swoimi głupimi pytaniami spłoszył moje marzenia.

Dzisiaj rano zjawił się u mnie razem z panią Dubonnet. Jest ona

całkowicie ze mnie zadowolona, wystarcza jej najzupełniej to, że żyję, chociaż już dwa tygodnie mieszkam w pokoju numer siedem. Komisarz jednak chciałby jeszcze mieć jakieś określone rezultaty. Napomknąłem niejasno, że jestem na tropie nader osobliwej sprawy; ten tuman przełknął to gładko. Bądź co bądź zostanę tu jeszcze tydzień — a pragnę tego jak najgoręcej. Nie z powodu kuchni i piwnicy pani Dubonnet — o Boże, jakże obojętnieją człowiekowi te rzeczy, kiedy jest zawsze najedzony! — ale z powodu okna, którego ona tak się boi i nienawidzi, a które ja tak kocham, ponieważ pokazuje mi ono Clarimonde.

Kiedy zapalę lampę, już jej nie widzę. Mało sobie oczu nie wypatrzyłem, żeby spostrzec, jak wychodzi do miasta, ale nigdy nie zobaczyłem, żeby się choć krokiem ruszyła z domu! Mam duży, wygodny fotel i zielony abażur na lampie, której blask otula mnie ciepło. Komisarz przyniósł mi dużą paczkę tytoniu (nigdy nie paliłem tak dobrego) — a mimo to nie mogę pracować. Czytam dwie, trzy stronicę, a kiedy dojdę do końca, zdaję sobie sprawę, że nie rozumiem ani słowa. Tylko okiem chwytam litery, mój mózg natomiast nie ujmuje ich sensu. Zabawne! Jakby wisiała na nim tabliczka z napisem: Wejście zabronione. Jakby nie był on zdolny pojąć żadnej myśli poza tą jedną: Clarimonde.

Aż wreszcie odsuwam książki, rozpieram się wygodnie w fotelu i marzę.

Niedziela, 13 marca

Dzisiaj rano zdarzyło mi się zobaczyć swego rodzaju dramat. Chodziłem po korytarzu, podczas gdy służący sprzątał mój pokój. Przed wychodzącym na podwórze okienkiem wisi pajęczyna, w której tkwi gruby pajak-krzyżak. Pani Dubonnet nie pozwala jej usunąć: pająki przynoszą szczęście, a ona miała już dosyć nieszczęść w swoim domu. Nagle zobaczyłem, jak inny, o wiele mniejszy pajak obiegał przezornie sieć dokoła, był to samiec. Ostrożnie

posuwał się po chwiejącej się nitce ku środkowi, ale cofał się natychmiast, skoro tylko samica się poruszyła. Przebiegał na inny koniec sieci i na nowo próbował się zbliżyć. Ostatecznie silna samica w środku sieci jakby ustąpiła wobec jego zalotów, tkwiła na swoim miejscu nieruchomo. Samiec szarpnął nitkę, najpierw delikatnie, potem mocniej, że aż cała sieć drgnęła; jego bogdanka zachowała jednak spokój. Wtedy zbliżył się do niej szybko, ale z najwyższą ostrożnością. Samiczka przyjęła go bez oporu, całkiem ulegle poddając się jego czułemu objęciu; nieruchomo wisieli oboje przez długie minuty w środku wielkiej sieci. Nagle zobaczyłem, jak samiec powoli cofa jedną nogę po drugiej; wyglądało to tak, jakby chciał się wycofać po cichutku, pozostawiając towarzyszkę w miłosnym odurzeniu. Wreszcie oswobodził się zupełnie i co sił wybiegł z sieci. Ale w tej samej chwili dzika żywotność obudziła się w samicy, która popędziła w ślad za nim. Nieszczęsny samiec zsunął się po nitce, tą samą akrobatyczną sztuczką popisała się wnet jego ukochana. Oboje spadli na parapet, z najwyższym wysiłkiem starał się samiec umknąć. Za późno, silnym chwytem ujęła go już jego towarzyszka i powlokła w sam środek sieci. I w tym samym miejscu, które było niedawno łóżem rozpętanej żądz, ukazał się teraz całkiem inny obraz. Daremnie miotał się kochanek, wyciągał słabe nóżki, usiłując wymknąć się z okrutnego uścisku: kochanka już go nie puściła. W ciągu paru minut tak go osnuła pajęczyną, że nie mógł się poruszyć. A potem wbiła ostre szczypcy w jego ciało i łapczywie ssała młodą krew kochanka. Widziałem jeszcze, jak ostatecznie uwolniła żalosny, nierozpoznawalny już strzęp — nóżki, skórę i nici — i pogardliwie wyrzuciła z sieci.

Tak zatem wygląda miłość u tych bestii — no, dziękować Bogu, że nie jestem pająkiem—samcem.

Poniedziałek, 14 marca

Nie zaglądam już nawet do książek. Całe dni spędzam przy oknie. Nie odchodzę stąd nawet, kiedy zapada wieczór. Nie mogę jej zobaczyć, ale zamykam oczy i widzę ją przecież...

Hm, ten dziennik stał się całkiem inny, niż to sobie wyobrażałem. Opowiada on o pani Dubonnet i o komisarzu, o pająkach i o Clarimonde. Ani słowa w nim natomiast o śledztwie, które chciałem prowadzić. Czy to moja wina?

Wtorek, 15 marca

Znaleźliśmy, Clarimonde i ja, osobliwą zabawę, na której spędzamy całe dni. Kłaniam się jej, a ona odkłania się natychmiast. Potem stukam dłonią o szyby, a ona, ledwie to ujrzała, już także zaczyna stukać. Daję znak ręką, ona go powtarza; poruszam wargami, jakbym do niej mówił, a ona robi to samo. Potem odgarniam włosy ze skroni, i oto jej dłoń również dotyka już czoła. Prawdziwie dziecinna zabawa, z której śmiejemy się oboje. To znaczy — ona się właściwie nie śmieje, jest to raczej uśmiech, cichy, pełen oddania; myślę, że i ja uśmiecham się tak samo. Zresztą nie jest to wcale tak głupie, jak się na pozór wydaje. Nie jest to, jak sądzę, zwykłe powtarzanie, które obrzydłoby wkrótce nam obojgu; wchodzi tu chyba w grę swego rodzaju telepatia. Clarimonde powtarza bowiem moje ruchy niemal w tym samym ułamku sekundy, ledwie zdoła je dostrzec, a już je wykonuje; często odnoszę wrażenie, że dzieje się to równocześnie. I to właśnie pobudza mnie, żeby raz po raz wykonać gest nowy, nie dający się przewidzieć; nie do pojęcia wprost, jak błyskawicznie go powtarza. Często próbuję wywieść ją w pole. Wykonuję szybko jakąś serię poruszeń, a potem te samą serię od początku, i znowu raz jeszcze. Wreszcie za czwartym razem albo zmieniam kolejność ruchów, albo któryś z nich wykonuję inaczej lub też w ogóle go pomijam. I nie mogę się nadziwić, że Clarimonde ani razu nie popełnia błędu, chociaż

ruchy te następują po sobie tak szybko, że trudno któryś z nich dostrzec z osobna.

Tak schodzi mi cały dzień. Ani przez sekundę jednak nie doznaję wrażenia, żeby było to bezpożyteczne zabijanie czasu; przeciwnie, jestem przeświadczony, że nigdy nie robiłem nic ważniejszego.

Środa, 16 marca

Czyż to nie zabawne, iż nigdy nie pomyślałem serio o tym, ażeby moje stosunki z Clarimonde oprzeć na czymś sensowniejszym aniżeli te ciągnące się godzinami zabawy? Myślałem nad tym ostatniej nocy. Przecież mogę po prostu włożyć płaszcz i kapelusz, zejść o dwa piętra niżej. Pięć kroków przez ulicę, potem znowu dwa piętra w górę. Na drzwiach mała tabliczka, a na niej „Clarimonde...” Clarimonde... i co dalej? Tego nie wiem, ale że „Clarimonde”, to wiem na pewno. Potem pukam, a potem...

Do tej chwili mogę przewidzieć dokładnie wszystko, widzę najmniejszy ruch, jaki by przyszło mi wykonać. Nie mogę wszakże wyobrazić sobie, co by nastąpiło później. Drzwi otwierają się, tak, to jeszcze widzę. Ja wszakże stoję na progu i patrzę w ciemność, w której nic, ale to absolutnie nic dostrzec nie można. Clarimonde się nie zjawia — nic się nie zjawia: bo tam w ogóle nic nie ma. Tylko ta czarna, nieprzenikniona ciemność.

Często wydaje mi się, że w ogóle nie istnieje żadna inna Clarimonde, prócz tej, którą widuję przy oknie i która się ze mną bawi. Nie mogę sobie wyobrazić, jak wyglądałaby w kapeluszu albo w innej sukni aniżeli ta czarna w duże liliowe cętki, czy choćby bez tych jej czarnych rękawiczek. Śmieję się na głos, gdy pomyślę, że mógłbym ją ujrzeć na ulicy, albo zgoła w restauracji, jak je, pije, o czymś tam papie — tak niewiarygodny wydaje mi się ten obraz.

Często zadaję sobie pytanie, czy ją kocham. Trudno mi udzielić całkiem

pewnej odpowiedzi, ponieważ nigdy dotąd nie kochałem. Jeżeli jednak uczucie, jakie żywię dla Clarimonde, można nazwać miłością, to w każdym razie jest ona zupełnie odmienna od tej, jaką znałem z opowiadań kolegów lub o jakiej czytałem w powieściach.

Trudno mi określić swoje uczucia. W ogóle trudno nie myśleć o czymś, co nie odnosiłoby się do Clarimonde, a raczej... do naszej zabawy. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że tym, co mnie stale zajmuje, jest nasza zabawa — nic innego. I w tym tkwi zagadka, której nie umiem rozwiązać.

Clarimonde... tak, ona mnie pociąga. Z tym uczuciem wszakże miesza się inne, jak gdyby trwoga. Trwoga? Nie, to nie to, to raczej obawa, lekki niepokój przed czymś nieznanym. I właśnie ów niepokój ma w sobie coś zniewalającego, osobliwie podniecającego, co każe mi trzymać się z daleka od Clarimonde, a jednocześnie coraz mocniej ku niej pociąga. Mam wrażenie, że krążę wokół niej po wielkim kole, to się trochę do niej zbliżam, to znów oddalam, krążę ciągle, posuwam się raz jeszcze trochę naprzód, aby się ponownie cofnąć. Aż wreszcie — wiem to na pewno — będę musiał...

Clarimonde siedzi przy oknie i przedzie. Nitki, długie, cienkie, niesłychanie delikatne nitki. Przędzie z nich tkaninę, nie wiem wszakże jaką. I nie pojmuję, jak ona może tkać tę sieć nie płacząc i nie zrywając delikatnych nitek. Osobliwe wzory widnieją na tej tkaninie, fantastyczne zwierzęta i koszmarne oblicza.

Doprawdy!... Cóż ja wypisuję? Nie mogę przecież zobaczyć, co ona tam rzeczywiście przędzie, nitki są zbyt delikatne. A przecież jestem świadom, że jej tkanina wygląda właśnie tak, jak ją widzę, kiedy zamknę oczy. Tak, nie inaczej. Wielka sieć, a w niej mnóstwo figur, fantastyczne zwierzęta i koszmarne oblicza...

Czwartek, 17 marca

Jestem dziwnie podniecony. Nie rozmawiam z nikim; nawet pani Dubonnet i służącemu ledwie że mruknę „Dzień dobry”.

Tyle tylko sobie czasu urwę, żeby coś zjeść; poza tym siedzę przy oknie i prowadzę z nią zabawę. O, cóż to za podniecająca zabawa!

I przeczuwam, że jutro musi się coś wydarzyć.

Piątek, 18 marca

Tak, dzisiaj się musi coś wydarzyć. To pewne. Mówię sobie — mówię do siebie głośno, ażeby słyszeć swój głos — że przecież dlatego właśnie tutaj jestem. Ale w tym sęk, że się boję. A do strachu przed tym, że może się i mnie przydarzyć coś podobnego jak moim poprzednikom, miesza się w sposób osobliwy inny strach: przed Clarimonde. I sam już nie wiem, czego się bardziej boję.

Szarpie mną trwoga... z trudem się powstrzymuję, żeby nie krzyżeć.

Szósta wieczorem

Notuję szybko, już w płaszczu i w kapeluszu.

Kiedy nadeszła piąta, byłem u kresu sił. O, teraz jestem pewny, że to wszystko wiąże się jakoś z ową szóstą godziną przedostatniego dnia w tygodniu — już mnie teraz nie bawi ten wymysł, którym zwiodłem komisarza. Siedziałem na fotelu, zmuszałem się, aby zostać na miejscu. Coś mnie jednak ciągnęło, wlokło wręcz do okna. Muszę prowadzić grę z Clarimonde — i oto znowu potworny strach przed tym oknem. Widziałem, jak tam wiszą: szwajcarski komiwojażer, rosłe chłopisko o grubym karku i siwiejącej szpeciniastej brodzie, szczupły akrobata i krępy, krzepki sierżant. Widziałem ich, jednego, drugiego, trzeciego, a potem wszystkich trzech

jednocześnie, na tym samym haku, ich otwarte usta z wysuniętymi z nich językami. I nagle zobaczyłem pośród nich — siebie.

Cóż za strach! Świadom byłem, że budzi go we mnie tak samo rama okienna z tym ohydny hakiem, jak i Clarimonde. Oby mi to wybaczyła, ale naprawdę tak było: w potwornej trwodze bezustannie mieszał mi się jej obraz z obrazem tamtych trzech, którzy wisieli tam z nogami wlokącymi się po podłodze.

W gruncie rzeczy ani przez chwilę nie czułem chęci, ochoty, żeby się powiesić; bałem się tylko, że mogę to zrobić. Nie... bałem się tylko... i samego okna... i Clarimonde... i czegoś okropnego a niepojętego, co musi się teraz wydarzyć. I odczuwałem gorące, nieodparte życzenie, ażeby wstać i podejść do okna. Musiałem...

Nagle zadzwonił telefon. Chwyciłem słuchawkę i nie słuchając, czy ktoś coś mówi, krzyknąłem: „Przyjść! Przyjść natychmiast!”

I jakby mój przeraźliwy krzyk rozpędził wszystkie widma po najciemniejszych zakamarkach pokoju: w jednej chwili odzyskałem równowagę. Otarłem pot z czoła i wypilem szklankę wody. Zastanowiłem się następnie, co powiedzieć komisarzowi, kiedy przyjdzie. Podeszedłem wreszcie do okna, ukloniłem się i uśmiechnąłem.

A Clarimonde odkloniła się i uśmiechnęła.

Po pięciu minutach zjawił się komisarz. Opowiedziałem mu, że dotarłem wreszcie do sedna tej sprawy; niech jednak dzisiaj nie pyta mnie jeszcze o nic, wkrótce bowiem będę mógł wyjawić mu coś zaskakująco rewelacyjnego. Najzabawniejsze przy tym było, że obełgując go miałem całkowitą pewność, iż mówię prawdę. I teraz nawet jestem tego prawie pewny — wbrew własnemu przekonaniu.

Zorientował się chyba, że jestem w dość niezwykłym stanie psychicznym, zwłaszcza gdy zacząłem się usprawiedliwiać z tego, że z takim przerażeniem wołałem przez telefon, i starałem się wyjaśnić swoje zachowanie w sposób możliwie najnaturalniejszy — daremnie szukając jakiejś rozsądnej

przyczyny. Komisarz prosił mnie jak najprzejmiej, żebym się niczym wobec niego nie krępował, jest on zawsze do mojej dyspozycji, to jego obowiązek. Lepiej, żeby przyszedł tuziny razy niepotrzebnie, aniżeli żebym musiał raz czekać na niego, kiedy jego obecność będzie konieczna. Następnie zaproponował, żebym się wybrał z nim dokądś na dzisiejszy wieczór. Będzie to dla mnie rozrywką, bo przecież niedobrze, że ciągle przesiaduję w samotności. Przyjąłem jego zaproszenie, chociaż nie przyszło mi to łatwo: niechętnie opuszczam ten pokój.

Sobota, 19 marca

Byliśmy w *Gaieté Rochechouart*, w *Cigde* i w *Lune Rousse*. Komisarz miał rację: dobrze mi zrobiło, że wyszedłem trochę, odetchnąłem innym powietrzem. Początkowo dokuczało mi nieprzyjemne uczucie, jakbym popełniał coś niewłaściwego, jakbym był dezserterem, który umknął spod swojej chorągwi. Potem przeszło to jednak piliśmy sporo, śmieliśmy się i gadali.

Kiedy dzisiaj rano podszedłem do okna, wydało mi się, że w spojrzeniu Clarimonde dostrzegam wyrzut. Przypuszczalnie jednak przywidziało mi się to jedynie: skądże mogłaby wiedzieć, że wychodziłem wieczorem? Zresztą trwało to tylko chwilę, potem uśmiechnęła się znowu.

I cały dzień zszedł nam na naszej zabawie.

Niedziela, 20 marca

I dzisiaj znowu mogę tyle tylko zapisać: zajmowaliśmy się cały dzień naszą zabawą.

Poniedziałek, 21 marca

Przez cały dzień się bawiliśmy.

Wtorek, 22 marca

Tak, dzisiaj znowu to samo. Nic, najzupełniej nic innego. Czasami zapytuję siebie: I po cóż to, na co? Albo: Czego ja właściwie chcę, do czego to zmierza? Ale nigdy nie odpowiadam na te pytania. Pewne jest bowiem, że nie pragnę nic innego, tylko tego właśnie. I że cokolwiek się wydarzy, jest właśnie tym, za czym tęsknię.

Rozmawialiśmy ze sobą w ciągu ostatnich dni, nie słowami oczywiście. Często poruszaliśmy wargami, częściej jeszcze) patrzyliśmy tylko na siebie. Rozumieliśmy się jednak doskonale.

Miałem rację: Clarimonde robiła mi wyrzuty, że opuściłem ją w ostatni piątek. Prosiłem ją zatem o przebaczenie i przyznałem, że było to głupio i nieładnie z mojej strony. Przebaczyła mi, a ja przyrzekłem jej, że nigdy więcej się nie oddalę od tego okna. I ucałowaliśmy się, długo przyciskając wargi do szyb.

Środa, 23 marca

Wiem teraz, że ją kocham. Tak być musiało, ona przenika całą mą istotę aż do ostatnich jej tkanek. Możliwe, że miłość innych ludzi jest inna. Czy jednak wśród tysiąca milionów znajdą się dwie jednakowe głowy, dwoje takich samych uszu, dwie niczym się nie różniące dłonie? Wszystkie są

odmienne, tak też żadna miłość nie jest równa drugiej. Moja miłość jest dziwaczna, wiem to dobrze. Czy wskutek tego jest mniej piękna? Jestem dzięki tej miłości niemal szczęśliwy.

Gdyby tylko nie ten strach! Czasem zasypia, zapominam o nim wtedy. Ale tylko na kilka minut, potem się budzi i znowu mnie dręczy. Ten strach wydaje mi się mizerną myszką, która się zмага z wielkim, pięknym wężem, chcąc wywinąć się z jego mocnych splotów. Poczekaj tylko, głupi, mały strachu, wkrótce pożre cię ta wielka miłość.

Czwartek, 24 marca

Odkryłem coś: To nie ja prowadzę grę z Clarimonde — to ona mną się bawi.

Stało się to tak:

Wczoraj wieczorem myślałem — jak zawsze — o naszej zabawie. Zanotowałem sobie wtedy pięć nowych, bardzo skomplikowanych serii ruchów, którymi zamierzałem zaskoczyć ją rano, każdy ruch oznaczyłem numerem. Przećwiczyłem te serie, ażeby móc je wykonywać jak najszybciej w zaplanowanym, a potem odwrotnym porządku. Następnie według cyfr parzystych i nieparzystych, a wreszcie pierwsze i ostatnie ruchy wszystkich pięciu serii. Było to bardzo żmudne, ale sprawiało mi wielką przyjemność, zbliżało mnie do Clarimonde, chociaż jej nie widziałem. Ćwiczyłem się godzinami, ale w końcu wykonywałem bezbłędnie wszystkie serie.

Dzisiaj rano podszedłem do okna. Wymieniliśmy ukłony i zaczęła się zabawa. To tak, to znów tak, nie do wiary, jak szybko mnie pojmowała, jak niemal w tym samym mgnieniu oka powtarzała z całkowitą niemal dokładnością to, co robiłem.

Ktoś zapukał; był to służący, który przyniósł mi buty. Odebrałem je od niego, a kiedy wracałem do okna, mój wzrok padł na kartkę, na której

zapisalem swoje serie. I zobaczylem, ze nie wykonalem ani jednego z tych ruchow.

Omial nie upadlem, chwycilem poręcz fotela i ciężko się weń osunalem. Nie wierzyłem własnym oczom, czytałem kartkę raz za razem. Tak jednak było: wykonałem przy oknie cały szereg serii ruchów, ale ani jednej mojego pomysłu.

I znowu wróciło to samo wrażenie: jakieś drzwi otwierają się szeroko — jej drzwi. Stoję na progu i patrzę — nic — nic, tylko mroczna pustka. I nagle myśl: jeżeli wyjdę teraz, będę ocalony; i całkowita pewność, że teraz mogę wyjść. Nie wyszedłem jednak. A to dlatego, że uświadomiłem sobie jasno: odkryłeś tajemnicę. Trzymasz ją w dłoni. Paryż — zdobędziesz Paryż!

Przez jedno mgnienie oka Paryż znaczył dla mnie więcej niż Clarimonde.

...Ach, teraz już o tym nie myślę. Teraz odczuwam tylko miłość i ten cichy, rozkoszny lęk.

Ten moment wszakże dodał mi siły. Jeszcze raz odczytałem swoją pierwsze serię, zapamiętując dokładnie każdy ruch. I powróciłem do okna.

Dokładnie obserwowałem teraz, co robię: nie wykonałem ani jednego spośród zamierzonych przeze mnie ruchów.

Postanowiłem wtedy potrzeć nos wskazującym palcem. Ale ucałowałem szybę. Chciałem zabębnić palcami po parapecie, ale przesunąłem dłonią po włosach. Z zupełną pewnością uświadomiłem sobie, że Clarimonde nie powtarza moich ruchów, że ja robię to, co ona mi pokazuje. Czyni to zaś tak szybko, tak błyskawicznie, że zachodzi to w tej samej chwili, kiedy, jak mi się roilo, uzewnętrznia się akt mojej woli.

Ja zatem, który byłem tak dumny z tego, że wywieram wpływ na jej myśli, okazałem się tym, który zupełnie i całkowicie znalazł się pod jej wpływem. Ale cóż — ten wpływ jest tak subtelny, tak delikatny, że nie istnieje nic równie błogiego.

Podjąłem wszakże jeszcze inne próby. Włożyłem ręce do kieszeni i postanowiłem stać spokojnie. Zobaczyłem, jak Clarimonde podniosła rękę,

jak się uśmiechnęła i pogroziła mi lekko palcem. Nie poruszyłem się. Czułem, że moja prawa dłoń chce się wysunąć z kieszeni, lecz mocno wczepiłem palce w podszewkę. Z wolna jednak po kilku minutach palce się rozluźniły, dłoń wypełzła z kieszeni, a ramię się podźwignęło. Z uśmiechem pogroziłem Clarimonde palcem. Miałem przy tym wrażenie, jakbym nie ja to robił, lecz ktoś inny, kogo obserwowałem. Nie, nie — to nie było tak. Ja, właśnie ja to robiłem, a ktoś inny mnie obserwował. Ktoś, kto był mocny i chciał wyjaśnić niemałej wagi tajemnicę. Ale nie ja nim byłem...

Ja — cóż mnie obchodzi wyjaśnianie jakichś tajemnic? Ja jestem tutaj, ażeby zrobić to, czego chce ona, Clarimonde, którą kocham w najrozkoszniejszej trwodze.

Piątek, 25 marca

Przeciąłem drut telefoniczny. Nie mam chęci, żeby mi ciągle przeszkadzał ten głupi komisarz, zwłaszcza wtedy, kiedy nadejdzie ta osobliwa godzina.

Boże — czemuż ja to piszę? Przecież nie ma w tym ani słowa prawdy. To wygląda tak, jakby ktoś inny kierował moim piórem.

Ale ja chcę... chcę... chcę napisać, co się tu dzieje. Czynię to kosztem olbrzymiego wysiłku. Ale chcę to zrobić. Choćby tylko jeszcze raz... to... co ja chcę.

Przeciąłem drut telefoniczny.

...ach!...

ponieważ musiałem. Napisałem to. Wreszcie! Ponieważ musiałem, musiałem...

Staliśmy dzisiaj rano przy oknie i zabawialiśmy się. Od wczoraj jednak nasza zabawa się zmieniła. Clarimonde wykonuje jakiś ruch, a ja bronię się przed jego powtórzeniem, jak długo zdołam. Aż wreszcie muszę się poddać, czynić bezwolnie to, czego chce ona. I nie potrafię wyrazić, jaką wspaniałą

rozkosz daje to poczucie, że się jest zwyciężanym, to poddawanie się jej woli.

Bawiliśmy się. Nagle wstała, odeszła w głąb pokoju. Było tam tak ciemno, że nie mogłem jej dostrzec; jakby zginęła w ciemności. Wkrótce jednak ukazała się znowu, niosła w obu dłoniach aparat telefoniczny, zupełnie podobny do mojego. Postawiła go na parapecie, wzięła nóż, przecięła sznur i odniosła aparat z powrotem.

Broniłem się chyba przez kwadrans. Ogarnął mnie strach większy, niż kiedykolwiek przedtem, ale tym rozkoszniejsze było uczucie powolnego ulegania. Wreszcie przyniosłem telefon, przeciąłem sznur i postawiłem aparat z powrotem na stole.

Tak to się stało.

Siedzę przy stole. Wypiłem herbatę, właśnie służący zabrał naczynia. Pytałem go, która godzina, bo mój zegarek źle chodzi. Jest piąta piętnaście, piąta piętnaście...

Wiem, że gdy teraz spojrzę w jej stronę, Clarimonde coś zrobi. Zrobi coś takiego, co i ja będę musiał zrobić.

Spoglądam wszakże. Stoi tam i się uśmiecha. Teraz... o, gdybym mógł odwrócić oczy! — podchodzę do firanki. Zdejmuje sznur, jest on czerwony jak i ten na moim oknie. Robi pętle. Umocowuje sznur na haku wbitym w futrynę.

Siada i uśmiecha się.

Nie, tego, co teraz odczuwam, nie można już nawet nazwać strachem. Jest to przeraźliwa, mrożąca krew w żyłach groza, której nie wyrzekłbym się jednak za żadne skarby świata. Jest to przymus niepojęty zgoła, a jednak tak urzekający w swej okropnej nieuniknioności.

Mógłbym podbiec natychmiast i zrobić to, czego ona chce. Ale czekam, bronie się, walczę. Czuję wszakże, jak staje się to z każdą minutą coraz silniejsze.

...

Tak więc znowu siedzę tutaj. Podbiegłem szybko i zrobiłem, co chciała: zdjąłem sznur, zadzierzgnąłem pętlę, powiesiłem go na haku...

A teraz już tam nie spojrzę, będę patrzył tylko na ten papier. Wiem, co zrobi, kiedy znowu na nią spojrzę, teraz, o szóstej godzinie przedostatniego dnia w tygodniu. Jeżeli ją zobaczę, będę musiał zrobić, czego ona chce, będę musiał zatem...

Nie chcę na nią patrzeć...

Śmieję się głośno... Nie, to nie ja się śmieję, to coś we mnie się śmieje. I wiem z czego: z tego „nie chcę”...

Nie chcę, a wiem na pewno, że muszę. Muszę na nią spojrzeć, muszę, muszę to uczynić... a potem...

Czekam po to, ażeby jeszcze przedłużyć te udręki, tak, to prawda. Te zapierające dech w piersi cierpienia, które są najwyższą rozkoszą. Piszę prędko, prędko, żeby siedzieć tu jak najdłużej, przewlekać te sekundy męki, które potęgują nieskończenie rozkosze mej miłości.

Jeszcze więcej, jeszcze dłużej...

Znowu strach, znowu! Wiem, spojrzę na nią, wstanę, powieszę się: ale nie tego się boję. O, nie — to jest piękne, to jest urocze.

Ale jest jeszcze coś, coś innego, co przyjdzie później. Nie wiem, co to będzie, ale przyjdzie, przyjdzie na pewno, nieuchronnie. Szczęście moich udręk jest tak potwornie wielkie, że czuję, czuję, iż musi po nim przyjść coś niepojęcie straszliwego.

Tylko nie myśleć... Pisać coś, cokolwiek, obojętnie co — byle szybko, byle się nie zastanawiać...

Moje nazwisko... Richard Bracquemont, Richard Bracquemont Richard... o, nie mogę dłużej... Richard Bracquemont, Richard Bracquemont... teraz... teraz... muszę na nią spojrzeć... Richard Bracquemont... muszę... nie, jeszcze... Richard... Richard Bracque....



Ponieważ komisarz IX okręgu nie mógł się doczekać odpowiedzi na swoje telefony, pospieszył do hotelu *Stevens* i zjawił się w nim pięć po szóstej. W pokoju nr 7 znalazł zwłoki Richarda Bracquemonta wiszące na futrynie okna, tak samo jak zwłoki jego trzech poprzedników.

Tylko oblicze zmarłego miało wyraz zupełnie odmienny; wykrzywione było straszliwym przerażeniem, a szeroko rozwarte oczy występowały z orbit. Wargi rozsunęły się, a mocne zęby były silnie zaciśnięte.

Przylgnął do nich, zgryziony i zmiażdżony, wielki czarny pająk w dziwne fioletowe cętki.

Na stole leżał dziennik medyka. Komisarz przeczytał go i pospieszył natychmiast do domu naprzeciwno. Tam przekonał się, że mieszkanie na drugim piętrze od miesiący już nie było wynajęte i stało pustką.

Paryż, sierpień 1908

Przełożył Stefan Lichański

Karl Hans Strobl

ROZPUSTNA MNISZKA

Pewnej nocy zbudziłem się nagle z głębokiego snu. W pierwszej chwili zaskoczyło mnie, że w ogóle się zbudziłem; w ciągu dnia bowiem zajęty byłem przy rozbiórce Koszar Jezuickich i wróciłem bardzo zmęczony. Obróciłem się na drugi bok i usiłowałem zasnąć. Wtem usłyszałem krzyk, który spędził mi sen z powiek. Był to krzyk przerażenia — natychmiast poderwałem się na łóżku i usiadłem. Przede wszystkim starałem się skupić myśli. Jak to bowiem często się w nocy zdarza, nie wiedziałem, gdzie znajdują się drzwi, a gdzie okno. Wreszcie przypomniałem sobie, że potrafię spać tylko w jednej pozycji: z głową na północ, z nogami wyciągniętymi w kierunku południa — więc już wiedziałem, że drzwi znajdują się po prawej, a okno po lewej stronie. W łóżku obok spała moja żona spokojnym, cichym snem dziecka. Po chwili nasłuchiwania w napięciu znowu się położyłem, usiłując wmówić sobie, że to mi się tylko śniło. Lecz byłby to wyjątkowo szalony, mocno przeżywany sen, skoro krzyk wydobywający się z jego głębi tak wyraźnie wtargnął w mroki mojej świadomości. Zasnąłem dopiero po upływie dwu godzin.

W ciągu dnia nie miałem wiele czasu zajmować się myślami, które nieustannie wracały do owego snu. Wspinałem się po gruzach Koszar Jezuickich, nadzorując roboty, którymi kierowałem. Słońce prażyło niemiłosiernie, osnuwał mnie pył burzonych murów, kładł się na płuca. Punktualnie o jedenastej zjawił się jak co dzień dr Holzbock, prezes Archiwum Krajowego, aby się dowiedzieć, jak posuwa się praca. Ogromnie interesował się rozbiórką sędziwego budynku, którego najstarsze części pochodziły jeszcze z czasów założenia miasta. Ponieważ przedmiotem jego

badan była historia kraju, spodziewał się po sekcji tego czcigodnego „ciała” niejednego odkrycia. Staliśmy na wielkim dziedzińcu i patrzyliśmy, jak robotnicy burzą pierwsze piętro głównego skrzydła.

— Jestem przekonany — rzekł — że znajdziemy jeszcze dużo osobliwych rzeczy, kiedy dotrzemy do fundamentów. Na świadectwa przeszłości działa moc podobna fizycznej sile ciężenia — przyciąga je do ziemi. Nie umiem panu powiedzieć, jak urzekają mnie stare budowle, gdy mają taką bogatą historię jak ta. Najpierw dwór kupiecki, potem klasztor żeński, później twierdza jezuitów, wreszcie koszary. Zbudowana na stosunkowo wielkim obszarze starego, opasanego wałami miasta, była zapewne świadkiem wszystkich wydarzeń, wessała w siebie wszelkie przejawy życia, które pozostawiły na niej swoje ślady. Z tych pokładów, z tych warstw, których kolejność oznacza następstwo czasu, można by sporządzić geologię historii. Sądzę, że odkryjemy jeszcze niezwykle rzeczy w tych wiekowych murach — nie tylko garnki ze starymi monetami i ukryte pod tynkiem freski, lecz także zaklęte w kamień przygody, skamieniałe losy.

Tak mówił fanatyczny archiwariusz, a przed nami kilofy kruszyły mocne mury. Na górze odsłonięto arkady, i widziałem w wyobraźni następujące po sobie szeregi kupców, mniszek i jezuitów, którzy część swego życia spędzili pod ciężącym nad nimi szarym sklepieniem tych arkad.

Gdy doktor Holzbock ciągnął dalej swój rapsod, postanowiłem — jako że nie potrafię oprzeć się pokusom romantyki — któreś nocy odwiedzić tę ruinę. Pragnąłem odczuć na sobie urok niesamowitości, zawrzeć przyjaźń z duchami tego miejsca.

Tej nocy zbudziłem się dokładnie tak samo jak poprzedniej i za chwilę usłyszałem okropny krzyk. Byłem na to przygotowany i usiłowałem ustalić, skąd pochodzi. Ale w decydującej chwili ogarnął mnie niewytłumaczalny lęk, tak że nie zdołałem stwierdzić, czy ten krzyk dociera z wnętrza naszego domu, czy też z ulicy. Wkrótce potem zdawało mi się, że słyszę na ulicy i kroki biegnących ludzi. Do rana leżałem w niespokojnym pół śnie, szukając

wyjaśnienia dla tego zagadkowego krzyku. Gdy podczas śniadania opowiedziałem wszystko żonie, początkowo się roześmiała. Potem jednak rzekła zafrasowana: — Wydajesz mi się nerwowy, odkąd podjąłeś prace przy Koszarach Jezuickich. Może byś wziął urlop, niech koledzy cię zastąpią. Jesteś przemęczony, powinieneś dbać o swoje zdrowie. — Ale nie chciałem o tym słyszeć; kopanie w gruzach tego starego budynku, szukanie rzeczy, po których archiwariusz się tak wiele spodziewał, stało się moją pasją. Żona moja osiągnęła tyle tylko, że przyrzekłem zbudzić ją, jeśli znowu zostanie wyrwany ze snu.

Także tej nocy coś mnie poderwało. Spiesznie, z trwogą potrząsnąłem ramieniem żony, aby i ona czuwała; siedzieliśmy na łóżkach obok siebie. I oto rozległ się krzyk: przeraźliwy, zupełnie wyraźny — z dołu, z ulicy.

— Słyszysz... teraz... teraz...

Lecz żona zapaliła świecę i zaświeciła mi w twarz.

— Mój Boże, jak ty wyglądasz! Przecież nic nie ma. Ja nic nie słyszę.

Byłem tak wzburzony, że krzyknąłem na nią: — Milcz! O, teraz, teraz... oni biegną ulicą.

— Boli! — zawołała, ścisnąłem bowiem jej ramię, jak gdybym chciał ją przekonać przemocą.

— Nic nie słyszałaś?

— Nic, zupełnie nic.

Osunąłem się na poduszki. Zlany potem, wyczerpany jak po ciężkiej pracy fizycznej, niezdolny byłem odpowiedzieć nic uspokajającego na zatroskane pytania żony. Nad ranem, gdy wreszcie zasnęła, zdałem sobie sprawę, co powinienem uczynić, aby zachować zdrowe zmysły. W ciągu dnia byłem zupełnie zrównoważony i opanowany, udało mi się przekonać żonę, że się uspokoiłem. Podczas kolacji żartowałem ze swoich nocnych halucynacji i obiecałem, że będę spać do samego rana i nie przejmować się krzykiem i hałasem na ulicy. Przyrzekłem jej nawet, że po zakończeniu szczególnie odpowiedzialnych prac niezwłocznie wystąpię z prośbą o dłuższy urlop.

Ledwo jednak usłyszałem spokojny oddech żony, świadczący o tym, że zasnęła, wstałem i ubrałem się. Nie chciałem, aby owładnęły mną bezsensowne myśli, wziąłem więc *Krytykę praktycznego rozumu* Kanta i usiłowałem zatopić się w surowych i logicznych szeregach pojęć. Kiedy jednak zaczęła się zbliżać północ, ogarnął mnie znowu niepokój, nie mogłem czytać dalej. Niemożliwością było poddać się żelaznemu przymusowi książki. Coś silniejszego odciągało mnie od tej lektury. Cicho wstałem i wyszedłem przed dom. Zacząłem się trząść jak w febrze, a więc teraz, zaraz...

Wciśnięty w niszę bramy czekałem; musiałem zebrać całą swoją odwagę, ale byłem zdecydowany skończyć z tą nocną udręką szybkim wykryciem jej naturalnych przyczyn. W odległości dwudziestu kroków paliła się latarnia gazowa i rzucała światło na odcinek ulicy przed domem. Jakiś młodzieniec, który widocznie za dużo wypił, szedł wzdłuż frontonów kamienic po drugiej stronie, zatrzymał się przed bramą naprzeciwko i po kilku nieudanych próbach wreszcie ją otworzył. Słyszałem odgłos jego kroków jeszcze w sieni domu i na początku schodów. Potem znowu zapadła cisza... I nagle ciszę tę rozdarł płomień krzyku. Zatoczyłem się z powrotem w głęboki cień i chwyciłem się klamki, której metaliczny chłód wyraźnie czułem w dłoni. Zrozpaczony i nieprzytomny ze strachu, chciałem się ukryć. Ale mimo że nie zamknąłem przedtem bramy, nie mogłem jej teraz otworzyć. I już słyszałem na ulicy spieszne kroki wielu ludzi, coś obok mnie przemknęło. Nie mogłem rozpoznać, czy to cień tylko czy człowiek. W chwili kiedy to ujrzałem, wydawało mi się nie—ważkie, lecz pozostawiło pełne wrażenie cielesności: była to postać kobiety, która jak szalona pędziła ulicą, unosząc długą, falującą szatę, by nie zawadzała jej w biegu. A za nią w odległości niewielu kroków cała gromada mężczyzn w dziwnych strojach, nie pochodzących z naszych czasów. Przemknęli jak cienie, pozostawiając wrażenie cielesności. Nie wiem, jakie szaleństwo mnie ogarnęło i zmusiło, aby za nimi pobiec. Może było to podobne do szaleństwa na polu bitwy, które jest silniejsze od

strachu i pcha żołnierzy w sam ogień nieprzyjaciela. Nigdy jeszcze nie biegłem tak jak wtedy; był to nie tyle bieg, ile szybowanie, unoszenie się w powietrzu, coś, co znamy tylko ze snów. Wciąż widziałem przed sobą tę pogoń — przodem kobieta, za nią gromada mężczyzn. Wydawało mi się, jak gdybym biegł tak od dawna, a mimo to nie czułem żadnego zmęczenia.

Nagle kobieta znikła, widziałem jeszcze błędne kołowanie prześladowców, potem jak gdyby wszystko rozplynęło się w nocnym mroku. Ku swemu zdumieniu znajdowałem się przed furką w parkanie otaczającym rumowisko Klasztoru Jezuitów, nad którą umieszczona była tablica: „Nie zatrudnionym wstęp na plac wzbroniony”.

Szarpnąłem furką i wpadłem na plac. Stróż nocny stał tuż obok wejścia oparty o belkę i ukłonił się, widząc mnie raptem przed sobą.

Dumny, że mimo nagłego przybycia zastałem go na posterunku, wyprostował się i chciał mi złożyć meldunek, ale nie dałem mu dojść do słowa.

— Widzieliście może tę kobietę? Teraz właśnie... miała na sobie szarą, długą szatę, którą zebrała i uniosła... wbiegła tutaj...

— Nie, nie widziałem, panie inżynierze, nic a nic nie widziałem.

— Ale, do licha, przecież nie rozplynęła się w powietrzu. A może spaliście z otwartymi oczami?

Stróż był wielce urażony moim podejrzeniem i zapewniał z naciskiem, że nie spał, a jednak nic nie widział. Teraz sam zacząłem szukać. Pełzałem dookoła, zaglądałem do wszystkich zakamarków na dziedzińcu, nie omijając żadnego z pokoi i pokoików; nad poszarpanymi wskutek burzenia murami wisiała niby sklepienie rozjaśniona odblaskami miasta noc. Odważnie wspinałem się na niebezpieczne złomy murów, każdej chwili zagrażających runięciem, aby zajrzeć do pomieszczeń niedostępnych w inny sposób.

Potem znowu biegałem na wpół odkrytymi galeriami, gdzie na szerniałych malowidłach blask latarni uprawiał dziwaczną grę cieni. Kościół, ongiś otoczony całkowicie przez stare budowle, tak że tylko dach i

wieża wystrzelały nad szarym murem, teraz po większej części już odsłonięty, mieścił w sobie dużo kryjówek. Ale także tu nic nie znalazłem; z ciężką głową i uginającymi się kolanami wróciłem do domu; wciąż od nowa starałem się uporządkować sobie to, co widziałem, i nadać temu nowe znaczenie, ale coraz bardziej wszystko mi się gmatwało.

— Mam nadzieję, że dzisiaj w nocy nic nie słyszałeś? — zapytała mnie żona.

— Nie, spałem mocno — skłamałem i ukryłem głowę w miednicy, by nie zauważyła na mojej twarzy śladów nocnych przeżyć.

Tego dnia dokonaliśmy na rumowisku odkrycia, które archiwariusza wprowadziło w stan najwyższego zachwytu. Przy rozbiórce pięknego starego portalu, mającego znaczną wartość artystyczną, trzeba było zachowywać szczególną ostrożność, gdyż ów pomnik starej architektury miano ustawić w innym miejscu. Nad dwoma pilastrami o bogatej ornamentyce, z motywami kwiatów i owoców, wznosił się piękny łuk bramy wjazdowej. Na gzymsach nad tym łukiem stały posągi świętych w guście siedemnastego wieku, trzymając przed sobą swoje atrybuty niby hieroglify własnego losu.

Gdy chciano unieść świętego Jakuba z jego postumentu, głowa spadła z szyi i potoczyła się o kilka kroków dalej do sterty gruzów. W nasadzie głowy ujrzelśmy okrągłe cylindryczne wgłębienie, jak gdyby był tam ongiś wpuszczony żelazny trzpień, a kiedy zdjęto tułów, okazało się, że to wgłębienie ma swój ciąg dalszy w tułowi posągu.

Zganiłem robotników za nieostrożność, lecz dr Holzbock, który podniósł głowę posągu i przyglądał się jej uważnie, przerwał mi: — To nie jest nowe uszkodzenie, powstało już dawno. Oddzielenie głowy od tułowia nie jest przypadkowe, lecz zamierzone; wcale bym się nie dziwił...

W tej chwili podszedł do mnie jeden z robotników i podał mały zwój brudnego papieru.

— To było w tej dziurze — powiedział — może coś tam jest napisane...

Archiwariusz spojrział na mnie i wyjął mi zwój z rąk. Z wielką

pieczołowitością próbował go rozwinąć, wreszcie udało mu się rozpostrzeć papier na rysownicy w moim baraku i przytwierdzić pluskiewkami. Był to kawałek mocnego papieru, jakiego używano w dawnych czasach do spisywania najważniejszych akt i dokumentów. Nadaremnie usiłowałem zorientować się w gmatwaniu czerwonych i czarnych linii. Był to zapewne jakiś plan, choć jednak wyteżyłem swój umysł, skupiłem całą swoją wiedzę budowniczego, aby odgadnąć jego sens, na nic się to zdało. Wreszcie dałem za wygraną. Dr Holzbock oświadczył mimo to, że jest zdecydowany rozszyfrować treść papieru, i poprosił mnie, abym mu pozwolił zabrać ze sobą znaleziony zwój.

Powrócił jeszcze przed zakończeniem pracy i z daleka machał ręką. Uroczyście położył mi dłoń na ramieniu i poprowadził mnie przez małe boczne drzwi do kościoła, gdzie nikt nam nie mógł przeszkodzić.

Cudowne wieczorne niebo — w jego niezgłębionych purpurowoczerwonych i szmaragdowych otchłaniach płynęły na spotkanie nocy fiołkowe łodzie o białych żaglach — użyczyło osamotnionemu kościołowi nieco swych barw. Wysokie, barokowe, srebrne lichtarze były owiane różowym tchnieniem, święta Agnieszka na przeciwległej ścianie jakby ukryła swój smutek, a od jaskrawych refleksów światła twarz jej nabrała płonącej zmysłowości. Posągi świętych, ambona, aniołki pod emporami były odmienione; jak gdyby wyzwolone z przymusu dnia, cieszyły się na zapadnięcie nocy, kiedy to będą mogły czuć się zupełnie swobodnie i żyć życiem, o którym my nie mamy pojęcia.

Tymczasem archiwariusz wyciągnął z kieszeni zwój.

— Po pewnym zastanowieniu — zaczął — zdałem sobie sprawę, że plan, taki jaki jest, nie ma sensu albo raczej ukrywa swój sens. Kiedy przyglądamy się tej gmatwaniu kresek, przeczuwamy tylko, że mógłby to być jakiś plan, ale nie jesteśmy w stanie orzec, co on ma oznaczać. Wygląd papieru oraz znajdujących się gdzieś pod liniami liter pozwalają z dość dużą dozą pewności twierdzić, że plan pochodzi z siedemnastego wieku, mianowicie z

jego pierwszej połowy, a więc z czasów, kiedy w tej budowli mieścił się jeszcze żeński klasztor. Otóż znalazłem starą kronikę, a w niej dość częste i dość niepochlebne o nim wzmianki. Wie pan przecież, że wówczas niejedyn klasztor pomawiano o najdziwniejsze rzeczy. Tak więc i moja kronika może o tym klasztorze sporo zrelacjonować, lecz na ogół mało rzeczy budujących. Jeśli słuszne są nasze przypuszczenia, że znaleziony papier stanowi jakiś plan, to niewątpliwie kryje on tajemnicę starej budowli i umyślnie jest zagmatwany, aby osoby niepowołane go nie zrozumiały. Inne jeszcze rozważania potwierdzają te moje spekulacje. Portal, którego rozbiórkę pan dziś rozpoczął, znajdował się przy jednym z wewnętrznych ciągów.

— Tak jest. Zdobi bramę wjazdową skrzydła łączącego północny ciąg z południowym, mianowicie fronton położony naprzeciw tak zwanego dziedzińca Świętej Trójcy.

— No więc dobrze, nie uszło chyba pana uwagi, że szczyt portalu sięga wysokości drugiego piętra, tak że poszczególne postaci, to znaczy głowy posągów, bez trudu osiągalne są z okien tego drugiego piętra.

— Oczywiście. Możemy zaraz sprawdzić...

— Dajmy temu spokój, to jest zupełnie pewne. Głowy niektórych posągów, między innymi także głowę świętego Jakuba, można było zdejmować bez wielkiej fatygi z okien drugiego piętra; w sprytnie wydrążonym wgłębieniu dało się bardzo wygodnie ukryć niebezpieczny papier.

— Więc pan sądzi...

— Czy od razu panu nie powiedziałem, że to nie jest nowe uszkodzenie? No cóż, byłem głęboko przekonany, że za plątaniną linii naszego planu kryje się jakaś tajemnica. Ale jak miałem ją odgadnąć? Musiałem sobie wszystko dobrze przemyśleć, zanim zdecydowałem się na zastosowanie jakiegoś odczynnika chemicznego, gdyż istniało niebezpieczeństwo, że wszystko w ten sposób zniszczę. Jako badacz starych dokumentów miałem nieraz sposobność podziwiania różnorodnych, zmyślnych, sekretnych środków

średniowiecza, atrament sympatyczny odgrywa tam niepoślednią rolę. Najprostszy zaś rodzaj atramentu sympatycznego jest taki, że po jego wyschnięciu pismo staje się niewidzialne i występuje dopiero pod wpływem ciepła. W tym wypadku nie mogło być mowy o tego rodzaju atramencie, gdyż nasz plan był i tak dostatecznie pokreślony. Ale czy nie mógł tu zajść wypadek wręcz odwrotny? Że nic nie znaczące i zacierające sens linie znikną podczas nagrzewania papieru i pozostaną tylko te linie, które coś wyjaśniają. Tę próbę mogłem uczynić nie obawiając się uszkodzenia naszego skarbu. No więc, drogi przyjacielu, dokonałem tej próby i udała się całkowicie. Chce się pan temu przyjrzeć? — Dr Holzbock wydobył i zaświecił małą latarkę kieszonkową, po czym przyłożył plan do jej cylindra.

Czekaliśmy w milczeniu, wśród zapadającego zmierzchu, który naruszało tylko nieśmiałe światło latarki. Po kilku minutach zdawało mi się, że niektóre Unie bledną, wreszcie zupełnie zniknęły i pozostała tylko niewielka ich ilość.

— To najprawdziwszy plan, rzut poziomy — rzekłem.

— Pana zadaniem będzie odczytanie go.

W jednej chwili zorientowałem się. — Tu mamy dziedziniec Świętej Trójcy, tu jest krużganek, tu oznaczony jest kościół, a z zakrystii... ale co to? Tym liniom nie odpowiada żadna z budowli, to chyba... tak, to niewątpliwie podziemne przejście prowadzące poza mury klasztoru.

Archiwariusz nie posiadał się z radości, że jego domniemania znalazły potwierdzenie. Ja także byłem podekscytowany, gdyż sądziłem, że to odkrycie w jakiś sposób wiąże się z moimi nocnymi przygodami. Już miałem opowiedzieć o tym archiwariuszowi, jednak powstrzymało mnie jakieś dziwne onieśmielenie. Zawsze unikałem rozwodzenia się o sprawach, które dopiero zaczynają kiełkować, obawiałem się oddziaływania wypowiedzianych głośno słów. Słowo jest potężniejsze, niż to przypuszcza nasz „zdrowy”, rozum, słowo oddziałuje na przyszłość w sposób tajemniczy i niezawodny.

Lecz dr Holzbock widocznie coś po mnie poznał, bo zapytał prawie z

troską: — Co panu jest? Tak dziwnie pan wygląda.

Nie mówiąc nic pociągnąłem go do zakrystii. Tutaj zacząłem badać ściany, kierując się pomiarami podanymi w planie. Stwierdziłem, że tam, gdzie miałyby znajdować się początek podziemnego przejścia, stała przy ścianie wielka szafa. Była to jedna z owych wielkich kolubryn, jakie zawierały kiedyś całe bogactwo ornatów i kosztowności, okaz starej, solidnej sztuki stolarskiej). Potwór ciężki jak blok skalny, zdobiony bogato rzeźbą, kolos sięgający od podłogi do sufitu. Wedle archiwariusza szafa ta pochodziła z szesnastego wieku. Obaj byliśmy przekonani, że wejście znajduje się za szafą, ale też zdawaliśmy sobie sprawę, że tego potwora nie sposób będzie ruszyć z miejsca bez znajomości tajnego mechanizmu.

— Na dziś już dość — oświadczył dr Holzbock i nalegał, abym i ja poszedł do domu, chociaż początkowo chciałem pozostać na noc w zakrystii, jak gdybym musiał strzec jakiegoś skarbu przed złodziejami.

Znaleziony plan oraz nadzieje, jakie z nim wiązaliśmy, tak mnie pochłaniały, że żona twierdziła, iż jestem zupełnie wytrącony z równowagi. Tak długo mnie molestowała, aż jej przyrzekłem, że wcześniej, niż zamierzałem, poproszę o urlop. Chociaż byłem zdecydowany tej nocy pozostać w łóżku, nie troszcząc się o nocne hałasy, jakieś dziwne uczucie, w którym obawa splatała się z ciekawością, kazało mi wstać i oczekiwać na ulicy owej ponurej godziny.

Wybiła dwunasta i zaraz potem usłyszałem przeraźliwy krzyk. Odgłos biegnących ludzi zbliżał się, gonitwa przemknęła tuż obok mnie, dokładnie tak jak poprzedniej nocy. Tym razem wyraźnie widziałem, że kobieta ma na sobie długą szatę mniszki, rozchyloną na piersi, narzuconą jak gdyby w pośpiechu. Przez chwilę zwróciła ku mnie swoje oblicze, blade, piękne oblicze o czarnych oczach, wysyłających dziwne światło. Znowu coś mnie popchnęło, aby tropić tę pogoń, i znowu wszystko zniknęło przed otaczającym plac rozbiórki parkanem. Zdawało mi się jednak, że wyraźnie widziałem, jak prześladowana kobieta szarpnęła furtkę i wbiegła na plac.

— Znowu nic dziś nie zauważyliście — ofuknąłem nocnego stróża. Ten cofnął się bojaźliwie i zapewnił mnie, że nic nie widział.

— Ale ja wiem na pewno, że ona tu wbiegła. Musieliście ją widzieć!

Gdy stróż nadal obstawał przy swoim, że nie dostrzegł ani kobiety, ani w ogóle nikogo, odepchnąłem go i zacząłem szukać. Nie uświadamiając sobie, czemu właściwie tak się zapaliłem, by sprawdzić wszystko gruntownie, drapałem się po rumowiskach, badałem złomy murów i stokrotnie zdawało mi się, że w głębokim cieniu widzę kobietę w długiej szacie mniszki. Raz nagle się obejrzałem, w przekonaniu, że skrada się za mną w świetle księżyca, a jest tak blisko, że słyszę jej oddech. Otworzyłem drzwi do kościoła — jakieś niejasne przeczucie nakazało mi zabrać ze sobą klucz i ukryć go w kieszeni surduta. W tej chwili nie pomyślałem, że kobieta nie mogła szukać schronienia w zamkniętym kościele. Kiedy się przekonałem, że nie ma tam ani żywej duszy, wszedłem do zakrystii i wyciągnąłem plan. Księżyc rzucał jasne zielone światło na starą szafę, tak że zdobiące ją esy-floresy wyglądały, jakby były z brązu. Piękne rzeźby wynurzały się z brązowozłocistego tła, figlarne putta jakby ożyły w tym świetle. Obraz nad starą szafą, na który nie zwróciłem uwagi za dnia, teraz rzucił mi się w oczy. Był to stary obraz, przyciemniony dymem kadzideł i płomykami świec, tylko oblicze świętej, którą chyba przedstawiał, wychylało się z tła niby z cieni stuleci. A może to nie oblicze świętej, lecz portret kobiety, która ongiś żyła w tych murach? Wydawał mi się bardziej ożywiony i ludzki niż obraz święty, a teraz, w zielonej poświacie księżyca, miałem wrażenie, że już tę twarz kiedyś widziałem. Ciemne płomienne oczy paliły mnie żywym ogniem.

Drżałem, ogarnięty niewytłumaczalnym strachem. Nagle nasunęła mi się niepokojąca myśl. Często mamy uczucie, że jedna z myśli, które nam przychodzą nagle do głowy, wcale nie powstała w naszym umyśle, nie jest nasza własna, lecz jak gdyby przybyła z zewnątrz, została nam przekazana przez kogoś obcego. Doznanie to było tak silne, że miałem wrażenie, iż wypowiedział je ktoś, kto stał obok mnie i chciał mnie ostrzec... ostrzec

cichym kobiecym głosem. Tak jest, ostrzec... gdyż ta obca myśl zawierała ostrzeżenie. Było to tak, jak gdyby ktoś mi szeptał, żebym zaniechał szukania tego podziemnego przejścia, jakie było zaznaczone na planie. Chciałem się z tego otrząsnąć, usiłowałem wytłumaczyć sobie, że powstała wskutek panującej tu osobliwej ciszy, tego jakby kadzidłem przesyconego milczenia.

W starych murach zakrystii, poruszonych zapewne wstrząsami przeprowadzanych robót rozbiórkowych oraz burzeniem przyległych budynków, stale coś szeleściło, szemrało. Światło księżycy zdawało się być przepełnione tym szelestem, jak gdyby składało się z ziarenek srebrzystego piasku przesypującego się w klepsydrze czasu. Im bardziej starałem się zająć tymi obserwacjami, tym uporczywiej wracało ostrzeżenie, żebym zaniechał swych zamiarów, bo ściągnę na siebie wielkie nieszczęście.

Wciąż od nowa kurczowo usiłowałem skupić uwagę na osobliwej grze księżycowej poświaty, lecz coraz natarczywsza i drążąca stawała się owa obca myśl. Przez chwilę miałem wrażenie, że ktoś położył rękę na moim ramieniu i szepce mi coś do ucha. Potem poczułem wyraźnie, jak obca wola usiłuje mną ovladnąć. Podniosłem wzrok i spojrzałem w ciemne, płonące oczy obrazu nad szafą...

I nagle uświadomiłem sobie, że przedtem, gdy mijała mnie pogoń, widziałem ten wzrok — były to oczy owej prześladowanej kobiety. Chociaż nie jestem tchórzem, przeraziłem się tak bardzo, że straciłem przytomność umysłu. Nie wydałem okrzyku, nie uciekłem, ale uczyniłem coś dużo gorszego: powoli, z oczami utkwionymi w oczach obrazu, cofałem się krok za krokiem, jak gdybym chciał ująć grożącemu mi poważnemu niebezpieczeństwu. Ścisnąłem przy tym w rękę klucz od kościoła, tak jak używa się pierwszego lepszego przedmiotu jako broni przeciwko napastnikom osaczającym nas w nocy. Wreszcie znalazłem się w kościele i zatrzasnąłem za sobą drzwi od zakrystii. Echo odbiło się pod niewidzialnym w ciemności sklepieniem. Obrazy i posągi jak gdyby zmieniły swoje miejsca i spoglądały na mnie szyderczo. Co prędzej wybiegłem z kościoła.

Resztę nocy spędziłem bezsennie. Chociaż zdrzemnąłem się dopiero o brzasku, wcześniej się zbudziłem: chciałem bowiem rozpocząć od razu robotę w zakrystii. Mimo nocnego ostrzeżenia byłem zdecydowany odszukać to przejście — za dnia strach nie miał nade mną mocy, która by mogła mnie powstrzymać.

Kiedy przyszedłem na plac, archiwariusz już tam był, gnała go taka sama niecierpliwość jak mnie. Wybrałem kilku zręcznych robotników i udzieliłem im wskazówek, jak mają zabrać się do poruszenia z miejsca olbrzymiej szafy. Wiszący nad nią obraz, na który spojrzałem z pewnym niepokojem, wydawał się zwykłym tuzinkowym malowidłem, ukrytym pod grubą warstwą brudu; widać na nim było niewiele więcej niż bladą plamę — twarz świętej. Nie miał w sobie nic niesamowitego. Właśnie chciałem zapytać archiwariusza, co sądzi o tym obrazie, gdy on zwrócił się do mnie: — Niech pan posłucha — powiedział. — W tym żeńskim klasztorze musiały się dziać niezgorsze rzeczy. Wczoraj późnym wieczorem znowu zabrałem się do kroniki i sądzę, że to podziemne przejście zdradzi nam niejedną ciekawostkę. Zdaje się, że już panu wzmiankowałem, co kronika opowiada o tym klasztorze. Wczoraj przeczytałem wszystko raz jeszcze, bo spodziewałem się, że znajdę jakieś punkty oparcia dla naszych dociekań. Obawa mniszek przed zniesławieniem klasztoru w tym wypadku ustąpiła miejsca dzikiemu bezwstydnemu. Oddawano się tu otwarcie najgorszej rozpuście; jak z kroniki wynika, brzęk kielichów i bezczelne śmiechy rozlegały się często przez całą noc ku zgorszeniu całej ludności z sąsiedztwa. Było to chyba pewnego rodzaju szaleństwo, obłąd, który ogarnął cały klasztor i popychał mniszki do wyuzdanych orgii. Często gęsto mieszkańcy miasta widzieli, że kościół także jest rżęście oświetlony, a z panującego tam hałasu mogli wywnioskować, że i w domu bożym wyprawiano rozpustne orgie. Duchownych miejskich ściągano, by uczestniczyli w tych uctach, a jeśli początkowo wpuszczano ich do klasztoru tylko nocą i po kryjomu, to później przychodzili zupełnie jawnie w biały dzień. Widziano mężczyzn o obrzękłych od alkoholu

twarzach, jak zataczając się wychodzili z klasztoru, a na dziedzińcach i w ogrodzie klasztornym snuły się pijane mniszki. Nie można dziwić się pobożnym mieszczanom, oburzonym gorszącymi zajściami za murami klasztoru, że donieśli o tym biskupowi. Biskup przyjechał, aby sprawę zbadać osobiście, ale znalazł jedynie gromadkę pobożnych mniszek, które prowadziły w klasztorze bogobojny, kontemplacyjny, poświęcony modlitwom żywot, jak przystoi oblubienicom Chrystusa. Duchowieństwo miejskie potwierdziło tylko to, co stwierdził biskup. Potwarcom i donosicielom wytoczono proces, sąd pod naciskiem autorytetu biskupa nałożył na nich dotkliwe kary. Kiedy zaś biskup odjechał, bezwstydnym wybryki i orgie rozpoczęły się na nowo. Ale nikt już nie ważył się donosić o tym władzom kościelnym z obawy przed karą. Najbardziej rozwydrzona z mniszek była siostra Agata. Wkrótce już nie zadowalały jej uczyty odbywające się w obrębie murów klasztornych. Była to zapewne bardzo dziwna kobieta, o potwornych szatańskich popędach, nienasycona jak drapieżne zwierzę; wszystkich i wszystko porywała za sobą i doprowadzała do zguby. Kronika opowiada, że tajemnym korytarzem opuszczała klasztor i włóczyła się po mieście. Spędzała noce w domach publicznych, w spelunkach przedmiejskich wśród szumowin, motłochu, graczy i pijaków, jak gdyby do nich należała. A przecież była wysoko urodzona, pochodziła z jednej z najszlachetniejszych rodzin w kraju. Wszystkie występki jej rodu, skrzętnie ukrywane przez całe generacje, przejawiały się u niej w najohydniejszy sposób. Jeśli spodobał jej się jakiś młodzieniec, usidlała go i już nie wypuszczała ze swych szponów; rozpustna, dzika jak bachantka, porywała go, ściągała na dno. Wkrótce znano ją już w całym mieście i mówiono o niej jak o zmorze, o widmie. Nazywano ją „rozpustną mniszką”. Otóż zdarzyło się, że zawleczono do miasta francuską chorobę. Także Agata się zaraziła, ale nie potrafiła pohamować swego rozpasanego trybu życia. Jak dawniej tańczyła w szynkach, przesiadywała wśród szumowin i niby wampir napadała młodych ludzi na ulicy... Ale co panu jest — przerwał dr Holzbock swoją opowieść —

wygląda pan, jakby był chory. — Potrząsnąłem głową i poprosiłem, by chwilę zaczekał z dalszym opowiadaniem, ponieważ chciałem sprawdzić, jak posuwa się robota. Dookoła olbrzymiej szafy zerwano podłogę, na ścianach zdrapano tynk, ale nie udało się przesunąć jej ani o milimetr.

— Wydaje się niemal — powiedział majster — że szafa jest wmurowana w ścianę.

Nie mogło być inaczej, ale widocznie wprawiono ją w mur już wówczas, gdy budowano zakrystię. Tak więc albo nasz plan był mistyfikacją, albo...

Spojrzeliśmy na siebie, i archiwariusz wypowiedział moją myśl: — Droga prowadzi przez szafę.

Byłem wzburzony, podniecony do ostatecznych granic, wściekły na nową zwłokę i nowe przeszkody.

— Ale jak się dowiemy, w którym miejscu jest ten korytarz? Musielibyśmy całą szafę połamać na kawałki, a tego nam nie wolno, należy ona do inwentarza kościelnego. Co mamy począć? — archiwariusz był niemal równie wzburzony, jak ja.

Podczas gdy dr Holzbock się zastanawiał, badałem całą szafę, naciskałem wszystkie wypukłe ornamenty, wyciągałem wszystkie szuflady, jeśli nie były zamknięte, mierzyłem, porównywałem wymiary — z nikłą nadzieją, że może jakiś szczegół zdradzi istnienie tajnych drzwi.

— Niech pan się nie fatyguje — powiedział archiwariusz — ta szafa strzegła swej tajemnicy przez wiele pokoleń, więc i nam także nie zdradzi jej tak od razu. Musimy poszperać w archiwach, może...

Dalej już nie słuchałem; podczas gdy oczyma mierzyłem wysokość szafy, wzrok mój musnął wiszący nad nią obraz. I nagle wydało mi się, że właśnie ten obraz dostarczy mi klucza do zagadki. Ku zdumieniu archiwariusza kazałem przystawić do szafy drabinę i wszedłem na nią. W tak bezpośredniej bliskości bladego oblicza, oko w oko z nim, znowu poczułem ogarniającą mnie grozę, tak jak w nocy. Ale opanowałem się i zacząłem badać portret. Gruba warstwa brudu nie pozwalała nawet z bliska dojrzeć nic ponad to, że

namalowana postać miała na sobie rodzaj habitu, podczas gdy głowa nie była osłonięta welonem czy kornetem i wydawała się obramowana włosami. Dziwne włosy, zmierzwione, podobne raczej do węży, tak jak się maluje głowę Meduzy. Lecz zły stan obrazu nie pozwalał na jego właściwą ocenę. Kobieta miała na szyi jakiś wisiołek. Nie był to krzyż, jakie zazwyczaj widuje się u mniszek, lecz rodzaj broszki, po prostu ozdoba, ornament. Wyglądał jak lilia zamknięta w wielokącie. Wydawało mi się, że ornament ten widziałem na szafie, lilię na tle sześciokąta, romba czy też pięciokąta — jak tutaj.

— Doktorze — zawołałem schodząc z drabiny — zdaje się, że wpadłem na trop zagadki!

— I znalazł go pan tam na obrazie?

— Chyba tak. Lilia na tle pięciokąta jest kluczem. Szukajmy więc.

Chociaż dokładnie zdawałem sobie sprawę, że ornament ten już widziałem, byłem tak zaskoczony, że nie od razu go odnalazłem. Fragmenty szafy rozpływały mi się w oczach jak we mgle i daremnie walczyłem z ogarniającym mnie znużeniem, którego teraz, w tej decydującej chwili, nie umiałem sobie wytłumaczyć. Czułem się mniej więcej tak jak człowiek, który powoli zamarza. Lecz właśnie dr Holzbock zawołał: — Oto jest lilia na tle pięciokąta! I co dalej?

Nagle odzyskałem całą energię, jak gdybym znalazł się przed czymś nieodwracalnym i nie było już żadnych wątpliwości, jaki obrót wszystko to weźmie.

Badalem lilię, robotnicy otaczali nas, przyglądając się z zaciekawieniem.

Pod dotknięciem mojej ręki drewno trochę się poddało, nacisnąłem z całych sił — przez starą szafę przeszedł jęk pochodzący z najgłębszych głębin, i cienka szpara przecięła ją od góry do dołu. Wparliśmy się ramionami, lecz zardzewiałe, przez stulecia nie używane zawiasy poruszały się z wielkim trudem. Musieliśmy otwierać drzwi stopniowo, napierając na nie, i mieliśmy w ten sposób dość czasu, aby podziwiać zmyślny sekretny

mechanizm. Ta część szafy składała się jak gdyby z poszczególnych członów, kiedy jednak naciskałem na lilię, te pozornie podzielone płaszczyzny połączyły się, tworząc drzwi. W miarę otwierania się tych drzwi szuflady rozsuwały się na prawo i na lewo — i oto znaleźliśmy się przed tylną ścianą szafy. Tutaj już bez trudu znalazłem guzik, który trzeba było nacisnąć, aby i te drzwi się otwały. Za nimi widać było ciemny szyb podziemnego korytarza.

Chciałem tam wbiec, lecz archiwariusz mnie powstrzymał: — Cierpliwości, musimy najpierw sprawdzić, czy można oddychać tamtym powietrzem.

Przywiązano do kija świecę i wsunięto do korytarza. Paliła się wielkim płomieniem, topniejąca stearyna ściekała w ciemność wielkimi kroplami.

Weszliśmy do korytarza.

Kilka stopni w dół, potem prosto przed siebie, potem znowu kilka stopni w dół, i znowu prosto przed siebie.

— Sądzę, że znajdujemy się na tajemnej drodze „rozpustnej mniszki” — szepnął archiwariusz. On tylko sądził, ja nie miałem najmniejszych wątpliwości. Choć powietrze było tu znośne, poczułem się nieswojo.

— Jezus Maria Józefie święty! — zawołał nagle robotnik, który szedł przodem z zapaloną świecą i zatrzymał się raptem w miejscu. Ściany tutaj cofnęły się w mrok, korytarz kończył się jak gdyby kryptą. Pośrodku stały na drewnianych podpórkach cztery trumny. Zupełnie proste, gładkie trumny, których kształt wskazywał na to, że pochodzą sprzed kilkuset lat.

Archiwariusz uniósł wieko jednej z trumien, leżała w niej mniszka o twarzy wysuszonej jak u mumii, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Habit na niej zetlał, tak że gdzieś tam przez dziury przeświecało ciało, które oparło się rozkładowi.

Unieśliśmy wieka pozostałych trumien. W czwartej leżała Agata, „rozpustna mniszka”. Natychmiast ją poznałem — to ona pędziła, mijając mój dom, prześladowana przez zgraję wściekłych mężczyzn, to była kobieta

z portretu w zakrystii.

Stojący obok mnie archiwariusz zapytał:

— Wie pan, że wśród tych zwłok powinna też być siostra Agata, „rozpustna mniszka”?

— Wiem, to tamta. Poznają ją. Niech pan spojrzy, o ile lepiej się zakonserwowała niż inne. Widać, że tamte to prawdziwe trupy, ale ona...

Dr Holzbock ujął moją dłoń. — Musimy jak najprędzej wydostać się z tego korytarza — rzekł. — Powietrze tutaj wydaje się niebezpieczne. Naprzód!

Posunęliśmy się niewiele dalej. Jeszcze trzydzieści kroków, i musieliśmy się zatrzymać. Część stropu zawaliła się i zasypała korytarz. Według mojego obliczenia znajdowaliśmy się pod ulicą i stwierdziłem, że strop runął dopiero niedawno, prawdopodobnie wskutek wstrząsów spowodowanych przez wozy ciężarowe, którymi wywożono gruzy starego gmachu. Ponieważ groziło niebezpieczeństwo, że zawałą się dalsze części stropu, poleciłem natychmiast przebić tunel od ulicy, wszystko dokładnie zbadać i podjąć środki ostrożności, aby zapobiec jakiemuś nieszczęśliwemu wypadkowi. Potem wróciliśmy do krypty. Mijając trumny przekonałem się, że moje spostrzeżenia były trafne. Ona istotnie wyglądała inaczej niż tamte trzy mniszki, prawie tak, jakby była żywa. Skórę miała jędrną, o delikatnym zabarwieniu, czoło gładkie, lśniące. Wciąż jeszcze była piękna i w świetle świecy wydało mi się, że mruży powieki, jak gdyby ukradkiem śledziła nas przebiegłym wzrokiem.

Kiedyśmy dotarli do zakrystii, musiałem usiąść. Byłem bez tchu, nogi się pode mną uginały.

— Muszę panu wytłumaczyć, dlaczego twierdzę, że jedna z tamtych mumii jest siostrą Agatą — odezwał się archiwariusz. — Dowiedziałem się o tym z dalszego ciągu mojej kroniki. Zaraza, której kapłanką była Agata, szerzyła się, aż wreszcie mieszczaństwo, dając upust swemu oburzeniu, postanowiło rozprawić się z „rozpustną mniszką” w okrutny sposób.

Czatowano na nią, aby ją zamordować. Lecz niebezpieczeństwo jak gdyby dodało bodźca jej awanturniczym zamiłowaniom. Szalała jeszcze bardziej niż przedtem i, dziwna rzecz, znajdowała zawsze sporo obrońców, młodych ludzi, którzy się w niej kochali, choć wiedzieli, że zostali przez nią зараżeni. Byli pod jej urokiem, bez reszty opętała ich ciała i zmysły. Pewnego dnia jednak uzbrojeni ludzie nadciągnęli pod mury klasztoru i zażądali wydania siostry Agaty, grozili, że szturmem zdobędą i podpalą klasztor, jeśli „rozpustna mniszka” nie będzie im wydana.

Przeorysza zmuszona była prowadzić rokowania z buntownikami. Przyrzekła ukarać Agatę i poprosiła o trzy dni zwłoki. Tym rozsądniejszym spośród tłumu udało się przekonać resztę i propozycję przyjęto. Gdy upłynęły trzy dni, ludzie znowu stawili się przed klasztorem; przeorysza oświadczyła, że siostra Agata nagle zachorowała i umarła. Kronika nic o tym nie wspomina, czy naprawdę jakiś przypadek przyszedł przeoryszy z pomocą, czy też dla uspokojenia wzburzonych umysłów popełniono zbrodnię. W tamtych czasach to pierwsze było równie prawdopodobne, jak i drugie. Lecz takie rozstrzygnięcie nie przyniosło upragnionego spokoju. Mimo że odbył się pogrzeb, że trumnę spuszczone do ziemi i można było się przekonać, że na nagrobku wyryte zostało imię „rozpustnej mniszki”, szerzyły się pogłoski, że Agata żyje. Dawniej często się zdarzało, że ludzie nie chcieli uwierzyć w śmierć osoby albo bardzo kochanej, albo znienawidzonej — tak też było z siostrą Agatą. Podobno widywano ją tu i ówdzie, opowiadano o jej awanturnicznych wyprawach, kiedy to polowała na młodych mężczyzn, i wreszcie ludzie doszli do przekonania, że przeorysza odegrała komedię, aby ocalić Agatę przed groźącym jej niebezpieczeństwem. Inni, skłonni uwierzyć w jej śmierć, uważali, że zbezczeszczono świętą ziemię cmentarną, grzebiąc zwłoki rozpustnicy obok ciał szacownych i pobożnych mieszczan. Jedni i drudzy domagali się otwarcia grobu, aby mogli się przekonać, czy Agata została tam naprawdę pochowana. Kronika głosi, jakoby wybuchła prawdziwa rebelia, kiedy, znalazłszy grób pusty, ludzie udali się pod mury

klasztoru. Z okna pokazano im zwłoki mniszki — posypały się na nią kamienie i kawały drewna, oddano do niej strzał. Kronika dodaje, że wśród oburzonych największym gniewem pałali młodzi ludzie, którzy kochali się w Agacie za jej życia. Kiedy w klasztorze przekonano się, że nawet śmierć nie obroni Agaty przed nienawiścią jej prześladowców, złożono zwłoki w krypcie, gdzie chowano mniszki, które z jakichś powodów zostały zgładzone. Tę kryptę dziś odnaleźliśmy. Położona jest na drodze, którą zwykle obierała siostra Agata, wymykając się na swoje nocne wyprawy.

— Tak to jest — rzekłem.

— A teraz proszę mi powiedzieć, skąd ma pan taką pewność, że znaleźliśmy „rozpustną mniszkę”? Przecież nie słyszał pan końca mojej historii. Jak zdołał pan stwierdzić, że właśnie ta, a nie inna mumia jest siostrą Agatą? I co pana skłoniło, aby właśnie na tym portrecie szukać jakiegoś znaku, który by nam dopomógł w naszych dalszych dociekaniach?

Cóż miałem powiedzieć archiwariuszowi? Czy mogłem zrelacjonować swoje nocne przeżycia? Próbowałem skierować go na właściwą drogę, zadając z kolei pytanie: — Czy nie widzi pan podobieństwa pomiędzy tym portretem a tamtą mniszką w krypcie?

— Nie — odparł dr Holzbock przyglądając się portretowi, który teraz, w jasnym przedpołudniowym słońcu, był wyraźnie widoczny — zresztą należałoby mu się przyjrzeć z bliska... — Przystawił drabinkę, która jeszcze stała w kącie. Ale nie zdołał zdjąć obrazu ze ściany. Ja zaś nie chciałem przykładać do tego ręki. Zawołałem dwóch robotników, aby mu przyszli z pomocą, i odszedłem, nie mogłem się bowiem pozbyć przesądnej myśli, że ten portret powinien zostać na ścianie. Moje nocne zjawy miały nade mną władzę także i w biały dzień. Czułem się wplątany w bardzo dziwną historię, i ogarniało mnie przerażenie, że nie mogę się z tego wywikłać. Jak gdyby zarzucono mi pętlę na szyję. Gdy w świetle słońca stałem na placu w tumanach kurzu i wśród zgiełku pracy, podjąłem niezłomną decyzję: bez względu na skutki, jakie to za sobą pociągnie, jutro zawiadomię swoich

zwierzchników, że jestem chory, i poproszę o urlop. Ale tej nocy chciałem jeszcze doprowadzić do końca swoje obserwacje; byłem przekonany, że coś musi się rozstrzygnąć.

Po kwadransie przyszedł archiwariusz z obu robotnikami i powiedział, że w żaden sposób nie udało im się zdjąć obrazu ze ściany — musieliby złamać ramę albo wyciąć z niej płótno.

— Niech pan nie wzrusza ramionami — rzekł. — Robi pan taką minę, jakby wiedział o tych dziwnych, tajemniczych sprawach więcej, niż to głoszą moje kroniki. Będzie mi pan musiał zdradzić, co pan wie, gdyż mam zamiar napisać do *Kart Związku Historyków* artykuł o naszym odkryciu.

Z tymi słowy odszedł, pozostawiając wrażenie bardzo poczciwego, uczonego człowieka, pozbawionego jednak wszelkich romantycznych inklinacji.

Dzień zdawał się ciągnąć bez końca. Wszystkie godziny miały szare oblicza i przesuwwały się niby znudzone, ospałe cienie. Gdy nadszedł wieczór, żona dostrzegła moje wzburzenie, i tylko solenna obietnica, że już jutro przerwę pracę, zdołała ją uspokoić. Wybiła jedenasta, a na jej stoliku wciąż jeszcze paliła się świeca. Właśnie dzisiaj nie mogła zasnąć, a ja szalałem z obawy, że moje zamiary obrócą się wniwecz. Wreszcie — zbliżała się dwunasta — żona pochyliła się nade mną; udałem, że śpię, więc z westchnieniem zgasła świecę i po kilku minutach spała tak mocno, że nie słyszała, jak po cichu wstałem i opuściłem pokój. Właśnie wychodziłem przed bramę, kiedy na wieży starego kościoła klasztornego wybiła dwunasta. Usłyszałem krzyk, potem tupot biegnących ludzi, i oto pędem minęła mnie kobieta — była to Agata — spojrzała na mnie swymi niesamowitymi płonącymi oczyma, a zaraz potem ukazała się sfera jej prześladowców. Ruszyłem za nimi.

I znowu to samo unoszenie się w powietrzu i szybowanie niby we śnie, domy po prawej i lewej jak wąwozy wytyczały nam drogę. Tylko dwie rzeczy widziałem z całą wyrazistością: tłum prześladowców przede mną, a

nad nimi nocne niebo, pokryte niezliczonymi białymi chmurkami, niby wezbrana rzeka na wiosnę z pływającą na niej krą. W szparach i rysach chmur od czasu do czasu wynurzał się sierp księżyca, łądz na ciemnej, przepastnej wodzie nieba.

Teraz pogoń była już przy parkanie otaczającym plac rozbiórki i postaci przede mną znikły. Lecz nie było to niezdecydowane krążenie tam i sam, jak dotąd, wszystko jak gdyby zostało we—ssane przez wielki lej. Wydało mi się, że zjawy kłębiły się i unosiły niby słup dymu i potem zostały pochłonięte przez ziemię. I oto stałem już przed szybem, który w ciągu dnia wykopano na moje polecenie. Dookoła jego ujścia piętrzyła się wyrzucona z głębi ziemia, kilka desek i dwie czerwone latarnie ostrzegały przechodniów. Lecz deski nad otworem prowadzącym w dół były odsunięte.

Szarpnąłem furtkę w parkanie i nie szukając już nocnego stróża, który był zapewne po drugiej stronie obszernego placu, pobiegłem między stertami gruzu w stronę dużego dziedzińca, zaznaczonego już tylko resztkami otaczających go zabudowań. Nie wiem, czyj głos podyktował mi, że powinienem się tam udać, był to jakiś przymus, któremu musiałem być posłuszny. Ledwo znalazłem kryjówkę za jednym z łuków burzonego krążanka, gdy dziedziniec zaroił się od postaci.

Tego, co teraz ujrzałem, nie da się prawie opisać. Było to wszystko jak we śnie, a jednak całkowicie wyraźne. Postaci nadciągały od strony kościoła, który widziałem przed sobą w świetle księżyca. Czy jednak wychodziły z szeroko rozwartych drzwi, czy też wyłaniały się z murów — nie potrafię powiedzieć. Zdawało mi się jedynie, że było ich tyle, iż nie mogłyby wszystkie naraz przejść przez bramę kościelną. Najdziwniejsze jednak było to, że widziałem je wszystkie w pełnym ruchu, gestykułujące, widziałem, że coś krzyczą, coś do siebie wołają, tłoczą się i przeciskają do przodu, dziko się rozpychając, przy czym dobiegał mnie tylko tupot ich nóg. Nie słyszałem żadnego okrzyku, żadnego ze słów, które, jak przecież widziałem, dobywały się z ich ust. Miałem wrażenie, że śledzę akcję toczącą się na scenie, od

której oddziela mnie nie przepuszczająca dźwięku ściana ze szkła, tak że mogę tylko oglądać, co się tam odbywa, lecz żaden dźwięk do mnie nie dociera. Wrażenie to wzmogło się jeszcze, ponieważ aktorzy na tej scenie występowali w kostiumach. Mieli na sobie przeważnie wygodne, skromne stroje mieszczańskie z szesnastego wieku, kilku swobodniejsze ubiory żaków, inni zaś poważne, uroczyste szaty rajców.

Istnieje pewna granica przerażenia, kiedy to zanika wszelka obawa o siebie samego — człowiek żyje tylko wzrokiem, podczas gdy wszystkie inne zmysły jak gdyby zostały wyłączone. Osiągnąłem tę granicę i mogę zaręczyć, że wszystko, co widziałem, odbyło się naprawdę. Cały dziedziniec był zatłoczony postaciami, a poszczególne z nich kilkakrotnie podchodziły do mojej kryjówki tak blisko, że widziałem ich znieruchomiałe twarze. Po chwili pełnej podniecenia krzątany i biegania uwaga wszystkich skupiła się na otwartych drzwiach kościoła. Wyszła stamtąd gromada mężczyzn prowadzących kobietę. Popychano ją pięściami, bito po twarzy i szarpano za sznur, który miała zarzucony na szyi. Widziałem, że wzrusza ramionami, jakby chcąc opędzić się od uprzykrzonego owada. Jeden z żaków odepchnął innych, rzucił się do przodu, wydawał się ciskać jej w twarz wyzwiska, po czym dwukrotnie uderzył ją po głowie płazem szpady. Wtedy kobieta uniosła swe gładkie białe czoło i spojrzała na niego, ciemnymi, płomiennymi oczyma. Była to siostra Agata. Wśród nieustannego bicia i kopniaków wyciągnięto ją na środek dziedzińca, gdzie stała grupa czarno ubranych rajców. Widziałem jej wysoką, wyprostowaną postać oblaną bladym, trwożnym światłem księżycy — stała przed garstką mężczyzn, którzy jak gdyby skupili w sobie nienawiść tego całego wściekłego tłumu. Biały welon ześliznął się z głowy mniszki — wyglądała tak, jak na portrecie w zakrystii. Teraz jeden z rajców wystąpił naprzód i podczas gdy tłum napierał ze wszystkich stron, złamał nad głową siostry Agaty białą pałeczkę i cisnął jej z gestem obrzydzenia pod nogi. Wtedy ludzie się cofnęli, na wolnym miejscu pozostała mniszka — przed szafotem. Widziałem wszystkie szczegóły tej

straszliwej egzekucji. Z pnia podniósł się człowiek w czerwonym płaszczu. Wyciągnął błyszczący, szeroki miecz, zrzucił płaszcz, rozpiął mniszce szaty, tak że ukazała się biała szyja i piękne ramiona, i rzucił ją na kolana. Krzyk grozy uwiązał mi w gardle, a przecież byłem rad, że wreszcie odwróciły się ode mnie te ciemne, groźne oczy, które do ostatniej chwili skierowane były w stronę mojej kryjówki, jak gdyby mnie tam wytropiły. Teraz głowa leżała na pniu, widziałem, jak miecz katowski uniósł się wysoko w świetle księżyca... trysnął strumień krwi. Lecz nie spadł na ziemię, nie rozprysnął się w powietrzu; przez chwilę jak gdyby znieruchomiał, podczas gdy głowa spadała na szafot i jakby posłuszna ostatniej woli straconej kobiety, potoczyła się prosto ku mnie. Wówczas ludzie z tłumu zaczęli podrzucać do góry kapelusze, wydając okrzyki nieokiełznanej radości — widziałem wszystkie ich ruchy, choć nie słyszałem ani dźwięku — po czym z nagłym impetem rzucili się na trupa, kopali go, bili, szarpali, jakby ich żądza zemsty jeszcze nie została zaspokojona. Tymczasem głowa toczyła się dalej, nie zmieniając kierunku, i wreszcie zatrzymała się tuż przede mną. Ciemne, płomienne oczy wpatrywały się we mnie, i usłyszałem słowa, pierwsze podczas całej tej potwornej sceny, słowa, które wydobyły się z ust ściętej głowy: — Popamiętasz jeszcze rozpustną mniszkę!

Wówczas wszystko przede mną znikło — tłum ludzi, głowa, kat wraz z pieńkiem, i tylko czerwony sierp znieruchomiałej strugi krwi unosił się przez chwilę w zielonej poświacie księżyca.

Pozostaje mi tylko dodać, że nazajutrz znaleziono w krypcie zwłoki siostry Agaty w okropnym stanie. Były straszliwie zmasakrowane, wszystkie członki połamane, a głowa ostrym cięciem całkowicie oddzielona od tułowia. Przypuszczano, że zachodzi tu przypadek zboczenia seksualnego, wszczęto dochodzenie, również i mnie przesłuchano. Śledztwo nie dało żadnych wyników — nie powiedziałem ani słowa o tym, co widziałem tamtej nocy.



Rankiem dnia 17 lipca 19... wykryto potworną zbrodnię, która wstrząsnęła całym miastem.

Gdy zatrudniona u inżynierostwa Andersów służąca po wielokrotnym daremnym pukaniu do sypialni swych państwa o dziesiątej przed południem raz jeszcze nacisnęła kłamkę, stwierdziła, że drzwi nie są zamknięte na klucz. Weszła i ujrzała straszny widok: pani Anders leżała na łóżku w kałuży krwi. Pana Andersa nie było.

Dziewczyna uciekła z krzykiem, dostała ataku płaczu, a kiedy z trudem wydobyto z niej, co się stało, młody student z trzeciego piętra, najrozsądniejszy spośród przerażonych i zdenerwowanych mieszkańców domu, posłał natychmiast po karetkę pogotowia i po policję. Komisja śledcza stwierdziła, że dokonano morderstwa. Młoda kobieta już od wielu godzin nie żyła. Głowa została odcięta od tułowia ciosem zadany z straszliwą siłą. Poza tym wszystko w mieszkaniu było nietknięte, jedynie obraz w sypialni został zdjęty ze ściany i całkowicie zniszczony. Ramę rozbito na drobne kawałki, płótno podarto na strzępy.

Żaden ślad nie wskazywał na to, by morderca przedostał się z zewnątrz, służąca zeznała, że państwo Anders wczoraj wieczorem udali się do sypialni tak jak zwykle. Kiedy ją zapytano, czy może w ostatnich czasach zauważyła jakieś nieporozumienia pomiędzy Andersem a jego żoną, zastanawiała się chwilę i oświadczyła, że niczego nie spostrzegła, może tylko małżonkowie coraz mniej ze sobą rozmawiali, a pani miewała czasem nerwowe drgawki. Mimo tego zeznania należało przypuszczać, że z niewiadomych powodów Anders zamordował żonę, po czym zbiegł. Obserwacje innych lokatorów domu potwierdziły zeznanie służącej; trudno było wyobrazić sobie, aby między małżeństwem doszło do tak poważnych konfliktów, które by doprowadziły do tej potwornej zbrodni.

Lekarz sądowy orzekł, że brak zewnętrznych oznak konfliktu nie świadczy jeszcze o całkowitej harmonii między małżonkami. Właśnie u ludzi stojących na wysokim poziomie kulturalnym, jak państwo Anders, takie

katastrofy przebiegają bezgłośnie, nie wydobywają się na zewnątrz. Uważa za całkowicie słuszne, że komisarz polecił niezwłoczne wszczęcie poszukiwań domniemanego mordercy.

Po południu odnaleziono Andersa w parku miejskim; siedział na ławce, kapelusz i laska leżały obok, zajęty był skręcaniem papierosa. Bez oporu poszedł z wachmistrzem mówiąc, że właśnie miał zamiar zgłosić się na policję i całą sprawę wyjaśnić. Uśmiechnięty, w jak najlepszym nastroju, wszedł na komendę policji i poprosił o chwilę posłuchania, chce bowiem zakomunikować, dlaczego poderznął gardło tej kobiecie.

Komisarz wpatrywał się w niego zaskoczony.

— Więc pan przyznaje, że zamordował swoją żonę?

Anders uśmiechnął się. — Moją żonę? Nie!

I to, co teraz zeznał, było tak dziwaczne i niepojęte, że ani komisarz, ani sędzia śledczy, który tego samego dnia sprawę przejął, nie mogli z tego nic zrozumieć. Anders oświadczył bowiem, że odrąbał „tej kobiecie” głowę, posługując się tureckim jataganem ze swojej kolekcji broni; twierdził jednak, że nie była to jego żona. Widząc, że przesłuchującym go panom słowa te wydają się zupełnie niejasne, powołał się na swego znajomego, archiwariusza dra Holzbocka, który potwierdzi jego zeznanie.

Zanim jednak zwrócono się do archiwariusza, dr Holzbock sam zgłosił się do sędziego śledczego i oświadczył, co następuje: — Uważam za swój obowiązek złożyć zeznanie, które może choć w pewnej mierze naświetli tę okropną historię; jeżeli w ogóle można tak tajemniczą i osobliwą sprawę naświetlić. Znam Andersa od dawna i prawie codziennie przychodziłem na teren byłych Koszar Jezuickich, gdzie kierował wyburzaniem i rozbiórką budynków.

Moje prace z dziedziny historii i archeologii są panom zapewne znane, miałem nadzieję, że przy wyburzaniu kilkaset lat liczącej starej budowli znowu odkryję coś ciekawego. Pewne poszlaki naprowadziły mnie na ślad sekretnego przejścia. Inżynier Anders, który jest świetnym fachowcem, szedł

tropem tych śladów z wielką przenikliwością; miał przy tym tak szczęśliwą rękę, że udało nam się wykryć starą kryptę z kilkoma z mumifikowanymi zwłokami. Panowie może sobie przypominają, że jedno z ciał znaleziono nazajutrz po odkryciu krypty w stanie, który sugerował, iż popełniono tu przestępstwo. Śledztwo jednak nie dało, jak wiadomo, żadnych wyników. W kilka dni potem przyszedł do mnie Hans Anders. Muszę nadmienić, że w ostatnich czasach zwróciłem uwagę na zmiany, jakie w nim zaszły; przede wszystkim stał się niespokojny; dotąd zawsze energiczny, a zarazem uprzejmy, bywał niejednokrotnie jakby nieobecny duchem, to znowu mrukliwy, zirytowany, czasami jednak drżał jak pod wpływem przerażenia. Ten jego stan szczególnie rzucił się w oczy podczas owej wizyty; kiedy go zapytałem, czy mu coś dolega, dał odpowiedź wymijającą. Po chwili wreszcie, gdy nie mógł dłużej opanować swego niepokoju, zaczął: „Dziś przysłano mi do domu pański obraz.”

„Jaki obraz?”

„Portret siostry Agaty, rozpustnej mniszki”.

„Co też pan mówi! Przecież obraz wisi w zakrystii i jest tak mocno przybity, że nie sposób go zdjąć ze ściany”.

„Prawda — rzekł — panu nie udało się go zdjąć. Ale przysięgam, że teraz wisi u mnie w mieszkaniu”.

„Ale kto przyniósł go panu do domu?”

„Nie wiem. Jakiś obcy człowiek przyniósł go w mojej nieobecności i zawiesił na ścianie; po czym odszedł nie mówiąc, kto go przysłał”.

„Chyba można się dowiedzieć, kto polecił dostarczyć panu ten obraz?”

„O to właśnie chodzi, że nie mogę się niczego dowiedzieć. Poszedłem wreszcie do księdza, lecz on także nic o tym nie wiedział; kiedy go zapytałem, czy nie rości pretensji do obrazu, który przecież należy do inwentarza kościelnego, odparł, że rad jest pozbyć się go i od dawna postanowił kiedyś obraz ten usunąć. Najokropniejsze jest jednak to, że nie mogę zwrócić portretu, nawet gdybym chciał”.

„Dlaczego?”

„Bo u mnie jest równie mocno przybity, jak dawniej w zakrystii. To nie do pojęcia, a jednak tak jest, i byłbym panu wdzięczny, gdyby zechciał mnie pan odwiedzić i przekonać się na własne oczy”.

Muszę przyznać, że słowa budowniczego wydały mi się dziwne; obraz bowiem, o którym mowa, był, zgodnie z twierdzeniem Andersa, portretem siostry Agaty, jednej z mniszek, których zwłoki znaleźliśmy w krypcie. Aby uspokoić wzburzonego do głębi człowieka, przyrzekłem, że odwiedzę go w ciągu najbliższych dni, i przypomniałem sobie swą obietnicę, kiedy pod koniec tygodnia przypadkowo mijalem jego dom. Andersa nie było, lecz zastałem jego żonę.

„Ach, jakże się cieszę, że pan przyszedł — rzekła — byłam już zdecydowana udać się do pana. Jest pan jedynym znajomym mojego męża, z którym on bliżej obcuje; bardzo pana ceni i dlatego mam nadzieję, że będzie pan mógł przemówić mu do rozsądku”.

Gdy wyraziłem gotowość przyjścia jej z pomocą, pani Blanka, niemal płacząc, zaczęła się żalić, że mąż jej jest chyba chory. Stał się dziwnie niespokojny, całymi dniami nie odzywa się ani słowem, w nocy zaś miota się w łóżku, nie może zasnąć. Już przed kilkunastu dniami obiecał jej, że niezwłocznie weźmie urlop i wyjedzie, gdyż jest wyraźnie przepracowany i zmęczony, ale teraz nie chce nawet słyszeć o tym, by opuścić miasto.

„Mój Boże — westchnęła — już nawet nie mam odwagi wspomnieć o lekarzu. Bo wtedy irytuje się na mnie, jak gdybym namawiała go do jakiegoś haniebnego czynu”.

Zgodziłem się, że trzeba dołożyć wszelkich starań, aby skłonić Andersa do wyjazdu.

Niedługo potem budowniczy wrócił do domu. Ucieszył się bardzo na mój widok, przywitał się też z żoną, ale jakieś przecucie mówiło mi, że coś się między małżonkami popsuło. Stał między nimi jakiś cień, jakaś niewidzialna przegroda, dzielił ich czyjś niewyczuwalny wpływ. Na panią Blankę działało

to jako strach, na Andersa — początkowo sądziłem, że się mylę, ale potem moje obserwacje okazały się słuszne — jako wstręt do żony. Wstręt połączony z obawą. Wydało mi się to bardzo dziwne, wiedziałem przecież, że Anders dawniej kochał żonę ogromnie. Po krótkiej, obojętnej rozmowie pani Blanka wyszła z pokoju, abym miał sposobność, tak jak przyrzekłem, pomówić z Andersem. Ledwo drzwi się za nią zamknęły, Anders chwycił mnie za ramię i zaciągnął do sypialni.

„Chodźmy — szepnął — niech pan się sam przekona”.

Nad sofą naprzeciw łóżek wisiał obraz z zakrystii. Zielona firanka obok obrazu nie była zaciągnięta. Jest to obraz niesamowity, twarz na nim wydaje się rozpustna, i jeżeli istotnie ma to być portret siostry Agaty, zgadzałoby się wszystko, co stare kroniki relacjonują o wyuzdanym trybie życia tej mniszki. Podszedłem do obrazu, chciałem spróbować, czy nie uda mi się zdjąć go ze ściany. Dowiódłbym tym samym Andersowi, że jego urojenia muszą ustąpić przed rzeczywistością. Ale rzucił się do mnie z tak gniewnym gestem, że się przeraziłem, i odepchnął z całej siły.

„Co też panu przychodzi do głowy, to niemożliwe. Teraz wisi tutaj, i żadna siła na świecie nie zdoła go stąd usunąć”.

Zapomniał widocznie, że przed kilkoma dniami sam prosił mnie, abym się przekonał, iż tak jest, jak mówił.

„Ale dlaczego kazał pan powiesić ten obraz właśnie w sypialni? — zapytałem. — To oblicze zdoła wnieść niepokój nawet do najbardziej błęgiego snu”.

„Przecież powiedziałem panu, że nie było mnie w domu. Obcy człowiek powiesił go bez pytania tu w sypialni, i nie mogę już obrazu usunąć. Próbowałem zasłonić go firanką. Ale... — głos jego stał się chrapliwy ze wzburzenia — ona nie znosi zasłony. Kiedy wieczorem zasuwam firankę, już około północy znowu ją odsuwa. Wciąż na mnie patrzy tymi swoimi okropnymi oczyma. Już nie mogę tego znieść. I wie pan, czemu tak na mnie spoziera? Powiem panu. — Odciągnął mnie od obrazu i szepnął tak cicho, że

ledwo mogłem go dosłyszeć: — Zaprzysięgła mi zemstę i dotrzyma słowa. Zamierza uczynić coś potwornego i sądzę, że wiem, co chce zrobić. — Nagle przerwał sam sobie pytaniem, które wtedy wydało mi się bez związku z jego myślami: — Czy przyjrzał się pan dokładnie mojej żonie? — Zanim zdążyłem odpowiedzieć, ciągnął dalej: — Nonsens! Co też ja sobie czasem wmawiam! — Po czym wrócił do poprzedniego tematu: — Ona chce mnie zniszczyć, ponieważ odkryłem podziemne przejście i zarządziłem przekopanie szybu prowadzącego na ulicę; w ten sposób umożliwiłem jej prześladowcom dotarcie do krypty. — Moje zastrzeżenia zbył lekceważącym ruchem ręki: — Proszę mi wierzyć, doktorze, tak jest naprawdę. Dokładnie sprawę rozważyłem, a gdyby pan widział to, czego ja byłem świadkiem, przyznałby mi pan rację”.

Dopiero potem miałem się dowiedzieć, co oznaczała ta mglista aluzja Andersa.

Rozmowa ta utkwiała mi w pamięci z największą dokładnością, dotąd widzę przed sobą twarz budowniczego, kiedy szepcząc zbliżał ją ku mojej twarzy. Z całego jego zachowania odniosłem wrażenie, że jest poważnie chory, ale daremne były moje nalegania, aby opuścił miasto i udał się na kilka tygodni w góry.

„Muszę wytrwać — rzekł — wszelkie moje usiłowania, aby się jej wymknąć, na nic by się nie zdały. Odnalazłaby mnie tak samo na wysokości trzech tysięcy metrów, jak i tutaj”.

Najbardziej niesamowite było to, że prawdopodobnie toczył walkę z jakimś upiornym urojeniem jak z realną potęgą. Ostrzegłem panią Blanę, że powinna w tym względzie wywrzeć na niego wpływ.

„Wpływ — rzekła bliska łez — nie mam nawet tyle wpływu, żebym mogła wezwać lekarza”.

Chcąc przyjść jej z pomocą, posłałem nazajutrz mojego przyjaciela doktora Engelhorna do Andersów. Lecz budowniczy dostał ataku wściekłości i Engelhorn czym prędzej się wycofał. Właśnie wtedy musiałem wyjechać,

miałem przejrzeć archiwum na zamku Pernstein, by odszukać jakiś ważny dokument. Trwało kilka dni, aż dokument ten odnalazłem, ale w trakcie swojej pracy odkryłem kilka innych niezwykle ciekawych rzeczy, tak że mój pobyt na zamku przedłużył się o kilka dni. W drodze powrotnej przebyłem kolejną jedynie niewielki odcinek, po czym wysiadłem, aby rześkim marszem przez piękne lasy dotrzeć do miasta. Kiedy mijałem gospodę w popularnej miejscowości wycieczkowej, zajrzałem przypadkowo przez parkan do ogródka i ujrzałem Andersa przy jednym ze stolików. Muszę wyznać: moja praca tak mnie pochłonęła, że zepchnęła jego sprawę na dalszy plan, i w tej chwili zrobiło mi się bardzo przykro, że tak zaniedbałem obowiązku przyjaźni. Aby przynajmniej dowiedzieć się z miejsca, jak sprawy stoją, wszedłem do ogródka. Spostrzegłem, że Anders sporo wypił; ponieważ u tego tak zazwyczaj trzeźwego człowieka było to rzeczą niezwykłą, skojarzyło mi się natychmiast z jego ponurą historią.

„Ach, doktorze! — zawołał — cieszę się naprawdę, witam pana w imieniu nauki”. Mówił dużo i głośno, tak że zwrócił na siebie uwagę gości w ogródku. Podczas gdy sącyłem swoją ćwiartkę południowomorawskiego wina, on wypił trzy ćwiartki i dopiero kiedy zaczęło się zmierzchać, udało mi się nakłonić go do powrotu. Szliśmy brzegiem rzeki, przez mgłę zaścielającą dolinę, widzieliśmy już światła Młyna Królewskiego — wtedy dopiero Anders zaczął mówić o tym, co, jak zauważyłem, nieustannie zaprzętało jego umysł.

„Teraz wreszcie wiem, do czego ona zmierza”.

„Niech pan nie mówi wciąż o niej — zirytowałem się — jak gdyby miał pan do czynienia z realną osobą”.

Spojrzał na mnie nie pojmując mojego zastrzeżenia, tak bardzo tkwił już w swoich urojeniach.

„Wie pan, co się dzieje na moich oczach? To okropność! Ona wciela się w moją żonę”. „Cóż to znowu ma znaczyć?”

„Wciela się w moją żonę, i ta przemiana dokonuje się na moich oczach.

Zaczął się od jej wzroku, czai się w nim obcy wyraz, obserwuje mnie, moje wszystkie czynności i zachowanie, każdy mój ruch. Kiedy coś mówię, w oczach tych tli się coś jakby szyderstwo. Potem zmieniła się też cała jej postać. Żona moja była mniejsza i pulchniejsza, kobieta, która obecnie siedzi i śpi u mego boku albo udaje, że śpi, gdyż obserwuje mnie spod przymkniętych powiek, jest szczuplejsza i wyższa. Zatacza kręgi dokoła mnie, oplątuje swą siecią. Zamordowała mi żonę i objęła w posiadanie jej dało, aby przebywać w moim pobliżu, w dniu zaś, kiedy utożsami się z portretem, owładnie mną całkowicie. Lecz jestem zdecydowany do tego nie dopuścić”.

Z przerażeniem stwierdziłem, że nerwowe podniecenie Andersa posunęło się tak dalece, iż można by już nazwać to chorobą umysłową. Był najwyższy czas, aby energicznie zadziałać; nazajutrz, kiedy rozmawialiśmy z doktorem Engelhornem, co należy przedsięwziąć, aby pomóc biednej pani Blance, ona właśnie do mnie przyszła. Była bardzo mizerna, blada, oczy jej się zapadły i patrzyły niespokojnie, schudła i wydawała się wskutek tego wyższa.

„Wiem wszystko, łaskawa pani”, rzekłem.

Wtedy rozpląkała się.

„Ach, cóż pan może wiedzieć! Nawet w przybliżeniu nie ma pan pojęcia, jak ja cierpię. Moje życie stało się piekłem. To nie jest frazes, lecz gorzka prawda. Dłużej już tego nie wytrzymam. Mąż mój zmienił się nie do poznania, widzę wyraźnie, że odczuwa do mnie wstręt. Nieustannie mnie obserwuje, wciąż czuję na sobie jego niesamowite spojrzenie, a zachowuje się tak, jak gdyby spodziewał się po mnie czegoś złego. Czasem nagle się odwraca z wściekłym gestem, jak gdyby sądził, że się za nim skradam. Przy tym prawie zupełnie się do mnie nie odzywa, a kiedy coś powiem, odpowiada tak, jakby każde słowo było pułapką. Gdy usiłuję wypytać go o powód tego dziwacznego zachowania, wybucha tak okropnym śmiechem... Wczoraj wieczorem — całe popołudnie go nie było i wrócił do domu trochę podпиты — kiedy właśnie miałam się rozebrać, stanął nagle za mną. Przedtem

wszedł do swojego pokoju i przez oszklone drzwi widziałam, że kartkował jakiś zeszyt i coś tam czytał. Naraz stał za mną. Wszedł bezszelestnie, a kiedy się obejrzałam, chwycił mnie za szyję i powiedział: „Piękna szyja, i raz już została poderżnięta”. Przeraziłam się i zapytałam, co to ma znaczyć. On jednak znowu tak niesamowicie się roześmiał i wskazał na stary obraz, który teraz wisi w naszej sypialni. „Zapytaj tę tam albo najlepiej zapytaj samą siebie”. Nie mogłam przez całą noc oka zmrużyć i rozmyślałam nad jego okropnymi słowami. Z rana wstałam i poszłam do jego pokoju, aby wziąć zeszyt — sądziłam, że może mieć on jakiś związek z jego przemianą. Leżał jeszcze na biurku i był prawie do końca zapisany przez mego męża. Przypomniałam sobie, że w ostatnich tygodniach pisał w tym zeszycie z osobliwym pośpiechem, często zdenerwowany i zgnębiony, każdy szmer w pobliżu wyprowadzał go z równowagi. Dałabym wiele, żeby się dowiedzieć, co za praca tak go przykuwała i podniecała. Kiedy chciałam zabrać się do czytania, ogarnął mnie okropny lęk i przewyciężył ciekawość. Nie ważyłam się nawet otworzyć zeszytu... no cóż, obawiam się, że dowiem się czegoś przerażającego. Dlatego przynoszę panu ten zeszyt i proszę o zapoznanie się z jego treścią. Potem może pan powiedzieć mi tyle, ile będzie pan uważał za wskazane”.

Z tymi słowy wręczyła mi zeszyt, ten właśnie, który teraz z kolei ja przekazuję panu, panie radco; znajdzie pan tu bardzo osobliwe notatki, i pozostawiam pańskiej przenikliwości zorientowanie się w tej historii, która wskutek tych zapisków staje się jeszcze bardziej zagmatwana.

Usiłowaliśmy z doktorem Engelhornem uspokoić panią Anders i chociaż byliśmy przekonani, że sytuacja jest groźna, udawaliśmy, że nie ma powodów do obawy; dzięki temu nieco spokojniejsza wróciła do domu; przyrzekliśmy jej, że przeczytamy zeszyt i zaraz nazajutrz ją powiadomimy... I tu popełniliśmy niewybaczalny błąd. Brak szybkiego refleksu oraz energicznej interwencji przyjaciół przypłaciła biedna pani Blanka życiem. Tak to się dzieje z nami, ludźmi: widzimy niebezpieczeństwo

wyraźnie, ale nie przeciwstawiamy mu się w porę.

Kiedyśmy z doktorem Engelhornem przeczytali ten zeszyt, spojrzeliśmy po sobie.

„Anders postradał zmysły”, odezwałem się. Lecz doktor Engelhorn to dziwny człowiek. Chociaż jest przedstawicielem nauki ścisłej, nie neguje istnienia rozmaitych „mrocznych stanów” duszy ludzkiej. Przy lada okazji cytuje: „Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie...”, a kiedy wiedza medyczna staje przed jakąś zagadką, nikt nie cieszy się z tego bardziej niż doktor Engelhorn. Dlatego nie byłem zbyt zaskoczony, kiedy spojrzał na mnie z wahaniem.

„Postradał zmysły... Nie wiem, czy mam ci przyznać rację. Nie sprawia to na mnie takiego wrażenia. Istnieją stany niesłychanie podobne do obłądzenia, a jednak nim nie są. Aby ci to wytłumaczyć, musiałbym jednak...”

„No więc co to jest, jeśli nie obłądzenie?” — przerwałem mu. Ale on tylko wzruszył ramionami: „Nie wiem”.

Rozmowa ta, panie radco, odbyła się późnym wieczorem. Nazajutrz rano dowiedziałem się, że pani Blanka została zamordowana. Tylko Hans Anders może nam powiedzieć, co poprzedziło ową okropną zbrodnię. My możemy się tylko domyślać, że tym morderstwem chciał się wyzwolić od swego upiornego urojenia, zniszczenie zaś obrazu zapewne się z tym łączy. Sprawą sądu będzie zdecydować, czy ostatnie słowo w tej osobliwej historii nie powinno należeć do psychiatrii.

Tyle, jeśli idzie o zeznanie archiwariusza dra Holzbocka.

Tajemnicza sprawa Hansa Andersa zakończyła się w dwa dni później śmiercią budowniczego. Znalaziono go w celi więzienia śledczego w pozycji siedzącej, opartego o ścianę; jedną rękę miał przyciśniętą do serca, druga zwisała bezwładnie i była tak dziwnie wykręcona, że lekarz więzienny, potrząsając głową, zaczął badać denata. Stwierdził, że ramię było kilkakrotnie złamane, jak gdyby zmiażdżone potężną siłą. Za właściwy powód śmierci uznał jednak lekarz więzienny udar serca, który nastąpił

wskutek wielkiego przerażenia.

Przełożyła Maria Gero-Różniewicz

Max Dauthendey

MROKI HIMALAJÓW

W tym leży fatalność a zarazem urok podróży, że dzięki niej stają się dla ciebie określone i dostępne miejsca, które się dawniej kryły gdzieś w nieokreśloności i niedostępności. Ta określoność i dostępność zakreśla ci wszakże niewidzialne granice, których już nigdy nie przekroczysz.

Jeżeli twoja dusza, porzuciwszy ciało, przeniesie się w strony całkiem ci nie znane, będzie mogła wędrować tamtymi okolicami zarówno w blasku słońca, jak podczas deszczu, zarówno wiosną, jak zimą, wolny duch w krainie duchów. Jeżeliś jednak zawitał dokądś jako człowiek z krwi i kości i przez pewien czas tam bawił, już się zamknęło wokół ciebie więzienie rzeczywistości. Skoro zechcesz po latach wrócić duchem do zwiedzanej niegdyś miejscowości, nie wyjdiesz już poza obręb doświadczeń w tamte dni zebranych. I nieodmiennie, w nużącej monotonii nawrotów, będzie ci się jawił ten krajobraz widziany o tej samej co wtedy porze dnia i roku. Nie zdołasz go przeobrazić wedle swojego zechcenia. Skazanyś już na to, aby zawsze oglądać go takim, jakim ci się ukazał, kiedyś tam zawędrował. Oto jest klątwa, która ciąży na duszy podróżnika. Rzeczywistość podcięła skrzydła jego wyobraźni. Ten, co wiele podróżował, jest mocniej przykuty do ziemi, niż ten, co nie podróżował wcale. Wydaje mi się on najbardziej śmiertelny spośród wszystkich śmiertelników.

Jedna jedyna możliwość, aby podróżnik wyłamał się i uwolnił spod władzy rzeczywistości, powstaje wtedy, kiedy przywozi on do domu wspomnienia, o których zapomnieć niepodobna; kiedy los jego tak się splecie z losami ludzi z obcych stron, że miejsce, krajobraz, wszystko, co widział, traci znaczenie, zapada w nicość, a to, co przeżył, wyrasta ponad czas,

przestrzeń i rzeczywistość.

Rzadkie są takie przeżycia, ale bywa, że ta lub owa z przygód, jakich doznaliśmy w dalekich podróżach, wchodzi człowiekowi w krew, wnika w jego ducha i od czasu do czasu odżywa we wspomnieniach. Przeżycia tego rodzaju zdolne są zastąpić nam, współczesnym, ten dreszcz, to uwielbienie, ten stan duchowego podniesienia, słowem, te uczucia, jakich dawny prostoduszny człowiek doznawał przed ołtarzami świątyń, w obliczu bóstw, owych bóstw, które my, ludzie tego czasu, odłożyliśmy już do lamusa, między stare rupiecie.

Zanim moje podróże zawiodły mnie w Himalaje, wyobrażałem sobie zawsze tę najwyższą krawędź świata otuloną w głębokie śniegi pod wiecznie lodowato błękitnym niebem, a więc tak, jak utrwaliły się w mojej pamięci Montblanc, Dolomity i Alpy szwajcarskie. Teraz jednak, odbywszy przed kilku laty wyprawę w Himalaje, nie widzę już oczyma duszy zakrzepłych lodowców ani mroźno błękitnego nieba. Widzę ziemię, mieniającą się rozmaitymi tonami szarości, byłem tam bowiem w lutym, kiedy z hinduskiego podnóża gór wznosi się szarymi rozłogami mgła, mgła we wszelkich odcieniach, ciemniejąca lub rozjaśniająca się w zależności od oświetlenia. Wydawać się mogło, że góry to unoszą się, to znów opadają. W gwiazdziste noce wirowały mgły w blasku księżyca. Bezmierny ogrom Himalajów zdawał się ruszać w wędrówkę. A mgły to budowały kolosalne schody, to znów unosiły się ku niebu, wirując wokół swej osi niczym olbrzymie skrzydła wiatraków. Nie było już góry ani dołu, lewej ani prawej strony, jakby się Himalaje przemieniły w świat złudzeń, gdzie się bezładnie gonią obrazy i majaki, rzeczywistość i urojenie.

Ponieważ był to luty, w położonym na wysokości siedmiu tysięcy stóp Darjeelingu, znanym lotnisku urzędników angielsko-indyjskich, oficerów i zamożnych kupców, wille stały przeważnie pustką. Rozmieszczone na pochyłości zbocza wyglądały ze swymi szklanymi ścianami i werandami, jakby były z górskiego kryształu. Między nimi rozciągały się herbaciane

ogrody o niskich krzewach, gdyż tropikalny opar, dymiący z rozległych obszarów Indii aż na wysokość Darjeelingu, ożywiał urodzajnym powiewem południowe zbocza Himalajów.

Po powrocie do Europy byłbym skazany na to, żeby zawsze, ilekroć moja myśl podąży znowu ku Himalajom, widzieć Darjeeling w siąpiącym bezgłośnie, nieustannie lutowym deszczu, mżącym z mgielnych oparów, i patrzeć na wędrujące we mgłach góry, które by już się nigdy dla mnie nie zatrzymały, gdyby nie owo przeżycie, które zda mi się czymś spoza przestrzeni i czasu, czymś nie związanym z porą dnia czy roku, ale związanym tylko ze wszechczłowieczeństwem, z sercem ludzkim, które — jak ziemia szeroka — tak samo kocha i cierpi, jakby było jednym jedynym sercem.

Pewnego popołudnia pięciu Tybetańczyków zawiozło mnie rikszą do jedynej w okolicy tybetańskiej świątyni, położonej na samym końcu górskiego osiedla, do której trzeba było długo jechać krętymi drózkami. Świątynia wyglądała prymitywnie jak pobielona szopa i nie różniła się niemal wcale od chat tybetańskich chłopów. Stała na stromym zboczu, wokół niej rosło kilka nie pielęgnowanych drzew, z daleka można ją było wziąć za małą gospodę.

Idąc ku niej przez rozmokły ogród, słyszałem z daleka regularnie powtarzający się dźwięk. Był to odgłos młynków modlitewnych, rozbrzmiewający za każdym ich obrotem. Pod okapem świątyni stał żółty walec wysokości i rozmiarów człowieka. Od góry do dołu był gęsto zapisany modlitwami. Świątynny posługacz w żółtym habicie obracał dłonią żółty cylinder, który poruszał się na podstawie wokół swojej osi. Każdy obrót tego walca znaczył tyle co dokładne odczytanie tysiąca ciasno na nim wypisanych modlitw.

W świątyni było ciemno jak w piwnicy. Za grubymi drewnianymi kratami stały rzeźby bogów, których zbrązowiała pozlota ledwie połyskiwała. Ani jednego spośród nich nie cechował spokój. Wszystkie bożyszczą stały lub

siedziały w niesamowicie powykrzywianych pozach, jakby ich postaci wzorowano na niekształtnie kłębiących się dookolnych mgłach.

Z niezliczonych napełnionych olejem garnuszków połyskiwały nikłe ogniki niczym światełka nocnych lampek. Stały one przed kratami niby naczynia z pożywieniem dla bogów, karmiły sadzą tłuste oblicza i ożywiały je pełnieniem swych trzeszczących płomyczków.

Nie wszędzie stały przy ścianach wizerunki bóstw. Tu i ówdzie trafiały się luki, w których dostrzegłem na brudnej, poczerniałej od sadzy bieli wapna fotografie, widokówki i drzeworyty z ilustrowanych czasopism angielskich. Były to podobizny angielskich, niemieckich, francuskich, rosyjskich książąt i generałów oraz zdjęcia nowo wynalezionych maszyn, ilustracje uznane przez tybetańskich kapłanów za święte, może po to, aby pochlebić Europejczykom, może z zabobonnej trwogi przed nieznanymi, obcymi siłami ducha.

W kącie na podłodze zobaczyłem puste butelki po angielskim piwie. Paru mnichów o gładko wygolonych głowach siedziało w brudnych habitach na podłodze i paliło; oparci plecami o ścianę, wpatrywali się w otwarte drzwi, przez które przedostawało się do bezokiennego pomieszczenia trochę dziennego światła i odbijało się szklistym połyskiem w oczach łamów.

Szeregi trzaskających nocnych światełek, bezmyślne oczy kapłanów, tu i ówdzie poza kratami brzuchy bożyszcz i odbijające się w ich zblakłej pozłocie płomyki lampek, słodkawy zapach tytoniu z mnisich fajek i jeszcze bardziej słodkawa woń wystygłego kadzidła, groteskowe strzępy ilustrowanych czasopism europejskich — ten jakby poza realnym czasem egzystujący niesamowity rozgardiasz, a na zewnątrz, w czworokącie drzwi, nieustannie poruszające się w mgle Himalaje, to wznoszące się ku niebu, to opadające ku ziemi, mglisty tuman, który przyczołgał się aż do progu, żółte potwory modlitewnych młynków, kręcące się monotonnie i w regularnych odstępach czasu odzywające się cienkim metalicznym dźwiękiem — wszystko to było jednocześnie dziwaczne, niedorzeczne i upiorne. Trwało już bowiem od tysięcy lat i sprawiało wrażenie czegoś tak niezniszczalnego jak

bóstwa głupoty, które pospołu z bóstwami rozumu i uczucia od wieków władają na ziemi.

Ale tak jak tam za progiem świątyni, nad przepaściami, na których skraju czai się pokusa głębi, zdolna porwać w czeluście Himalajów ludzi, zwierzęta i zwały kamieni, tak samo poza uczuciem tępej głupoty, które rozsiadło się w tej przypominającej stajnię świątynnej izbie, czaiła się jednocześnie mrożąca krew w żyłach groza. Spoglądała niemal filuternie z wytrzeszczonych oczu łamów i z groteskową dobroduszością uśmiechała się szczerzącymi zębami gębami siedzących w półmroku bożyszcz.

Piątka moich tybetańskich biegunów, przypominających swoimi workowatymi odzieniami Eskimosów, a nadludzko wręcz silnych, powiozła mnie z powrotem stromymi górskimi drózkami. Pędzili rżąc jak konie, becząc jak kozły, sapiąc jak morsy. Ścigając mój pojazd, biegły obok niego trzy olbrzymiego wzrostu Tybetanki, które zdjawszy z szyi i rąk swoją biżuterię — łańcuszki z małych niebieskich turkusów, okruchów kryształu górskiego i kawałków srebrzystego brązu, ozdobionych czerwonym krwawnikiem — podsuwały mi ją przed oczy, zachęcając do kupna. Gestykulując bez przerwy, kobiety przyskakiwały do mego wózka i odskakiwały od niego, otoczone gromadą ujadających dzikich psów himalajskich.

W trakcie tego skakania jedna zdjęła z uszu turkusowe kolczyki, druga ściągnęła z palca prymitywnie wykonany pierścień z czerwonym krwawnikiem, trzecia wydobyła ze swoich nie czesanych, skudlonych i mokrych od deszczu włosów strzałę z brązu. Nieprzerwanie brzmiała mi w uszach terkotliwa gadanina, w której na kilkanaście słów angielskich przypadała setka tybetańskich, gadanina przeplatana ujadaniem psów, śmiechem i sapaniem moich zziajanych Tybetańczyków.

Ostatecznie kupiłem od jednej z kobiet pierścień, a ponieważ ze względu na strome pochylenie zbocza riksza nie mogła się ani na chwilę zatrzymać, transakcja została zawarta w ten sposób, że Tybetanka rzuciła mi pierścień, a

ja jej pieniądze.

Dwie kobiety zatrzymały się na drodze. Tylko trzecia, potrząsając zachęcająco swoją strzałą z brązu, biegła dalej obok wózka, oszczekiwana przez psy.

Kiedy zrozumiała wreszcie, że nie mam ochoty nic od niej kupić, spróbowała robić do mnie oko, co widząc moi rikszarze zaczęli z niej pokpiwać, a ona odkrzykiwała się im zaciekle. Ponieważ nie wzbudziła mego zainteresowania strzała do włosów ani nie przekonało przewracanie oczami, Tybetanka, biegnąc przez cały czas obok wózka, sięgnęła między fałdy swego workowatego płaszcza i wyjęła z kieszeni srebrny łańcuszek, który zresztą także nie przypadł mi do gustu. Ale gdy potrząsała w powietrzu łańcuszkiem, wyleciał spomiędzy jej palców i upadł mi na kolana amulet z brązu.

Wystarczyło mi jedno spojrzenie, aby się zorientować, że amulet był miniaturowym wizerunkiem bóstwa, nie większym aniżeli człon palca. Przedstawiał on w kanciastej, prymitywnej formie dwie małe figurki ludzkie: nagiego mężczyznę, na którego wspinała się naga kobieta.

Zamknąłem amulet w dłoni, a drugą dłonią sięgnąłem do kieszonki, w której noszę luzem pieniądze, i rzuciłem kobiecie parę dużych srebrnych monet. Spojrzała na mnie zdumiona, schwyciła błyskawicznie pieniądze i zatrzymała się. Mijaliśmy właśnie zakręt. Jeszcze raz zobaczyłem z daleka kobietę stojącą nieruchomo wśród gromady ujadających psów. Potrząsała bez przerwy głową, jakby nie mogła pojąć, za co dostała pieniądze. Ujęła strzałę w zęby, a monety zawinęła w kawałek żółtego sukna. Była to prawdopodobnie ta sama szmatka, w której znajdował się poprzednio srebrny łańcuszek razem z amuletem.

Zapomniałem o tym zdarzeniu, ponieważ tyle nowego dzieje się każdej chwili w świecie otaczającym podróżnika. Pamiętam tylko, że kiedy w pół godziny później oglądałem w hotelu amulet, przypomniała mi się nie ta kobieta, ale dwie inne, które pozostały na drodze i które miały policzki

pomazane czymś czerwonym. Zapytałem jednego z mówiących po angielsku tybetańskich handlarzy futer, którzy rozsiedli się w hallu ze swoimi towarami, czym tutejsze kobiety nacierają policzki, nadając im brązowoczerwoną barwę. Powiedział mi, że jest to krew wołu. Jednak tylko wdowy nacierają policzki krwią, i to tylko te, które pragną oznajmić mężczyznom, że chciałyby ponownie wyjść za mąż.

Kiedy rozmawialiśmy w najlepsze, zabrzmiał na klatce schodowej hotelu przedobiedni dzwonek, przypominający goszczącym tu paniom i panom, że już czas przebrać się do obiadu, który będzie podany o siódmej. Ponieważ nawet na wyżynie Himalajów panowie występowali wieczorem we frakach lub smokingach, a panie w powłóczystych, głęboko dekolowanych sukniach, ufryzowane, jakby całe to towarzystwo wybierało się na premierę do opery.

Poszedłem do pokoju, gdzie tybetański boy hotelowy rozpałił właśnie ogień na kominku i przygotowywał kąpiel w łazience, napełniając wannę wodą.

Łazienka miała osobne wejście z galerii biegnącej wzdłuż tylnej ściany budynku. Skoro kąpiel była gotowa, Tybetańczyk, mruknąwszy swoje „All right, sir”, wyszedł tamtędy.

Zaledwie wszedłem do wanny i stojąc w parującej wodzie wykonałem parę ćwiczeń gimnastycznych, poczułem na plecach lodowaty powiew, jak gdyby ktoś otworzył drzwi na galerię. Krzyknąłem po angielsku: — Zamknąć drzwi! — I ażeby uciec przed zimnem, zanurzyłem się po szyję w gorącej wodzie. Przez wypełniające łazienkę obłoki pary dostrzegłem cień jakiejś postaci i zapytałem: — Kto tam?

Tylko blask płonącego w kominku ognia wślizgiwał się z pokoju do łazienki, i ku swemu zdumieniu spostrzegłem, że mała lampka, którą służący postawił na parapecie okna i która zresztą ledwo świeciła, zgasła.

Kiedy moje dwa razy powtórzone pytanie zostało bez odpowiedzi, wynurzyłem się z parującej wody. I w tejże chwili poczułem zimny powiew od drzwi, które widocznie poza zasłoną pary raz jeszcze otwarto. Ludzki cień

wszakże, który dostrzegłem poprzednio, szczel bez śladu.

Starając się uprzytomnić sobie, jak wyglądała ta postać, doznałem wrażenia, że była to chyba kobieta, która weszła do pokoju, a teraz umknęła stamtąd.

Szukałem wzrokiem w kłębach pary, powtórzyłem jeszcze parokrotnie pytanie, wyszedłszy zaś z wanny wcześniej niż zazwyczaj, owinąłem się w prześcieradło kąpielowe, zapaliłem światło w sypialni i rozejrzałem się po łazience, nie znalazłem jednak nikogo. Ubrałem się zatem i zadzwoniłem na służącego, aby go spytać, czy nie wpuszczał kogoś, kiedy się kąpałem.

Potrząsnął głową i zaprzeczył.

Przestałem się zajmować tym zdarzeniem. Kiedy jednak, już po północy, kładłem się do łóżka, pozamykałem skrupulatnie wszystkie drzwi.

Obejrzałem dokładnie amulet i sądząc po tym, jak bardzo zużyta była struna, na której go uwiązano, doszedłem do wniosku, że już od wielu pokoleń wisiał on na szyjach rozmaitych ludzi i spoczywał na ich piersiach. Niejedno ludzkie życie musi minąć, ażeby się do tego stopnia zużyła i przetała tak mocna struna.

Wspinająca się na figurę męską mała figurka kobieca była wykonana z przyciemnionego srebrnego brązu, męska — z żelaznego.

Nieudolnie, prostacko, prymitywnie wytopiono tę grupę wielkości orzecha, prawdopodobnie w jakiejś górskiej kuźni w głębi Himalajów. Wykonano ją zapewne w jednej z przyklasztornych kuźnic, należących do owych olbrzymich mnisich siedzib, które kryją się w niedostępnych regionach, na zboczach skalnych masywów i nad górkami jeziorami, rozsypane wzdłuż drogi do Lhasy, drogi wiodącej do najbardziej tajemniczego na świecie miasta klasztorów.

Znowu narzuciła się moim myślom rosła Tybetanka, stojąca wśród gromady rozszczekanych psów, jak bijąc się z myślami zawija w żółtą szmatkę otrzymane ode mnie pieniądze.

I nagle uprzytomniłem sobie: sądząc po jej zdumieniu, kobieta nie

wiedziała, że rzuciła mi amulet, który pochwyciłem. Potrząsała trzymanym w rękę srebrnym łańcuszkiem i, jak teraz przyszło mi do głowy, amulet musiał się wysliznąć jej z palców, miała bowiem tak zaskoczona i zdumiona minę, kiedy chwyciła i chowała pieniądze. Bądź co bądź zapłaciłem jednak za amulet, i należał on teraz do mnie. Tak sobie pomyślałem i, uspokojony, położyłem się do łóżka.

Nie wiem, jak długo spałem, kiedy nagle obudził mnie trzask i brzęk rozbijanego szkła. Zerwałem się i posłyszałem jakby trzepot skrzydeł.

Ogień w kominku wypalił się, a nikłe resztki żaru nie oświetlały sufitu ani ścian, od których dobiegał mnie odgłos trzepotania.

Zapaliłem światło i ujrzałem czarne stworzenie wielkości sowy, latające z kąta w kąt. Wszedłszy na krzesło przekonałem się, że jest to duży nietoperz —wampir. Otworzyłem drzwi i, otulając się w płaszcz, krzyknąłem w kierunku klatki schodowej. Na dole siedziało zawsze przy kominku kilku służących, mających nocny dyżur. Jeden z nich wszedł na górę, chwycił przykrycie z łóżka i machając nim wypłoszył nietoperza przez otwarte okno.

Stwierdziliśmy, że jeden róg szyby jest rozbity. Nie mogło mi się jednak pomieścić w głowie, jak nietoperz, stworzenie o miękkim ciele i delikatnym kośćcu, zdołał wybić twardą szybę.

Nie usnąłem już tej nocy. Zostawiłem zapalone światło i kazałem boyowi podsycić ogień. Usiadłem przy kominku i zacząłem czytać, to znaczy miałem zamiar czytać, ażeby nie zasnąć. Wielokrotnie jednak musiałem przerywać lekturę. Zdawało mi się, że słyszę kroki na galerii, na którą wychodziło okno z wybitą szybą.

Nie odrywałem się od książki. Mówiłem sobie, że jest to zapewne służący, który ma zamiar sprawdzić, czy ogień na kominku się pali, a nie chcąc mi przeszkadzać, podszedł po cichu galerią, aby zajrzeć do pokoju.

Po godzinie doznałem wrażenia, że w sypialni silnie zapachniały kwiaty. Zamknąłem oczy i oparłem głowę o poręcz fotela, rozmyślając, czy nocna mgła, wznosząca się z himalajskich herbacianych ogrodów i z hinduskiej

niziny, mogła przynieść ze sobą ten odurzający zapach. Zdawał się on wnikać do pokoju wraz ze smugami mgły przez rozbitą szybę, ponieważ dostrzegłem delikatny błękitnawy opar rozchodzący się w pomieszczeniu od strony okna. Chciałem wstać, ażeby zatkać dziurę w szybie ręcznikiem lub szalem, zamykając dostęp odurzającej mgle.

Myśl o wstaniu z fotela pozostała wszakże tylko raz po raz budzącym się w moim mózgu życzeniem. Oczy mi się zamykały. Jakiś czas trzymałem jeszcze książkę w ręku. Książka jednak wydawała mi się coraz większa i cięższa. Rosła coraz bardziej i wreszcie wznosiła się przede mną niczym ściana. I ilekroć usiłowałem się podnieść, stawała mi na drodze ta książka—ściana. Nie mieszkałem już w pokoju. Mieszkałem w książce. I miałem wrażenie, że ta olbrzymia książka może się zamknąć i zmiażdżyć mnie między swoimi kartami. Pachniała zaś tak słodko, jak pachnie stara szafa, woniejąca zeschniętymi kwiatami i lawendą. W tym uczuciu słodczy i gnębiącego niepokoju pozostawałem, jak mi się zdawało, całe lata, a w moim położeniu nie zachodziła najmniejsza zmiana.

Zbudziło mnie pukanie. Ktoś pukał w moją czaszkę. Pukał długo i mocno. Uroiło mi się teraz, że puka tak już całym latami. Moje oczy rozwarły się i zapatrzyły w żar na kominku. Za oknami było jeszcze ciemno. Pukano do wielu drzwi na korytarzu. Budzono gości hotelowych.

Przypomniałem sobie, że nasze dziesięcioosobowe towarzystwo, które spotkało się w tutejszym hotelu, umówiło się, że wyjedzie o trzeciej rano przy świetle księżyca, ażeby wiodącymi przez przełęcz drogami dotrzeć na położony o dwa tysiące stóp wyżej Tigerhill, skąd można oglądać wschód słońca nad Mount Everestem i innymi himalajskimi kolosami.

W pokoju trwał jeszcze słodkawy zapach. Ubierałem się w półśnie. Służący przyniósł mi herbatę i zawiadomił, że konie są już osiodłane i czekają przed werandą.

Kiedy po kilku minutach dosiadałem wierzchowca, cieszyło mnie czyste powietrze gór, lśniący na niebie jasny półksiężyc, świeży, czysty śnieg, który

spadł niedawno; rychło też zapomniałem najzupełniej o zapachu kwiatów i o niedawnych godzinach tego ciężkiego uśpienia, pokrewnego raczej dręczącym koszmarom aniżeli zdrowemu snowi.

Na wąskich górskich ścieżkach, po których konie musiały iść jeden za drugim, umilkły rozmowy i śmiechy pań i panów. Wydawać się mogło, że jedziemy nie po ziemi, ale po obłokach, wzdłuż krawędzi chmur. Sierp miesiąca nie miał tyle mocy, aby rozświetlić czeluście Himalajów. Morze ciemności rozlewało się obok skraju drogi, która, ledwie na rozmiar paru podków szeroka, wiodła górkim grzbietem. Drzewa, tak stare, że nie pokrywały się już liśćmi i sterczały jak porośłe mchem szkielety, zdawały się, odcięte od ziemi mgłą i śniegiem, zwisać z nieba. Niektóre z nich wyglądały jak szkielety ogromnych nietoperzy, wielkich niczym dom. Te upiorne drzewa i jaśminowobiały księżyc w zielonawym bezmiarze nocy przywiodły mi znowu na pamięć moje nocne przeżycia. Ale wielkie, szeroko rozwarte, niezgłębione przepaści Himalajów, sprawiające wrażenie, że równie głęboko można by zapuścić spojrzenie w mroczną głębię ziemi, jak w nocne niebo, te przepaści, wzdłuż których konie kroczyły bojaźliwie i niepewnie, bezgłośnie zanurzając kopyta w oślizgłym śniegu, jak gdyby balansując między życiem i śmiercią, te przepaści pochłonęły wszystkie wspomnienia i myśli, usypiały mnie jeszcze mocniej, aniżeli przedtem zapach kwiatów.

Ciepły, dymiący wonią potu grzbiet konia, który niósł mnie i kołysał, pozostawał jedynym ułomkiem rzeczywistości, którego jeszcze byłem świadom, gdyż senny nastrój widmowego krajobrazu mieszał się z sennym nastrojem mojego, nie całkiem jeszcze rozbudzonego, umysłu, ciągnąc mnie w przepaść.

Wreszcie mrok zaczął rzednąć, i dotarliśmy na Tigerhill o błękitnoszarym świetle, poprzedzającym wschód słońca.

Z hotelu wysłano przodem tybetańskich służących. Rozpalili oni wielki stos, ale drzewo było wilgotne i raczej się tliło, niż płonęło. Śnieg wokół

ogniska stopniał. Usiłowaliśmy rozgrzać przy ogniu nasze zeszywniałe podczas jazdy wierzchem nogi, obchodziliśmy wkoło, tupiąc, żarzący się stos, skracaliśmy czas popijaniem herbaty i czekaliśmy na pierwsze oznaki wschodu słońca.

Nagle ktoś powiedział obok mnie: — O, jest handlarz motyli! — Tak nazywano kupca angielsko—niemieckiego pochodzenia, który prowadził w Darjeelingu sklep z tybetańskimi osobliwościami, przygodnie zaś zajmował się również sprzedażą himalajskich motyli, a nawet na zamówienie wysyłał najpiękniejszych okazów do Europy. »

Nie miałem pojęcia, skąd wziął się na Tigerhillu, czy spotkał nas jadąc nocą z głębi gór, czy też towarzyszył nam z Darjeelingu. Kiedy posłyszałem słowa „handlarz motyli”, przypomniał mi się osobliwy bębenek, który przed dwoma dniami nabyłem w jego sklepie. Bębenek ten wykonano z czaszek dwojga ludzi, mężczyzny i kobiety. Czaszki połączono górnymi powierzchniami i zamknięto membraną, wskutek czego powstał podwójny bębenek. Kiedy się nim potrząsało, zamknięta wewnątrz kulka z kości słoniowej uderzała o czaszkę i o membranę, bębniąc bez ustanku. O instrumencie tym opowiedział mi wtedy handlarz motyli: „Kupiłem ten bębenek od kapłana jednej z tybetańskich świątyń. Są to czaszki cudzołożnika i cudzołożnicy. Bębniiono w ten bębenek codziennie podczas odprawiania modłów, ponieważ cudzołożnicy, złączeni na wieki, nie powinni zaznać spokoju nawet po śmierci. Kapłan, który na kamieniu nagrobnym koło świątyni porąbał na żer dla ptaków zwłoki tych, co złamali ślub wierności, miał prawo użyć ich czaszek do sporządzenia takiego instrumentu”.

Niełatwo udało się kupcowi uzyskać ten bębenek ze świątyni.

Czy rozrzedzone powietrze wyżyn spowodowało, że nagle usłyszałem z ciemnych przepaści himalajskich grzmot, jak gdyby czeluście górskie stały się dudniącymi czaszkami tych, co nie dotrzymali wierności?

— Słyszysz pani lawiny, które o wschodzie słońca zsuwają się w dół z

lodowców? — zapytał ktoś obok mnie.

Zapadła głęboka cisza. Nie zadzwoniła żadna filiżanka, nie zachrząścił w śniegu niczyj krok. Konie strzygły uszami i węszyły. Tam w górze wśród mgieł ukazało się nad rozległą przepaścią muskularne ramię olbrzyma, różowa, obfita pierś kobiety, barki, ramiona, biodra o gigantycznych wymiarach. Były to zarysy Mount Everestu i Kanczendzangi, leżących na niebiosach niczym para nagich olbrzymów wyżej aniżeli księżyc.

— Słońce — szepnęła jedna z pań.

Odwróciłem głowę i spojrzałem przez ramię, aby ujrzeć pałającą czerwono lawinę, która tocząc się po mgielnych obszarach, stawała się coraz większa i coraz czerwieńsza — było to słońce. Jak olbrzymia czerwona powódź nasycalo krwią lodowce i przemieniało śniegi w żywe ciało.

W tym momencie, w najuroczystszej chwili wschodu słońca ktoś ujął moją dłoń, wsunął moje palce do kieszonki kamizelki i zapytał: Gdzie jest amulet, który wczoraj kupiłeś? Czy te olbrzymie lodowce o barwie żywego ciała nie przypominają męskiej i kobiecej postaci z amuletu, który nabyłeś zeszłego wieczoru od Tybetanki?

Amuletu nie było w kieszonce. Znajdowały się w niej natomiast trzy duże srebrne monety, którymi za niego zapłaciłem.

To myśl o amulecie wsunęła moją dłoń do kieszonki.

Kto to się roześmiał? Wszystkie twarze zwróciły się ku mnie. Poczułem się sam dla siebie czymś niesamowitym. Kiedy rozpiąłem futro, żeby poszukać amuletu, z mojego ubrania uniósł się znowu tajemniczy zapach kwiatów. Ale teraz w blasku wschodzącego słońca, w śnieżystej świeżości poranka rozpoznałem, że to oszałamiające tybetańskie kadzidło świątynne, które, gdy się je dłużej wdycha, usypia i wywołuje wizje, a którego woń moje odzienie zachowało od nocy.

Już poprzednio na grzbiecie konia wyraźnie czułem ten zapach. Byłem jednak zbyt jeszcze oszołomiony jego działaniem w mojej sypialni, aby się zorientować, skąd się on bierze.

Odwróciłem się energicznym ruchem do handlarza motyli, aby go zapytać: Czy sądzi pan, iż istnieją amulety tak dla swoich posiadaczy cenne, że nie oddaliby ich za żadną sumę? Czy sądzi pan, że tybetańska kobieta, która przypadkowo utraciła taki amulet, użyje całego sprytu swojej przebiegłej natury, aby tę zgubę odzyskać? Czy sądzi pan, że się będzie wkradać przez boczne drzwi do domów i nie zawaha się wybić szyby, ażeby zdobyć swój amulet?

Powie pan: „Rozbicie szyby mogłoby kogoś obudzić!” Na to odpowiem jednak: Wybijając otwór w oknie można jednocześnie wpuścić do wnętrza żywego nietoperza, a ten ściąga uwagę na siebie i tym samym nie dopuszcza, aby przyszła nam do głowy myśl, że ktoś celowo rozbił szybę. Jeżeli się jeszcze odurzy obecną w pokoju osobą spalając pałeczkę kadzidła, to nic już trudnego wsunąć rękę przez dziurę w szybie, nacisnąć klamkę, wejść przez otwarte okno, poszukać straconego amuletu, odnaleźć go, otrzymaną za niego sumę odłożyć z powrotem, amulet natomiast zabrać.

O to wszystko, powziąwszy stanowczą decyzję, chciałem zapytać handlarza motyli. Otworzyłem usta. Ale słowa, które miałem wypowiedzieć, zmieniły się, nim zdołałem zaczerpnąć tchu, i oto usłyszałem, że mówię: — Jeżeli zdobyłby pan znowu jakieś rzadkie okazy himalajskich motyli, to proszę przysłać je do Europy na mój adres.

Wyjąłem jednocześnie z kieszonki te same monety, którymi wczoraj zapłaciłem za amulet, i wręczyłem kupcowi jako wynagrodzenie za trzy motyle.

Nie powiedziałem nic więcej. Słońce znowu zniknęło wkrótce w tumanach i wracaliśmy do Darjeelingu nad mgławiejącymi przepaściami w świetle dziennym przypominającym raczej poświatę księżyca.

Amuletu nie znalazłem. Nie było go na stole w pokoju, nie było w kieszeniach, nie było w walizkach.

Przypomniałem sobie teraz, że kiedy wczoraj po obiedzie szedłem przez pokój bilardowy do salonów gry, gdzie wyfraczeni panowie i dekoltowane

damy zasiedli wokół zielonych stolików przy płonących kominkach, ogarnęło mnie nagle pragnienie ucieczki od tego europejskiego luksusu, który nawet tutaj w Azji, na wyżynach Himalajów, zaaranżowano dla rozkapryszonych milionerów i miliarderów.

Wyszedłem na szeroki taras i zatonąłem wzrokiem w czarodziejskim widowisku płynących nad przepaściami tumanów oraz w gwiazdach, które się zdawały tańczyć nad wędrującymi mgłami. Z przepływających górą kłębow mgieł, wirujących wokół księżyca, zaczął mżyć deszcz ze śniegiem.

Kiedy wracałem do hotelu, wydało mi się, że widzę duże zwierzę, przebiegające w cieniu balustrady poza róg budynku. Wczoraj wieczorem pomyślałem, że to chyba pies. Teraz wiedziałem jednak, że był to idący na czworakach człowiek, kobieta, prawdopodobnie kobieta, której amulet znalazł się w moim posiadaniu i która przez całą noc krążyła wokół hotelu, ażeby z całą przebiegłością odebrać ów amulet, leżący na stole w moim pokoju.

Rozważałem to teraz po powrocie do hotelu z nocnej przejażdżki i serdecznie pragnąłem porozmawiać z kimś na ten temat. Moi europejscy towarzysze podróży wydawali się jednak zbyt banalni, ażebym miał ochotę wtajemniczać ich w swoistą mistykę tego nocnego przeżycia.

O trzeciej po południu odchodził pociąg, który miał mnie jeszcze tego wieczoru przenieść między indyjskie ogrody kawowe i plantacje trzciny cukrowej, a nazajutrz rano zawieźć do Kalkuty.

W drodze na dworzec nie mogłem się oprzeć pragnieniu, żeby zatrzymać riksę przed sklepem handlarza motyli. Wysiadłem. Zanim zdążyłem otworzyć drzwi, rozwarły się one niespodziewanie i obok mnie przebiegła tybetańska kobieta. Nie poznałbym jej, ponieważ wszystkie Tybetanki wydają mi się podobne, jak zresztą w oczach każdego Europejczyka zupełnie jednakowi są wszyscy Murzyni i Chińczycy, gdyby nie to, że kobieta pełnym przerażenia ruchem zgarnęła płaszcz na piersi, jakby chciała osłonić przede mną coś, co mógłbym jej odebrać. Odniosłem wrażenie, że od wczoraj

zmizerniała i pobladła. Mówiąc coś głośno do siebie i wymachując łokciami, jakby się broniła przeciw setkom wyciągających się ku niej rąk, popędziła w dół stromą ulicą, ścigana śmiechem moich rikszarzy, którym jej zachowanie wydało się jeszcze osobliwsze aniżeli mnie.

W sklepie nie miałem sposobności, żeby pomówić z kupcem o amulecie, ponieważ zanim zdążyłem otworzyć usta, pokazał mi przyszpilonego w rzeźbionej szkatułce motyla wielkości ludzkiej dłoni. Kobieta sprzedała właśnie ten rzadki okaz. Przechowuje się je w ten sposób, ponieważ zapach kamfory chroni owada przed niszczącym oddziaływaniem wpływów atmosferycznych. Przez wiele pokoleń można zachować motyla w całej jego piękności, zamknąwszy go w szkatułce z kamforowego drzewa. Również ta kobieta odziedziczyła owego motyla, który w jej rodzinie stanowił część spadku. Kupiec nie mógł się nadziwić, czemu sprzedała ten okaz, chociaż jest to właściwie rzecz bezcenna, bo tego rodzaju motyle łowi się w górach raz na sto lat. Ma on na skrzydłach ciemne linie, których zarys przypomina linie na dłoni człowieka.

— Ta kobieta — powiedział handlarz motyli — musi prawdopodobnie za jakiś urojony grzech złożyć ofiarę w świątyni, ponieważ sprzedając tego motyla pozbyła się najcenniejszego rodzinnego skarbu, ażeby uzyskać pieniądze na opłacenie pokutnego.

Dowiedziałem się również od kupca, że ta kobieta jest tak zwaną „wieczną wdową”, jedną z tych, które nie barwią twarzy krwią wołu i nie pragną kochać innego mężczyzny poza swoim zmarłym mężem. Ażeby jednak być pewną, że zmarły będzie jej w przyszłym życiu tak wierny, jak ona jemu, kobieta nosi na piersi uwiązany na mocnej, nie do rozerwania strunie amulet przedstawiający dwoje ludzi. Jeżeli zgubi taki amulet — którego nie oddałaby za żadne skarby — traci tym samym wierność męża i nie spotka już ukochanego w przyszłym życiu.

Takiego amuletu nie sprzedaje się nigdy, a gdyby zaginął, to każda Tybetanka gotowa jest nie szczędzić własnego życia, byle tylko odzyskać tę

bezcenną rękojmie wierności.

Siedząc tego popołudnia w pociągu zjeżdżającym w mroczne głębie Himalajów, widziałem raz po raz w kłębach pary, która ulatując z lokomotywy o wieszala się na gęstwinach dżungli i konarach dziewiczych lasów, postać tej wiecznej wdowy, jak szuka, pochylona i zgarbiona, jak tańczy wyprostowana ponad szczytami drzew, jak przyciska ręce do piersi, aby poczuć amulet, który zapewnia jej wierność i miłość ukochanego w przyszłym życiu.

Potem zaś, kiedy się ściemniło i nie widziałem już za oknem lasu ani kłębów pary, długo oglądałem przy mętym świetle wagonowej lampy wielkiego motyla w kamforowej szkatułce, którego linie, tak powikłane jak linie losu na dłoni człowieka, wybiegają ku granicom nocy w niezgłębione ciemności, podobne himalajskim czeluściom, pełnym mroku i zabobonu, piętrzącym się złowrogo tuz obok przecinającego góry toru kolei.

Przełożył Stefan Lichanski

Paul Rohrer

ŚWIERK DON LORENZA

— Jechaliśmy wtedy z przemytem przez góry! — krzyczał Michał. Był pijany i w rozpiętym kaftanie rozwalił się na kamiennej ławie parku. Jego dłoń z dziesięciu pierścieniami, pochodzącymi z naszych najniebezpieczniejszych wypraw korsarskich, pierścieniem hrabiego Corsana, szmaragdem biskupa Valony, rubinem księżny Acra, opancerzona tą całą zimno łyskliwą wspaniałością, zaciskała się około kamiennej głowicy na końcu poręczy. — Wiedzieliśmy, że don Lorenzo ze zbirami weneckimi pociągnął za nami przez parowy. Wtedy wyruszyliśmy o takiej pełni księżyca jak dziś i zabiliśmy go wśród zabawy maskowej, którą sobie urządził.

Skuleni lub wyciągnięci w trawie, klęliśmy, że stary kasztelan zepsuł pijatykę nam i Michałowi. Po co, u licha, rozповідаł o duchu don Lorenza? Dopłynęliśmy do samotnej zatoki szczęśliwie i niepostrzeżenie odstawiliśmy naszym odbiorcom do miasta jedwab lombardzki, skutarski aksamit, klejnoty i skrzynie z korzeniami. Przed tym na wpół zapadłym zamkiem chcieliśmy wyspać się z naszego szczęścia.

Ale przekłety staruch siedział wciąż na pniu słupa, trzymając holenderską fajkę glinianą w bezzębnych ustach. Wyznanie naszego kapitana było mu obojętne. — Don Lorenzo żyje tu w kwiatkach i drzewach, które zasadził — powtarzał. I trzęsącą się ręką zakreślił w powietrzu szerokie półkole ponad pogrążonym w nocy parkiem. — Nie ma tu rośliny, która by nie była nim. Zdziczałe róże to jego chuci, krzaki cierniste to jego nienawiść, splątane świerki to jego ręce, wykrzywione żądzą zemsty.

— A więc chcę spać u niego! — ryknął Michał nagle tak, że od tej jego ochoty przejęło nas zimnym dreszczem. — Chcę spać w pokoju, do którego

zaciągnął moją niewiastę. Jego złe sumienie przeciw mojemu! Poświęć mi na górę!

Przeraziliśmy się. Uczta na murawie, która się tak wesoło rozpoczęła, że, aby sobie dogodzić, brakło nam tylko kilku tęgich dziewczek, mogła się skończyć walką z czymś niewidzialnym. Każdy z nas, młodych hultaj ów, czy to w utarczce o płonącą galerę turecką, czy przy plądrowaniu wsi nadbrzeżnych, doświadczył już pożytków korzenia alruszowego i łapki świętojańskiej i przekonał się, że nie wszystko jest z tego świata: — On oszalał! — krzyknął jeden. Kilku chciało go pojmać, siłą sprowadzić na brzeg i zawlec na statek. Ale kapitan wyjął szpadę z zawieszki. Płaskimi, wściekłymi ciosami odpędził od siebie towarzyszy i stanął obok ławy kamiennej już sam. My zaś, schroniwszy się przed jego gniewem w cieniu najbliższych drzew, zdumieliśmy się —bardziej jego wściekłością niż spokojem, z jakim kasztelan wziął latarnię i czekał na Michała. Krótkim gestem ręki kapitan dał mu znak, i staruch pokiwał się naprzód, jak gdyby miał pokazać osobliwy obraz, a nie powieść człowieka w opresję, grożącą ztratą duszy.

— Łotr, kto go zostawi na pastwę ogłupienia — stęknąłem. Ale sarkanie, jakie usłyszałem dookoła, pokazało mi, że nikt nie miał ochoty rozstać się z flaszkami i za to poigrać z losem. Tymczasem żółty blask latarni przewijał się już wśród wysokiej, od dawna nie koszonej trawy pod gotycki łuk bramy. Przeszedłszy pod nim, Michał zniknął w olbrzymiej czarnej masie, którą zamek i jego dalekie skrzydła obejmowały park. Im więcej się oddalał i im bardziej mi się zdawało, że słuchał raczej jakiegoś nadziemskiego nakazu niż swojej woli — jego ruchy, coraz bardziej jakby lalkowate, nasuwały mi to wrażenie — tym silniej ogarniała mnie niewytłumaczona obawa.

Postanowiwszy nie opuszczać go w tej potrzebie, odłączyłem się od towarzyszy i pospieszyłem do gmachu. Pomruk wiatru nocnego opływał jego fasadę i gwał wierzchoły drzew rosnących obok bagnistego rowu.

Już latarnia, wśliznąwszy się w portyk bramy, ukazała na chwilę zarysy

kraty spuszczonej, zamigotała popod sklepieniem i pomknęła ku podwórzu. Biegając rozgryzłem jeden z patronów, które zawsze nosiłem na bandolecie, i drżącymi palcami wsypałem nabój do lufy pistoletu. Teraz napięta broń mierzyła krętą drogę, którą ci dwaj na przedzie szli przez wymarłe sale i pogłośnie krużganki. Nawet najcichsze słowo nie przeleciało między nimi. Słysząc było tylko dreptanie starego i miarowo zamaszyste kroki Michała. Ja trzymałem się głowy ich długich cieni i stąpałem raz po jeżowatej sylwetce kasztelana, to znów po zarysach warkoczy, które jak węże trzęsły się wokoło czaszki kapitana.

Oślepe zwierciadła na ścianach zgasłym okiem odbijały okna, pstre jedwabne draperie owijały się około estrad. W jednej komnacie leżał stos instrumentów muzycznych, które niegdyś porzuciła ucieczka z zamęczonej maskarady. Od tej nocy mordy, kiedyśmy z pochodniami i sztyletami wpadli w rozhulane towarzystwo i pomścili honor Michała, życie odpadło od zamku jak łachmany od trupa żebraka. Nikt nie odważył się unieść nawet choćby jednej długowłosej peruki. I od tego czasu zatoka nieraz służyła naszej galeonie, zapuszczony park naszym dzikim uciechom, a suchy oleander naszym ogniom, którymi tumaniliśmy okręty kupieckie, zwabiając je na niebezpieczne rafy wapienne. Ale do zamku samego nawet najodważniejsi z nas nie wchodzili.

Nie wiem, czy to było konieczne, czy złośliwość kasztelana sprawiła, że musieliśmy wędrować przez te wszystkie martwe komnaty, przez chodniki i piwnice, nawet przez kaplicę, w której była jeszcze woń jakby zbutwiełego kadzidła. W końcu ci obaj weszli do pokoju, w którego alkwie stało łóżko z baldachimem. Zasłonięty skrzynią, patrzyłem przez dziurkę od klucza i słuchałem, jak coś cicho mówili. Krąg światła wysoko podniesionej latarni przesunął się nad tym łóżkiem, po złotych ozdobach, po freskach ścian, z których łuszczyło się wapno, i po grubych pajęczynach na szybach okien. — Sypialnia don Lorenza — rzekł stary. Michał padł na krzesło. Palce wkopał w oczy i stękał rozpamiętując. Nawet kto by go nie znał, wiedziałby, że

potrafiłby on jeszcze i ciało Lorenza wywlec z grobu i rozszarpać.

— Michale — zawołałem wyskakując — wracaj!

Kapitan wstał i wybuchnął wściekłym śmiechem. — Dokąd? — zapytał. — Muszę go jeszcze raz poszukać. Niech nie myśli, że stchórzyłem.

Ale bardziej niż jego szaleństwo przeraziło mnie to, że stary kasztelan nagle zniknął.

— Gdzie jest twój przewodnik? — zapytałem przerażony.

Michał spojrział na mnie, nie rozumiejąc. Jaki przewodnik? I czy się tak upiłem zdobyczną małmazją, że w wyobraźni roją mi się widma?

Zatliła się we mnie zgroza. — Boże miłosierny! — wrzasnąłem i rzuciłem się ku drzwiom, którymi właśnie wszedłem. Były zamknięte. Chociaż zdawały się spojonymi z lekkiego drzewa, nie ustąpiły, nawet gdy próbowałem rozerwać je szpadą Michała. — Zardzewiały, zamek? — drwił Michał. Ale obłąkany jak szczur w pułapce, skoczyłem ku oknu, aby zbadać, czy tamtędy możliwa będzie ucieczka. Rękawem kaftana haftowanego złotem, który zrabowałem rajcy ragusańskiemu, zmiotłem pajęczyny z szyb. Odsłonił się widok wprost na zatokę, na której środku nasza korsarska galeona stała na kotwicy. Pełnia księżycy jakby ośnieżyła łyse góry, a morze nurtowało jak roztopione srebro. Głęboko na widnokręgu było kilka wąskich, nieprawdopodobnie białych' ławic chmur. Ale gdy mierzyłem przepaść z okna do parku, krew ścięła mi się w żyłach, już nie na widok niemożliwości skoku z tego urzeczonego miejsca, lecz wskutek czegoś całkiem innego.

Największy z świerków, który don Lorenzo niegdyś zasadził na skraju łąki i pod którym jeszcze tego wieczoru podochociliśmy sobie, opuścił swe miejsce. Stał teraz ponury i potężny na wolnej przestrzeni, a w połowie drogi między zamkiem a obozowiskiem naszych kamratów. — Kłamiesz — syknął Michał, którego przywołałem, aby zobaczył to zjawisko — on spacerowałby sobie w swoich drzewach? — Z zapartym oddechem według kwiatów dzikiego narcyżu, którymi łąka była upstrzona, mierzyliśmy, czy pień naprawdę się porusza. Trzeba było trudu, aby to wymiarkować. Mimo to

wnet się ulegało wątpliwości, że świerk z przeraźliwą powolnością dźwigał się po stoku do góry i wysuwał przy tym naprzód swoją koronę jak ślimak skorupę.

Teraz przyszła kolej na Michała, że nagle, ocknąwszy się z odrętwienia, zawył i rzucił się ku drzwiom. Ja ustąpiłem w tył. Bezwładny od zgrozy, oparłem się o ścianę i patrzyłem na wysiłki kapitana. Obdarzony bawolą siłą, wyrzwał ciężką płytą stołu w taflę drzwi. Drzewo poszło w drzazgi od strasznego ciosu, ale zawory ani drgnęły, jak gdyby wraz z murem stanowiły jedną całość. Okropne opowieści kasztelana przyoblekały się w kształt. Duch don Lorenza nasyczał niewidzialnie wszystkie rzeczy naokoło nas tą okrutną mściwością, która go cechowała za życia. Czułem, jak namiętność jego i namiętność Michała gotowały się do ostatnich zapasów, i chociaż nic nie słyszałem, w mój mózg płonący wnikało wrażenie, że przez ściany i powały, przez kamień i tynk przesiąka głęboki oddech zamordowanego. A tymczasem księżyc mieszał swoje czcze światło z światłem lampy. Wolałbym być znaleźć się raczej w beznadziejnej walce obok naszej olbrzymiej latarni na pokładzie.

Podczas gdy kapitan walczył ze ścianą, patrzyłem, jak na świetlnym czworokącie okna powoli występowała jakaś ciemna masa. Był to szczyt świerku, stwór, który w moich oczach rósł i przybierał. — Michale! — jęknąłem. Teraz i on zobaczył to i klnąc wydarł mi pistolet. Zanim mu zdołałem przeszkodzić, złożył się i wystrzelił w stronę widziadła. Nowe krzesiwo granitowe, które dzień przedtem wprawiłem w kurek, spełniło swą powinność.

Piorunowi strzału Michała odpowiedziało w ciasnej przestrzeni straszliwe echo. Promień ognisty uderzył w szybę. Przebita kulą brzękła i wielki kłęb dymu napełnił salę.

Ale jak gdyby ten czyn zagasił księżyc, staliśmy nagle przed oknem zupełnie ciemnym. — Co to jest? — krzyknąłem i wzniosłem latarnię do góry. Mgiełki pary toczyły się tam i sam. Ale poprzez nie zauważyłem teraz,

że świerk już przycisnął swe gałęzie do szkła. Nie były już tak spokojne, jak wydawały się przedtem. Jasnobrunatne drzewo kurczyło się i wyginało wężowo naprzód i w tył, i nawet w jasnych, długich szpilkach drżało coś, jakby były żywymi palcami tego straszego drzewa. Przywierały do szyby. Usiłowały ją wszędzie przebić. I tak się stało, bo szkło poddało się naporowi jak gęstociekła masa i wygięło się ku wnętrzu. A okrągłym otworem, wybitym przez kulę, wśliznęła się już cienka gałąź i wpychała się coraz dalej do pokoju.

Kapitan stał u stóp łóżka, z dymiącym pistoletem w jednej ręce, a drugą tak wpił się w drzewo, że wszystka krew, która mu uciekła z twarzy, zdawała się kapać z tych palców. Delikatny, cienki trzask oznajmiał już, że szyby okna nie wytrzymały nacisku i pękły. Z ciężkimi kolanami powlokłem się jeszcze raz ku drzwiom. Nie wiem, czy się otworzyły, czy jakiś czar szczuł mnie po pustym zamku, aż padłem na podwórzu koło fontanny.

Tu znaleźli mnie towarzysze nazajutrz. Do pokoju Michała trzeba było wysadzać drogę prochem. Leżał martwy na łożu z baldachimem. Najmniejszy ślad nie zdradzałby zająć minionej nocy, gdyby nie mała szpilka z świerku, która tkwiła w jego piersi pod sercem. Kostkami rozlosowaliśmy dziesięć kosztownych pierścieni, które miał na ręce na pamiątkę dziesięciu najzuchwalszych wypraw: szmaragd biskupa Valony, rubin księżniczki Acra i inne. Potem pogrzebaliśmy naszego kapitana i podpaliliśmy to przeklęte gmaszysko jako pochodnię żałobną.

Ponieważ właśnie była cisza morska, nasza galeona jeszcze trzy dni stała w łunie, którą pożar malował daleko ponad morzem.

Przełożył Karol Irzykowski

Noty o autorach

Johann Wolfgang Goethe (1749–1832) Johann Wolfgang Goethe urodził się we Frankfurcie n. Menem. Ojciec, z wykształcenia prawnik, miał tytuł radcy cesarskiego; matka była córką burmistrza Frankfurtu. Nad jego wszechstronnym wykształceniem w domu rodzinnym czuwał osobiście ojciec, który wybrał też dla niego kierunek studiów, mianowicie prawo. Rozpoczął je w Lipsku, a kontynuował po ciężkiej chorobie w Strasburgu. Po uzyskaniu doktoratu prowadził przez krótki okres kancelarię adwokacką w swoim mieście rodzinnym. Na zaproszenie księcia sasko-weimarskiego Karola Augusta udał się w r. 1775 do Weimaru, gdzie spędził resztę swego życia. W służbie księcia rozwinął ożywioną działalność, która doprowadziła do poprawienia gospodarki i ulepszenia administracji kraju. W r. 1782 podniesiono go do stanu szlacheckiego, w 1790 został ministrem. Na lata 1786–1788 i 1790 przypadają jego podróże do Włoch, latem 1790 r. wybrał się z księciem na Śląsk, a stąd dalej aż do Krakowa, następnie w latach 1792–1793 uczestniczył jako obserwator w wojnie koalicyjnej przeciwko Francji, w r. 1797 był po raz trzeci w Szwajcarii, wielokrotnie bawił w Karlsbadzie i Marienbadzie. Wśród licznych gości, których przyjmował Goethe w Weimarze, byli polska pianistka Maria Szymanowska i Adam Mickiewicz. J. W. Goethe zmarł w Weimarze; pochowany został w krypcie książęcej.

Twórczość literacka największego poety niemieckiego obejmuje w równej mierze lirykę, dramat i epikę. Ponadto prowadził badania naukowe z zakresu mineralogii, botaniki, zoologii i optyki. Dowodem jego uniwersalności są rozprawy z najróżniejszych dziedzin życia i sztuki. Był utalentowanym rysownikiem i malarzem oraz długoletnim kierownikiem teatru weimarskiego, w którym zainscenizował wiele sztuk i występował jako aktor.

Kronikarzem swej epoki jest w dziełach autobiograficznych, takich jak: *Z mojego życia. Zmyślenie i prawda (Aus meinem Leben. Dichtung und Wahrheit, 1811–1822)*, w opisach podróży, w rozmowach ze swoim sekretarzem Eckermannem, w codziennych zapisach i w ogromnej korespondencji.

J. W. Goethe debiutował jako liryk wierszami wzorowanymi na poezji rokoko (*Annette, 1767*). Szybko jednak zdobywa się na indywidualny styl, polegający na zharmonizowaniu przeżyć osobistych z odczuciem piękna przyrody. Nowym elementem w jego liryce jest także wpływ poezji ludowej m.in. w tzw. pieśniach z Sesenheim, wyrosłych z jego miłości do Fryderyki Brion. Tonem podniosłym, będącym odzwierciedleniem dumy i pewności siebie, charakteryzują się hymny o treści filozoficznej pochodzące z okresu frankfurckiego (1772–1774). Do jego narzeczonej, Lili Schönemann, skierowane są wiersze znamionujące głębokie wewnętrzne rozdarcie. Okres weimarski oznacza dla liryki Goethego zmianę tonacji z młodzieńczo—tytanicznej na spokojniejszą, bardziej uduchowioną. Refleksyjność góruje nad konkretnym obrazem, osobiste przeżycia ustępują miejsca doznaniom ogólnoludzkim. Takie są wiersze do Charlotty von Stein, takie są również pieśni, elegie, sonety i ballady, będące wyrazem jego bogatych doświadczeń życiowych. Z ważniejszych cykli trzeba wymienić *Elegie rzymskie (Römische Elegien, 1795)*, w których impresje włoskie przeplatają się z emocjami wywołanymi szczęściem miłosnym doznany z Chrystiana Vulpius, jego późniejszą żoną. Różnorodność tematyki cechuje *Dywan Zachodu i Wschodu (West-Östlicher Divan, 1819)*, zarazem autoportret poety. Odbiciem jego wielkiej ostatniej miłości do młodzianki Ulryki von Levetzow jest *Elegia marienbadzka (Marienbader Elegie, 1823)*, gdzie siła namiętności zespala się z tragiką rezygnacji.

Jako dramaturg wślawił się Goethe po raz pierwszy sztuką napisaną w duchu „burzy i naporu” *Götz von Berlichingen (1773)*. Bohater jest u niego wrogiem możnowładców, nieustraszoną obrońcą wolności i przywódcą

chłopów w wojnie z r. 1525. Z tej samej atmosfery wyrósł *Egmont* (1787), którego treść stanowi walka Niderlandczyków przeciwko uciskowi Hiszpanów. Dramatem na wskroś klasycznym jest *Ifigenia w Taurydzie* (*Iphigenie auf Tauris*, 1787). Myśl naczelną — ideę czystego człowieczeństwa — wyraził autor zarówno przez poświęcenie i prawdomówność bohaterki, jak i przez wspaniałomyślność i humanitaryzm króla Toasa. *Torquato Tasso* (1789) zaś pokazuje na podstawie konfliktu poety ze swoim otoczeniem problem egzystencji artysty. Dramat ten jest wyrazem wewnętrznej walki, którą Goethe musiał stoczyć w obronie własnego posłannictwa. Dziełem życia Goethego jest *Faust* (cz. 1 — 1808, cz. 2 — 1832). Temat, wzięty z szesnastowiecznego podania ludowego, zawiera u niego dużą ilość realnych, alegorycznych, symbolicznych i mitologicznych wątków fabularnych oraz wydarzeń i osób. Mnogość poruszonych problemów, obejmujących niemal wszystkie dziedziny życia ludzkiego, czyni z tego niekonwencjonalnego dramatu najbardziej uniwersalny utwór nie tylko Goethego, lecz całej literatury niemieckiej. Pokazana jest bowiem droga człowieka dążącego do szczęścia. Nie znajduje go jednak ani w hulaszczym trybie życia, ani w miłości, ani w pieniądzu, ani w sławie. Prawdziwe szczęście zapewnia mu twórcza praca dla dobra ogółu.

Równie wielkimi osiągnięciami, jak w liryce i dramacie, mógł się Goethe poszczycić w epice. Już jego pierwsza powieść pt. *Cierpienia młodego Wertera* (*Die Leiden des jungen Werthers*, 1774) stała się wielkim wydarzeniem literackim. Jak żaden pisarz przed nim potrafił on bowiem w tej powieści epistolarnej oddać nastroje młodego człowieka owładniętego miłością do kobiety należącej do innego mężczyzny. Nieszczęśliwe to uczucie oraz przykrości doznane z powodu różnic społecznych pchają go do samobójczego czynu. Fakt, że wszystkie poczynania i doznania bohatera współgrają z żywo odmalowaną przyrodą, zwiększa siłę oddziaływania powieści.

Wielką dwuczęściową powieścią *Lata nauki Wilhelma Meistra* (*Wilhelm Meisters Lehrjahre*, 1795–1796) i *Lata wędrówki Wilhelma Meistra, czyli O rezygnacji* (*Wilhelm Meisters Wanderjahre oder Die Entsagenden*, 1821–1829) stworzył Goethe wzór tzw. powieści rozwojowej, która w XIX wieku znalazła wielu naśladowców. Autor pokazuje w niej kształtowanie się osobowości człowieka i wychowanie go na pożyteczną dla społeczeństwa jednostkę. W *Latach wędrówki* roztacza wizję nowego systemu państwowego, opartego na zasadach utopijnego socjalizmu. Podczas gdy część pierwsza charakteryzuje się zwartą budową i ciągłością akcji, część druga ma kompozycję luźniejszą, a sama fabuła przetkana jest nowelami i obszernymi dyskursami, uwydatniającymi myśli pedagogiczne i kulturowo-filozoficzne.

W latach dziewięćdziesiątych powstały ponadto: satyryczny epos *Lis Przechera* (*Reineke Fuchs*, 1794), cykl opowiadań ramowych pt. *Rozmowy niemieckich uchodźców* (*Unterhaltungen deutscher Ausgewanderten*, 1795) — z których pochodzi *Historia neapolitańskiej śpiewaczki* — oraz idylliczny epos *Herman i Dorota* (*Hermann und Dorothea*, 1798); w każdym z tych utworów — oraz w mniej znaczących dramatach — ustosunkowuje się pisarz do wydarzeń rewolucyjnych we Francji.

Tematem powieści psychologicznej pt. *Powinowactwa z wyboru* (*Die Wahherwandschaften*, 1809) są zagadnienia etyczne dotyczące małżeństwa. W konflikcie między namiętnością a porządkiem prawnym wypowiada się Goethe za tym ostatnim, traktując go jako fundament bytu społeczeństwa. Człowiek — istota obdarzona wolną wolą — jest bowiem zdolny przezwyciężyć wyłaniające się sprzeczności między osobistymi skłonnościami a normami ogólnie obowiązującymi.

Ogromne dzieło J. W. Goethego jest dzisiaj nadal żywe. Wciąż na nowo zapładnia ono poetów swym pięknem, wciąż na nowo pobudza też filologów do zgłębiania jego nieprzemijających wartości.

Ludwig Tieck (1773–1853) Ludwig Tieck urodził się w Berlinie w rodzinie zamożnego rzemieślnika. Studiował teologię i filologię w Halle, Getyndze i Erlangen. Wróciwszy do Berlina, zaangażował się u znanego wydawcy F. Nicolaia. Znajomość z braćmi Schlegel zaprowadziła go do obozu romantyków, z którymi pod wpływem W. H. Wackenrodera już wcześniej sympatyzował. Po pobycie w Jenie i Dreźnie osiadł w Ziebingen k. Frankfurtu nad Odrą, gdzie mieszkał do 1819 roku. W tym czasie odbył kilka większych podróży. W Rzymie zajmował się literaturą średniowieczną, w Stratford-on-Avon zaś studiował Szekspira. Mieszkając znowu w Dreźnie, poświęcał się teatrowi. W r. 1841 król pruski Fryderyk Wilhelm IV powołał go do Berlina, na doradcę do spraw teatru, i tam Tieck zmarł.

We wczesnej fazie twórczości poetyckiej sympatyzował Tieck z kołami berlińskiego oświecenia. Najważniejszym dziełem z tego okresu jest powieść epistolarna *Historia pana Williama Lovella* (*Die Geschichte des Herrn William Lovell*, 1796). Romantykem stał się około r. 1797, kiedy to wydał opracowane przez siebie powieści jarmarczne pt. *Baśnie ludowe* (*Volksmärchen*). W zbiorze tym opublikował także oryginalną baśń *Jasnowłosa Ekberta* (*Der blonde Eckbert*) oraz komedię romantyczną *Kot w butach* (*Der gestiefelte Kater*), w której tzw. ironia romantyczna święci triumfy. Jej celem jest pozbawienie czytelnika czy widza iluzji poprzez pomieszanie świata rzeczywistego i baśniowego, burzenie ustalonego porządku dramatycznego, krzyżowanie się planu gry scenicznej z planem wydarzeń na widowni. *Kot w butach* jest satyrą na modne podówczas tendencje w dramacie mieszczańskim.

Równocześnie z innymi jeszcze utworami dramatycznymi powstaje liryczna powieść rozwojowa *Wędrówki Franciszka Sternbalda* (*Franz Sternbalds Wanderungen*, 1798). Powieścią tą zapoczątkował L. Tieck dyskusję na temat znaczenia sztuki oraz miejsca artysty we współczesnym społeczeństwie. Tieck był także twórcą dramatu romantycznego, jak np. *Życie i śmierć świętej Genowefy* (*Leben und Tod der heiligen Genoveva*,

1800). Przeplatają się w nim wszystkie rodzaje literackie, akcja realistyczna zawiera elementy fantastyczne, tonacja powagi miesza się z rubasnością. Jest to dramat niesceniczny, brak w nim trzech klasycznych jedności, jego fabuła opiera się zazwyczaj na starej legendzie, baśni czy książce jarmarcznej. Baśnie dramatyczne i nowele, spięte opowiadaniem ramowym, wydał Tieck w trzytomowym zbiorze pt. *Utwory fantastyczne (Phantasmus, 1812–1816)*, którym zamknął okres romantyczny.

Lata dwudzieste to przechodzenie Tiecka na pozycje realistyczne. Jest to okres wzmożonej twórczości epickiej. Powstają wówczas m.in. takie utwory, jak nowela o Szekspirze *Życie poety (Dichterleben, 1826)*, opowiadanie historyczne o walkach kamizardów *Bunt w Sewennach (Der Aufruhr in den Cevennen, 1826)* czy barwna powieść rozgrywająca się w okresie włoskiego renesansu pt. *Vittoria Accorombona (1840)*.

Jako historyk literatury wsławił się L. Tieck wydaniem pieśni Minnesangerów, jako teoretyk — cennymi uwagami o strukturze noweli, jako krytyk zaś — wnikliwymi recenzjami teatralnymi.

Heinrich von Kleist (1777–1811) Heinrich von Kleist urodził się we Frankfurcie n. Odrą. Zgodnie z tradycją rodzinną obrał karierę wojskową, lecz w r. 1799 zrezygnował z niej i zaczął studiować matematykę i filozofię. Pod wpływem agnostycznej filozofii Kanta załamał się. Odtąd dużo podróżował, m.in. po Francji i Szwajcarii, po czym pracował przez dwa lata jako urzędnik w Królewcu, wydawał w Dreźnie i Berlinie czasopisma, w których zwalczał Napoleona. Zginął śmiercią samobójczą koło Berlina.

H. v. Kleist jest jednym z największych dramatopisarzy i nowelistów niemieckich. W swojej pierwszej sztuce pt. *Rodzina Schroffenstein (Die Familie Schroffenstein, 1803)* opierał się na motywie Romea i Julii. Potężny dramat o wielkim ładunku emocjonalnym pt. *Robert Guiscart (1803)* sam spalił, odtwarzając później tylko pierwszy akt. Według *Amfitriona* Moliera napisał tragikomedie (1808) pod tym samym tytułem, przedstawiając ideę

tego tematu w sposób bardziej wysublimowany. Pełna humoru jest jego nieco rubaszna komedia *Rozbity dzban* (*Der zerbrochene Krug*, 1808); krytykę społeczną niemieckiej wsi łagodzi komizm charakterów, sytuacji i słowa. Anormalne stany psychiki człowieka analizuje w kolejnej tragedii, której osnowę stanowi greckie podanie o królowej Amazonek Pentesilei, zabijającej w napadzie szału Achillesa. Jej przeciwieństwem jest łagodna Kasia z Heilbronn w dramacie na wskroś romantycznym pod tym samym tytułem (*Kathchen von Heilbronn*, 1808). Pod wpływem sytuacji politycznej zrodził się dramat *Bitwa w lesie Teutoburskim* (*Die Hermannsschlacht*, 1809); tchnie on nienawiścią do uzurpatora Napoleona. Na pewnym historycznym wydarzeniu z bitwy pod Fehrbellin (1675) osnuty jest *Książę Homburg* (*Prinz Friedrich von Homburg*, 1810); autor dąży w nim do pogodzenia racji stanu z indywidualnością człowieka.

Nowele H. v. Kleista (wyd. 1810–1814) charakteryzują się tym samym wewnętrznym napięciem i zwięzłością wypowiedzi, co jego dramaty. *Trzęsienie ziemi w Chile* (*Das Erdbeben in Chili*) pokazuje raz jeszcze działanie przypadku, któremu człowiek ulega. W *Markizie von O.* (*Die Marquise von O.*) drastyczność tematu zostaje złagodzona czystością i szlachetnością bohaterki. Wielkim freskiem dziejowym, a zarazem polemiką z panującymi stosunkami społecznymi i politycznymi w Niemczech jest jego najwybitniejsza nowela pt. *Michael Kohlhaas*: walka bohatera o sprawiedliwość przybiera tu cechy monumentalne. Od pozostałych utworów krótkiej prozy odbiega tematyką i nastrojem *Żebraczka z Locarno* (*Das Bettelweib von Locarno*, 1810).

Z jego rozpraw teoretycznych godny uwagi jest artykuł pt. *O teatrze marionetek* (*Über das Marionettentheater*). Ponadto pisał anegdoty i recenzje.

Friedrich de la Motte Fouqué (1777–1843) Friedrich de la Motte Fouqué jest potomkiem francuskich emigrantów. Przez kilka lat służył w armii

pruskiej, po czym poświęcił się pracy pisarskiej. Pod koniec życia przeniósł się do Halle i Berlina, gdzie miał wykłady z poezji i polityki.

Bogata twórczość literacka Fouquégo obejmuje dramaty, powieści i nowele. Z lubością sięga on do średniowiecznych podań nordyckich, każąc swoim bohaterom walczyć w licznych bojach i turniejach o honor i cześć pięknych pań. Najbardziej popularne utwory to trylogia dramatyczna *Bohater Północy* (*Der Held des Nordens*, 1808–1810) oraz powieść pt. *Czarodziejski pierścień* (*Der Zauberring*, 1813). Podobny sposób rozwinięcia akcji, stereotypowość charakterów i brak głębszych myśli pozbawiają te utwory wartości artystycznej. Toteż szybko uległy one zapomnieniu. Nowele — także już mało znane — różnią się od pozostałych utworów tematyką bardziej zbliżoną do życia, choć i w nich roi się od sytuacji dziwnych. Dowodem tego może być *Mandragora* (*Das Galgenmannlein*, 1810), utwór, któremu E. T. A. Hoffmann wystawił bardzo pochlebną opinię. W ogromnej spuściźnie jeden tylko utwór Fouquégo pozostał żywy po dziś dzień — baśń romantyczna pt. *Ondyna* (*Undine*, 1811). Jest to historia nimfy wodnej, która dzięki miłości do człowieka, rycerza, uzyskuje duszę. Zdradzona przez męża, uśmierca go pocałunkiem i odchodzi znów do krainy duchów. Ciekawa fabuła, znakomicie utrafiiony ton baśniowego opowiadania oraz sugestywnie przedstawiona problematyka moralna czynią *Ondynę* perłą niemieckiej literatury baśniowej.

Ernst Theodor Amadeus Hoffmann (1776–1822) Ernst Theodor Amadeus Hoffmann pochodzi z Królewca, gdzie studiował prawo. Następnie zostaje urzędnikiem kamery pruskiej w Głogowie, Berlinie, Poznaniu, Płocku i Warszawie. W Poznaniu ożenił się z Polką Michaliną Trzczańską. W Warszawie bierze czynny udział w życiu muzycznym miasta; był głównym inicjatorem i współzałożycielem Resursy Muzycznej, recenzował m.in. polonezy Ogińskiego i uwertury J. Elsnera, śpiewał w kościele oo. Bernardynów. Po klęsce Prus w r. 1806 przebywał krótki czas w Berlinie, a

następnie wyjechał do Bambergu. W tamtejszym teatrze był dyrygentem, scenografem i dramaturgiem. W Bambergu przeżył wielką, beznadziejną miłość do swojej uczennicy Julii Marc. Po krótkiej działalności w charakterze kapelmistrza w Dreźnie i Lipsku wstępuje znowu do służby państwowej. Umarł w Berlinie.

E. T. A. Hoffmann był poetą, muzykiem i malarzem — artystą wszechstronnie uzdolnionym i zarazem obowiązkowym pracownikiem administracji pruskiej. Był on człowiekiem o bogatej wyobraźni i bystrym zmyśle obserwacyjnym. Stąd w jego utworach literackich akcja rozgrywa się często na dwóch płaszczyznach — w zwyczajnej codzienności mieszczuchów i w po—nadmysłowej krainie duchów. Zacierają się granice między światem rzeczywistym a fantastycznym, przy czym ten drugi nabiera stopniowo cech realnych, podczas gdy rzeczywistość zamienia się w świat upiorny i stopniowo traci znamiona realności. Groteskowe osoby i sytuacje oraz satyrycznie i humorystycznie potraktowany temat służyły E. T. A. Hoffmannowi w walce z zakłamaniem niemieckich filistrów, których szczerze nienawidził. Typowym przedstawicielem kunsztu pisarskiego Hoffmanna jest dziwaczna, lecz pozytywna postać kapelmistrza Jana Kreislera z pierwszego zbioru opowiadań pt. *Opowieści fantastyczne w stylu Callota* (*Phantasiestücke in Callots Manier*, 1814–1815). Właśnie na jego przykładzie uwydatnia się najlepiej tzw. styl Callota: autor wydobywa sprzeczności między zachowaniem się lub wyglądem zewnętrznym bohatera a jego osobowością. Jest to więc jak gdyby sprostowanie pewnych zniekształceń, które dla oceny człowieka są właściwie nieistotne. Powieścią grozy są *Diable eliksiry* (*Die Elixiere des Teufels*, 1815–1816); chciał w niej autor pokazać zgubne oddziaływanie na człowieka nieznanymi siłami. Fatalistyczny w swojej wymowie jest także drugi cykl krótkich utworów epickich pt. *Opowieści nocne* (*Nachtstücke*, 1816–1817), z których pochodzi *Piaskun* (*Der Sandmann*, 1817). Trzeci z kolei zbiór nowel, opowiadań i baśni zebranych w czterech tomach to *Bracia serafiońscy* (*Die*

Serapionsbruder, 1819–1821). Została tu zastosowana zasada twórcza, polegająca na nadaniu fikcji cech prawdopodobieństwa. Najważniejszym dziełem Hoffmanna jest jego nie dokończona powieść pod przydługim tytułem *Kota Mruczysława poglądy na życie oraz fragmenty biografii kapelmistrza Jana Kreislera przypadkiem na strzępach makulatury zachowane* (*Lebensansichten des Katers Murr nebst fragmentarischer Biographie des Kapellmeisters Johannes Kreisler in zufälligen Makulaturblättern*, 1819–1821).

Joseph von Eichendorff (1788–1857) Joseph von Eichendorff urodził się na zamku Lubowice k. Raciborza. Studiował w Halle i Heidelbergu, podróżował po Niemczech i Austrii, brał udział w wojnach wyzwoleniczych. Od r. 1816 był urzędnikiem we Wrocławiu, Berlinie, Gdańsku i Królewcu. Po przejściu na emeryturę osiadł w Nysie, gdzie zmarł.

J. v. Eichendorff—czołowy przedstawiciel późnego romantyzmu — jest przede wszystkim lirykiem. Wiele jego wierszy uzyskało taką popularność, że traktuje się je na równi z pieśniami ludowymi, na których poeta się zresztą wzorował. Cechuje je wielka prostota treściowa i formalna, występuje w nich ograniczona ilość motywów, mają one silne zabarwienie uczuciowe, odznaczają się melodyjnością języka i plastycznością obrazów. Do najpiękniejszych pieśni zalicza się m.in.: *Złamany pierścionek* (*Das zerbrochene Ringlein*), *Pożegnanie* (*Abschied*), *Wesołego wędrowca* (*Der frohe Wandersmann*), *Noc księżycową* (*Mondnacht*), *Tęsknotę* (*Sehnsuchf*). Można dodać do nich wiele innych, równie wartościowych. Wiersze te występowały na ogół w utworach napisanych prozą, jak np. w powieści *Przecucie i terażniejszość* (*Ahnung und Gegenwart*, 1815). Jest to — podobnie jak *Wilhelm Meister* Goethego — powieść rozwojowa, której akcja toczy się tuż przed powstaniem narodowym przeciwko Napoleonowi. Z nowel najbardziej znana jest *Z życia nicponia* (*Aus dem Leben eines Taugenichts*, 1826). Utwór ten skupia w sobie, jak żaden inny, te cechy, które

w literaturze niemieckiej określa się n i ogół jako romantyczne. Nie wydarzenia są tu istotne, lecz nastrojowość; nie idea, lecz obrazy pełne jasnego kolorytu. Nowela pt. *Posąg z marmuru* (*Das Marmorbild*, 1819) jest również bardzo znamieną dla romantycznego światopoglądu jej aktora, znajdującego oparcie w religii katolickiej. Nawet w późniejszych utworach nie odstępował on od swojej w młodości obranej zasady twórczej, jak to widać na przykładzie noweli pt. *Zamek Durande* (*Schloss Durande*, 1837). Wprawdzie samo wydarzenie pokazane jest realistycznie, jednak fabuła zawiera motyw typowo romantyczny — niemożność poznania obiektywnej prawdy. Eichendorff napisał ponadto kilka innych nowel oraz zapomniane już dzisiaj dramaty. W ostatnim okresie swego życia wydał cztery obszerne rozprawy historycznoliterackie.

Wilhelm Hauff (1808–1827) Wilhelm Hauff, poeta należący do Kręgu Poetów Szwabskich, urodził się w Stuttgarcie. Studiował teologię w słynnym konwiktie w Tybindze, po czym udaje się w podróż po zachodniej Europie. Następnie zostaje redaktorem czasopisma literackiego „Morgenblatt für gebildete Stände” („Gazeta Poranna dla Wykształconych Stanów”). Umiera w miesiąc po swoim ślubie. W. Hauff był przede wszystkim prozaikiem. Do historii literatury niemieckiej wszedł jako autor pierwszej powieści historycznej, tj. *Lichtensteina* (1826). Napisał ją na wzór powieści Waltera Scotta i przedstawił w niej losy swojej ojczyzny za panowania księcia Ulryka. Wielką popularność osiągnęły jego baśnie, ujęte w formę opowieści ramowych. W zbiorze pt. *Karawana* (*Die Karawane*, 1826) znajduje się m.in. *Opowieść o statku upiórów* (*Die Geschichte vom Gespensterschiff*). Kolejne tomy to *Szejk z Aleksandrii i jego niewolnicy* (*Der Scheik von Alessandria und seine Sklaven*, 1827) oraz *Gospoda w Szpesarcie* (*Das Winshaus im Spessart*, 1828). Akcja wielu baśni zawiera realia współczesne Hauffowi, a sposób myślenia bohaterów zbliżony jest do poglądów warstw średnich. Środowisko zaś, w którym żyją, ostro kontrastuje z przepychem ludzi

możliwych. Zbliżyła się więc Hauff tym samym do tendencji baśni osiemnastowiecznej. Także i jego nowele zawierają już wiele elementów realistycznych; podejmuje w nich aktualne zagadnienia polityczne, społeczne, filozoficzne i kulturalne, jak np. w *Obrazie cesarza (Das Bild des Kaisers)* i *Żebraczce z Pont des Ans (Die Bettlerin vom Pont des Arts)*. Pełne dowcipu i groteskowego komizmu są *Fantazje w piwnicy ratuszowej w Bremie (Phantasien im Bremer Ratskeller, 1827)*.

Jeremias Gotthelf (1797–1854) Jeremias Gotthelf (właściwie Albert Bitzius) pochodzi ze Szwajcarii. Po ukończeniu studiów teologicznych podróżował po Niemczech. W r. 1832 został pastorem w Lutzelfliih k. Berna, gdzie zmarł.

Mając lat 39 opublikował J. Gotthelf swoją pierwszą powieść pt. *Zwierciadło chłopskie, czyli Dzieje życia Jeremiasza Gotthelf a przez niego samego opisane (Bauernspiegel oder Lebensgeschichte des Jeremias Gotthelf von ihm selbst benchtet, 1837)*; jej powodzenie zachęciło go do dalszej twórczości. Najważniejszym jego dziełem jest dwuczęściowa powieść o wsi *Uli parobek (Uli der Knecht, 1848)* i *Uli dzierzawca (Uli der Pächter, 1848)*. Opisując w niej życie szwajcarskich chłopów, wypowiada się za porządkiem patriarchalnym i tradycją, propaguje światopogląd oparty na religii i podkreśla znaczenie pracy dla społeczeństwa; przy czym nie zamyka oczu na przywary chłopów. Jeszcze bardziej konserwatywny jest w jednej z ostatnich powieści pt. *Duch czasu i duch berneński (Zeitgeist und Berner Geist, 1852)*; chłosta w niej miejską cywilizację, w której widzi źródło wszelkiego zła.

Z jego licznych opowiadań godzi się wymienić *Swaty Michała (Michels Brautschau)*, idylliczny obraz rodzajowy *Pani pastorowa (Die Frau Pfarreriñ)*, tragiczną historię z okresu okupacji francuskiej *Elza, osobliwa służąca (Elsi, die seltsame Magd)* oraz dzieje rycerza z czasów bezkrólewia w Niemczech *Kurt von Koppingen*. Poczesne miejsce w jego krótkiej prozie zajmuje opowiadanie *Czarny pająk (Die schwarze Spinne, 1842)*.

Ludwig Bechstein (1801–1860) Ludwig Bechstein urodził się w Weimarze. W młodym wieku został uczniem aptekarskim. Dzięki stypendium księcia Bernharda z Sachsen–Meiningen mógł podjąć studia filozoficzne. Od r. 1831 do swojej śmierci był bibliotekarzem i archiwariuszem. Zmarł w Meiningen.

L. Bechstein był lirykiem i epikiem, lecz jego powieściom brak wewnętrznej spójności. Większe zasługi ma jako zbieracz baśni i podań z Turyngii. Należą do nich takie zbiory, jak *Skarbiec i kręgi podań Turyngii* (*Der Sagenschatz und die Sagenkreise des Thunnger Landes*, 1835–1838), *Niemiecka księga baśni* (*Deutsches Märchenbuch*, 1845) i inne. *Chłopiec na widłach* (*Der kleine Gabelfahrer*) pochodzi ze zbioru pt. *Historie o wiedźmach* (*Hexengeschichten*, 1854).

Friedrich Gerstäcker (1816–1872) Friedrich Gerstäcker urodził się w Brunszwiku. Zaczął pracować w zawodzie kupieckim, a następnie w rolnictwie. W r. 1837 wyemigrował do Stanów Zjednoczonych; uprawiał tam kilka zawodów. Wrócił do Niemiec i odbył dalsze dalekie podróże. Potem żył jako pisarz w Dreźnie i Brunszwiku.

F. Gerstäcker jest autorem powieści podróżniczych i awanturniczych, w których własne wrażenia i przygody połączył z barwnymi opisami przyrody i kultury danego kraju. Jego technika pisarska jest konwencjonalna, utwory na ogół nie mają psychologicznej głębi. Do najbardziej znanych powieści należy zaliczyć *Poskramiaczy z Arkansas* (*Die Regulatoren in Arkansas*, 1845), *Piratów na Missisipi* (*Die Flusspiraten des Mississippi*, 1848), *Pod równikiem* (*Unter dem Äquator*, 1861).

Theodor Storm (1817–1888) Theodor Storm urodził się w Husum

(Szlezwik). Studiował prawo w Kilonii, po czym został adwokatem. W r. 1852 władze duńskie wydalily go ze wzgledów politycznych z kraju, do którego powrócił po dwunastu latach. Do roku 1880 pracował w sądownictwie. Zmarł w Hademarschen (Holsztyn).

T. Storr jest przede wszystkim nowelistą. Zdobył od razu rozgłos liryczną nowelą *Immensee* (1849). Pełna nastroju jest także nowela *Na dworze państwowym* (*Auf dem Staatshof*, 1858); równocześnie jednak zaznacza się już drugi element jego kunsztu pisarskiego — dar dokładnej obserwacji otaczającej go rzeczywistości. Cecha ta występuje tak przy opisach przyrody, jak i przy odmalowywaniu obrazów rodzajowych. Stąd zauważyć można u niego pewną ewolucję od idyllicznych, a nawet sentymentalnych opowiadań do utworów o dramatycznie zbudowanej akcji, traktujących o zmaganiach człowieka z własnym losem. Takie są m.in. jego nowele osnute na starych kronikach: *Aquis submersus* (1877) — poruszająca problem nieszczęśliwej miłości wskutek antagonizmów klasowych między ukochanym a rodziną jego ukochanej, czy też *Kronika z Grieshuus* (*Die Chronik von Grieshuus*, 1884) — psychologicznie pogłębiony portret człowieka, który zabił własnego brata. W środowisku drobnomieszczańskim rozgrywa się wzruszająca nowela *Paweł Kukielkarz* (*Pole Poppenspdler*, 1874), w której miłość dwojga ludzi przewycięża przeciwieństwa środowiska. Doświadczenia i doznania osobiste zawierają nowele *Kurator Karsten* (*Carsten Curator*, 1878) i *Hans i Heinz Kirchowie* (*Hans und Heinz Kirch*, 1882), przedstawiające konflikt pokoleń. Najpełniej odzwierciedla się wielka indywidualność twórcza T. Storma w ostatniej noweli pt. *Jeździec na siwym koniu* (*Der Schimmelreiter*, 1888). Jest to historia ambitnego chłopca, który dzięki pracowitości i wytrwałości zostaje naczelnikiem gminy. W zmaganiach z nieprzychylną mu społecznością wsi oraz z nieujarzmioną przyrodą doznaje klęski: gdy w falach wzburzonego morza ginie jego żona wraz z dzieckiem, i on szuka śmierci w rozszalałym żywiole. W wierzeniach ludzi żyje jednak dalej jako fantastyczna postać na siwym koniu, ukazująca się w chwilach zbliżającego

się nieszczęścia. T. Storm był także autorem baśni *Mały Plastuś* (*Der kleine Hawelmann*, 1849) i *Deszczowa Gertruda* (*Die Regentrude*, 1864) oraz opowiadań, w których rzeczywistość przeplata się z elementami irracjonalnymi, jak np. w *Domu Bulemanna* (*Bulemanns Haus*, 1864).

Jako liryk zajmuje Storm wysoką pozycję pośród niemieckich poetów realizmu. Jego miniaturowe obrazy poetyckie oddziałują na czytelnika dzięki subtelnej analizie stanów psychicznych, dzięki zwięzłości stylu oraz prostocie i melodyjności języka.

Paul Heyse (1830–1914) Paul Heyse urodził się w Berlinie, studiował filologię klasyczną, romanistykę i historię sztuki, przebywał rok we Włoszech, po czym wrócił do Berlina. W maju 1854 król Maksymilian II zaprosił go do Monachium, gdzie obok E. Geibla stał się przywódcą tzw. Koła Monachijskiego. W r. 1910 otrzymuje jako pierwszy niemiecki poeta nagrodę Nobla, a także tytuł szlachecki. Umarł w Monachium.

P. Heyse jest przede wszystkim nowelistą. Jego dorobek obejmuje ok. 120 utworów; ich akcja rozgrywa się przeważnie we Włoszech, zarówno we współczesności, jak i w czasach bardziej odległych, w świecie sztuki i piękna; unikał tematów z nizin społecznych. Opowiadania o podłożu irracjonalnym, jak np. *Piękna Abigail* (*Die schöne Abigail*, 1892), należą do wyjątków. Wiele nowel traktuje o problemie miłości, jak np. *L'Arrabiata*, *Dziewczyna z Teppi* (*Das Mädchen von Teppi*), *Samotni* (*Die Einsamen*), *Obraz matki* (*Das Bild der Mutter*) i inne. Reprezentuje w nich światopogląd ateistyczny o eudajmonistycznym zabarwieniu. Jego nowele są podobnie zbudowane jak nowele Boccaccia; strukturę ich objaśnia i uzasadnia za pomocą tzw. „Falkentheorie” (teorii sokoła). Twierdzi, że każda dobra nowela ma tzw. „sokoła”, tzn. motyw przewodni, będący istotnym spójnikiem całej akcji, a powodujący od pewnego momentu zarazem jej odwrócenie.

W swoich powieściach *Dzieci świata* (*Kinder der Welt*, 1873) i *W raju* (*Im*

Paradiese, 1876) próbował uprawiać krytykę społeczną, zresztą niezbyt udaną. Jego sztuki sceniczne były pozbawione wszelkiej dramatyczności, liryka zaś bardzo konwencjonalna. Był cenionym tłumaczem z języka włoskiego.

Heinrich Mann (1871–1950) Heinrich Mann, brat Tomasza, urodził się w Lubece. Studiował w Berlinie, następnie przebywał we Francji i Włoszech. Po powrocie do Niemiec mieszkał na przemian w Berlinie i Monachium. W roku 1933 przedostaje się przez Czechosłowację do Paryża, a stamtąd do Kalifornii, gdzie zmarł.

Swoją działalność pisarską rozpoczął H. Mann powieściami i nowelami wzorowanymi na literaturze francuskiej. Wyrazem jego poszukiwań twórczych są m.in. utwory zebrane w tomie pt. *Opowieści fantastyczne i inne nowele (Das Wunderbare und andere Novellen, 1897)*, zawierające także opowiadanie *Pies (Der Hund, 1894)*. Właściwy talent H. Manna objawił się po raz pierwszy w powieści krytyczno–obyczajowej *W krainie pieczonych gołąbków (Im Schlaraffenland, 1900)*, satyrze na berlińskich literatów i bankierów. Po trylogii namiętności *Diana, Minerwa, Wenus (Die Góttinnen oder Die drei Romane der Herzogin von Assy, 1902–1903)* i naturalistycznie skreślonym obrazie z życia monachijskiej cyganerii i pewnych warstw mieszczaństwa *W pogoni za miłością (Jagd nach Liebe, 1904)* wydaje głośną powieść *Profesor Unrat (Professor Unrat oder Das Ende eines Tyrannen, 1905)*. Powrócił w niej H. Mann do swojej domeny twórczej, tj. do ostrej krytyki schyłku epoki wilhelmińskiej, przeprowadzonej na przykładzie profesora gimnazjalnego, który dostaje się w sidła subretki z podrzędnego teatrzyku. Skompromitowany bohater — przedstawiciel systemu wychowawczego, jakim jest szkoła — jest zarazem uosobieniem rozpadu wartości moralnych niemieckiej burżuazji. Najostrzejszy atak na nią przypuścił Mann w trylogii powieściowej pt. *Cesarstwo (Das Kaiserreich, 1914–1925)*. Jest to zjadliwa satyra i groteskowo zdeformowany obraz

społeczeństwa niemieckiego przed pierwszą wojną światową — obraz zakłamania, obłudy, duchowego ubóstwa i fałszywych ideałów. Jego typowym reprezentantem jest Diederich Hessling, bohater pierwszej części pt. *Poddany* (*Der Untertan*, 4), człowiek pozbawiony skrupułów, karierowicz, szowinista, a zarazem tchórz i lizus. Część druga nosi tytuł *Biedacy* (*Die Armen*, 1917) i traktuje o klasie robotniczej, część trzecia pt. *Głowa* (*Der Kopf*, 1925) zaś o przywódcach narodu; są one jednak słabsze niż *Poddany*. Żarliwym obrońcą ideałów demokracji stał się H. Mann w dwuczęściowej monumentalnej powieści historycznej *Młodość króla Henryka IV* (*Die Jugend des Königs Henri Quatre*, 1935) i *Król Henryk IV u szczytu sławy* (*Die Vollendung des Königs Henri Quatre*, 1938). Powieść ta wyrosła z doświadczeń historycznych autora, sylwetka zaś i czyny jej bohatera są świadomym przeciwieństwem faszystowskiego dyktatora Niemiec i jego tyranii. Henryk IV był bowiem w pełnym tego słowa znaczeniu królem swojego ludu, władcą, któremu przyświecały idee tolerancji i humanitaryzmu, mężem stanu dążącym do porozumienia między narodami. W tym barwnym fresku historycznym wzniósł się H. Mann na wyżyny kunsztu pisarskiego, łącząc rozlewne opisy z dramatycznymi scenami, przeplatając z nimi anegdoty i wycinki z *chronique scandaleuse*, dawkując umiejętnie uwagi moralizujące i dowcipne puenty. Mimo wielopłaszczyznowej akcji i dużej ilości osób wyczuwa się w jego antytetycznym stylu ogromną dyscyplinę, dzięki której myśli pisarza znalazły jasny i pełny wyraz.

Oprócz tych i innych jeszcze powieści H. Mann napisał około pół setki nowel. Był także znakomitym eseistą, próbował swoich sił jako dramaturg, walczył w artykułach, pamfletach i proklamacjach o postęp i demokrację. Obrachunkiem z epoką jest obszerne dzieło autobiograficzne pt. *Ogląd epoki* (*Ein Zeitalter wird besichtigt*, 1946), portretem samego siebie zaś powieść *Oddech* (*Der Atem*, 1949) — ostatnia wypowiedź bystrego obserwatora.

Thomas Mann (1875–1955) Thomas Mann, brat Henryka, urodził się w Lubece. Ojciec jego — zamożny kupiec i senator — należał do patrycjatu miejskiego; matka pochodziła z południowej Ameryki. Do gimnazjum T. Mann uczęszczał w swoim mieście rodzinnym. Po śmierci ojca, w r. 1891, zaczął pracować w towarzystwie ubezpieczeniowym w Monachium, dokąd przeprowadziła się rodzina. Był tam także krótko słuchaczem wykładów uniwersyteckich. Od 1895 r. poświęcał się wyłącznie pisarstwu, współpracując z czasopismem satyrycznym „Simplicissimus”. W tym samym roku wyjechał razem z bratem do Włoch, po czym wrócił do Monachium, gdzie — z przerwami — mieszkał do 1933 roku. W czasie przejęcia władzy przez Hitlera przebywał za granicą i już nie wrócił do kraju. Po tułaczce w Holandii, Belgii i Francji osiedlił się w Szwajcarii, a następnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie wykładał na uniwersytetach w Princeton (New Jersey) i Pacific Palisades (Kalifornia). Obywatelstwo amerykańskie przyjmuje w roku 1944, w osiem lat po pozbawieniu go obywatelstwa niemieckiego. Po wojnie odwiedza kilkakrotnie obie części Niemiec, osiedlił się jednak w r. 1952 ponownie w Szwajcarii. W r. 1929 T. Mann otrzymał literacką nagrodę Nobla; był także doktorem honoris causa kilku europejskich i amerykańskich uniwersytetów.

Pierwsze nowele T. Manna utrzymane były w duchu dekadentyzmu, w duchu krytyki wartości moralno–etycznych Nietzschego i romantycznej tęsknoty za śmiercią — święcącej triumfy w wielkich dramatach muzycznych Wagnera. Widać w nich przemożny wpływ pesymistycznej filozofii Schopenhauera. Bohaterami jego nowel są charaktery subtelne, ludzie o wysublimowanej psychice, o nadmiernie wykształconym poczuciu estetycznym, osoby będące outsiderami w społeczeństwie sytych i zadowolonych. Taki jest bohater tytułowy opowiadania *Mały pan Friedemann* (*Der kleine Herr Friedemann*, 1898), który — odtrącony z powodu ułomności fizycznej — odbiera sobie życie. Chorobliwy kult piękna i witalny realizm decydują o konflikcie Tristana, potraktowanym zresztą

przez autora w sposób ironiczny. Przeciwieństwo między artystą a mieszczańinem, przewijające się jako motyw przewodni w twórczości T. Manna, stanowi także oś wydarzeń w noweli *Tonio Kroger* (1903). Podczas gdy Tonio Kroger potrafił wyzwolić się z dwoistości swojej egzystencji jako artysta, Gustaw Aschenbach (*Śmierć w Wenecji*, 1913) ulega patologicznemu pożądaniu piękna i estetycznemu egocentryzmowi. We wszystkich tych i innych jeszcze nowelach, jak na przykład w *Szafie* (*Der Kleiderschrank*, 1899), potrafił autor wyrazić najskrytsze myśli swoich bohaterów, analizować ich skomplikowane stany psychiczne i po mistrzowsku odmalować otaczające ich realia.

Impresjonistycznemu ujęciu rzeczywistości, charakterystycznemu dla małych form epickich pierwszego okresu jego twórczości, przeciwstawia T. Mann na wskroś realistyczne widzenie świata w swej pierwszej powieści pt. *Buddenbrookowie* (*Buddenbrooks*, 1901). Jej treścią jest upadek rodziny kupieckiej. Proces przemian obyczajowości, sposobu myślenia i degeneracji — nie tylko fizycznej, lecz także moralnej — pokazany został na przykładzie historii czterech pokoleń. Na plan pierwszy nie wysuwają się — tak jak u wielkich realistów XIX wieku — zagadnienia polityczno—społeczne, lecz etyczne. Tematy poruszone w krótkiej prozie — upadek kultury mieszczańskiej, dualizm życia duchowego i realnego, problem artysty — znalazły tu pełne rozwinięcie, czego zewnętrznym wyrazem jest chociażby rozległa narracja, spotęgowana jeszcze nadzwyczaj skomplikowaną budową zdań.

Drugą wielką powieścią T. Manna jest *Czarodziejska góra* (*Der Zauberberg*, 1924), ukazująca w formie symboliczno—alegorycznej sytuację europejskiej burżuazji w przededniu pierwszej wojny światowej. Powieść ta nie ma właściwej akcji; ustępuje jej wielki dyskurs na temat polityki, religii, sztuki, choroby, życia i śmierci. Nosicielami poszczególnych idei są konkretne osoby, z których wymienić należy przede wszystkim zwolennika ideałów demokratycznych Settembriniego oraz wyznawcę dyktatury Naphtë.

W centrum tego makabrycznego świata, jakim jest sanatorium dla chorych na gruźlicę, stoi młody inżynier Hans Castorp, któremu udaje się wprawdzie przezwyciężyć chorobę, lecz który jest bezradny w obliczu katastrofy wybuchu wojny.

„Prawdydarzenia życia ludzkiego” są — według słów T. Manna — treścią tetralogii *Józef i jego bracia* (*Joseph und seine Brüder*, 1933–1943). Na kanwie opowieści biblijnej, czerpiąc z prastarych mitów, usiłował autor ukazać ewolucję rodu ludzkiego od jego patriarchalnych początków do wysoko rozwiniętej cywilizacji współczesnej, w której człowiek kieruje się zasadami racjonalizmu i humanitaryzmu.

Po powieści biograficznej o Goethem *Lotta w Weimarze* (*Lotte in Weimar*, 1939) postawił T. Mann uniwersalną diagnozę swoich czasów w dziele *Doktor Faustus. Żywot niemieckiego kompozytora Adriana Leverkühna, opowiedziany przez jego przyjaciela* (*Doktor Faustus. Das Leben des deutschen Tonsetzers Adrian Leverkühn, erzählt von einem Freunde*, 1947). Mann postawił sobie za zadanie wykrycie historycznych i psychologicznych przesłanek, które doprowadziły do tragedii państwa niemieckiego, do zagrożenia, a nawet unicestwienia ducha i istoty całego narodu. Powieść rozgrywa się w dwóch płaszczyznach czasowych: jedna — to okres od 1885 do 1940, obejmujący biografię Leverkühna, współczesnego Fausta; druga — to czas od 23 maja 1943 do 8 maja 1945, w którym jego przyjaciel dr Serenus Zeitblom ją pisze. Właśnie w tych datach odzwierciedla się — mimo fikcyjności postaci — dążność autora do historycyzmu. Dzięki dwupłaszczyznowości zwiększa on dystans do poszczególnych wydarzeń, odrębność charakterologiczna bohatera i narratora zaś umożliwia mu wielostronne ich naświetlenie i dogłębną interpretację. Pod względem stylistycznym w powieści dają się wyodrębnić różne warstwy językowe.

Ostatnią powieścią wielkiego prozaika są *Wyznania hochstaplera Feliksa Krulla* (*Bekenntnisse des Hochstaplers Felix Krull*, 1954). Wzorowana na powieści łotrzykowskiej XVI wieku, jest ona ironicznym spojrzeniem na

mieszkaństwo XX wieku, które autor za pomocą parodii i satyry odziera z jego wyimaginowanych ideałów.

Prócz opowiadań i powieści pisał Mann eseje i rozprawy. Swoje zapatrywania polityczne z czasów pierwszej wojny światowej, które później ulegały zmianie, wyłożył w *Rozważaniach człowieka apolitycznego* (*Betrachtungen eines Unpolitischen*, 1918). W rozprawie *Jak powstał „Doktor Faustus”*. *Powieść o powieści* (*Die Entstehung des „Doktor Faustus”*. *Roman eines Romans*, 1949) dał komentarz odautorski do tego wielowarstwowego i trudnego dzieła. Wyrazem hołdu dla czołowych klasyków niemieckich jest jego *Przemówienie w Roku Goethego* (*Ansprache im Goethejahr*, 1949) oraz *Rzecz o Schillerze* (*Versuch über Schiller*, 1955).

Oskar A. H. Schmitz (1873–1931) Oskar A. H. Schmitz urodził się w Homburgu k. Frankfurtu n. Menem. Studiował prawo, ekonomię, germanistykę i filozofię, po czym dużo podróżował. W latach 1907–1915 mieszkał przeważnie w Berlinie, następnie w Salzburgu. Zmarł we Frankfurcie.

W pierwszym okresie swojego pisarstwa współpracował z czasopismem „Blätter für die Kunst”. Zadebiutował jako liryk tomikiem pt. *Orfeusz* (*Orpheus*, 1899). Następnie wydał opowiadania pt. *Haszysz* (*Haschisch*, 1902), wśród których znajduje się także *Kochanka szatana* (*Die Geliebte des Teufels*). Pewien rozgłos zdobył powieścią o tendencjach emancypacyjnych *Jeżeli my, kobiety, się obudzimy* (*Wenn wir Frauen erwachen*, 1912). Jego skłonności do tematyki fantastycznej zdradzają m.in.: *Duch astrologii* (*Der Geist der Astrologie*, 1922), *Dionizyjska tajemnica* (*Das dionysische Geheimnis*, 1925) i *Psychoanaliza i joga* (*Psychoanalyse und Yoga*, 1925). Ponadto napisał jeszcze inne powieści, opowiadania i eseje oraz kilka dramatów. Sumą jego doświadczeń i przemyśleń jest autobiografia, składająca się z następujących części: *Duchy domu* (*Die Geister des Hauses*), *Demon świat* (*Demon Welt*), *Ergo sum* (wszystkie powstały w roku 1926).

Georg von Schlieben (1891—?) Opowiadanie wyjęte z almanachu pt. *Das Gespensterschiff* (Jena 1920), wydanego przez Toni Schwabego. O autorze brak jakichkolwiek informacji.

Paul Ernst (1866–1933) Paul Ernst urodził się w Elbingerode w górach Harzu. Studiował w Getyndze i Tybindze. Przez kilka lat był członkiem partii socjaldemokratycznej; po wystąpieniu z niej atakował marksizm w *Upadku marksizmu* (*Zusammenbruch des Marxismus*, 1919). Powróciwszy z Włoch, poświęcił się wyłącznie pracy pisarskiej. Mieszkał w różnych miastach Niemiec, zmarł w St. Georgen. W swoich pismach teoretycznych (np. *Droga do formy — Der Weg zur Form*, 1906; *Credo — Ein Credo*, 1912) dążył P. Ernst do ustanowienia nowej formy artystycznej. Był przekonany o znaczeniu kunsztownej budowy dla wartości dzieła literackiego. W praktyce jego teoria nie sprawdziła się jednak, gdyż była zbyt abstrakcyjna. Dowodzą tego jego dramaty o tematyce na ogół historycznej i antycznej, np. *Dymitr Samozwaniec* (*Demetrios*, 1905), *Ariadna na Naksos* (*Ariadne auf Naxos*, 1912), *Kasandra* (*Kassandra*, 1915) i inne. Większe znaczenie miały próby odnowienia niemieckiej noweli. Jego wesołe *Opowiadania o komediantach* (*Komödiantengeschichten*, 1920) i *Opowiadania o andrusach* (*Spitzbubengeschichten*, 1920), jak również i inne zbiory zawierają po mistrzowsku zbudowane nowele. Ernst podejmował także próbę odnowienia wielkiego eposu. *Księga o cesarzach* (*Das Kaiserbuch*, 1922–1928) jest poetycką historią Niemiec od r. 919 do 1250 w 90000 wierszy. Opowiadanie *Majak* (*Der Schemen*) pochodzi z tomu pt. *Księżniczka Wschodu* (*Die Prinzessin des Ostens*, 1903).

Gustav Meyrink (1868–1932) Gustav Meyrink (właściwie Meyer)

urodził się w Wiedniu. Był synem ministra i aktorki. Studiował w Pradze, po czym został bankierem, a od r. 1903 redaktorem w swoim mieście rodzinnym. Na pięć lat przed śmiercią przeszedł z protestantyzmu na buddyzm. Zmarł w Stambiegu w Bawarii.

Od r. 1901 publikował G. Meyrink opowiadania fantastyczno–ironiczne i satyryczne; wiele z nich ukazało się w czasopiśmie „Simplicissimus”. Później zostały one wydane pt. *Cudowny róg niemieckiego mieszczucha* (*Des deutschen Spiessers Wunderhorn*, 1913). Z tego tomu pochodzi także *Preparat* (*Das Praparat*, 1909). Ogromnym powodzeniem cieszyła się powieść *Golem* (1915), w której sięga autor do mitu żydowskiego: na mrocznych ulicach starej Pragi zjawia się demoniczna postać sztucznego nadczłowieka. Nie mniejszym sukcesem była kolejna powieść pt. *Zielona twarz* (*Das grüne Gesicht*, 1916), gdzie Żyd–Tułacz Ahaswer jest symbolem zagłady świata. W obu powieściach obrazy i myśli ze sfery kabalistycznej, sny, wizje i stany lękowe decydowały o nastroju grozy i niepokoju. Właśnie w tym okazał się Meyrink poprzednikiem F. Kafki. Inne utwory, np. *Biały dominikanin* (*Der weisse Dominikaner*, 1921), były również popularne, lecz nie wywołały już tak szerokiego oddźwięku jak dwa poprzednie.

Hanns Heinz Ewers (1871–1943) Hanns Heinz Ewers urodził się w Düsseldorfie. Studiował prawo, lecz od r. 1897 poświęcał się wyłącznie pracy literackiej. Dużo podróżował. W latach 1914–1921 był internowany w Stanach Zjednoczonych, potem mieszkał na przemian w Düsseldorfie i Berlinie, gdzie zmarł.

H. H. Ewers jest jednym z głównych przedstawicieli fantastyczności i niesamowitości w literaturze niemieckiej. Zadebiutował satyrycznymi baśniami, po czym wydał szereg opowiadań, których tytuły sugerują specyficzną aurę. Są to m.in. *Zgroza* (*Das Grauen*, 1908), *Opętani* (*Die Besessenen*, 1909), z których pochodzi opowiadanie pt. *Pająk* (*Die Spinne*), i *Zmora nocna* (*Nachtmahr*, 1922). Podobnie dobrane są tytuły powieści:

Mandragora (Alraune, 1911) i *Wampir (Vampir, 1921)*. Sensacyjna fabuła łączy się tu często z erotycznoseksualnymi, sadystycznymi, okultystycznymi i ekscentrycznymi elementami. Napisał także dwie powieści w duchu faszystowskim, traktujące o politycznych zagadnieniach współczesnych Niemiec, mianowicie *Jeźdźcy w niemieckiej nocy (Reiter in deutscher Nacht, 1932)* i *Horst Wessel (1932)*.

H. H. Ewers był gorącym wielbicielem talentu Stanisława Przybyszewskiego, którego twórczość propagował podczas swojego pobytu w Stanach Zjednoczonych. Przybyszewski zaś wraz z żoną Jadwigą przyczynił się do popularyzacji jego dzieł w Polsce. Przez całe niemal życie utrzymywali też żywą korespondencję.

Karl Hans Strobl (1877–1946) Karl Hans Strobl urodził się w Iglawie na Morawach. Studiował filozofię i prawo w Pradze, następnie został urzędnikiem państwowym, po czym odbywał dalekie podróże po Europie, północnej Afryce i Bliskim Wschodzie. W pierwszej wojnie światowej był sprawozdawcą wojennym, a w r. 1918 osiadł w Perchtoldsdorfie k. Wiednia, gdzie zmarł.

K. H. Strobl jest znany jako autor fantastycznych i niesamowitych opowieści, jak np. mistyczno–kryminalny *Eleagabal Kuperus (1910)* i upiorna *Rozpustna mniszka (Die arge Nonn, 1913)*. Z jego powieści osnutych na historii Czech należy wymienić przede wszystkim *Pochodnię Husa (Die Fackel des Hus, 1929)*. O współczesnym mu życiu studenckim w Pradze traktuje *Klitka Vaclava (Die Vadavbude, 1902)*.

Max Dauthendey (1867–1918) Max Dauthendey urodził się w Wiirzburgu, chciał zostać artystą malarzem, na życzenie ojca pracował jednak w jego atelier fotograficznym. Od 1891 prowadził niespokojny tryb życia, mieszkając kolejno w Szwecji, Londynie, Paryżu i Nowym Jorku.

Następnie odbywał podróże do Egiptu, Indii, Chin, Japonii, na Wyspy Hawajskie. W r. 1914 wyruszył z Nowego Jorku w nową podróż po świecie, lecz na Jawie zaskoczyła go pierwsza wojna światowa. Zmarł tam na chorobę tropikalną. M. Dauthendey zadebiutował tomikiem wierszy pt. *Ultra-Violett* (1893), w których dzięki bogactwu barw i tonów okazał się typowym impresjonistą. Najważniejszymi tematami jego twórczości są miłość, przyroda, piękno, jak np. w zbiorach *Wieczyste wesele* (*Die ewige Hochzeit*, 1905) czy *Skrzydłata ziemia* (*Die geflügelte Erde*, 1910). Jako prozaik był twórcą egzotycznych nowel, często o treści erotycznej. Z tego gatunku opublikował m.in. *Lingam* (1909), *Osiem twarzy nad jeziorem Biwa* (*Die acht Gesichter am Biwasee*, 1911), *Historie z czterech wiatrów* (*Geschichten aus den vier Winden*, 1915), gdzie znajdują się m.in. *Mroki Himalajów* (*Himalajafinsternis*). Jego dramaty były niesceniczne.

Paul Rohrer

O autorze nie ma żadnych informacji. Karol Irzykowski, który utwór *Świerk don Lorenza* (*Die Fichte des Don Lorenzo*) przetłumaczył i ogłosił w tomie *Juliusz Verne w piekle*, podaje, że opowiadanie Rohrera znalazł w czasopiśmie „Orchideengarten” z lat dwudziestych, drukującym utwory sensacyjne i niesamowite.